

ROBERT MAŁECKI

wada

*Małecki z każdą kolejną książką
wyrasta na prawdziwego arcy mistrza
polskiego kryminału.*

PIOTR BRATKOWSKI, „NEWSWEEK”

wada

**R O B E R T
M A Ł E C K I**

wada

*Pamięci Krystyny i Konstantego Poszepczyńskich,
najwspanialszych Dziadków na świecie*

dzień pierwszy

Komisarz Bernard Gross kucnął, żeby zajrzeć do namiotu, z którego dochodziło donośne basowe bzyczenie.

Płachta, przez którą wchodziło się do środka, poddawała się lekkim podmuchom gorącego sierpniowego wiatru. W wieczornym półmroku przez wąskie szpary niewiele mógł zobaczyć. Właściwie zauważał jedynie głęboką czerń i słyszał wciąż ten sam dźwięk. Urywany odgłos co rusz podrywającej się do lotu, zapewne dużej, tłustej muchy.

Wszedłszy do lasu, podniósł i ułamał kawałek suchej świerkowej gałęzi, których pełno leżało na ściółce po niedawnej burzy. Teraz odsunął patykiem zwisający swobodnie materiał na bok.

Nawet nie zdawał sobie sprawy, że przez jakiś czas wstrzymywał oddech. Powietrze uszło z jego płuc z głośnym świstem.

Czy nie tego się właśnie spodziewał?

Uruchomił w komórce latarkę i spokojnie przesunął owal światła po wnętrzu.

Na tę niewielką polanę, odciętą pasmem drzew od znajdującej się na cyplu chełmżyńskiej plaży i położoną nieco dalej od centrum, trafił kilka minut temu. Mężczyźni, który poinformował policję o znalezisku, a następnie wskazał Grossowi drogę, kazał się trzymać z daleka. Zostawił go na leśnej ścieżce, w cieniu wysokich drzew i wśród niemal poziomo padających promieni zachodzącego słońca. Zieleń przybrała głęboki, ciemny odcień, a woda jeziora zdawała się czarna i gęsta jak smoła.

– I co pan tam znalazł, panie władzo? – odezwał się drżący męski głos. Dochodził z bliska.

Wyjrawszy ponad dach namiotowego igloo, Gross dostrzegł Michała Bąka. Pojawił się na skraju polany.

– Niech się pan cofnie! – warknął policjant.

– No ale co tam jest? Znalazł pan coś?

– Do tyłu! – odparł ostro Gross.

Znęcona jasnością mucha ponownie poderwała się do lotu.

– Matko Boska! Trup? – jęknął Bąk, po czym złapał się za głowę. – Wiedziałem, cholera jasna, wiedziałem! – Cofnął się na zacienioną ścieżkę. Z grubej nerki wyjął komórkę i przyłożył ją do ucha.

Gross z powrotem przyjrzał się wnętrzu namiotu. Przez dłuższy czas obserwował ruch owada i jego włochaty, połyskujący zielenią odwłok. W końcu mucha na krótko znieruchomiała. Wyglądała na otumanioną. Nie miała siły ani iść, ani wznieść się na dłużej niż kilka chwil. Wiedział dlaczego.

Raz jeszcze skierował światło na ściany, a następnie przyjrzał się uważnie podłodze. Dostrzegł na niej ciemne plamy, nic więcej. Ale to wystarczyło.

Zostawił muchę i wyprostował się.

Spojrzał w kierunku Michała Bąka, na oko dwudziestokilkuletniego faceta w adidasach i sportowych spodenkach. Wcześniej, kiedy mężczyzna prowadził go na polanę, komisarz przyjrzał się tatuażom na jego łydkach i odsłoniętych ramionach. Czaszki, trumny, dziwne owady i elementy odrażającej biomechaniki. Bąk rozmawiał przez telefon, odwrócony tyłem do Grossa. Stał za daleko, by policjant mógł zrozumieć, co mówi.

Komisarz rozejrzał się dookoła. W leśnej ściółce na pierwszy rzut oka nie odnalazł żadnych

śladów traseologicznych ani plam krwi. Na skraju polany wały się śmieci: kartoniki po papierosach, puste butelki, połyskujące torebki po chipsach i opakowania po prezerwatywach. Ale, co dziwne, wokół namiotu było czysto. Gross postanowił to zapamiętać. Potem, odwróciwszy się, spojrzął na drogę biegnącą w stronę lasu i znajdującej się tam drugiej przecinki między drzewami.

– Panie władzo, czy mogę już iść? Bo jestem umówiony, dziewczyna czeka. – Bąk ruszył w kierunku namiotu.

– Artykuł dwieście trzydziesty dziewiąty, paragraf pierwszy Kodeksu karnego!

– Słucham? – Mężczyzna szedł dalej.

– Jeśli jeszcze raz wejdzie pan na tę polanę, to oskarżę pana o utrudnianie działań policji! I zamknę na czterdzieści osiem. Czy to jasne?

– Ale...

– Czy wyraziłem się jasno? – spytał Gross. – Ma pan poczekać na mnie na skraju lasu. I każdego, kto będzie chciał się tu dostać, proszę stanowczo zatrzymać. Czy się rozumiemy?

Mężczyzna kiwnął głową i odszedł.

Gross odprowadził go wzrokiem, a potem ruszył drogą, którą wyznaczała linia od wejścia do namiotu do drugiej ścieżki.

Dwa kroki dalej przystanął po raz pierwszy.

Zastanowił się, dlaczego nie zauważył tego wcześniej. Czy oślepiło go zachodzące słońce? A może miejsce było zasłonięte kępą trawy? Krążące wokół muchy sygnalizowały, że znajdzie tu coś zupełnie innego.

Kucnąwszy, pochylił się, żeby z bliska popatrzeć na sporą, nieregularną ciemnobrunatną plamę na wysuszonej słońcem trawie i spękanej, niemal spalonej ziemi. Owady z głośnym bzyczeniem zerwały się do lotu, ale prawie natychmiast wróciły w to samo miejsce. Plama mogła mieć około dwudziestu centymetrów średnicy. Dopiero z tej perspektywy Gross zauważył nieco dalej złamane źdźbła traw i jakby rozszarpany fragment mchu. Wstał i znowu się rozejrzał. Plama znajdowała się dokładnie na linii biegnącej od namiotu do schowanej między drzewami przecinki. Zarówno jedna, jak i druga dróżka, prowadząca przez las, stanowiły dla spacerowiczów dobry skrót. W ten sposób nie musieli obchodzić cypla na około i omijali głośną o tej porze roku plażę na jego wierzchołku. Polana była idealnym, zacisznym miejscem, nadającym się tak do wypicia w spokoju piwa, jak i uprawiania seksu przez spragnionych natury kochanków.

Policjant obszedł znalezisko, zachowując odpowiednią odległość i stale wpatrując się w ziemię. Nie spieszył się, szedł powoli, krok za krokiem, w stronę ściany lasu. Kiedy znalazł się już w półmroku, otoczony drzewami, oświetlił sobie drogę latarką. Zdecydował się obserwować najpierw prawą stronę ścieżki. Przyglądał się liściom niskich krzewów i korze drzew. Rozprasały go rozrzucone tu śmieci, ale przy każdym zatrzymywał się na chwilę. Niczego jednak nie znalazł. Wtedy zdecydował się na inne rozwiązanie i przyspieszył. Postanowił przejść ścieżką od drogi prowadzącej do wsi Kuchnia w kierunku polany. Tym razem skupił się na obserwowaniu drugiej strony leśnego duktu. Trzy metry dalej dostrzegł nowy ślad. Liczne drobne i niemal czarne plamki na liściach paproci.

Rozpryski.

Chwilę później spojrzął na młody klon. Szerokie liście poznaczone były zaschniętymi ciemnymi strużkami. Na ich końcach, tam, skąd krople skapywały na trawę, widniały skrzepy. Obok, na innych roślinach, odnalazł kolejne rozpryski. Im bliżej był namiotu, tym znajdował ich więcej. Zaschnięte bordowe rozmazy na ściółce między drzewami. Ślady na korze, okrągławe brunatne skapnięcia na wystających sękatych korzeniach, widoczne w blasku światła jego komórki. Wreszcie tuż przed polaną zauważył kolejną ciemną plamę, podobną do tej przy namiocie, ale mniejszą. Przy niej także kręciły się muchy.

Gross nie miał już wątpliwości. Musiał zadzwonić. Przyłożył aparat do ucha. Snop światła z latarki zatańczył w wysokiej trawie i coś czerwonego za pnem drzewa zwróciło jego uwagę.

Początkowo sądził, że to kolejny śmieć, zmięta w kulkę torebka po chipsach albo wafelku. Jednak to musiało być coś innego. Folia odbiła światło, a w tym przypadku o żadnym refleksie nie

było mowy. Przyjrzał się miejscu w wysokiej trawie za pnem drzewa.

Tym razem już wiedział, na co patrzył.

Wrócił szybkim krokiem na polanę, obszedł namiot łukiem i dotarł drugą ścieżką do Bąka. Mężczyzna siedział oparty o pień i wpatrywał się w plażę, z której mieszkańcy zabierali leżaki i duże kolorowe ręczniki. Słońce oślepiło ich, odbijając się od gładkiej tafli czarnej wody.

Gross dopiero teraz zauważył zbliżającą się od północy granatową zasłonę skłębionych chmur.

– Mogę już...? – spytał Bąk, ale Gross nie odpowiedział.

Dał mu tylko znak, by siedział na miejscu i się nie ruszał. Stanął nad samą wodą, w pobliżu sięgających mu do klatki piersiowej szuwarów. Rozejrzał się po jeziorze, ale nic nie zwróciło jego uwagi.

Dopiero teraz wybrał numer do dyżurnego. Kiedy ten odebrał, komisarz przekazał mu informację o znalezisku i kazał wezwać grupę operacyjno-procesową na plażę płątną.

– Idzie wieczór – powiedział oficer, którego Gross rozpoznał po głosie. – Rozumiem, że szykuje się dłuższa robota, więc namioty i oświetlenie z generatorami też załatwię.

– Bez tego się nie obejdzie, szczególnie że deszcz może nam pokrzyżować plany. – Gross ponownie spojrzął na niebo nad chełmyńską konkatedrą. Obawiał się, że lunie, zanim podjedzie pierwszy radiowóz. – Działaj, a ja zadzwonię do szefowej. Prokuraturę też biorę na siebie.

– Jasne, ale powiedz, masz jednego czy dwa trupy?

Gross nabrał powietrza.

– Nie.

– Więcej? – zdziwił się dyżurny.

– Nie.

W słuchawce zapadła cisza.

– Nie? No to co tam masz? – spytał wreszcie zaniepokojony policjant.

Zanim Gross odpowiedział na pytanie, przed oczami stanął mu niedawny obraz z lasu.

– Obawiam się, że doszło do zbrodni, ale nie mam ciała.

– Żartujesz?

– Mam pełno śladów krwi, które znaczą drogę od plaży w stronę pustego namiotu na polanie – odparł. – I jeszcze zakrwawione czerwone stringi.

– Stringi?

– Damska bielizna.

– Przecież wiem, co to są stringi – zachnął się dyżurny. – Jasna cholera.

– Zerknij na raporty i sprawdź, czy nie zgłoszono nam ostatnio zaginięcia.

– Kiedy?

– A jaki dziś mamy dzień?

– Poniedziałek.

– To cofnij się do piątku – poprosił Gross.

– Poczekaj chwilę.

Komisarz w tym czasie rozglądał się dalej. Obszedł cypel i dotarł mniej więcej w to miejsce, gdzie znajdowała się druga ścieżka prowadząca do polany. Tam również przyjrzał się tafli wody. Gdyby nie marszczyły jej powiezy wiatru z północy, byłaby gładka i błyszcząca jak czarny marmur nagrobka.

– Nic nie ma. – Gross usłyszał w słuchawce.

– Żadnych zaginięć kobiet? – upewnił się.

– Do tej pory nie.

– Ani u nas, ani w okolicy?

– Zero.

– Rozumiem, ale bądź czujny, dobrze? Ta noc może się okazać decydująca.

– Jasne. Coś jeszcze?

– Nie – powiedział komisarz. Szybko się jednak poprawił: – Tak! Kiedy ostatni raz padało?

– Poczekaj, rzucę okiem na komunikaty z kryzysowego.

Komisarz bezwiednie dłużył butem w wydeptanej ścieżce.

– W sobotę rano. – Usłyszał i podziękował.

Fakt. Obudziły go wtedy dalekie odgłosy burzy, ciche jak pomrukiwanie lwa, i zapamiętał krople deszczu rzucone na okno przez porywisty wiatr. Część z nich spływała szybko po szybie, a reszta osiadła na niej i drgała, niczym chmara wystraszonych owadów.

Wrócił do Bąka, który wyglądał nie tyle na przejętego, ile na znudzonego.

– Muszę już iść – oświadczył wytatuowany mężczyzna, oganiając się od komarów.

– Jeszcze chwila. Spiszemy zeznania.

– Zeznania? – przestraszył się. – Przecież ja nic...

– Wiem – przerwał mu Gross. – Ale to nie potrwa długo.

– Cholera, mogłem nic nie mówić.

– Problem w tym, że już pan to zrobił. I bardzo dobrze. Być może dzięki panu uda się naprawić jakiś fragment tego świata – rzucił Gross i odszedł w kierunku plaży.

Buty zapadały mu się w piasku, gdy zmierzał w stronę gładkiego brzegu, obmywanego z wolna łagodnymi falami. Był to mały kawałek lądu wysunięty najdalej w stronę przeciwległego brzegu jeziora.

Gross rozejrzał się, szukając czegoś charakterystycznego, pobliskich zabudowań, wysokich nadbrzeżnych krzewów, krótko mówiąc: jakiegokolwiek miejsca, do którego można by było przybić łódką i dobrze się ukryć.

Czy właśnie tą drogą uciekł sprawca? Czy wrzucił dociążone czymś ciało na dno akwenu?

Nawet nie wiedział, kiedy jego wzrok przyciągnęła znajdująca się na drugim brzegu nieruchoma postać. Sylwetka mężczyzny na tle płonących światłem zachodzącego słońca pół, które łagodnym łukiem opadały ku tafli czarnej wody. Stał samotnie, z rękoma w kieszeniach, niczym lustrzane odbicie Grossa.

Wyteżywszy wzrok, z tej odległości i przy gęstniejącym mroku, komisarz niewiele więcej mógł zobaczyć.

Po chwili człowiek oddalił się od brzegu i skierował na nieduże wzniesienie. Zanim zniknął za polem zboża, Gross usłyszał policyjną syrenę. Odwrócił się i ruszył w kierunku radiowozu. Wyjął komórkę i połączył się z młodszą inspektorką Lucyną Wojtasik, komendantką komisariatu chełmyńskiej policji.

– Co się stało, Bernardzie? – odezwała się spokojnym, nieco zaspanym głosem.

W tle słyszał poszum morza albo wiatru.

– Obawiam się, że doszło do zabójstwa.

– Gdzie?

– Na płatnej.

– Kto jest ofiarą?

– Nie wiem – stwierdził.

– Rozumiem, że nie wiesz, ale pytałam o płeć.

– Przypuszczam, że kobieta.

– Chryste, aż tak źle?

– Nie – odezwał się szybko, rozumiejąc, co szefowa miała na myśli. – Po prostu chodzi o to, że nie ma ciała. Sądzę, że to kobieta. Mamy zakrwawioną koronkową czerwoną bieliznę i pełno śladów krwi. Dam znać, gdy będę wiedział więcej. Na razie dzwonię po prokuratora.

– O Jezu – wyszeptała. – Jestem w Kołobrzegu. Mamy okrągłą rocznicę...

– Nie widzę powodu, żebyś się stamtąd zbierała. – Gross nie pozwolił jej dokończyć. – Zabezpieczymy miejsce zdarzenia, a na wnioski przyjdzie jeszcze czas. Odezwę się rano.

– Dobrze, ale gdyby jednak się coś zmieniło, gdybyście znaleźli ciało...

– Zadzwoń – uciął komisarz. – Będiesz wiedziała pierwsza.

– Dziękuję, Bernardzie. – Kobieta się rozłączyła.

dzień drugi

Po piątej nad ranem pogasły rozstawione na polanie i ścieżce reflektory halogenowe. Gross usłyszał ostatni trzask ściąganych lateksowych rękawiczek. Chwilę później Marian Chęciński, nieco zgarbiony, ale słusznej postury facet, wrzucił je do wypchanego worka na śmieci. Tego samego, do którego wkładał wszystkie poprzednie pary, zużyte podczas zabezpieczania śladów. Technik kryminalistyki zabrał się teraz do zdejmowania białej odzieży ochronnej. Jarek Bloch, jego współpracownik z Komendy Miejskiej Policji w Toruniu, zrobił to samo.

Gross spojrział w stronę drewnianych ław i stołów ustawionych na trawie przy plaży, gdzie prokurator Artur Legner, młody karierowicz, podpisywał protokół z oględzin miejsca zdarzenia. Grubasek otrzepał ręce i sięgnął po kawę, którą przywiózł sobie z orlenu. Zabrał kubek i ruszył w kierunku policjanta, cierpliwie czekającego, aż technicy zabezpieczą ślady.

– No, co jest, panowie? Nie mam tyle czasu, żeby sterczeć tu godzinami – rzucił. – Konkrety! Tylko konkrety! Żadnego mi tam bajdurzenia.

Gross dopiero teraz zwrócił uwagę, że prokurator jest w pomarańczowych adidasach i obszernych szarych dresowych spodniach zakończonych ściągaczami, które odsłaniały gołe, niemal białe kostki.

Chęciński otarł pot z czoła, na którym odbił się ślad kaptura bluzy ochronnej. Wyglądało to jak długa, pozioma szrama opadająca przy skroniach.

– No! Panowie, do kurwy nędzy, noc stygnie!

– Dzień już prawie – odparł Chęciński i dostrzegł, jak Bloch się odwraca, żeby ukryć śmiech. – Prawda jest taka, że na razie nie wiemy nic więcej. Zabezpieczyliśmy ślady brunatnej substancji na ścieżce i liściach, do tego jedną sztukę odzieży damskiej.

– Niech pan nie pieprzy komunałów – zganił go Legner, wolną ręką podciągając spodnie. – Macie przecież testy krwi.

– Testery...

– Wynik! – ponaglił go Legner.

– To krew ludzka. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

– Tak poszło w protokole? – zapytał śledczy.

– Poza protokołem. W protokole jest wynik z hemofanau, który potwierdza tylko, że to krew, bez rozróżnienia jednak na zwierzęcą czy ludzką.

– No to co mi pan tu pier...

– Ale – przerwał prokuratorowi Chęciński – poza protokołem zrobiliśmy test FOB, który wykazał, że mamy do czynienia z krwią ludzką.

– No i dobrze, i świetnie. Co jeszcze?

– Niewielkie milimetrowe ślady krwi przenoszone przez muchy na odnóżach lub ekskrementy ze śladami krwi na ścianach i podłodze namiotu.

– Doskonale. Co jeszcze w namiocie?

– Pojedyncze długie jasne włosy. I jeszcze kilka nieregularnych małych plam na podłodze – dodał Chęciński.

- Czyli? – Legner ponaglił go gestem.
- Lampa UV nie pozostawia złudzeń. To nasienie.
- Skąd pan to wie?

Chęciński wstrzymał powietrze i popatrzył najpierw na Blocha, potem na Grossa. Ten ostatni widział, jak technik przygryza policzek, jak napinają się mięśnie na jego twarzy. W końcu Marian spojrzął na prokuratora.

– Bo się, kurwa, na tym znam – stwierdził.

– Dobra już, dobra. – Zawstydzony prokurator skinął głową i milczał przez dłuższą chwilę. Dopiero potem zwrócił się do Grossa: – Panie Gross?

Policjant wpatrywał się w ścianę lasu.

– Gross, do cholery, potrzebuje pan porannego kopa? Może kawki panu zaparzyć? – zarechotał Legner.

– Po pierwsze, komisarzu Gross. Po drugie, nie pijam kawy – odpowiedział spokojnie policjant i przeszedł do sedna. – Niewykluczone, że mamy do czynienia z gwałtem i brutalnym zabójstwem.

– Pańskim zdaniem, komisarzu. Wyłącznie pańskim zdaniem. – Legnera ponosiła złość. – Ale przyjmijmy na chwilę ten tok rozumowania. Gnoj zaprosił dziewczynę pod namiot, zerznął, a potem jeb ją raz i dwa w łeb, tak? Pizgnął ją na tej ścieżce, bo może laska zaczęła uciekać, drzeć się. Więc ją uciszył. Tak to wyglądało? Tak to widzicie? – Rozejrzał się po zebranych prokurator. – Lubicie, panowie, takie bajeczki, co?

Chęciński spojrzął na niskiego mężczyznę z góry. Gross dostrzegł w jego wzroku odrazę.

– No to ja wam coś teraz powiem. W dupę sobie je wsadźcie, bo chuja macie, panowie. Chuja! Ani ciała, ani narzędzia zbrodni, ani sprawcy – wyliczał na palcach prokurator.

Chęciński nic nie powiedział, a Jarek Bloch odszedł nieco dalej i palił w spokoju papierosa, przyglądając się czubkom sosen, które muskane pierwszymi promieniami słońca, wyglądały niczym zapalone na wietrze zapałki.

Jeszcze kilka godzin temu Gross snuł podobne przypuszczenia, jak śledczy z Prokuratury Rejonowej Toruń-Wschód. Kiedy jednak odnalazł ślady krwi na liściach krzewów przy ścieżce, był przekonany, że przebieg wydarzeń mógł wyglądać nieco inaczej.

– A co, jeśli było odwrotnie? – powiedział i spojrzął na prokuratora.

– Czyli jak? – Legner sapnął i upił łyk kawy.

Jego cień w porannym słońcu był długi i szeroki, koślawił się na nierównościach piasku, po czym zniknął gdzieś dalej w wysokiej, przybrzeżnej trawie.

Cały cypel odcięto od osób postronnych. Lekkie powiewy huštały policyjną taśmą, przy której jeden z funkcjonariuszy wyjaśniał coś mężczyźnie z zarzuconym na plecy pokrowcem na wędki.

Stali na pustej plaży we czwórkę. Pozostali policjanci krzatali się przy składaniu sprzętu i pakowaniu go do policyjnego ducato. Kijanka techników kryminalistyki wciąż pozostawała w półcieniu pod lasem.

– Rzecz w tym, że szedł za nią w stronę polany. Weszli tamtędy, czyli od ścieżki do wsi. – Gross wskazał brodą na prawo. – A w sprawach plam i rozprysków krwi wypowie się biegły, ale moim zdaniem tak to właśnie wyglądało.

– Wypowie się biegły, tak? Otóż nie jest pan żółtodziobem, żeby wiedzieć, że biegły zrobi to, jeśli dobrze pójdzie, za trzy miesiące, a do tego skasuje ze trzy pańskie pensje. A my przez ten czas przed opinią publiczną będziemy stali ze spuszczoneymi gaciami. I powiem to jasno: nie mamy tyle czasu, drogi panie Gross. – Legner pokręcił głową.

– Komisarzu Gross – zwrócił mu ponownie uwagę policjant. Nie zamierzał dać się sprowokować. – W pewnej chwili uderzył ją jakimś tępym narzędziem w głowę. Potem raz jeszcze, kiedy w szoku uciekła między drzewa. Tam znajdujemy pierwszą większą plamę i ścieki na liściach klonu.

– No i co dalej? Niechże pan przejdzie do sedna, komisarzu. – Legner wyglądał na wyczerpanego, patrzył na Grossa podkrążonymi oczami.

Dopiero teraz policjant zauważył krwawą pajęczynę oplatającą białka jego oczu.

– Zabrał ją stamtąd i zostawił przy namiocie.

– I tam ją zerznął? – zapytał prokurator. – Przecież ślady spermy są w namiocie, do cholery.

– Ale karimata najpierw musiała leżeć na zewnątrz, to pewne. Przyczepiły się do niej trawy i grudki ziemi, które zabezpieczyliśmy – wyjaśnił Chęciński.

– A krew też na niej jest? – Legner odwrócił się do niego.

– Nie, ale to jeszcze nie przeczy tej teorii. Mogli ją wyjąć później. A może kobieta krwawiła bezpośrednio na ściółkę... – bronił się technik.

– E tam. Kurwa, mocno to naciągane. I żadnej kropelki krwi by nie było? Nic? Po uderzeniach młotkiem? – zakpił prokurator. – Chyba sam pan w to nie wierzy.

Gross musiał przyznać mu rację. Coś się tu nie zgadzało. Być może wcale nie doszło do gwałtu. A jeśli najpierw uprawiali seks w namiocie, a do zabójstwa doszło później?

– Na podłodze są same rozmazy – dodał komisarz, nie zdradzając tego, o czym przed chwilą pomyślał.

– Wycierał je? – Legner spojrzał na Grossa, a ten na Chęcińskiego.

– Tak to wygląda. Koliste i proste ruchy z lewej na prawą – potwierdził technik.

– No i mamy jeszcze te majtki – przypomniał komisarz.

– Właśnie! – powiedział Legner, celując palcem w Grossa. – Jeszcze te cholerne majtki. Są na nich włosy łonowe?

– Nie patrzyliśmy – stwierdził Chęciński.

– No to dawaj je pan tu, obejrzymy razem i jeszcze sprawdzimy, czy są na nich plamy nasienia.

Dawaj pan tą lampę.

Chęciński się nie ruszył.

– Tę lampę – poprawił go, ale Legner nawet nie zareagował. – Bielizna została zabezpieczona w pakiecie papierowym i opisana procesowo. W takim stanie ma trafić do biegłego.

– Bo co? – warknął śledczy.

– Bo, kurwa, ja tak mówię i ja za to odpowiadam. Niech mi się pan nie wpierdala w moje poletko. A jeśli tylko pan spróbuje, to zrobię odpowiednią notatkę, drogi panie prokuratorze.

Legner machnął ręką.

– Przewrażliwione pipy jesteście i tyle. Ale dobra, wrzucicie te gacie do laboratorium, niech oni tam się nad nimi pochylą i wyłuskają co nieco. Może chociaż tu znajdziemy jakiś punkt zaczepienia, śluz z pochwy albo jakiś włossek. No chyba że kobitka goliła cipkę, nie? – Uśmiechnął się, ale ponieważ ten tekst nikogo prócz niego nie rozbawił, prokurator szybko zmienił ton. – No i koniecznie niech pan sprawdzi ten harcerski ślad, komisarzu. – Legner ponownie skierował wzrok na Grossa.

Prokurator nawiązał w ten sposób do srebrnej przypinki w kształcie lilijki, symbolu organizacji harcerskich, którą znaleziono wdeptaną w ziemię w pobliżu namiotu. Przedmiot pobudził Grossa do myślenia, bo przypomniał mu lipcowe wydarzenia i to, co się stało na obozie harcerskim w pobliskim Zalesiu, tuż po nawałnicy.

– A teraz panowie – Legner podniósł kubek jakby w toaście – ja spierdalam i czekam na wasze ustalenia.

Odszedł kilka kroków, po czym odwrócił się i kluczykiem od samochodu wskazał na Grossa.

– Panie komisarzu, jest pan w dupie i szczerze panu współczuję. – Uśmiechnął się. – Ale zna pan procedury, więc nie muszę mówić, ile ma pan czasu. Przypomnę tylko, że ja – postukał się energicznie pięścią w klatkę piersiową – ja, kurwa, potrzebuję konkretów! Inaczej może pan sobie z tych wszystkich śladów zrobić laurkę na zakończenie służby.

Gross odprowadził prokuratora wzrokiem do granatowej mazdy zaparkowanej na trawie w pobliżu solidnych drewnianych ław i stołów piknikowych. Usłyszał szum zapuszczanego silnika i zgrzyt wrzucanego biegu. Wycofawszy pojazd, Legner wjechał na wąską drogę wyłożoną szlaką, a funkcjonariusz pilnujący terenu uniósł policyjną taśmę, żeby wóz mógł pod nią przejechać. Koła zazgrzytały i już po chwili SUV zniknął za gęstą ścianą drzew rosnących przy brzegu jeziora.

Z każdą chwilą cichły też chrzęst opon i szum silnika. Gross oddychał powietrzem przesyconym smrodem samochodowych spalin. Bloch zapalił kolejnego papierosa, po czym dołączył do kolegów.

Cisza nad jeziorem była dojmująca.

– Na działkę zajebiste miejsce, nie? – odezwał się Bloch.

Gross wsunął ręce w kieszenie.

– Ja pierdołę, naprawdę tu pięknie – dodał technik, zatrzymując wzrok na drugim brzegu jeziora. Zaciągnął się raz, a potem drugi, po czym wolno wydmuchał siwy kłęb dymu. – Bernard, znasz tu kogoś, kto sprzedaje działki?



Dwie godziny później Gross został sam na miejscu zdarzenia. Słońce wzeszło wyżej i z bezchmurnego, niemal białego nieba spłynął żar.

Na polanie po namiocie pozostał jedynie kwadrat lekko przegniłej i ubitej trawy, co oznaczało, że namiot stał tu co najmniej dwa dni. Obok, w rozkopanej glebie, gdzie wcześniej znajdowała się plama krwi, wiły się białe korzonki traw. Wyglądały jak wygłodniałe larwy much szukające padliny.

Przypomniał sobie wszystkie miejsca odnalezienia śladów, a także przedmiotów: stringów i przypinki. Próbował z tych danych ustalić przebieg wypadków, rozważał wiele możliwości, ale każda z nich wydawała mu się obciążona wadą, wyłomem w logicznym rozumowaniu, jak zerwane ogniwo w ciągu przyczynowo-skutkowym. W którymś momencie coś na wirtualnej osi czasu tego tragicznego zdarzenia po prostu wykoślawiało obraz całości.

Gross obawiał się, że musieli przeoczyć jakiś szczegół. Że nie było tak, jak się im wydawało na pierwszy rzut oka.

Przeczესali lasek w poszukiwaniu młotka lub tłuczka do mięsa, więc teraz pozostało jeszcze sprawdzić dno jeziora. Nie wiązał z tym jednak żadnej nadziei.

Wrócił na plażę, na której koce rozkładały babcie z wnukami i rodzice z dziećmi. Przychodzili tu spacerkiem ze wszystkich chełmyńskich osiedli, ale najbliżej, bo nieco ponad kilometr, mieli ci z Maja. Gross patrzył, jak rudowłosa kilkulatek tapla się w płytkim w tym miejscu jeziorze. Podrygiwał kilka metrów od brzegu, a woda sięgała mu ledwie po kolana.

– Tylko nie idź dalej, kochanie, tam jest już bardzo głęboko, słyszysz? – zwróciła się do niego tęgawa kobieta w jednoczęściowym stroju kąpielowym.

Chłopiec pokiwał głową i odkrzyknął coś niezrozumiale.

Gross wiedział, że na plaży pławnej w pobliżu cypla jest płytko. Strome urwisko wraz z głębiną znajdowało się dobrych kilka metrów od brzegu, o czym informowały znaki na słupach po obu stronach niewielkiego półwyspu.

Jeszcze w nocy ustalił z dyżurnym, żeby ten zgłosił zapotrzebowanie w komendzie wojewódzkiej na nurków, którzy mieli zbadać dno zbiornika. Wątpił, aby znaleźli tam narzędzie zbrodni. Szczerze mówiąc, nie wierzył też w to, by zabójca próbował utopić ciało kobiety. Cypel był na widoku, co znacznie utrudniałoby pozbycie się zwłok. Latem nocą można było trafić na kąpiące się lub uprawiające seks na plaży pary. Nie brakowało eksperymentującej z alkoholem i używkami młodzieży, dla której miejsca takie jak to zapewniały niekiedy jedyną możliwość letnich rozrywek z dala od ciasnych mieszkań i rodziców oglądających telewizor za zamkniętymi drzwiami. Tak czy siak, wiedział, że sprawdzenie akwenu jest konieczne.

Przed kilkoma minutami oficer dyżurny z komendy w Toruniu oddzwonił do Grossa i poinformował go, że nurkowie są stale zajęci.

– Sam wiesz, lato – usprawiedliwiał się. – Taki czas, że nic nie zrobisz. Ale gdy tylko skończą robotę w Grudziądzu, przyjadą do Chełmży.

Komisarz podziękował i zadzwonił do Moniki Skalskiej, aspirantki sztabowej, z którą współpracował.

– Co jest? – odebrała.

Przywitawszy się, Gross zrelacjonował jej wydarzenia z nocy, po czym zawiesił na chwilę głos.

– Chcesz powiedzieć, że mamy do czynienia z zabójstwem, ale nie mamy ciała? – spytała Skalska.

– Na to wygląda.

– To żart?

– Czy bywam skłonny do żartów? – Czuł, jak zmęczenie i głód, a co za tym idzie także nieznośne zniecierpliwienie, siedzą tuż pod skórą i go drażnią.

– Do tej pory nie mieliśmy takiego przypadku.

– Kiedyś musiał być ten pierwszy raz. Dlatego chciałbym, żebyś tu wpadła, a potem towarzyszyła nurkom – poprosił.

– Serio? – powiedziała znużonym głosem. – Muszą mieć niańkę?

– Nie, nie muszą, ale przy okazji pokazałbym ci teren i wysłuchał twojej wersji.

– Dlaczego?

– Bo mam wrażenie, że wszystkie moje przypuszczenia są obarczone błędem.

– Czyli że jest coś jeszcze, prawda? Coś, co...

Gross westchnął.

– Tak – przyznał. – Chodzi o przypinkę harcerską.

– Czeka, czeka.

Komisarz ponownie popatrzył na drugi brzeg i dostrzegł tam mężczyznę. Zdziwiło go to. Odruchowo podniósł rękę, jakby na powitanie, ale człowiek znajdujący się naprzeciwko niego nawet nie drgnął. Dzieliło ich spokojne jezioro.

– Bernardzie, jesteś tam?

– Tak – potwierdził. Zastanawiał się, co zrobi mężczyzna, ale ten się nie ruszał. Po prostu stał i patrzył w jego stronę. – Znaleźliśmy tu przypinkę harcerską. Możliwe, że należy do ofiary lub mordercy.

– I połączyłeś to ze sprawą z lipca? Z obozem w Zalesiu?

– Nie tyle połączyłem, ile raczej nie wykluczyłem.

Tym razem cisza zapadła po drugiej stronie słuchawki.

– Okej, zaraz będę – rzuciła Skalska.

Gross nie schował aparatu. Zamierzał zrobić zdjęcie człowiekowi na drugim brzegu, ale kiedy tylko skierował na niego telefon, mężczyzna odwrócił się i odszedł. Sprzęt długo łapał ostrość. Po kilku sekundach wyświetliło się gotowe zdjęcie.

Człowiek na fotografii był rozmazaną plamką złożoną z kilku kolorów na tle złotego pola i wiszącego nad nim rozpalonego, białego nieba.



Monika Skalska wyszła z domu przy Depczyńskiego tuż po dziewiątej. Lubiła upały, dokładnie ten moment, kiedy czuła, jak żar rozgrzewa jej ramiona. Włożyła bojówkowe szorty i luźny T-shirt z tą słynną okładką płyty Nirvany, na której bobas wrzucony do basenu zauważa dolara.

Na głowie miała bejsbolówkę, a na nosie lustrzanki. Długie czarne włosy związała jak zawsze

w koński ogon. Jej białe superstary zostawiały odcisk w miękkim asfalcie, kiedy szła w stronę płatnej plaży. Nieraz jej krokom towarzyszyły pogwizdywania chłopaków. Śmiała się z tego razem z Grzegorzem Otrembą, jeszcze zanim ten odebrał sobie życie strzałem w skroń na placu za komisariatem. Od tych zdarzeń minęło niemal pięć miesięcy, a Skalska czuła się tak, jakby się to stało dziś. Grzegorz zdradzał żonę, a Skalka chyba była cholerną egoistką, skoro wcale jej to nie przeszkadzało. Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Nie chodziła już na jego grób, bo wdowa po Otrembie kilkakrotnie na nią nawrzeszczała, wyzwala przy obcych ludziach od kurew, dziwek i suk. Skalska mogłaby jej to wybaczyć, ale dowiedziała się później, że to Ewelina pierwsza zdradziła Grzegorza z osiłkiem z bloków z Frelicha. Tym samym, który parę razy próbował zastraszyć Skalkę. Nie wiedział jednak, z kim ma do czynienia. Nie zadziera się z policjantką.

– Na płatnej sporo psów – powiedział mężczyzna w samych szortach i kroksach, który wracał z dziećmi żużlową drogą między brzegiem jeziora a zalesioną skarpią.

– Raczej policji – stwierdziła i pomaszzerowała dalej.

– Psy to psy – mruknął spacerowicz, zły, że dziewczyna nie zwróciła na niego uwagi.

Po prawej, tuż nad brzegiem, mijała pary, które organizowały sobie pikniki przy stołach. Podpływały tu rowerami wodnymi, a czasami przychodziły piechotą, tą samą drogą co ona.

Kiedy dotarła na cypel, nigdzie nie widziała Grossa. Sięgnęła po komórkę.

– Gdzie jesteś? – spytała, kiedy komisarz odebrał.

– Na polanie pośrodku cypla. Wejdz w las.

Odnalazła ścieżkę, a na niej zadumanego Grossa, przyglądającego się ściółce w miejscu, w którym prawdopodobnie stał namiot, teraz zapewne pocięty i zabrany przez techników do dalszych badań nad śladami biologicznymi.

– Jestem – powiedziała, żeby zwrócić jego uwagę.

Gross nie podniósł głowy, tylko wskazał ręką na dziurę w ziemi nieopodal.

– Tam była największa plama krwi, a tu stał namiot, wyjściem skierowany ku ścieżce na wschód. – Zarysował ręką niewielkie pole. – Nieco dalej odnaleźliśmy harcerską przypinkę. Pozostałe ślady krwi znajdowały się właśnie tam. – Tym razem wskazał na wąską dróżkę znikającą w lesie.

Stali tak, wystawieni na niemal parzące promienie słońca, osłonięci lasem od jakiegokolwiek podmuchu wiatru, który zapewniłby im chociaż chwilową ulgę.

Ściągnawszy czapkę, Skalska przetarła wilgotne czoło.

Gross dał jej znak, by poszła za nim. Udali się ścieżką w stronę jeziora, komisarz wskazywał miejsca odnalezienia pozostałych śladów. Niczego nie sugerował, czuła się tak, jakby Gross czytał jej na głos protokół z oględzin miejsca zdarzenia. Zdawał suchą, bezosobową relację, przedstawiał pozbawione interpretacji fakty. Kiedy wreszcie skończył, podszedł do brzegu, kucnął i kilkakrotnie zamoczył rękę w jeziorze, po czym przetarł głowę i twarz oraz zmęczony, napięty kark.

– Od dawna tu jesteś? – spytała.

Gross milczał, co tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że spędził tutaj najpierw wieczór, a potem noc z technikami.

Przeszli na wypełnioną już miłośnikami kąpieli płatną plażę, znajdującą się na samym czubie cypla. Panował gwar. Mimo to stanęli na uboczu i wpatrywali się w gładką taflę, na której kładły się miękko promienie słońca. W oddali widzieli rower wodny. Oboje mrużyli oczy, choć dzięki okularom przeciwsłonecznym po Skalskiej nie było tego widać.

W pewnej chwili Gross wskazał brodą na przeciwny brzeg.

– Tam jest ta wioska na S?

– Strużal. Tak, chyba tam się zaczyna teren gminy – odparła. – Czemu pytasz?

Za sobą mieli plażowiczów, w wodzie kąpało się kilkoro dzieci. Hałasowały nieznośnie.

– Wczoraj wieczorem i dziś rano stał tam człowiek, który przyglądał się temu, co robiliśmy.

– Dziwi cię to?

– Nie powiedziałem, że mnie dziwi, tylko że się przyglądał.

– Oni zawsze się przyglądają – westchnęła. – Gapią się. Tak samo jak my gapimy się na rozbite

wraki na drodze, kiedy koło nich przejeżdżamy, no nie? Też tak robisz?

Może miała rację.

– Każdy tak robi. Nawet my, gliniarze. – Po chwili dodała: – To chore, nie?

– Co takiego?

– Że zawsze chcemy zobaczyć coś szokującego, tylko po to, by odwrócić wzrok. By za żadne skarby już dłużej na to nie patrzeć.

– A on stał tam i właśnie patrzył – rzucił Gross.

– Było w nim cokolwiek charakterystycznego?

– Nie zauważyłem.

– To czemu zaprzątasz sobie tym głowę?

– Bo nie mamy ani ciała, ani sprawcy.

– I uważasz, że ten facet mógł coś widzieć?

Komisarz pokiwał głową.

– A zawołałeś go?

Gross sięgnął po komórkę i wyświetlił galerię zdjęć, po czym odwrócił ekran w stronę Skalskiej.

Wzięła aparat i osłoniła go przed słońcem, żeby cokolwiek dostrzec na małym ekranie.

– I to mnie właśnie dziwi – dodał komisarz. – Kiedy próbowałem zrobić mu zdjęcie, odwrócił się i odszedł.

Skałka oddała mu telefon.

– Kto z prokuratorów prowadzi sprawę? – Zmieniła temat.

– Legner.

– Chryste, nie mogliśmy lepiej trafić. – Skrzywiła się. – I co powiedział?

– Krótko mówiąc, chce konkretów. – Komisarz cały czas obserwował przeciwległy brzeg. – A co ty mi powiesz?

Dostrzegła zmęczenie na jego twarzy. Zmarszczki wokół oczu i fałdy skóry poniżej dolnych powiek wydawały się jakby zarysowane grubszą kreską. Nie ogolił się, nie odświeżył.

– Chodź, wrócimy do firmy i tam pogadamy – zaproponowała.



Na obłożonych drewnem schodach w komisariacie przy Sądowej, położonym w pobliżu linii brzegowej, Gross natknął się na podkomisarza Brandola, który choć niższy stopniem, pełnił funkcję kierownika wydziału kryminalnego. Wychudzony policjant, nazywany Mumią, odezwał się pierwszy.

– Wejść do mnie, wróć za chwilę – polecił.

Gross skinął głową.

Przyszedł do komisariatu sam, bo Skalska zatrzymała się w sklepie po drugie śniadanie. Komisarz powiedział, że będzie czekał u siebie. Chciał najpierw usiąść przy biurku i sprawdzić pocztę, a przede wszystkim raporty o zaginionych w ostatnich dniach kobietach z kujawsko-pomorskiego.

Wszedł do swojego gabinetu i wziął czajnik, z którym poszedł do pokoju socjalnego, żeby nalać świeżej wody. Potem nastawił go i wsłuchał się w jego narastający szum. Uchylił okno wychodzące na Sądową, skąd dobiegały go odgłos pracującego silnika i trzaskanie samochodowych drzwi. Zasunął żaluzje, żeby promienie słońca nie odbijały się od monitora.

Włączył komputer i usiadł w fotelu obrotowym. Z szuflady wyjął dokumenty dotyczące dwóch rozbojów, które musiał dziś uzupełnić i przesłać do prokuratury. Ale to mogło jeszcze poczekać.

Zalogował się do Krajowego Systemu Informacji Policji i przeszukiwał zbiory danych osób

zaginionych, interesowały go głównie te najświeższe. Od dyżurnego dowiedział się, że ani w nocy, ani nad ranem nikt w Chełmży nie zgłosił zaginięcia żony, siostry, matki czy córki. Ale wciąż było jeszcze wcześnie. Poza tym trwały wakacje, wyjazdy i urlopy. Gdyby poznał tożsamość ofiary, jego robota nabrałaby rozpędu. Na razie pozostawało mu do rozwiązania równanie z dwiema niewiadomymi. Przynajmniej do czasu wyizolowania DNA z zabezpieczonych na cyplu śladów biologicznych. Wiedział, że nie nastąpi to szybko. Musiałby mieć szczęście, żeby trafić na kogoś, kto już wcześniej podpadł policji i czyj profil genetyczny został oznaczony w bazie. „To jak trafić w totalotka”, pomyślał.

Zagotowała się woda, więc Gross zalał sobie herbatę. W tej chwili weszła Skalska, okulary przeciwsłoneczne tkwiły nad daszkiem bejsbolówki. Podała mu drożdżówkę. Podziękował i odłożył ją na biurko.

– Chcesz herbaty? – spytał, ale kiedy się zorientował, że starsza aspirantka trzyma w ręku kolorowy napój dla sportowców, machnął tylko ręką.

– Słyszałeś? Podobno Mumia dostanie trzecią gwiazdkę. – Usadowiła się za stołem do odpraw.

Gross stężał na moment.

– Skąd wiesz?

– Jojczyk mi mówiła. A! I podobno ma do ciebie jakąś sprawę.

– Wiem, minąłem się z nim na schodach.

– Ona! Mówię, że ona ma do ciebie jakąś sprawę.

– Ona? A powiedziała, co konkretnie?

Skalka ugryzła drożdżówkę.

– Nie mam bladego pojęcia – wymamrotała z pełnymi ustami.

Kruszonka rozsypała się po blacie. Policjantka szybko pozbierała okruchy i włożyła je do ust.

Komisarz zabrał herbatę i usiadł naprzeciwko Skalskiej.

Oparł łokcie na blacie, splótł dłonie i podparł podbródek.

– A teraz mów, jak to widzisz.



Kwadrans później Gross wszedł do gabinetu Brandola, szefa kryminalnych, z którym sąsiadował przez ścianę.

Brandol siedział za biurkiem, osunięty w wysokim i wygodnym fotelu, w którym wyglądał jak wychudzone dziecko. Na udach postawił sobie otwartą teczkę, która grzbietem opierała się o blat.

– O! Jesteś wreszcie. – Dał znak, żeby Gross zamknął za sobą drzwi.

Komisarz nie wiedział, czy zabrzmiało to jak przygana za zbyt późne stawienie się u szefa. Postanowił poczekać. Brandol często mówił, co mu leży na wątrobie, ale w obecności Grossa, policjanta wyższego stopniem, a do tego utalentowanego śledczego, starał się zachowywać rezerwę.

Spełniwszy jego prośbę, komisarz stanął przy stole.

– Usiądź, proszę. – Brandol wciąż nie zmienił pozycji, jakby nie miał siły się podnieść.

– Słyszałem o awansie – rzucił Gross.

Mumia machnął chudą jak patyk ręką.

– Nie oszukujmy się. To awans przed pożegnaniem.

– Nie rozumiem.

– Odchodzę. Dlatego porządkuję stare sprawy – stwierdził, wpatrując się w teczkę. – Masz zająć moje miejsce.

Gross się skrzywił, chociaż starał się nie okazywać emocji przy szefie. Na szczęście ten wcale

na niego nie patrzył.

Nigdy nie pałali do siebie sympatią, ale nie było też tak, żeby się nienawidzili. Po prostu trudno im było nawiązać dobre relacje, jak psom, z których każdy skwapliwie obsikiwał własne podwórko.

– Nie cieszysz się? – spytał Mumia.

– Dlaczego odchodzisz? Mógłbyś jeszcze popracować. – Gross natychmiast pożałował swoich słów. Po co to powiedział? Nie znał ani Brandola, ani powodów jego decyzji. Właściwie w ogóle go to nie obchodziło.

Mumia podniósł na niego wzrok. Niemal od razu komisarz zdał sobie sprawę, że linia włosów kolegi coraz szybciej ucieka ku czubkowi głowy i odsłania skórę czaszki pokrytą plamami wątrobowymi.

– Nie udźwignę wszystkiego. – Podkomisarz złożył teczkę i poprawił się na krześle. – Wkrótce zacznę chemioterapię.

Gross przygryzł wargę.

– Nie wiedziałem. – Komisarz nie chciał powiedzieć niczego więcej, nie czuł się na siłach zapewniać Mumii, że wszystko będzie dobrze.

– Ja do niedawna też nie. – Brandol ponownie wskazał ręką na miejsce przy stole konferencyjnym ustawionym prostopadle do jego biurka.

Tym razem Gross nie odmówił. Usiadł, wyprostował plecy i złożył ręce na udach.

Przez chwilę Brandol uważnie przyglądał się komisarzowi.

– Jesteś człowiekiem sukcesu, prawda? – Przełożony się uśmiechnął.

Gross przełknął ślinę i zaczął wyłamywać sobie palce, co wywołało falę bólu w dłoniach. Czuł się dzieckiem porażki i wnukiem niedoli. Przynajmniej w życiu prywatnym.

– Oczywiście, mówię o pracy zawodowej – zreflektował się Brandol, jakby czytał komisarzowi w myślach.

– O co ci chodzi? – warknął Gross. – Po co to wszystko?

– Nie złość się, nie mam złych zamiarów. – Twarz Brandola wykrzywił krótkotrwały grymas. Mężczyzna wstrzymał oddech, po czym odezwał się ponownie: – Wbrew temu, co o mnie sądzisz...

– Nic nie sądzę – wszedł mu w słowo Gross.

– ...to jednak przez całe moje życie starałem się być dobrym funkcjonariuszem. Sumiennym – podkreślił. – Ale przyznaję, że czasami brakowało mi wiedzy albo większego zaparcia w dotarciu do prawdy. Brakowało mi pewnie tej iskry, którą ty masz w sobie. To tak jak z lekarzami, nie? Jest wielu dobrych, ale tylko nieliczni mają wiedzę i zmysł. Rodzaj intuicji, dzięki której bezbłędnie diagnozują nawet najcięższe przypadki.

Gross obserwował Brandola, który ponownie otworzył teczkę. Podkomisarz siedział pochylony nad papierami i wodził po nich wzrokiem. Dłonie miał schowane pod biurkiem. Gross dopiero teraz dostrzegł częściowo wypełnione kartony, stojące na podłodze za Brandolem. Zerknął na przeszkloną witrynę, w której przez lata Mumia gromadził policyjne opracowania i statystyki, a także statuetki z nagrodami i pamiątki. Kilka półek było już pustych.

– Chciałbym cię prosić, żebyś przyjrzał się trzem, może czterem sprawom, które spędzają mi sen z powiek. – Brandol spojrzał na Grossa. – Pokryła je gruba warstwa kurzu, a ci z Archiwum X nieprędko się za nie wezmą. Nie są to tematy z pierwszych stron gazet.

– Przyjdzie twój następcą, może on się im przyjrzy?

– To właśnie ty masz być moim następcą. Wojtasik jeszcze z tobą nie rozmawiała? – Brandol zmrużył oczy, a Gross zaprzeczył.

Siedzieli przez chwilę w ciszy, która ciążyła im obu. Komisarz zaczął się wiercić, chciał opuścić ten gabinet jak najprędzej i tylko czekał na pretekst.

– Zrobisz to dla mnie? – Usłyszał.

– Mam teraz na głowie zabójstwo. Szukam ciała ofiary i sprawcy. Obawiam się, że mogę nie dać...

– Proszę tylko o to, byś po prostu przejrzał te przeklęte tecki! – Brandol trzasnął otwartą

dłonią w blat.

W kącikach jego ust zebrała się ślina, poczerwieniał na twarzy. Oddech miał krótki i urywany, sapał.

Gross podniósł się i zasunął krzesło.

Mógł stąd uciec, ale w gruncie rzeczy nie chodziło przecież o Brandola, tylko o ludzkie tragedie, których opisy znajdowały się właśnie w tych pożółkłych, wymiętych, starych teczkach śmierdzących kurzem. Chodziło o niepokój bliskich, niepewność i brak poczucia sprawiedliwości. A także o bezkarność zła i zadośćuczynienie wyrządzonym krzywdom. Może brzmiało to banalnie, ale rzeczywiście rodzinom ofiar rozwiązanie sprawy przywracało wewnętrzny spokój. Zbyt dobrze o tym wiedział. Sam też był po tej stronie co oni. Już dziesięć lat czekał na złapanie tych dwóch, którzy wdarli się do jego domu. I być może również odnalazłby spokój, gdyby chociaż jeden z nich, ten, który niemal udusił jego żonę, odpokutował za swój czyn.

– Zostaw mi je na biurku – poprosił komisarz, po czym wyszedł i zamknął za sobą drzwi.



Kiedy Gross stanął na korytarzu w pobliżu otwartych drzwi do sekretariatu komendantki i jej zastępcy, Beata Różycka, słusznej budowy kobieta w średnim wieku, kiwnęła na niego zza swojego biurka.

Wszedł tam niechętnie.

– Będzie się chciał z tobą spotkać – wyszeptała konspiracyjnie, wskazując głową drzwi gabinetu zastępcy komendanta.

– Powiedz mu, że jestem zajęty. Że siedzę w terenie – poprosił Gross równie cicho.

– Ej! – oburzyła się sekretarka. – Jeszcze nie wiesz, co dla ciebie ma.

– Obawiam się, że już wiem.

Pokiwała głową ze zrozumieniem, ale jej mina świadczyła o czymś zupełnie przeciwnym. Nie zdecydowała się jednak na kontynuowanie tego wątku.

– No to spadaj, Bernardzie, spadaj, bo przecież w ogóle cię tu nie było.

Gross z sekretariatu poszedł prosto do siebie.

Wyłączył komputer i zbiegł po schodach do dyżurnego.

– Jakież nowe zgłoszenia? – spytał, uchylając drzwi, ale nie przekraczając progu dyżurki.

– Cisza, Bernardzie. Jakby co, zadzwonię – odpowiedział ciemnowłosy policjant o wysportowanych, muskularnych ramionach.

Gross cofnął się do gabinetu szefowej prewencji.

Jojczyk siedziała sama. W pomieszczeniu pachniało świeżo zaparzoną kawą.

– Chodź, chodź, Bernardzie – zaprosiła go i natychmiast wróciła do wyświetlanych na monitorze materiałów. – Tylko daj mi sekundkę, dobrze?

Z filiżanki wypełnionej czarnym napojem unosiła się para, rozwiewana co rusz przez podmuchy wentylatora ustawionego w pobliżu biurka. Szumiał delikatnie, jedynie podczas obracania czaszy obudowa wpadała w chwilowy, nieprzyjemny rezonans. Gross usiadł tam, gdzie chłodne powietrze głąskało go po twarzy.

Wsluchiwał się w tę pozorną ciszę, kiedy podkomisarz Aleksandra Jojczyk odezwała się do niego.

– Gratuluję awansu. – Uśmiechnęła się.

Funkcjonariusz podziwiał jej klasyczne rysy twarzy i prosty nos. Nosiła krótką fryzurę: farbowane na blond włosy miała ułożone na jeża i podgolone po bokach. W letnim mundurze

wyglądała jak przebrana do sesji fotograficznej modelka.

– Będziemy teraz częściej współpracować, co bardzo mnie cieszy – dodała, nachylając się i ścisząc głos. – Bo z Brandolem chyba nikomu nie było po drodze.

Mrugnęła do niego, a Gross nadal milczał.

– Chciałam z tobą porozmawiać o czymś jeszcze. – Jojczyk sięgnęła po kawę, by zamoczyć w niej pomalowane szminką na różowo usta.

– Wiedziałas o nowotworze? – zapytał, jakby to miało jakieś znaczenie.

Jojczyk trzymała filiżankę w dłoniach. Wypielęgnowane paznokcie błyszcząły na granatowo.

– Chyba wszyscy wiedzieli.

– Nie. Ja nie – zaprzeczył. – Nie miałem o tym pojęcia.

– Przecież siedzicie niemal drzwi w drzwi. Widujesz go codziennie.

– Być może dlatego. – Zasępił się. – Owszem, czasami miałem wrażenie, że coś jest nie tak, że coś go gryzie, ale nie łączyłem tego z chorobą.

Jojczyk machnęła ręką.

– Wszyscy umrzemy na to samo. – Wzruszyła ramionami, po czym odchyliła się na oparcie fotela. – To tylko kwestia czasu, kiedy postawią nam taką samą diagnozę.

Policjant przypatrzył się młodej i atrakcyjnej kobiecie. Wydawało mu się, że akurat ona mogła być okazem zdrowia w Muzeum Historii Naturalnej w Londynie. Chociaż wiedział, że pozory mylą.

– A co mu dolega? – spytał.

– Lucy powiedziała mi w sekrecie...

– Lucy? – Zmarszczył brwi.

– No, Lucyna Wojtasik! Przed urlopem wyznała mi w tajemnicy, że to trzustka w zaawansowanym stadium. Ale rozsiało się już po całym organizmie i nie wiadomo, czy ten awans uda się załatwić, no wiesz, jeszcze przed śmiercią. – Przekrzywiła głowę. – Ale może pogadalibyśmy w końcu o czymś innym?

Gross zgodził się, a Jojczyk znowu upiła łyk kawy i sięgnęła po kartkę z teczki leżącej na skraju biurka.

– Aspirant Janusz Stefański – odczytała nazwisko.

– Co z nim?

– Napisał raport o przeniesieniu do kryminalnego, pod twoje skrzydła.

Gross miał wrażenie, że wbrew jego woli ktoś wykupił mu bilet na karuzelę łańcuchową i posadził go na krzeselku. Sprawy nabierały tempa, a on nie miał na nie żadnego wpływu. Wymykały mu się z rąk. Gratulowano mu posady, chociaż ani nie chciał jej przyjąć, ani nie otrzymał oficjalnej propozycji. A teraz jeszcze to.

– Mam do ciebie żal, Bernardzie. Lubimy się przecież, mogłeś mi o tym powiedzieć. Wystarczyłoby kilka słów na schodach – stwierdziła Jojczyk, spoglądając na niego znad kartki.

– O co ci chodzi? – Kolejny raz tego dnia jego serce zaczęło szybciej tłoczyć krew.

– O to uzgadnianie przeniesienia Stefańskiego za moimi plecami.

– Niczego nie uzgadniałem – zaprzeczył.

– Nie mówię, że ze Stefańskim, tylko z Lucy.

– Z nikim! – wycedził i wstał. – Niczego z nikim nie uzgadniałem. Przestańcie wplątywać mnie w te wszystkie cholerne sytuacje.

Ruszył do drzwi.

– Bernardzie – poprosiła.

Położywszy rękę na klamce, odwrócił się do Jojczyk.

– Jeśli nie masz z tym nic wspólnego, to przepraszam. – Zmieniła ton.

– Nie mam.

– A chcesz tego Stefańskiego?

– Chcę spokoju – rzekł twardo i wyszedł.



Późnym popołudniem komisarz wszedł na teren przed blokiem przy Kościuszki, w którym mieszkał. W tej samej chwili z garażu wyjechała jego sąsiadka. Nie znał jej nazwiska, ale mijali się na schodach. Mieszkała na trzecim piętrze i zimą tego roku założyła Grossowi za skórę, ale puścił to w niepamięć. Gdy suzuki vitara zbliżyło się do automatycznie otwieranej bramy, komisarz dał kobiecie znak, by opuściła szybę. Miała skwaszoną minę.

– Dzień dobry. Przepaliła się pani żarówka w prawym reflektorze – poinformował ją.

– Wiem – odburknęła.

– Niech ją pani wymieni.

Machnęła ręką, jakby odganiała muchę, i zasunęła szybę. Samochód wytoczył się wolno na drogę gruntową.

Bernard Gross wszedł do pustego, cichego mieszkania na poddaszu. Rozciągał się z niego widok na panoramę miasta i leżące w dole jezioro, skąpane teraz w świetle uciekającego na zachód słońca. Uderzyły go duchota, ciepło, które oddawał nagrany dach. Zimą na poddaszu było chłodno, a latem łatwiej oddychało się nawet w saunie.

Podszedł po kolei do każdego okna i otworzył je, wpuszczając do pokoju pokrzykiwania dzieci, szczekanie psów, dźwięki codziennego gwaru miasta, które nad wodą niosły się ze zdwojoną siłą. Dlatego niespecjalnie lubił lato. Wolał szelest jesieni i ciszę ukrytą w zimowych mgłach.

Wrócił pod drzwi wyjściowe i zdjął buty, skarpety i spodnie, a wilgotny na plecach T-shirt rozwiesił w kuchni na krześle. Zaparzył liptona i zabrał parujący kubek do pokoju. Odstawił go i wziął zimny prysznic. Długo polewał chłodną wodą spocone i zmęczone ciało.

Herbata zdążyła ostygnąć, kiedy usiadł przy szerokim stole, a właściwie tej jego części, gdzie zorganizował sobie warsztat modelarski z dwiema lampami kreślarskimi po obu stronach. Nie włączył ich. Nie zamierzał dziś pracować.

Usiadł tylko na chwilę, żeby sprawdzić, czy wciąż ma w sobie głód modelarskiej roboty. Po tym, co się wydarzyło miesiąc temu, po nagłym zniknięciu syna z mieszkania, nie znajdował w sobie ochoty na realizację własnej pasji. A wręcz było gorzej. Kiedy wrócił tamtego lipcowego dnia, po nawałnicy, która sponiewierała obóz harcerski w Zalesiu, miał ochotę zgarnąć cały ten modelarski bajzel do kosza na śmieci. A razem z nim pudełka z niesklejonymi modelami. Ale potem przyszło mu do głowy, że jeśli już ma to wyrzucić, to lepiej by było zawieźć wszystko do modelarni, którą prowadził jego uzdolniony kolega. Modelarskie akcesoria przydałyby się dzieciakom odkrywającym tam swoje hobby. Coś go jednak powstrzymało.

Pamiętał ten widok, jakby to było dziś. Otworzywszy drzwi do mieszkania, zobaczył rozsypane w proch, zdeptane trzy motocykle i pękniętą dioramę, fragment wiejskiej zagrody z drzewami i murowanym płotem. Kilka miesięcy jego pracy, nie licząc pieniędzy, które wydał na same modele, chemię modelarską i farby. Wszystko to przygotowywał na miejscowy festiwal modelarski. Była to jego pierwsza diorama, którą zrobił po tym, co spotkało jego żonę Agnieszkę.

Zanim odjechał do Zalesia, pokłócił się z Bartkiem. Chciał z nim porozmawiać po powrocie, ale każde ich spotkanie, każda próba porozumienia stawały się zarzewiem nowej kłótni. Nie pamiętał już, co powiedział synowi tamtego parnego dnia, pewnie kolejny raz namawiał go do odwiedzin u matki. Zazwyczaj od tego wszystko się zaczynało.

Tak, tragedia, która się wydarzyła dziesięć lat temu, pokieroszowała ich obydwu. Nosili w sobie niezabliźnione rany i rozdrapywali je wciąż na nowo, chociaż w gruncie rzeczy wcale tego nie chcieli. Poddawali się jednak podskórnemu lękowi, fali niepewności dotyczącej tego, co będzie z nimi dalej. Co będzie z jego żoną, a matką Bartka, która od dziesięciu lat leżała w śpiączce po tym, jak bandyta

niemal ją udusił, przyciskając jej do twarzy poduszkę.

Wszystkie te sceny Gross odtwarzał wciąż na nowo. Ilekroć zamykał oczy, widział bezwładnie zwisającą z łóżka rękę żony i ubranego na czarno napastnika, który siedział okrakiem na Agnieszce i atakował ją zapamiętałe, brutalnie, wkładając w to wszystkie siły rosnącego mężczyzny przeciwko siłom kruchej, filigranowej kobiety. Gross wpadł wtedy do sypialni.

Dźwięk telefonu wyrwał go ze wspomnień.

Gross spojrział na stół z przyborami modelarskimi. Widocznie to wciąż nie był ten dzień albo on nie był gotowy na powrót do pasji. Podniósł się z krzesła i odszukał komórkę. Leżała w kuchni.

Fundacja „Światło”.

Zadrżał i chwycił aparat.

– Halo – rzucił do słuchawki.

– Dobry wieczór. Pan Bernard? – Usłyszał kobiecy głos, ale nie wiedział, która z pielęgniarek do niego dzwoni, chociaż większość z nich znał. Próbował wyczuć w jej głosie cokolwiek: smutek, napięcie, a może żal. Jednak niczego takiego nie wychwytał.

– Stało się coś? – zapytał.

– Może pan przyjechać do zakładu?

– Będę za pół godziny – odparł i już miał się rozłączyć.

– Pana żona trafiła do izolatki.

– Dlaczego do izolatki? Co się stało?

– Zachorowała. Obawiamy się, że to zapalenie płuc.

Ostatnie dwa słowa odbijały się echem w jego głowie.

– Zapalenie płuc? – Próbował ukryć niepokój, ale głos mu zdrzął.

– Niech pan przyjedzie.

Gross odłożył aparat i się ubrał. Wychodząc na klatkę, czuł ukłucia bólu w okolicy mostka. Zszedł do garażu i dopiero kiedy usiadł w samochodzie, jego oddech się wyrównał, jakby nagle zapadnięte żebra wróciły na swoje miejsce. Ucisk zelżał.

Zapalenie płuc. Wiedział, czym to grozi zdrowemu człowiekowi i czym może się okazać dla wychudzonej kobiety z zespołem apalicznym.

Wyjechawszy na drogę do Torunia, jeszcze przed Grzywną, zadzwonił do Bartka. Szybko się jednak zorientował, że w tej sprawie nic się nie zmieniło. Tamtego lipcowego dnia Bartek zniknął. A każda próba skontaktowania się z nim kończyła się informacją o tym, że abonent jest poza zasięgiem.

Gross odłożył telefon na siedzenie pasażera. Nie miał nawet jak zostawić synowi wiadomości. Od czterech tygodni nie zamienił z nim słowa, nie wiedział, gdzie jest Bartek i co robi, nie wiedział też, dokąd pojechał tuż po tym, jak zniszczył modele i opuścił jego mieszkanie.

Czy tak to właśnie miało wyglądać?

Tak po prostu straci i żonę, i syna?



Komisarz wbiegł po schodach na pierwsze piętro i rozejrzał się po opustoszałym o tej porze holu. Drzwi do pomieszczeń administracyjnych były pozamykane. Wszedł na oddział, na którym unosił się mdły zapach ciał zmieszany z ostrym smrodem środków dezynfekcyjnych.

W trzeciej sali po lewej, tam, gdzie leżała Agnieszka, pozostało tylko łóżko z pięćdziesięcioletnią kobietą, która nie odzyskała przytomności po wielonarządowej operacji przeprowadzonej po wypadku samochodowym. Agnieszkę, przypomniał sobie, przeniesiono do

izolatki, a ta znajdowała się na parterze.

Zbiegł na pierwszą kondygnację. Z ostatniego pomieszczenia po prawej wyszedł młody, rosły mężczyzna w zielonym fizelinowym fartuchu.

– O, pan Bernard! – Podniósł rękę na widok policjanta. – Żona leży tutaj.

Gross się z nim przywitał i spojrział przez świetlik w drzwiach. Z tej perspektywy widział jedynie fragment łóżka i koc okrywający ciało nieprzytomnej od lat kobiety.

– Co z nią?

– Zawolałam naszą oddziałową, dobrze? – powiedział opiekun i odszedł, ściągając z siebie jednorazowe okrycie.

Dodał coś jeszcze, co brzmiało jak „czekamy na karetkę”, ale tego Gross nie był do końca pewien. Zbliżył się do drzwi, których nie odważył się otworzyć. Po prostu nie chciał wnosić do środka nowych bakterii. Przez świetlik wpatrywał się w umęczoną i wychudłą twarz Agnieszki, matową skórę naciągniętą na małą czaszkę. Wystająca kość policzkowa rzucała nieregularny cień, jakby w zapadniętym policzku wykwitła czarna plama, cementarna róża. Widział jej półprzymknięte powieki i pojawiający się na twarzy krótkotrwały grymas, niczym echo walki o każdy oddech.

Leżała na boku. Przetłuszczone krótkie włosy lepiły się jej do głowy.

Nie pamiętał rozmowy z oddziałową, zupełnie się wtedy wyłączył. Docierały do niego, jakby przez grubą szybę, wyłącznie pojedyncze słowa. Zagrożenie, coś o potrzebie nadziei i bycia silnym. W tym czasie sanitariusze przełożyli Agnieszkę na nosze i zabrali do szpitala. Słyszał przytłumiony sygnał odjeżdżającej karetki i widział błyskające niebieskie światło, które prześlizgiwało się po ścianach i podłodze korytarza. Wszystko wydawało się nierealne, jakby za mgłą, jakby w tym w ogóle nie uczestniczył.

Ocknął się dopiero we własnym samochodzie. Szarpnął za klamkę, żeby wpuścić chłodne powietrze, opuścił też szybę w drzwiach pasażera, bo nie miał siły wyjść.

Pot spływał mu po plecach i klatce piersiowej, twarz miał mokrą, ciuchy – wilgotne. Oddychał szybko.

I wtedy właśnie zadzwonił telefon. Dokładnie dwa takty melodii, która nagle się urwała.

Gross nie zdołał sięgnąć po aparat.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że była to melodia, którą specjalnie ustawił tylko dla jednego kontaktu. Właśnie po to, żeby od razu wiedzieć, kto dzwoni.

Dotarło do niego, że dzwonił syn.



Po dwóch godzinach spędzonych w szpitalu i po rozmowie z dyżurującą na oddziale chorób wewnętrznych starszą lekarką wreszcie się uspokoił. „Antybiotykoterapia powinna zadziałać”, brzmiały w jego głowie słowa zmęczonej życiem internistki, której Gross chciał ufać, jak kilkuletnie dziecko ufa matce.

W drodze powrotnej do Chełmży próbował oddzwonić do Bartka, ale abonent znowu był poza zasięgiem. Nie wiedział, co to wszystko ma znaczyć.

Myślał o żonie, o Bartku, o tym, że stracili ze sobą kontakt. Właściwie, stwierdził ze zgrozą, zaczęło się to niemal od razu, tuż po tym, jak Agnieszka wylądowała w „Świetle”. Próbował odszukać w pamięci moment, kiedy odsunął się od syna, chciał odnaleźć na mapie późniejszych zdarzeń ten punkt, w którym runęły wszystkie mosty, ale nie umiał, nie potrafił go namierzyć. Po prostu musiał się pogodzić z tym, że takie zmiany zachodzą powoli, wręcz niezauważalnie. Aż wreszcie jest już za późno na jakąkolwiek reakcję.

Dojechał do Kościuszki i przy „leżących wieżowcach” na Ameryce, przez niektórych zwaną też Cegelają, skręcił w prawo. Potem chciał odbić w lewo, w Plażową, żeby schować wóz do garażu, ale ostatecznie tego nie zrobił. Pojechał prosto drogą prowadzącą do wsi Strużal.

Minął zieloną tablicę z nazwą miejscowości i zatrzymał auto na poboczu. Włączył światła awaryjne. Zanim wysiadł, spojrzął w lewo, w kierunku połyskującej światłem tafli jeziora, które przebijało się przez zasłonę licznych w tym miejscu nadbrzeżnych drzew i krzewów, a potem w prawo i zrozumiał, że cały ten znajdujący się na niewielkim wzniesieniu teren otoczony był wodą.

Sporo nowych domów rozrzucono tu na działkach, poprzedzielanych polami uprawnymi.

Nie potrafił ocenić, czy stanął w dobrym miejscu. Mimo to zdecydował się wysiąść i przejść przez wąską jezdnię z dosztukowanymi pasami asfaltu z jednej i drugiej strony. Ruszył drogą między polami. Szedł po suchej jak pieprz ziemi, a każdy jego krok wzniesiał obłok pyłu. Po lewej ludzie zginali plecy w polu. Ich brązowa, spocona skóra błyszczała w zachodzącym słońcu. Gdzieś dalej sunął traktor, a terkot jego silnika niósł się głośno w otwartej przestrzeni.

Gross minął nowoczesne domy z solarami na dachach, za którymi wznosiły się wieże kościoła Świętego Mikołaja i konkatedry, a potem dotarł wreszcie do wysokiej roślinności nad brzegiem jeziora. Stanął w cieniu nad samą wodą, na wydeptanej czarnej ziemi. Na drugim brzegu, na czubku cypla wznoszącego się w wodę, jakieś dwieście metrów stąd, widział bawiące się dzieci i dorosłych na ręcznikach, ułożonych w kierunku zachodzącego słońca. Z daleka dobiegały gwar i piski.

Komisarz zastanawiał się, co jeszcze mógłby stąd zobaczyć. Co zobaczyłby z tej perspektywy w nocy, kiedy doszło do zabójstwa. W ciągu dnia kręciło się tam zbyt wiele osób. Tylko ciemność dawała zabójcy szansę. Nie bez przyczyny wybrał drugą ścieżkę prowadzącą na polanę, tę rzadko uczęszczaną, od wschodniej strony cypla. I właśnie na niej zaatakował ofiarę. Weszli w las, bo prowadził ją do namiotu, ale także dlatego, że ewentualny krzyk kobiety nie niósłby się tak, jak nad brzegiem spokojnej wody.

Rano, tuż po rozmowie ze Skalką, Gross wydał dyspozycje, by kilku funkcjonariuszy przeprowadziło rozpytanie wśród plażowiczów, głównie młodzieży, która na piasku bawiła się do późna. Nie chodziło tylko o to, czy słyszeli krzyki. Bardziej zależało mu na sprawdzeniu, czy nie zwrócili uwagi na mężczyznę ubranego niestosownie do temperatury, na przykład w długie spodnie, a może także w koszulę z długimi rękawami. Takie ciuchy umożliwiały ukrycie narzędzia zbrodni. Gross raczej wątpił w to, by zabójca zostawił młotek, kawałek ciężkiej rury lub inną broń w lesie. Ciemność i adrenalina mogły sprawić, że pomyliłby miejsca. Zbyt duże ryzyko.

Komisarz stał tak i rozważał różne opcje, które przedyskutowali rano ze Skalską, kiedy do jego uszu dobiegło cykanie. Nie zwrócił na nie wcześniej uwagi, a przecież było intensywne. Takie samo jak nad ranem, kiedy stał z policjantką w pobliżu plaży.

– To wioślaki, takie pluskwiaki wodne. Skubane pocierają penisem o brzuch – wyjaśniła mu wówczas z nieznacznym uśmiechem aspirantka sztabowa. – I stąd ten dźwięk. Podobno są najgłośniejszymi zwierzętami na świecie, biorąc pod uwagę niewielki rozmiar.

– Penisów? – Gross nie zrozumiał.

– Nie. – Zarechotała. – Chociaż penisów też. Bo te robale to takie małe grzdyle. Coś jak niewielkie chrząszcze.

Komisarz wsłuchiwał się w ten pulsujący, intensywny dźwięk. Raz niósł się głośno, a raz przycichał.

– Wioślaki fajnie brzmią nocą – stwierdziła Skalka.

Fakt.

Nocą musiały brzmieć jeszcze donośniej.

dzień trzeci

Grossa obudziły pierwsze promienie słońca. Był zgrzany, pot rosł mu klatkę piersiową, pościel wydawała się wilgotna.

Wstał i poszedł pod prysznic. Długo polewał się chłodną wodą. Potem ogolił się, przy kuchennym stole zjadł proste śniadanie i wypił herbatę, wodząc wzrokiem po nieboskłonie pełnym delikatnych, jakby rozciągniętych przez wiatr chmur.

W komendzie na biurku odnalazł cztery opasłe teczki spraw, które musiał zostawić wczoraj Brandol.

Sięgnął po słuchawkę telefonu stacjonarnego i przedzwonił do tutejszego hufca. Miał kilka pytań, na które szybko uzyskał odpowiedzi, a potem zapukał do drzwi gabinetu szefa kryminalnych, jednak pomieszczenie było puste. Część kartonów stała jeszcze na podłodze. Zapytał o podkomisarza w sekretariacie, ale dowiedział się od Różyckiej, że ten wziął dwa dni wolnego.

– Ma jakieś badania. – Sekretarka zrobiła smutną minę.

– Wiesz, do kiedy będzie z nami?

Różycka kiwnęła głową w stronę gabinetu komendantki Lucyny Wojtasik.

– Mówiła – zaczęła szeptem – że niby do końca tygodnia.

– A szefowa już wróciła? – zdziwił się. – Miała być dopiero w czwartek.

– Siedzi od rana. Pytała o ciebie.

– Wpadnę później.

Gross wycofał się po cichu do swojego gabinetu. Nie zdążył jednak usiąść, kiedy rozdzwonił się telefon.

– Wejdz do mnie, proszę. – Usłyszał głos szefowej komisariatu.



– Co w sprawie zabójstwa bez ciała? – zapytała Wojtasik, kiedy tylko przekroczył próg.

Niska, korpulentna kobieta o spiętych w kok rudych włosach siedziała za biurkiem i wpatrywała się w księgę raportów.

Gross się przywitał, ale komendantka nie zareagowała.

– To nie jest priorytetowa sprawa. Nikt w laboratorium nie rwie się do oznaczania profilu genetycznego w trybie pilnym, skoro nie mamy żadnych materiałów referencyjnych. Ani ciała, ani nawet potencjalnej ofiary, nie mówiąc już o narzędziu zbrodni. No i w zgłoszeniach kompletna pustka. Żadnych zaginionych kobiet.

– Może to wcale nie jest kobieta?

Gross myślał już o tym wcześniej. Skalska zadała to samo pytanie.

- Tak, ale to nie rozwiązuje problemu, bo akurat zaginięć mężczyzn też nie zgłaszano.
- Co w takim razie robisz? – spytała, podnosząc głowę.
- Dziś będę miał materiał z rozpytania plażowiczów. Może ktoś coś widział albo słyszał.
- A jeśli nie?

Z ociąganiem wzruszył ramionami.

– To będziemy czekali na oznaczenie DNA, być może sprawca lub ofiara znajdują się w naszej bazie.

- To by ułatwiło zadanie.
- Nie spodziewam się tego, więc normalnie robimy swoje. Materiały i przedmioty znalezione na miejscu poleciały do biegłych.
- Przecież to będzie trwało, do cholery.
- *Vis maior* – powiedział. – To zawsze trwa.
- Potrzebujemy sukcesów. Szczególnie teraz.
- Sukcesy powstają z pracy nad porażkami. Powinniśmy to sobie wypisać na sztandarach. I to właśnie wymaga czasu.

- Nie wygłupiaj się – odrzekła zniechęcona. – Mówię poważnie.
- Ja też mówię poważnie. Statystyki to...
- Nie pieprz mi o statystkach. Od tego to ja akurat jestem!

Gross obserwował nerwowe, nieskoordynowane ruchy dłoni szefowej.

- To co masz na myśli? – zagadnął, gdy cisza po jej wybuchu przedłużała się nieznośnie.
- To mam na myśli. – Postukała energicznie palcem w leżącą na biurku gazetę. – Wybory samorządowe.

Powstrzymał się od przewrócenia oczami.

- Robimy wszystko zgodnie z procedurą – zapewnił policjant.
- Nie karm mnie frazesami. – Po chwili spytała: – A co na to prokurator Legner?

Gross westchnął.

– Sądzę, że nie uważa tej sprawy za rokującą i niespecjalnie się nią interesuje. Przynajmniej do czasu, kiedy nie złapiemy wiatru w żagle.

- Ale wskazał jakieś kierunki?

Gross opowiedział o znalezionej na polanie przypince harcerskiej.

- Poszedłeś tym tropem?
- Tak. Okazuje się, że harcerze od dawna nie bawili się na płatnej. Rozmawiałem z komendantem hufca.

- No, to już coś.
- Pytanie zatem brzmi: kto tam trafił i po co?
- Równie dobrze to może być jakaś stara przypinka – podsunęła myśl Wojtasik.
- Nie wyglądała na uszkodzoną.
- W takim razie co zamierzasz?
- Przyjrzymy się raz jeszcze obozowi z Zalesia.
- To ta sprawa z lipca? Po nawałnicy?
- Tak.

– Chodzi o opiekunów obozu?

Gross pokiwał głową, po czym ponownie zapadła cisza. W rogu szumiał wiatrak, młóćąc powietrze i posyłając w stronę Grossa chłodny powiew.

Wojtasik spojrzała na komisarza, który się domyślił, że szefowa ma mu coś jeszcze do powiedzenia. Ale nie zamierzał jej tego ułatwiać. Czekał.

Komendantka postukała długopisem w kolorowy segregator.

- Słuchaj – zaczęła. – Jest jeszcze jedna sprawa.



O czwartej nad ranem, kiedy ciepły świt pożegnał rześką, poburzoną noc, Skalska przebudziła się z nagłym, bolesnym poczuciem winy. Świdrowało jej kości niczym tępe wiertło. Miała wrażenie, że za chwilę dołączy do tego kosmiczna migrena ze wszystkimi swoimi najgorszymi konsekwencjami.

Sama nie wiedziała, jak to się stało, jak do tego doszło. I w ogóle jak mogła do tego dopuścić.

Po porannej rozmowie z Grossem, kiedy opowiedziała mu własną wersję wydarzeń na plaży płatnej, wracała na cypel trzykrotnie. Za każdym razem spotykała tam grupkę tych samych licealistów, ubranych w modne pływackie szorty, opalonych, z jędrnymi mięśniami, opiętymi gładką skórą pozbawioną owłosienia. Golili się, depilowali ciała. Czwórka przystojnych, młodych i pogodnych chłopaków. Chłopaków, którym się niewątpliwie spodobała.

Zapytała ich o poprzednie dni i wieczory, o to, gdzie byli. Okazało się, że trzymali się razem. Zazwyczaj czas do obiadu spędzali na pobliskiej siłowni w nowoczesnym budynku przy stadionie Legii. Później robili dalsze wypadki na rowerach albo po prostu się opalali. Czasami grali w siatkówkę na plaży, ale zazwyczaj wieczorem, kiedy słońce dawało odetchnąć i pozwalało na aktywność fizyczną.

– A w sobotę?

– Pływaliśmy rowerami wodnymi.

– Dokąd? – spytała blondyna, który kogoś jej przypomniał. Była pewna, że zna te rysy twarzy.

– W kierunku Strużala i na plażę w Mirakowie.

– Taki kawał? – spytała.

– Jędrek... – blondyn uśmiechnął się do kolegi z dłuższymi włosami – chciał tam poderwać jedną laskę.

– Przestań, dzbanie – zarechotał Jędrzej, a pozostali parsknęli gromkim śmiechem. Przybili sobie piątki.

Skalka założyła okulary przeciwsłoneczne na daszek bejsbolówki.

– O której wracaliście?

– Przed osiemnastą, bo musieliśmy zdać rowery – odparł blondyn, gładząc się ręką po umięśnionym i opalonym torsie.

– A potem przyszedliście na płatną?

– Tak, posiedzieliśmy do dwudziestej pierwszej, może ciut dłużej. W każdym razie gdy wracaliśmy do miasta, dopiero się ściemniało.

Skalska podziękowała im i spisała ich nazwiska. Dopiero wtedy rozjaśniło jej się w głowie. Wiedziała już, do kogo jest podobny blondyn o owalnej twarzy, z podgolonymi po bokach włosami i długą grzywką spadającą na niebieskie oczy. Julek, bo tak miał na imię, był synem jej pierwszego faceta, Tomka Kwaśniewskiego, obecnie właściciela hotelu Kulmsee – jak kiedyś po niemiecku nazywała się Chełmża – mieszczącego się w kamienicy przy poczcie.

Porozmawiała jeszcze z innymi plażowiczami, ale niczego się nie dowiedziała. Podobnie jak pozostali funkcjonariusze, z którymi była w kontakcie. Wróciła więc do domu. I to był pierwszy błąd. Drugim było otwarcie martini i wypicie dwóch pełnych kieliszków czerwonego wina doprawionego przyprawami i przełamanego nutą palonego karmelu. Ale nie dlatego miała ją rozboleć głowa, lecz dlatego, że popełniła błąd numer trzy. Otworzyła drzwi synowi Tomka Kwaśniewskiego.

Nie wiedziała, skąd znał jej adres. Przyszedł, żeby powiedzieć jej, że coś sobie przypomniał.

Zaprosiła go do salonu i puściła przodem. Pachniał tanią wodą kolońską z Rossmanna, chociaż jego ojca stać było na droższe perfumy. Był wyższy od niej o głowę. Szedł wyprostowany jak struna, ze ściągniętymi łopatkami i wypiętą klatką piersiową.

– No to mów, co tam masz? – spytała, kiedy usiedli.

Sama sięgnęła po kieliszek wina, ale jemu nie zaproponowała. Specjalnie. Poprawiła włosy

i podparła brodę. Szumiało jej w głowie, ale jeszcze nie na tyle, by nie rozumiała, że jej gesty, nieporadne i nieskoordynowane, są wyraźnym znakiem, że wypiła za dużo.

– Kiedy tak pani nas pytała o te wieczory i o ten powrót rowerami, to uświadomiłem sobie, że faktycznie kogoś widziałem.

– Gdzie? – Zamrugła.

Zachowywała się jak przymilająca się, wstawiona siksa na dyskotecę. A jednocześnie marzyła o tym, by dać się ponieść fantazji. Po śmierci Otremby pościła. Brakowało jej Grzegorza i być może w wyniku tej tęsknoty, a może pod wpływem zwykłego pożądanego, chciała po prostu dosięść chłopaka, poczuć go w sobie, takiego młodego i – kto wie – niedoświadczonego. Gdy mówił, patrzyła na jego mięśnie widoczne pod koszulką, odkryte jędrne bicepsy i smukłe uda z wyrzeźbionym mięśniem dwugłowym i widziała w nim dawnego kochanka. Czy naprawdę zrobiła się wilgotna, czy tylko o tym marzyła?

– Ktoś stał w krzakach.

– W krzakach? – Ocknęła się. – I co tam robił?

– Nie wiem. Ale chodzi o to, że był dziwnie ubrany.

Skalska odstawiła kieliszek.

– Czekaj. Co to znaczy, że był dziwnie ubrany?

Słońce już zaszło, siedzieli w półmroku.

– Trochę jak leśnik – odparł. Wciąż opierał przedramiona o podłokietniki fotela. Miał na sobie niebieską koszulkę polo i czarne szorty, a na stopach czyste trampki.

– Trochę?

– No, nie wiem, ale tak zapamiętałem.

– Co konkretnie?

– Słucham?

– W co konkretnie był ubrany! – warknęła Skalska.

– Kraciasta koszula, chyba niebieska, długie spodnie, takie jakby szersze, z kieszeniami po bokach.

– Bojówki?

– Tak, takie w typie bojówek.

– Kolor?

– Jakiś taki zielonkawy.

– Oliwkowy? – dopytała.

– Chyba tak.

– Okej. Dobrze, że mi to powiedziałaś. Dziękuję.

Julek pokiwał głową, ale nie wstał.

– Jak tu trafiłeś? – zagadnęła.

– Ojciec mi powiedział. Byliście w jednej klasie, tak?

– W maturalnej – odparła i wstała, dając znać, że to koniec rozmowy.

Ale Julek się nie ruszył.

– Coś jeszcze? – spytała po chwili.

– Nie. Chyba nie. – Podniósł się i ruszył do wyjścia.

– Trafisz?

Pokiwał głową i potem usłyszała tylko, jak zatrząskują się drzwi.

Dopiła wino i weszła na korytarz, żeby zamknąć je na klucz. Kiedy podeszła bliżej, drzwi się otworzyły. Julek wtargnął do środka, ale zatrzymał się w pół kroku. Ich twarze znalazły się zbyt blisko siebie. Nie pamiętała, co wtedy zrobiła, czy może go czymś zachęciła, ale przyciągnął ją do siebie. Pocałował. Nie wiedziała, kiedy się to stało, nie zdążyła zaprotestować, zresztą chyba wcale tego nie chciała. Ba! Chciała więcej. A jednak odsunęła się od niego i spoliczkowała go. Głuchy dźwięk wybrzmiał w mieszkaniu. Oboje wpadli w stupor. Patrzyli na siebie. Jego oczy przysłaniała grzywka. Wreszcie Skalka chwyciła jego dłoń i wsadziła sobie pod bluzkę. Najpierw poczuła ciepło, a po chwili

jego palce wbiły się pożądliwie w jej pierś.

Pierwszy raz zrobili to na podłodze przy drzwiach wejściowych. Drugi – w sypialni na piętrze. Kochali się intensywnie, namiętnie, bo młody miał w sobie jakąś nieokiełznaną dzikość, szarpał się i poruszał w niej gwałtownie jak sprinter, który chce samotnie dobiec do mety. Nie pozwoliła mu na to. Przewróciła go na plecy i dosiadła, tak jak jeszcze niedawno chciała. Przejęła kontrolę i nadała odpowiednie tempo. Najpierw poruszała biodrami w przód i w tył, dopiero potem zaczęła je unosić i szybko opuszczać. Odchyliła głowę, końcówki jej długich włosów muskały jej plecy. On w tym czasie ugniatał jej piersi zbyt zachłannie, zbyt mocno wykręcał nabrzmiące sutki. Unieruchomiła jego ręce, pochyliła się. Jej piersi zakołysały się nad jego twarzą. Próbował uchwycić je ustami. Chwilę później zaczął jęczeć spazmatycznie i wszystko dobiegło końca. Po kilku minutach, kiedy ich oddechy wróciły do spokojnego rytmu, zasnęli oboje.

Skalska śniła o Otrembie. Uśmiechał się do niej, ale widziała już, jak przykładał sobie pistolet do głowy. Nie mogła zareagować, krzyczała tylko, lecz jej nie słyszał, jakby znajdowała się w szklanym, dźwiękoszczelnym pomieszczeniu. A kiedy padł strzał i ciało Grzegorza bezwładnie runęło na podłogę, przebudziła się nagle i wpadła w panikę na widok śpiącego w łóżku syna swojej pierwszej, licealnej miłości. Szarpnęła chłopaka i kazała mu się wynosić. Zabierać stąd czym prędzej. Młody Kwaśniewski wyglądał na nieprzytomnego, jakby kierowane do niego słowa nic nie znaczyły. Jakby Skalska mówiła w obcym języku.

Chciała tego, co się stało, było jej dobrze, w jakiś przedziwny sposób ten seks, czysto machinalny, pozbawiony uczucia, ukoił tęsknotę za Otrembą. To, że padło na młodziaka, zatrwożyło ją. Być może dlatego ogarnęła ją panika. A być może bała się, że wszystko się wyda, że rodzice Julka dowiedzą się o tym, co zrobiła.

Ale kiedy tak go ponaglała i wypychała za drzwi, stało się coś jeszcze.

– Poczekaj – powiedział Julek i wsunął stopę między drzwi a framugę.

– Czego? – warknęła zła i senna.

– Wróciłem, bo coś mi się przypomniało – stwierdził zawstydzony. – Ten facet miał coś jeszcze.

– Który facet? – zdziwiła się. Nie wiedziała, o czym Julek mówi.

– Ten, którego widziałem w pobliżu płatnej.

Wyteżyła słuch i zmrużyła oczy.

– No? – ponagliła.

– Miał kapelusz z szerokim rondem.

– Słucham?

– Kapelusz z materiału. Taki, no... – Pstryknął palcami – Oliwkowy! Jak te jego spodnie.



– Ja nie pytałam, czy ty chcesz być szefem kryminalnych, czy nie. Ja tylko informuję, że przejmiesz tę funkcję po Brandolu – wściekała się Wojtasik.

Przetarłszy twarz ręką, Gross próbował ochłonić. Wyczerpał listę argumentów, wiedział o tym. Siedział więc i patrzył przed siebie na meblościankę i stary, niedawno odmalowany, wysoki sejf, przypominający wiekową amerykańską lodówkę, którą mógł znać jedynie ze starych filmów oglądanych wspólnie z synem. Slizgał się wzrokiem po bibelotach wystawionych w stojącej obok witrynie. Próbował przetrwać.

– Obejmiesz jego obowiązki od przyszłego tygodnia – terkotała dalej Wojtasik.

– Nie nadaję się na kierownika wydziału – wpadł w jej słowo. – Nie umiem zarządzać

zespołem. Wiesz, że tak jest, że nie potrafię...

– Skończyłam ten temat. Możesz odejść.

– Prowadzę śledztwa, mam na głowie wiele spraw – kontynuował Gross.

– Jak my wszyscy, Bernardzie.

Komisarz wstał. Może nieco zbyt gwałtownie. Wojtasik spojrzała na niego z przestachem w oczach.

– Nic do ciebie nie dociera – sarknął.

Komendantka odczekała chwilę. Widział, jak wzbiera w niej złość.

– Zdaje się, że to do ciebie nic nie dociera, psiakrew!

Zanim wyszedł z jej gabinetu, pokręcił tylko głową.

Pulsowały mu skronie, czuł wilgoć pod pachami. Wojtasik coś jeszcze mówiła, ale jej nie słuchał. Zamknął za sobą drzwi.

Beata Różycka kiwnęła na niego. Trzymała w dłoni pocztówkę i uśmiechała się od ucha do ucha.

– Bernard! Popatrz!

Gross chciał odejść.

– Ktoś coś do ciebie napisał, pysiaczku – zwróciła się do niego dziecinnym głosem, co zupełnie zignorował.

– To dla mnie?

– No a dla kogo? – udała oburzoną.

Wyciągnął rękę.

– Z Santorini. – Mrugnęła do niego. – Fiu, fiu!

Gross zabrał widokówkę i wrócił do siebie.

Malwina Lemańska.

Dlaczego nie napisała na jego prywatny adres? Nie znał odpowiedzi na to pytanie, ale przestał się tym interesować. Połykał jej słowa skreślone piórem, nienagannym, lekko pochyłym pismem, tak eleganckim i starannym jak ona sama.

Usiadł w fotelu i na chwilę zamknął oczy. Widział ją. Piękną, kobiecą twarz z gustownymi okularami, na które spadały niesforne kasztanowe loki. Uśmiech, w którego ciepłe można by było ogrzać miasto. Ale wraz ze wspomnieniem bibliotekarki powoli wyłaniał się inny obraz, który w końcu przebił się na pierwszy plan. Zapadnięte policzki pozostającej w śpiączce Agnieszki. Ściekająca z ust ślina, która jakby zastygła w połowie drogi do poduszki.

W ostatnich dniach fale uderzały w niego jedna po drugiej. Zło na przemian z dobrem. Jak długo to wytrzyma?

Jeszcze raz przeczytał kilka zdań, delektując się jej krótką opowieścią o prostych wakacyjnych zajęciach, na które wybrała się razem z kuzynką z Brodnicy. A potem jego wzrok wyławiał tylko skrawki zdań. „Spacery bez Ciebie...”, „Wspólna herbata...”, „Gdy czytałeś mi te fragmenty...” i w końcu ostatnie słowo, pod którym widniało jej imię.

„Tęsknię”.

Była daleko stąd, ale myślami nie oderwała się ani na chwilę.

Czy odczuwał to samo? Tęsknotę jak tępy ból, taki, który nie przeszkadza funkcjonować, ale w każdej chwili sprawia dyskomfort. Myślał o Malwinie, bibliotekarce, która w ciągu kilku ostatnich miesięcy otworzyła drzwi w mrocznym tunelu, w którym tkwił samotnie i z którego nie umiał się wydostać. Zastanawiał się, czy dzięki Lemańskiej odnalazłby drogę do wyjścia, tę oślepiającą jasność, w którą wszedłby bez chwili zastanowienia.

Czy tak by właśnie było?

Przecież miał żonę. Miał Agnieszkę.

– O! Jesteś wreszcie. – Skalska wpadła do jego gabinetu. Dyszała ze zmęczenia. – Mam coś!

Odłożył widokówkę na teczki z dokumentami dotyczącymi starych spraw Brandola, które zamierzał zabrać do domu.

– Dobra czy zła? – spytał zrezygnowany.

– Co? – zdziwiła się Skalka.

– Wiadomość. Dobra czy zła? – powtórzył.

Popatrzyła na niego, intensywnie żując gumę.

– Mamy coś!

Skalska streściła Grossowi wynik rozpytań.

– Pytałaś też o mężczyznę po drugiej stronie jeziora? – upewnił się.

– Tak, ale zero trafień – powiedziała, wachlując się bejsbolówką. Okulary przeciwsłoneczne zawiesiła na kołnierzyku koszulki.

Gross widział w nich swoje odbicie: pospolitą twarz i ścięte na jeża posiwiałe włosy, a także wyraźne bruzdy, jakby świeże blizny biegnące od nozdrzy do kącików ust.

– No co jest? – zniecierpliwiała się policjantka. – Działajmy, do cholery!

Gross odwrócił się do okna.

– Co mówią dzielnicowi? – spytał.

– O czym?

– W sprawie twojego podejrzanego.

Skalska się nachyliła.

– O co ci chodzi? – Ściągnęła brwi.

Komisarz zamknął oczy. Brakowało mu siły na kolejne spory, nie zamierzał odpowiadać na takie pytania, bo też zadając je, nikt nie oczekiwał odpowiedzi.

– Przychodzisz i mówisz, że jakiś chłopak widział tego mężczyznę...

– Pozostali – przerwała mu – którzy pływali z nim na rowerach wodnych, po prostu nie zwrócili na gościa uwagi.

Nabrał powietrza.

– Chodzi mi tylko o to, że skoro nikt inny niczego nie widział, to może należy pogadać z dzielnicowym.

– Przepraszam, ale o czym mam z nim rozmawiać?

Upał ich wykończy, Gross był tego pewien. Nie winił wysokiej temperatury, miał raczej na myśli stan zlasowanych w tej aurze umysłów, podgrzane emocje, gorącą krew.

– Może o tym, czy w jego rewirze nie mieszka leśnik albo pszczelarz.

Skalka nie przestawała się wachlować.

– Przecież sam to wymyśliłeś, nie? Mężczyznę w długich spodniach i koszuli. To może się zgadzać. – Położyła palec wskazujący na blacie stołu.

– Może – zgodził się i wstał. – A na razie porozmawiaj z dzielnicowym i daj znać.

Gross wyjął z szafy za plecami teczkę i położył ją tuż przed Skalką. Sprawa z lipca, której właściwie nie było. Nieporozumienie opiekunów na obozie harcerskim. Zniknięcie obu na dobę, w trakcie której przeszła nawałnica. Na szczęście skończyło się na strachu, nikt nie musiał wypisywać aktów zgonu, bo wtedy obaj mężczyźni wylądowaliby na dołku.

– Boże – jęknęła. – Chodzi ci o tę przypinkę? Przecież mógł ją tam zostawić każdy.

– Co nam szkodzi to sprawdzić? – zapytał.

– Poczekajmy chociaż na daktyloskopię.

– Nie płacą nam za czekanie – powiedział, po czym wziął z biurka stare teczki, na których wierzchu leżała widokówka z Santorini.

I wyszedł.



Skąpany w słońcu pomost, przerzucony nad zachodnim skrawkiem jeziora, dudnił od kroków spacerowiczów i gwaru rozmów. Po drugiej stronie, w pobliżu Plażowej i nabitej młodzieżą plaży Stolbudu, było jeszcze głośniejsze.

Gross szedł po rozgrzanej żużlowej drodze w kierunku garaży naprzeciwko klatek schodowych bloku, w którym mieszkał. Otworzył stare pordezewiałe drzwi, które odpowiedziały głuchym blaszanym jękiem, i odczekał, aż pomieszczenie trochę się przewietrzy. Dopiero potem wsiadł do samochodu. Wrzucił teczkę na siedzenie pasażera, bo nie chciało mu się wchodzić na czwarte piętro bloku tylko po to, by je tam zostawić.

Uruchomił golfa i wyjechał z garażu.

W drodze do Torunia kilkakrotnie próbował złapać Bartka, chociaż wiedział, że to bezcelowe. W przerwach, na zmianę, wybierał numer Mariana Chęcińskiego, technika kryminalistyki. Policjant też nie odbierał, ale różnica była taka, że Gross przynajmniej wiedział, że kolega oddzwoni.

Zaparkował na nowym wielopoziomowym parkingu i ruszył przez wielki plac budowy w stronę starego szpitala.

Na tablicy informacyjnej odszukał nazwę oddziału i poszedł do windy. Kilka osób już tam czekało. Gross zastanawiał się, czy nie wejść schodami, ale zanim zdążył się odwrócić, ktoś krzyknął radośnie:

– Pan wchodzi, zmieścimy się.

Chwilę później żałował, że dał się skusić. Smród kwaśnego potu wymieszany z tanimi perfumami drapał go w gardle i obezwładniał.

– Pan na piąte? – spytał ktoś.

Potwierdził.

– A, no to dobrze, to tak jak ja.

Kiedy jednak winda stanęła na drugim, Gross pchnął plecami drzwi i czmychnął na schody. Przeskakiwał po dwa stopnie naraz. Zmęczony dostał się na oddział za jednym z pacjentów, który stał na klatce schodowej i skończył właśnie rozmawiać przez komórkę.

– Małe dzieci, mały kłopot. – Mężczyzna w dresowych bermudach i skórzanych laczkach pokręcił z uśmiechem głową. Wbił kod na zamku cyfrowym i przepuścił Grossa przodem.

– Pokój pielęgniarstwa po prawej – dodał, kiedy zobaczył, jak nowo przybyły stanął w miejscu i rozglądał się po długim korytarzu.

Policjant podziękował i poszedł we wskazanym kierunku. Rozglądał się za pokojem lekarskim i wdychał zapach obiadu. Minął wózek z dużym garnkiem pomidorowej, którą nalewała do talerzy młoda, grubokoścista szatynka. Nieco dalej, w otwartej wnęce, dostrzegł punkt pielęgniarstwa. Oparł się o wysoki kontuar i czekał, aż lustrująca dane na monitorze pielęgniarka podniesie wzrok.

– Tak? – spytała przyjaźnie, ale nadal wpatrywała się ekran.

– Przyszedłem do żony. Agnieszka Gross.

Kobieta spojrzała na niego.

– Przyjechała ze „Światła”?

– Tak.

– I chce pan rozmawiać z lekarzem?

– Tak, ale najpierw chciałbym zobaczyć żonę.

Sięgnęła po słuchawkę i wybrała numer wewnętrzny. Gross czekał.

– Panie doktorze. – Postukała długopisem w blat. – Jest mąż tej kobiety ze „Światła”.

Komisarz zacisnął zęby.

– Dobrze, już przekazuję. – Odłożyła słuchawkę i ponownie spojrzała na Grossa. – Pokój lekarski jest po lewej. – Wskazała ręką. – Doktor Krzysztof Wiśnia.

– A pokój żony? – wydusił.

– Niech pan pójdzie do lekarza.

Gross odkleił się od kontuaru i z ociąganiem ruszył we wskazanym kierunku. Potem zapukał

i nacisnął klamkę.

Niski mężczyzna w okularach i w białym T-shircie siedział blisko okna. Odwrócił się do drzwi i spojrzął na komisarza znad szkieł.

– Proszę, niech pan wejdzie.

W niewielkim pokoju były cztery stanowiska komputerowe, a na trzech z nich monitory pozostawały wygaszone. Drukarka terkotała, wypluwając kolejne strony. Mężczyzna sięgnął po nie i włożył je do zszywacza. Trzasnął w urządzenie, a potem w odpowiednich miejscach przystawił pieczątki i machnął szybki podpis. Ułożył dokumenty na skraju biurka i ponownie odwrócił się w stronę Grossa. Nie wstał.

Komisarz nie ruszył się z miejsca. Zatrzymał go rodzący się w klatce piersiowej ból. Przyłożył dłoń do mostka i skrzywił się lekko. Na szczęście lekarz na niego nie patrzył. Medyk ściągnął okulary i przetarł zmęczone oczy, po czym westchnął cicho.

– Pana żona... – Zawiesił głos. – Jej stan...

Grossowi zakręciło się w głowie.

– W każdym razie nie wygląda to zbyt dobrze.



Monika Skalska została w gabinecie Grossa. Przejrzała zostawioną przez komisarza teczkę, a potem zabrała ją do swojego pokoju, który wcześniej dzieliła z Grzegorzem Otrembą, a teraz z Judytą Judycką, nowym narybkiem po kursach w Szkole Policji w Pile. Biurko Grzegorza miał wkrótce zająć Janusz Stefański. Plotki o jego przejściu z prewencji słyszała dawno temu. Tuż po tym, jak pochowano Otrembę, Stefański złożył raport u Jojczyk.

Czy lubiła misiwatego i gadatliwego Stefańskiego? Niespecjalnie. Janusz był z gatunku tych, co gwiazdorzą bez ustanku, nawet wtedy, kiedy światła na scenie już dawno zgasły. Taki miał styl. Pławił się w blasku, nie miał oporu przed przypisywaniem sobie czyichś zasług. Więcej paplał, niż robił, taka była prawda. A jeśli już robił, to głównie szum wokół siebie. Nie wierzyła, że sprawdzi się w kryminalnych, chociaż z wcześniejszych rozmów z nim wiedziała, że do policji wstąpił tylko po to, by wyjaśniać zbrodnie. Jednak jego sposób bycia i flegmatyczny styl pracy nie pasowały tu za grosz. Zresztą czuła, że tak naprawdę Stefańskiego ciągnie do Grossa. Przechwalał się, że pomagał komisarzowi zimą w rozwiązaniu tajemniczych spraw śmierci bezdomnego i nastoletniego topielca, chociaż poza tym, że obwoził Grossa radiowozem po Chełmży, w żaden sposób nie przyczynił się do sukcesu śledztwa.

Skalska zastanawiała się, jak szybko Janusz usiądzie przy biurku, przy którym jeszcze niedawno siedział Otremba.

Otworzyła teczkę dotyczącą incydentu podczas obozu harcerskiego. Przewróciła kilka kartek, przeleciała wzrokiem notatki i zapiski z rozpytania. A następnie, nie widząc sensu tej roboty, przedzwoniła do pokoju dzielnicowych. Doliczyła do siedmiu sygnałów i odłożyła słuchawkę, po czym sięgnęła po komórkę.

– Słucham.

Rozpoznała zmęczony głos Marka Ślaskiego, młodszego aspiranta.

– Słuchaj, słuchaj, bo nie będę się powtarzała – rzuciła.

– Wszelki duch! Proszę, proszę! Skałka do mnie dzwoni, no nie mogę uwierzyć. – W jego głosie brzmiała wesołość. – W końcu się zdecydowałaś, co pewnie oznacza, że jednak przyjąłeś zaproszenie na browar po pracy, co? Dziś wyskoczmy?

– Sprawę mam. – Sprowadziła go na ziemię.

– Poczekaj, schowam się do cienia, bo nie wyrobię. Duszno jak cholera, a te mundury, wiesz... Niby letnie, ale pachy mam już odparzone.

„Ignoruj go, pomyślała, ignoruj”.

– Grzebiemy w zdarzeniu z plaży płatnej – wyjaśniła.

– No wiem, słyszałem. Podobno Gross to prowadzi. – Marek nie przestawał sapać. – I jeszcze te meszki pierdolone! Zwariuję zaraz.

– Tak, prowadzi – odezwała się i zamilkła na chwilę. To, co chciała mu powiedzieć, nagle wydało jej się absurdalne. – Chodzi o to, czy nie widziałeś kogoś nietypowego w Kuchni albo w okolicy.

– Nietypowego? Czyli?

– Nietypowo ubranego.

– My, kurwa, jesteśmy nietypowo ubrani, uwierz. Siedzisz sobie na Sądowej, to pot po jajach ci nie leci. Chociaż ty, Skalka, jesteś kobita z jajami, więc nie wiem, jak tam u ciebie z tym potem... Ale uwierz, że ja się tu gotuję...

– Chodzi o to – zbyła jego narzekania – że gdybyś zobaczył kogoś takiego, to daj znać. Sprawa jest pilna.

– Mówisz o facecie?

– Tak, chodzi o mężczyznę.

– Coś konkretnego miał na sobie, ktoś go widział? No dajże mi cokolwiek...

– Kapelusz. Taki z szerokim rondem.

– Dobrze i to. Jak coś mi tu teges, to się odezwę. A ty pomyśl o tym piwie, Skalka.

Rozłączyła się.

Odkąd gruchnęła wieść o jej romansie z Otrembą, co jakiś czas otrzymywała od kolegów podobne propozycje. Wiedziała, że piwo miało być przepustką do jej łóżka, że zwyczajnie chcieli ją przelecieć. Skoro Otremba mógł, to czemu nie oni? No bo co, gorsi? Policjanci, wzory cnót wszelakich, ojcowie rodzin, szczęśliwi małżonkowie.

– Pierdolicie się – szepnęła.

– Kto się ma pierdolić? – Zaśmiała się Judyta schowana za filarem.

Skalska wzdrygnęła się. Powinna była uważać.

– E, sama zobaczysz – westchnęła i wróciła do lektury sprawy, której nie było.



Godzinę później Skalska wybrała numer do jednego z dwóch opiekunów na feralnym obozie harcerskim w lipcu.

– Śródka, słucham. – Usłyszała ciepły męski głos.

– Policja, aspirantka sztabowa Monika Skalska, dzień dobry.

– A, to znowu pani. – Mężczyzna nie krył zniechęcenia. – Co tym razem? Przecież już wszystko sobie wyjaśniliśmy.

– Gdyby tak było, tobym nie dzwoniła. Jest pan w pracy?

– Niechże pani da już z tym spokój! Mówiłem: to było drobne nieporozumienie. Jesteśmy przecież dorośli. Naprawdę nie macie nic innego do roboty?

– Woli pan załatwić to od razu czy mam wypisać zaproszenie do komisariatu?

Mężczyzna odburknął coś niezrozumiale.

– Słucham? – dopytała Skalka.

– Dobra, niech już pani przyjdzie. – Rozłączył się.

Nie zdążyła wstać, kiedy odezwała się Judyta:

– Nurkowie na linii.

– Nurkowie? – Skalska zmarszczyła brwi, ale po chwili przypomniała sobie, o co może chodzić. – Okej. Przełącz.



Gross stchórzył.

Nie przebrał się w jałowe ciuchy, nie wszedł do izolatki, nie zobaczył żony. Próbował się usprawiedliwiać, że zrobił to w trosce o jej zdrowie, że nie chciał wnosić do pomieszczenia dodatkowych zarazków. A tak naprawdę uciekł stamtąd w trosce o siebie.

„To będą decydujące chwile”, brzmiał w jego głowie głos lekarza.

Pamiętał, że przed dziesięcioma laty, tuż po włamaniu, usłyszał podobnie brzmiącą lekarską opinię. Decydujące chwile. Później te chwile zamieniły się w tygodnie, miesiące i lata. Nadal tkwi w tej samej sytuacji. Nadal każdy moment jest decydujący.

Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby Agnieszka zmarła od razu, gdyby jej organizm poddał się wcześniej.

Jechał bezwiednie w kierunku Rubinkowa, osiedla bloków i wieżowców.

Patrzył na drogę, na mijane samochody, a jednocześnie mózg wyświetlał mu obrazy z tamtego zimowego wieczoru, kiedy jego świat runął. Kiedy wysiadał z samochodu zaparkowanego pod domem na Kwiatowej, padał deszcz albo deszcz ze śniegiem. Wracali z jedenastoletnim Bartkiem z zakupów. Z powodu bólu głowy, przechodzącego w solidną migrenę, Agnieszka zdecydowała się na pozostanie w domu. Zaparkowali przy płocie. Zerknął w okna sypialni, wychodzące na jezdnię. Były czarne i nieprzeniknione jak zimowy wieczór.

Wysiedli z auta i wtedy się to stało. Gross usłyszał krzyk. Rzucił siatki pełne zakupów i popędził przez otwartą furtkę, a następnie przez otwarte drzwi domu. Na parterze nikogo nie zauważył. Wykrzykiwał imię żony, ale za każdym razem odpowiadała mu cisza. Pognał schodami na górę i w uchylonych drzwiach do sypialni dostrzegł jakiś ruch. Pchnął je.

Pamiętał, że najpierw zobaczył swobodnie zwisającą z łóżka rękę żony, dopiero potem siedzącego na niej okraciem mężczyznę w kominiarce, który przyciskał do jej twarzy poduszkę. Ale było już za późno. Gross to doskonale wiedział. Mózg, chroniąc go przed prawdą, wykasował z jego pamięci niemal wszystko to, co się wydarzyło potem. Miał tylko kilka przebłysków pamięci, stałych obrazów, które pojawiały się za każdym razem, gdy wracał myślami do tamtych zdarzeń.

Najpierw ciemność, potem niewyraźny obraz.

Goni mężczyznę na parterze domu, zadaje mu cios nożem, przecina skórę na prawej łopatce.

Ciemność.

Stoi na dworze, mroźny deszcz pada mu na twarz. Prostuje rękę, w której trzyma broń, i celuje w plecy uciekiniera.

Ciemność.

W tej samej chwili, kiedy jego broń wypala, zostaje ogłuszony i zwała się bez świadomości na lodowaty chodnik przed wejściem do domu. Kilkadziesiąt metrów dalej od tego strzału pada przechodząca nieopodal kobieta.

Ciemność.

Długa ciemność.

I wreszcie koniec.

Z tego najgłębszego mroku wychodził na raty, pokiereszowany, zdruzgotany i bezsilny. Gubił

się w nim, kluczył, odbijał od ścian. Raz trzymał syna za rękę, a innym razem w niewytłumaczalny sposób puszczał go i chwilę później już nie mógł go odnaleźć. Płakał wtedy i wył jak zbity pies.

Ciemność, która nigdy go nie opuściła. Rzuciła cień na wszystko, co się działo w jego życiu. I na niego samego. Mężczyznę z cienia.

Od dziesięciu lat nosił w sobie trzy winy, rozwijające się jak rak w miękkiej tkance płuc. Nie ochronił swojej żony. Stracił syna. Zabił tę niewinną kobietę.

Jednak zdaniem policjantów z Poznania, którzy prowadzili śledztwo w tej sprawie, kąś wejścia pocisku w ciało postronnej sugerował, że strzał padł z innego miejsca niż to, w którym znaleziono nieprzytomnego Grossa.

Tyle komisarz wiedział po dziesięciu latach. Od tamtej pory śledztwo nie posunęło się o krok.

Wjechał na parking przy Łyskowskiego, naprzeciwko jednego z pierwszych wieżowców na Rubinkowie. Odliczył piętra i popatrzył w okna mieszkania, które zajmowała córka kobiety zastrzelonej tamtego dnia przez nieznaną sprawców.

Nic się w tej sprawie nie zgadzało.

Mężczyźni – bo było pewne, że weszli do domu we dwójkę – mieli broń, a jednak nie zastrzelili Agnieszki, woleli ją udusić. Może coś ich zaskoczyło? Być może zmyliły ich pogaszone światła. Sądziła, że dom jest pusty.

Ale czego w ogóle szukali?

Gross był tylko trybikiem w maszynie, nie zależał od niego przebieg śledztw. Nie on je prowadził, nie on nadzorował. Pracował najlepiej, jak umiał, ale w toruńskiej komendzie nie był nikim szczególnym. Dlaczego więc włamali się do jego domu? Czy miało to jakikolwiek związek ze śledztwami, w których wtedy uczestniczył? Na przykład tym prowadzonym przez policjantów z wewnętrznego, którzy mieli na celowniku kilku kryminalnych, kolegów Grossa, układających się z gangsterami, przyjmujących łapówki i używających sobie z podstawianymi przez bossów lokalnych grup przestępczych dziwkami?

Tego też miał się już nigdy nie dowiedzieć.

Gross wyłączył silnik.

Z klimatyzowanego wnętrza samochodu wysiadł na powalający upał. Smagały go gorące poddmuchy niespokojnego wiatru. W oddali na nieboskłonie dostrzegł zwarte pola czarnych chmur.

Przeszedł przez ruchliwą jezdnię w niedozwolonym miejscu, a następnie skierował się do jednej ze środkowych klatek schodowych. Nie wiedział, dlaczego to robi, w jakim celu nachodzi tę kobietę, chociaż zdawał sobie sprawę, że ona zwyczajnie się go boi. Wciąż był dla niej mordercą jej matki, człowiekiem, który uniknął kary tylko dzięki temu, że był policjantem. Nie dziwiło go takie myślenie, a jednak przyjeżdżał zarówno tu, jak i na grób jej matki, na którym zapalał znicz i zostawiał kwiaty, w duchu przeprasząc za to, co zrobił. Stał w ciszy, najchętniej wieczorami, kiedy mógł liczyć na to, że nie spotka nikogo z jej rodziny.

Wciąż nosił w sobie winę, jak podskórną zadrę. Była w nim dopiero od dziesięciu lat, ale miał wrażenie, że towarzyszy mu od zawsze.

Z klatki schodowej wyszedł emeryt, Gross doskoczył do drzwi, zanim te się zamknęły. Windą, w której panował zaduch, wjechał na piętro, a potem nacisnął dzwonek przy drzwiach. Działał szybciej, niż myślał, co zaczynało go przerażać. Nie wiedział, co powie kobiecie, kiedy ta stanie w progu.

Usłyszał szczekanie psa, jej pięknego, podpalanego cavaliera, z którym często wychodziła na spacer. Wpatrywał się w wizjer, ale nie dostrzegł w nim żadnego ruchu. Pies nadal ujadł.

– Spokojnie, Portos, spokojnie – rzekł cicho Gross.

Zwierzę zaskomlało. Zza drzwi dochodziły teraz krótkie popiskiwanie, do których dołączył odgłos drapania parkietu.

– Dobrze psisko, dobre. – Gross wycofał się do windy i zjechał na parter.

Wiatr wzmógł się jeszcze bardziej. Świszczał i ciskał drobinkami piasku w jego stronę. Komisarz pochylił głowę i skierował się na parking. Zmrużył oczy i z trudem usłyszał dzwonek swojej

komórki.

– Halo? – rzucił, odwracając się od wiatru.

– Panie komisarzu, tu aspirant sztabowy Miłosz Wiernat, Komenda Wojewódzka Policji w Bydgoszczy, ogniwo służby wodnej. Nie wyrobiliśmy się wcześniej, mieliśmy sporo roboty w regionie. Sam pan zresztą wie, jak to wygląda.

– No i?

– Aspirant sztabowa Skałka wskazała...

– Aspirant sztabowa Skalska – poprawił go Gross.

– Dla mnie Skałka, bo znamy się z Legionowa. – Zaśmiał się. – Wracając do sprawy, rozpoczęliśmy właśnie przeszukanie dna we wskazanym miejscu, ale... – Mężczyzna zawiesił głos.

Gross zatrzymał się w pół kroku.

– Po prostu byłoby dobrze, gdyby pan tu przyjechał. – Usłyszał. – I to szybko, bo zanoszą się na burzę.



Jacek Śródka miał kilka kiosków w Toruniu i sklepik w chełmżyńskim szpitalu. Kiedy Skalska weszła do przeszklonego pomieszczenia na parterze, w pobliżu izby przyjęć, Śródka rozpakowywał właśnie czekoladowe batony ze zbiorczych kolorowych opakowań i układał je na półkach pod ladą. Od tyłu wyglądał na szczupłego, miał długie i chude nogi, patykowate ręce, ale kiedy się odwrócił, jego brzuch przypominał kształtem i wielkością piłkę do koszykówki.

– O! Szybko pani poszło, nie zdążyłem jeszcze z robotą – mruknął spod ciemnego wąsa. – Poczekaj pani chwilę?

Skalska kiwnęła głową i sięgnęła do kieszeni szortów po drobne.

– Sam pan dzisiaj?

Potwierdził skinieniem głowy. Dopiero teraz policjantka zwróciła uwagę na brudny bandaż elastyczny owinięty wokół prawego nadgarstka mężczyzny.

– Na zwolnienie młoda siksa poszła, kurwizjon jeden. Łaziła za mną pół roku, żebym w końcu dał jej tę robotę na cały etat, i co? Kiedy się migalem, dała jasny sygnał, że chce odejść, ale jakoś udało mi się ją zatrzymać. Raz premię dałem do ręki, raz coś tam innego załatwiłem. Wreszcie pomyślałem, że warto. Przekonała mnie, bo była sumienna i pracowita. – Odrzucił ze złością pusty karton na podłogę. – I co?

Skalska wzruszyła ramionami, dając znać, że nie będzie się bawiła w zgadywanki, po czym sięgnęła po paczkę gum balonowych dla dzieci. Odliczone monety położyła na tacce przy kasie.

– I wzięła sobie L4 – dokończył.

– Każdemu może się zdarzyć, nie? – Policjantka odpakowała listek gumy i wsunęła go sobie do ust.

– Nie! Właśnie nie każdemu. O nie! – Pokiwał palcem. – Okazało się, że ta mała pipa... – Powstrzymał się. – Że ta pipa jest w ciąży.

Skalska nie odpowiedziała. Żuła gumę i przyglądała się, jak Śródka poprawia ułożenie batonów i gum, jak przesuwa je na wolne miejsca, żeby były bliżej klientów.

– I teraz mam za swoje dobre serce, chociaż żona nieraz mnie ostrzegła. Mówiła, że jestem łatwowski i że inni to wykorzystają. – Właściciel zebrał z podłogi puste kartoniki i przeniósł za ladę. Tam rozłożył je na płasko i położył na stosie innych papierów przy lodówce z napojami.

– A w rękę to co się panu stało? – spytała Skałka.

– A nic tam, drobnostka.

– Twardzi faceci nie potrzebują bandaży. To pan tak powiedział, nie?

– Kiedy?

– No w lipcu, kiedy już pana odnaleźliśmy.

– Aaa... Tamto wtedy to było ledwie zadrażnienie, wystarczyłby plaster.

Skałka pamiętała jego okazałą ranę na ramieniu. Twierdził, że w trakcie wichury spadł na niego konar i przeciął mu skórę.

– Teraz też ma pan otwartą ranę?

– A skąd! – Oburzył się i odwrócił do lodówki, żeby wyjąć puszkę coli. – Zwicnąłem sobie nadgarstek. Tutaj, w tym sklepie. Karton z mlekiem źle złapałem, wymusnął mi się z ręki, a drugą nie dałem rady go utrzymać. I bach!

Skałka odnotowała to w pamięci.

– A wtedy, w lipcu, na obozie, też był pan łatwowny?

Śródka teatralnie przewrócił oczami i przetarł spocone czoło. Otworzył colę i wypił kilka łyków.

Do sklepu wszedł starszy mężczyzna. Zdjął z półki gruby zeszyt krzyżówek, wybrał ciastka z cukrem. Zapłacił, zabrał resztę, po czym stanął przy stojaku z czasopismami.

Skałka przyglądała się pacjentowi szpitala tak długo, aż w końcu przyciągnęła jego wzrok.

– Muszę porozmawiać z właścicielem – rzuciła.

– To wolny kraj. Mogę robić, co chcę – odparł spokojnie mężczyzna.

Zaczekali więc w ciszy, aż facet się ulotni.

– Dlaczego pani do tego wraca? Wydarzyło się coś? – spytał Śródka, kiedy zostali sami. Przez chwilę patrzył na aspirantkę, a potem nagle się roześmiał. – Ktoś złamał przysięgę harcerską?

– Przyrzeczenie.

– Słucham?

– Przyrzeczenie, nie przysięgę. Powinien pan to wiedzieć.

– Nie jestem harcerzem ani nigdy nie byłem. Potrzebowali opiekuna z kursem pedagogicznym, to się zgłosiłem, poza tym chciałem trochę odpocząć od tej roboty. – Rozejrzał się po sklepiku.

– Ale się nie udało.

– O Jezu! – jęknął. – Pani ciągle to samo.

Skalska dobrze pamiętała, co zeznali wtedy Jacek Śródka i harcmistrz Andrzej Cebulkiewicz, pełniący funkcję skarbnika, kiedy zniknęli z obozowiska. Stwierdzili, że tego dnia harcerze mieli jechać na wycieczkę do Torunia z innymi opiekunami, więc obaj mężczyźni z rana wybrali się na grzyby. Zrobili sobie długi spacer, a kiedy zastała ich burza, próbowali wrócić do obozowiska, ale nie dali rady. Nawałnica kładła drzewa, nie widzieli dalej niż na dwa metry, więc w trosce o własne życie musieli przeczekać noc w lesie. Wrócili mokrzy i zziębnięci. Skałka spytała ich wówczas, gdzie są te grzyby, których podobno nazbierali, ale zarzekali się, że pogubili je w trakcie szalejącej trąby powietrznej.

Policjantkę zastanawiało jednak coś innego. Wspólnie z Grossem pojawili się w obozowisku tuż po anonimowym zgłoszeniu o zaginięciu opiekunów, a kiedy przybyli na miejsce, obaj teoretycznie zaginieni mężczyźni już się odnaleźli. Nie ukrywali jednak, że długo ich nie było.

– I pan wie, i ja wiem, że to bzdury.

– Jakie tam bzdury – zachnął się Śródka.

– Jeszcze do pana przyjdę – powiedziała, kierując się do wyjścia.

– Zapraszam, zapraszam, dobrych klientów jak na lekarstwo. – Zaśmiał się głośno, ale nie rozbawił Skałki.

Uśmiechnęła się dopiero po chwili.

– Pewnie pan nie wie, ale ta sprawa wraca – rzuciła i wyszła.

Przeszła wolno wzdłuż witryny sklepowej, wciąż obserwując mężczyznę.

I zobaczyła, jak jego uśmiech pod gęstym wąsem zaczyna przygasać.

Aż w końcu zupełnie znikł.



Gross przejechał szlaką na sam koniec cypla. Mijał niezadowolonych plażowiczów, którzy musieli schodzić mu z drogi i ustępować miejsca. Poza tym z plaży przegoniły ich zbierające się nad jeziorem kłębowiska ciężkich stalowych chmur. Porywisty wiatr wyginał gałęzie drzew i krzewów, szarpał przybrzeżną trzcina.

Komisarz zaparkował pod lasem obok dacji duster z doczepioną przyczepą i spojrzał w prawo, gdzie policyjna motorówka kołysała się na wzburzonym jeziorze. Na ładzie odwrócony do Grossa plecami dowódca podniósł krótkofalówkę do ust, a następnie dał znać ręką. Motorówka zawróciła i przyspieszyła w kierunku plaży miejskiej i tamtejszej przystani znajdującej się przed konkatedrą, na przedłużeniu ulicy Rybaki.

Gross stanął przy policjancie. Uścisnęli sobie dłonie w chwili, gdy pierwsze fale wzburzonego przez motorówkę jeziora uderzyły o brzeg, a warkot silnika cichł porywany przez silne podmuchy wiatru. W zniekształconej powierzchni wody odbijały się ciemne chmury.

Aspirant sztabowy Miłosz Wiernat odezwał się pierwszy.

– Muszę coś panu pokazać. – Skierował się do dacji.

Kiedy się przy niej znaleźli, rozsuptał sznurek plandeki i uniósł jej tylną część.

– Widzi pan, komisarzu?

Gross zerknął do środka i poczuł intensywny, dławiący zapach zastalej, kwitnącej wody i glonów.

– Co to jest? – spytał.

– Pomyślałem, że go panu pokażę.

Komisarz raz jeszcze przyjrzał się znalezionej ustawionej w kałuży wody na środku blaszanej, nierównej podłogi. Dopiero teraz dotarło do niego, na co patrzył.

Wózek dziecięcy.

Spacerówka, podobna do tej, której kiedyś używali z Agnieszką, gdy wychodzili z dwuletnim Bartkiem na spacer. Otrzymali ją od znajomych, którzy zamierzali pozbyć się niepotrzebnego już sprzętu. Wychowali dwójkę dzieci, kolejnych nie planowali. Kiedy się dowiedzieli, że Agnieszka jest w ciąży, ściągnęli pomarańczowy wózek z poddasza. Prosty model, składany, na niewielkich kołach, w którym dziecko siedziało przodem do kierunku jazdy.

Spacerówka wyciągnięta niedawno z jeziora wyglądała jak z *Drogi* Cormaca McCarthy'ego, którą kiedyś czytał żonie. Podziurawiony materiał siedziska sparcał, a mokre nitki zwisały bezwładnie. Stalowe rurki, składające się na konstrukcję wózka, pordzewiały i pokryły się glonami, podobnie jak pełne koła, przy których sterzczały wodorosty. Gumowe obręcze, odgrywające rolę opon, już dawno musiały odpaść. Jednak nie to przyciągało wzrok Grossa.

– Czy to jest... – Chciał dokończyć, ale przecież znał odpowiedź.

– Wygląda jakby od krowy, nie? – powiedział młody policjant, kiedy pierwsze grube krople deszczu uderzyły o granatową plandekę przyczepy.

Tuż obok złowrogo zaszumiały drzewa.

Gross pochylił się i wytężył wzrok.

Chodziło o grubą, skorodowaną łańcuch, który niczym sznur oplatał wózek. Jeden jego koniec, ten z dużym gwoździem z szerokim, stłuczonym łbem, spoczywał między przednimi kołami. Drugi tworzył pętlę zamkniętą zardzewiałą kłódką. Albo ściślej mówiąc – rodzaj kotwicy, bo łańcuch przechodził przez trzy cegły dziurawki wypełnione mułem.

– Zawiozę do laboratorium, może wyciągną z tego coś więcej. – Wiernat opuścił plandekę

i przewiązał ją. – Powiem, by poinformowali pana o wynikach.

Gross skinął głową, ale poprosił, by policjant zaczekał. Cofnął się do wozu po formularz protokołu oględzin, żeby zabezpieczyć procesowo to znalezisko.

– A jak poszukiwania ciała i narzędzia zbrodni? – zapytał, wypełniając dokument.

– Skalka była tu cały czas, wskazywała nam miejsca, w których mamy szukać – powiedział Wiernat i spojrzął na pomarszczoną taflę jeziora, którą deszcz siekł z ukosa. – Niestety, do tej pory nic nie znaleźliśmy. Ani narzędzia zbrodni, ani tym bardziej ciała.

Komisarz skończył pisać i polecił Wiernatowi natychmiast złożyć wizytę ze znaleziskiem na tutejszym komisariacie, dopiero potem odwieźć je do laboratorium. Wolał dmuchać na zimne i zabezpieczyć odnalezione przedmioty zgodnie z procedurą. Przy nim zadzwonił do dyżurnego, żeby ten przydzielił młodemu policjantowi jakiegoś operacyjnego do pomocy.

– Załatwcie to porządnie – dodał na koniec i rozłączył się, po czym popatrzył na Wiernata. – Dobra robota. Może pan już jechać.

– Dziękuję. – Uśmiechnął się funkcjonariusz. – Postaramy się jeszcze jutro tu rozejrzeć, o ile pogoda pozwoli – dodał, uchylając drzwi dacji.

Gross uniósł dłoń na pożegnanie i wrócił do swojego samochodu. Dopiero wtedy poczuł, jak zupełnie mokry T-shirt przylega do ciała i ziębi je, a uczucie to wzmagął zimny wiatr, który gnał czarne chmury nad opustoszałe, gotowe na kolejną ulewę miasto.



W domu Gross wstawił wodę na herbatę. Gdy czajnik wypłukał kłęby gorącej pary, na zewnątrz ściana deszczu odcięła komisarza od rzeczywistości. Przez spływające po oknach strugi niewiele mógł zobaczyć. Ściemniło się. Grzmoty i błyski następowały krótko po sobie. Nie widział już patynowanej kopuły konkatedry, z trudem dostrzegał zarys gotyckiej wieży pobliskiego kościoła Świętego Mikołaja.

Kiedy zalał sobie ekspresową herbatę i postawił ją na stole, najpierw pomyślał o tym, by skupić się na robocie modelarskiej. Czuł, że sztywnieją mu palce, które warto by było rozruszać, a poza tym wiedział, że to zajęcie pozwoli mu swobodnie pomyśleć o sprawie tajemniczego zabójstwa na polanie. Usiadł więc przy warsztacie modelarskim, ale przypomniało mu się, że w całym bloku nie ma prądu. Mimo to przyjrzał się ułożonym pod ścianą pudełkom z modelami. Stały jedno na drugim w trzech wieżach. Kucnął przy nich. Dostrzegł kilka motocykli, ale po tym, co spotkało go ze strony syna, nie miał najmniejszej ochoty na kolejną przygodę z jednośladami. Kusiły go niezłe grafiki zdobiące wieka kartonów z samolotami. Myślał zarówno o niemieckich, jak i brytyjskich myśliwcach z okresu II wojny światowej, ale po chwili zdał sobie sprawę, że na razie też nie jest nimi zainteresowany. Dopiero trzeci stosik, ten z pojazdami pancernymi, przykuł jego uwagę. Niemal automatycznie sięgnął po niewielkie pudełko japońskiej firmy Tamiya, na którym narysowana była lekka amfibia Wehrmachtu – *schwimmwagen*, model 166. Dlaczego wcześniej o niej nie pomyślał? Pamiętał, że niewielki pojazd powstał na bazie prostej i taniej konstrukcji garbusa, przez co wyglądał jak większa wanna z dołączonymi kołami i jednym zapasowym, umiejscowionym między reflektorami na masce. Gross zdjął wieko i wyjął zafoliowane, beżowe wypraski, do których poprzyczepiane były wszystkie elementy konstrukcyjne pojazdu. Wyciągnął także schowaną w pudełku dokumentację, wycinki z gazet i kserokopie fotografii, które udało mu się kiedyś wyszperać w bibliotece toruńskiego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Wszystko po to, by uczynić z tych kilku niewielkich plastikowych elementów replikę prawdziwego pojazdu biorącego udział w działaniach na tyłach frontów.

Na pierwszym planie przedruku starej wojennej fotografii ze *schwimmwagenem* widać było

śpiącego w amfibii pasażera, a nieco dalej kierowcę, który przeciągał się w pobliżu skrzyżowania i stojącej tam wiejskiej kapliczki maryjnej.

Karton z modelem ułożył na macie modelarskiej. Sprawdził, czy ma wszystkie farby niezbędne do jego pomalowania. Okazało się, że brakuje dwóch z trzech kolorów używanych jako barwy maskujące – *rotbraun* i *dunkelgrün*. Zapisał numery farb na niewielkiej kartce i schował ją do portfela. Zamierzał poprosić sekretarkę Różycką o zrealizowanie zakupu przez internet. Przy okazji dopisał pozostałe braki – papier ścierny do wygładzania nierówności i nowy skalpel, bo stary przestał się sprawdzać już przy motocyklach. Tępy nóż schodził z linii cięcia i powodował uszkodzenia, które później należało zaszpachlować i wyszlifować.

Gdy skończył oglądać model, spróbował ponownie zapalić lampy kreślarskie, których używał do pracy, ale prądu wciąż nie było. Cmoknął niezadowolony.

Zostawił pudełko z pojazdem. Następnie sięgnął po teczki zabrane z pracy. Te, które dał mu Brandol z prośbą o przyjrzenie się niewyjaśnionym, starym śledztwom kryminalnym.

Zabrał je do kuchni i położył na stole. Przeniósł też herbatę, która zdążyła ostygnąć. Odszukał także świeczkę i podpalił zwęgloną końcówkę knota zapalką.

Wreszcie otworzył pierwszą teczkę i wciągnął się w świat starych zbrodni i zaginionych przed laty osób. Kroniki policyjne były ich pełne. Większość spraw była do siebie podobna. Ktoś wyszedł z domu i nigdy do niego nie wrócił. Policjanci znajdowali ciała, a nawet narzędzia zbrodni, ale nie byli w stanie złapać sprawcy albo ten unikał kary z powodu źle zabezpieczonych dowodów, zresztą często obalanych przed sądem przez zawziętych, oddanych sprawie i dobrze opłacanych obrońców. Nic dziwnego, że od niedawna w wojewódzkich komendach działały kilkusobowe sekcje do spraw otwartych i niewyjaśnionych, nazywane przez media policyjnym Archiwum X.

Gross odłożył ostatnią teczkę, po czym sięgnął po tę, którą przeglądał jako pierwszą. Dotyczyła niewyjaśnionego zaginięcia młodej matki. W niewielkiej wsi położonej na południowy wschód od Chełmży kobieta wyszła z domu razem z dwumiesięcznym synem, zostawiwszy w domu męża i niemal półtoraroczną córkę.

Przypominało to Grossowi sprawę zaginięcia Joanny Zawadzkiej z Kikoła z lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku. Wtedy to młoda matka dziewięćmiesięcznej dziewczynki wyszła do koleżanki pokazać jej album ze zdjęciami swojej pociechy. Było krótko po dwudziestej pierwszej, kiedy przecięła chodnik dzielący dwa sąsiadujące ze sobą bloki. I nagle ślad po niej zginął. Sprawę, dzięki inicjatywie dorosłej już córki zaginionej kobiety, prowadziło kujawsko-pomorskie Archiwum X.

Herbata już wystygła, dlatego raz jeszcze nalał wody do czajnika i podpalił gaz. Na zewnątrz noc wygrała z dniem.

Niebieski blask ognia odbijał się w opartej o ścianę emaliowanej pokrywie kuchenki. Gross przetarł ją zwilżonym ciepłą wodą ręcznikiem papierowym i pousuwał tłuste, drobne plamy od pryskającego z patelni oleju.

Potem sięgnął do ciemnej lodówki, z której wyjął stwardniałe masło i kostkę chudego twarogu. Gdy zagotowała się woda, przygotował sobie kanapki z grubymi plasterkami białego sera. Oblał je ciemnym miodem, który później obficie ściekał mu między palcami na talerz.

Jadł kolację w ciszy i co rusz spoglądał na swoje odbicie w czarnym oknie. Myśli w jego głowie niczym małe fale uderzały o brzeg i rozlewały się po ubitym piasku, by po chwili wrócić do jeziora. Raz jedna, raz druga. Raz myślał o miejscu zbrodni w pobliżu plaży płatnej i o nieznannej kobiecie, która straciła tam życie, raz widział skrępowany łańcuchem dziecięcy wózek zatopiony w jeziorze, a innym razem wyświetlały mu się w głowie kartki ze skoroszytu zawierającego dokumenty w sprawie zaginionej kobiety – młodej żony i matki ze Strużala.

Zostawił tę teczkę na wierzchu tylko dlatego, że mąż i córka zaginionej wciąż żyli i wyglądało na to, że stary mężczyzna, były rolnik, nadal interesuje się tą sprawą, nie traci nadziei. Córka uaktywniła się tuż po osiemnastce. Właściwie nie знаła ani matki, ani brata, bo kobieta zniknęła kilkanaście miesięcy po jej urodzeniu.

Już jako dorosła starała się przypominać o zaginięciu matki w mediach lokalnych i społecznościowych. Gross widział wydruki printscreenów z jej postów na Facebooku, zawierające apele z dołączonym, niezbyt wyraźnym, ale kolorowym zdjęciem kobiety. Wycinki z prasy najczęściej zawierały tę samą treść, czasami wypowiedzi młodej kobiety.

Zdaniem Grossa uśmiech matki na zdjęciu, które odnalazł w aktach, nie wyglądał naturalnie. Albo tak mu się tylko zdawało. Miał jednak wrażenie, że kobieta zmusiła się, by podnieść kąciki ust, i zrobiła to po prostu od niechcenia – na prośbę fotografującego.

Zdjęcie wykadrowano z szerszego ujęcia, przedstawiającego także męża gospodyni oraz szwagra w trakcie imienin tego pierwszego, o czym dowiedział się z policyjnej adnotacji. Na pierwszym planie był szwagier, pośrodku mąż, a ona prawie schowała się za nim, roslym mężczyzną. W zasadzie było widać jedynie jej twarz.

Fotografia, jak wskazywała data zamieszczona w rogu, została zrobiona szesnastego lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. Gross sprawdził, że była to sobota. Ich córki ani jej młodszego brata na fotografii nie było.

Stół ugiął się od tataru, sałatek, wódki i zapewne ciepłych dań w szerokich półmiskach, a także kanapek z sałatą, serem, szynką, pomidorami lub ogórkiem. Ale jej talerz, chociaż częściowo zasłonięty przez butelkę wódki, wyglądał na czysty, nietknięty. Talerze mężczyzn były pełne potraw, widelce i noże krzyżowały się na nich lub zwyczajnie opierały o brzegi zastawy.

Może wykończona przygotowaniami dopiero usiadła do stołu? Może właśnie skończyła podgrzewać bigos i zanim nałożyła gościom porcje, ktoś sięgnął po aparat i zrobił zdjęcie?

Kobieta była młodsza od swojego męża o dziesięć lat. Gross odnotował to w pamięci. Tak samo jak to, że od kilku lat, w rocznicę zaginięcia żony, mężczyzna pojawiał się na komisariacie, żeby porozmawiać z Brandolem. A ten sporządzał sprawozdanie z każdej takiej wizyty na kartce i dopinał do teczki. Ostatnia była dołączona do akt kilka tygodni temu, bo kobieta zaginęła osiemnastego lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. Podkomisarz krótko spisywał to, o czym rozmawiali i czas trwania wizyty siedemdziesięcioletniego obecnie Stefana Palacza. Ich niedawne spotkanie okazało się dłuższe niż poprzednie. Brandol przekazał Palaczowi, że ze względu na stan zdrowia i przejście na emeryturę widzi się z nim ostatni raz.

Jak wynikało z akt, Brandol przejął tę sprawę niemal piętnaście lat temu. Przez chwilę Gross zastanawiał się, co czuł podkomisarz, zdając starszemu mężczyźnie relację z niepowodzenia. Przez tyle lat nie udało mu się dotrzeć do prawdy albo zbliżyć do niej chociaż o krok. Rozumiał teraz zdenerwowanie Brandola. I rozumiał także uczucia pogrążonego w smutku męża zaginionej, ofiary tych wszystkich policyjnych zaniedbań, nieudolności i niekompetencji. Gross nie sądził, by wynikały one ze złej woli, ale nie miał złudzeń, że do nich się właśnie sprowadzały stare, niewyjaśnione zaginięcia.

Popatrzył na uśmiechniętego, silnego mężczyznę ze zdjęcia, rolnika z kruczoczarnymi włosami i długimi bokobrodami, solenizanta sprzed trzydziestu lat, i zastanawiał się, co z jego urody zostało do dziś. Był ciekaw, jak starość, połączona z wieloletnią troską i bólem, zmieniła jego rysy. A właściwie chciał wiedzieć, jak sam zmieni się z wiekiem, dotknięty podobną traumą. Jak naznaczą ona jego fizjonomię? Czy pociągnie kąciki ust ku dołowi? Czy górne powieki opadną i przysłoniwszy oczy, ledwie będą się unosić?

Spojrzał na swoje odbicie w ciemnej, chłostanej deszczem szybie. Prawą połowę twarzy widział wyraźnie, bo oświetlał ją blask świecy. Lewa tonęła w mroku.

Tak jak wszystkie jego myśli.



Siedzącego w całkowitej ciszy i ciemności Grossa przestraszyły nagły rozbłysk światła w łazience i terkot załączonej lodówki.

Wstał i zmrużył oczy. Odstawił brudne naczynia do zlewu, schował miękkie masło i twaróg.

Wziął teczkę, o której tak intensywnie myślał, i położył ją przy łóżku.

Poczuł się skrajnie zmęczony. Skorzystał z prysznica, po czym pogasił światła, żeby chwilę później móc otworzyć wszystkie okna. Nie zamierzał już przeglądać sprawy zaginionej przed trzydziestu laty kobiety, miał jednak nadzieję zrobić to zaraz po przebudzeniu.

Kiedy tak leżał, poczuł muskanie przyjemnych, chłodnych powiewów znad jeziora, które dawały nadzieję na zmianę pogody i ustąpienie fali upałów. Po chwili dotarły do niego stłumione odgłosy spokojnego miasta. Daleki krzyk, wyraźny skowyt psa, a w tle szum opon i silników przejeżdżających opodal samochodów. I gdzieś w pobliżu równomierny chrzęst szlaki pod czyimiś butami.

Wszystkie te dźwięki wkrótce zaczęły zanikać, aż wreszcie nocna cisza przybrała na sile i zaczęła syczeć mu delikatnie w uszach.

Gross przewrócił się na bok, oddychał spokojnie, a obrazy same napływały, odbierając mu ochotę na sen, którego tak pragnął. Najpierw mignęło mu pod powiekami zdjęcie Krystyny Palacz, zaginionej matki ze Strużala, a zaraz potem pojawiła się wychudzona twarz schorowanej żony, w której nie odnajdywał już tej pięknej Agnieszki, tej z kościoła, w którym brali ślub, ani tej z wiosennych spacerów z Bartkiem w wózku. Zbrzydła, zmizerniała, zapadała się w sobie. Jej przesuszona skóra opinała wątle mięśnie i wystające kości. Przeszedł go dreszcz. Pamiętał, jak się kochali w ciszy, żeby nie obudzić śpiącego w pokoju obok dwuletniego syna. Słyszał wówczas jej przyspieszony oddech, stłumione westchnienia, kiedy wchodził w nią głębiej, kiedy przyspieszał. Pamiętał, jak zaciskała z rozkoszy powieki i przygryzała wargę, gdy zwalniał. Potem zaczynała się pod nim wic. Ścisnął jej pierś i ssał zapamiętane nabrzmiały sutek.

Obraz zmienił się nagle, jak odbicie w zmaconej wodzie.

Gross ujrzał teraz wątlą pierś żony. Nie wiedział, czy to był sen, czy kiedykolwiek całował jej piersi po tym, co się stało dziesięć lat temu. Czy rzeczywiście podciągnął jej piżamę i pieścił ją, gdy była nieprzytomna? Czy nie byłby to rodzaj gwałtu? Czy miał prawo to zrobić? Zasypywał się podobnymi pytaniami, nie znajdując odpowiedzi. Miał nadzieję, że wszystkie te dylematy roztrząsał we śnie, że nic podobnego nie zdarzyło się naprawdę. A poza tym gdzie miałyby do tego dojść? W szpitalu albo zakładzie opiekuńczo-leczniczym? „To nienormalne”, oburzył się w myślach.

Poczuł, że brakuje mu tchu, a tętno przyspiesza. Nie czuł już powiewów chłodu, jego ciało było gorące, serce dudniło.

Przypomniał sobie mężczyznę, który jeszcze niedawno, zimą, radził mu erotyczne stymulowanie żony. Grossa zemdliło. Ponownie, tym razem jakby spod sufitu, zobaczył siebie, jak ssie sutek obwisłej piersi nieprzytomnej żony. Z jej ust ściekała ślina. Nie czuła jego pieszczot, a mimo to nie przestawał tego robić. Spoglądał w jej półprzymknięte oczy i doskonale wiedział, że jej ciało nie podda się jego pieszczotom, sutek nie stwardnieje, nie napręży się, jak to bywało wcześniej, gdy kochali się dawno temu, kiedy oboje byli młodzi i zdrowi.

I wtedy tuż przy uchu przeleciał komar. Nieznośny wizg skrzydeł sprawił, że Gross poderwał się z półsnu.

Pozamykał okna i zapalił światło. Musiał znaleźć tego owada, inaczej nici ze spania.

Musiał go znaleźć i zabić.



Skalska znowu wypięła za duzo, ale zrobila to, by zapomniec o tym, co sie wydarzylo poprzedniej nocy. Przeczuwala nadchodzace klopoty, ale im wiecej piła, tym częsciej wspomnienie wracalo, za kazdym razem coraz wyraźniejsze. Tęsknota za Otrembą, ale i pokusa rozpalaly w niej chęć doznań seksualnych.

Grzegorzowi Otrembie, z którym pracowala, mężowi Eweliny i ojcowi dwóch córeczek, oddawala się całkowicie. Znal jej ciało i wiedzial, jak je pobudzic. Jakby mial zapisana gdzieś w glowie mapę jej stref erogennych, miejsc, które dla niej samej wciąż pozostawaly nieodkryte. Dlatego w łozku dawala mu wolną rękę.

Tymczasem wczorajszy seks byl zupełnie inny. Jeśli chciala odczuwac podobną przyjemność przy młodym, musiala przejac stery i być bardziej aktywna. Jednocześnie pociągalo ją coś w tym rodzącym się w nastolatku mężczyźnie, jakaś niewinność przemieszana z niemal zwierzęcym požądaniem. Esencjonalność, z którą juz dawno nie miala do czynienia.

Monika Skalska odstawila butelkę wina do barku, zabrala pusty kieliszek i przeszla z salonu do kuchni, gdzie zostawila brudne naczynie.

W łazience napełnila wannę ciepłą wodą i zanurzyla się w niej całkowicie. Woda zalala jej uszy i szczypala w otwarte oczy. Wstrzymala oddech, ale przez cały czas wpatrywala się w sufit. W uszach jej brzęczalo, czula bicie serca w piersi. Wreszcie, kiedy wyczerpala zapas tlenu, wysunela się nad powierzchnię, rozchlupujac wodę na podłozde, i gwałtownie nabrala powietrza.

Wtedy właśnie uslyszala przytlumiony dzwonek telefonu. Grał gdzieś cicho, może w salonie, może w przedpokoju. Bylo jej jednak zbyt dobrze, by wyjść z ciepłej wanny. Poczula się prawdziwie odprężona, a jednocześnie gotowa na coś wiecej.

Telefon dawno ucichł, slyszala tylko kapanie wody z kranu do wanny. Jednostajne i miarowe, spokojne.

Skalska zamknela oczy.

Jej dłoń zjechała między uda.

Telefon raz jeszcze zadzwonil.

Dotknela palcami lechtaczki i pobudzila się kolistymi, delikatnymi ruchami palców.

Dźwięk dzwonka nie ustawal.

Otworzyla oczy.

– *Vis maior* – przedrzeźnila swojego szefa, po czym wstala i się wytarla. Owinela się ręcznikiem i boso wyszla z łazienki.

Odszukala aparat i spojrzala na wyświetlacz. Nie znala tego numeru, a mimo to odebrala połączenie.

– Jest tam. – Uslyszala głos Juliana Kwaśniewskiego, chłopaka, z którym spędzila wczorajszą noc. – Kręci się przy cyplu.



Skalska dotarla na miejsce po dwudziestu minutach. Szarzalo juz, ziemia pod stopami wciąż byla mokra, nasączona ulewnym deszczem. Skałka szla dziarskim krokiem, oświetlajac sobie drogę niewielką latarką. Zgasila ją kilkadziesiąt metrów przed cyplem. Wtedy też zawibrowala jej komórka. Specjalnie ją wyciszyla.

– Gdzie jesteś? – wyszeptala.

– Przy pochylonej wierzbie. Widzialem cię.

– A on?

– Był z drugiej strony. Jak wtedy.

– Skąd wiesz?

– Mówiłem ci, podglądałem go ze ścieżki prowadzącej na polanę.
– To na pewno on? – syknęła Skałka.
– No tak... Raczej tak – odparł, ale wyczuła w jego głosie wahanie.
– Siedź, gdzie siedzisz, i nie waż się stamtąd ruszać, jasne? – Rozłączyła się, żeby nie wdawać się z młodym w zbędne dyskusje.

Ruszyła w stronę ścieżki, skrótu, którym można było się szybciej przedostać na drugi brzeg półwyspu, zostawiając plażę na uboczu.

Przejście było wąskie. Szła powoli, starając się trzymać bliżej prawej strony leśnego traktu. Serce łomotało jej w piersi, do uszu dochodziły odległe leśne dźwięki: trzask łamanej gałęzi, krzyk ptaka i trudny do zidentyfikowania stukot.

Kiedy dotarła na oświetlaną blaskiem księżyca polanę, rozejrzała się uważnie.

Żadnego ruchu.

Obeszła ją, trzymając się ściany lasu, i wkroczyła na drugą ścieżkę, która wiła się między drzewami. W oddali zobaczyła czern nadbrzeżnych krzewów, a nad nimi głęboki granat nocnego nieba pozbawionego chmur. Była już blisko, a nadal nikogo nie znalazła. W końcu zrezygnowana stanęła nad brzegiem jeziora. Dopiero teraz, w tej intensywnej nadwodnej ciszy, usłyszała głośnie cykanie wioślaków. Dźwięk naprzemiennie narastał i cichł.

Poszła dalej ścieżką prowadzącą w kierunku Kuchni, wsi znajdującej się na wschód od Chełmży, ale po trzydziestu, a może czterdziestu krokach zawróciła. Tym razem obeszła cypel wzdłuż brzegu i zatrzymała się na plaży.

Rozejrzała się.

Nigdzie nie zauważyła nikogo.

– Tu jesteś. – Usłyszała za plecami.

Odwróciła się gwałtownie.

Julek Kwaśniewski poprawił długą grzywkę i założył ją za ucho.

– I co? – spytał.

– I gówno – powiedziała, po czym rozpięła bluzę, zrzuciła ją z ramion i ściągnęła T-shirt. Zostawiła go na piasku i cofnęła się. Pożerał wzrokiem jej nagie, sterczące piersi.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie, jak za pierwszym razem.

Skałka czuła pod plecami ziarna zimnego i mokrego piasku, a na sobie ciężar młodego mężczyzny. Chciała, tak jak ostatnio, wyobrazić sobie, że jest z Otrembą, ale to nie mogło się udać. Chłopak poruszał się w niej szybko i niezdarnie. Dyszał jej do ucha, a plask skóry o skórę uciekał po tafli w głąb jeziora.

W pewnym momencie otworzyła oczy i obserwowała, jak księżyc rytmicznie chował się i wyłaniał zza czarnych czubków drzew.

I właśnie wtedy Skałka doznała wrażenia, że obok ktoś przechodzi. Wyraźnie słyszała czyjeś kroki na piasku, wydawało jej się, że w ich rytmie dudniła plaża.

A może po prostu szukała pretekstu, by to przerwać.

Zrzuciła z siebie chłopaka i podparła się na łokciach.

– Co jest? – wysapał zdeorientowany.

Ciemność i cisza.

„Tylko ci się zdawało”, uspokoiła się w myślach.

– No, ej! – warknął.

– Zamknij się.

– Byłem już tak blisko – wysapał.

– Stul pysk!

Skałka wstała i rozejrzała się. Wiatr kołysał lekko czarnymi gałęziami.

– No chodź tu, proszę – błagał. – Dokończmy to.

– Ręką sobie dokończ – powiedziała i poszła szukać swoich ciuchów.

dzień czwarty

Wczesnym rankiem Gross udał się do komisariatu i sprawdził nowe wpisy w dzienniku dyżurnego.

– Znowu nic – zameldował mu gładko ogolony, młody policjant, patrząc, jak Gross przysuwa sobie obszerny zeszyt z wyrysowanymi długopisem tabelami.

– Żadnych nietypowych zgłoszeń z płatnej? – Komisarz kartkował zapiski.

– Żadnych. Pełen spokój. Za to na plaży Stolbudu ciągle jakieś hocki-klocki.

– To znaczy? – Gross obrzucił dyżurnego spojrzeniem i wrócił do wertowania zeszytu.

– No normalnie, młodzi sobie zaćpają, pochleją, podupczą trochę, jak to młodzi, nie?

Gross otworzył dziennik z powrotem na ostatnio zapisanej kartce i przesunął go w stronę policjanta.

– Melduj, jakby co, dobrze?

– W sensie wszystko? Każdy drobiazg?

– Cała ta robota opiera się na drobiazgach.

Potem wszedł na piętro do sekretariatu komendantki i zostawił Beacie Różyckiej karteczkę z niezbędnymi zakupami modelarskimi. Uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział tym samym, ale był to wymuszony, zdawkowy uśmiech.

– Berni, jesteś taki słodki, robaczku! – zaryzykowała, ale od razu się zorientowała, że popełniła błąd.

Poprawiła się natychmiast, zanim komisarz zdążył spiorunować ją wzrokiem.

– Bernardzie, wiesz, że dla ciebie wszystko.

Nie powiedział nic, tylko szarpnął drzwi do gabinetu szefowej, młodszej inspektorki Lucyny Wojtasik. Zatrzymał się jednak w progu. Przy stole do odpraw oprócz Wojtasik siedzieli jej zastępca Gabriel Kącki, Aleksandra Jojczyk i Arkadiusz Brandol. Ten ostatni pochylał się nad błyszczącym blatem stołu. Być może wpatrywał się we własne odbicie, szczupłą twarz z wyrazem bólu w niewielkich, półprzymkniętych oczach.

– Mogę wejść? – spytał Gross.

Wszyscy z wyjątkiem Brandola podnieśli głowę.

– Daj nam kilka minut, proszę – odezwała się Wojtasik.

Uśmiech Jojczyk Gross wziął za powitanie. Twarze pozostałych nie wyrażały niczego.

Zamknął drzwi i spytał Różycką, dlaczego zebrali się tak wcześnie, ale kobieta odpowiedziała jedynie wzruszeniem pulchnych ramion.

Usiadł na wolnym krześle pod ścianą i czekał. Różycka zabrała teczkę z korespondencją i zaniósła ją do pokoju podinspektora Kąckiego. Kącki był młodszy od Grossa, ale okazał się sprawnym dowódcą. Nie mieli żadnych zatargów, bo też nie było ku nim okazji. Podinspektor zajmował się terenem i prewencją.

W końcu z gabinetu Wojtasik wyszedł Brandol.

Uścisnął rękę Grossa i już chciał wyjść na korytarz, gdy komisarz go zatrzymał.

– O co chodzi? – burknął Mumia. Zbyt duży kołnierz koszuli sterczał mu niczym połamany

obojczyk.

– Zapoznałem się z teczką dotyczącą zaginięcia kobiety ze Strużala – zaczął Gross.

– Bernardzie, zapraszamy – przerwała im Wojtasik.

Komisarz popatrzył na nią, a następnie zamknął drzwi i zostawił rękę na klamce. Chciał mieć chwilę na rozmowę z Brandolem, nie sądził, żeby podkomisarz, który nagle wydał mu się bardzo schorowany, mógł w takim stanie na niego poczekać.

– Zajmiesz się tym? – zdziwił się Brandol, ale jego oczy zabłysły, tak że przez chwilę wyglądał na zadowolonego.

– Przyjrzę się, ale szczerze wątpię, żebym znalazł w niej jakiś nowy ślad, coś, czego sam do tej pory nie zbadaleś. – Gross musiał uważać na słowa. Nie chciał sprawić przykrości schorowanemu koledze.

– Bernardzie – fuknęła zza drzwi Wojtasik.

Gross nie zareagował. Poczł tylko, jak ktoś z drugiej strony naciska klamkę, ale stawił opór.

– Sam wiesz, ile znaczy świeże spojrzenie – odparł Brandol.

Po drugiej stronie drzwi napór szybko zelżał. Gross rozluźnił mięśnie.

– Zostaw mi swój numer u Beaty. – Wskazał biurko sekretarki, ale podkomisarz pokiwał palcem.

– O nie, nie ma mowy. Odchodzę i nie zamierzam się już więcej babrać w tym gównie. Już nie.

– Przyłożył rękę do brzucha i przeczekał atak bólu. – Już nigdy więcej. Musisz sobie teraz radzić sam, mój przyjacielu – wysapał i odszedł.

Gross odprowadził go wzrokiem do schodów, po czym otworzył drzwi i stanął na wprost Lucyny Wojtasik.

– Masz mi coś do powiedzenia? – Założyła ręce na piersi.

– Tak. Chodziło o sprawy zawodowe. Czyli dokładnie o to, na czym ci najbardziej zależy, prawda? – odparł i wyminął ją z prawej.



Po godzinie wrócił do siebie zupełnie wyczerpany. Nie nadawał się na szefa wydziału, co kilkakrotnie w ciągu tego bezproduktywnego spotkania próbował oznajmić. W końcu przestał się odzywać, nie miało to żadnego sensu.

Po powrocie z narady wezwał do siebie dwóch policjantów, podkomisarza Ryszarda Nubińskiego i starszego aspiranta Edwarda Łoniewicza, nieformalnych szefów zespołów w wydziale kryminalnym. Na pierwszego wołali na komendzie po prostu „Rycho”, natomiast drugi miał ksywę „Łono”, a jeśli chcieli go wkurzyć, to zmieniali ją na „Krocze”.

Łoniewicz usiadł naprzeciwko Grossa, a Nubiński obok komisarza, po jego prawej. Ten drugi, z nalaną twarzą i sporym brzuchem w zbyt ciasnej koszuli, śmierzdział wodą kolońską z kiosku i starym tytoniem. Gross widział jego pożółkłe palce, rytmicznie stukające o blat. Łoniewicza, wyższego i nieco młodszego od Nubińskiego, charakteryzowały orli nos oraz pozostałości po trądziku. Spod gęstego, czarnego zarostu wyłaziły czerwone krosty i wspinały się wysoko po policzkach, niczym szerząca się zaraza.

Gross rozdał im zadania i zapadła cisza.

– Chcecie o coś zapytać? – Popatrzył najpierw na jednego, potem na drugiego.

– Co teraz będzie? – odezwał się Nubiński, ale nie spojrział na nowego szefa.

– A co ma być? – zdziwił się Gross. – Robotę trzeba wykonać.

– Wiem, że trzeba. Pytam, jak to będziemy ogrywać.

– Tak, żeby było dobrze. Meldujcie o wszystkim, dziękuję – powiedział komisarz i podniósł się z krzesła.

Policjanci wyszli z gabinetu z ociąganiem. Gross otworzył okno, żeby pozbyć się dławiącego zapachu perfum i tytoniu.

W teczce korespondencyjnej zauważył dwa wnioski o urlop, wniosek w sprawie kursu doszkalającego w Pile i kilka innych pism, z którymi niespecjalnie wiedział, co ma zrobić. Dlatego zamknął ją i odsunął na krawędź biurka.

Przekreślił do Skalskiej i poprosił, żeby zeszła.

– Jak tam w nowej roli? – spytała, gdy zamknęła za sobą drzwi.

Czarne i proste włosy jak zawsze związała w długą kitę. Zwrócił uwagę na jej czarny T-shirt z kolorowymi pacyfistycznymi napisami i krótkie obcisłe białe spodnie z kieszeniami na bokach. Okulary przeciwsłoneczne zawiesiła na kołnierzyku koszulki.

– Co w sprawie harcerzy? – Wskazał jej miejsce.

– Odwiedziłam Śródkę w szpitalu. – Usiadła.

– A co się mu stało? – zainteresował się Gross.

– Nie, nic. Biznes tam ma, to znaczy sklepik prowadzi. – Przygryzła gumę i wydmuchała balon.

Kiedy pękł, kontynuowała: – W każdym razie twierdzi, że weekend spędził częściowo w tym sklepiku, bo wykiwała go pracownica...

– Mamy na to jakieś dowody?

– Że tam był?

– Tak.

– W administracji szpitala sprawdziłam zapisy z monitoringu. W sobotę był od rana do trzynastej, a w niedzielę – do dwunastej.

– Wieczory miał wolne – zauważył Gross.

– Tak, ale siedział w domu, żona to potwierdziła. Byłam u niej bezpośrednio po wizycie w szpitalu.

– Założmy, że jej wierzymy. A ten drugi? – dodał Gross.

– Harcerz? A raczej harcmistrz Andrzej Cebulkiewicz. – Skałka oparła superstary na siedzisku krzesła i patrzyła na Grossa znad wysoko uniesionych kolan. – Podobno siedzi z rodziną na Teneryfie.

– Podobno?

– Sprawdzam to.

– A skąd masz te informacje?

– Od Śródki.

– I co ci powiedział?

– No właśnie tyle, że Cebulkiewicz miał wykupioną wycieczkę. Mówił o tym Śródce już podczas obozu.

– Dzwoniłaś do tego harcmistrza?

– Tak, ale ma wyłączony telefon.

– A jego żona?

– Tak samo.

Gross nabrał powietrza i wypuścił je wolno. Rano odrzucił dwa połączenia od Legnera, wciąż czekał na jakiś przełom w sprawie, cokolwiek, co mogłoby popchnąć ją do przodu. Zaczął się zastanawiać, czy zbyt pochopnie nie uznali tej sprawy za zabójstwo. Nie miał wątpliwości, że doszło do napadu, krwawe ślady, które zastał na miejscu zdarzenia, jednoznacznie wskazywały na napaść z użyciem narzędzia, a umiejscowienie i wysokość rozprysków krwi na liściach krzewów sugerowały, że pierwszy cios spadł na głowę ofiary, kiedy ta stała lub szła. Gross był przekonany, że tę wersję potwierdzą też biegli. Musiał jednak czekać na ich opinię, a ponieważ nie mieli w rękach ani ofiary, ani narzędzia zbrodni, automatycznie zostali przesunięci na koniec kolejki.

– Cholera – jęknął Gross.

Skałka milczała. Wydmuchiwała balon za balonem i wpatrywała się w ścianę. Myślała nad

czymś.

– A gdybyśmy spróbowali zgnać faceta w kapeluszu? – zaproponowała.

– O kim mówisz?

– No, o tym gościu, który się kręcił na ścieżce w kierunku Kuchni.

– Był tam później?

– Tak.

– Widziałaś go?

Skałka spojrzała na komisarza.

– Nie, ale mam świadka, który go widział. – Opowiedziała Grossowi o wczorajszej nocnej wyprawie na płatną. Pominęła tylko osobiste szczegóły. – Wydaje mi się, że on tam był.

– Poczekaj. – Gross pochylił się i oparł łokcie na blacie. – Chcesz mi powiedzieć, że ktoś widział faceta w kapeluszu w weekend?

– W sobotę, późnym popołudniem.

– W każdym razie to był dzień, świeciło słońce.

– No, tak było.

– Tak było – powtórzył Gross. – Tylko po co?

– Co po co?

– Po co tam przyszedł? W dodatku tak ubrany: spodnie, koszula z długim rękawem i jeszcze kapelusz.

– Że niby rzucalby się w oczy, jak golas na moło w Sopocie? – zastanowiła się Skałka, po czym cmoknęła. – No nie wiem, stał w cieniu, ewidentnie się chował.

– Chował się, ale jednak ktoś go zobaczył, i to, o ile dobrze pamiętam, z roweru wodnego.

– No i? – Skałka czuła, jak z nerwów napinają jej się mięśnie szyi. Szef szukał dziury w całym.

– To nasz jedyny możliwy podejrzany.

– Słyszysz siebie? – zdziwił się Gross. – Podejrzany?

– Pasuje do osoby, której kazałeś nam szukać, tak czy nie?

– Nikt normalny się tak nie ubiera w ten cholerny upał. – Wskazał ręką na okno. – Sprawca, jeśli włożył ciuchy, o których myślałem, to wyłącznie przed samym atakiem na ofiarę.

– No, to ciekawe – złościła się Skałka. – A o jakich ciuchach w takim razie myślałeś?

– O mundurze harcerskim.

– E – skrzywiła się. – Tylko dlatego, że znaleźliśmy tam lilijkę?

– Harcerz w lesie nad jeziorem nie budzi żadnego zdziwienia.

– Ale ta cholerna przypinka niczego nie dowodzi. Mógł ją tam zgubić każdy tutejszy skaut.

– Nie sądzę – zaprzeczył Gross. – Odezwałem się do hufca i wiem, że żadna z drużyn nie bawiła się w ciągu ostatnich kilku miesięcy ani na plaży płatnej, ani na polanie.

Patrzyli na siebie dłuższą chwilę. Skałka odezwała się pierwsza.

– A jeśli krążył jak sęp i czekał, aż ktoś się nawinie? Może wypatrywał ofiary, być może harcerki? Ślady spermy i zerwane majtki już nic nie znaczą?

– Majtki nie były zniszczone – sprostował Gross. – Poza tym namiot stał tam co najmniej od soboty. Sprawca mógł w nim mieć ciuchy na przebranie i narzędzie zbrodni. Mało tego, jestem przekonany, że ofiara była w tym namiocie wcześniej.

– A co niby o tym świadczy? – spytała Skałka.

– Włosy i rozsądek.

– Włosy – okej, zgadzam się, ale jaki rozsądek?

– Poszłabyś nocą przez las z mężczyzną, którego nie znasz, do jego namiotu rozbitego na polanie?

Skałka milczała. Wolałaby się nie wypowiadać w tej kwestii. Ostatnio zbyt często zachowywała się nierozsądnie.

– Nie wiem, czy nie upraszczasz – stwierdziła. – To by oznaczało, że ofiara знаła sprawcę i prawdopodobnie spędziła z nim noc w namiocie. Drugiej już nie przeżyła. Czy tak?

Gross potwierdził.

– To by też wyjaśniało, dlaczego nie mamy żadnych zgłoszeń zaginionej kobiety – uzupełnił.

– Co masz na myśli?

– To, że być może ofiara i zabójca są spoza Chełmży.

To miało sens.

– Okej. – Skalka raz jeszcze wydmuchała balon. – A czemu sprawca nie zwinął namiotu, skoro wiedział, że są w nim plamy krwi? Ba! Zaczął je nawet wycierać. Łatwiej by było złożyć namiot i spalić gdzieś daleko stąd.

– Technicy twierdzą, że namiot był wykonany z materiałów niepalnych. Ale nadal masz rację. Pozostaje pytanie, dlaczego próbował zacierać ślady, zamiast zabrać namiot ze sobą.

– Ktoś go wystraszył? – zaproponowała Skalka.

– Możliwe, ale mało prawdopodobne. – Gross oparł się wygodnie. – W takiej sytuacji świadek pewnie by poinformował policję, tak jak zrobił to ten Michał Bąk, który znalazł namiot. Swoją drogą, wyciągnęliśmy z niego coś więcej?

– Niestety nie.

– A po co w ogóle poszedł na polanę? Co go tam ciągnęło?

– Mieszka w Kuchni. Wracał skrótem.

Gross zawiesił wzrok na ścianie.

– Wróc do niego, może coś sobie przypomniał – powiedział.

Skalka pokiwała głową.

Potem zapadła cisza, którą mąciły dochodzące przez otwarte okno dźwięki miasta. Aspirantka wstała, podeszła do parapetu i oparła się o niego. Ulica Kopernika z rzędem niskich kamienic tonęła w chłodnym cieniu.

– W takim razie co? Kolejna ofiara? – spytała policjantka. – Myślisz, że mogło tam dojść do podwójnego zabójstwa?

– Tego nie będziemy wiedzieli przynajmniej do czasu, aż dostaniemy wyniki krwi.

Gross nie był jednak przekonany do tej wersji i Skalska to wyczuła.

– Ale nie sądzisz, że tak było, prawda? – Pomasaowała sobie kark i pokręciła głową.

– Nie sądzę. Gdyby zabił świadka, miałby czas na złożenie namiotu. A i tak tego nie zrobił. Musiało się wydarzyć coś jeszcze. Coś, co sprawiło, że zabójca uciekł z miejsca zdarzenia.

– Przerosło go to? – strzeliła Skalska.

– Możliwe, ale nie natrafiliśmy na żadne ślady wymiocin. To oczywiście niczego nie przekreśla, obawiam się jednak, że ten kierunek też odpada – oznajmił Gross.

Pod oknami komisariatu przejechał samochód. Ryk silnika i buczenie basów niemal wprawiły w dygot fundamenty budynku z czerwonej cegły.

– Sprawdź, gdzie przebywa Andrzej Cebulkiewicz i czy nie wypadła mu z munduru przypinka. To ważne. Potem się zastanowimy, co dalej – powiedział Gross, gdy zadzwonił stacjonarny.

Skalka wstała.

– Halo? – Komisarz podniósł słuchawkę. – Dzień dobry. Tak, to ja.

Skalska stała już przy drzwiach, ale się odwróciła. Obserwowała, jak twarz komisarza tężeje.

– Jest pani pewna? – Szeł przeczeszał ręką równo ścięte włosy. – Dobrze, w takim razie będę czekał. A co z wynikami krwi i DNA? Tak, oczywiście, rozumiem.

Podziękował i odłożył słuchawkę.

Skalska wpatrywała się w niego i czekała.

– Laboratorium z Bydgoszczy. – Zaspokoił jej ciekawość. – Popełniliśmy błąd w założeniach.

– Co masz na myśli?

– Majtki.

– Majtki? – Skrzywiła się. – A co z nimi?

– Są czyste. Nie licząc śladów krwi, są w stu procentach czyste. Żadnych innych śladów biologicznych, żadnych włosów łonowych. Nic, kompletnie – powiedział Gross.

- Jezu, przecież to niemożliwe.
- Niemożliwe. – Komisarz odchylił się na oparcie krzesła. – A jednak są zupełnie czyste.



Godzinę później Gross usłyszał pukanie.

– Proszę!

W progu stanął misiwaty aspirant sztabowy Janusz Stefański. Ścisnął kolorową tekturową teczkę.

– Panie komisarzu, mogę na słówko?

Gross wstał, wymienili uścisk dłoni.

– Cholera, źle wyszło – odezwał się aspirant, kiedy już usiedli. Podrapał się za uchem. – No bo tak sobie pomyślałem, że trochę się męczę w tej prewencji, nie leży mi za bardzo ta robota. Właściwie to już kiedy wkładałem mundur, wiedziałem, że będę chciał robić w kryminalnej.

Gross skrzyżował dłonie na blacie i czekał.

– I wie pan, już dwa podejścia robiłem, żeby się tu załapać, ale za każdym razem miałem pod górkę. Najpierw Mumia, to znaczy podkomisarz Brandol – zreflektował się Stefański – obiecał mi etat, ale potem nic, kurczę, z tego nie wyszło.

– Chce pan powiedzieć...

– Niech pan komisarz mówi mi po imieniu. – Uśmiechnął się Stefański, ale Gross nie odpowiedział tym samym.

– Chce pan powiedzieć, panie aspirancie, że zająłem panu miejsce w wydziale kryminalnym, tak?

– No tak wyszło, ale przecież nie mam do pana żalu, panie komisarzu – zapewnił Stefański. – Tylko wie pan, jeśli teraz mi się nie uda, teraz, kiedy kryminalny ma dwa wakaty, jeden po podkomisarzu Brandolu, a drugi po aspirancie Otrembie, no to już w ogóle nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam zmienić przydział.

Gross odwrócił się, żeby popatrzeć w okno, na stare cegły wieży kościoła Świętego Mikołaja. Były intensywnie pomarańczowe, czerwone, a miejscami także czarne. Kolorowe plamy składały się na jednolitą wiekową ścianę, która przetrzymała już niejedno. Znacznie więcej, niż mogłyby znieść człowiek.

Stefański kontynuował wywód, ale Gross już go nie słuchał. Śledził wzrokiem szare linie fug i odnajdywał wyłamane, ukruszone cegły, ubytki i spękania.

W końcu przerwał mężczyźnie i przysunął się do biurka.

– Gdzie mam podpisać? – spytał, kiedy zadzwonił telefon stacjonarny.

Stefański wyjął raport z teczki i położył na blacie.

Gross sięgnął po słuchawkę.

– Halo.

– Tu Hubert, zejdiesz, Bernardzie?

– A co się stało?

– Mam matkę osiemnastolatki, która nie ma kontaktu z córką od niedzieli.

– Od niedzieli czy od soboty? – Gross zaczął odczuwać mrowienie w okolicach skroni.

– Chodzi o niedzielę – odparł dyżurny.

Komisarz przeliczył w pamięci dni i entuzjazm nieco ostygł.

– Zejdzie do ciebie aspirant Stefański. Zajmie się tą sprawą. – Gross spojrzął na misiwatego mężczyznę, który uśmiechał się, jakby siedział na własnych imieninach.

Policjant podziękował Grossowi, a ten rzekł mu na pożegnanie:

– Niech się pan dokładnie przyjrzy temu zaginięciu. Szukamy kobiety, która mogła paść ofiarą zabójcy z namiotu. Nie zgadza się dzień zaginięcia, ale nie możemy sobie pozwolić na błąd – przypomniał Gross i rozkazał: – Niech pan o wszystkim melduje.



Po drugiej herbacie i trzech godzinach z papierami Gross poskładał dokumenty, zamknął szuflady biurka i przekręcił zamki w szafach. Teczkę z korespondencją wewnętrzną oddał Różyckiej i zszedł po schodach na parter komisariatu.

Przeszedł Sądową w dół, na Bulwar, minął zabudowania klubu wioślarskiego i spokojnym krokiem wszedł na pomost. Upał wrócił ze zdwojoną siłą i wykańczał, powietrze zgęstniało. Policjantowi brakowało tchu, niewidoczny ciężar siedział mu na mostku i uciskał klatkę piersiową. Sapiąc pod koniec wędrówki, z trudem wspiał się po schodach na czwarte piętro. Wziął długi i chłodny prysznic. Oparł się rękoma o wykafelkowaną ścianę, a strugi wody obmywały jego włosy i twarz, zbierały się w otwartych ustach. Wypluwał je, a one cały czas napływały.

Czy pomylił się w sprawie zabójcy z namiotu? Zbyt mocno nagiął fakty i wyciągnął z nich niepoprawne wnioski?

Jeszcze w pracy kolejny raz przeanalizował wszystkie ślady zabezpieczone na plaży płatnej. W myślach przyglądał się opracowanemu szkicowi policyjnemu z naniesionymi nań miejscami ich odnalezienia, a także odległościami od namiotu i najbliższych drzew. Przejrzał zdjęcia wykonane przez Jarka Blocha. Skupił się na tym, co widział, ale niczego nowego nie wymyślił, nie podchwycił żadnej interesującej myśli, żadnego ważnego tropu, który skierowałby tę sprawę na inne tory. Miał tylko te nieszczęsne majtki, czyste, jakby przywiezione ze sklepu. Czy to był prezent dla tej kobiety? Czy ona go nie przyjęła, nie chciała ich włożyć i dlatego doszło do kłótni? Dał sobie czas na rozwinięcie tej myśli.

Wyszedł z łazienki i zadzwonił do szpitala. Kiedy usłyszał wolny sygnał, poczuł narastający lęk.

– Jest lepiej, zaczęła reagować na antybiotyki – zakończył relację lekarz. Cały czas mówił spokojnym, rzeczowym tonem.

– Mogę już odwiedzić żonę?

– Niech pan da nam jeszcze dwa dni, mam nadzieję, że wtedy największe zagrożenie będziemy mieli za sobą.

Komisarz usiadł i opanował drżenie rąk.

Dwa dni.

Co czuł? Na pewno nie ulgę, raczej gorycz. Próbował ją przełknąć, ale bezskutecznie. Trudno było mu to przed sobą ukrywać. Drżał o los żony, a jednocześnie lękał się własnych czarnych myśli.

Czy śmierć Agnieszki nie byłaby dla niego swoistym wybawieniem? Brzydził się tych pytań, chciał wyrzucić je z głowy, ale często wracały i skutkowały w nim poczuciem winy. Ale przecież nie było jej w tym marniejącym ciele, jego żony nie było już w tej żalostnej cielesności. Pozostał jedynie prosty mechanizm biologiczny. Ten sam, dzięki któremu – kiedyś o tym czytał – można wyhodować ludzkie ucho w szklanych naczyniach w specjalistycznych laboratoriach. Zdał sobie sprawę, że ono żyło tak samo jak jego żona. Funkcjonowało bez świadomości, a jednocześnie w pełni uzależnione od innych.

Czy ta piękna niegdyś kobieta chciałaby swojej śmierci, gdyby wiedziała, w jakim jest stanie? Czy on by jej chciał? Śmierć przyniosłaby żałobę, a ta nie trwa wiecznie. I być może, paradoksalnie,

śmierć Agnieszki, żony i matki, ożywczo wpłynęłaby na relację ojca i syna, zbliżyła tych dwóch życiowych rozbitków. Być może wreszcie przestałoby się wyklócać o to, co się stało dziesięć lat temu. Gross dobrze wiedział, że właśnie wtedy najbardziej zawiódł Bartka. Odseparował się od niego, chociaż sądził, że jest blisko, że dba o niego tak, jak ojciec powinien dbać o syna. W rzeczywistości jednak w ogóle go przy Bartku nie było. Owszem karmił go, kupował mu odzież, zeszyty i podręczniki. Odwoził go i odbierał ze szkoły, pomagał mu przy lekcjach. Ale nie słuchał go, nie rozmawiał z nim, nie przytulał go ani nie całował w głowę. Nie mierzwił mu włosów, nie rozśmieszał. Nie zabierał do kina. Po prostu go nie było. I wiedział też doskonale, że nie ma dla siebie żadnego usprawiedliwienia. Był złym ojcem. Uciekł w pracę. Do śledstw, które musiał rozwiązać, by wykazać swoją społeczną przydatność, skoro innej roli, roli ojca, nie umiał sprostać.

Myśląc o tym wszystkim, wybrał numer do Bartka i czekał z aparatem przy uchu. Szybko jednak odbił się od automatycznej odpowiedzi. Abonent był niedostępny.

Dawno temu kupił Bartkowi komórkę i przypisał u operatora do swojego konta. Płacił za niego miesięczny abonament. W pierwszym odruchu chciał zadzwonić do biura obsługi klienta, ale zmienił zamiar. Bez nakazu niczego by się nie dowiedział. Połączył się więc z Andrzejem Tatarskim, analitykiem z Komendy Miejskiej Policji w Toruniu. Przepracowali razem wiele lat, i to w dobrej komitywie. Tatarski był specem od namierzania urządzeń logujących się do sieci telefonii komórkowych. Pominęli etap rozmowy o niczym, bo obaj cenili swój czas. Gross wyjaśnił mu, z czym dzwoni.

– Chcesz go namierzyć, tak? – spytał analityk.

– Zniknął mi z radaru miesiąc temu. Po prostu wyszedł z mieszkania, nie zostawił żadnych danych, adresu, dosłownie niczego. Raz, chyba dwa dni temu, próbował się do mnie dodzwonić, ale nie zdążyłem odebrać. A kiedy sam do niego przedzwoniłem, znowu był poza zasięgiem.

– Rozumiem.

– Kłopot w tym, że wcześniej byłem w Poznaniu, dotarłem do chłopaka, z którym mieszkał w wynajętej kawalerce. Jednak Bartek nie pojawił się tam od czasu wyjazdu z Chełmży.

– Czyli nikt nic nie wie?

– Na to wygląda. Jest dorosły, ma pieniądze. To znaczy, chyba ma. – Gross się zamotał. – Po prostu chodzi o to, że prawdopodobnie nie chce mieć ze mną do czynienia.

– A dziadkowie?

Rodzice komisarza nie żyli, a z matką i ojcem Agnieszki komisarz nie utrzymywał kontaktu od napadu. Za to, co się stało, obwiniali jego i policyjny etat. O to, o dziwo, nie miał do nich żalu. Jednak targała nim wściekłość, że zostawili swoją córkę w chwili, kiedy potrzebowała ich najbardziej. Choć mieli pieniądze, uznali chyba, że nie warto ich inwestować w opiekę nad Agnieszką. W ten sposób pochowali ją za życia. I tego nie mógł im wybaczyć. Dlatego nie zamierzał do nich dzwonić ani informować o zapaleniu płuc ich jedynej córki. Jeszcze nie. Nie wiedział natomiast, czy Bartek bywał u dziadków, czy do nich dzwonił. Nigdy go o to nie zapytał. Może się bał tego, że syn woli ich od ojca.

Tatarski jęknął.

– Cholera, niefajnie – rzucił analityk. – Ale nie mieszam się, nie wnikam. W każdym razie wiesz, że sporo ryzykuję, nie? Bo rozumiem, że skoro dzwonicz bezpośrednio do mnie, to nie zależy ci na postępowaniu zgodnie z procedurą.

– Moja żona przechodzi ciężkie zapalenie płuc... – odparł Gross. – Śmierć może nastąpić w każdej chwili. I jeśli... Jeśli coś pójdzie nie tak, będę musiał zawiadomić syna.

– Rozumiem – powiedział Tatarski poważnym tonem. – Dam znać, gdy się czegoś dowiem.

Gross odłożył aparat i ponownie skupił się na swoich zawodowych zadaniach.

Zastanawiał się, czy pojechać samochodem, ale ostatecznie postawił na spacer. Zamierzał się przejść do Strużala i odwiedzić mężczyznę, którego żona wyszła z domu przed trzydziestoma laty i zaginęła bez śladu. Zadzwonił pod numer znaleziony w aktach, ale widocznie tam, gdzie mieszkał stary rolnik, występowały problemy z zasięgiem.

Czy tak samo będzie z jego synem? Też zaginie bez śladu?

Komisarza przeszedł lodowaty dreszcz, a potem, kiedy maszerował po rozgrzanym asfalcie, pot perlił się na jego czole i spływał strużkami po plecach.



Janusz Stefański zaprowadził struchlałą matkę do sali narad na pierwszym piętrze komisariatu, tuż obok gabinetu Grossa. Zamknął za sobą drzwi.

– Herbaty? – spytał tubalnym głosem. – A może wody? Woda by dobrze pani zrobiła. Upał taki, że krew zastyga.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

Ustawił jej krzesło obok jednej z ławek i poprosił, żeby usiadła. Potem wyjął notes i długopis. Postukał nim w pustą kartkę i przyglądał się szczupłej kobiecie z idealnym przedziałkiem na środku głowy. Farbowała się na rudo. Aspirant sztabowy zjechał wzrokiem niżej na smukłą szyję i wydatne piersi w biustonoszu, którego kształt odrysowywał się w obcisłej bluzce.

– Jak się pani nazywa? – spytał i przyłożył dłoń do notatnika.

– Hanna Szwed. Mówiłam już na dole.

Stefański próbował zapisać jej nazwisko, ale długopis, którym jeszcze niedawno wypełniał policyjne formularze, właśnie teraz postanowił się zbuntować. Aspirant rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Proszę. – Kobieta wyjęła z kopertowej torebki smukły plastikowy cienkopis i podała funkcjonariuszowi.

Stefański podziękował i zrobił notatkę.

– A córka?

– Patrycja Szwed.

– I ostatni raz widziała się pani z córką...

– W niedzielę – odparła.

– W niedzielę – powtórzył, po czym skończył pisać i spojrzał na rudą.

Szybko spuściła wzrok.

– A dziś mamy czwartek, nie? – Przetarł ręką wilgotne czoło. Wstał i otworzył okno. – Widziałyście się w niedzielę rano czy wieczorem?

– Jest lato, córka umówiła się na wyjazd z paczką znajomych. Wyklóciła się o to.

– Dokąd pojechali? – przerwał.

– Órodek „Sarna” nad Bachotkiem.

– Była tam pani? – Stefański klapnął na krzesło.

Hanna Szwed patrzyła na niego dużymi piwnymi oczami, wilgotnymi od wezbranych łez. Była przestraszona.

– Czy ją znaleźliście? – spytała drżącym głosem. – Tam na płatnej?

Stefański uśmiechnął się dobrotliwie i zaprzeczył. Znał akta, zapoznał się z nimi wcześniej, żeby na wejściu błysnąć przed Grossem, bo miał szczerą nadzieję, że komisarz dołączy go do tej sprawy.

– Więc jak, była pani nad tym Bachotkiem? Dzwoniła pani?

Kobieta sięgnęła po chusteczkę. Stefańskiemu spodobały się jej dłonie z długimi palcami, jak u pianistki. Widywał już takie u nauczycielki gry na pianinie w tutejszej szkole muzycznej, do której uczęszczał jego syn. Gamoń grał, co prawda, na skrzypcach, ale jako drugi instrument wybrał pianino. I wybór ten Stefański chwalił ze wszech miar.

– Dzwoniłam do jej koleżanek.

– I co?

– Podobno jej tam w ogóle nie było. Tak mi powiedzieli. Ani mojej córki, ani jej chłopaka. I wciąż nie wiem, gdzie ona jest.

– Pokłóciłyście się przed jej zniknięciem? Zrobiła pani na złość?

– Tak. Wykrzyczała mi wszystkie swoje żale. Nie chciałam, żeby jechała, a i tak ostatecznie zrobiła, na co miała ochotę. Jak zawsze zresztą.

Stefańskiemu akurat nie trzeba było tłumaczyć zachowań dzieciaków. Wiedział, jaki jest świat, jak spodłał ostatnimi czasy. Teraz młodzi są w nim zupełnie bezradni i zagubieni, a do tego eksperymentujący ponad miarę. Owszem, on też kiedyś eksperymentował, ale w porównaniu z tym, co widywał, pracując w prewencji, na co napatrzył się podczas wielu akcji z udziałem młodych właśnie, jego zabawy można było nazwać niewinnymi igraszkami. Tak, kończyły się nieraz tym, że ojciec wyszarpywał skórzany pas ze szlufek wyprasowanych w kant spodni i prał mu gołe dupsko, że aż ciężko było potem siedzieć. A dziś właśnie brakowało młodzieży takiego wychowania. Twardej ręki ojca, autorytetu popartego siłą. To bezstresowe wychowanie, przyklaskiwanie zdziczałej i bezkarnej młodzieży wpędzi ich wszystkich do grobu. Jeszcze będą z tego powodu jęczeć ci wszyscy rodzice, kiedy wejdą w starczy wiek. Odbije im się to czkawką, tego Stefański był pewien.

– No to dlaczego puściła pani córkę na ten wyjazd? – spytał, chociaż nie spodziewał się odpowiedzi. Miał rację. Zaczekał i zadał następne pytanie: – A pani mąż?

– Nie mam męża.

– Ale Patrycja ma ojca, prawda?

– Nie mieszkamy już razem. Sama wychowuję córkę.

– Ale ojciec utrzymuje z nią kontakty i wiedział o tym wyjeździe?

– Wiedział.

– I co mówił?

– Że to moja sprawa. – Spuściła wzrok.

– Że to pani sprawa, ale... – zachęcił Stefański, widząc, że poprzednie pytanie trafiło w czuły punkt.

– Że on by ją puścił! Że w nagrodę za dobrze zdaną maturę by ją puścił! – krzyknęła kobieta. – To pan chciał usłyszeć?

Stefański niemal podskoczył. Wyciągnął dłonie i gestem kazał jej się uspokoić.

– Taki to tatusiek, kochany! Rzucił mnie, zostawił z dzieciakiem, alimenty wyciągam od niego siłą, ale o wychowaniu wszystko wie lepiej. Wzór cnót i wartości! – denerwowała się Hanna Szwed. – Geniusz ojcostwa.

– Spokojnie – poprosił łagodnym tonem Stefański. – Do męża zaraz wrócimy.

– To nie jest mój mąż! – warknęła.

– Tak, rozumiem – potwierdził. – Skupmy się jednak na tej kłótni.

– A na czym się tu skupiać? Patrycja chciała wyjechać, a ja powiedziałam, że nie ma mowy. Nie wiedziałam, czy się zabezpiecza, jeszcze by mi wróciła z brzuchem i siedziałabym w domu, sama wychowując własną wnuczkę albo wnuka. A ten ojculek Patrycji nie przyłożyłby do tego ręki ani pieniędzy też by nie dawał. Dlatego tak mnie to mierzi. – Nabrała oddechu i była gotowa powiedzieć coś więcej.

Stefański obserwował każdy jej gest. Złączyła dłonie i schowała w nich nos.

– Nie chciałam, żeby córka popełniła moje błędy – wyznała bliska płaczu.

Stefański zapisał drukowanymi literami słowo „błąd” i zapytał:

– Kto miał jechać na te wakacje?

Szwed podała nazwiska znajomych córki.

– Skąd się znają?

– Ze szkoły, z liceum.

– Z jednej klasy?

Potwierdziła.

– I wszyscy wyjechali razem w niedzielę, tak? – Aspirant nie usłyszał odpowiedzi, więc

podniósł głowę.

– Jej znajomi wyjechali w sobotę.

– Ale pani córka, Patrycja, wyjechała w niedzielę, czy tak? Tak pani powiedziała dyżurnemu, prawda? – Pochylił się nad blatem.

– Nie wiem.

Stefański się zdziwił.

– Jak to pani nie wie?

– Sobotę miała spędzić u ojca. I mam nadzieję, że tak zrobiła. – Wzdrygnęła się.

– Rozmawiała z nim pani?

– Tak.

– I co powiedział?

– Że wyjechała w niedzielę.

Stefański zmrużył oczy.

– Ale mu pani nie wierzy.

– Zarzekał się, że wyjechała w niedzielę, ale kto go tam wie.

– Czy pani mąż, to znaczy, ojciec Patrycji, był przeciwny temu, by zgłaszać zaginięcie na policji?

– Tak.

Aspirant pokiwał głową i zerknął w notatki.

– Rozumiem, że wśród tych znajomych, którzy wyjeżdżali do Bachotka, jest chłopak pani córki, czy tak? – podjął po chwili.

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Który to? – spytał Stefański gotowy do postawienia ptaszka przy odpowiedniej kratce.

– Cebulkiewicz.

– Syn tego harcmistrza?

– Tak, on też jest harcerzem. Trochę starszy od nich. Nie lubię go. I dlatego nie chciałam, żeby córka tam jechała.

– Zaraz, zaraz. – Stefański podrapał się długopisem po głowie. – A pani córka też należy do harcerstwa?

– Należała.

– Dawno temu?

– Niedawno. Zrezygnowała w lipcu.

– Tego roku? – upewnił się Stefański.

– Tak. Była na tym obozie w Zalesiu – dodała Hanna Szwed. – Wtedy, kiedy uderzyła nawałnica.



Skalska wydmuchała balon, który pękł i okleił jej usta. Ściągnęła gumę, omiatając wargi językiem.

Młody facet z zawadiacko potarganymi włosami, którego dzielił od policjantki jasny i wąski blat biurka, uśmiechnął się krótko, po czym skierował wzrok na monitor.

– Czyli jest tak, jak mówiłem – odezwał się sprzedawca wycieczek w salonie w toruńskiej galerii Copernicus.

Przez telefon Skalka nie mogła się niczego dowiedzieć. Ustaliła tylko z właścicielką biura touroperatora, że na miejscu ktoś chętnie jej pomoże. Nie miała ochoty jechać do Torunia w tym upale

pociągiem, więc zabrała się z kolegami z prewencji. Podrzucili ją na Żółkiewskiego, a sami odjechali do centrali na Grudziądzką.

W klimatyzowanym salonie było Skałce zbyt chłodno, szczególnie wtedy, kiedy uderzająca z sufitu fala zimnego powietrza muskała jej odsłonięte uda.

Szefowa biura poczekała na Skałkę. Kiedy policjantka pokazała jej legitymację, zadbana kobieta pod pięćdziesiątkę, w chabrowej sukience przed kolano, wskazała jej biurko młodego sprzedawcy. Miał drobne dłonie z niemal dziecięcymi chudymi palcami.

– To znaczy, że co? – Próbowwała ustalić.

– Wycieczka jest opłacona i państwo Cebulkiewiczowie polecieli na wakacje.

– Są na miejscu?

– No właśnie to mówię. – Jego oczy zza okularów w niebieskich oprawkach lekko się uśmiechały.

– Nie – poprawiła go. – Pan mówi tylko tyle, że wykupili wycieczkę, a ja pytam, czy są na miejscu.

– Wycieczka kosztowała ponad sześć tysięcy złotych – dodał, unosząc palec wskazujący.

„I co z tego?”, pomyślała Skalska.

– Kiedy wylecieli? – zadała kolejne pytanie.

– W miniony piątek.

– O której i skąd?

– Chwileczkę. – Ponownie spojrział w monitor, poruszając lekko prawą ręką, spoczywającą na myszce. Kliknął kilkukrotnie. – Z Katowic tuż przed szóstą rano.

– Rezerwowaliście im nocleg?

– Tak, w Katowicach. Z czwartku na piątek.

– W jakim hotelu?

– Opera. Ale... – Ponownie zerknął na monitor. – Przepraszam, nie w Katowicach, tylko w Tarnowskich Górach.

– Bliżej do portu lotniczego?

– Zapewne. – Uśmiechnął się.

– Byli tam?

– Słucham?

– Pytałam, czy zameldowali się w hotelu.

Kolejne kliknięcie.

– Zaraz, jeszcze chwilę – poprosił sprzedawca. Uśmiech zniknął z jego twarzy. – Wygląda na to, że raczej nie.

Skałka przysunęła się bliżej blatu.

– Mam informację o odwołanej rezerwacji – wyjaśnił.

Policjantka poprosiła, żeby mężczyzna zadzwonił do hotelu. Ociągał się, ale w końcu to zrobił.

– Dziękuję, do usłyszenia – pożegnał się i odłożył słuchawkę, po czym zwrócił się do policjantki: – Okazuje się, że odwołali rezerwację telefonicznie.

– Kiedy?

– Dzień wcześniej.

Skałka wydmuchała kolejny balon, tym razem jeszcze większy. W ciszy, którą zakłócały dźwięki radia z zaplecza, było słyhać, jak guma pękła.

– Niech pan dzwoni do rezydentki – rzuciła.

Złączył smukłe dłonie.

– Nie wiem, czy mogę.

– To nie była prośba. A jeśli ma pan z tym problem, to proszę wezwać szefową. I nie traćmy już więcej czasu. – Ponownie wydmuchała duży balon.



Gross zapukał do mocno zniszczonych drewnianych drzwi starego domu w tej samej chwili, kiedy odezwał się jego telefon.

Wojtasik.

Komisarz schował komórkę z powrotem do kieszeni i nasłuchiwał odgłosów z wnętrza domu. Dobięły go dopiero po chwili, przytłumione i niewyraźne.

– Idę już. Idę! – Usłyszał nieco skrzekliwy męski głos. – Ale co miałem, to już dałem, Tadzik! Więcej dziś nie mam.

Policjant powachlował się T-shirtem, ale to nie pomogło. Słońce grzało go w plecy, nie miał się gdzie schować. Rozejrzał się za cieniem po obejściu, ale nigdzie go nie było. Drewniany płot wokół domu uginał się pod własnym ciężarem. Brązowe sztachety, spękane i spróchniałe, zachodziły od dołu mchem. Lewa część niewielkiego ogródka była wypielona, a obok zagrabionej, przesuszanej czarnej ziemi leżały graca na długim trzonku i kupka zeschniętych chwastów. Na nich spoczywała para grubych gumowych rękawic. Drugą część, po prawej, porastały dziko chaszczce.

Większe drzewa, które mogłyby dawać trochę ochłody, rosły za domem. Ich korony, nieruchome jak teatralna inscenizacja, wystawały nad starym poczerniałym azbestowym dachem.

Obok stały zapuszczona obora i wysoka drewniana stodoła, z której poodpadały niektóre deski. Słońce przeświecało przez szerokie, pionowe szpary i cięło wewnątrz świetlistymi płaszczyznami.

Dom znajdował się w niecce, w pobliżu miejsca, w którym asfaltowa droga skręcała pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w lewo.

– To ty, Tadzik?

Komisarz spojrział w wizjer i przedstawił się głośno.

– Kto? – Mężczyzna nie dosłyszał.

Policjant powtórzył swoje nazwisko i czekał.

– Nie znam pana. Skąd pan jest? Ostrzegam, że niczego nie kupię! – uprzedził gospodarz.

– Z policji.

– Z policji? O co chodzi? – warknął. – A odznakę pan ma?

Gross skierował blachę w stronę wizjera.

Po chwili zgrzytnęły zamki.

– Stało się coś? – spytał zgarbiony mężczyzna w spranym podkoszulku i wypchanych na kolanach dresach.

Gross miał wrażenie, że oczy gospodarza, głęboko osadzone pod wydatnym czołem i krzaczastymi brwiami, są zamknięte. Wydawały się małe w porównaniu z wystającymi kośćmi policzkowymi i wysuniętym podbródkiem. Na ramionach zwiślały fałdy bladej skóry, ale policjant wiedział, że dawniej opinała spracowane w polu stalowe mięśnie. Teraz jednak Stefan Palacz poddał się bolesnym zdarzeniom sprzed trzydziestu lat, kiedy to zaginęli jego żona i nowo narodzony syn.

– A w jakiej sprawie? – Gospodarz nadal był nieufny.

Gross wyjaśnił i dopiero wtedy stary mężczyzna otworzył szerzej oczy i wyprostował plecy.

– Pewnie nie mógł się pan dodzwonić, co? Tu nie ma zasięgu. Kiedy chcę z kimś pogadać, to idę na górkę, na tym polu. – Wskazał ręką. – No, niech pan wchodzi, panie komisarzu.

Znaleźli się w dużym, kwadratowym pokoju dziennym, z którego wchodziło się do mniejszego pomieszczenia. Drzwi do niego były uchylone. Palacz zaproponował herbatę, ale Gross odmówił. Poprosił o wodę, najchętniej kranówkę. Mężczyzna przyniósł dwie pełne szklanki i ustawił na stole dla sześciu osób, przy którym usiedli na twardych krzesłach, po obu stronach błyszczącego forniru.

– Co pana sprowadza? – spytał gospodarz tuż po tym, jak upił kilka łyków. Szpiczasta niczym skalny odłamek grdyka poruszała się w górę i w dół.

– Podkomisarz Brandol odchodzi na emeryturę. – Gross złączył dłonie.

– Wiem, wspominał o tym.

Policjant pokiwał głową i starał się dostrzec w twarzy rozmówcy oznaki zmartwienia.

– Cóż. – Palacz wzruszył ramionami. Zatrzymał wzrok na jakimś punkcie na przeciwległej ścianie. – Nie pierwszy to raz, kiedy zmienia się osoba prowadząca śledztwo. Tyle to już lat minęło...

Gross nie zamierzał wyprowadzać starego rolnika z błędu. Formalnie żadnego śledztwa nigdy nie było. Kobieta była dorosła, owszem, zostawiła roczną córkę, ale pod opieką dorosłego, zaradnego mężczyzny i ojca. Mogła chcieć rozpocząć nowe życie, być może nie czuła się szczęśliwą żoną. Niewykluczone, że miała dość wyczerpującej pracy na roli i opieki nad noworodkiem. Taka wersja zdarzeń, w opinii Grossa, była wtedy bardziej prawdopodobna niż to, że trzydziestolatka Krystyna Palacz padła ofiarą przestępstwa. Dziś komisarz widział to inaczej.

– Czy jest coś, co chciałby mi pan w związku z tym powiedzieć? – spytał policjant.

– Wszyscy jesteście tacy sami – prychnął stary rolnik.

Gross się nie poruszył. Milczał i czekał.

– Zawsze zadajecie te same pytania. – Gospodarz sięgnął po szklankę i przystawił ją do ust. Żyły na spracowanej dłoni nabrzmiały, przełyk pracował głośno. Kiedy skończył pić, spojrzął na komisarza. – A niby co miałyby się w tej sprawie zmienić? Co nowego miałbym sobie przypomnieć? Przecież od trzydziestu lat nie ma dnia, żebym nie myślał o tym, dokąd poszła moja żona. Ale to w niczym nie pomaga, rozumie pan? – Głos mu się załamał. Palacz stoczył krótką walkę z płaczem, a kiedy ją wygrał, wziął głęboki oddech. – Za jakie grzechy, pytam się.

– Wiem, że to może być dla pana trudne, ale chętnie usłyszałbym to jeszcze raz.

– Co takiego? – zdziwił się Palacz, wpatrując się w swoje dłonie i brud pod przydługimi pożółkłymi paznokciami.

– Proszę opisać mi ten dzień, gdy zaginęła. Wszystko, co pan pamięta.

Gospodarz spuścił głowę. W końcu nabrał powietrza i się wyprostował.

– Dobrze, opowiem panu. Opowiem, bo mimo upływu lat pamiętam tamten dzień jak dzisiejszy poranek.

Zamilknąwszy na chwilę, mężczyzna gapił się w otwarte drzwi do pokoju, na widoczną z tej perspektywy starą meblościankę.

– Rano obudziłem się jak zwykle tuż po piątej. Wstałem, wypilem kawę i poszedłem do zwierząt zebrać obornik.

– Co to był za dzień? – przerwał mu Gross, chociaż znał odpowiedź na to pytanie.

– Nawet tego pan nie sprawdził? – Rolnik wydawał się zniesmaczony. – To był wtorek osiemnastego lipca, proszę pana. Zwykły dzień, nic nie zapowiadało tej tragedii.

Palacz westchnął i wytarł nos materiałową chusteczką, którą wyjął z kieszeni.

– Jak już powiedziałem, poszedłem zająć się obornikiem, potem nakarmiłem świnie i krowy, uzupełniłem wodę w poidłach. Na dojenie przychodziła córka sąsiadki, Bożenka Zuba. Bo Krysia, moja żona, po porodzie nie miała na nic siły. Właściwie cały czas zajmowała się tylko domem i dziećmi.

– Nie pomagali wam rodzice? – Gross wiedział, że oboje Palaczowie byli jedynakami.

– Jej mieszkali w Olsztynie, a moi pod Żninem.

– To jak pan trafił tutaj, do Strużala?

– Brat mojego ojca, Franciszek, mieszkał tu z żoną, ciotką Natalią. Nie mieli dzieci, a mnie od zawsze ciągnęło do roli. Może dlatego, że spędzałem u nich niemal każde wakacje. Pomagałem, uczyłem się fachu. Kiedy miałem dwanaście lat, jeździłem już ciągnikiem, potem pomagałem przy burakach cukrowych i chociaż zbiory wypadały na jesień, urywałem się wtedy ze szkoły i domu, oczywiście za zgodą rodziców. I tak to już zostało. Po śmierci ciotki, kiedy wujek został sam, zniedołężniały i schorowany, przeprowadziłem się i przejąłem po nim to gospodarstwo, unowocześniłem je, kupiłem używane, ale większe kultywator i opryskiwacz. Później wziąłem na kredyt nowy traktor i resztę sprzętu. I tak zaczęła się ta cała przygoda.

Gross dał się mężczyźnie wygadać, słuchał go uważnie, po czym wrócił do interesującej go sprawy.

– Więc pomagała wam tylko ta sąsiadka?

– Jak pan tu szedł, to widział pan te domy dokoła? – Rolnik uniknął odpowiedzi.

Gross potwierdził.

– Ale wtedy tak nie było. Wtedy było tu zupełnie pusto. Stały tylko ten dom wujka i stara obora. I wszędzie, jak okiem sięgnąć, były pola. Stodołę sam już stawiałem. A najbliższy sąsiad, już nieżyjący Zdzichu Zuba, miał dom dalej, na końcu wsi. I ta jego Bożenka, siedemnastolatka, miła, ale harda wiejska dziewczyna, przychodziła nam pomagać w dojeniu krów. Tylko ona i tylko na to dojenie przychodziła. Poza tym byliśmy z żoną zdani na siebie.

– Wróćmy do wtorku osiemnastego lipca.

– Tak, tak. – Pokiwał głową. – No więc wszystko tego dnia wyglądało normalnie. Przed kolacją, kiedy skończyłem walczyć z ciapkami...

– Z kim?

– Z ciapkami, ursusem C-330, bo ciśnienie oleju skakało jak oszalałe i zawory stukały. Wróciłem do domu, zjedliśmy coś. Żona zrobiła mi kawę i bawiła się z dziećmi w ich pokoju. – Ponownie spojrzął w stronę uchylonych drzwi do drugiego pomieszczenia. – Zabrałem się do rachunków. Ale zmorzył mnie sen, być może za długo pracowałem tego dnia na słońcu, a że upał był jak cholera, to po chwili zasnąłem w fotelu.

– Pił pan kawę?

– Gorzką i czarną jak smoła.

Gross zapisał to w notesie.

– Co było dalej?

– Obudził mnie płacz dziecka.

– Jednego?

– Tak.

– Płakała Madzia. Kilkunastomiesięczne dziecko płacze inaczej niż noworodek. Ma pan dzieci, panie władzo?

Gross skinął głową i zadał kolejne pytanie.

– Rozpoznał pan płacz córki, tak?

– Bez problemu.

– I co pan zrobił?

– Chyba krzyknąłem na Krysię, żeby tu przyszła. Było już ciemnowo i to mnie kompletnie zdziwiło. Wstałem, żeby zapalić światło, a Madzia cały czas płakała.

– Spojrzał pan na zegarek.

– Tak, było przed dziesiątą wieczorem.

– Ile czasu przespał pan w fotelu?

– Wydaje mi się, że ze trzy godziny jak nic.

Gross poprosił, żeby mężczyzna kontynuował.

– Nie wiedziałem, dokąd mam iść najpierw, do pokoju dzieci czy do sypialni po żonę, bo wtedy myślałem, że być może położyła się spać z drugim dzieckiem w naszym łóżku. Jednak poszedłem do Madzi, bo chciałem ją uspokoić. Stała w łóżeczku, trzymała się barierki i zanosila się płaczem. Wziąłem ją na ręce, pobujałem, ale nic to nie dało. Płakała nadal. Mogła być głodna. W kuchni na stole stała butelka z zimnym już mlekiem. – Spojrzał w tamtą stronę. – Ogień w piecu kuchennym był wygaszony, a woda w imbryku chłodna. No i ta Madzia cały czas płakała. Zajrzałem razem z nią do sypialni. Łóżko było rozłożone, ale przykryte kocem. Wyszliśmy na dwór, wołałem żonę, ale nigdzie jej nie widziałem. W oborze i stodole było ciemno. Słyszałem tylko chrumkanie świń.

– Co pan wtedy zrobił?

– Spanikowałem. Nie rozumiałem, co się wydarzyło, nie wiedziałem, gdzie jest Krysią z małym. Wsiadłem w malucha i pogałem z córką na kolanach do Zuby. Kobiety zajęły się Madzią,

a my ze Zdzichem ruszyliśmy na poszukiwania.

– Tak od razu?

– Co to znaczy?

– Rzucił się pan na poszukiwania żony i syna.

– A to pana dziwi? – spytał stary rolnik.

– Może zanim pan zasnął, powiedziała, że się do kogoś wybiera, może do koleżanki?

– Ona tu nie miała koleżanek, nie licząc żony Zdzicha Zuby, Marioli. A po zakupy to najczęściej sam jeździłem maluchem do Chełmży, bo Krysia nie chciała zrobić prawa jazdy.

– No to mogła wyjść z chłopcem na spacer.

– Wieczorem? Daj pan spokój! – zachnął się. – No co też pan? Dokąd z tym dzieckiem miała pójść?

– Przejść się wokół, pooddychać świeżym powietrzem.

– Gdyby cokolwiek planowała, toby mi o tym powiedziała, obudziłaby mnie.

– A może próbowała, ale twardo pan spał?

Rolnik nie odpowiedział, dopiero po chwili wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Nie sądzę – odparł.

Wtedy Grossowi przysłała do głowy jeszcze jedna myśl.

– A co pana obudziło?

– Mówiłem już. Płacz córeczki.

– A może coś jeszcze?

– Do czego pan dąży?

– Pytam po prostu.

– Obudził mnie płacz Madzi, tylko to pamiętam.

– Nie słyszał pan niczego głośnego? Nic nie dochodziło z zewnątrz?

– Co na przykład? – Palacz rozłożył ręce.

– Zapuszczany silnik? Szczekanie psa?

Palacz zaprzeczył.

– A okna i drzwi były pootwierane? – zapytał policjant.

– No przecież, że tak. Było lato. Ale zaraz! – Rolnik ściągnął krzaczaste brwi. – Kiedy spałem, musiało padać, bo przez okno widziałem kałuże. No i pachniało tak, jak na wsi po deszczu.

Gross zapisał tę informację, bo chyba nie trafił na nią w aktach.

– Żona wyszła drzwiami frontowymi czy tymi na ogród?

– Od frontu, wtedy jeszcze nie mieliśmy tych na ogród. – Wskazał brodą w kierunku okien wychodzących na podwórze. – Takich się wówczas nie robiło.

– A czy z domu coś zniknęło?

– Nic.

– Jest pan pewien?

– Nie, nie jestem pewien. Możliwe, że żona zabrała jakieś ciuchy dziecięce, pieluchy. Nie mam o tym pojęcia, nigdy ich nie liczyłem, nigdy nie zwracałem na takie rzeczy uwagi. W końcu jestem mężczyzną, tak? Nie moją rolą było zajmowanie się dziećmi i domem. Nie ubierałem ich ani nie karmiłem. Ja, panie władzo, pracowałem na gospodarce. Ja ich żywiłem i dzięki mnie mieli dobrze!

Gross zmienił temat.

– A mleko na stole w kuchni?

– Co z nim?

– To było mleko dla córki czy jednak dla niemowlęcia? – Nie wiedział, czy wtedy były różne rodzaje mleka w proszku dla dzieci.

Rolnik ponownie wzruszył ramionami.

– Po urodzeniu drugiego dziecka żona robiła zazwyczaj po dwie butelki, to jej oszczędzało czas.

– Czyli mogło być tak, że butelka, która została w domu, była przygotowana dla córki, a druga

została zabrana, czy tak?

– Nie znalazłem drugiej butelki w domu, jeśli o to panu chodzi. Musiała ją zabrać.

– Ubrania, jak sam pan stwierdził, też mogły zniknąć.

– Tak, to możliwe. – Stary rolnik podrapał się po plecach, odsłaniając nieliczne posiwiałe włosy pod pachą. – Ale nie zniknęły żadne kosztowności ze szkatułki żony, żadne pieniądze.

Spojrząwszy na pustą kartkę w notatniku, Gross zapytał:

– Rozumiem, że zadzwonił pan do Olsztyna, do jej rodziców?

– Jeszcze tego samego dnia. Nie bezpośrednio do nich, bo nie mieli telefonu. Zadzwoniłem do ich sąsiadów z bloku, z pierwszego piętra, do lekarza Nakielskiego. Odebrała doktorowa, pobiegła po teściową, a ta oddzwoniła dopiero po jakimś czasie.

– A z tym Zuba to gdzie szukaliście pana żony?

– Na dworcu, w centrum Chełmży. Podjechaliśmy też na milicję, ale odesłali nas z kwitkiem, bo taki starszy sierżant, Płocki się nazywał, powiedział, że zaginięcia dorosłych przyjmują dopiero po upływie drugiej doby. Mówiłem, mu, że chodzi o niemowlę, ale on stwierdził, że niemowlak sam by nie uciekł. Że jeszcze nie mógł być biegły w chodzeniu. Śmiał się, kiedy to mówił. Ale w jednym miał rację. W tym, że dziecko musiała zabrać matka.

Komisarz sięgnął do torby po zdjęcie z imienin i podał je Stanisławowi Palaczowi. Był to w zasadzie przedruk pierwotnie zniszczonego zdjęcia, z którego wycięto nożyczkami twarz zaginionej.

Rolnik przytrzymał fotografię wielką, pomarszczoną dłonią, a na jego twarzy błąkał się delikatny uśmiech. Niby patrzył na zdjęcie, ale Gross był przekonany, że właśnie przypomina sobie dom pełen gości, harmider, odgłos stukających się ze sobą kieliszków, smak dobrze zmrożonej wódki i tatara.

– Pamiętam ten dzień.

– To była niedziela, dwa dni przed zaginięciem pańskiej żony, prawda?

Rolnik potwierdził. Poziome zmarszczki na jego wysokim czole przypomniały wzory na oheblowanej desce.

– Jak się wtedy bawiła?

Stanisław Palacz poprawił się na twardym krześle i spojrzał z niedowierzaniem na Grossa.

– Jak to jak się bawiła?

– Dobrze się czuła?

– O co panu chodzi? To były normalne imieniny, wszystko udało się znakomicie.

– A żona? Narzekała na ból głowy, była zmęczona? Chorowała?

– Nie. – Zmarszczył brwi. – Bawiła się doskonale.

– Sama przygotowywała te imieniny?

– A niby z kim miałyby to robić?

– Nie wiem – stwierdził Gross i dodał: – Długo się bawiliście?

– A co?

– Wypiliście dużo?

– A nawet jeśli, to co? Nie wolno?

– Byliście pijani?

Mężczyzna spiął się i zacisnął zęby.

– Żona piła z wami? – dopytywał Gross.

Gospodarz trzasnął otwartą dłonią w czarny blat.

– A co, do cholery?! Nie wolno? – ryknął. – We własnym domu i we własne imieniny nie mogłem się napić?

Policjant odczekał, zanim odezwał się ponownie.

– Kto się wtedy zajmował dziećmi?

– Nikt się nie zajmował, same się sobą zajmowały, bo żona położyła je spać, psiakrew! To maluchy były, wieczorem padały jak bąki.

Gross wyciągnął rękę po zdjęcie. Mężczyzna oddał je, ale patrzył na uśmiechniętą żonę. Złość

ulatywała z niego wszystkimi porami.

– Dziękuję – powiedział komisarz, a rolnik pokiwał tylko głową. – Niech się pan nie gniewa.

Po prostu musiałem zadać te pytania.

– Rozumiem, ale to mnie spotkała ta tragedia, nie pana.

Gross nie schował jeszcze notatnika.

– Czy da mi pan adres i telefon do córki?

– A nie ma go w aktach?

– Jest, ale nie mam ich przy sobie. A chętnie umówiłbym się z nią na spotkanie. Najlepiej od razu.

– Po co? Przecież ona niczego nie może pamiętać – zdziwił się rolnik.

– Oczywiście. Ale stara się odnaleźć matkę.

– Tak – przyznał. – Kochane dziecko z tej mojej córki. Jednego dnia straciła dwie bliskie osoby.

A najpiękniejsze w tym wszystkim jest to, że kocha je, chociaż nawet ich nie pamięta. To dopiero jest ból, rozumie pan? – Mężczyzna wstał. Podszedł do kredensu i z półki wziął niewielki zeszyt. Otworzył okładkę i przedyktował zapisany na twardej oprawie numer komórkowy córki.

– A gdzie ona mieszka?

– Na Kościuszki czterdzieści.

Komisarz się zdziwił.

– Gdzie? – spytał, bo był pewien, że w aktach widniał inny adres, przy Piotra Skargi, w bloku z widokiem na budowany właśnie dyskont. Powiedział o tym starszemu mężczyźnie.

– A... – Rolnik machnął ręką. – To już nieaktualne. Faktycznie tam mieszkała, ale się przeprowadziła.

– Do której klatki?

– No, tej pierwszej z prawej.

– A na którym piętrze? – Gross poczuł narastający ból w okolicach serca.

– Na trzecim.

– Dawno?

– Mniej więcej rok temu. Pomogłem jej kupić to mieszkanie, kiedy sprzedałem kolejną działkę.

– Mężczyzna umilkł, ale Gross widział, że szykuje się do zadania pytania. – A pan by nie chciał tanio kupić działki dla swoich dzieci?



W gładkiej powierzchni jeziora oboje mogli się przeglądać jak w lustrze. Gruby sternik podszedł do Skalskiej i Miłosza Wiernata, swojego dowódcy, i wyciągnął w ich kierunku paczkę wymiętych niebieskich LM-ów, na której napisano, że palenie zwiększa ryzyko impotencji.

– Puście dymka? – spytał, ocierając spocony kark.

Oboje odmówili.

– Zbyt duże ryzyko – skomentował Wiernat i mrugnął do Skalskiej, która stłumiła śmiech.

Zapalniczka zgrzytnęła i sternik się zaciągnął.

– Jeszcze chwila i słońce spali nas żywcem – stęknął mężczyzna, siadając na rufie. – Ten to sobie pożyje w tej wodzie. Takiemu to dobrze. Nuras-ogóras jeden. Nie to co my, jak te, za przeproszeniem, jajca sadzone na patelni.

Kiedy to powiedział, pęcherze powietrza zabulgotały i zmaciły tafłę wody kilka metrów od nich. Co jakiś czas wypływały z głębin w innym miejscu. Płetwonurek przeczesywał dno, ale chociaż akcja trwała już drugą godzinę, nie odnotowali jak dotąd żadnego sukcesu.

Policyjny parker 360 z numerem bocznym P-C-25 dryfował pośrodku jeziora między plażą płątną na końcu cypla a drugim brzegiem. Z lewej strony dochodziły ich krzyki bawiących się dzieci.

– Wczoraj nie mieliśmy czasu, żeby pogadać – zaczął cicho Miłosz Wiernat. – Jak się czujesz?

– Pytasz o Grzegorza? – Skalka, oparłszy się jedną nogą o burtę, pochylała się nad wodą i przyglądała swojemu odbiciu. Kita czarnych włosów przysłaniała piersi. Miała zbyt wąskie usta, tak jej się wydawało, chociaż pamiętała, że Grzegorz lubił je całować. Długo i namiętnie. Czasami przygryzał jej dolną wargę, ssał ją. Na samo wspomnienie poczuła rozchodzącą się wzdłuż jej kręgosłupa falę przyjemnego ciepła, która pozostawiła po sobie delikatne mrowienie.

– Nie mieliśmy wspólnych planów – odezwała się. – Nie wiedzieliśmy, jak się to wszystko skończy. Po prostu nie rozmawialiśmy o tym, a potem jakoś tak wyszło, że oboje się z tego wycofaliśmy. – Teraz Skalska już wiedziała dlaczego. Zrozumiała, że Grzegorz chciał naprawić swoje małżeństwo, ale było za późno. I nie chodziło o jego romans, tylko o to, że żona zdradziła go z łysym osiłkiem.

– To musiało być dla ciebie trudne. – Wiernat popatrzył w dal na porośnięty gęsto chaszczami brzeg jeziora, ukryty w głębokim cieniu. Wszystko wydawało się czarne.

– Dla Grossa to też było trudne – dodała Skalska.

– Wiem. Podobno zabrakło mu kilku sekund.

– Nigdy mi nie opowiedział, jak to wyglądało z jego perspektywy – rzekła ze smutkiem.

– On chyba nigdy nikomu nic nie mówi, co?

„To nie tak”, pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno. Wiedziała, że intencje Grossa były czyste. Po prostu wziął to na siebie, chciał ją ochronić.

– *Vis maior* – rzekła, a Wiernat powtórzył powiedzenie komisarza jak echo.

– A, patrz, byłbym zapomniał. – Policjant wszedł do kabiny i zabrał z niej kolorową teczkę. – Daj to komisarzowi.

– Co to?

– Zdjęcia i wstępna opinia techników z laboratorium.

– Ale czego dotyczy? – Wzięła teczkę i zajrzała do środka.

– Wózka dziecięcego. Wyłowiliśmy go ostatnio.

– Chciał odrestaurować? – Zaśmiała się.

– Nie. Ale nieczęsto spotykasz wózek opleciony łańcuchem od krowy i z obciążnikiem w postaci cegieł.

Skalska przejrzała wydruki.

– Jasna cholera – stwierdziła.

– Nie wygląda na to, by utopiono też dziecko. Jak wiesz, są na to lepsze i skuteczniejsze sposoby.

– No to po jaką cholere topić sam wózek? – zapytała, a Wiernat wzruszył ramionami. Pot perlił się na jego czole. – Czemu Gross zainteresował się tym złodem?

– Sama go spytaj. Pod zdjęciami jest też wstępna opinia biegłego. Poprosiłem, żeby w tym wypadku zrobił całą robotę na *cito*.

– Chcesz zaplusować u mojego szefa, co? – zażartowała.

– Kto by nie chciał mieć u niego plusów. – Wiernat odsłonił w uśmiechu równe białe zęby. – Swoją drogą, znam takich, którzy zazdroszczą ci pracy u jego boku.

– Serio? – zdziwiła się.

– Serio. Uważaj, bo czyhają na twoje miejsce. – Pogroził jej palcem.

Usłyszeli bulgotanie wody.

– Oho! Szuwarek wystawił dynię! – krzyknął sternik i z trudem się podniósł.

Obrócili się w prawo i podeszli do drugiej burty.

– Nic nie ma – wysapał płetwonurek, gdy pozbył się aparatu tlenowego z ust. – Szukamy gdzieś jeszcze?

Skalka rozejrzała się po jeziorze.

– Popłynemy w kierunku Kuchni, tam po lewej jest odnoga jeziora – poprosiła.

Sternik wystrzelił niedopałkiem w wodę.

– Zdechniemy tu, kurwa, jak nic – warknął i schował się w białej, nagrzanej mimo otwartych okien kabinie.

Skalska widziała ślady potu na jego koszuli, na plecach i pod pachami.

Gdy nurek usadowił się na rufie, zaburczał silnik, sternik wprowadził go na wysokie obroty, a dziób łodzi natychmiast się uniósł. Motorówka zostawiała za sobą zmłóconą wodę oraz rozchodzące się na boki spienione fale.

Kiedy wiatr owionął jej twarz, policjantka spojrzała w prawo, na przeciwległy brzeg. Dokładnie na to miejsce, które znajdowało się na wprost plaży płatnej.

W cieniu wysokich krzewów zauważyła mężczyznę.

Czy był to ten sam facet, o którym wspominał jej szef?

Sięgnęła do kieszeni po telefon.



Wszedłszy na trzecie piętro, Gross się zatrzymał i spojrzał na drzwi mieszkania Magdaleny Palacz. Znał tę kobietę i jej dziecko oraz męża, z którym, jak się okazało, kobieta rozstała się tuż po jego scysji z Grossem. Policjant wściekał się, ilekroć para na dole uprawiała głośny seks, nie tylko małżeński, bo często zapraszali do sypialni kogoś z grona znajomych, najczęściej drugiego mężczyznę. Ich głośne jęki i przekleństwa mieszały się z krzykiem i płaczem dziecka, kilkuletniego chłopca. Gross najbardziej martwił się właśnie o niego. A raczej o to, czego doświadczało niewinne dziecko i co widziało w tak młodym wieku. Bał się, że zaważy to na jego dorosłym życiu.

Spojrzał na zegarek. Było tuż po czternastej. Zapukał, ale nie usłyszał żadnego odgłosu dobiegającego zza drzwi. Poszedł więc do siebie i przejrzał notatki.

Kolejny raz odrzucił połączenie. Tym razem rozpoznał numer sekretariatu komendy. Przypuszczał, że Beata Różycka chciała go poinformować o czekającej na odbiór paczce z farbami modelarskimi. Miał na to jeszcze czas, nie paliło się. Potem telefon rozbrzmiał ponownie, ale Gross nawet na niego nie spojrzał.

Zrobił sobie herbatę, usiadł przy stole i przeglądał notatki z rozmowy ze Stefanem Palaczem. Dopisał do nich informacje, które zdobył, kiedy stał w ogrodzie. Wówczas notatnik i długopis tkwiły już w torbie.

– Jeszcze jedno. – Zatrzymał się wtedy na spękany betonowym podeście przed drzwiami wejściowymi. – A wózek?

Rolnik przekrzywił lekko głowę.

– Słucham?

– Czy odchodząc, żona zabrała ze sobą wózek dla syna?

Mężczyzna położył dłoń na klamce.

– Nie – odparł.

– Zostawiła go?

– Tak, stał przed domem. – Wskazał miejsce po swojej lewej.

– Jak on wyglądał?

– Normalnie, jak to wózek. W tamtych latach nie było takiego wyboru jak dziś.

– Jakiego był koloru?

– Koloru? – Mężczyzna podrapał się w głowę. – Granatowy chyba.

– Spacerówka?

– Nie rozumiem.
– Chodzi o to, jak się wozi dziecko. Na leżąco czy na siedząco?
– No pewnie, że na leżąco, a jak inaczej? – zdziwił się stary rolnik.
– Są jeszcze spacerówki. Dziecko siedzi w nich przodem do kierunku jazdy. – Gross czuł się zażenowany, że niespecjalnie umiał wyjaśnić, co ma na myśli.
– Ale takie wózki to chyba dla starszych, nie? Noworodka pan w nim przecież nie posadzi.
– Raczej nie – zgodził się Gross.
Otworzył furtkę i zszedł na wygrabioną ziemię.
– Pan uważa, bo się napracowałem na tym słońcu, jak cholera – rzucił rolnik.
– Przepraszam – powiedział Gross, wpatrując się w odcisnięte w spulchnionej ziemi podeszwy butów.

Teraz otworzył teczkę ze sprawą zaginionej ze Strużala i przeanalizował wszystkie tezy, które pojawiły się w związku ze zniknięciem kobiety. Brano pod uwagę śmiertelny wypadek i to, że kobieta wtargnęła na jezdnię. Szła bez wózka, z dzieckiem na rękę, był późny letni wieczór, może padało. Drogą przez Strużal jechał pijany mężczyzna. Albo rolnik traktorem. Prace na polu często trwały do nocy. Wpadł na kobietę z dzieckiem bądź przypadkowo zahaczył ją wyciągniętym ramieniem kultywatora. Ciach i po wszystkim. W stresie ukryła ciała.

Jednak gdyby do tego doszło, pozostałyby plamy krwi. No chyba że zmył je deszcz. Tymczasem w promieniu kilkuset metrów od domu Palaczów nie zauważono niczego podejrzanego. Na szutrowej drodze nie było też widać wyżłobionych od hamowania kolein. Nikt niczego nie słyszał, nikt niczego nie zauważył.

Co jeszcze mogło się wydarzyć?

Dwa lata później ktoś anonimowo zgłosił milicji, że tuż przed zaginięciem kobiety pod dom Palaczów podjeżdżał od czasu do czasu czerwony polonez. Najczęściej wtedy, gdy Palacza nie było w domu. Informatorka, bo biegły grafolog potwierdził, że list był skreślony kobiecym pismem, podała dwie daty i godziny. Sprawdzono właścicieli polonezów w województwie toruńskim, bydgoskim i włocławskim. Było ich trzydziestu trzech. Z milicyjnego rozpoznania wynikało, że w każdym z przypadków mężczyźni w tych dniach byli w pracy, co potwierdzały listy obecności skontrolowane w zakładach. Tylko jeden z nich miał zwolnienie lekarskie, bo dochodził do siebie po operacyjnie leczonej przepuklinie krążków międzykręgowych kręgosłupa. Z trudem chodził, częściej leżał. Bezużyteczny samochód przez trzy tygodnie zbierał kurz w garażu. Na przedniej szybie widniała spora jego warstwa, co tylko potwierdzało, że auto przez długi czas nie ruszyło się z miejsca.

Gross przerzucił szybko kolorowe zdjęcia i kilka kolejnych kartek.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych sprawą zajął się starszy aspirant delegowany z powodu braków kadrowych na kilka miesięcy z Bydgoszczy. Przesłuchał męża Palaczowej i w kilku rozmowach, odbytych w ciągu trzech miesięcy, wyciągnął z niego informacje, że kobieta mogła być nieszczęśliwa. Tęskniła za Olsztynem, nie widziała dla siebie miejsca w gospodarstwie, ciężko pracowała od świtu do zmierzchu. Pierwszy poród był trudny, kosztował ją wiele zdrowia, co potwierdzał wypis z toruńskiej porodówki. Drugi nadszedł szybko po pierwszym.

Funkcjonariusz skonsultował te zeznania z psychologiem policyjnym i wówczas pierwszy raz wpisano do akt: samobójstwo rozszerzone.

Gross sięgnął po dzwoniący telefon i tym razem zdecydował się odebrać połączenie, bo dzwoniła Wojtasik.

– Słucham?

– Masz pięć minut, by dotrzeć do mojego gabinetu – warknęła i się rozłączyła.

Dopił herbatę, pozamykał okna i kolejny raz tego dnia poczuł żar rozpalonego słońca.



Tuż po tym, jak Stefański wyszedł od Jójczyk, której podziękował za dotychczasową współpracę bombonierką wedlowskich baryłek, zebrał do kartonu wszystkie rzeczy ze swojego biurka i przeniósł je na miejsce, na którym jeszcze kilka miesięcy temu siedział Otremba.

Skałki nie było, tej nowej, Judyty, też nie. Przez uchylone w dachu okno wpadało słońce i układało się trapezem na wytartych z lakieru tanich panelach.

Stefański odstawił karton, bo na razie nie miał czasu zająć się jego rozpakowaniem.

Otworzył notes w miejscu, gdzie zapisał dane Krystiana Bogusławskiego, ojca Patrycji Szwed, i wystukał numer jego komórki na stacjonarnym. Długo trzymał słuchawkę przy uchu, jednak po drugiej stronie nikt się nie zgłosił.

Zastanawiał się, czy czasem nie złapał nici, która doprowadzi go do ofiary i zabójcy z namiotu. Patrycja Szwed była blondynką z włosami do ramion, a właśnie blond włosy zabezpieczyli technicy na miejscu zdarzenia. Wyjął zdjęcie dziewczyny i położył na blacie.

– No dalej, mów do mnie – wyszeptał. – Mów, gdzie ten gnój pochował twoje ciało.

Stefański nie miał żadnej pewności, snuł jedynie domysły, ale i tak uważał, że byłoby dobrze poinformować o wszystkim Grossa. Zapunktowałby już w pierwszym dniu służby pod jego skrzydłami. Cała ta mroczna sprawa z zabójstwem na plaży płatnej zaczynała się rozjaśniać, jakby na tę nieszczęsną polanę w lesie skierowano światło policyjnego szperacza.

Aspirant zszedł piętro niżej, ale nie zastał komisarza w jego gabinecie. Po minie sekretarki Różyckiej zorientował się, że Grossa wezwała szefowa.

– Długo to potrwa? – Stefański oparł się o framugę.

– Krzyczy na niego już dobre dziesięć minut. – Mrugnęła sekretarka i zrobiła zboląłą minę, jakby komendantka to ją zrugęła, a nie Grossa.

Policjant zerknął na zegarek i obliczył, że jeśli teraz nie pójdzie do domu na obiad, to znowu będzie zajadał furę ciepłego żarcia na kolację, a przecież miał dbać o linię.

– No trudno. Przekaż mu, że go szukałem, a ja na razie skoczę w teren i popchnę dwa tematy – powiedział i wyszedł.



Gross siedział prosto jak struna, a Wojtasik chodziła tam i z powrotem za jego plecami.

– Co masz na swoje usprawiedliwienie? – zapytała po raz kolejny.

– Nie miałem dla niego żadnych informacji, poza tym byłem wtedy zajęty.

– Czym? – warknęła. – Czym byłeś tak zajęty, żeby nie odebrać telefonu od prokuratora?

– Brandol prosił mnie o sprawdzenie kilku spraw.

– Brandol? – przerwała mu. W jej głosie brzmiało niedowierzanie. – Naprawdę? Teraz, kiedy odszedł, zaczął ci rozkazywać, a ty wreszcie go słuchasz? – ironizowała.

– Nie rozkazywał mi. Po prostu prosił, żebym zajrzał do kilku starych, niewyjaśnionych spraw, no i...

– No i oczywiście zerknęłaś, chociaż masz na głowie sprawę o zabójstwo! – krzyknęła. – I wiesz, że siedzi ci na karku prokurator!

Gross odwrócił się do niej.

– O co się tak wściekasz? – burknął. – O Legnera?

– O nie! – Pomachała mu palcem przed nosem. – Nie chodzi o Legnera. Przed chwilą z twojego powodu ucięłam sobie pogawędkę z szefem prokuratury Toruń–Wschód. I nasłuchiłam się wielu niemiłych słów.

– Legner się poskarżył?

– Gdybyś odebrał od niego telefon, toby nie było tego wszystkiego, rozumiesz? – Wojtasik wróciła za biurko. – Od tej pory masz odbierać komórkę, zanim ona zadzwoni, do cholery! Czy to jasne?

– Skontaktuję się z nim – odparł i wstał.

– Zaczekaj! – fuknęła. – Siadaj i melduj mi natychmiast, co wiemy w tej cholernej sprawie.

Gross opowiedział o wszystkim. O tym, że mógł się pomylić co do samej tezy i że tak naprawdę nie sądzi, by bez szczegółowych badań mogli zrobić jakikolwiek krok naprzód, że pozostało im czekanie. Owszem, monitorują zaginięcia kobiet, ale być może w tym wszystkim wcale nie chodzi o kobietę.

– Co masz na myśli?

– Zbyt dużą wagę przyłożyłem do bielizny i tego, że wyciągniemy z niej ślady biologiczne, które wskażą nam nowy kierunek śledztwa.

– Czyli?

– Wciąż może chodzić o zabójstwo kobiety. O ile założymy, że zabójca na przykład kupił ofierze majtki w prezencie. Chciał, żeby je dla niego włożyła.

– Tyle że po minie wnoszę, że coś ci nie pasuje. Nie chodzi o żadną dziwkę.

Gross powstrzymał się od komentarza.

– Gdyby poszło o bieliznę, to ślady na ścieżce prowadzącej od polany znaleźlibyśmy po prawej stronie. Ona się wścieka, wychodzi, on ją dogania na ścieżce, zadaje ciosy. Tymczasem, moim zdaniem, do napadu doszło, kiedy wracali z jeziora na polanę.

– Jakie jeszcze masz pomysły?

– Może chodzić o dwóch mężczyzn.

– Słucham?

– O przebieranki w kobiece ciuchy.

– O pedałów? – Wojtasik wyglądała na zniesmaczoną.

– Mam wrażenie, że każde z nas żyje w innej rzeczywistości – skonstatował w końcu.

– O co ci chodzi?

– W mojej nie ma pedałów ani dziwek, są tylko ofiary przemocy.

– Pieprzysz jak polityk przed wyborami!

– A ty przestań się bawić w Legnera – odparował, po czym wrócił do poprzedniego wątku: – W tej sytuacji wyrównanie rachunków między mężczyznami też mi pasuje. Tak czy siak, musiały się zdarzyć cud, żebyśmy zrobili krok naprzód – zakończył komisarz i ruszył do wyjścia.

– No to zacznij się o ten cud modlić. I poświęć temu całą swoją energię. Nie chcę słyszeć, że babrzesz się w jakiejś starej historii, której nie podołał Brandol. – Zamilkła na chwilę. – I koniecznie zadzwoń do prokuratora, jasne?

– Wiem, co do mnie należy – odpowiedział i skierował się do drzwi, ale jeszcze kątem oka zauważył, jak Wojtasik rozkłada bezradnie ręce i z niedowierzaniem patrzy gdzieś w bok, jakby w stronę niewidzialnego gościa. – I nie próbuj mnie pouczać.



Gross siedział w pustym gabinecie z kubkiem ostudzonej herbaty w dłoniach. Żaluzje

poddawały się lekkim podmuchom ciepłego wiatru i postukiwały raz po raz o okienną ramę.

Od jednego z podległych Oli Jojczyk dzielnicowych zdobył numer telefonu do Zubów. Postanowił jednak najpierw zadzwonić do Magdy Palacz, a kiedy odebrała, przedstawił się i wyjaśnił, o czym chciałby porozmawiać.

– Teraz? Po tylu latach? – W jej głosie wyczuł żal.

Był przyzwyczajony do pretensji, do niezadowolenia z działań policji i zawiedzionych nadziei, których właśnie w takich sprawach pokładano najwięcej. Za każdym razem czuł się tak, jakby osobiście zawodził. I w jakimś stopniu właśnie to go motywowało, uruchamiało wewnętrzny silnik napędowy. Czuł, że musi wkładać w swoją pracę więcej wysiłku, że kilkukrotne sprawdzanie każdego tropu i patrzenie na sprawy pod wieloma kątami były jego imperatywem. Zmiana perspektywy pozwalała na dostrzeżenie wielu nowych elementów, które do tej pory ukrywały się w mroku lub półcieniach.

– Czego chce się pan dowiedzieć? O czym chce pan ze mną rozmawiać?

– Chcę wyjaśnić, co się stało z pani matką i bratem.

– A czy to w ogóle możliwe? Mój ojciec był u was co roku, rozmawiał z jednym takim policjantem, który go zapewniał, że robicie wszystko, co w waszej mocy. I co to dało? Macie jakieś sukcesy na koncie? – spytała, a kiedy milczał, odezwała się znowu: – I ja mam teraz panu uwierzyć?

Gross nie odpowiedział.

– Ojciec dzwonił do mnie i uprzedził, że będzie się pan kontaktował. I wie pan, co jeszcze powiedział?

– Nie.

– Powiedział: „Córuś, nie musisz tego robić. On i tak nie kiwnie palcem w bucie. Żaden z nich nie kiwnął. Przez całe życie nas tylko kiwali”. Tak powiedział mój ojciec, prosty chłop. Niech więc pan da już sobie i nam święty spokój. Sami do tej pory zrobiliśmy więcej niż wy. Zmarnowaliście tylko nasz czas.

– Chciałbym to naprawić – przerwał jej zgodnie z tym, co czuł, chociaż nie zrobiło to na kobiecie żadnego wrażenia.

– Zmarnowaliście mnóstwo lat, a jak pan wie, czasu nie da się cofnąć. Nie zamierzam więcej tracić.

– Są sprawy, do których właśnie wracamy. Wiele się zmieniło, mamy lepsze możliwości i sprzęt.

Prychnęła.

– Lepsze niż rok i dwa lata temu? W zeszłym roku czytaliście akta przy świeczkach, a w tym dysponujecie już cudami techniki? – zakpiła. – Niech pan się przynajmniej nie ośmiesza. Do widzenia.

Rozłączyła się w chwili, gdy Gross znalazł jej zdjęcie w aktach. Raz jeszcze położył fotografię obok wizerunku zaginionej. Córka była podobna do matki, ale charakter musiała odziedziczyć po ojcu. W końcu to on zastępował jej matkę.

Zastanowił się nad tym.

Czy sam był w stanie zastąpić Bartkowi matkę?

Zrobiło mu się duszno.

Zorientował się, że oświetlona promieniami zachodzącego słońca wieża kościoła Świętego Mikołaja wyglądała, jakby stanęła w ogniu. Wyłączywszy komputer, schował akta do torby i zajął się dokumentami z całego dnia. Papiery ułożył w kolejności w teczce korespondencyjnej i zaniósł ją do opustoszałego sekretariatu.

Na dole pozdrowił kilku młodszych kolegów, którzy spoceni wychodzili z siłowni z przewieszonymi na szyjach długimi ręcznikami. Ich skóra błyszczała w blasku zapalonych lamp.

Chciał się przejść na Rynek i coś zjeść, czuł ssanie w brzuchu, ale później pomyślał, że jeszcze chwilę wytrzyma. Poszedł bulwarem i jak zawsze przedostał się pomostem na ulicę Plażową. Spojrzał w okna swojego mieszkania, a potem zjechał wzrokiem piętro niżej, tam, gdzie wisały firanki i kolorowe żaluzje i gdzie mieszkała razem z synem Magda Palacz, córka zaginionej.

Czy powinien do niej zapukać i porozmawiać z nią raz jeszcze?

Był przekonany, że musi to zrobić, ale odłożył to na później. Nie zamierzał jej zniechęcić do siebie jeszcze bardziej.

Materiały ze śledztwa zostawił na taborecie w kuchni, gdzie zjadł na szybko chleb z masłem posypanym lekko solą. Wypił wodę stojącą od rana w szklance i wyszedł.

Wieczorem upał zelżał. W drodze do Strużala czuł orzeźwiający podmuch znad jeziora. Mijał krzyżące dzieci na rowerach, gonione przez czarnego kundla, parę razy przejechał obok niego samochód, a raz głośny, potężny traktor. Rolnicy nie zeszli jeszcze z pól, prace przy żniwach, wykonywane na raty z powodu krążących nad województwem nawałnic, z wolna dobiegały końca. Widok uginających się pod wiatrem kwartałów zbóż coraz częściej ustępował miejsca obrazowi ściernisk z porzuconymi tu i ówdzie belami słomy. Część z nich zwożono i układano w wysokie stogi. Gross widział krzątających się przy jednym z nich rolników i traktor z przyczepą smętnie czekający na rozładunek.

Przy domu Palacza – zauważył, że okna i drzwi były zamknięte – skręcił w lewo, tak jak prowadziła gminna asfaltówka. Dopiero teraz dostrzegł wbitą w ziemię niewielką tablicę z niedbale wymalowanymi pędzlem dwoma słowami: „Działki tanio”. Pod spodem widniał krzywo zapisany numer telefonu, ostatnie cyfry były ściśnięte i nachodziły na siebie, a przy samej krawędzi płyty opadały.

Przyglądał się rozpadającej się stodole, w której brązowe, zmurszałe deski ledwie trzymały się konstrukcji. Dach ugiął się pośrodku. Aż dziw, że budynek wciąż wytrzymał letnie burze.

Kawałek dalej, po lewej, zobaczył gospodarstwo. Pole opadało w kierunku linii brzegowej właściwego jeziora. Właściwego, bo po prawej znajdowała się jego wąska odnoga, co sprawiało, że fragment łądu ze wsią Strużal stanowił swoisty półwysep. Prowadziła do niego jedna droga, która kończyła się nad samym jeziorem. Ta sama droga w Chełmży przechodziła w ulicę Kościuszki, przy której mieszkał komisarz.

Policjant dotarł wreszcie do domostwa położonego na niewielkim wzniesieniu w pobliżu jeziora. Dom stał równolegle do szosy, a za nim rozciągało się wydeptane podwórze. Znajdowały się na nim obora i prostopadle ustawiona stodoła, przed którą stały nadgryzione zębem czasu maszyny rolnicze. Zauważywszy Grossa, pies najpierw szczekał i skakał, kręcąc się w kocy, a potem tylko warczał, ukazując kły.

Gross wszedł po schodach na betonową werandę. Obite pionowymi listewkami drzwi, które oblażyły z farby olejnej, były uchylone i skrzypiały cicho przy każdym podmuchu letniego wiatru. Z wnętrza rozchodził się smród gotowanej kapusty, duszny i intensywny.

Gross zastukał.

– Dobry wieczór! – krzyknął.

Ze środka dobiegał odgłos odtwarzanych w telewizorze bajek.

– Kto tam? – odkrzyknął kobiecy głos.

Po chwili w drzwiach stanęła kobieta z nalaną twarzą i obwisłymi ramionami. Wielki biust spoczywał na brzuchu. T-shirt, tak jak krótkie spodenki, był przykryty poplamionym fartuchem kuchennym. Gross spojrzał na potężne uda i szerokie stopy, które nie mieściły się w klapkach na wyższym obcasie. Lakier na paznokciach spękał i nadawał się do zmycia.

– O co chodzi? – spytała zdziwiona.

– Pani Bożena Zuba?

– Tak. A pan to kto? – Wytarła ręce w fartuch.

Komisarz wyciągnął legitymację i zobaczył, jak znużenie na jej twarzy zamienia się w niepokój. Pobladła w jednej chwili, dłoń powędrowała do otwartych ust, a w wielkich oczach czaił się strach.

– Coś z bratem? – powiedziała cicho.

– Nie, zapewniam, że nic złego się nie stało. Po prostu chciałem porozmawiać z panią i pani matką.

- Porozmawiać z nami? Ale o czym? – Wciąż nie zaprosiła Grossa do środka.
- O sąsiadce. Tej zaginionej przed wieloma laty.
- Palaczowej? – Pulchnym podbródkiem kiwnęła w kierunku domu sąsiadów.

Gross potwierdził.

- Pan siądzie. – Wskazała wiklinowy fotel na werandzie. – Zaraz przyjdę, tylko przykręcę gaz.

Bigos robię.

Bożena Zuba odwróciła się na pięcie i zniknęła we wnętrzu.

Wiklina poszarzała ze starości. Kiedy Gross usiadł, zaskrzypiała pod jego ciężarem. Starał się nie ruszać i nie opierać, bo trzeszczenie starych witek miało nieprzyjemny tembr. Poza tym czuł się w tym głębokim fotelu jak w klatce.

Gospodyni wróciła z dwiema szklankami świeżo zaparzonej herbaty. Granulki wisiały pod powierzchnią parującego wrzątku i z wolna wypuszczały powykręcane wstęgi złotawego naparu.

– Najlepsza na upały. Wspomni pan moje słowa. Słodka i mocna herbata. – Z uśmiechem postawiła szklanki na chybotzącym się stoliku, po czym usiadła w fotelu. Zanim się w nim umościła i zanim wiklina przestała skrzeczeć, minęła chwila. Pulchne ręce spoczęły na podłokietnikach.

Kobieta wpatrywała się w Grossa, czekając na pierwsze pytanie, które nie padło.

- Stało się coś, że wznawiacie śledztwo? – zainteresowała się.

Gross pokręcił głową.

- Nie, po prostu co jakiś czas wracamy do sprawy.

– To dziwne, bo od wielu lat nikogo u nas nie było – stwierdziła. – Coś się musiało stać, prawda?

Gross nie zamierzał jej niczego wyjaśniać.

- Jak pani zapamiętała Krystynę Palacz? – Zadawszy to pytanie, sięgnął po notatnik.

Zmarszczyła brwi, jakby próbowała przypomnieć sobie dawne czasy i samą zaginioną.

– Rzadko ją widywałam, przychodziłam rano wydoić krowy. Mój świętej pamięci tatko mnie o to prosił. Gdyby nie to, tobym tam nie poszła.

- Dlaczego?

– On ma krew na rękach, proszę pana. To morderca.

- Co to znaczy?

– A co ma znaczyć? No normalnie, moim zdaniem to on zabił Palaczową. Nikt inny, proszę pana, tylko on.

- Zabił?

– Moim zdaniem tak właśnie było. Zabił ją, a ciało gdzieś ukrył. – Nachyliła się nad stołem. –

A pan co o tym sądzi?

- Dlaczego tak pani uważa? Co na to wskazuje? – dociekał Gross, zignorowawszy jej pytanie.

Kobieta nabrała powietrza.

– Mam wrażenie, że nie zrobił nic, żeby ją odnaleźć. Żona mu zaginęła, i to z dzieckiem, a ten nie kiwnął nawet palcem.

- A co, pani zdaniem, miał zrobić?

– A bo to mało jest możliwości, proszę pana? Wystarczyłoby zatrudnić jakiegoś Jackowskiego, wie pan, tego jasnowidza. Zresztą tego czy innego, nieważne, chodzi mi tylko o to, że nie starał się chłopina.

- Wierzy pani w jasnowidza?

– Gdyby mi chłop zaginął, to z samym diabłem bym się skontaktowała, żeby poznać prawdę.

A pan co by zrobił, gdyby ktoś panu zniknął z chaty?

Gross przez chwilę pomyślał o Bartku. Czy zrobił coś w tej sprawie? Tak niewiele, że ktoś inny mógłby pomyśleć, że nie zrobił absolutnie nic. Zawsze można zrobić więcej.

- Nie lubi go pani – uznał Gross.

– Nie lubię – odrzekła twardo, patrząc na wystający zza obory i wysokich krzewów fragment domu sąsiada.

Gross też spojrział w tamtą stronę.

– Źle mu z oczu patrzy.

Komisarz czekał na dalszy ciąg opowieści, ale ten nie nastąpił. Postanowił drążyć temat.

– Nie lubiła go pani, bo zrobił wam jakąś krzywdę? Macie jakieś stare zatargi sąsiedzkie?

– Krzywdę? – Kobieta przeniosła chłodny wzrok na Grossa. – Nie, proszę pana, nie mieliśmy żadnych zatargów. Mój tatko lubił Palacza z wzajemnością. Pomagali sobie, zawsze mogli na siebie liczyć. Przynajmniej w tamtych czasach, kiedy pani Palaczowa żyła. To znaczy, kiedy tu była – poprawiła się. – No niech pan tak nie patrzy, przecież dobrze pan wie, co mam na myśli. Wtedy pomaganie sobie było na porządku dziennym. Ludzie na wsi po prostu podawali sobie pomocną dłoń w każdej sytuacji.

– I to się zmieniło?

– Oj, i to jak! Pod koniec lat osiemdziesiątych wszystko się zmieniło. Wtedy każdy patrzył już na swoje. – Siorbnęła gorącą herbatę.

– Przestaliście sobie pomagać?

– Palacz przestał. Zdziwaczał.

– Zdziwaczał?

– Nie wiem, jak to inaczej nazwać. Wiem, że było mu trudno, miał córkę na utrzymaniu, Magdę, ale wtedy patrzył wyłącznie na pieniądze. Dawną pomoc zamienił na usługę. Kiedy tatko coś od niego chciał, musiał być przygotowany na to, że Palacz zażąda opłaty, żywej gotówki. Za wspólne naprawianie traktora, za pożyczanie przyczepy, za kiszonkę dla bydła. Wcześniej byłoby to nie do pomyślenia, wie pan? On dał nam to, my mu co innego i tak sobie ludzie na wsi żyli i pomagali. Taki handel wymienny, nie? A potem to już liczyła się wyłącznie forsa. Najpierw dzierżawił nam pole i liczył wszystko co do grosza, a później podzielił jedno z nich, to przy jeziorze, na działki. I zgarnął wtedy górę pieniędzy.

– Co z nimi zrobił?

Bożena Zuba się zaśmiała.

– Nie wiem, bo w dom nie inwestował. Może dla córki te pieniądze trzymał? Może na studia albo mieszkanie w Chełmży? W każdym razie pieniądze lubił bardzo. I chyba do dziś nimi nie pogardzi.

W progu pojawiła się kilkuletnia bosa dziewczynka w krótkiej piżamie, chuda, z dużymi oczami. Speszyla ją spojrzenie Grossa, więc spuściła głowę.

– Mamusiu... – zaczęła nieśmiało.

Bożena odwróciła się na dźwięk jej głosu.

– Co się stało, skarbeńku? – spytała. – No chodź.

Mała pokręciła głową i nie ruszyła się z miejsca.

– No mów, kochanie, widzisz, że jestem zajęta.

– Mamusiu, chodź do mnie na chwilkę – poprosiła.

Zuba westchnęła i podniosła się ciężko. Wiklina odpowiedziała trzeszczeniem.

– Zaraz wracam – obiecała i zniknęła na kilka minut, które Gross wykorzystał na picie herbaty.

Krzywił się po każdym łyku, bo napar był za słodki. „Ulepek dobry dla pszczoł”, pomyślał i przegonił krążącą wokół głowy natrętną muchę.

– Oj, te dzieciaki, te dzieciaki – powiedziała Zuba, gdy wróciła na werandę. – Kiedy nieoczekiwanie zaszłam w ciążę, wszyscy mi mówili, że późne macierzyństwo dobrze mi zrobi. Gadanie takie. – Zaśmiała się, a następnie z powrotem umościła się w fotelu.

– A mąż gdzie?

– W polu jeszcze. Układają stóg siana. Późno wróci, ale będzie głodny jak wilk, więc ten bigos z golonką to dla niego.

Gross pokiwał głową.

– Wróćmy do Krystyny Palacz.

– Tak, właśnie. – Kobieta spojrzała na komara, który usiadł jej na przedramieniu. Trzepnęła go

i rozmazała kroplę krwi. – No więc nie pamiętam jej dokładnie, bo w zasadzie się nie widywałyśmy. Jeździłam do nich wcześniej rano na rowerze, żeby wydoić im krowy, i potem wracałam do domu pomóc matuli. Krystyna w tym czasie zajmowała się dziećmi. Raz ją tylko widziałam, tuż przed samym zniknięciem.

– Kiedy to było?

– Dwa dni przed imieninami jej męża, czyli w piątek. Rano matula mnie poprosiła, żebym zawiozła do nich prosiż. Wzięłam go, ale nie pamiętam, dlaczego od razu nie pojechałam. Może tatko mnie o coś poprosił i zapomniałam? W każdym razie przypominałam sobie o tym prosiżu już po obiedzie.

– I? – Gross zachęcił, żeby kontynuowała.

– Podjechałam pod ich dom i jak zawsze oparłam rower o płot. Przez uchylone okno, bo wtedy też były takie upały jak teraz, słyszałam odgłosy awantury.

– Kto się z kim kłócił?

– Początkowo wydawało mi się, że to Palaczowie tak się kłócą, ale gdy wsłuchałam się uważniej, usłyszałam wyraźne męskie głosy.

– Męskie?

– Tak. Dwa głosy.

– A zaginiona była wtedy z nimi?

– Nie. Ze strachu zostawiłam ten prosiż pod drzwiami i odjechałam. I wtedy ją zobaczyłam. Była za domem. Siedziała na ławce ze spuszczoną głową.

– To była ona? Widziała pani jej twarz?

– Twarzy nie, ale to była ona, jej niebieska podomka, włosy. To na pewno była ona.

– Płakała?

– Wydawało mi się, że była nieszczęśliwa.

Gross zastanowił się nad tym, co usłyszał.

– O co się kłócili mężczyźni, pamięta pani?

– Nie, bo te głosy były bardzo stłumione, jakby dochodziły zza grubego muru.

– Gdzie mogliby się zamknąć, skoro w domu Palaczów nie ma piwnicy?

– Jest taka niewielka ziemianka, schodzi się do niej z kuchni. Właz zawsze był przykryty dywanem.

– Po co mieliby tam schodzić?

– Nie wiem, zresztą to nie ma sensu, bo ta ziemianka jest mała i mieści się tam ledwie jedna osoba.

– Skąd pani wie?

Kobieta machnęła ręką.

– Wcześniej, gdy Palaczowa była w ciąży z synem, przynieśliśmy jej zimą jakieś przetwory, maliny i miód z pasieki ojca, no i syrop z cebuli, bo się biedaczka rozchorowała. I ona je tam chowała. Wtedy widziałam tę piwniczkę.

Gross odnotował nowe informacje.

– Rozumiem, że jeden głos należał do Palacza, a drugi? Rozpoznała go pani?

– Nie.

– A czy na podwórzu stał wtedy jakiś samochód, którego pani nie znała? Mógł ktoś do Palaczów przyjechać z wizytą?

– Nie, na pewno bym coś zauważyła. Sporo jeździłam wtedy rowerem. Rano rodzice wysyłali mnie do sklepu społemowskiego.

– Podobno w tamtym okresie pod domem Palaczów widywany był jeden samochód.

– Naprawdę? – zdziwiła się.

– Tak.

– Kto to powiedział?

– Widywała go pani?

– Nie.

– A Krystyna Palacz? Jak ją pani zapamiętała? – Gross kolejny raz wrócił do tego samego pytania.

– Lubiła maciejkę.

– Słucham?

– Co roku w maju wysiewała maciejkę, a kiedy urosła, lubiła przesiadywać wieczorami na ławce przed domem. – Zuba zapatrzyła się przed siebie. – Ten zapach maciejki z jej ogródka też pamiętam.

Gross zanotował ten fakt i czekał na ciąg dalszy.

– Wydawała mi się nieszczęśliwą kobietą – ponownie odezwała się Zuba.

– Dlaczego tak pani uważa?

– Nie wiem, ale ona nie była przyzwyczajona do pracy na wsi. To nie był ten typ kobiety, nie nadawała się do gospodarki, słabowita taka. I właściwie nie pamiętam jej uśmiechniętej. Chyba w ogóle rzadko się uśmiechała.

– Była dobrą matką?

– A skąd niby miałabym to wiedzieć?

– Widziała ją pani pewnie z dziećmi. Może na spacerach?

– Rzadko, bo dużo roboty miałam.

– A ona?

– Ona nie pracowała. Podobno po tym drugim porodzie źle się czuła. Ale wyglądała normalnie. Tylko faktycznie siedziała ciągle w pieluchach. Sama wychowałam dwóch takich, to wiem, co to za katorga. Może to ją tak wykańczało? To, że znikąd pomocy nie miała.

– Zastanawiała się pani, co mogło się z nią stać?

– No mówiłam już przecież, ale nikt mnie nie słuchał. Gdyby tak tego Palacza przycisnąć, toby pewnie pękł i sprawa już dawno by się wyjaśniła. Ona tu gdzieś z tym dzieckiem leży, mówię panu.

Schowawszy notatnik, Gross wstał.

– Rozumiem. Dziękuję za poświęcony czas. Chciałbym jeszcze porozmawiać z pani matką. Jest w domu?

– W szpitalu, chcą ją postawić na nogi, bo miała kłopoty z żołądkiem. Przestała jeść i straciła na wadze, chociaż nadal dobrze wygląda. Podejrzewali nowotwór, ale na szczęście wykluczyli to paskudztwo.

– Wiadomo, kiedy ją wypiszą?

– Pewnie w poniedziałek. Ale może pan do niej pójść, czuje się już lepiej. Może ona coś sobie przypomni.

Gross wyjął notatnik i podał jej.

– Niech mi pani zapisze jej imię i numer telefonu – poprosił. – Wypada ją uprzedzić, prawda?

Zuba uśmiechnęła się i wstała. Oparła zeszyt na szerokiej balustradzie, żeby zapisać dane, a potem zwróciła mu notes.

– Jeszcze jedno. – Gross zatrzymał się u szczytu betonowych schodów obłożonych klinkierowymi płytkami, na które naciekał wapienny osad. – Czy mówiła pani o tej kłótni u Palaczów policjantom prowadzącym śledztwo?

– Nie, drogi panie, bo mnie nikt o to nie pytał. Zresztą ja nic właściwie nie słyszałam. Bełkot taki, że żadnego słowa nie zrozumiałam.

– A później, po latach? Mówiła pani o tym?

– Jeśli już ktoś przychodził, to rozmawiał jedynie z rodzicami.

– Pytam o mojego kolegę Arkadiusza Brandola.

– O Arka?

– Zna go pani?

– No pewnie, stare czasy, ale dobrze znam Szkieletora. Był trochę młodszy ode mnie. Należeliśmy do chóru kościelnego i o mało nas stamtąd nie wyrzucili. – Zaśmiała się. – A co u niego?

- Odchodzi na emeryturę. – Gross nie zamierzał zdradzać powodów tej decyzji.
- Już? A to cwaniak! Taki to sobie pożyje.
- Był u pani w tej sprawie?
- Arek? – prychnęła. – A skąd! Kilka razy rozmawiał z moim tatkiem.
- A czy mówiła pani o tej kłótni swoim rodzicom?
- Tak, wtedy mówiłam, ale to było dawno temu.
- I jak zareagowali?

– Nie brali tego poważnie. Uważali, że mogłam się przesłyszeć, że może to telewizor. Upierałam się przy swoim, ale tatko się wściekł i powiedział, żebym nie wtrącała się w nie swoje sprawy. Matula była tego samego zdania.

- Może to rzeczywiście był telewizor? Przytłumiony głos mógłby świadczyć o tym, że...
- Wiem, co słyszałam – przerwała mu, unosząc dłoń.
- A może to nie była kłótnia? – zastanowił się.
- Zaczynam żałować, że w ogóle o tym panu powiedziałam. – Zuba wstała.

Gross raz jeszcze podziękował i zszedł po schodach. Pies znowu szarpał się i rzucał w kojcu.

– Wie pan, co w tej sprawie jest najdziwniejsze? – odezwała się Zuba, kiedy Gross szedł już ścieżką w stronę jezdni.

Odwrócił się i zatrzymał.

- To, że tamtego wieczoru, kiedy Palaczowa zniknęła, było cicho jak makiem zasiał.
- Cicho? Co ma pani na myśli?

Przyłożyła dłoń do czoła, żeby lepiej widzieć komisarza.

– Tamtego wieczoru siedziałam z matulą na werandzie, tak jak my dziś. Dom Palaczów miałyśmy w zasadzie jak na dłoni. Doszło do jakiejś awarii i nie było prądu. Tylko cisza i ciemność. Wcześniej trochę popadało. Ale tak sobie pomyślałam, że gdyby ona rzeczywiście wyszła z domu, to przecież ich pies by szczekał. Nie lubił jej, a ona jego, nawet nie zbliżała się do budy, bo stale na nią ujadał. Wył jak opętany. – Zuba zaśmiała się, wskazując palcem kojec własnego wilczura. – Dokładnie jak ten mój szczeka teraz na pana.

Gross popatrzył na wyszczerzone kły, agresywną sylwetkę zwierzęcia i zjeżoną na karku sierść.

- Spokój, Brutus! Do budy! – Kobieta tupnęła nogą i schowała się do domu.



- To ja – rzuciła Skalska do telefonu, kiedy usłyszała Grossa. – Gdzie jesteś?
- Wracam ze Strużala – powiedział, minąwszy dom Palacza.
- Słyszała jakieś odgłosy w słuchawce, jakby terkot silnika traktora.
- Co masz? – spytał Gross.

Policjantka podrapała się po udzie i wyczuła na nim bąbla od komara. Zaswędziało ją, ale zwalczyła pokusę drapania. Nie wspomniała o tym, że całe popołudnie krążyła po Kuchni oraz w okolicach ścieżki prowadzącej od wioski w kierunku plaży płatnej. Nigdzie nie natrafiła na tajemniczego mężczyznę w kapeluszu.

– Byłam w Toruniu, w tym biurze podróży, w którym Cebulkiewiczowie wykupili sobie wycieczkę.

- No i? – ponaglił ją.

– Są na miejscu, na Teneryfie. Rozmawiałam dziś z rezydentką biura, która mieszka w hotelu oddalonym o kilkanaście kilometrów od ich hotelu. Była u nich wczoraj i przyjęła od Cebulkiewiczów pieniądze na wycieczkę fakultatywną, która ma się odbyć jutro.

– Rozumiem, czyli harcmistrz Cebulkiewicz odpada – stwierdził Gross. – A kiedy wracają?
– Pod koniec przyszłego tygodnia, przez Katowice. Samolot mają wieczorem, więc niewykluczone, że przenocują w pobliżu lotniska i przyjadą następnego dnia.

– Dobrze, a co z przeszukaniem dna jeziora?

– Zupełnie nic. Zero trafień. Mam za to dla ciebie teczkę od Miłosza Wiernata. Chodzi o wstępną ekspertyzę wózka dziecięcego znalezionego w jeziorze. – Skalka zawiesiła głos. – Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałeś?

– A co byś zrobiła z tą wiedzą? – spytał zupełnie poważnie. – Bo ja nadal nie wiem, do czego to przypiąć.

– Do sprawy zaginionej ze Strużala?

– Nie ten typ wózka – odpowiedział.

– Nie rozumiem.

– Kobieta uciekała z kilkutygodniowym dzieckiem. Takie wozi się na leżąco, w wózkach gondolowych.

Skalska patrzyła, jak Julek odkorkowuje wino w kuchni i nalewa do kieliszków. Widziała wyrzeźbione mięśnie przedramienia obsypane jasnymi, gęstymi włoskami, których brakowało na klatce piersiowej, kroczu i nogach. Chłopak dbał o wygląd. Zaniepokoiło ją tylko zadrapanie na skórze sprężystej łydki. Czy nie widziała go wcześniej? Podłużną szramę pokrywał wąski, zaschnięty skrzep. Druga noga wyglądała podobnie, ale tamte zadrapania nie spowodowały krwawienia.

– Pewnie masz rację – powiedziała. – Dobra, muszę już kończyć. Teczkę zostawiłam ci na biurku.

– Dziękuję.

– A! Poczekaj, jeszcze jedno. Widziałam dziś tego mężczyznę, o którym mówiłeś. No wiesz, tego na drugim brzegu.

– Kiedy go widziałeś?

– Na motorówce, gdy czekaliśmy na płetwonurka.

– Co robił?

– Nic. Po prostu się przyglądał.

– Odszedł, kiedy zobaczył, że na niego patrzysz?

– Zauważyłam go dopiero, gdy stamtąd odpływaliśmy. Sternik pruł jak wariat, więc to były dosłownie sekundy.

– Rozpoznałabyś go?

– Nie, na pewno nie. Nawet nie widziałam jego twarzy. Wiem tylko, że jest szczupły i wysoki.

– Rozumiem, dziękuję.

Skalka pożegnała się i rozłączyła w chwili, gdy Julek wszedł do salonu z dwoma kieliszkami. Jasna grzywa jak zawsze przysłaniała mu oczy.

– Zanieś to na górę. Do łazienki – poprosiła. – I napełnij mi ciepłej wody do wanny.

Uśmiechnął się i wyszedł. Schody zaskrzypiały pod jego ciężarem.

Po chwili usłyszała przytłumiony szum wody.

Pomasowała kark, czuła się wyjątkowo zmęczona po całym dniu pracy.

Kiedy wróciła do domu, młody czekał na nią pod drzwiami z pudełkiem czekoladek i winem. O kwiatach nie pamiętał, a szkoda, bo lubiła kwiaty.

Najpierw się zezłościła, bo nie chciała go już więcej widzieć. Poza tym bała się wścibskich sąsiadów, którzy mogliby go zobaczyć. Po namyśle doszła jednak do wniosku, że ma ich wszystkich gdzieś. Ma prawo żyć na własnych zasadach i nikomu nic do tego. Wiedziała, że ma już swoje lata, że nie nadaje się do roli przykładowej żony ani matki. Nie w tym zawodzie, nie w tym życiu. Dwa miesiące po śmierci Otremby założyła sobie spiralę. Nie chciała związków, a jednocześnie nie zamierzała zrezygnować z seksu. A skoro już ją nosiła, to czemu nie korzystać z przyjemności, które świat dla niej przygotował. Nawet jeśli ta przyjemność była bardzo młodym i niedoświadczonym w sypialni blondynem. Już nigdy potem nie będzie na tyle atrakcyjna, by przyciągać tak młodych facetów.

Wykorzysta go i nauczy kilku sztuczek, żeby przynajmniej zapamiętał ją do końca życia. Być może żadna młodsza nigdy jej nie dorówna. Może w każdej z tych głupich siks zawsze już będzie szukał jej, Moniki Skalskiej.

– Gotowe! – krzyknął z góry Julek.

Powędrowała na piętro i zajrzała do łazienki.

Julek siedział w wannie i czekał na nią, popijając wino. Piana układała się na jego umięśnionym torsie i drobnych, jasnych sutkach.

Zrzuciła bluzkę i rozpięła biustonosz. Potem zsunęła spodnie razem z majtkami i podeszła do wanny. Dotknął jej mokrą ręką. Strużka wody spłynęła po wewnętrznej stronie uda. Rozpuściła włosy, które rozsypały się na jej plecach.

Odsunąwszy jego dłoń, sięgnęła po swój kieliszek. Upiła dwa łyki, które rozgrzały jej przełyk, a następnie zrobiła dwa kroki w tył i oparła się o pralkę. Wciąż na niego patrzyła, a on na nią. Ośliniła dwa palce i przyłożyła do sutka. Bawiła się nim do czasu, aż stwardniał. Ponownie włożyła palce do ust i tym razem chciała przyłożyć je do łechtaczki, ale przeszkodził jej w tym dzwonek do drzwi.

– Tylko nie przerywaj – poprosił błagalnym tonem.

Mimo to podeszła do okna i zerknęła w dół.

– Mówiłeś komuś, że tu będziesz? – Odwróciła się do chłopaka.

– Nie.

– Nikomu? – zezłościła się.

– A po co miałbym o tym mówić?

– Właśnie to chciałabym wiedzieć. W każdym razie mamy kłopot. – Schyliła się po majtki. – Twój ojciec czeka na dole.



Po obiedzie zostało już tylko wspomnienie. Stefański wparował do domu, odgrzał kotlety, na które nałożył solidną porcję żurawiny, i na głębokim oleju podsmażył wczorajsze ziemniaki, pokrojone w talarki. Kiedy je wyciągał, starał się nie odsączyć ich za bardzo z tłuszczu.

Zjadł, popił colą i wyprostował się na chwilę na kanapie, którą kupili z żoną w zeszłym roku. Złączył dłonie na brzuchu i przymknął oczy. Chciał tylko rozprostować kręgosłup i dać odpocząć kolanom, w których coraz częściej czuł tępy ból. Powinien trochę schudnąć. Odrobinę. Powtarzał to sobie w kółko, powtarzali też jego najbliżsi. Filigranowa żona odżywiła się chyba powietrzem. Syn, nastolatek grający na skrzypcach w tutejszej szkole muzycznej, pod tym względem wdał się w matkę. Niby chłop, wąs pod nosem mu się sypnął, ale patyczak, jak nie przymierzając, szkielet latawca, śmiał się Stefański. Nie to, co on. Wszyscy chłopcy w rodzinie byli słusznej postury. W gruncie rzeczy więc Stefański tylko gadał o tym odchudzaniu, ale tak naprawdę robił wszystko, by zachować *status quo*. Jedyne, czego nie chciał, to znacznie przytyć. Osiem miesięcy temu ważył dwanaście kilogramów więcej niż obecnie i pamiętał dokładnie, jak przy wiązaniu butów „odcinało mu prąd”. Jakby skutek skłonu zamykały mu się wszystkie zastawki w sercu, a żyły zaginały jak wąż ogrodowy, z którego nie polecą woda. Śmiał się, że w takich sytuacjach groziło mu niedotlenienie mózgu, dlatego zaopatrzył się w długą łyżkę do butów i kupował obuwie zapinane na rzepy albo zwykłe wsuwki.

Stefański myślał o tym wszystkim, ale tak naprawdę nie wiedział, po jaką cholere to robi. Poprawił poduszkę pod głową i przy wtórze jęczących sprężyn przewrócił się na bok.

Zerwał się dwie godziny później, obudzony przez trzaśnięcie drzwi na skutek przeciągu. Spoglądał nieprzytomnym wzrokiem w stronę przedpokoju, skąd dobiegał głos syna. Młody trajkotał przez telefon. Stefański usiadł i przetarł oczy. A kiedy dotarło do niego, która jest godzina, sięgnął po

komórkę. Była wyciszona, ale na szczęście nikt do niego nie dzwonił. Okej, czyli nic się nie stało, a gdyby ktoś pytał, był w pracy, w terenie, pracował za dwóch.

Wstał, ale musiał przytrzymać się framugi, bo zakręciło mu się w głowie i chciało mu się pić. Syn dalej rozmawiał przez komórkę i nie zwrócił uwagi na ojca nawet wtedy, kiedy ten zmierzwił mu przed wyjściem włosy.

Gorące powietrze wypełniało mu płuca i już po kilku minutach Stefański czuł, że się dusi. W drodze na osiedle Maja mijał znajomych, którym kłaniał się z uśmiechem. Do nikogo jednak nie zagadał, nie chciał stać w słońcu, które przypiekałoby mu skórę. Minąwszy cmentarze po obu stronach drogi wojewódzkiej numer 551, nabrał nadziei, że wkrótce będzie u celu. Dom ojca Patrycji Szwed, Krystiana Bogusławskiego, mieścił się w pobliżu domu Skalki, jeśli nie przy tej samej ulicy, to przy równoległej, której nazwy Stefański teraz zupełnie nie pamiętał. Zapisał sobie dokładny adres, ale nie wziął torby ze sobą, żeby nie cisnęła go w ramię. Notes i długopis wcisnął do tylnej kieszeni spodni. Ostatecznie był w Chełmży – jeśli zapyta kogoś z osiedla o Bogusławskiego, to pewnie mu wskażą.

O ojcu zaginionej dowiedział się tylko tyle, że od ponad roku jest jednym z administratorów w spółdzielni mieszkaniowej. Nienotowany, spokojny obywatel, lat pięćdziesiąt dwa. Jedyny zameldowany w starym, niewielkim domu, co wcale nie oznaczało, że mieszkał sam. Istotne było jednak to, że to właśnie u niego Patrycja Szwed miała nocować z soboty na niedzielę. I to było prawdziwe zmartwienie Stefańskiego. Wiedział dobrze, że ofiara zabójcy z namiotu prawdopodobnie została zamordowana właśnie tamtej nocy.

Aspirant zatrzymał się przed furtką parterowego domu przy ulicy Dorawy. Z wcześniejszego rozpoznania za pomocą *street view* wiedział, że to tutaj. Spojrzał w okna, ale wnętrza przysłaniały wzorzyste firanki. Było po osiemnastej, więc Stefański liczył, że Bogusławski już dawno wrócił z pracy. Wcisnął zniszczony, okrągły przycisk domofonu i usłyszał jego dźwięk rozchodzący się po mieszkaniu. Nieprzyjemny, jazgotliwy.

Skądś dochodził zapach grillowanego mięsa, który nęcił Stefańskiego. W tle leciała przyciszona muzyka i słychać było niewyraźne rozmowy i śmiechy. Nieco dalej samochód wjeżdżał do garażu.

Stefański zadzwonił raz jeszcze.

Zamknięte okna sugerowały, że nikogo nie było w domu. Stefański popchnął furtkę, a ta, o dziwo, się otworzyła. Zardzewiałe zawiasy zapiszczały. Elektromagnes wyglądał, jakby był zepsuty. Stefański palcem popchnął zapadkę, która nie stawiała oporu i szybko wróciła na swoje miejsce. Wszedł na teren działki i przyjrzał się drzwiom. Nie zauważył żadnych śladów włamania, żadnych świeżych zarysowań w pobliżu klamki. Nie było ich także przy framudze. Aspirant złapał klamkę przez swój luźny T-shirt i nacisnął ją. Drzwi były zamknięte.

Podszedł więc do brudnych, dawno niemytych okien pełnych zacieków, gdy ktoś szarpnął zasłonę i nagle Stefański zobaczył wykrzywioną złością twarz.

– Czego tu? – ryknął mężczyzna zza szyby. – Policję mam wezwać?

Stefański odskoczył od okna. Serce waliło mu jak oszałałe.

– To ja jestem z policji – wydusił. – Pan otworzy drzwi.

Stefański zrobił dwa kroki i stanął przed nimi. Zgrzytnęły zamki.

– Mam nadzieję, że pana nie wystraszyłem – odezwał się Krystian Bogusławski. Był boso, w wytartych dżinsach. Nagą klatkę piersiową porastało skąpe owłosienie układające się w niewielki krzyż. Opalona skóra marszczyła się na brzuchu. – Kręcą się tu różni tacy...

– Dlaczego pan nie otwierał?

– W toalecie byłem. A kiedy wyszedłem, zobaczyłem, że ktoś mi się lampi przez okno! No to narobiłem rabanu.

Stefański machnął ręką.

– Sprawę mam – powiedział, wyjmując z kieszeni blachę.

– Do mnie?

– Chodzi o pańską córkę, Patrycję.

Mężczyzna wyraźnie pobladł.

- Stało się coś? – Podrapał się po nagim torsie.
- Nie odzywa się do matki. A ta zgłosiła zaginięcie.
- Zaginięcie?

– Czy niewyraźnie mówię? – Stefański pochylił głowę, przybierając agresywną postawę. Od Bogusławskiego wyczuł alkohol, dlatego postanowił pograć z nim inaczej. – Pan podobno był temu przeciwny!

– Ja, przeciwny? No co pan.

– Niech pan nie udaje! Kiedy ostatni raz widział się pan z córką?

– Kiedy? Zaraz, niech pomyślę. – Mężczyzna przecesał ręką włosy. – Spała tu z soboty na niedzielę, a rano wyjechała do Bachotka. To znaczy do Brodnicy. Pociąg miała chyba o szóstej.

– Odprowadził ją pan?

– Odprowadził? – Uśmiechnął się. – To prawie dorosła dziewczyna! Gdy wstałem, to jej już dawno nie było.

– A dlaczego przyszła do pana na noc?

– Znowu pokłóciła się z matką. – Palcem zatoczył kółka przy skroni. – Ona ma fizia.

– Kto?

– Ta jej matka. Normalnie jest walnięta kobita, na nic tej Patrycji nie pozwala. Trzyma ją krótko, nie daje się sparzyć. A tak nie wychowasz pan nigdy dziecka, prawda? Masz pan dziecko?

Stefański kiwnął głową, ale zaraz tego pożałował. Nie miał zamiaru o tym rozmawiać. Jego syn, jak Patrycja, miał krótką smycz i czasami nawet tą smyczą w dupę dostawał w trosce o dobre wychowanie i naukę szacunku gówniarza do rodziców. Teraz Stefański nie musiał się już do takich metod uciekać, swoje chłopak oberwał, dość, by wybić mu z głowy durne pomysły.

– Jest pan pewien, że Patrycja tu nocowała? Nie wymknęła się na noc? – spytał aspirant.

– A po co miałyby to robić?

– Niechże pan odpowiada na pytania – zirytował się Stefański.

Szczurzy pysk Bogusławskiego, z krótkim wąsikiem pod zadartym nochem źle działał na policjanta. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że mężczyzna przypomina mu postać ze starej bajki, mrocznego Szpiega z Krainy Deszczowców.

Aspirant przepchnął się obok mężczyzny i wszedł do domu, rozglądając się na boki. Poczul w niewietrzonym wnętrzu smród kwaśnego potu pomieszany z duszącym zapachem starego tytoniu, który wżarł się w poźółkle firany i wytarte tapicerowane meble.

– Co pan robi? Tak nie można! – warknął Bogusławski.

– Gdzie spała, pytam!

Gospodarz spuścił z tonu.

– Tam. – Wskazał pokój po lewej.

Stefański uchylił drzwi do klitki. Zobaczył meblościankę z błyszczącymi lakierem frontami, ustawioną na dokręcanych stożkowych drewnianych nogach. Pełno w niej było starych książek, oprawionych u introligatora, większość miała ten sam brązowy grzbiet i marmurkowe zielonkawe sztywne okładki. Stefański je znał, bo podobne mieli jego rodzice. Dobra, stara robota.

Pod oknem, przez które niedawno zerkał, stała złożona wersalka przykryta brązowym kocem z wizerunkiem lwa. Na podłodze leżał wzorzysty chodnik, spod którego wyzierały poszarzałe deski parkietu układanego w jodełkę.

– Często tu spała? – spytał Stefański.

– Czasami.

– Czasami – powtórzył cicho policjant. – Skoro tak, to chyba miała tutaj jakieś rzeczy, co? W końcu to młoda kobieta. Przybory do makijażu, inne rzeczy?

– Rzeczy? – Bogusławski oparł się o framugę i wcisnął dłonie w tylne kieszenie dżinsów.

– Ciuchy, szczoteczkę do zębów, bieliznę – wyliczał Stefański, otworzywszy szafę, z której uniósł się intensywny zapach naftaliny. Wisiały w niej stare, niemodne damskie ubrania. Pozaglądał do pozostałych szafek, a na koniec kucnął i uchylił trzy szuflady. Poupychano w nich bibeloty i poźółkle

papierzyska, albumy ze zdjęciami, z których wystawały porozdzierane fragmenty kalki.

– To rzeczy po mojej matce – stwierdził gospodarz. – Patrycja najczęściej wszystko miała w swoim plecaku.

– A ostatnio? Duży to był plecak?

– Nie, ten, co zawsze.

– Jak to? – Stefański się wyprostował. – Przecież podobno jechała do Bachotka, i to na kilka dni. Przecież musiała zabrać więcej niż zazwyczaj, nie?

Bogusławski nic nie odpowiedział.

– Pan coś kręcisz. – Stefański pogroził mu palcem.

Nachylił się i pociągnął do siebie wersalkę, tak by wysunęła się spod szerokiego plastikowego parapetu. Uniósł ją lekko i zajął do pojemnika na pościel.

Zastygł na moment.

– Uuuuu! – zawołał śpiewnie Stefański, po czym całkowicie podniósł siedzisko wersalki.

Oparcie z hukiem uderzyło o drewnianą konstrukcję.

Policjant spojrział w wystraszone oczy właściciela domu i z powrotem na znalezisko.

– No to teraz, panie Bogusławski, żarty się skończyły.



– Rafał? Co ty tu robisz? – spytała Skalska.

Mężczyzna odwrócił się do niej.

– Monia! – Uśmiechnął się. – Mogę?

Policjantka odsunęła się i wpuściła go do domu. Wniósł ze sobą zapach drogiej wody kolońskiej, którą skropił markowe ciuchy. Na stopach miał granatowe mokasyny, ich odcień pasował do koszulki polo ozdobionej znaczkiem aligatora. Luźne płócienne spodnie maskowały jego krzywe, piłkarskie nogi.

Rozejrzał się w holu. Skalska wskazała mu salon. Idąc za Rafałem Kwaśniewskim, spojrzała w górę na schody. Kątem oka za barierką dostrzegła łydki Julka.

– Zazwyczaj to ja chodzę po ludziach – powiedziała spokojnie. – Co cię sprowadza?

Mężczyzna się rozejrzał.

Skałka bała się pytania o Julka, o to, czy tu był albo, co gorsza, czy wciąż tu jest. Rozważała, czy powinna zamknąć drzwi wychodzące na hol, ale wtedy zdradziłaby, że nie jest sama.

– Wina? – Spojrzał na butelkę ustawioną przy otwartym barku.

Odetchnęła z ulgą, że nie stały obok niej dwa kieliszki.

– O co chodzi, Rafał? – W jej głosie zabrzmiało zniecierpliwienie.

– Spokojnie, wyluzuj. – Kwaśniewski podszedł do barku i odkorkował ledwie zatkaną butelkę. Skierował ją w stronę Skałki.

– Słuchaj, nie wiem, o co ci chodzi, i wcale nie mam ochoty pić z tobą wina.

Mężczyzna wziął z barku dwa czyste kieliszki i napełnił je do połowy burgundowym, lekko przezroczystym płynem.

– Wyluzuj – poprosił jeszcze raz.

Skalska spuściła głowę i pokręciła nią z niedowierzaniem.

– Byliśmy młodzi i tak to musiało się skończyć, ale to nie oznacza, że wciąż musimy krzywo na siebie patrzeć. – Zatkaną butelkę korkiem.

Zerknęła w bok w stronę schodów. Julek stał na nich przewiązany ręcznikiem. Woda kapała mu z grzywki na klatkę piersiową i na drewniane stopnie. Dała mu znak, by uciekał na górę, ale chłopak

nawet nie ruszył się z miejsca.

Było gorzej.

Usiadł tam.

– Proszę. – Rafał podszedł i podał jej kieliszek.

Wzięła go, ale nie podniosła do ust, tak jak to zrobił gość.

Kwaśniewski cofnął się i usiadł w fotelu, szeroko rozkładając nogi. Na szczęście wybrał ten, który był ustawiony na wprost okien wychodzących na przysłoniętą wysokim świerkiem i tujami ulicę.

Słońce powoli gasło.

– Za naszą przyszłość. – Wzniósł toast.

Skalska nie usiadła. Wolała kontrolować to, co robił syn jej niespodziewanego gościa. Zanurzyła usta w winie.

– To teraz przestań pierdolić i mów, z czym przyszedłeś – powiedziała cicho, tak by Julek niczego nie usłyszał.

Zaśmiał się i oparł głowę na zagłówku fotela.

– Cała ty!

Skalka odstawiła kieliszek.

– Czego chcesz?

– Chodzi o Julka, mojego syna. Podobno widziałas się z nim niedawno. – Upił łyk wina.

– Z twoim synem? – Zaśmiała się, ale sama słyszała, jak sztucznie zabrzmiał ten śmiech. –

Niby kiedy?

– W sprawie tego, co się wydarzyło na płatnej. Opowiadał mi.

– Rozmawiałam z kilkoma młodymi chłopakami. O którym mówisz?

– Taki przystojniaczek jak ja, tylko z blond grzywką.

Skalska udawała, że się skupia.

– A, faktycznie, był taki jeden. – Strzeliła palcami.

Kwaśniewski wypił resztę wina i się skrzywił.

– Chodzi o to, że ostatnio gówniarz przestał wracać na noc.

– A ile ma lat?

– Osiemnaście – odparł. – Jest lato, po maturze zasłużył na większy luz, więc przemykam trochę oko, czasami go kryję przed matką, że pracuje w hotelu i śpi tam w takim pomieszczeniu gospodarczym, ale prędzej czy później Lidka się zorientuje, że coś jest nie tak. Wiesz, jaka ona jest.

Skalka pokiwała głową, a on patrzył na nią długo i przenikliwie.

– Nie to, co ty...

– Przestań – przerwała mu.

Powinna podejść i zamknąć drzwi, tak żeby Julek niczego nie słyszał, ale stała jak wmurowana.

– Wiesz, czasami żałuję, że to wszystko potoczyło się tak, jak się potoczyło, że my wtedy...

– Daj spokój!

– Mogliśmy przecież być razem.

– Idź już...

– Po tym, jak pierwszy raz ją z tobą zdradziłem...

– Zamknij się! – wrzasnęła.

Kwaśniewski wstał i podszedł do policjantki.

– Co? Już nie masz na mnie ochoty? A pamiętasz, jak nieco ponad rok temu jęczałaś w łóżku w hotelu? Już nie pamiętasz, jak się tam spotykaliśmy? I jak ci było dobrze, co? – Wypluwał słowa, a razem z nimi drobinki śliny.

– Wynoś się – szepnęła Skalska, po czym dodała głośniejszym głosem: – Wypierdalaj!

Wziął wdech i wypuścił powietrze.

Wpatrywała się w dywan. Nie miała już siły.

Usłyszała jego kroki, kiedy kierował się w stronę wyjścia.

– Daj znać, gdybyś widziała gdzieś Julka – poprosił. – I gdybyś chciała się spotkać, to wiesz...

Ciągle jestem na posterunku. – Mrugnął do niej.

Kiedy zamknęły się drzwi, Skalka ruszyła pędem na górę. Julek siedział nagi na dywanie w sypialni.

– Ty dziwko, ty kurwo jedna, ty! – szlochał.

Chwyliła z łazienki jego ciuchy i rzuciła je w niego. Spadły na dywan.

– Wypierdalaj. Ale już! Goń swojego tatusia.



Posmarowawszy chrupkie pieczywo cienką warstwą pasztetu, komisarz Bernard Gross zjadł kolację na stojąco, obserwując przez okno rower wodny, który dobijał do brzegu przy Tumskiej Przystani. Dwoje turystów z plecakami, wyraźnie się spieszących, wyskoczyło z niego do wody. Sięgała im po kolana. Wciągnęli rower głębiej na ląd, żeby nie odpłynął, po czym boso ruszyli w stronę zabudowań.

Gross napił się herbaty i zaniósł ją do pokoju.

Kolejną turę wertowania akt zakończył przed kwadransem, ale nie natknął się na nic, co zwróciłoby jego uwagę. Zaginięcie Krystyny Palacz, sprawę, w którą zaczął wsiąkać, cechowało coś szczególnego. Na pierwszy rzut oka takich przypadków było mnóstwo. Gross wiedział jednak, że gdzieś we mgle, która spowijała ten długi ciąg niewytłumaczalnych zdarzeń, nastąpił moment przełomowy. Jakby ktoś przełączył zwrotnicę i zmienił bieg tej historii.

Wybrał numer do Brandola, ale okazało się, że jego służbową komórkę przejął inny funkcjonariusz. Gross nie miał ani prywatnego numeru podinspektora, ani numeru domowego. Podzwonił jednak po znajomych i szybko uzyskał oba.

Po piątym wolnym sygnale odezwał się zmęczony kobiecy głos.

– Halo.

Gross przedstawił się i poprosił o rozmowę z Arkadiuszem Brandolem.

– Mąż śpi, proszę pana. Złe się czuje.

– Rozumiem, a czy mogłaby mu pani przekazać, że dzwoniłem?

W słuchawce zapadła długa cisza. Gross dopiero po chwili się zorientował, że kobieta odłożyła słuchawkę, nie pożegnawszy się z nim.

Spróbował zadzwonić na komórkę, ale po kilku sygnałach odpuścił i wysłał SMS z prośbą o kontakt. Odłożył aparat i usiadł przy modelarskiej części stołu. Otworzył pudełko z modelem schwimmwagena i zatopił myśli w sprawie sprzed trzydziestu lat.

Brak skalpela niezbędnego do poprawnego, jego zdaniem, wycinania części z ramek zrekompensował sobie, wykorzystując nożyk do tapet. Narzędzie nie było zbyt poręczne, a do tego ostrze wyginało się przy większym nacisku, co sprawiało, że cięcie dalekie było od precyzji. Kiedy odcinał nadwozie z wyprasek, nóż pękł z głośnym dźwiękiem. Złamane stalowe ostrze odskoczyło i upadło na dywan.

Gross schylił się i podniósł pęknięty fragment, po czym odłożył go na bok. Dopiero wtedy dostrzegł, że orurowanie przy przedniej części nadwozia, tam, gdzie znajdowała się tablica rejestracyjna, jest pęknięte. Musiał użyć zbyt dużej siły i nie zauważył, kiedy dociskając nóż, złamał delikatny fragment plastiku.

Wiedział, że będzie musiał się tym zająć w pierwszej kolejności. Odciął nierówne brzegi cieniutkiego owalnego plastiku imitującego rurę i zmierzył powstałą w ten sposób przerwę. Odszukał w resztkach modelarskich, których nigdy nie wyrzucał, plastikowe pręty, które odcinał z wyprasek, i sprawdził, czy któraś z nich nadaje się pod względem grubości na wypełnienie ubytku. Ostatecznie

użył fragmentu pręta polistyrenowego, którego znaczną część wykorzystał w poprzedniej dioramie do imitacji kraty ściekowej w wybrukowanej jezdni. Odciął niewielki kawałek polistyrenu, złapał go pęsetą i przyłożył do modelu. Był ciut za długi, więc spiliował go, a następnie wygładził krawędzie końcówek. Kiedy wszystko już pasowało, ponownie przyłożył plastik w miejsce przerwy w orurowaniu modelu i pokrył warstwą „spawacza”, szybko schnącego kleju nakładanego pędzlem. Zastanawiał się tylko, czy ostatecznie uda mu się obrobić ten delikatny odcinek plastiku tak, by powstała w nim wada nie była widoczna po malowaniu.

Powycinał pozostałe części i kleił kilka podstawowych elementów. Wbrew instrukcji zaczął od wnętrza kabiny i silnika. Potem odłożył wszystkie elementy, zdjął lateksowe rękawiczki i umył w łazience spocone dłonie. Uznał, że już czas. Włożył buty i zszedł piętro niżej. Zapukał do drzwi Magdy Palacz, zza których dochodziły dźwięki bajek.

– Mamooo! Ktoś puka. – Usłyszał chłopięcy głos.

– Już, już – odpowiedziała kobieta.

Gross nie wiedział, ani co go czeka, ani czego ma się spodziewać po tym spotkaniu. Wiedział tylko, że musi porozmawiać z córką zaginionej kobiety. Interesowało go wszystko to, co zgromadziła na temat matki, której w ogóle nie znała.

Kiedy tak stał pod drzwiami, zastanawiał się, czy Bartek, chociaż w chwili napadu był starszy niż Magda Palacz, gdy zaginęła jej matka, zdążył poznać Agnieszkę.

– Słucham. – Drzwi otworzyła kobieta, którą Gross wielokrotnie mijał na klatce schodowej. Rozpoznała go. – Czego pan chce?

– To ja dzwoniłem dziś do pani – przyznał komisarz. – I to ja zajmuję się teraz sprawą zaginięcia pani matki.

Magdalena Palacz popatrzyła na niego złowrogo.

– Chciałbym z panią porozmawiać. – Postanowił nie uciekać się do wyświechtanego frazesu, że mogą to zrobić na komendzie. Dał jej szansę i liczył, że kobieta z niej skorzysta.

– Pan mieszka nad nami, prawda?

Gross potwierdził, a córka Palaczów się zawahała. W końcu, kiedy jej syn podszedł do niej i się przytulił, pokiwała głową.

– Wybieram się do sklepu. Niech pan przyjdzie za pół godziny – powiedziała i zamknęła mu drzwi przed nosem.



Stefański siedział w fotelu ustawionym blisko telewizora, a Bogusławski na pufie naprzeciwko policjanta. Wyciągnął nogi. Podeszwy jego stóp były czarne od brudu i śmierdziały nieziemsko.

Pokój dzienny był skromnie urządzone, nie licząc dużego telewizora zajmującego niemal pół ściany. Blask bijący od murawy, na której rozgrywano mecz ligi hiszpańskiej, oślepił Stefańskiego.

Tuż po tym, jak znalazł w wersalce zakrwawioną koszulę harcerską, poprosił dyżurnego, żeby podesłał mu człowieka od zabezpieczenia śladów. Przysłany funkcjonariusz wykorzystał jeden z testów, by sprawdzić, czy mają do czynienia z krwią. Kiedy to się potwierdziło, spakował zabrudzoną odzież do dużej papierowej koperty i wypełnił formularz oględzin. Dopiero wtedy Stefański wziął się za Bogusławskiego.

– No więc? – ponaglił go.

– Naprawdę nie wiem, kiedy mogła to tu zostawić.

– A to jej?

– Nie, raczej nie. – Skrzywił się.

Stefański nie widział Patrycji na oczy, więc trudno mu było to ocenić. W każdym razie nieregularne ciemne, niemal czarne krwawe plamy znajdowały się na obu rękawach, tuż przy mankietach. Materiał nie był w tym miejscu ani uszkodzony, ani przecięty. Koszula wyglądała na całą.

– Kiedy tu była? – Stefański uderzał długopisem o notes. Drapało go w gardle. Chciało mu się pić i miał już wszystkiego dość.

– Nie wiem. – W oczach mężczyzny pojawiły się łzy.

– Kiedy tu była?! – ryknął policjant. – Nie było jej tu ani w sobotę, ani w niedzielę, co?

– Naprawdę nie wiem. – Bogusławski zaniósł się płaczem i uniósł rękę, jakby chciał coś powiedzieć. W końcu wydusił: – Piłem cały weekend, niczego nie pamiętam.

– Kiedy Patrycja do pana zadzwoniła i poinformowała, że chce tu nocować?

Mężczyzna otarł łzy i sięgnął po komórkę. Stefański patrzył, jak podkurcza palce stóp.

– W piątek.

– Był pan wtedy trzeźwy?

Pokiwał głową.

– Co powiedziała?

– Że chce przenocować.

– Sama?

– Ma chłopaka.

– Wiem, że ma chłopaka, ale pytam, czy miała nocować sama.

– Tak, mówiła, że chce przenocować, a w niedzielę pojechać nad Bachotek porannym pociągiem.

– Był pan trzeźwy, kiedy przyszła?

– Nie.

– Ale była tutaj, do cholery, czy nie?

– Nie wiem – jęknął, a jego usta wykrzywiły się i znowu zapłakał. – Nie pamiętam.

– Czyli Patrycja ma klucze do domu, tak?

– Tak, ma swój komplet.

– A gdy już pan wytrzeźwiał, to natknął się pan na jej rzeczy? Na cokolwiek? Nie wiem, koszulkę, skarpetki, buty, kapcie – wyliczał aspirant.

Bogusławski zaprzeczył ruchem głowy.

– Skup się pan, do cholery! – zbeształ go Stefański.

– Bo tam na plaży płatnej... – Ojciec Patrycji urwał i przyłożył do ust pięść, żeby powstrzymać płacz. – Tam nie było ciała, prawda?

– Nie było.

– Ale czy... Czy to mogła być Patrycja? – Zadrżał.

– Nie ma żadnego ciała. Być może pańska córka jest cała i zdrowa. Tyle że się nie odzywa. Sprawdzimy to – obiecał Stefański. – A jeśli jej nie znajdę, to wezwę pana na komisariat. Albo wywiozę do wytrzeźwiająki do Torunia. Pański wybór. – Stefański wstał i ruszył do wyjścia.

– Wtedy, w piątek, prosiła, żebym nic nie mówił jej matce – powiedział cicho Bogusławski.

Policjant się cofnął. Patrzył teraz z góry na zgarbionego mężczyznę.

– O czym?

– Boże, miej ją w opiece, ja ją tak kocham – wyjęczał płacząco.

– O czym miał pan nie mówić, do cholery?! – Stefański już chciał go szturchnąć, ale się powstrzymał.

– Nikomu miałem nie mówić, że ona nie będzie tu nocowała!

– Słucham?!

– Najpierw zadzwoniła, chyba przy matce, i powiedziała, że następnego dnia będzie u mnie spała. A później, po kilku godzinach, przyszła z takim starszym chłopakiem, zostawili mi whisky i samogon od jego wujka. Powiedziała, że mam to zachować w tajemnicy. W niedzielę, gdy już wytrzeźwiałem, próbowałem się do niej dodzwonić. I nic. Cisza. A potem dowiedziałem się o tym

zabójstwie na płatnej.

– A ten jej chłopak gdzie mieszka?

– Nie wiem, pierwszy raz go na oczy widziałem.

– Jak wyglądał?

– Nie pamiętam, stał przy płocie, nie widziałem go tak dokładnie.

– Niech pan będzie pod telefonem – rzucił Stefański i wyszedł z przesiąkniętego smrodem, niewietrzonego domu, by odetchnąć wreszcie świeżym powietrzem.

Pomyślał, że spacer do domu dobrze mu zrobi. Poszedł ulicą Dorawy do końca, a następnie skręcił w lewo i po kilkudziesięciu metrach doszedł do ulicy Depczyńskiego. Myślał o tej sprawie, o rodzicach zaginionej dziewczyny, o życiu, które codziennie potrafi zaskakiwać.

Przyglądał się domom, czasem nowszym, czasem zupełnie z poprzedniej epoki. Nieliczne miały odnowione elewacje i nowe okna, najczęściej plastikowe.

Stefańscy mieszkali we trójkę w niewielkim mieszkaniu w bloku. Trzy małe pokoje i kuchnia, w której ledwie się mieścili, gdy siadali do wspólnej kolacji. Dlatego Stefański uciekł w marzenia o własnym domu, nowej przestrzeni do życia, dającej poczucie swobody i spokój. Tymczasem kiedy siadał na kiblu, miał problemy z domknięciem drzwi, bo przeszkadzały mu w tym kolana. Bał się, że wyważy je przy najmniejszym ruchu. Nie mówiąc już o tym, że papier toaletowy musiał zawnoczu zdjąć z rezerwuaru i trzymać w ręce, bo inaczej nigdy by się nie zdołał odwrócić po rolkę. Kładł ją sobie na udach i wodził wzrokiem po pomalowanych farbą olejną drzwiach. Widział każdy zaciek, każdą wypukłość starej dykty, znał je zresztą na pamięć. Mógłby rozrysować je wszystkie z zamkniętymi oczami.

„Żyjemy jak króliki w klatce”, pomyślał.

Zbliżył się do domu Skalki. Na ganku zauważył chłopaka od Kwaśniewskich. Julek ukłonił mu się lekko i zmieszany natychmiast odwrócił się do drzwi. Stefański pamiętał chłopaka, bo czasami zdarzało się, że wpadał do nich i wymieniał się z synem grami na xboxa. Policjant nie wiedział, co Julek robi przed drzwiami Skalskiej. Dopiero kilkadziesiąt metrów dalej do Stefańskiego dotarło, że młody trzymał w rękach czekoladki i wino.

Stefański zagwizdał i poszedł dalej.

Kilkanaście minut później aspirant zauważył, jak z ulicy Trzeciego Maja w Górną skręca mercedes prowadzony przez starego Kwaśniewskiego.

Policjant zmarszczył brwi. Zatrzymał się i obejrzał.

Zobaczył, jak mrugnął kierunkowskaz i samochód wjechał w ulicę, przy której mieszkała Skalska.



Magdalena Palacz miała wytatuowane przedramiona i łydki, roślinne ornamenty wiły się wokół kostek i schodziły na stopy. Siedziała z nogą opartą na siedzisku narożnej kanapy. Obok niej pięcioletni syn z wysuniętym językiem rysował kredkami w zeszytach. Nachylał się nad blatem i od czasu do czasu przesuwał pracę, żeby łatwiej mu było kolorować.

Gdy przyszedł Gross, rozpakowywała właśnie torbę pełną zakupów, wykladała chleb i kartoniki mrożonej pizzy.

– Wymieniła pani żarówkę w reflektorze? – Starał się być miły.

– Tak. Dziękuję za informację – odpowiedziała chłodno i poprosiła, żeby zaczekał na nią w salonie.

Przeszedł więc krótkim korytarzem, minął zamknięte drzwi do dwóch pokoi i znalazł się

w salonie, w którym grał telewizor.

Nie musiał na nią długo czekać.

Gross zdążył wypić połowę herbaty, a młoda kobieta opowiedziała mu o matce, o tym, czego się dowiedziała od nieżyjącej już babki. Im dłużej mówiła, tym częściej drżały jej usta. Początkowo była nieufna i nie chciała się otworzyć, jakby czekała na reakcję komisarza i od jego zaangażowania w tę sprawę uzależniała dalszą rozmowę. Dlatego policjant opowiedział jej o wizycie u Palacza i u Zubów, ale był oszczędny w słowach. Trzymał się faktów, nie zdradzał żadnych hipotez. Kiedy kobieta skończyła mówić, zapytał:

– Ma pani żal do matki?

– Żal? – zdziwiła się. – O co?

– O to, że nie zabrała pani ze sobą.

Uśmiechnęła się ponuro i spojrzała przez okno.

– Pan myśli, że ona żyje sobie gdzieś z moim bratem? Że jest im dobrze i zapomnieli o mnie i o ojcu?

Gross widział ból w jej oczach. W tej jednej chwili córka Palaczów przypominała matkę, którą Gross znał tylko ze zdjęcia. Był w niej ten sam smutek, głęboki, ale nie bezkresny. Im dłużej komisarz o tym myślał, tym częściej się zastanawiał, czy jednak się nie myli. A może to był żal? Rodzaj ukrytej tęsknoty?

– Czy wyklucza pani taki scenariusz?

– Oczywiście, że wykluczam – oburzyła się. – Po co pan gada takie głupoty? Chce mnie pan zdenerwować?

Gross upił łyk herbaty.

– Co w takim razie mogło się stać? – spytał spokojnie.

– Pan niech mi to powie. Wy, policja, już dawno powinniście to wiedzieć. Za co wam płacą, co? Palcem nie kiwnęliście w tej sprawie. Gówno zrobiliście! Tyle lat i nic!

Syn spojrzał przestraszony na matkę, po czym szybko wrócił do rysowania.

Komisarza dławili wstyd. Wysłuchał tych żali, kiwając głową, bo Magdalena Palacz miała rację. Bez względu na to, co się stało, służba powołana między innymi do wyjaśniania takich spraw nie powinna zawodzić. A robiła to na wielu polach. I wtedy, i dziś. Zresztą trefna była już rota ślubowania. Było w niej miejsce na wszystko: na wierną służbę, konstytucję, bezpieczeństwo obywateli i narażanie życia. Przynęcało się przestrzegać prawa i dyscypliny służbowej. Nie przynęcało się tylko rzetelnej pracy, gotowości do poświęceń, by odkryć prawdę, i pełnego zaangażowania. Może to właśnie było przyczyną wszelkiej nieudolności.

Zganił się jednak w myślach, bo może jemu było łatwiej. Właściwie nie miał rodziny, a przez to i życia prywatnego.

– Niech mi pani powie, jaka jest pani wersja. To ważne – stwierdził.

Nabrała powietrza.

– Idź się pobaw, dobrze? – poprosiła syna.

Ten z ociąganiem zamknął zeszyt, zabrał go z blatu, po czym podszedł do Grossa i mu podał. Policjant spojrzał na malca w krótkich dresowych spodenkach i koszulce na ramiączkach z wizerunkiem Spider-Mana. Chłopiec spuścił głowę i wybiegł z pokoju.

Gross położył sobie zeszyt na kolanach.

– No więc? – ponaglił sąsiadkę.

– No więc, moim zdaniem, nie ma mowy o samobójstwie rozszerzonym.

– Dlaczego? – spytał, chociaż wiedział, do czego zmierzała córka Palaczów.

– Czytałam o tych samobójstwach. Gdyby mamusia chciała je popełnić, nie rozmawiałby pan teraz ze mną. – Kobieta podniosła drugą nogę i złączyła stopy. Objęła nogi rękoma, a na kolanach złożyła mokrą od łez twarz.

Gross także o tym myślał. Matka, która decyduje się na zabójstwo własnego dziecka, a następnie popełnia samobójstwo, robi to, bo chce oszczędzić potomkowi cierpienia. Zabiera je na

drugą stronę ze sobą. W ten sposób chroni je od zła. Dlaczego zatem miałyby zostawić na pastwę losu ukochaną córkę?

A może smutek, który widział w jej oczach, kiedy pierwszy raz spojrzął na starą fotografię, brał się z depresji poporodowej?

– Jaka była pani matka?

– Babcia zawsze twierdziła, że mamusia z natury była wesoła. Miała duże poczucie humoru, a ja podobno je po niej odziedziczyłam. – Uśmiechnęła się do wspomnień tych rozmów. – Tak jak moja babcia, mama lubiła maciejkę. Wysiewała ją przed domem.

– A czy mogła być nieszczęśliwa? – spytał.

– Z jakiego powodu? – Zmarszczyła czoło.

– Nie wiem. Może nie radziła sobie z pracą w gospodarstwie? Może przerastała ją liczba obowiązków? Pani wciąż była mała i wymagała uwagi, poza tym pojawiło się drugie dziecko.

– Tata twierdzi, że planowali dwójkę. – Kobieta podwinęła palce u stóp. – Babcia powiedziała kiedyś, że po moich narodzinach mieszkała z nami przez pewien czas, by pomóc mamie. Mamusia była wtedy spokojna i szczęśliwa.

– Jak układały się jej relacje z ojcem?

– Mamy?

Policjant potwierdził.

– Gdyby babcia cokolwiek niepokojącego zauważyła, na pewno by mi o tym wspomniała. Wiedziała, jak bardzo chcę odnaleźć mamusię, jak mi jej brakuje.

– Rozumiem. – Gross wstał, wciąż trzymając w rękach dziecięcy zeszyt. – Ma pani jakieś pamiątki po matce, stare zdjęcia?

– Mam. Chce pan je obejrzyć?

– Tak, poproszę.

– Niech pan zaczeka. – Magda Palacz wstała z kanapy i kucnęła przy komodzie, na której stał telewizor. Wsunęła dolną szufladę i zaczęła przekładać w niej papiery.

Gross otworzył zeszyt jej syna i zdębiał.

Patrzył na prosty rysunek nagiej kobiety z dłuższymi włosami. Czerwoną kredką narysowano szeroki uśmiech. Piersi symbolizowały dwa wygięte ku dołowi, nierówne łuki i dwie kropki na różnych wysokościach. Ale nie to wstrząsnęło Grossem.

– Mam! – Kobieta wstała i odwróciła się do gościa. – To albumy babci.

Gross oderwał wzrok od rysunków penisów z jądrami umieszczonych na wysokości ust i bioder kobiety. Zamknął zeszyt i odłożył na stolik obok kubka z resztką niedopitej herbaty.

Sięgnął po albumy i wcisnął je sobie pod pachę.

– Jutro oddam – obiecał, kierując się do drzwi.



Kiedy leżał na łóżku i patrzył przez okno, widział trapez rozgwieżdżonego nieba. Migają do niego setki świetlnych punktów. Wiedział, że część z nich nie istnieje już od dawna, ale pozostało po nich światło, niczym zdjęcia, które zostają po śmierci bliskich.

Przejrzał dwa albumy. Przekładał szeleszczące i sfatygowane kalki, pozaginane i rozdarte. Przyglądał się przyklejonym, a czasem luźno wetkniętym w ciasny grzbiet fotografiom. Od czasu do czasu migą mu Krystyna Palacz. Zdjęcia bywały niewyraźne, często niedoświetlone, niektóre bardzo zniszczone. Raz złamany sztywny papier fotograficzny pozostawiał w miejscu zgięcia szeroką, postrzępioną białą ranę.

Komisarz nie znalazł na fotografiach niczego, co byłoby dla niego interesujące lub mogłoby mieć związek ze sprawą zaginięcia. Większość z nich była opisana na odwrocie. Gross sądził, że skreśloną piórem datę i nazwę miejscowości naniosła kobieta, może babka Magdaleny Palacz.

Niemal wszystkie zdjęcia zrobiono w domu rodzinnym zaginionej lub na nielicznych letnich wyjazdach, jak to z Sopotu z sześćdziesiątego siódmego roku. Było też jedno z zimowej wycieczki do świątyni Wang w Karpaczu w sześćdziesiątym dziewiątym.

Rozmyślał o tym, patrząc w niebo i obserwując świetlne punkty, które z czasem zaczęły się poruszać i zachodzić na siebie. W pewnej chwili z tego ruchomego układu wyłoniła się twarz Agnieszki. Tej pięknej Agnieszki sprzed napadu, zdrowej, pełnej wigoru i seksapilu. Uśmiechała się do niego, grzywka opadała jej na twarz. Dyszała z przyjemności, przymykała oczy, a jej ciało wilo się pod nim. Zrozumiał, że się kochają, chociaż nie odczuwał wcale tego, jakby był jedynie świadkiem tej sceny, a nie jej uczestnikiem. Jej usta ułożyły się w słowa: „Kocham cię”. Aksamitny, ciepły szept dochodził do Grossa z daleka, jakby z odległych galaktyk. Mrugnął, a obraz zaczął się rozmazywać i przekształcać. Gross krzyczał do niej, żeby nie odchodziła, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie ma żadnego wpływu na to, co się stanie. Zawiedziony zrezygnował z rozpaczliwych prób zatrzymania Agnieszki i patrzył. Znikała powoli. Jego łzy ginęły gdzieś w kosmicznej przestrzeni, która na powrót wypełniała się gwiazdami. Z początku nie rozumiał, co widzi, ale po chwili spoglądała na niego Malwina Lemańska. Podziwiał błysk radości w jej oczach i gładką skórę, a także czerwień kształtnych ust. Bibliotekarka powtórzyła słowa Agnieszki.

– Kocham cię.

Obraz zamigotał, przygasał i pokrywał się szaro-czarnymi drgającymi kreskami, które znał z telewizyjnych zakłóceń. Wkrótce wszystko się ustabilizowało i film przyspieszył. Klatki zmieniały się błyskawicznie. Agnieszka, Malwina, Agnieszka, Malwina. Obie wesołe, obie tak ważne i bliskie. Jednak do pokazu wkradł się błąd, jakby ukryta wada odbiornika zakłócała transmisję. Nagle kosmiczny ekran rozbłysnął nowym, nieruchomym kadrem. Gross patrzył na wychudzone, zapadnięte policzki Agnieszki, przymknięte oczy oraz sine usta. Strużka śliny połyskiwała w świetle gwiazd. A potem film znowu przyspieszył: Malwina, Agnieszka, Malwina, Agnieszka. Grossowi zakręciło się w głowie. Tempo zmieniających się obrazów wywoływało mdłości. I kiedy czuł, że dłużej tego nie wytrzyma, naraz wszystko ustało. Ponownie widział rozgwieżdżone niebo. Pulsujące światłem gwiazdy zamieniały się miejscami, konstelacje rozpadały się i tworzyły nowe, aż w jednym z tych układów zajaśniała twarz syna. Bartek patrzył na niego z uśmiechem, ale w tej krzywiźnie ust komisarz odkrył niezwykle rodzaj pogardy.

– Kocham cię – wyznał syn.

Słowa brzmiały głucho, jakby Bartek wypowiedział je, trzymając głowę w kartonie. Gross nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

„Kocham cię, kocham cię, kocham cię, kocham cię...”

Fałsz.

Skrzywił się. Wyczuwał w tym potoku słów fałsz. I chociaż zatkał sobie uszy, niewiele to dało, słowa zlewały się w inne, przerażające i złe, jakby zapowiadały nadchodzący dramat.

W końcu jadowity głos ucichł. Bartek dyszał ze zmęczenia.

Gross chciał go przytulić, powiedzieć, że już dobrze, że wszystko się ułoży, że razem dadzą radę, ale syn nabrał powietrza i wrzasnął:

– Nienawidzę cię!

dzień piąty

Gross wyszedł z odprawy u Wojtasik i odebrał telefon. To był Andrzej Tatarski z komendy w Toruniu. Po trudnej nocy, wcześniej rano, komisarz wybrał jego numer, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Dopiero w drodze do pracy zadzwonił do analityka, a potem wysłał do niego SMS z prośbą o kontakt. Pech chciał, że kolega oddzwonił akurat wtedy, kiedy zaczęła się poranna odprawa u komendantki.

– Masz coś? – spytał zaniepokojony Gross.

Beata Różycka uśmiechnęła się do niego i wyciągnęła spod biurka niewielki karton, po czym uniosła kciuk. Gross po wymyślnej pieczęcie rozpoznał, że to paczka ze sklepu modelarskiego. Wziął ją do ręki.

– Nie wiem, czy będziesz z tego zadowolony.

– To znaczy? – Komisarz stężał.

– Wszystkie ostatnie logowania telefonu w sieci miały miejsce w Chełmży.

Gross przełknął ślinę.

– Nie rozumiem – powiedział bardziej do siebie niż do Tatara.

– Sprawdziłem wszystkie logi od lipca. Od czasu, kiedy BTS-y odczytały sygnał w Chełmży, telefon nie opuścił tego rewiru ani na moment.

– Da się go jakoś zlokalizować?

– Nie wiem nic więcej ponad to, że logowanie wypada na obszarze od dwóch masztów znajdujących się w centrum aż do masztu w Nowej Wsi.

– Nowej Wsi?

– Dokładnie chodzi o ten maszt w Kuchni.

– Kilka kilometrów – zasepił się Gross.

– Nic więcej nie mogę zrobić. Przykro mi, Bernardzie.

– I tak dużo zrobiłeś. Dziękuję. – Gross chciał się rozłączyć.

– Proponuję, żebyś się skontaktował z operatorem i odciął ten numer, zgłosił kradzież telefonu. Unikniesz w ten sposób ewentualnych kłopotów – poradził Tatar. – Trzymaj się.

– Tak, masz rację. Tak zrobię. Do usłyszenia. – Gross zakończył połączenie i przysiadł na wolnym krześle przed wejściem do gabinetu szefowej. Położył sobie paczkę na kolanach.

– Pięćdziesiąt pięć złotych – powiedziała Różycka.

Gross spojrzał na nią nieobecny wzrokiem, a w jego głowie brzmiały jak dźwięki dzwonu w chełmżyńskiej konkatedrze słowa: „zerwał kontakt”.

Poczuł rodzący się w klatce piersiowej ból, najpierw niewielki, spod mostka, pęczniący z każdym uderzeniem serca i odbierający mu dech. Oparł się i zamknął oczy, żeby przestało mu się kręcić w głowie.

– Coś się stało, Bernardzie? – Różycka podniosła się z krzesła. – Wszystko okej? Bo jesteś jakiś błady. – Przyglądała mu się uważnie.

– Nic mi nie jest. – Gross wstał i sięgnął do kieszeni po portfel.



– Co tam u ciebie? – Stefański grzebał przy skórcie paznokcia.

Skalska spojrzała na Stefka, jak go często nazywali koledzy, ale aspirant nie podniósł wzroku. Chyba pierwszy raz widziała go bez munduru. W prewencji, na patrolach, nie miał szans wbić się w cywilne ciuchy.

– A co ma być? – warknęła, po czym wróciła do intensywnego żucia gumy.

– Czemu jesteś taka zła? Przecież pytam tylko.

Nie odpowiedziała.

Siedzieli w gabinecie Grossa i czekali na poranną odprawę, ale szef się spóźnił. Skalska nie miała ochoty gadać ze Stefańskim, więc wyjęła telefon i zaczęła przeglądać informacje w serwisie społecznościowym.

– Widziałem wczoraj Kwaśniewskiego w tym jego mercedesie – kontynuował Stefański – i zastanawiałem się, co ten gość robi.

Aspirantka zmusiła się do milczenia.

– Bo wiem, że ma ten hotel u nas i jeszcze jeden w Toruniu, no i chyba ze dwie knajpy. Ale zastanawiam się, czy on czasem nie szuka guza.

– To może idź i go spytaj, albo zrób mu ogon – poradziła.

– Był już kiedyś na naszej czarnej liście, nie? – Stefański pogrzebał palcem w uchu. – Tylko czekaj, kiedy to kurde było?

Zamilkł dopiero, kiedy przyszedł Gross. Przystanął na chwilę w progu, jakby zaskoczony ich obecnością, a następnie przeszedł za plecami Stefańskiego do biurka. Usiadłszy, odłożył teczkę korespondencyjną, którą zabrał z sekretariatu, i paczkę ze sklepu modelarskiego. Wbił wzrok w kartonowy skoroszyt leżący na klawiaturze.

– To te materiały od Miłozza Wiernata. Opinia w sprawie wózka dziecięcego – przypomniała mu Skałka.

Gross pokiwał głową i odsunął teczkę na bok.

– Co macie? – spytał i oparł brodę na złączonych dłoniach.

– Mówiłam ci już przez telefon, że z przeszukania jeziora nici. Ciało nie odnaleziono. Sternik, trochę narwany i znudzony życiem, ale znający się na tej robocie, twierdził, że przy tej temperaturze wody nawet dobrze obciążone ciało powinno już wypłynąć. Gazy gnilne zrobiłyby swoje – powiedziała Skalska i dodała, że dobierze się Śródce do tyłka, bo uważa, że ten coś jednak ukrywa. – Dlatego chciałabym już iść. – Podniosła się.

– Zostań jeszcze chwilę. Chciałbym coś z tobą omówić – poprosił Gross. – A co u pana, aspirancie?

Stefański popatrzył najpierw na Skałkę, potem przeniósł wzrok na komisarza.

– Mam zakrwawioną koszulę harcerską – odpowiedział z triumfalnym uśmiechem. – Poleciała już do badań.

– Kiedy?

– Wysłałem ją wczoraj.

– Słucham? Jak to wczoraj? – Gross zmarszczył brwi.

– No tak, wczoraj ją znalazłem i wczoraj została zabezpieczona.

– To niech mi pan powie, dlaczego dowiaduję się o tym dopiero dziś? – Komisarz starał się nie podnosić głosu.

– No właśnie...

– Co panu ostatnio mówiłem? Proszę natychmiast meldować mi o takich sprawach. Czy to dla

pana jasne?

Stefański, wyraźnie zbity z tropu, przeprosił.

– A teraz czekam na wyjaśnienia – powiedział Gross.

Stefański opowiedział im o sprawie Patrycji Szwed.

– Jej ojciec twierdzi, że zanim córka zniknęła, odwiedziła go z młodym Cebulkiewiczem – dodał.

– Sprawdził go pan? – spytał Gross.

– Próbowałem wczoraj wieczorem, ale nikogo nie było w domu. Dziś planuję zdobyć numer jego telefonu. Ale i tak wybieram się do Bachotka, więc liczę, że go tam zobaczę.

– Cebulkiewicza biorę na siebie, to syn harcmistrza – rzuciła Skalka.

– Zaraz! Mowy nie ma! – zaprotestował Janusz Stefański. – To mój trop w sprawie zaginionej Patrycji Szwed!

– Spokój! – uciszył ich Gross. – Czego się pan dowiedział od matki dziewczyny?

Stefański ponownie zaczął referować z emfazą, ale Gross kazał mu dojść wreszcie do sedna.

– No właśnie już mówię. Na koniec powiedziała mi, że jej córka zrezygnowała z harcerstwa po obozie w Zalesiu. Po tej całej nawałnicy. No i że chłopak jej córki też jest harcerzem.

Gross spojrział na Skalkę, która wytrzeszczyła oczy i rozłożyła ręce. Komisarz też nie wierzył w to, co przed chwilą usłyszał.

– Panie aspirancie, wie pan, co znaleźliśmy na płatnej, prawda?

– Chodzi o przypinkę harcerską? Tak, wiem, czytałem o tym.

– A jednak mimo wszystko postanowił pan poczekać z informacją o zakrwawionej koszuli harcerskiej do dzisiejszego rana, tak?

– Niczego bym nie przyspieszył – bronił się Stefański.

– Decyzje o tym, czy można coś przyspieszyć, czy nie, proszę zostawić innym.

– Ale panie komisarzu...

– W przeciwnym razie podziękuję panu za współpracę – wszedł mu w słowo Gross. – Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno.

Aspirant pokiwał głową.

– Koszuła była uszkodzona? – zapytał Gross.

– Nie, ale nie zauważyłem na niej żadnej przypinki. A z tego, co wiem, powinna się znajdować na lewej piersi, na klapie kieszeni.

– Dziękuję za informacje. Niech pan zrobi mi kopię z protokołu zabezpieczenia i niech się pan bierze do roboty. Młodego Cebulkiewicza, o ile nie siedzi w Bachotku, weźmie Skalka, bo zna sprawę z Zalesia lepiej niż pan. Poza tym – zwrócił się do aspirantki – wystąp do centrali o pilne namierzenie telefonu Patrycji Szwed.

– No to co ja mam zrobić? – odezwał się Stefański.

– Współpracować. Wydział kryminalny to gra zespołowa. To po pierwsze. A po drugie – Gross otworzył teczkę z korespondencją wewnętrzną i wyciągnął z niej niewielką kartkę – mam tu pana wniosek urlopowy. Dwa tygodnie od najbliższego poniedziałku. – Gross podał Stefańskiemu formularz.

– No tak, mam wykupione wczasy z rodziną. Dawno temu wpłaciłem zaliczkę. – Stefański przyjrzał się swojemu pismu i parafce w lewym dolnym rogu dokumentu. – Lecimy do Turcji.

– Turcja. – Gross popatrzył na rosnącego policjanta. – Domyślam się, że to piękne miejsce.

Stefański się rozpromienił, ale gdy tylko zobaczył minę Grossa, szybko zmienił wyraz twarzy.

– Panie komisarzu, ta wycieczka kosztowała mnie majątek. Długo na nią zbieraliśmy, to prezent na naszą rocznicę... – Aspirant zaniepokoił się.

– Może pan lecieć, nie ma sprawy. – Gross wyciągnął rękę po wniosek i zaczął pstrykać długopisem. – Zaraz go podpiszę.

Stefański popatrzył na komisarza, a potem na Skalkę.

– No dalej! Nie mamy czasu na takie zabawy – ponaglił go Gross.

Rosły policjant nadał policzki i dmuchnął krótko. Długo walczył, ale w końcu zebrał się w sobie.

W tej ciszy przedarcie papieru brzmiało niewyobrażalnie głośno.

– Nie było tematu – zapewnił Stefański i odłożył podarty wniosek na blat.

– Słuszna decyzja, panie aspirancie. – Gross zamknął teczkę. – Proszę natychmiast zająć się poszukiwaniami Patrycji Szwed. Wszystkie ręce na pokład i ma pan meldować mi o każdym zdarzeniu. Choćby nocą.

– Tak zrobię. – Stefański sposepniał. – Sądzi pan, że szukam trupa?

Gross długo milczał, zanim się odezwał:

– Niech pan nie wraca bez tej dziewczyny.



Zrobiwszy skan zapisanego przez Bożenę Zubę numeru telefonu oraz imienia i nazwiska jej matki, a także kserokopii starego anonimu, informującego milicję o polonezie widzianym w pobliżu domu Palaczów, Gross wysłał mail do znajomego grafologa. Poprosił go o wykluczenie bądź potwierdzenie, że autorem obu notatek jest ta sama osoba.

Następnie przejrzał dokumentację dotyczącą wózka i łańcucha. Wstępna opinia eksperta chemii z laboratorium kryminalistycznego w Bydgoszczy rozpoczynała się od wpływu procesów utleniania i redukcji na korozję metali. Gross przebił się przez pełne naukowych wywodów akapity i dotarł do interesujących go szczegółów. Biegły zdejmował kolejne warstwy korozji z rur, aż w końcu uwidocznił wytłoczony kod alfanumeryczny. Dzięki niemu ekspert dotarł do niemieckiego producenta stali, a następnie do grona jego odbiorców, lokalnych firm. Gross odszukał w tekście nazwę producenta wózka oraz modelu, a także dane o okresie, w którym została wyprodukowana cała seria. Wózki zjeżdżały z taśmy montażowej od grudnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku aż do wczesnych lat osiemdziesiątych.

Części opisowej towarzyszyły zdjęcia wózków z niemieckiej fabryki. Gross, chcąc porównać spacerówki z tą wyłowioną z jeziora, wyjął fotografie z teczki od Wiernata i przejrzał je.

Z obszernego podsumowania wynikało, że zatopiony wózek został wyprodukowany w NRD, w firmie Zekiwa położonej około sześćdziesięciu kilometrów na południowy zachód od Lipska. Gross wczytał się w jego wymiary, a następnie odnotował fakt, że tapicerkę poddano dalszym badaniom pod kątem znalezienia mikrośladów biologicznych, jednak ze względu na wieloletnie przebywanie wózka w wodzie należało sądzić, że będą one całkowicie zdegradowane, bez żadnej wartości dowodowej.

Gross odłożył tę część dokumentacji i sięgnął po opinię dotyczącą skorodowanego łańcucha, określanego jako „stary ciąg pierścieniowy, ogniowy, wykonany z ogniów krótkich, ocynkowanych”. Dawniejsze przeznaczenie tego typu łańcuchów było związane „z krępowaniem ludzi i zwierząt”. Gross przeczytał raz jeszcze ten fragment. Szeroka szpila, „wykorzystywana do palowania zwierząt, umożliwiała wbicie jej bezpośrednio w ziemię lub nagwintowanie końca i zastosowanie jako śruby z możliwością przytwierdzenia do elementów małej architektury”. Dodatkowo na jednym z ogniów ekspert odślonił symbole składające się na ciąg „SKRG” lub „SKR6”. W laboratorium nie udało się jednak ustalić znaczenia tego kodu. Mógł to być skrót lub oznaczenie producenckie.

Gross zamknął i zasznurował teczkę.

Czy w czymkolwiek mu to pomogło? Obawiał się, że liczba spraw, którymi się zajmuje, przerasta jego możliwości. Postanowił odłożyć materiał o wózku na inną okazję, choć obowiązek spacerówki łańcuchem i wrzucenie jej wraz z obciążeniem do jeziora były co najmniej dziwne. Musiała kryć się za tym ciekawa historia.

Odłożył dokumentację na bok, po czym wziął się do codziennych obowiązków kierownika wydziału. Przyjął Nubińskiego i Łoniewicza, którzy zreferowali mu postępy prac nad rozbojami i kradzieżami, przygotował kilka dawno odkładanych pism do prokuratury, a parę innych podpisał. Kiedy skończył, odniósł teczkę z dokumentacją wewnętrzną do sekretariatu. Beata Różycka podziękowała mu uśmiechem.

Usłyszawszy dzwonek komórki, ruszył pędem do gabinetu. Dopadł do telefonu w ostatniej chwili.

– No i jak? – spytał Skałkę.

– Jesteśmy gotowi. Czekam na twój znak.

Gross podziękował i wyszedł z komisariatu.

Gdy rozmówił się ze Stefańskim i wyprawił go do dalszej pracy operacyjnej, uzgodnił ze Skalską, że przygotują drobną zasadzkę. Chodziło o zrobienie policyjnego zamętu na plaży płatnej, postawienie dwóch radiowozów i wypuszczenie kilku policjantów w umundurowaniu.

– Po jaką cholerę chcesz to zrobić? – spytała go Skałka.

– Żeby spotkać mężczyznę z drugiego brzegu.

– Czyli?

– Zauważyłem, że pojawia się tam zawsze wtedy, gdy na płatnej jest sporo policji.

– To fakt. Ale mówiłam ci już, że wydaje mi się to całkiem normalne. Ludzie po prostu lubią się gapić.

– To nasza ostatnia szansa.

– A co powiemy starej?

– O to się nie martw, wszystko biorę na siebie. Przygotuj to tak, żeby wyglądało na rutynowe przeszukanie lasu.

– Ludzie się wściekną, zaczną wydzwaniać.

– Zrób to, o co proszę, dobrze?

Gross przypomniał sobie tę rozmowę, kiedy skręcił obok swojego bloku, w Kościuszki. Kolejny już raz w ostatnich dniach szedł jedyną drogą prowadzącą do Strużala. Po kilkuset metrach zszedł z asfaltu w lewo, na polną drogę, i zmierzał w stronę porośniętej chaszczami i wysokimi drzewami linii brzegowej. Kiedy wreszcie znalazł się w cieniu krzewów, nad samą wodą, w której odbijało się niebieskawe niebo z nielicznymi chmurami, na drugim brzegu zauważył Skalską. Opierała się o policyjne ducato i rozmawiała z innym funkcjonariuszem. Przy fiacie stała stara kijanka, której załoga opalała się pod ścianą lasu. Oprócz policjantów na plaży było też mnóstwo hałaśliwych dzieciaków szalejących i pluskających się w wodzie. Przez jezioro płynęły dwie żaglówki, a dalej rower wodny, poruszający się niespiesznie, a może tylko dryfujący na wodzie.

Przez chwilę komisarz się zastanawiał, czy przez ten hałas dochodzący z płatnej cały ich plan nie weźmie w łeb. Postanowił jednak zaryzykować.

Wybrał numer Skałki.

– Jestem już na miejscu. Działaj – poprosił.

Policjantka odkleiła się od policyjnego wozu i zrobiła kilka kroków w stronę brzegu.

– Nie widzę cię – stwierdziła, wkładając na głowę bejsbolówkę.

– A ja ciebie jak na dłoni.

– W takim razie bierzemy się do roboty. – Rozłączyła się i odwróciła do funkcjonariuszy.

Krzyknęła coś do nich i wtedy pozostali mundurowi wyszli z cienia i zgromadzili się wokół niej. Plażowicze, na których teraz patrzył Gross, po krótkiej chwili wrócili do czytania gazet i opalania się.

Komisarz musiał się teraz uzbroić w cierpliwość i czekać. Niechętnie wybrał numer prokuratora Legnera. Doliczył się sześciu sygnałów.

– No wreszcie pana złamałem, panie komisarzu – wycedził śledczy. – Ale puszczam to w niepamięć, urazy nie chowam, niech pan sobie nie myśli. Tyle że bardzo mnie interesuje, co w tej naszej sprawie nowego, co? No, niech pan referuje, cóż takiego pan odnalazł.

Gross się ucieszył, że gładko przeszli do konkretów.

– Wciąż niewiele. Nadal obstawiam zabójstwo, ale moja teoria runie, jeśli do niedzieli nie będziemy mieli ciała.

– Już runęła, drogi panie, już runęła! Ale oczywiście nie chciał pan tego słuchać – triumfował śledczy. – Od początku nie podobało mi się takie stawianie sprawy. Wróżyliście z fusów, panowie. A w panu to się nawet żądza krwi odezwała, bo pies z pana pełną gębą. – Zaśmiał się krótko. – Jakkolwiek to zresztą brzmi. Ale pan się nie obraża, dobra? Bo ja pana generalnie lubię.

– Już pan skończył, panie prokuratorze?

– Taaa...

Gross nie przestał obserwować funkcjonariuszy na płatnej. Kiedy kilku z nich weszło w las, opowiedział śledczemu o majtkach, które nie nosiły śladów biologicznych innych niż krew, i o oczekiwaniu na wyizolowanie DNA.

Wszystko to znacząco komplikowało wyłuskanie prawdy i Gross o tym doskonale wiedział. Początki śledztw tak właśnie wyglądały. Jak rzucone na glebę nieznaną mu ziarna roślin, z których nie wiadomo, co się rozwinie. Musiał się nimi należycie opiekować, pielęgnować je i czekać, aż wypuszczą korzenie, zakotwiczą się w ziemi na tyle mocno, żeby wydać zielony pęd. Dopiero wówczas mógł się im przyglądać i dzielić na przydatne lub nieprzydatne.

Dlatego tak trudno było mu uwierzyć, że w przypadku śladów na plaży płatnej mogłoby chodzić o zwykły rozbój lub napaść, jak zakładał Legner, a nie o zabójstwo. Dwie sporej wielkości plamy krwi na trawie, a także rozpryski i ścieki na roślinności. Zbrukana krwią kora drzew. I coś najważniejszego. Coś, co potwierdzało teorię Grossa o zabójstwie, czyli rozmazy na podłodze namiotu. Bo czego dowodziły? Ktoś zacierał ślady.

Właśnie ten argument przekonywał komisarza do pierwotnej tezy. Gross nie zamierzał jednak na razie mówić o tym prokuratorowi. Najpierw musiał zgromadzić dowody.

– No to wygląda na to, że sprawę odpajkujemy i z głowy – stwierdził zadowolony Legner.

– Być może tak właśnie będzie. – Gross chciał szybko zakończyć tę rozmowę.

– Widzi pan, komisarzu, wystarczyłoby słuchać doświadczonego prokuratora, a zachowałby pan energię na inne dochodzenia i śledztwa. A tak zmarnował pan tylko czas i pieniądze podatników.

Gross się rozłączył i usiadł na trawie.

Patrzył na bielejącą w słońcu plażę i na policjantów. Część z nich stała w widocznym miejscu, między brzegiem a ścianą lasu. Rozpoznał wśród nich ubraną po cywilnemu Skalską, która zbliżyła się do prawej strony cypla. Musiała coś tam zauważyć, bo po chwili weszła na ścieżkę odchodzącą od plaży w prawo, do pobliskiej wsi, i zupełnie zniknęła mu z oczu. Zadzwoił do niej, ale nie odbierała.

Gross chciał ją zawołać, ale nie mógł zdradzić miejsca swojego położenia.

Tym bardziej że tuż obok coś zaszeleściło.



Janusz Stefański wiedział, że o wszystkim będzie musiał powiedzieć żonie i synowi. Będzie musiał spojrzeć im w twarz i wyznać, że on nigdzie nie jedzie. Do żadnej pieprzonej Turcji się nie wybiera.

Wyskoczył z gabinetu Grossa jak burza, naburmuszony i wściekły zarazem. Schody pracowały pod jego butami, gdy szedł do siebie na górę i głośno sapał jak rozjuszone zwierzę.

Ale w głowie już rodził mu się plan. W pierwszej chwili ich zawiedzie, to pewne, jednak natychmiast im wyjaśni, że dawno nie mieli w Chełmży tak trudnej sprawy. A ponieważ zmienił wydział i teraz będzie trochę więcej zarabiał, bo przy okazji przeszedł na wyższe stanowisko, no to ma

więcej obowiązków. I nienormowany czas pracy. Wiadomo, że zabójcę trzeba złapać, w takich chwilach nikt na zegarek nie patrzy, karty na zakładzie nie odbija. Ale powie im coś jeszcze, żeby im tak solidnie zaimponować. Powie, że jest duża szansa na to, że to właśnie on rozpracuje zabójcę, ma już nawet spory sukces na koncie. I wtedy opowie im, niby od niechcienia, o tym, jak odnalazł ważny dla śledztwa ślad. I że szef nie mógł się go nachwalić. Ale – nawet się uśmiechnął – doda jeszcze, że jest szansa, że złapie tego skurwysyna, tego zabójcę przed końcem weekendu. I gdy oni w tej Turcji wylądają, on prześle im zdjęcie, na którym szef wojewódzkiej komendy będzie mu gratulował sukcesu. A nie każdemu przecież gratuluje.

Stefański rozważał tę opcję, ale zapomniał o sprawie priorytetowej. Żał mu było kasy, którą już wydał na wycieczkę dla trzech osób, a przecież polecą tylko dwie. I wiedział, że Iza, gdy już osuszy łzy, to zaraz na nowo zacznie lamentować. Dlatego aspirant musiał mieć rozpisany scenariusz także na taką ewentualność. Ale po to, do cholery, Stefański nosi spodnie, żeby i takie kwestie umiał rozwiązać. Znajdzie kogoś na swoje miejsce. O odwołaniu wycieczki nie mogło być mowy, wykupił ją jeszcze zimą bez opcji rezygnacji, żeby było taniej. Pożałował wtedy trzystu złotych i teraz pluł sobie w brodę. Trzysta złotych kontra niemal siedem tysięcy za trzy osoby. Gdzie on miał wtedy łeb? Mógłby zadzwonić i przesunąć termin wylotu i byłoby po sprawie. Ostatecznie mogliby przełożyć urlop nawet na wrzesień.

I przez to wszystko zaczął nawet ubolewać, że zdecydował się na przejście do kryminalnego.

Po co mu to było?

Nie nadwyręzał się w prewencji, nie biegał z wywieszonym jęczorem, niekiedy spędzał w pracy więcej czasu, ale nie z powodu presji przełożonej. Tymczasem Gross okazał się nieprzewidywalny i diabelsko wymagający. Zamiast pochwalić aspiranta za odnalezienie cennego dowodu, jeszcze go zrugął. „Jasna cholera!”, pomyślał aspirant, zastanawiając się, czy dałoby się to wszystko jeszcze odkręcić. Może poszedłby do Jojczykowej i pogadał, tak po ludzku. Tylko co, do cholery, powiedzą Iza i syn, skoro nie tak dawno chwalił się im, że zmieni wydział?

Porzucił tę myśl i zrezygnowany połączył się z młodszą siostrą Izy. Powiedział jej, jak się sprawy mają, że chciałby, żeby poleciała zamiast niego do Turcji. Modlił się, by dziewczyna dostała urlop albo załatwiła sobie L4. Tymczasem okazało się, że Bogna w tym czasie wybiera się z koleżanką na Mazury.

– Nie możesz tego przełożyć? – spytał podenerwowany.

– Nie wiem, raczej nie. Planowałyśmy to od dawna, wystawiłabym ją do wiatru.

– Mazury możesz sobie w każdej chwili zobaczyć. A Turcja, dziewczyno, to rzadkość.

– Ile by to miało kosztować?

– Mnie kosztowało ponad dwa tysiące.

– Chryste, nie mam tyle.

– Nie musisz mieć aż tyle – stwierdził i przygryzł paznokiec kciuka. – A ile dasz?

– Nie wiem. Policzę.

– Dobra! Dasz tyle, ile dasz, nieważne! Tylko z nimi polec.

– A co z tobą?

– Mamy w Chełmży dziwną zbrodnię. Wszyscy na urloпах, no i wiesz, rozumiesz. Ktoś musi tego pilnować i złapać gnoja. Nie mogę powiedzieć za dużo, ale sama rozumiesz, wiesz, o co chodzi, nie?

– Aha – stwierdziła, jakby zupełnie nie była zainteresowana jego problemami.

Zrobiło mu się głupio i smutno zarazem.

– A kiedy wylot? – zapytała Bogna.

– W poniedziałek.

– Dobra, to dam ci znać.

– Tylko na razie cicho sza, dobra?

– Dobra.

Dopiero teraz zauważył, że się spocił. W dusznym gabinecie na poddaszu komisariatu był sam.

Judycka zniknęła rano, a Skalska poszła na płątną plażę, ale nie chciała mu powiedzieć w jakim celu. Przypomniał jej tylko, że musi pogadać z młodym Cebulkiewiczem, więc jeśli Skałka pierwsza go znajdzie, to niech mu da znać. Powiedziała, że da. „Zresztą lubiła dawać”, zaśmiał się w duchu ze swojego żartu. Nie lubił jej ani trochę, ale ucieszył się, że nie będzie mu robiła pod górkę. Potem pomyślał, że w zasadzie mógłby jej trochę odpuścić i nie kłapać już tyle o tym Kwaśniewskim.

Musiał teraz zabrać się do odnalezienia Patrycji Szwed i obiecał sobie, że zrobi to tak, że mucha nie siądzie.

Skontaktował się z matką dziewczyny i powiedział jej, że jedzie do Bachotka. Chciała się z nim zabrać, ale powiedział jej, że to niemożliwe, że nie będzie w radiowozie sam, a poza tym przepisy zabraniają. Dopiero wtedy ustąpiła. Był przekonany, że młodzi, z którymi Patrycja Szwed i jej chłopak mieli spędzić tydzień wolnego, wiedzą więcej. Dlatego Stefański postanowił nie czekać, tylko kuć żelazo póki gorące. Tym bardziej że w tym upale będzie tłukł się wiochami nad Bachotek dłużej niż godzinę.



Wydawszy dyspozycje funkcjonariuszom, Skalska odeszła na bok i obserwowała tę skromną tyralierę, która ustawiła się pod ścianą lasu. Potem odwróciła się i spojrzała tam, gdzie miał stać Gross. Wreszcie dostrzegła go siedzącego w głębokim cieniu na trawie, ale nikogo poza nim. Obserwowała linię brzegową i wzniesienie terenu ogołocone już ze zbóż. Rudawe ścierniska, spod których przebijała wysuszona na popiół ziemia, odbijały się w wodzie, ale w tej odwróconej do góry nogami wiejskiej panoramie kolory jakby wyblakły. Zmatowiała też intensywna, ciemna zieleń nieruchomych jak posągi drzew. Policjantka nie czuła na twarzy żadnego chłodniejszego podmuchu wiatru ze środka wąskiego w tym miejscu jeziora.

Uniosła bejsbolówkę i otarła pot z czoła. Spojrzała w lewo i na rowerze wodnym zobaczyła dwóch chłopaków, których poznała kilka dni temu. Pokazywali sobie coś palcem. Nie widzieli jej, bo patrzyli na ścieżkę prowadzącą wzdłuż jeziora w stronę wsi Kuchnia.

Skałka podążyła za ich wzrokiem, ale przeszkadzały jej bujne nadbrzeżne krzewy i wysoka trzcina.

Ruszyła w tamtą stronę. Dotarła do skrzyżowania; jedna ścieżka biegła w lewo, do lasu i na polanę, a druga w prawo, do pobliskiej wioski. Wybrała tę drugą ścieżkę i pobiegła truchtem. Po chwili odezwała się jej komórka, ale zignorowała ją, bo wreszcie zobaczyła osobę, na którą patrzyli licealiści z roweru wodnego. Mężczyzna w kapeluszu z szerokim rondem siedział w głębokim cieniu pod drzewem. Obok stał drewniany stół z dwiema ławami, do jeziora prowadziło łagodne zejście.

Wyglądało na to, że nieznajomy wpatruje się w wodę.

– Ty, to chyba on – powiedział jeden z chłopaków.

– Ciulu jeden, pokaż się! – krzyknął drugi. – I ściągnij ten kapelusz, pedziu!

Zaśmiali się.

Nie czekała, aż facet zbierze się i odejdzie.

– Nie ruszaj się! Policja! – zawołała Skalska.

Mężczyzna spojrzał na nią, potem zerknął w przeciwnym kierunku, na pustą ścieżkę. Zdezorientowany ponownie odwrócił się do policjantki. Skalska dobiegła do niego. Żałowała, że nie wzięła z komisariatu ani broni, ani kajdanek.

– Proszę wstać! – rozkazała.

– Ale o co chodzi? – Twarz mężczyzny tonęła w cieniu dużego ronda kapelusza.

Policjantka widziała tylko kwadratową niemal białą szczękę.

Przeraziła się. Musiała uważać na każdy jego ruch, a jednocześnie czuła, jak łomocze jej serce.

– Policja! – warknęła. – Niech pan wstanie, tylko spokojnie, bez żadnych sztuczek.

Obserwowała go uważnie.

– Ale niech mi pani powie, co się stało. Czym zawiniłem? – spytał mężczyzna, podnosząc się. Był wyższy od niej o dwie głowy. Otrzepał spodnie, które zsunęły mu się na wysokie, żółte trapery sięgające za kostkę. Na rękach miał robocze rękawice.

– Imię i nazwisko!

– Ale kim pani jest? Ma pani legitymację? – Jego twarz pokryta była grubą warstwą białej mazi.

Skałka napięła mięśnie.

Sięgnęła po blachę i wyciągnęła ją przed siebie. Wtedy mężczyzna wsadził rękę do kieszeni. Aspirantka wiedziała, co to może oznaczać. Dlatego zaatakowała.

Chwyliła mężczyznę ze rękę, wykręciła ją tak, że nieznajomy jęknął i odwrócił się do niej plecami. Podcięła go w kolanach i pchnęła na ziemię. Kapelusz spadł mu z głowy. Klęknęła na nim, wbijając mu kolano w kręgosłup na wysokości łopatek, i sięgnęła po komórkę.

– Słońce! – ryknął z przestraszeniem. – Jezus Maria! Słońce!

A potem zawył głośno i przeraźliwie.



Gross usłyszał krzyk w tej samej chwili, gdy po lewej coś zaszeleściło w krzakach. Gałęzie się poruszyły i rozchyliły, a po chwili trzy metry od ukrytego w trawie policjanta stanął wysoki mężczyzna w koszuli z krótkim rękawkiem i ciemnych spodniach w kant.

– Yyy ymmm! Yy! – Uderzył się kilkukrotnie w chudą klatkę piersiową, aż zadudniło. – Yyyymm.

Gross wstał i spojrzał najpierw w stronę, z której dochodził krzyk, a potem na płatną, gdzie dwóch policjantów biegło w kierunku ścieżki, którą poszła wcześniej Skalska. Przeczuwał kłopoty, ale wiedział, że na razie w niczym nie może pomóc.

Odwrócił się. Mężczyzna był od niego wyższy i szczuplejszy, miał siwe włosy, ostrzyżone na krótko, zapewne maszynką. Gross zwrócił uwagę na podłużne, wielkie uszy.

– Dzień dobry – powiedział łagodnie.

– Yyyamm.

– Spokojnie. – Gross uniósł ręce w uspokajającym geście. – Spokojnie.

– Ymmmm am aym.

Komisarz obserwował jego twarz, zmrużone, osadzone blisko siebie oczy i wydęte usta, w których co rusz migał gruby, oślizgły język.

– Spokojnie, nic ci nie zrobię. Nie mam złych zamiarów – powiedział Gross ciszej, niż zamierzał. – Skąd jesteś? Mieszkaś tutaj?

Mężczyzna, który zdaniem Grossa mógł mieć około pięćdziesięciu lat, pokiwał głową i wyciągnął rękę w stronę krzaków, jakby chciał pokazać, skąd przyszedł.

– Byłeś już tutaj? Obserwowałeś nas z tego miejsca?

– Yyyymm ym mmm. – Ponownie zaczął walić pięścią w klatkę piersiową i pokazywać na drugi brzeg.

– Spokojnie – nalegał Gross.

Mężczyzna z niedorozwojem umysłowym zmrużył oczy. Wydawał się policjantowi bezbronny niczym dziecko.

– Chcesz już iść? – spytał komisarz. Wiedział, że niczego z niego nie wyciągnie, a dalsze próby pozyskania jakichkolwiek informacji nie miały sensu.

Nieznajomy pokiwał głową i zniknął za krzakami.

Gross jeszcze przez chwilę słyszał jego kroki i szelest roślinności, o którą ocierał się mężczyzna, przedzierając się przez zarośla.

Komisarz odsapnął. Z przeciwległego brzegu odjechało właśnie policyjne ducato. Pozostali funkcjonariusze wsiedli do drugiego wozu i po chwili plaża była wolna od mundurowych.



Na klatce schodowej komisariatu przy Sądowej, starego, ale odnowionego budynku z czerwonej cegły, było chłodno.

– Gdzie Skalka? – spytał Gross przez uchylone okienko dyżurnego.

– Jeszcze niedawno była na siłowni.

– Na siłowni? – zdziwił się komisarz.

Kiedy zabrzmiał brzęczyk sygnalizujący otwarcie drzwi, Gross wszedł do holu i skierował się w prawo, skąd dochodziły miarowy, metaliczny stukot i odgłosy rozmów. Uchylił drzwi i popatrzył na zebranych w środku policjantów. Kilku z nich skinęło głowami. Mimo otwartych okien smród potu wisiał w wilgotnym i ciężkim powietrzu.

Mężczyźni zebrali się wokół atlasu, na którym siedziała Skalska. Obciążniki podwieszane na stalowej linie pojechały w górę, kiedy policjantka napięła wszystkie mięśnie i wyprostowała nogi, które musiały dźwignąć spory ciężar.

– No, jeszcze raz! – zachęcił ją któryś ze starszych funkcjonariuszy. – Dajesz, Skalka, dajesz!

Skalska ponownie wykonała ćwiczenie, a jej twarz wykrzywiła się z wysiłku. Kobieta nabrała powietrza i jeszcze raz napięła mięśnie. Ciężary opadły głośniejsz niż poprzednio.

– Ha, ha! Jest! Brawo, Skalka! – ucieszył się dowódca patrolu, niski, ale krzepki i kompletnie łysy Sławomir Wirski.

– Zostawcie nas samych – poprosił Gross.

– E, no co jest grane? To nie biuro, panie komendancie, chcemy poćwiczyć – jęknął Wirski.

Gross spojrzał groźnie.

– No dobra, już dobra, tylko nie gadajcie do nocy, rzeźba sama się nie robi. – Zaśmiał się.

Koledzy mu zawtórowali, ale zabrali ręczniki i rozmawiając, ruszyli w stronę drzwi.

Kiedy zrobiło się cicho, Skalska wstała.

– Musiałam odreagować – powiedziała. Pochyliła głowę, na której cały czas tkwiła biała bejsbolówka.

– Co się stało?

Opowiedziała mu wszystko, minuta po minucie. Także o tym, że w chwili, gdy mężczyzna w kapeluszu sięgnął do kieszeni, sądziła, że chce dobyć broni. Nie wytrzymała nerwowo i rzuciła się na niego.

– Ale dlaczego? – spytał komisarz.

– A ty jak byś się czuł, gdybyś sądził, że masz przed sobą podejrzanego o zabójstwo?

– O czym ty mówisz? Jakiego podejrzanego, do cholery?

Westchnęła. Wyjęła paczkę gum i odwinęła ze srebrnej folii biały listek.

– Wiem. – Machnęła ręką. – Spieprzyłam to. Wydawało mi się, że to on. Dziwnie się zachowywał.

– Jak dziwnie?

– Był jakiś taki powolny, kiedy do niego krzyknęłam, rozejrzał się, jakby kombinował, jak uciec.

– Chciał uciekać?

– Nie wiem, tak mi się wtedy wydawało! – Skalka uderzyła dłonią w urządzenie do dźwigania ciężarów.

– Gdzie on jest?

– W szpitalu.

Gross pochylił się, bo miał nadzieję, że się przesłyszał.

– Słucham?

– Jest w szpitalu! – Skalka zsunęła gumkę do włosów z długiego końskiego ogona, po czym założyła ją jeszcze raz, ale tym razem związała włosy ciasniej. – Dostał jakiegoś porażenia, uczulenia, zresztą cholera wie. Zapakowałam go do radiowozu i przewieźliśmy go na oddział ratunkowy. Jeszcze z drogi połączyłam się z izbą przyjęć. Czekali już na nas.

– No i? – Gross czekał na ciąg dalszy.

– Żyje, chyba wszystko z nim okej.

– A co z tobą?

– Też dobrze.

– Chciałem zapytać, co z tobą, że popełniasz takie błędy.

– Daj mi spokój! – Minęła go i wyszła na korytarz.

Gross oddychał płytko i bezwiednie rozglądał się po siłowni.

– Można już? – Wirski zajrzał do sali.

Komisarz pokiwał głową.

– Można – rzucił i też stamtąd wyszedł.

Minął uchylone drzwi do gabinetu Jojczyk i kiedy wszedł na pierwszy stopień schodów, usłyszał jej głos.

– Bernardzie? Wejdiesz na chwilę?

U Jojczyk siedział Marek Ślaski, dzielnicowy, którego rejon obejmował Kuchnię. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

– Jak możesz się domyślać – powiedziała Jojczyk – rozmawiamy o zatrzymanym mężczyźnie.

– Nie został zatrzymany. Udzielono mu pomocy, po czym został przetransportowany do szpitala.

– Żartujesz?

– Tak napiszę w raporcie.

Jojczyk uniosła brwi, ale poprzestała na tym. Nie odezwała się, chociaż Gross wiedział, że miała na to ochotę.

– Co o nim wiemy? – Komisarz zwrócił się do Ślaskiego.

– To Ryszard Szamocki, mieszkaniec Kuchni. Spokojny, nienotowany. Nie skarżą się na niego sąsiedzi. Możemy się spodziewać pozwu za bezprawne zatrzymanie.

– Zwariowaliście z tym zatrzymaniem? – warknął Gross.

– A wy? Macie coś na niego? – odparowała Jojczyk, która wstała z krzesła i podeszła do wiatraka, żeby go włączyć.

Po chwili plastikowe śmigło zaczęło młócić zastane powietrze. Szum wypełnił niewielkie pomieszczenie. Gross spojrział na szefową prewencji, a potem znowu na Ślaskiego, który szybko odwrócił wzrok.

– Udzielaliśmy mu tylko pomocy – powtórzył Gross.

Jojczyk podniosła ręce w geście poddania się.

– Dobra, twoja sprawa – powiedziała.

Ślaski popatrzył na nich.

– Szamocki cierpi na fotodermatozę – poinformował dzielnicowy.

Gross pokiwał głową. Pierwszy raz słyszał o takiej chorobie, ale domyślał się, o co może

chodzić.

– Skalka już o tym wie? – spytał.

– Tak.

– Skąd?

– Powiedziałem jej.

– A skąd wiedziałeś, o kogo chodzi?

– Byłem na płatnej razem z innymi. Skalka zniknęła nam z oczu.

Jojczyk skrzyżowała ręce na piersi.

– Co jej strzeliło do głowy? – spytała.

Gross się wyprostował.

– Szukaliśmy sprawcy zabójstwa na plaży płatnej – oznajmił.

– Zabójstwa? Chyba prędzej napaści – skomentowała.

Komisarz zignorował jej uwagę.

– Skalka ma świadków, którzy widzieli mężczyznę w kapeluszu w sobotni wieczór w pobliżu plaży płatnej. Zakładaliśmy, że właśnie w nocy z soboty na niedzielę doszło tam do tragicznych zdarzeń – wyjaśnił Gross.

– Wiem, mówiła mi o tym – powiedział Ślaski. – Pytała nawet o kogoś ubranego w ten sposób, ale, cholera jasna, nie pamiętałem o Szamockim. Rzadko go widuję. Ze względu na to uczulenie na światło facet prawie w ogóle nie wychodzi z domu. Nie wiem, co w ogóle robił na płatnej. I to przy takim słońcu. Gość igra z życiem.

Gross podziękował za informacje i się pożegnał.

Wbiegł po schodach i skręcił do sekretariatu, w którym napotkał młodszą inspektorę Lucynę Wojtasik. Rozmawiała z Gabrielem Kąckim, swoim zastępcą. Na widok Grossa przerwali jednak głośną dyskusję.

– Wejdz do gabinetu, a ty – wskazała na Kąckiego – ściągnij tę cholerną Skalską.



Godzinę później wszyscy opuścili gabinet komendantki.

Skalka od razu skręciła na schody i zbiegła prosto do wyjścia. Gross nie zamierzał jej zatrzymywać. Rozumiał, że chciała zebrać myśli w samotności. Dostała pierwsze i ostatnie ostrzeżenie. Wojtasik dodała, że jeśli mężczyzna złoży skargę, to ona nie będzie widziała żadnej możliwości dalszej współpracy z aspirantką. Gross próbował udobruchać szefową, ale z mizernym skutkiem. Zresztą jemu też się dostało rykoszetem.

Najgorsze było jednak to, że Skalska nie zdawała sobie do końca sprawy z własnego błędu. Naciskała na Wojtasik, że powinni przeszukać dom poszkodowanego, bo wciąż uważała, że mężczyzna może być sprawcą zabójstwa.

– Ale jakie masz dowody, dziewczyno? Jeden świadek to za mało. Poza tym co takiego ten świadek widział? – złościła się Wojtasik. – Mężczyznę w kapeluszu, który stał na ścieżce? Od teraz będziemy zatrzymywać wszystkich, którzy są nietypowo ubrani i znajdują się w pobliżu miejsca przestępstwa?

Gross nie włączył się do tej dyskusji. Postanowił poczekać, aż ostygną emocje. Później bronił Skalki, chociaż chyba robił to bez większego przekonania.

W tym czasie za oknem zrobiło się czarno. Kiedy wychodzili z gabinetu szefowej, usłyszeli pierwsze pomruki burzy, kilkanaście minut później deszcz siekł wybrukowaną jezdnię. Grube krople rozbryzgiwały się na mniejsze. Potem nagle sypnęło gradem i stukot zlodowaciałych kulek przeszedł

w jednostajny, głośny szum, jakby maszynowy terkot łomoczący w dachy i karoserie samochodów zostawionych na parkingu przed komisariatem. Trwało to kilkanaście sekund, w trakcie których świat znieruchomiał. Kiedy gradowy ostrzał ucichł zupełnie, ulica zamieniła się w potok. Deszczówka obmywająca bruk spływała na bulwar i dalej, przez pas trawy, do jeziora.

Gross zamknął się w swoim gabinecie i zadzwonił do znajomej lekarki ze szpitala, gdzie dowiedział się więcej o stanie zdrowia Szamockiego. Leki przeciwhistaminowe i przeciwbólowe zaczęły działać, ale poprawa stanu zdrowia okazała się wciąż nieznaczna.

– Skutków fotodermatozy nie wyleczymy, uśmierzamy jedynie ból i leczymy objawowo – powiedziała lekarka.

Nie odłożył słuchawki, tylko rozłączył się i wybrał numer wewnętrzny. Ola Jojczyk odebrała po kilku sygnałach.

– Skalka poleciała? – spytała, gdy usłyszała, kto dzwoni.

Gross zaprzeczył.

– To dobrze. Miejmy nadzieję, że Szamocki nie wniesie żadnego oskarżenia.

– Na razie nie chcę o tym myśleć. Dzwonię w innej sprawie.

– Może zejdiesz?

Gross nie miał na to ochoty. Nie chciał się wdawać teraz w żadne pogaduchy. Wymigał się zgrabnie i przeszedł do rzeczy.

– Chodzi o niedorozwiniętego mężczyznę ze Strużala? Na oko pięćdziesiąt lat, wysoki, z dużymi uszami, niemowa? – powtórzyła Jojczyk i od razu zaniósła się śmiechem. – Naprawdę go nie znasz?

– Pierwszy raz go widziałem.

– To Tadzik.

– Kto taki?

– Tadeusz Zuba.

– Zuba? – zdziwił się komisarz. – Czy to jakiś krewny Bożeny Zuby ze Strużala?

– Tak, to jej starszy brat. Znana persona. Chociaż ostatnio już się uspokoił. Wrzucić go na bęben, to zobaczysz.

Gross uruchomił komputer. Długo czekał, zanim sprzęt był gotowy do pracy. Wpisał hasło, a następnie kliknął w ikonę Krajowego Systemu Informacji Policji. Zalogował się, używając innego loginu i kolejnego hasła. Wreszcie system dopuścił go do zasobów. W odpowiedniej zakładce Gross wpisał nazwisko mężczyzny.

Otrzymał kilka rekordów, z których już dwa pierwsze wzbudziły jego duże zainteresowanie. Oba odnotowano latem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku, kiedy Zuba miał dwadzieścia lat, i oba dotyczyły podpalenia stogów siana w Strużalu.

Gross przejrzał kolejne. Kilka z nich odnosiło się do zaczepiania kobiet w Chełmży i Strużalu, a jedną z poszkodowanych policjant zdążył już poznać. Zatrzymał wzrok na tym nazwisku.

Przeczytał inne doniesienia i się wylogował. Wyjrzał przez okno. Czarne chmury wciąż przetaczały się nad komisariatem i uciekały na południowy zachód.

Tadeusz Zuba.

Komisarz zamyślił się i jeszcze raz przeanalizował wszystko to, czego się właśnie dowiedział o poznanym nad brzegiem jeziora mężczyźnie. Na jego zachowanie skarżyły się nastolatki i młode kobiety. Chodziło między innymi o obnażanie, atakowanie, zachodzenie drogi, poszturchiwanie i obmacywanie, a także inne wykroczenia przeciwko obyczajności, jak to ujęli milicjanci odnotowujący te zdarzenia. Zuba, jako ubezwłasnowolniony, uniknął odpowiedzialności.

Policjant sprawdził adres zameldowania mężczyzny. Okazało się, że mieszkał on u swojej siostry.

Ale chyba jeszcze bardziej poruszyło Grossa to, że jedną z ofiar Zuby była sąsiadka komisarza. Magdalena Palacz miała wtedy dwanaście lat.



W izbie przyjęć szpitala Skalska dowiedziała się, że przed chwilą ktoś z policji dzwonił i wypytywał o zdrowie przywiezionego niedawno mężczyzny.

– Ale wszystko z nim okej?

– A pani pyta jako kto? – zainteresowała się pielęgniarka w niebieskim stroju.

– Tak pytam, po prostu.

– Nie udzielamy żadnych informacji osobom postronnym – odpowiedziała sucho i zajęła się papierami.

Policjantka wycofała się i zeszła do głównego holu. Zachciało jej się pić, więc zajrzała do sklepu Jacka Śródki.

– Boże, czego znowu pani chce? – jęknął sprzedawca, podniósłszy wzrok znad krzyżówki. Siedział wciśnięty między szafkę ze słodyczami a ladę.

Skałka wyjęła drobne i położyła przed nim, po czym sięgnęła do lodówki po colę.

– Mnie też niech pani poda – poprosił Śródka.

Policjantka rzuciła w jego stronę niewielką puszkę. Z trudem ją złapał, upuszczając ołówek. Rękę wciąż miał obwiązaną bandażem, tak samo brudnym jak poprzednio.

Gdy Monika Skalska otworzyła colę, syknął gaz. Wypiła kilka mroźnych, orzeźwiających łyków. Patrzyła na Śródkę, niepozornego faceta z chudymi nogami i brzuchem jak piłka.

– No co mi się pani tak przygląda? – Śródka zmarszczył brwi. Nie wyglądał na złego, raczej na zaintrygowanego.

Skałka wzruszyła ramionami.

– Wtedy, w lipcu, kiedy oddaliliście się od obozu, ktoś anonimowo poinformował nas o waszym zaginięciu.

– Wiem. I co z tego? – Śródka napił się gazowanego napoju i od razu zaszklily mu się oczy.

– Wydaje mi się, że wiem, kto to zrobił.

– Też mi coś. – Zrobił skwaszoną minę. – Mówiłem już, zresztą Andrzej też tak podejrzewał, że to ktoś z kadry.

– Kto na przykład?

Śródka przewrócił oczami.

– No, komendant obozu chociażby.

Skałka zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie? No to kto? – spytał zaciekawiony.

Zwróciła uwagę na dwie kobiety w piżamach oglądające tę część sklepowej wystawy, w której stały książki, głównie kryminały i romanse. Wskazywały na różne okładki, a potem zarechotały i przeliczyły pieniądze. Weszły nieco speszzone do środka i zapłaciły. Na okładce powieści Skałka dostrzegła połowę twarzy przystojnego szatyna z zarostem.

Śródka wydał im resztę i poczekał, aż opuszczą sklepik.

– Kto na nas doniósł? – spytał.

– Pan niech mi powie – stwierdziła Skałka. – Bo to wasze grzybobranie to można sobie między bajki włożyć.

Śródka nie odpowiedział, tylko znowu napił się coli.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Chętnie odświeżę panu pamięć. Dokładnie przejrzałam listę dzieciaków uczestniczących w lipcowym obozie. Wiem też, kto po nawałnicy zrezygnował z harcerstwa. – Skałka podeszła do lady i sięgnęła po owocowe gumy do żucia. Położyła je na blacie. – A przy okazji śledztwa w innej sprawie

odnaleźliśmy zakrwawioną koszulę harcerską i tak się składa, że wiemy, do kogo należała. – Skałka blefowała.

Śródka chrząknął.

– Co mi tu pani za kit wciska?

– A woli pan kit czy pogadankę z prokuratorem, co? – Kolejny raz odliczyła drobne, a następnie dopiła colę. Pustą puszkę zostawiła na ladzie, a tuż obok wysypała bilon, który głośno zabrzączał. Zabrała gumy i odpakowała jedną z nich.

– Niech pan sobie zapisze mój numer, na wypadek gdyby kasował pan listę połączeń – poradziła, rozgryzając twardawą gumę, i wskazała brodą na zeszyt z krzyżówkami.

Śródka sięgnął po niego i po krótki ołówek.

Podyktowała ciąg cyfr, a potem spojrzała na zegarek.

– Dwie godziny i ani minuty dłużej. Wezwanie mam już gotowe – oznajmiła i wyszła.



Aspirant Stefański przez całą drogę na Pojezierze Brodnickie słuchał muzyki. Jeszcze zanim wyjechał z Chełmży, opuścił na chwilę szyby w swoim seacie i zmienił płytę w odtwarzaczu, po czym ustawił głośność tak, by basy łupały mu pod czaszką. Odtwarzał stare utwory Lady Pank, zagrane i zaśpiewane na nowo przez różnych wokalistów. Prezent od syna na urodziny. Do tej pory, chociaż minęło kilka tygodni, nie miał czasu jej przesłuchać. Albo mu się zwyczajnie nie chciało. Coraz częściej zresztą nic mu się nie chciało. Wracał z pracy, zjadał coś i nieoczekiwanie zapadał w drzemkę. Czy to w fotelu, czy na wersalce. Czasami miał wrażenie, że mógłby zasnąć nawet na stojąco. Bywało, że próbował to zwalczyć albo skupić się na dumnym programie w telewizji. Wstawał, dreptał od okna do drzwi, robił sobie herbatę. Starał się trochę tę senność rozchodzić, machnąć kilka przysiadów, ale wtedy czuł się jeszcze gorzej. Stawy przypomniały mu, że balansował między nadwagą a otyłością, i do popołudniowego znużenia dochodził tępy ból kolan. I znowu musiał prostować ciało na kanapie i walczyć z opadającymi powiekami. Najczęściej tę walkę przegrywał, a potem w nocy materac trzeszczał pod nim głośno, kiedy przewracał się z boku na bok. A gdy wreszcie zasypiał, to zaraz budziła go żona, żeby przestał chrapać. No więc znowu na bok, znowu te sprężyny i ten hałas, i znowu bezsenność, zerkanie na zegarek. I tak w kółko.

Łóżko w sypialni mieli zmienić już w zeszłym roku. Mieli też wyremontować salon i łazienkę. Stefański kupił nawet panele do dużego pokoju, wtargał jedną paczkę na górę, żeby pokazać żonie wzór – siwą, sękatą deskę, o jakiej marzyła. A resztę paczek przerzucił do piwnicy. Nie chciał, żeby rodzina potykała się o nie w przejściu do kuchni. Poza tym do remontu miał się wziąć dopiero w weekend. Postarał się nawet o tydzień urlopu. Niestety, motywacji starczyło mu na odmalowanie salonu. Wałek, kuweta, browar, wersalka. Wałek, kuweta i tak dalej. Chwila odpoczynku, żeby farba wyschła, żeby ręka nie bolała. I trochę snu dla zdrowia, skoro żona w pracy, a syn w szkole.

Kłopot w tym, że niczego mu się nie chciało. Żona suszyła mu głowę, żeby zrobił jakieś badania, jednak zbywał ją byle wymówką, najczęściej pracą. Chociaż w pracy też się nie przemęczał. Chciał tylko dotrwać do wcześniejszej emerytury. Aż wreszcie przyszedł mu do głowy inny pomysł. Gnuśniał w przewencji. Wiedział, że to ostatni moment na zmiany, że jeśli teraz czegoś ze sobą nie zrobi, to zostaną mu już tylko to chrapanie przy włączonym telewizorze i nocne wiercenie się w łóżku.

Wtedy właśnie wpadł na pomysł, żeby przenieść się do wydziału Grossa, skoro zwolnił się etat po Otrembie. Koledzy nie byli zainteresowani stołkiem po samobójcy, bo to niby pechowe. Gównno tam, pieprzenie takie. Zasańcy wierzyli w zabobony. Ale dziś Stefański byłby skłonny przyznać im rację. Może jednak źle zrobił? Bo Gross, jako szef, miał jedną wadę. Był cholernie wymagający.

Przy drewnianej chałupce, oznaczonej szyldem „Zajazd Tama Brodzka”, Stefański skręcił z głównej drogi w lewo. Jechał wzdłuż jeziora zacięną asfaltową wstęgą, która to wznosiła się, to opadała. W końcu dostrzegł drogowy znak z wizerunkiem sarny oraz napisem „Do ośrodka 800 metrów”. Włączył kierunkowy znak i skręcił. Zatrzymał się przed okazałą drewnianą bramą, za którą rozciągała się wydeptana polana opadająca do samego jeziora. Po prawej wznosił się stary, PRL-owski dwukondygnacyjny budynek z płyty, odmalowany i z wymienionymi oknami na parterze. Bliżej jeziora, po prawej, dostrzegł niewielkie drewniane domki, a obok wydzielone pole z kilkunastoma przyczepami kempingowymi i kolorowymi namiotami. Ale wydawało mu się tu pusto. Nie dostrzegał nigdzie żywej duszy. „Może to przez upał”, pomyślał.

Gdy wyłączył muzykę, usłyszał szum klimatyzacji. Z niechęcią zgasił silnik i wtedy wszystko ucichło. Stefański wysiadł z samochodu i zatrzasnął drzwi, po czym włączył centralny zamek.

Upał miał siłę ciosu Mike’a Tysona, szczególnie kiedy wysiadło się z samochodu, który już po godzinie drogi mógł robić za chłodnię.

Stefański obawiał się, że te zmiany temperatur okupi anginą, jak w zeszłym roku, ale gdyby nie klima, nie przeżyłby tej drogi do Bachotka.

Nad drzwiami ośrodka wisiała sporej wielkości drewniana tabliczka z wyżłobionym napisem „Recepcja”. Spodziewał się wnętrza na miarę prawdziwych myśliwych, ścian w drewnie i zawieszonych pod sufitem poroży, albo i niedźwiedzich łbów z plastikowymi oczami. Tymczasem wyremontowana recepcja przypominała mu bardziej nowoczesny rodzinny hotelik na uboczu. Było tu jasno i przestronnie. Dwa wentylatory, rozstawione jeden za ladą, a drugi w pobliżu wejścia, pracowały na najwyższych obrotach. Fotel był pusty.

Stefański oparł się o kontuar. Odszukał dzwonek i uderzył w niego raz i drugi. Zadzwieczał głośno.

– Już idę. – Aspirant usłyszał wysoki kobiecy głos, a po chwili z drzwi prowadzących na zaplecze recepcji wyszła młoda blondynka w niebieskiej bluzce z logo ośrodka układającym się na całkiem przyjemnych rozmiarów biuście.

Stefański założyłby się o browar, że pod tą bluzką próżno byłoby szukać stanika. Odruchowo poprawił zaczesane na bok włosy i się uśmiechnął.

– W czym mogę pomóc? – Dziewczyna odwzajemniła uśmiech.

Aspirant sięgnął do tylnej kieszeni spodni po blachę, a potem wyjął z plecaka teczkę na gumkę ze znajdującym się tam zdjęciem Patrycji Szwed. Pokazał je recepcjonistce.

– Chodzi o zaginioną mieszkankę Chełmży. Niech się jej pani dobrze przyjrzy, bo... – zaczął.

– Nie muszę – przerwała mu. – Była tu.

– Patrycja Szwed.

– Tak, chyba tak się właśnie nazywała.

– Kiedy?

Dziewczyna odwróciła się do wiszącego na ścianie kalendarza ze zdjęciem zachodu słońca nad wodą.

– Od zeszłej soboty.

– Od zeszłej soboty – mruknął Stefański.

– Była ze znajomymi w czwórkę.

– Gdzie?

– W drewnianym domku.

– Był z nią ktoś jeszcze?

– No właśnie mówię, że była ze znajomymi. Ona i jeszcze jedna para oraz dwóch chłopaków zajęli czwórkę, a reszta dziesiątkę.

– Są jeszcze?

– Tamci? Tak. Co prawda, rano wychodzili chyba na jakiś spływ kajakowy, ale wieczorem będą.

– Wieczorem, powiada pani – powiedział Stefański. – A ta dziewczyna i jej chłopak? –

Policjant popatrzył na zdjęcie Patrycji Szwed.

Pokręciła głową.

– I jej chłopaka też nie ma? – zgadywał.

– Nie ma.

– A kiedy wyjechali?

– Wczoraj – odpowiedziała, ale Stefański zauważył, że pewność siebie wyparowała z niej w trakcie tej krótkiej rozmowy.

– Szkoda – bąknął aspirant, patrząc blondynce prosto w oczy.

– Słucham?

– Szkoda – powtórzył. – Bo taka pani ładna, a tak brzydko kłamie.

Spuściła wzrok.

– Powiem pani coś. – Stefański podrapał się po brodzie. – Jej tu w ogóle nie było, prawda?

Dziewczyna zaczęła wyginać palce.

– A już na pewno nie było jej tu w sobotę – dodał.

– To ja może poproszę szefa.

– A ja prokuratora, psiakrew! – Uderzył otwartą dłonią w laminowany blat. – Chodzi o zaginioną młodą kobietę, do cholery! Jeszcze jedno takie kłamstwo – pogroził jej palcem – a oskarżę panią o utrudnianie śledztwa!

Blondynka znieruchomiała, a Stefański zdołał się opanować. Wydawała mu się mała i krucha. A cisza, macona młóceniem powietrza przez dwa wentylatory, jakby napęczniała.

– Pójdę po wujka – powiedziała recepcjonistka i zniknęła za drzwiami.

– Byle szybko! – zawołał za nią.



Komisarz Gross wrócił do mieszkania po akta sprawy zaginionej kobiety ze Strużala. Miał je tylko zabrać, żeby przejrzeć na komendzie, ale musiał od razu zaspokoić swoją ciekawość. Przewertował grubą teczkę i raz jeszcze prześledził wzrokiem wszystkie znajdujące się w niej policyjne formularze, szkice i odręczne notatki. Wyciągał opinie biegłych, a wśród nich informacje od jednego z jasnowidzów, który choć nieproszony, sam przesłał własną wersję tamtych zdarzeń. Nigdzie jednak nie było mowy o Tadeuszu Zubie. Jakby nie istniał, jakby w tamtym czasie nie było go w Strużalu. Tymczasem niedługo po zaginięciu Krystyny Palacz podpalił dwa stogi siana.

Pracę przerwał mu dzwoniący telefon. Odebrał.

– Pan Bernard? – spytał kobiecy głos. – Dzwonię ze „Światła”.

Gross zamarł.

– Pańska żona wróciła dziś do nas ze szpitala. Już jest lepiej. – Dopiero teraz w głosie swojej rozmówczynie usłyszał radosne tony. – Zgodnie z zaleceniem lekarza pozostanie w izolatce jeszcze dwa dni, a potem wracamy do rehabilitacji i stymulacji. Wkrótce będzie mógł pan odwiedzić małżonkę.

– Dziękuję – odparł. – Przyjadę.

Odłożywszy aparat, wstał i podszedł do okna.

Przy przystani „Włókniarza” kilku sportowców kręciło się po pomoście, wzdłuż którego kołysały się wioślarskie łodzie, a trochę dalej plaża przy „Mistralu” roiała się od ludzi. W oddali tafle jeziora przecinały dwa rowery wodne, które błyszczały w słońcu tak, że Gross nie był w stanie określić ich koloru.

Przypatrzył się miastu rozpiętemu między gotycką, czworoboczną wieżą kościoła Świętego Mikołaja i patynowaną kopułą konkatedry. Dopiero wtedy poczuł, jak schodzi z niego stres, oddech się

wyrównał i wszystko wracało do normy. Tak jak zdrowie Agnieszki, jego żony, z którą kiedyś łączyły go piękne wspomnienia i wspaniałe życie, a teraz tylko ból i cierpienie. Bóg jeden raczył wiedzieć, po czyjej stronie większe.

Gross wziął teczkę dotyczącą zaginięcia Krystyny Palacz i postanowił odwiedzić matkę Bożeny Zuby, która leżała w chełmyńskim szpitalu na oddziale wewnętrznym.

Wyszedł z domu i pomostem przeszedł do centrum miasta. Minął komisariat i skręcił w główny miejski deptak, wybrał zacienioną część ulicy Sikorskiego i dotarł do Rynku. Nad kamienicami we wschodniej pierzei unosiła się wieża konkatedry, ta sama, na którą patrzył z okien mieszkania. Z tej perspektywy wydawała mu się jednak ogromna.

Rynek, wybrukowany żółtą i szarą kostką, którą przecinały czerwone pasy, dosłownie tonął w słońcu. Gross nie widział na nim nikogo, mimo że parking po prawej był pełen samochodów. Odruchowo spojrzął w okna biblioteki, w której pracowała Malwina Lemańska. Coś ciągnęło go w tamtą stronę, ale wiedział, że bibliotekarka nie wróciła jeszcze z urlopu. Zapragnął się z nią spotkać i porozmawiać, poczuć jej ciepło. Ciepło i spokój, którego pokłady ewidentnie się w nim wyczerpywały, ulatniały, zastępowane przez strach i niepewność związane z synem. Komisarz zastanawiał się, co powinien zrobić. Wiedział, że czekał go telefon do teściów, z którymi właściwie od dziesięciu lat nie utrzymywał kontaktów. Byli ludźmi majątynymi, jednak nie widzieli potrzeby wsparcia córki, opłacenia lepszego, może zagranicznego ośrodka. Wszystko przez to, że za tragiczne zdarzenia winą obarczyli zięcia. Nie cenili jego pracy, ale Agnieszka ją akceptowała. Owszem, bywało im ciężko, zdarzały się takie noce, nieraz kilka razy z rzędu, kiedy nie wracał do domu. A potem, najczęściej nad ranem, otwierał cicho drzwi, zrzucił ubranie i pakował je do pralki. Brał szybki, ale dokładny prysznic. Wślizgiwał się do rozgrzanej pościeli i przylegał zimnym ciałem do ciepłej i gładkiej skóry Agnieszki. Wybudzał ją, pieścił dłońmi gorące piersi ukryte pod piżamową koszulką i wchodził w nią, zaspaną, wyrwaną ze snu, ale już wystarczająco pobudzoną. Kochali się krótko, ale intensywnie. I kiedy skończyli, nie pytała o nic, gładziła jego włosy i przytulała go do piersi. Ufała mu bezgranicznie, czego nie mogli jej wybaczyć rodzice. Zawsze trzymała jego stronę, a on nigdy jej nie zawiódł.

Gross schował się w cieniu i postanowił nie odwlekać tego dłużej. Wybrał numer teściowej, a gdy usłyszał pierwszy wolny sygnał, poczuł, jak dudni jego serce. Skurcz, rozkurcz, skurcz, rozkurcz. Krople potu wystąpiły mu na czole i karku.

– Halo? – Usłyszał jej matowy głos.

Zastanawiał się, czy w jego barwie było coś, co przypominało mu głos Agnieszki, który był niski, niemal radiowy, zdecydowany i tak pełen dobrych emocji.

– Dzień dobry – powiedział.

– Dzień dobry.

Nie był pewien, czy go rozpoznała, ale zrezygnował z przedstawienia się. Nie chciał też zaczynać rozmowy od nic nieznaczących pytań o zdrowie czy o to, co słyhać. Nie wiedział, jak ma się zwracać do matki swojej żony, dlatego postanowił unikać form osobowych.

– Czy kontaktował się z wami Bartek?

– Kto mówi? – zaniepokoiła się matka Agnieszki.

– To ja, Bernard. Chciałem zapytać, czy Bartek był u was, czy macie z nim kontakt.

– A, to ty. – Gross wyczuł w jej głosie skrywaną niechęć. – Dlaczego pytasz?

– Chcę tylko wiedzieć, czy macie z nim kontakt.

– A czyżbyś ty go stracił?

Zaskoczyło go, z jaką wyższością wypowiedziała te słowa.

– Jest u was? Chciałbym z nim porozmawiać.

Czekał coraz bardziej spięty, bezradny i bezbronny, wystawiony na atak i poniżenie. Nie rozumiał, dlaczego bliskie mu kiedyś osoby mogły go teraz tak traktować.

Ale nie doczekał się żadnej informacji.

Połączenie zostało przerwane.

Wybrał numer ponownie, a kiedy teściowa odebrała, wyjaśnił, że stracił zasięg.

– Nie dzwoń nigdy więcej.

– Chcę tylko wiedzieć, czy Bartek jest u was.

Nagle coś zaszumiało i zazgrzytało w głośniku.

– Halo! – Gross poczuł, jak wzbiera w nim złość.

– Niech pan nie dzwoni! Już nigdy więcej! – Usłyszał szorstki głos teścia. Mężczyzna się rozłączył.

Gross długo jeszcze trzymał telefon przy uchu, zanim schował go do kieszeni.

„On tam jest”, pomyślał i starał się uspokoić oddech.

Musi tam być.

A jeśli tak, to jest bezpieczny.

Przeszedł wzdłuż Rynku. Mijał nielicznych przechodniów. Było cicho. Dopiero w pobliżu fontanny i szpaleru drzew przy wschodniej pierzei usłyszał wesołe głosy dzieci ochlapujących się wodą przy niewielkiej niecce.

Skręcił w zacienioną i zastawioną samochodami ulicę Rynek Garncarski, na końcu której rysował się wysoki budynek szpitalny z elewacją w kolorze liliowym.

Wszedł na oddział i zapytał wysoką, postawną pielęgniarkę o Mariolę Zubę. Wskazała mu salę na końcu korytarza po lewej. Gross zajrzał tam i się przywitał. Trzy kobiety spojrzały w jego stronę. Zubę rozpoznał od razu – jej córka Bożena była jej młodszym klonem. Ubrana w letnią, krótką piżamę kobieta dźwignęła ciężkie ciało i oparła się na łokciu.

– Pan do mnie? – spytała przyjaźnie. – Pan Gross, tak? Córka mnie uprzedziła.

Komisarz skinął głową.

– Przejdziemy się? – zaproponował, a starsza kobieta ochoczo pokiwała głową i wygramoliła się ze szpitalnego łóżka.

Wsunęła szerokie stopy w kapcie i wyszła na korytarz.



Janusz Stefański siedł za właścicielem ośrodka „Sarna”, Przemysławem Szydłowskim, w stronę domku oznaczonego numerem cztery. Koszulka lepiała mu się do spoconych pleców i odczuwał już pierwsze oznaki znużenia.

– Wciąż nie wiem, czy dobrze robię – powiedział drwał, odwróciwszy się do Stefańskiego.

Niski mężczyzna o figurze solidnej drewnianej beczki z bejsbolówką na głowie i gęstą jasną brodą przypominał aspirantowi właśnie rębaczka.

– Zawsze może pan zadzwonić na policję, nie? – odparł policjant.

Wcześniej przejrzał książkę meldunkową, którą Szydłowski pokazał mu nie bez ociągania. Zauważył w niej tylko nazwiska Patrycji Szwed i pozostałych licealistów, które podała mu matka zaginionej dziewczyny. Cebulkiewiczza nie znalazł, ale Szydłowski zarzekł się, że Szwed przyjechała z mężczyzną, tyle że rezerwacja była na jej nazwisko.

Szydłowski zbliżył się do niewielkiej drewnianej werandy, a następnie zapukał głośno.

– Halo! – krzyknął. – Jest tam kto?

Stefański rozejrzał się wokół. Zwrócili uwagę jedynie dwójki zagraniczników z kampera, którzy popatrzyli na nich spod namiotowego przedsionka. Potem odwrócili twarze do słońca.

Właściciel ośrodka zapukał raz jeszcze, a kiedy nic się nie wydarzyło, wsunął w zamek klucz z doczepionym breloczkiem w kształcie drewnianej gruszki i przekręcił.

– Proszę – powiedział, otworzywszy drzwi.

Stefański schylił się i wszedł. Uderzyło go ciepło jak z sauny, które przenikało przez deski i kryty papą dach. Pomieszczenie stanowiło połączenie niewielkiego salonu z jeszcze mniejszą kuchnią. Po prawej stał narożnik z pufami ustawionymi wokół stołu, na którym rozłożono kolorową planszę z wymyślnymi figurkami. Po lewej, za niską ścianką przykrytą wąskim blatem, znajdował się aneks kuchenny. Na blacie stały butelki po piwie i winie, leżały paczki chipsów i kartony po pizzy. Przy stercie naczyń w niedużym zlewie kręciła się ospała mucha. Dalej, na wprost, znajdowały się uchylone drzwi do dwóch pokojów, a po prawej – do łazienki. Stefański niechętnie wszedł głębiej. Czuł, jak pot wypływa z jego ciała każdym porem skóry. Osuszył czoło wierzchem dłoni.

Zajrzał do pierwszego pokoju. Dwa łóżka były ze sobą zestawione, a pościel pomięta. Na stoliku nocnym po prawej dostrzegł damskie kosmetyki, blat tego po lewej był pusty, nie licząc rozłożonej grzbietem do góry książki. Plecaki stały oparte o ścianę.

– Wie pan, kto tu śpi? – Aspirant odwrócił się do Szydłowskiego, ale ten wzruszył tylko ramionami.

W drugim pokoju pod jednym z łóżek dostrzegł sporych rozmiarów trampki, a pod tym przy oknie – kilka pustych butelek po piwie, z których część poturlała się pod ścianę. Wszędzie rozrzucono ciuchy, na ramie wezglowia suszyły się jaskrawe kąpielówki.

W łazience Stefański również nie znalazł niczego niepokojącego. Dał więc znak Szydłowskiemu, że rozejrzy się w drugim domku, ale tam także nie trafił na nic, co mogłoby wzbudzić jego podejrzenia.

– I co teraz? – spytał Szydłowski. – Mam nadzieję, że im pan nie powie.

– Czego?

– Że tu pana wpuściłem.

– Nie ma takiej potrzeby – zapewnił go policjant.

– Mogę w czymś jeszcze pomóc? – Drwał oparł ręce na biodrach.

– Co oni robią całymi dniami?

– A co mają robić? – zdziwił się Szydłowski. – W ciągu dnia, w takim upale, najczęściej się kąpią i wylegują na plaży. – Wskazał miejsce. – A wieczorami staramy się im zapewniać jakieś rozrywki. Co wieczór proponujemy coś innego. Wczoraj robiliśmy grilla, każdy przyniósł, co mu się podobało, kiełbasę czy mięcho, a my to grillowaliśmy, dodawaliśmy sosy i surówki. No a dziś siostrzenica organizuje podchody w lesie. Robimy też zawody sprawnościowe, takie z jajem, żeby wszyscy się dobrze bawili.

– I mówi pan, że Patrycja Szwed i jej chłopak, Cebulkiewicz, tu byli, tak?

– Przysięgam, zresztą po co mi kłopoty. Kłamać nie będę, na co mi to? Nigdy zatargów z prawem nie miałem ani nie chcę mieć. Uczciwie prowadzę ten biznes i nie zamierzam się zeszmacić.

– Więc kiedy przyjechali?

– Tak jak mówiła panu Asia, w sobotę.

– Ale rano czy wieczorem?

– Pod wieczór, widno jeszcze było.

– Czym przyjechali?

– Nie wiem. Może ktoś ich podrzucił.

– Weszli do recepcji czy od razu poszli do czwórki? – starał się ustalić Stefański.

– Tego wieczoru robiliśmy z zaprzyjaźnioną stajnią pokazy rodeo. Kiedy zobaczyłem dwoje nowych ludzi, poprosiłem ich, żeby po pokazie podeszli do recepcji.

– Przyszli oboje?

– Nie, tylko ona. – Drwał wskazał na plecak Stefańskiego, do którego policjant schował zdjęcie Patrycji Szwed. – Zapłaciła za siebie i chłopaka. I tyle. Po sprawie.

– Widział ich pan następnego dnia?

– Wie pan, ja tu nie śledzę ludzi. – Zaśmiał się. – Mam kupę roboty, nie wyleguję się.

Stefański pokiwał głową ze zrozumieniem i powiódł wzrokiem po jeziorze i przeciwległym, zalesionym brzegu.

- Poczekam na nich – oznajmił.
- Mogę dać panu pokój w głównym budynku, bo pewnie wrócą dopiero na wieczór.
- Obawiam się, że policji na to nie stać. Na służbie jestem.

Szydłowski machnął ręką szerokości solidnego pieńka.

– Spokojnie, na górze mamy rozgrzebany remont, nikogo tam nie przyjmuję, a już na pewno nie za pieniądze. Są tam dwa pokoje, które czekają na płytkarzy, i w każdym trzymam jeszcze łóżka. Zapraszam. Odpocznie pan i się czegoś napije. A jeśli poczuje pan głód, to niech pan zejdzie na bigos ze schabowym. Jak matka zrobi żarcie, to mucha nie siada. Zresztą jestem chodzącą reklamą jej domowej kuchni. – Zaśmiał się, klepiąc się po brzuchu.

– No dobra, skoro tak... Przynajmniej będę mógł w spokoju popracować – powiedział Stefański i ziewnął, zasłaniając usta.

– Niech pan idzie za mną – rzekł Szydłowski.

Kiedy znaleźli się w cieniu budynku, przed recepcją, zatrzymał się i odwrócił do Stefańskiego.

A potem cmoknął.

– Cholera, trochę mnie zastanawia jedna rzecz – stwierdził.

– No, co takiego? – ponaglił go Stefański.

– Bo pan ciągle tak mówi o tym gościu, że to był jej chłopak.

– Podobno byli ze sobą.

– Serio?

– To pana dziwi? – Stefański chciał mieć tę rozmowę już za sobą.

Drwał się skrzywił.

– Trochę tak – przyznał.

– Dlaczego?

– No bo jaki z niego chłopak?

– Nie rozumiem.

– Był od niej sporo starszy, co najmniej z dziesięć lat. Chociaż w tym akurat względzie już nic mnie nie zdziwi. Ale, i to chyba ważniejsze, oni ze sobą nie spali.

– Słucham? Czyli że co?

– Ona zarezerwowała dla siebie łóżko w domku, a dla niego wzięła pokój jednoosobowy tu na parterze. – Wskazał kciukiem za plecy. – I on, proszę pana, sam tam spał. Sam jak palec.



Przez przychodnię wyszli na wewnętrzny dziedziniec i niewielki parking. Ławki w pobliżu izby przyjęć były zajęte, więc przeszli wzdłuż budynku nieco dalej i usiedli w cieniu drzewa.

– Jako matka – zaczęła Mariola Zuba – powiem panu, że strasznie przeżyłam tę tragedię. To znaczy to zaginięcie Kryśki z synkiem...

Kobieta skupiła wzrok na ścianie budynku szpitala i zaszklili jej się wzrok. Kiedy odezwała się ponownie, drżały jej wargi.

– Tak być nie powinno. To się nigdy nie powinno zdarzyć. – Pokręciła głową. – Takie nieszczęście, proszę pana, takie nieszczęście.

– Byłyście ze sobą blisko?

Zuba odwróciła się do Grossa.

– Mój świętej pamięci mąż był blisko z Palaczem. Jak to sąsiedzi w trudnych czasach. Pomagali sobie, nie powiem.

– A pani się widywała z Krystyną Palacz?

– Ona była ode mnie trochę młodsza i bardziej skryta. Ale znałyśmy się, oczywiście. Może się nie przyjaźniłyśmy, bywałyśmy u siebie na imieninach albo przy innych okazjach.

– Na imieninach jej męża też pani była?

– Tych, po których zaginęła? Byłam. – Pokiwała głową i sięgnęła po chusteczkę, by wytrzeć nos. – Byłam i powiem panu, że do dziś nie mogę uwierzyć, że doszło do takiej tragedii.

– Właściwie nie wiadomo, co się stało – przypomniał jej Gross.

– Tak, ma pan rację. – Znowu pokiwała głową. – Niby tak, ale wie pan, to się czuje. Jako matka mówię panu, że takie rzeczy się czuje. Ma pan dzieci? – Spojrzała na Grossa.

– Mam – odpowiedział.

– To wie pan, co mam na myśli. – Zadumała się. – Chociaż chyba tylko kobiety mogą to w pełni zrozumieć. Ten rodzaj intuicji. Intuicji matki.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– Że ta młoda matka, bo ileż ona miała wtedy lat, proszę pana, ze trzydzieści?

Potwierdził.

– No właśnie. Chcę powiedzieć, że moim zdaniem oboje nie żyją. – Przyłożyła dłoń, w której trzymała chusteczkę, do policzka. – Mój Boże, to już trzydzieści lat.

Gross wpatrywał się w jej zatroskaną, okrągłą twarz z lekko obwisłymi już policzkami i wiszącą, pomarszczoną skórą na podbródku.

– Dlaczego uważa pani, że oni nie żyją?

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– A pan sądzi, że może być inaczej? Wiecie coś? Teraz są takie technologie, to wszystko, cały ten postęp...

– Jak ją pani zapamiętała? – Gross chciał zmienić kierunek, w którym podążała ta rozmowa.

– Krysię Palaczową?

– Tak.

Wzruszyła ramionami.

– Była miłą, czynną kobietą, dobrą matką. Nikomu nie wadziła. O ogródek przed domem dbała, zawsze był wypielony, przegrabiony i przekopany. Co jak co, ale ta zieleń przed domem to na błysk była zrobiona. Równe grządki, czyściutko. I maciejkę zawsze wysiewała. Zna pan zapach maciejki?

– A czy tuż przed zaginięciem coś w jej zachowaniu się zmieniło? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Kobieta uniosła brew.

– Hm, no nie wiem. To było już tak dawno temu. – Zamyśliła się.

– Proszę tylko o to, by powiedziała mi pani szczerze o swoich odczuciach.

Przez drogę wewnętrzną przejechał biały dostawczak. Trzaśnięcie drzwiami między murami szpitala rozniosło się echem. Kierowca zabrał spory karton i skierował się do izby przyjęć.

– Wydawała mi się jakaś smutna. Chociaż nie wiem, czy to dobre słowo.

– Smutna? Z jakiego powodu?

– Może raczej przygnębiona?

– Dlaczego tak pani sądzi?

– Głupio tak mówić. – Zasłoniła usta.

– O czym?

– Raczej o kim. – Spojrzała na niego i dodała: – O innych ludziach.

– O jej mężu?

Kobieta pokiwała głową.

– Moim zdaniem coś było nie tak między nimi. Nie twierdzę, że im się nie układało. Ale Stefan, to znaczy Palacz, był jednak od niej dużo starszy, z kolei Krysią przyjechała z miasta na wieś. Nie czuła się tu chyba najlepiej, a on, jak to rolnik, musiał mieć wszystko podane na stół. Wszystko gotowe, wyprane, dzieci zadbane. Na wsi kobieta robotę ma zawsze, od rana do wieczora.

Gross milczał przez chwilę. Obserwował czarnego żuka, który szedł wolno koło jego butów. Lśniący pancerz i długie, grube, sztywne czułki wyróżniały się na tle grudek niebiesko-szarego asfaltu. Owad zmierzał w stronę dawno niekoszonego trawnika z wieloma rozwiniętymi, puchatymi kulami mleczy.

– Czy to, o czym pani mówi, mogło mieć wpływ na to, co się zdarzyło?

– Pan wie najlepiej, że na tę tragedię złożyło się kilka spraw – odparła. – Krótko po urodzeniu pierwszego dziecka Kryśka zaszła w ciążę, miała sporo na głowie...

– Państwa córka im pomagała, prawda? – wtrącił Gross.

– No tak, ale Bożenka chodziła tylko doić krowy, żeby Krysię trochę odciążyc, żeby skupiła się na dzieciach. Bo dzieci są najważniejsze.

Gross kątem oka obserwował pulchną kobietę. Uniosła brodę i wpatrywała się w okna na wyższych kondygnacjach.

– Czy córka mówiła pani o kłótni w domu Palaczów tuż przed imieninami?

– Jakiej kłótni?

– Dwóch mężczyzn.

– A, tak, coś wspomniała, ale szczerze mówiąc, nie przywiązywaliśmy do tego wagi. – Spojrzała na Grossa. – Czy wiadomo już, z kim się Stefan kłócił? Powiedział panu?

Gross milczał przez chwilę.

– A czy ktoś odwiedzał wtedy Palaczów? – spytał.

– Niby kto?

– Nie wiem. Mamy informacje o podjeżdżającym pod dom Palaczów czerwonym polonezie.

– Ach, o tym pan mówi. – Machnęła ręką.

Komisarz czekał na dalszy ciąg.

– Nie można tak od razu wierzyć we wszystko, co mówią ludzie. Podobno zresztą ten trop zaprowadził milicjantów donikąd. Wie pan, jak to jest. Ktoś sobie coś ubzdurał, niby zapamiętał i wydaje mu się, że to ma znaczenie. Ludzie powinni się zajmować sobą, a nie życiem innych, prawda?

– Kto jeszcze był na tych imieninach u Palacza?

– Niewiele osób, tylko ja z mężem, nasze dzieciaki, no i brat Stefana z żoną i trójką pociech przyjechał ze Żnina.

Gross przeczytał o tym w raporcie. Przypomniał też sobie, że Józef Palacz, bo tak miał na imię brat solenizanta, przyjechał i odjechał tej samej nocy. Ich wysłużonego dużego fiata prowadziła żona, bo Józefa z trudem udało się doprowadzić do samochodu.

– Wie pani, kto robił wtedy zdjęcia?

– No jasne, że wiem. – Uśmiechnęła się. – Mój Tadzik. Niemowa, biedaczek, ale dobry chłopak.

Zainteresowało to Grossa.

– Dużo tych zdjęć zrobił? – spytał.

– Z tych imienin? Nie wiem, nie pamiętam już. On w ogóle lubił fotografować. A gdy mu mąż kupił aparat od jednego Niemca, który przyjeżdżał do rodziny do Chełmży, to Tadzik się z nim nie rozstawał. Tyle że klisze były drogie, więc czasami łąził bez filmu i tylko udawał, że strzela zdjęcia. Taki miał zapał. – Znowu się zaśmiała.

– Macie państwo fotografie z tego okresu?

– Coś tam pewnie mamy, Bożenka mówiła, że chciał pan obejrzeć nasze stare albumy.

– Bardzo chętnie.

– Może jutro? Dziś czekam na wypis, a wieczorem będę pewnie zmęczona. Ale jutro, gdy tylko odsapnę, odszukam te zdjęcia i pod wieczór, kiedy upała zelżeje, może pan przyjść do nas na kawę.

– A z pani synem będę mógł porozmawiać?

– Z nim? A po co?

– Skoro był na imieninach, to może coś pamięta?

– On się bardzo boi policji, poza tym trudno się z nim porozumieć. Wolalabym nie.

– Chodzi o jego przeszłość?

– To pan wie?

Gross skinął głową.

– To już minęło, proszę pana. Hormony szalały, w końcu to był chłopak, taki jak pan, jak inni. Wiem, że miał wtedy dwadzieścia lat, ale u niego wszystko było trochę opóźnione. To w sumie wciąż jest dziecko, tylko wygląda jak dorosły. A że chory taki, że nie rozumiał pewnych rzeczy, to go ludzie na straty spisali, wytykali palcami, na złość robili. – Oczy się jej zaskrzyliły. – Dobry z niego dzieciak, nie powiem. I już niczego złego nie robi. Teraz nawet muchy by nie skrzywdził, tak go wychowałam.

Gross zastanawiał się, czy spytać Zubę o to, co się zdarzyło dawno temu jesienią, kiedy jej syn zaatakował córkę zaginionej, Magdalenę Palacz.

Kobieta spojrzała na komisarza spod przymkniętych powiek.

– A czy pan czasem nie chce o to spytać?

– O co? – Odwrócił się zaskoczony.

– O Magdę Palacz?

– Znam to z archiwów – powiedział.

Był listopad tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Dwunastoletnia Magdalena Palacz wracała na rowerze ze szkoły. Popołudnie przechodziło w zmierzch, mroźny wiatr znad jeziora szarpał jej kurtkę i gwizdał między szprychami. Dwunastolatka wjechała na wzniesienie, z którego do domu miała nie więcej niż sto metrów. Opony podskakiwały na warstwie żwiru, a zmarzniętą ziemię pokrywał sypki śnieżny puch. Widziała zapalone światła w oknach swojego domu i ojca krzątającego się w kuchni przy obiedzie. Być może dlatego nie zauważyła sporego kamienia, na który najechała przednim kołem. Straciła równowagę i poleciała w bok. Mimo rękawiczek zdarła sobie skórę do krwi. Zapiekło. A do tego poczuła jeszcze ból w kolanie. Rozlewał się w niej gwałtownie, jak niszcząca fala.

Rozpłakała się.

Tylne koło roweru wciąż się kręciło.

Raz jeszcze rzuciła okiem na dom. Gdyby miała matkę, wszystko wyglądałoby inaczej. Zwłaszcza teraz. Mama podeszłaby do niej, obejrzała dłonie, pocałowała w czoło. A potem przytuliłaby. Mocno, a jednocześnie tak lekko, jak tylko matka umie.

Brakowało jej mamy.

Ojca kochała, ale tato nie okazywał jej uczuć. Nie litował się nad nią. Dlatego nie zamierzała go teraz wołać, żeby tu przybiegł. Kazałby się jej zbierać, burknąłby coś, żeby nie siedziała na zimnej ziemi, bo się wilka nabawi. Chwyciłby jej rower i skierował się do domu. W połowie drogi by się odwrócił i krzyknął: „No chodźże, już!”

Znała to za dobrze. Dlatego milczała.

Musiała się zebrać w sobie i wstać.

Rozejrzała się wokoło.

I wtedy przez łąkę zobaczyła, jak ze wzniesienia w jej stronę szybkim krokiem idzie Tadeusz Zuba. Słyszała o nim same złe rzeczy, bała się go, chociaż czasem, kiedy była z koleżankami, wyśmiewała się z niego. „Duży dzieciun”, jak go nazywali, speszony uciekał.

Najlepiej z klasy naśladowała jego słoniowy chód i to, jak bezwiednie wywalał gruby jęzor. Dziewczyny z klasy śmiały się w głos. „Zrób Zubka – prosimy. – Zrób”. I Magda robiła. A teraz Zubek szedł w jej stronę, krzywił się jak zawsze i mamrotał coś niezrozumiale. Wreszcie stanął nad nią i rozpiął spodnie. Zapamiętała jego spierzchnięte czerwone dłonie.

Ze strachu zamknęła oczy i wpadła w stupor.

I wtedy to się stało.

Gorący strumień śmierdzącego moczu smagnął ją niczym bat po policzku i spłynął po kurtce. Schyliła twarz, ale to nic nie dało. Męczyzna opróżnił pęcherz, trafiając ją w głowę, w kurtkę, w spodnie. Jęczał i charczał nad nią, a mocz płynął. Zakryła twarz zziębniętymi dłońmi, ale to nic nie dało. Uryna spływała po czole, dostawała się między palce, trafiała do oczu i nosa, spływała po ustach.

Poczuła kwaśny smak.

Zemdliło ją.

Aż w końcu wszystko ustało. Usłyszała cichy odgłos zasuwanego rozporoka.

Dziewczynka płakała, zaciskając z całej siły powieki.

Mężczyzna odszedł, stękając. Słyszała jeszcze chrzęszczenie żwiru pod jego wielkimi, zniszczonymi buciorami, które cichło porywane przez wiatr.

Kiedy odważyła się otworzyć oczy, było już ciemno.

Z jej mokrych włosów odparowywał śmierdzący mocz.

Tyle Gross zapamiętał ze starych akt. Nie chciał dziś tego drążyć, nie chciał nastawić matki mężczyzny z niedorozwojem przeciwko sobie. To nie był dobry moment, wciąż zbyt mało wiedział o sprawie zaginięcia smutnej kobiety ze Strużala.

– Odwiedzę panią jutro w domu. – Komisarz wstał i podziękował za spotkanie.

Zuba się nie podniosła. Siedziała wpatrzona w mur, kiwając głową. Pożegnał się i zostawił ją w cieniu na ławce, zanim zaczęła cicho płakać.



Komisarz wyszedł na Szewską i oślepiło go słońce. Zmrużył oczy, sięgnął po komórkę i wybrał numer Brandola. Wierzchnia warstwa asfaltu, którego mdlący smród unosił się wszędzie, ugięła się pod jego ciężarem, jakby szedł po rozwałkowanej plastelinie.

– Halo. – Usłyszał ten sam matowy, niemal sztuczny kobiecy głos.

– Dzwonię z policji... – zaczął Gross, ale nie zdążył skończyć.

– Mąż źle się czuje, prosił, żeby nikt mu nie przeszkadzał.

Kobieta natychmiast się rozłączyła.

Komisarz doszedł do Rynku Bednarskiego i skręcił na zachód, w stronę ratusza. Minął pub Śliwka, mieszczący się w drewnianym budynku. Drzwi były otwarte na oścież, a kilku klientów siedziało na drewnianych ławach w ogródku za bramą z kutego żelaza.

Gross cofnął się, bo nagle zdał sobie sprawę, że kogoś tam zauważył.

Rozejrzał się. Czterech mężczyzn spojrzało w jego stronę. Żadnego z nich nie znał, ale dałby głowę, że kiedy tu szedł, było ich pięciu.

Wszedł na podwórze i przeszedł obok parasola, pod którym nieznanymi sączyli piwo z dużych kufli.

Pięć kufli, czterech mężczyzn.

Zajrzał za drewniany budynek, ale nie licząc poustawianych w kilku kolumnach plastikowych skrzynek na butelki i dużych aluminiowych beczek po piwie, nic więcej tam nie było. Szybko cofnął się na chodnik i wtedy go zauważył.

– Panie podkomisarzu! – zawołał aż nadto głośno.

Brandol odwrócił się zaskoczony.

Wcześniej zdążył schować się do pubu, a kiedy Gross wszedł na teren ogródka, wymknął się z drewnianego pawilonu i próbował odejść cichaczem.

– To ty? – Arkadiusz Brandol uśmiechnął się sztucznie.

Gross poczekał, aż Brandol, ubrany w krótkie dżinsowe spodnie odsłaniające jego patykowate nogi i biały T-shirt wiszący na nim jak na strachu na wróble, podejdzie do niego.

– Nie skończyłeś piwa – stwierdził Gross. – I trudno się do ciebie dodzwonić.

– Fakt, prosiłem żonę, żeby każdemu mówiła to samo. Chcę odrobiny spokoju. Szczególnie teraz – odparł.

Gross przyglądał mu się uważnie.

– A o co chodzi? – spytał Brandol.

– Usiądziemy? – Komisarz wskazał głową na drewniany pub.

Brandol się skrzywił. Gross rozumiał, dlaczego policjant, bo Mumia wciąż jeszcze nie przeszedł oficjalnie na emeryturę, nie chce rozmawiać z nim w tym miejscu.

– Spotkajmy się po obiedzie, około szesnastej, w Gospodzie przy Piecu. Tam przynajmniej jest klimatyzacja.

Gross pokiwał głową, a potem obserwował, jak Brandol odchodzi. Szedł pochylony i utykał na jedną nogę. Po chwili skręcił w lewo i zniknął za kamienicą.



Przez szybę izby przyjęć Monika Skalska widziała, jak Gross wychodził z terenu szpitala w kierunku Szewskiej. Nieco później obok policjantki przeszła zapłakana starsza kobieta, która wracała z dziedzińca szpitala, gdzie chwilę wcześniej Skalka widziała komisarza.

Zanim policjantka wyszła, odczekała trochę, bo po tej akcji na płatnej wciąż nie umiała spojrzeć Grossowi w oczy. Właściwie nie rozmawiali ze sobą od wyjścia z gabinetu Wojtasik. Ale Skalska wiedziała, że to nic nie znaczy, że szef jej nie potępi. Nie on.

Na zewnątrz, gdy wyszła z cienia, poczuła rozgrzewającą moc słońca. Doszła do Rynku Garncarskiego, gdzie niemal zderzyła się z Brandolem. Przywitała się z nim, ale ten tylko bąknął coś niezrozumiale i ruszył w dół Szewską. Nie wyglądał najlepiej.

Skalska poszła w kierunku Rynku i w delikatesach kupiła miętowego magnuma w polewie czekoladowej z dodatkiem karmelizowanego cukru, który przyjemnie chrupał jej między zębami.

Zjadła go, a potem przecięła Rynek na skos i ulicą Kopernika dotarła do komisariatu. Przed wejściem do budynku sięgnęła po gumę do żucia.

Gross siedział w swoim gabinecie. Zapukała do uchylonych drzwi i czekała na jego reakcję. Spojrzał na nią znad monitora.

– Mogę? – Stała w progu.

Komisarz popatrzył na zegarek.

– Jasne, chodź. Nie odwlekajmy tego.

Zamknęła za sobą drzwi i usiadła tam, gdzie najbardziej lubiła, czyli po prawej stronie stołu do narad, pod ścianą, po czym zdjęła bejsbolówkę i położyła ją na blacie daszkiem do siebie.

Gross pokazał palcem na czubek brody.

– Czekolada – dodał.

Uśmiechnęła się i pośliniła palec, żeby wytrzeć podbródek.

– Nie umknie ci żaden szczegół, co? – zażartowała.

Gross splótł dłonie i oparł łokcie na blacie.

– Mów – poprosił.

Skalka nabrała powietrza, wydmuchała jeden balon, a po nim drugi, mniejszy.

– Dałam ciała – przyznała chwilę później. Podciągnęła nogi i oparła superstary na siedzisku.

– Taka to robota. Nikt nie odnosi w niej samych sukcesów. Trzeba się przyzwyczaić do porażki, bo ta trafia się częściej – stwierdził.

– Zaślepiło mnie. Normalnie mnie zaślepiło.

– Zdarza się każdemu z nas. Lepiej powiedz, co z tym facetem. Byłaś u niego?

– Nie, ale go odwiedzę.

– Musisz z nim pogadać, żeby wiedzieć, co planuje.

– Chodzi ci o ewentualną skargę?
– Między innymi. Pójdź, przeproś i pogadaj. Tyle możesz zrobić. A teraz mów, co masz.
Otworzyła usta i rozciągnęła językiem białą gumę.
– Jak dotąd nic. – Wydmuchała nowy balon. – Spróbuję złapać tego cholernego Cebulkiewicza.
– Przed chwilą dzwonił Stefański. Podobno Cebulkiewicz od soboty siedział w „Sarnie” razem z Patrycją Szwed.
– Jasna cholera – jęknęła Skalka. Przeczyściła opuszką kciuka czubek adidasa. – Nic się w tej sprawie nie układa. A laboratorium w Bydgoszczy cały czas milczy?
– Takie sprawy jak nasza lądują na samym końcu i w ogóle się nie przesuwiają. Bieżączka stale spycha je w niebyt.
– No niby tak, ale przecież wiedzą, że bez tego nie ruszymy dalej.
– Skupmy się na tym, co mamy – powiedział. – Byłaś u Śródki?
Skalska spojrzała na drobny zegarek na różowym pasku ze skóry.
– Tak. Dałam mu do zrozumienia, że wiem, co się stało w Zalesiu. Ma niecałe dwie godziny na to, by zebrać myśli.
– Powiedziałaś o zakrwawionej koszuli?
– Tak, nie chciałam dłużej tego kisić. Musi wiedzieć, że mam na niego haka. Inaczej dalej by mnie zwodził.
– Dobra decyzja – pochwalił Gross.
– Im częściej go odwiedzam, tym bardziej nerwowo się robi – dodała. – Sprawa niby przycichła, już się z nią uporał, a teraz nagle zaczynam go nachodzić, a to go drażni. Burzę jego spokój.
– Bo jest w tym wszystkim jakieś drugie dno.
– Pewnie tak, ale na razie nie umiemy ustalić żadnego związku z tym, co się zdarzyło na płatnej. Sama lilijka to za mało. – Skalka zdrapała z kolana strup po ukąszeniu komara.
– W takim razie dociśnij go. A jeśli się nie odezwie, zaprośmy go do komisariatu.
– Serio? Właściwie to ja go tylko tak straszylam.
– Nie mamy już czasu na odpuszczanie. Posłuchaj swojej intuicji.
– Już raz posłuchałam – jęknęła i się zamyśliła.
– To nie była intuicja.
– Słucham? – Skalska otrząsnęła się z zamyślenia. Możesz powtórzyć? – poprosiła.
– To nie była intuicja. Nie myl jej z zaślepieniem. Pytanie tylko, co było jego źródłem.
– Co masz na myśli? – Zdjęła stopy z siedziska i sięgnęła po czapkę.
– Każde nasze działanie z czegoś wypływa. To złe najczęściej z zatrutego źródła.
– To z Biblii?
Zaprzeczył.
– Raczej z bogatych kronik policyjnego doświadczenia. Miałem na myśli osobowe źródło informacji – wyjaśnił.
Skalska wydmuchała balon, większy niż poprzednie. Po chwili wstała i włożyła czapkę.
– Chyba masz rację – stwierdziła, wychodząc z gabinetu.



W pokoju na piętrze, którego wnętrze przypominało toruński akademik, gdzie mieszkała kiedyś przyszła żona Stefańskiego, śmierzdziało kurzem. Pył z remontu osiadł na meblościance i niewielkim kwadratowym telewizorze szerokości komody, na której stał. Ustawiony wzdłuż ściany tapczan był

przykryty kocem. Stefański zdjął go i strzepnął, wzbijając chmurę pyłków, która natychmiast zmusiła go do dwukrotnego głośnego kichnięcia. Dopiero potem otworzył okna wychodzące na fragment ogrodu z grillowiskiem i miejscem na ognisko, drewnianymi ławami i ustawionym na rozgrzanym czerwonym tartanie niewielkim placem zabaw dla dzieci. Miejsce było opustoszałe. Dopiero trochę dalej aspirant zauważył ludzi na plaży i przepływającą żaglówkę.

Stefański oparł się o parapet i przez telefon zdał relację Grossowi.

– To wszystko, co wiemy? – spytał komisarz.

– Na razie tak. Ale poczekam, aż młodzi wrócą z imprezy, i z nimi porozmawiam.

– Poinformował pan miejscową komendę o swoich działaniach?

– Jasne – skłamał, bo dopiero planował to zrobić.

– W takim razie czekam na sygnał. A po powrocie do Chełmży niech pan złoży wizytę temu Bogusławskiemu.

– Będę musiał, bo widać, chłop wystawił mnie do wiatru.

– Albo sam został wystawiony.

– Słucham?

– Niech pan nie zakłada jedynie najprostszych rozwiązań.

Pożegnali się, po czym aspirant z ulgą się rozłączył.

– Najprostsze rozwiązania – prychnął pogardliwie. – Właśnie takie, do cholery, są najlepsze.

Żałował, że od razu nie wypalił tak Grossowi. Zazwyczaj jednak trafne riposty przychodziły już po czasie, co denerwowało go jeszcze bardziej. Ale teraz nie zamierzał się denerwować. Zadzwoił do żony, żeby powiedzieć, że wróci pewnie w nocy, no chyba że zatrzymają go obowiązki. Starał się być tajemniczy, by przygotować grunt pod rozmowę o tym, że nie może lecieć do Turcji. Miał zamiar powiedzieć jej wszystko od razu, jednak ostatecznie się na to nie zdobył. Może jutro. Jeszcze naiwnie wierzył, że być może zdarzy się coś, co sprawi, że uda mu się wykorzystać ten urlop, na który, do cholery, sobie zasłużył.

Zapytał żonę, co u niej w pracy, ale niespecjalnie skupiał się, gdy mu odpowiadała. Potem poprosił ją, żeby dała mu do telefonu syna, ale ten odpowiadał wyłącznie półsłówkami, więc pożegnał się pod pretekstem pilnej roboty.

Odłożył telefon na nocny stolik i wyprostował kręgosłup na wysłużonym, twardym tapczanie.

Wśluchiwał się w swój oddech i ciszę przerywaną poszumem wiatru w koronach pobliskich wysokich drzew. Czasami mąciły ją trele ptaków, ale dzięki temu Stefańskiemu się wydawało, że jest w najdroższym salonie SPA, bo zamiast z głośników dźwięki natury dochodziły z podwórka.

Z drzemki wybudziło go jego własne głośne chrapnięcie. Drgnął. Przerażony otworzył na moment oczy i przewrócił się na bok.

Oddychał spokojnie, czuł, jak jego ciało się rozluźnia, jak ciężą mu nogi i ręce.

Nagle poderwał go głośny dźwięk dzwonka w telefonie. Zezłoszczony zerknął na wyświetlacz. Dzwoniła Skalka. Nie chciał z nią teraz rozmawiać. Jeszcze zdąży. Poza tym wahał się, czy powinien ją o to prosić. Chciał zweryfikować, czy Cebulkiewicz rzeczywiście tu był, i dlatego do niej zadzwonił. Miał zamiar poprosić ją, by przesłała mu zdjęcie mężczyzny. Ale teraz, kiedy był taki zmęczony, doszedł do wniosku, że to zły pomysł. Może Skalska podkabluję go Grossowi i wyjdzie na to, że Stefański nie dość, że zawałił z koszulą, to jeszcze nie przyłożył się do swojej pierwszej roboty.

Odrzucił połączenie i wyciszył aparat.



Dzięki koleżance ze szkoły, która pracowała jako pielęgniarka, Monika Skalska bez problemu

trafiła do sali, na której leżał pacjent z fotodermatozą. Na wieszaku wisiała kroplówka, skąd płyn przezroczystym wężykiem trafiał do wenflonu na prawym przedramieniu mężczyzny. Dłonie chorego wciąż były opuchnięte i czerwone.

Ryszard Szamocki leżał sam, pozostałe dwa łóżka były puste, ale pomięta pościel i przybory do golenia na metalowych szafkach świadczyły o tym, że pozostali pacjenci mogli tu wrócić w każdej chwili.

Skalska zatrzymała się w progu i oparła ręce na futrynie.

– Dzień dobry – powiedziała.

Mężczyzna rozpoznał ją i bez słowa odwrócił się do okna.

– Chciałam pana przeprosić. Nie wiedziałam, że cierpi pan na takie... – Szukała odpowiedniego słowa. – Schorzenie. A może raczej uczulenie.

Aspirantka weszła w głąb sali.

– Wie pan, dlaczego do pana podeszłam?

– Nie. Nie wiem. I mało mnie to, szczerze mówiąc, obchodzi – odpowiedział mężczyzna.

– Chodzi o to, co się zdarzyło na płatnej.

– To wszystko wyjaśnia – odparł Szamocki. – Rozumiem, że zatrzymujecie każdą osobę, która pojawi się na cyplu, tak? I każdemu wykręcacie rękę i rzucacie go na ziemię, tak?

– Szukamy sprawcy tamtej tragedii – usprawiedliwiała się Skalska. – I oczywiście, ma pan rację. Nie powinienem była niepokoić pana w taki sposób.

– I co mi teraz z tego? – Najeżył się.

– Ma pan prawo wnieść na mnie skargę...

– Wiem, jakie mam prawo, szanowna pani – przerwał jej. – Zrobię, co uznam za stosowne.

Skalska spojrzała na przystojnego mężczyznę wyróżniającego się niezwykle jasną karnacją skóry i jaskrawo błękitnymi oczami. Twarz posmarował grubą warstwą kremu z filtrem, który stał na szafce. Policjantce wydawało się, że rozmawia z aktorem przygotowującym się do jakiejś dziwnej roli.

Podeszła do drzwi i zamknęła je, a następnie stanęła przy jego łóżku. Przysunęła sobie krzesło i usiadła. Z kieszeni wyjęła notatnik.

– Co pani robi? – spytał zaniepokojony Szamocki.

– Bez względu na to, co się stało, chciałabym z panem chwilę porozmawiać.

– O czym?

– O sobotnim wieczorze. Gdzie pan wtedy był?

– A! Czyli jednak nadal jestem podejrzany, tak? – zezłościł się.

– Nie – zapewniła. – Ale może jest pan świadkiem. Widział pan coś tamtego wieczoru?

Szamocki spojrzał w sufit i skapitulował.

– Byłem na spacerze. Jak zazwyczaj zresztą. Staram się unikać słońca, ale wieczorami, w trakcie zachodu, na ścieżce od płatnej w stronę Kuchni jest już dużo cienia.

– Był pan tam wtedy?

Pokiwał głową.

– W jakich godzinach?

– Nie wiem, wyszedłem przed dziewiętnastą, a wróciłem chyba przed północą.

– Co pan tam robił tak długo?

– Spacerowałem nad jeziorem. Zazwyczaj całe dni przesiaduję w domu. Jestem programistą, pracuję zdalnie. Od wielu lat mam własną firmę. Poświęcam pracy całe swoje życie, ale czasami, żeby nie zwariować, po prostu muszę wyjść z domu. Poza tym amatorsko zajmuję się fotografowaniem przyrody. Wtedy też miałem ze sobą aparat, żeby przetestować niektóre ustawienia.

– Wówczas na plaży płatnej doszło do tragicznego zdarzenia: napaści lub zabójstwa.

– Zabójstwa? – powtórzył.

– Czy widział pan tamtego wieczoru cokolwiek, co wydało się panu dziwne?

– Na przykład kogoś ubranego tak jak ja? – zażartował.

Skalska nie uśmiechnęła się i nie odezwała.

– Nie, nic nie widziałem. – Szamocki pokręcił głową, a potem poprawił poduszkę.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i do sali wszedł łysiejący około pięćdziesięcioletni niski mężczyzna.

– Może pan poczekać na korytarzu? – spytała Skałka.

– A to niby czemu? Mam zamiar się położyć. – Pacjent położył reklamówkę z zakupami na łóżku.

– Policja, aspirant sztabowa Monika Skalska. – Wyjęła blachę i skierowała w stronę nieznanego. – Prowadzę ważne czynności, a przeszkadzanie policji, jak pan zapewne wie, jest karalne.

– A to insza inszość. Już mnie nie ma – zapewnił, unosząc dłonie w geście poddania. – Tylko kubeczek zabiorę – powiedział i podszedł do szafki. Wrzucił do kubka torebkę herbaty i zniknął za drzwiami, zamykając je cicho.

– Czyli nic pan nie widział, tak? – Skałka spojrzała na rozmówcę i zrobiła odpowiedni zapis w notesie.

– Nic, co ma związek z tamtą sprawą, jak sędzę.

Policjantka wsunęła końcówkę długopisu do ust.

– A cokolwiek innego?

– Nie wydaje mi się, by takie sprawy panią interesowały.

– Niech pan zaryzykuje.

Westchnął.

– Dokuczanie, wyzwiska, czasami ordynarne zachowania.

– Artykuł dwieście siódmy Kodeksu karnego – odpowiedziała bez namysłu.

– Czyli?

– Znęcanie się.

– Nie, to chyba zbyt mocne określenie.

– Niech pan powie, o co chodzi. Domyślam się, że o pana odmienność, tak? Mam na myśli ubiór.

– Gdy szedłem kiedyś do sklepu, usłyszałem, że we wsi przezywają mnie Draculą – zaczął. – Ale nie w tym rzecz. Dracula brzmi jak komplement. Niestety, trafiło się kilku młodych, mocnych w gębie, ale niegroźnych patafianów, którym się wydaje, że plaża płatna jest ich własnością. Terroryzują mieszkańców swoim zachowaniem, są głośni i wulgarni. Zwróciłem im kilka razy uwagę, to o mało nie doszło do bijatyki, ale nie jestem wymoczkim, więc odpuścili.

– Kiedy się to stało?

– W minioną sobotę osiągnęliśmy apogeum. Najpierw zauważyli mnie z jeziora, kiedy pływali na rowerze wodnym. Puścili kilka wiązanek, w moją stronę poleciała też pusta butelka po piwie. Wpadła między drzewa, pewnie jeszcze ją tam pani znajdzie.

Skalska przestała notować.

– A potem? – spytała.

– Dobili do brzegu i zaczęli się awanturować na plaży. Wypili za dużo, zabrali piłkę jakiemuś dzieciakowi. Chłopczyk był z babcią, która najpierw się oburzyła, ale zwyzywali ją, więc ze strachu zabrała płaczącego dzieciaka i chciała odejść. Poprosiłem, by poczekała. Odebrałem piłkę i oddałem ją chłopcu, a oni na mnie naskoczyli. Rzucili parę wyzwisk i pewnie liczyli na to, że zaczną uciekać. Ale czekałem spokojnie. Jednemu, temu najbardziej agresywnemu, dałem z liścia, a kiedy się odwrócił, zasadziłem kopa i opadł bez sił. Pozostali stracili animusz, ale odgrażali się, że mi kości połamią, że wrócą, że każdego dnia tu przychodzą i to ich plaża. Wie pani, takie tam głupoty. Kiedy się jest pijanym, to wchodzi się w buty Arnolda Schwarzeneggera.

– Poinformował pan policję? – spytała aspirantka.

– Nie, bo do niczego nie doszło. Poza tym nie widziałem powodu, żeby zatruwać wam życie.

– Odeszli?

– Nie wiem, ale ja się zabrałem, bo chciałem porobić zdjęcia. No i tego wieczoru już ich nie

spotkałem.

– Zostali na płatnej?

– Nie umiem powiedzieć.

– Widywał ich pan jeszcze w kolejnych dniach?

– Tak, pojawiali się, ale już nie wchodziliśmy sobie w drogę. Ja nadal krążyłem wieczorami po ścieżce od plaży w stronę mojej wsi, korzystając z cienia. Przestałem się nimi interesować.

– Wróćmy na chwilę do tej młodzieży. Chodzi o czwórkę chłopaków? Wydepilowane torsy, sześciopaki na brzuchu, modne fryzury?

– Dokładnie, ale z pewną różnicą.

– Jaką?

– W sobotę było ich czterech, ale jeden był starszy od pozostałych.

– Dużo starszy? – zaciekała się Skalka.

– Mógł mieć ze trzydzieści lat. Tak się nosił, jakby był ich szefem. Wyraźnie im imponował...

– Zapamiętał go pan? Miał jakieś znaki szczególne? Cokolwiek?

– Kilka tatuaży na łydkach i ramionach. Ale kto ich dziś nie ma, nie?

– Ci młodzi nie mieli.

– To prawda, oni nie.

Skalka przewertowała swój notes, aż do zapisków z rozmowy z Michałem Bąkiem, który wezwał na miejsce zdarzenia komisarza Grossa. Rozmawiała z nim następnego dnia, ale facet nie wzbudził w niej żadnych podejrzeń.

– Zaraz – powiedziała, jakby nagle coś przyszło jej do głowy. – Powiedział pan, że tego dnia było tylko trzech młodych, czy tak?

– Tak. Zazwyczaj łazili we czwórkę, z takim jednym, co mi wyglądał na prowodyra. Ale w tamtą sobotę go nie widziałem.

– Zapamiętał pan jego wygląd?

– Trudno byłoby nie zapamiętać. Modniś i piękniś w jednym.

– To znaczy?

– Taki podgolony blondyn z długą grzywą opadającą na oczy.



Szum.

Szum był pierwszym dźwiękiem, który obudził Stefańskiego. Potem był daleki grzmot, jakby gdzieś tarły o siebie kamienie, a następnie natarczywe, ale niezbyt głośne pukanie do drzwi.

Stefański zerwał się do siadu i przetarł oczy. Od razu zakręciło mu się w głowie. Zerknął przez otwarte okno na korony drzew, które przesłaniał rześisty deszcz. Siekł z ukosa i niósł jednostajny, miarowy szmer.

– Już, już! – krzyknął.

Wyjął z plecaka teczkę i rozłożył papiery na okrągłym stoliku przy dwóch fotelach. Zapalił światło, bo na zewnątrz już szarzało. Przejrzał się jeszcze szybko w lustrze, które wisiało przy drzwiach, i zobaczył w nim zmęczonego życiem, zaspanego człowieka z potarganymi włosami. Przyklepał je ręką, a następnie, zmrużywszy oczy, żeby ukryć senność, przekręcił klucz.

Na korytarzu stał drwal.

– Przyjechali – powiedział cicho. – Najpierw rozpakowali się w domku, a teraz wszyscy siedzą w świetlicy.

– Gdzie to jest? – Stefański oparł ręce na biodrach.

– W piwnicy. – Szydłowski wskazał palcem na podłogę.
– Dobra, zaraz tam zejść. – Aspirant zerknął w głąb pokoju. – Skończę jedną sprawę i już idę.
– Podrzucę im trochę polan i powiem, żeby sobie napalili w kominku, to może zostaną tam na dłużej, nie?

Stefański uniósł kciuk, a Szydłowski zasalutował po amerykańsku do bejsbolówki.

Policjant zamknął drzwi. Wszedł do łazienki i obmył twarz zimną wodą. Poklepał się po policzkach. Zmoczył nawet włosy i przetarł je ręcznikiem. Usiadł na krześle i wziął do ręki telefon. Miał dwa nieodebrane połączenia od Skalskiej. Z niechęcią oddzwonił, ale odczekał tylko do czterech sygnałów, po czym się rozłączył. Spakował plecak, zamknął okno i wyszedł z pokoju.

Zszedł po wyłożonych wykładziną schodach na parter, a blondynka, siostrzenica Szydłowskiego, wskazała mu schody do piwnicy. Skinął głową i udał się w tamtą stronę. Światło zapaliło się na klatce schodowej automatycznie, a on usłyszał gwar rozmów. Zbliżywszy się do drzwi, zza których dobiegały śmiechy i jakiś nierównomierny stukot, Stefański przystanął na chwilę i nasłuchiwał dalej.

„Okej, grają w piłkarzyki”, pomyślał i nacisnął klamkę.

Początkowo nikt go nie zauważył.

Stefański schylił się i zrobił krok naprzód. Piwnica okazała się niska, a obszerną wyłożoną boazerią świetlicę dzieliły dwa rzędy filarów. Przyklejono do nich lustra. Z kolei na ścianach między wąskimi oknami rozwieszono były fotosy starych, świetnie utrzymanych samochodów. Karoserie lśniły, chromy błyszcząły. Stefański rzucił okiem w stronę dużej narożnej kanapy ustawionej przed kominkiem, w którym ogień osaczał świeże polana. W blasku płomieni siedziało kilka osób, w tym jedna dziewczyna.

Dwóch chłopaków pochylało się nad stołem do piłkarzyków. Kulka mocno uderzała o boki drewnianej skrzyni. Głuchy odgłos był wyjątkowo nieprzyjemny. Po jednej i drugiej stronie dużego stołu, tam, gdzie znajdowały się bramki, stały butelki z piwem.

– Ej, kurwa, jaka akcja! Widziałeś? – krzyknął rozentuzjasmowany chuderlak bez koszulki. – Jebany, prawie by strzelił!

– Krzywe giry ma, to poszło w pizdu, a nie w bramkę. – Zaśmiał się drugi.

– Taa, chyba, kurwa, ty!

– Nie pierdol, tylko graj, bo ci najebię do zera.

Stefański chrząknął głośno.

– Dzień dobry – powiedział, a kilka osób spojrzało w jego stronę.

Przedstawił się i wyjaśnił, po co przyjechał.

Siedząca na sofie dziewczyna zerknęła na chłopaków, po czym się poprawiła i usiadła prosto.

– Chciałbym pogadać z wami o Patrycji Szwed. Znaacie ją, prawda? Była tutaj.

Pokiwali głowami.

– A o co chodzi? – spytał chłopak o długich włosach, który przytulał dziewczynę.

– Zaginęła. Miała być z wami, ale jej nie ma. Matka się martwi. – Stefański podszedł bliżej. Przysunął sobie krzesło, ale zanim usiadł na nim okrakiem, kiwnął na chłopaków, którzy przerwali mecz. – Panowie, chodźcie na chwilę, pogadamy i nie będę wam już więcej przeszkadzał.

Chuderlak wziął piwo ze sobą, podszedł i oparł się o ścianę. Drugi się ociągał, ale w końcu zrobił to samo.

– Gdzie ona jest? – spytał Stefański i sięgnął do teczki po zdjęcie Patrycji.

Najpierw sam się jej przyjrzał, dając im czas na zebranie myśli, a potem odwrócił fotkę w ich stronę i wolno przesuwał ręką, tak by wszyscy zdążyli popatrzeć. Jednocześnie Stefański obserwował ich reakcje. Kiedy zwrócił zdjęcie w stronę krótkowłosej szatynki, ta spuściła wzrok.

– Żarty się skończyły, moi drodzy. Kawa na ławę, bo inaczej ściągniemy was wszystkich do komisariatu, a że młodzi jesteście, w dorosłość dopiero wstąpiliście, to mam nadzieję, że nie chcecie sobie wysmarować gównem życiorysów, prawda? – stwierdził i skrzyżował ramiona na oparciu krzesła.

Znowu zapadła cisza.

– Ty. – Stefański zmrużył oczy i wskazał na dziewczynę.

Spojrzała na niego, ale nie odezwała się ani słowem.

Drewno trzaskało w kominku, a gorące spaliny furkotały, znikając w kominie.

– Powiedz mi, gdzie jest Patrycja Szwed – poprosił spokojnie, nieco flegmatycznie Stefański. – To twoja koleżanka. Chciałbym jej pomóc. I ty też możesz, tylko musimy sobie zaufać.

Denerwowała się. Widział to. Postanowił odpuścić i uderzyć w kogoś innego.

– Ty. – Tym razem Stefański strzelił z palca do długowłosego.

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami.

– A w którym domku mieszkasz, chłopcze?

– Mam już osiemnaście lat. I nie przypominam sobie, żebyśmy byli na ty.

Stefański zarechotał.

– W którym, synku? – powołał pytanie i zrugął się w duchu za to, że zamiast zyskać przychylność chłopaka, tylko go rozjuszy.

– W czwórce – warknął.

Stefański uśmiechnął się krzywo.

– No i dobrze. Czyli tam, gdzie mieszkała Patrycja, prawda?

Chłopak milczał.

– Nie pogrywajcie ze mną. Liczę do pięciu, a potem stąd odjadę i taryfa ulgowa się skończy. Raz, dwa, trzy... – Stefański liczył wolno, ale i tak się zatrzymał. Rozejrzał się. – Cztery.

– Gównu w życiorysach – przypomniał, ale nie zareagowali. – No to pięć.

Wstał i podniósł plecak z podłogi.

– Zaczniście się pakować. Rano widzę się z wami w komisariacie – stwierdził.

– Musi mieć pan nakaz – powiedział długowłosey.

– Chuja tam, a nie nakaz, głupcze! Jutro zapakujemy was w suki i przywieziemy do Chełmży! Jeszcze, kurwa, popamiętasz, gdy się tobą zajmę na dołku! – wrzasnął Stefański i wyszedł na korytarz.

Na zewnątrz deszcz siąpił nadal. Stefański skulił się i pobiegł w stronę samochodu. Otworzył drzwi i wszedł. Uruchomił wóz, ale jeszcze nie wrzucił wstecznego, przełączył wycieraczki, by zgarnęły wodę z przedniej szyby. Czekał, spoglądając na drzwi wejściowe do „Sarny”. Liczył, że ta krótkowłosa pinda narobi w gacie ze strachu i przyleci tu za nim. Wypaple wszystko z płaczem, powie, gdzie szukać tej całej cholernej Szwedówny, i wszystko się wreszcie skończy, a on pojedzie na ten pierdolony urlop do tej pierdolonej Turcji.

– Ożeż kurwa mać! Chodź tu, pizdo jedna! – krzyknął przy wtórce deszczu bębniącego w dach.

Ale nic takiego się nie wydarzyło. Chmury przesuwają się majestatycznie po niebie, chłostane deszczem kałuże marszczyły się i wzbierały w nierównościach drogi. Szyby parowały.

Stefański wycofał auto i ostatni raz obrzucił spojrzeniem główny budynek ośrodka. Odjechał ze sto metrów po nierównej gruntowej drodze, po czym nagle zahamował.

– Ja pierdole!

Zawrócił na dwa razy i znów stanął przed bramą „Sarny”.

W świetle reflektorów krople deszczu wyglądały tak samo jak długie i grube kreski w filmach rysunkowych. Stefański wyskoczył z wozu i pobiegł w stronę wejścia. Szarpnął drzwi, za którymi stała wystraszona dziewczyna.

– Proszę pana... – zaczęła.

– Już za późno. Do zobaczenia w komisariacie – warknął i wyminął ją. Poszedł do recepcji i oparł się o kontuar.

Blondynka oderwała wzrok od monitora, na którym wyświetlały się sukienki z Allegro. Głównie mała czarna.

– Nad bramą jest kamera – stwierdził.

– No tak, monitorujemy ośrodek. Mamy odpowiednie tabliczki i informacje.

– W dupie mam wasze tabliczki. Chcę przejrzeć nagrania. Wołaj wujka!

Stefański celowo odwrócił się do koleżanki Patrycji Szwed. Chciał jej pokazać, że teraz piłka jest po jego stronie. Ale laski już tam nie było.

Blondynka sięgnęła po komórkę, wybrała numer i przyłożyła ją do ucha.

– Wujek, bo pan z policji chce przejrzeć nagrania z monitoringu... Dobrze... To chodź tutaj, proszę... No dobrze, pa. – Dziewczyna spojrzała bojaźliwie na Stefańskiego. – Niech pan zaczeka, wujek zaraz przyjdzie.

Stefański odsunął się od lady, ale nie zamierzał rozsiadać się w fotelu ustawionym w holu przy schodach na piętro. Dreptał tam i z powrotem, aż w końcu w drzwiach pojawił się Szydłowski. Drwal podszedł do policjanta i uśmiechnął się krzywo.

– Cholera, widać od razu, że z pana to rasowy detektyw, bo ja, kurczę, całkowicie zapomniałem o monitoringu. Tak dawno nic się tu nie działo, że kompletnie mi to wypadło z głowy. – Zwrócił się do blondynki: – Asiulka, daj mi kluczyk do kantorka, co? Tylko szybko, bo panu się spieszy.

– Spokojnie. Właśnie się okazało, że mam jeszcze sporo czasu. A jeśli trzeba, to zostaną nawet do jutra. – Stefański uśmiechnął się sztucznie.



Kiedy Gross wchodził do Gospody Przy Piecu na Sikorskiego, głównej ulicy chełmżyńskiej starówki, deszcz rozpadał się na dobre. Tłukł o płyty chodnika i spływał strugami po witrynach. Ulica natychmiast opustoszała, a bruk błyszczał jak wyglansowany.

Zamknąwszy za sobą drzwi, odciął się od szumu ulewy, który zastąpiła dyskretna muzyka. Rozejrzał się i wybrał wolny stolik po prawej, przy samym oknie. Usiadł tak, by mieć na oku wejście do lokalu. Zawsze tak robił, stare policyjne przyzwyczajenie.

Kelnerkę, która do niego podeszła, poprosił o chwilę cierpliwości. Wyjaśnił, że czeka na kogoś. Dziewczyna się uśmiechnęła i wróciła za bar.

W utrzymanej we włoskim stylu restauracji kilka tygodni temu wspólnie z Malwiną Lemańską zjedli obiad. To ona zaprosiła go na pierogi, do których zamówili czerwony barszcz. Na deser bibliotekarka poprosiła o puchar lodowy, a Gross pił czarną herbatę. Wtedy też tak padało. Starał się przypomnieć sobie, o czym wówczas rozmawiali. O książce. Opowiadała mu o niej, o żołnierzu, weteranie wojny w Iraku, który skończył służbę i wrócił do ojczyzny z zespołem stresu pourazowego. Trafił do Nowego Jorku i spotkał tam nielegalną imigrantkę, Chinę. Gross pamiętał, jak Lemańska ciepło opowiadała o ich trudnej relacji, miłości skazanej na ból, przesiąkniętej traumami, które oboje przeżyli w zupełnie innych światach. O ich tęsknocie za prawdziwym uczuciem.

– *Następne życie* – dodała Malwina.

– Co masz na myśli? – zainteresował się wtedy Gross.

– Taki tytuł. *Następne życie* – powtórzyła, a łyżka z lodami zniknęła w jej roześmianych ustach.

– Jest coś takiego jak następne życie? – spytał.

Wzruszyła ramionami.

– Może to coś, do czego próbujemy dążyć, takie nasze skryte pragnienie. Przecież często sobie powtarzamy, że zaczniemy coś od poniedziałku, od przyszłego miesiąca albo na emeryturze, jakbyśmy wtedy mieli właśnie dostać następne życie. Ale tak naprawdę chcielibyśmy robić to już teraz.

– Tylko... – zachęcił ją do rozwinięcia wypowiedzi.

– Tylko czasami nie sprzyjają nam okoliczności, a czasami zwyczajnie boimy się zmiany. – Spojrzała w bok, a on mógł podziwiać jej profil, prosty długi nos, pod którym rysowała się atrakcyjna

wypukłość czerwonych warg.

– W takim razie w naszym oprogramowaniu – postukał się w głowę – musi być jakaś wada.

Odwróciła się do niego i długo patrzyli na siebie. Gross spoglądał na jej gładkie dłonie i długie palce z pomalowanymi, błyszczącymi paznokciami. Miała na sobie letnią sukienkę, w kwieciste wzory, długą do stóp, które wsunęła w żółte sandały na płaskiej podeszwie.

– Nie nazwałabym tego wadą. Po prostu w naszym oprogramowaniu działa przyjazny wirus.

– Przyjazny?

– Tak.

– Co masz na myśli?

– Pokusę – stwierdziła i nabrała na łyżeczkę ostatnią porcję lodów. Kiedy rozpuściły się w jej ustach, oblizwała wargi. – I to przez nią właśnie, przez pokusę, całe nasze życie sprowadza się do funkcjonowania między pragnieniem a rozważą.

Skrzypnięcie otwieranych drzwi i narastający szum deszczu wyrwały Grossa z miłych wspomnień.

Brandol wszedł do restauracji i się rozejrzał.

– Tu jesteś – powiedział i podszedł, strząsając z parasola na podłogę krople deszczu, które zostawiły na niej owalne, błyszczące plamy.

Podkomisarz usiadł na krześle naprzeciwko Grossa.

– Prosiłem, żebyś mi nie przeszkadzał – wymamrotał Brandol, wyraźnie niezadowolony, że zgodził się tu przyjść. – Czego ode mnie oczekujesz?

Gross przywołał gestem kelnerkę i poprosił o herbatę. Brandol nie zamówił niczego.

– Chciałem porozmawiać o sprawie Krystyny Palacz.

Brandol wydał wargi, a potem złożył dłonie w piramidkę. Jego palce wyglądały jak kruche patyki. Grossowi wydawało się, że podkomisarz schudł jeszcze bardziej.

– Mówiłem ci już, że nie wiem nic więcej ponad to, co jest w papierach. Sprawdziłeś wszystko?

Gross kiwnął głową.

– No to wiemy już tyle samo – stwierdził Brandol.

– Obawiam się, że wciąż wiem za mało.

– Jak my wszyscy w tej sprawie. I to od lat. Ale nie przejmuj się. Pewnych spraw nie da się rozwiązać.

– Niby tak. – Gross napił się herbaty. – Odwiedziłem ostatnio Bożenę Zubę.

Gross umilkł. Brandol podrapał się po przedramieniu.

– Rozmawiałem z nią o zaginionej – kontynuował komisarz.

– No i? – Brandol się niecierpliwił.

– Przede wszystkim chciałem ci pogratulować – zaczął pojednawczo Gross.

– Czego?

– Świetna robota z tym polonezem.

Brandol jak zawsze zachowywał rezerwę.

– Co masz na myśli? – spytał.

– Milicjanci się spisali, przetrzepali wszystkie polonezy w trzech dawnych województwach.

Poszedłeś tym samym tropem.

– Ale nic to nie dało. Każdy, kto znał papiery, popełniał te same błędy.

– Błędy?

– Przeanalizowałem te polonezy wzdłuż i wszerz, szukając pomyłki we wcześniejszej weryfikacji. Ale nie znalazłem niczego, co by na to wskazywało. Koledzy odwalili kawał dobrej roboty, a ja zmarnowałem czas, żeby to potwierdzić.

– Gdybyś wtedy tego nie zrobił, musiałbym sam się tym zająć. Niestety, po tylu latach byłbym skazany na porażkę.

– Ale nie spotkaliśmy się po to, żeby rozmawiać o starych samochodach, co?

Gross potwierdził.

– Jak już wspomniałem, odwiedziłem Bożenę Zubę. Podobno słyszała kłótnię dwóch mężczyzn w domu Palaczów tuż przed imieninami. Wiesz coś na ten temat?

– Nie pamiętam, to było tak dawno.

– Przeglądałeś teczkę, zanim mi ją przekazałeś – przypomniał mu Gross.

– Nie wczytywałem się we wszystko, nie starczyło mi czasu.

– W takim razie czego w niej szukałeś?

– Nie wiem. Po prostu przeglądałem papiery. Nie pierwszy raz. Wiesz, jak jest. Wracasz do sprawy i z każdym dokumentem wracają też wspomnienia. I tak było tym razem, nie szukałem niczego konkretnego.

– Ale przypomniałeś sobie cokolwiek? Tateczka leżała na wierzchu tych, które mi przekazałeś.

– Gross był przekonany, że tak właśnie było.

– Nie – zapewnił. – A już zdecydowanie nie w sprawie jakiejś kłótni.

– Rozumiem. A czy rozmawiałeś z Bożeną Zubą o zaginięciu Krystyny Palacz?

– Och, wielokrotnie.

Komisarz pokiwał głową.

– Nie ma jednak śladu po tych rozmowach – stwierdził, sięgając po herbatę.

– Rozmawialiśmy o tym wiele razy, jeszcze zanim wstąpiłem do służby. – Brandol uśmiechnął się triumfująco. – Pamiętaj, że od zaginięcia Palaczowej upłynęły trzy dekady. Kiedy się to stało, byłem nastolatkiem, tak jak ty.

– Bożena Zuba też – zaznaczył Gross.

– Była trochę starsza ode mnie, ale znaliśmy się z chóru.

– Wspomniała o tym. – Gross odstawił filiżankę. – Dodała także, że kiedy przejąłeś sprawę, nie rozmawiałeś z nią, tylko z jej rodzicami.

– No i co z tego? Bożena nie miała nic ciekawego do powiedzenia. Kiedy rozmawialiśmy o zaginięciu Palaczowej, byliśmy dziećmi, snuliśmy niestworzone historie. Bzdury wysane z palca. Chciałbyś, żebym po latach zrobił z tego notatkę?

Gross się nie odezwał. Z głośników popłynął amerykański swing rozpoczynający się partią pianina, do którego po chwili dołączyły delikatna perkusja i reszta instrumentów, w tym smyczki. Komisarz kojarzył chropowaty głos, widział w wyobraźni trójkątną twarz starego już piosenkarza i sterzące posiwiałe włosy z grzywką opadającą na czoło.

– Niestworzone historie? – Zainteresował się po chwili. – Jakie na przykład?

– Chryste panie, nie wiem! Jakie to ma znaczenie? Byliśmy dziećmi!

– Kiedy zostałeś już policjantem i przejąłeś sprawę Palaczowej, nigdy nie pomyślałeś, żeby zweryfikować to, co wtedy mówiła Bożena Zuba?

– Zwariowałeś? – Grymas złości wykrzywił twarz Mumii. – Tłumaczę ci, że byliśmy młodzi. Opowiadaliśmy sobie pierdoły niemające nic wspólnego z rzeczywistością. Gadaliśmy o porwaniu przez UFO, o eksperymentach na ludziach, rozumiesz?

– A o tej kłótni dwóch mężczyzn nigdy ci nie opowiadała?

– Daj spokój. – Brandol podniósł się z twardego krzesła. – Na mnie już czas.

– Jeszcze chwila – poprosił Gross. – Ostatnia sprawa.

– Co tym razem?

– W tych aktach nie ma też ani słowa o bracie Bożeny, Tadeuszu Zubie.

Brandol popatrzył na ulicę, a potem pokręcił głową z niedowierzaniem.

Świat za oknami, po których spływał deszcz, tracił kontury, rozmywał się. Zupełnie jak fotografia pozbawiona ostrości.

– O Tadziku? – zdziwił się Brandol. – A niby co takiego miałyby o nim być?

– Znasz jego przeszłość?

– Oczywiście, że znam.

– Dlaczego nikt go nie sprawdził?

– Nie zapominaj o jednym. – Brandol nachylił się nad błyszczącym blatem. – Tadzik od lat jest

ubezwłasnowolniony.

– A co to ma do rzeczy?

– Jest niedorozwinięty.

– No i?

– Wyobrażasz sobie, że chłop o umyśle kilkulatka zabija kobietę i jej dziecko, a potem jest na tyle sprytny, żeby ukryć ciała obojga? I to tak, że ani policja, ani ktokolwiek inny nie znalazłby tego miejsca przez lata?

– Nie mówię o tym. Mówię, że nie ma słowa o Tadeuszu Zubie w aktach. Nie wiadomo, co robił w chwili zaginięcia Krystyny Palacz i jej dziecka. Mówię o podstawach policyjnych procedur.

– Chyba milicyjnych – prychnął Brandol i znów zerknął przez okno na skąpaną w deszczu ulicę.

– Policyjnych również. Bo w końcu ta sprawa trafiła też do ciebie.

– Zarzucasz mi niekompetencję? – warknął Brandol.

– Stwierdzam tylko fakty. Papiery nie są kompletne.

Podkomisarz patrzył na Grossa spode łba.

– To je sobie skompletuj, psiakrew, jak jesteś taki mądry! – Oparł pięści na blacie. – I zostaw mnie w spokoju!

– Mam do tego dodać to, co Tadeusz Zuba zrobił Magdalenie Palacz?

Brandol zmrużył oczy.

– A jaki to ma związek ze sprawą? – spytał.

– Ty mi powiedz. A może chodziło o to, że znasz się z Bożeną Zubą, co? – Gross napił się herbaty.

– A co to niby ma znaczyć, co? Co to za idiotyczne insynuacje, do cholery?

– Po prostu pytam.

– A ja sobie nie życzę! – warknął.

Kropelki śliny wylądowały na stole obok dłoni Grossa.

– Odpowiesz czy nie?

Brandol oddychał płytko. Słysząc było syk powietrza uchodzącego z płuc.

– Wał się, komisarzu. – Mężczyzna odwrócił się i wyszedł na zewnątrz.

Gross obserwował, jak nie zważając na ulewę, podkomisarz zmierzał w stronę Rynku.

Policjant patrzył przez okno, kiedy nagle zadzwoniła jego komórka.

– Halo? – Odebrał.

– Tu Stefański – powiedział funkcjonariusz i zamilkł.

– Panie aspirancie? – zachęcił go Gross.

– Chyba coś mam.



– Pana dyrektora nie ma – odpowiedziała kobieta w dojrzałym wieku, ubrana w białą bluzkę z przyczepioną na piersi złotą plakietą z napisem „Joanna. W czym mogę pomóc?”.

W wyłożonej wiśniowym drewnem recepcji hotelu Kulmsee, który znajdował się w trzykondygnacyjnej kamienicy obok poczty przy Sikorskiego, siedziała sama. Za fotelem recepcjonistki wisiał szklany, podłużny panel z nocną panoramą Chełmży w pomarańczowym blasku lamp. Na drugiej ścianie znajdowało się kilka fotosów aktorów, którzy grali w kręconym w Chełmży serialu *Belfer*. Cielecka, Stuhr i Pieczyński. Skalska pamiętała, jak ubrana po cywilnemu, niczym turystka, krążyła w pobliżu planu filmowego, by dyskretnie zabezpieczać ekipę i sprzęt. Uważała, że

tym powinni się zająć wynajęci za pieniądze fachowcy, ale widocznie komenda wojewódzka miała inne zdanie. Nikt nie zaprotestował.

– Rozumiem – powiedziała policjantka, ale nie ruszyła się z miejsca. Wyciągnęła telefon i połączyła się z Rafałem Kwaśniewskim. Nie ściągnęła białej bejsbolówki.

– O, dobrze, że pan odebrał, panie dyrektorze. – Uśmiechnęła się do recepcjonistki, kiedy usłyszała w słuchawce głos dawnego kochanka.

– Cześć, a co ty tak oficjalnie?

– Jest pan u siebie w gabinecie? Bo stoję w recepcji, ale miła pani twierdzi, że dyrektora nie ma.

– Mogłaś mnie uprzedzić.

– Tak, musimy porozmawiać, panie dyrektorze. To ważne – kontynuowała Skalka, nie chcąc zdradzać obcej kobiecie charakteru swojej znajomości z jej szefem.

Zaśmiał się i rozłączył.

Skalska spojrzała na speszoną recepcjonistkę.

– Na tym stanowisku powinna pani lepiej kłamać – powiedziała, gdy szklane drzwi po prawej się otworzyły i stanął w nich dyrektor hotelu.

– Chodź – zaprosił ją energicznym gestem.

Poszła przodem prosto do jego gabinetu na końcu wąskiego korytarza.

Niewiele się tu zmieniło od jej ostatniej wizyty. Duże biurko, niemal puste, z kilkoma dokumentami w pobliżu klawiatury, stało pod oknem wychodzącym na parking i skromnie, ale gustownie urządzony ogród.

Skalska usiadła w jednym z foteli przy okrągłym stoliku ze szkła. Zamigotał płomień na ustawionej pośrodku grubej świecy, która uwalniała aromat kawy. Garść brązowych ziarenek zatopiono w stearynie.

Kwaśniewski usiadł naprzeciwko niej, w drugim fotelu, i złączył dłonie.

– Wiedziałem, że przyjdiesz, ale nie sądziłem, że tak szybko. – Z radości zaświeciły mu się oczy.

– Nie po to przyszłam – odparła i ściągnęła bejsbolówkę. Położyła ją sobie na kolanie i poprawiła frotkę, mocniej ściągając czarną kitę.

– Nie? – Wyglądał na zawiedzionego. – Myślałem, że...

– Źle myślałeś.

– Okej. – Poprawił kołnierz koszuli i przez jakiś czas przyglądał się swoim wypielęgowanym dłoniom. – W takim razie co cię sprowadza?

– Julek.

– Julek? – zdziwił się.

– Sam mówiłeś, że masz z nim kłopoty...

– Nie. Nie mówiłem, że mam kłopoty. Powiedziałem tylko, że gówniarz się gdzieś włóczy i czasami nie wraca na noc.

– Kiedy ostatni raz z nim rozmawiałeś?

Słońce przesłoniły gęste chmury, z których zaczął padać drobny deszcz. Ciche postukiwania o parapet przeszły w donośny szum. Kwaśniewski wstał, żeby zamknąć uchylone okno.

– Nie rozumiem.

– Kiedy poważnie z nim rozmawiałeś? – Skalka przeformułowała pytanie.

– Ale o czym?

Sięgnęła po notatnik. Przewertowała kilka kartek i znalazła niedawny zapis.

– Czy rozmawialiście po twojej wizycie u mnie?

– A jakie to ma znaczenie?

Skalka westchnęła.

– Nie utrudniaj. Po prostu odpowiadaj na moje pytania.

– Zaraz. – Kwaśniewski usiadł za biurkiem, jakby tam czuł się bezpieczniej. – O co chodzi?

Przesłuchujesz mnie?

- Wiesz, co się zdarzyło na płatnej?
- Cała Chełmża huczy o tym od soboty. Podobno zabójstwo, tak?

Skinęła głową.

- I serio nie macie ciała? – Skrzywił się.
- Nie mamy. To znaczy, jeszcze nie mamy.
- A zaginał ktoś? Podejrzewacie, kogo tam zabili? – spytał, moszcząc się w fotelu obrotowym.

Skalka przyglądała się jego odbiciu w blacie biurka. Widziała też wszystkie potowo-tłuszczowe ślady odbitek linii papilarnych, a dalej po lewej, nawet całej dłoni.

- Chodzi o to, że twój syn może mieć wkrótce kłopoty.
- Jak to, kurwa, kłopoty? – zaniepokoił się Kwaśniewski. – Przeskrobał coś?
- Spokojnie. Najpierw odpowiedz na moje pytania.
- Dobra. Dawaj – rzucił.

Tym razem Skalska wyjęła długopis i przygotowała się do robienia notatek.

- Gdzie twój syn był w sobotę wieczorem?

Dyrektor hotelu zastanawiał się przez chwilę.

– Czekał no. – Podrapał się po czole. – Najpierw był gdzieś z kolegami. Chyba płynęli rowerami wodnymi do Mirakowa.

- Skąd to wiesz?
- No... No, tak mi mówił. Pytasz, to odpowiadam.
- Kiedy ci to powiedział?

– W sobotę. Dzwoniłem do niego, chcieliśmy z żoną, żeby wpadł na kolację do domu. Robiła jego ulubione lasagne, musiałem wiedzieć, o której wróci.

- Przyjechał?

– No pewnie.

- O której?

– Przecież nie pamiętam dokładnie. – Sięgnął po telefon. – Poczekał, sprawdzę. – Długo przeciągał kciukiem po ekranie. – O, mam! Dzwoniłem do niego po osiemnastej, żeby był w domu przed dwudziestą.

- Zjadł i co dalej?

– Poszedł na górę. Komputer, konsola albo jakiś serial. – Mężczyzna rozłożył ręce. – Tak to pewnie wyglądało.

- Nigdzie już nie wychodził?

– Tego wieczoru?

- No tak, przecież o tym rozmawiamy – zirytowała się Skalska.

– Nie, no skąd. Absolutnie. Zresztą po dwunastej minąłem się z nim na korytarzu. Przybiliśmy piątkę na dobranoc, bo szedłem już do sypialni. Lidka spała od dobrych dwóch godzin. Położyłem się, ale jeszcze słyszałem szum prysznica w łazience. Potem Julek przeszedł do swojego pokoju i zgasił światło na korytarzu – relacjonował Kwaśniewski. – A rano, zanim wyszedłem do pracy, zajrzałem do niego. Spał jak suseł.

Skalka skończyła notować.

- Wiesz coś o kolegach, z którymi się spotyka?

– Nic szczególnego. Znam ich, bo to kumple z jego klasy maturalnej. Razem wpadają tu na siłownię. Chcesz ich nazwiska?

- Nie. Spisałam ich wcześniej. Masz tutaj siłownię?

– Spisałaś ich? Kiedy?

– Julka, dla ścisłości, też. Spotkałam ich kilka dni temu na płatnej – wyjaśniła. – Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Masz tu siłownię?

– Tak, w piwnicy. Dla gości. Ale generalnie do dwunastej pozwalam korzystać z niej chłopakom. Mają wyrobione karty, pokazują je na recepcji, biorą klucz i idą pomachać żelastwem. No

i tak sobie trenują już od roku.

Skalka wpatrywała się w mężczyznę i czekała, aż skończy.

– Podobno cała czwórka terroryzuje plażę płątną – powiedziała.

– Słucham? – Kwaśniewski zrobił minę, jakby nie wierzył w to, co słyszy.

– Piją, hałasują, awanturują się. Po prostu przeszkadzają innym.

– E, naprawdę? – powątpiewał. – Są jakieś oficjalne zgłoszenia?

– Teraz już tak.

– Serio?

– Serio.

– Dobra, pogadam z nimi, gdy tu wpadną. Z Julkiem, oczywiście, załatwię to jeszcze dziś.

Skalka ponownie spojrzała w swoje notatki i przewertowała kilka kartek.

– A mówi ci coś nazwisko Michał Bąk? – dodała, patrząc na Kwaśniewskiego.

– Pracował kiedyś u mnie, ale – mężczyzna mrugnął – nie nadawał się.

– To znaczy?

– Popijał w robocie, a tego nie lubię.

– Czym się zajmował?

– Sprzątaniem, drobnymi naprawami, konserwacją zieleni. Zna się też na elektryce i na wod-kanie. Generalnie bym na niego nie narzekał, gdyby nie to jego chłanie. Czuć było od niego wódą albo piwskiem. Dałem mu dwa ostrzeżenia, a potem musieliśmy się rozstać.

– Znał się z Julkiem i jego kolegami?

– Tak, kilka razy widziałem go z nimi na siłowni. Pokazywał im, co i jak mają ćwiczyć, rozpisывał jakieś plany treningowe, cuda niewidy. Miał na tym punkcie hopla, kupował czasopisma kulturystyczne. I może gdyby nie ten alkohol, to do czegoś by chłopina doszedł.

– A Julek?

– Co Julek?

– Lubił go? Dogadywali się?

– Raczej tak. Nie przeszkadzała mi ich znajomość, tym bardziej że Bąka nie zostawiłem tak całkiem na lodzie. Płacę mu regularnie grosze, żeby nadal ćwiczył z Julkiem. Kazał mi nawet kupić nowe urządzenie, jakiś atlas, no to kupiłem, niech ma. Syna mam jednego, nie żałuję na niego kasy. Lepsze ćwiczenia niż szwendanie się po ulicach, nie? – Kwaśniewski przetarł czoło. – Chociaż nie ukrywam, że Bąk jest sporo starszy od Julka i na początku niespecjalnie mi się podobało, że tak się razem trzymają. Głównie ze względu na to jego chłanie. Ale sam słyszałem, jak im zakazywał pić alkohol, bo twierdził, że źle wpływa na masę mięśniową.

– Ale oni piją.

– Oj tam, zaraz piją. – Kwaśniewski jęknął. – Nie powiem, piwko sobie chlapną, ale przynajmniej nie tykają ani wódy, ani dragów, ani tych cholernych dopalaczy.

– A w jakich godzinach trenuje Bąk? Tak jak młodzież?

– A co jest jutro? Sobota?

Potwierdziła.

– No to powinni się tu zejść o dziewiątej, Bąk nawet wcześniej. Jeśli chcesz z nim pogadać, to wpadnij po ósmej. Ale mogę dać ci do niego numer.

– Mam numer. Wolę przyjść niezapowiedziana. – Skalska schowała notes i wstała.

Podeszła do drzwi i się odwróciła.

– Jest jeszcze coś – stwierdziła. – Obawiam się, że twój chłopak kłamie.

– Jak to? – spytał. – Jak to kłamie? W czym?

– Porozmawiaj z Julkiem. Dobrze ci radzę.

– Ale dlaczego, do cholery?

– Mam świadka, który twierdzi, że Julka nie było w sobotę na plaży płątniej. Byli tam Bąk i trzech kolegów twojego syna. Ale jego samego nie było.

– Sądzisz, że mnie okłamał? Ale po co by to zrobił, co?

– Tego nie wiem. Mam tylko nadzieję, że nie zrobił niczego głupiego.
– Zaraz, zaraz. – Kwaśniewski podszedł do Skałki. – Myślisz, że Julek mógł mieć coś wspólnego z tym, co się stało na płatnej? Przecież ci tłumaczę, że w sobotę przez całą noc był w domu.
– Nie panikuj. Skoro nie było go na płatnej, to skreślam go z listy podejrzanych, ale sprawdź, dlaczego cię okłamał. Dobrze radzę. – Skałka spojrzała Rafałowi w oczy i dostrzegła w nich złość. Widocznie Kwaśniewski, jak każdy ojciec, nie lubił być oszukiwany przez własne dziecko. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i stanęła w nich żona Kwaśniewskiego.
– Dzień dobry, nie przeszkadzam? – spytała kobieta, poprawiając mokre, farbowane na siwo włosy. – Leje jak z cebra. – Uśmiechnęła się, wchodząc do środka. Podążyła Skalskiej rękę i się przedstawiła.
Policjantka rozpoznała ją od razu. Czasami mijały się na ulicy.
– Właśnie skończyliśmy – zapewnił żonę Kwaśniewski.
– To prawda. Dziękuję i do usłyszenia – pożegnała się Skałka. – Jeśli przypomni pan sobie coś jeszcze, proszę dać mi znać. Zna pan mój numer. – Skinęła głową żonie Kwaśniewskiego, włożyła bejsbolówkę i wyszła na korytarz.
Przeszła do foyer. Nie wyszła na zewnątrz tylko dlatego, że ulewa przybrała na sile. Recepcjonistka uśmiechnęła się do niej zdawkowo. Policjantka cofnęła się w róg pomieszczenia i usiadła w fotelu, żeby przeczekać deszcz. Wzięła do ręki ulotkę o Chełmży, potem toruński informator. Przejrzała je pobieżnie i odłożyła. Wtedy drzwi wejściowe się rozsunęły i do hotelu wszedł mężczyzna raczej szczupłej budowy, choć z pokaźnym brzuchem. Rękę w nadgarstku miał przewiązaną bandażem elastycznym.
Nie zauważył policjantki, skierował się prosto do recepcji.
– Jest u siebie? – spytał pracownicę hotelu, wskazując kciukiem na korytarz.
– Jest, ale żona przyszła.
Machnął zdrową ręką i ruszył sprężystym krokiem w kierunku gabinetu dyrektora.



Zanim ulewa ustała, Gross zdążył dojść do opustoszałego komisariatu i usiąść za biurkiem. Włączył komputer, zczekał chwilę, aż sprzęt się uruchomi, i się zalogował. Otworzył przeglądarkę, żeby znaleźć informacje o ośrodku „Sarna” nad Bachotkiem. Przejrzał stronę dokładnie, w szczególności zakładkę poświęconą ofercie ośrodka wypoczynkowego. Były w niej informacje o wynajęciu pokoi w głównym budynku, domków drewnianych lub miejsca na polu namiotowym i samych namiotów oraz miejsca dla kamperów z możliwością podłączenia prądu i wody.

Potem Gross wrócił myślami do rozmowy z aspirantem Stefańskim.

– Młódzież na razie milczy, jednak to kwestia czasu, rano wyciągnę z dzieciaków więcej, bo już im kolana miękna. Ale nie o tym chciałem mówić. – Stefański przedstawił Grossowi wszystko, czego się dowiedział, także to, że Patrycja Szwed przyjechała do ośrodka w sobotę w towarzystwie Cebulkiewicza, który miał tu wcześniej zarezerwowany pokój.

Komisarz czekał na konkrety.

– Kiedy wyjeżdżałem, coś mnie tknęło – entuzjazmował się Stefański. – Okazało się, że cały teren jest monitorowany. No, cały to może przesada, ale brama wjazdowa i wejście do budynku oraz recepcja – już tak. Przejrzałem więc sobie materiał wideo z soboty. I faktycznie, Szwed przyjechała do „Sarny” z Cebulkiewiczem. Weszli przez bramę o osiemnastej trzydzieści cztery.

– Czyli Bogusławski skłamał panu w żywe oczy.

– Niestety tak.

– Bywa. Niech pan kontynuuj.

– Spędzili jakiś czas na pokazach jeździeckich czy czymś takim. Potem Szwed, poproszona przez właściciela ośrodka, przyszła do recepcji zapłacić za pobyt. Było już późno, krótko po dwudziestej drugiej.

– Sama przyszła?

– Sama.

– A co się działo później?

– Niech pan słucha. No więc oboje wyjechali z ośrodka. Tuż po dwunastej przez bramę wybiega Szwed. Widać ją dokładnie, blond włosy, te same ciuchy, w których była o osiemnastej. Rozpoznałbym bez problemu.

– Wybiega?

– Tak. Padał deszcz. A potem wybiegł Cebulkiewicz. Dokładnie trzy minuty po niej.

– Wiadomo, gdzie byli do tej pory?

– Postaram się to ustalić, ale jej znajomi milczą. Coś ukrywają, to pewne. W każdym razie wydaje mi się, że oboje byli w jednym z domków, które wynajęła młodzież, albo w czwórce, albo w dziesiątce. Ale to jest, moim zdaniem, mało istotne. – Stefański nabrał powietrza. – Powiedziałem panu, że oboje wybiegli przed bramę, bo padało.

– No tak.

– Ale nie powiedziałem, że czekał na nich samochód.

– Skąd pan to wie? Widać go na filmie?

– Nie, ale widać łunę od reflektorów i to, jak zmienia się kąt jej padania, kiedy wóz przyjeżdża na miejsce i ustawia się przed bramą. No i po cieniach, które rzucają Szwed i Cebulkiewicz. A także po tym, jak snop światła się przemieszcza, gdy samochód odjeżdża.

– Ciekawe – zainteresował się Gross. – Czyli ktoś po nich przyjechał, tak? Tak to wyglądało?

– Oczywiście. – Stefański znowu nabrał powietrza. – I mało tego. Ten ktoś ich potem odwiózł.

– Słucham?

– Światła przed bramą pojawiają się ponownie, kiedy już dnieje i przestało padać. Dochodzi czwarta. Szwed wchodzi w kadr z lewej strony i spogląda w prawo, po czym biegnie truchtem przez bramę.

– Widać, jak jest ubrana?

– Tak, kurtka przeciwdeszczowa, spodnie dresowe i jakieś adidas.

– Ma zakrytą głowę?

– Głowę? – spytał Stefański. – A, już łapię! Chodzi panu o ewentualne rany głowy, tak? No więc nie ma ani czapki, ani kaptura, widać dokładnie całą jej głowę i twarz. Cebulkiewicza też rozpoznałem, ale tylko po stroju.

– Co to znaczy, że tylko po stroju?

– Gdy wracał do ośrodka, złapała go kamera wewnątrz budynku głównego. Nie widać twarzy, tylko plecy. No, to znaczy, całą postać widać od tyłu. Cebulkiewicz idzie wzdłuż korytarza, a potem wchodzi do pokoju, ostatniego po prawej. Na głowie ma kaptur.

– I ani przez moment nie widać jego twarzy?

– Niestety.

Gross milczał.

– Niech pan przejrzy pozostałe nagrania i pogada z młodymi, może coś zauważyli tamtego ranka.

– Jasne, tak zrobię – powiedział Stefański. – Gdy będę wiedział coś więcej, dam znać.

W słuchawce zapadła cisza.

– Dobra robota, Janusz – stwierdził po chwili Gross.

Aspiranta zatkało.

– Dziękuję, panie komisarzu.

– Mów mi Bernard. Tylko nie próbuj żadnych zдробnień, bo tego nie zniosę.

– Jasne, Bernardzie, o tym wie już cały komisariat. – Zachichotał Stefański. – Jeszcze raz dziękuję.

– Działaj.

– Po to tu jestem, co nie, szefie?

Gross ocknął się z zamyślenia, wydrukował kilka informacji ze strony ośrodka „Sarny” i spakował materiały do teczki. Pogasił światła i zamknął gabinet.

Wrócił do domu i na komodzie przy drzwiach wejściowych położył *Następne życie* Atticusa Lisha, książkę, którą z domowej biblioteczki wypożyczyła mu Malwina Lemańska. Postanowił przeczytać tę powieść żonie na głos, tak jak to robił zazwyczaj, gdy ją odwiedzał. Brakowało mu słów, by z nią rozmawiać, opowiadać, jak spędził dzień, co wydarzyło się w jego życiu. O czym miał jej mówić? O paśmie klęsk? O synu, który nie chce go znać? Zwyczajnie nie umiał się do tego przekonać. Dlatego po prostu czytał jej książki. Chociaż następnym razem powinien się przemóc. Powinien powiedzieć jej o Bartku, o tym, że całkowicie stracił z nim kontakt.

Przypomniał sobie, jak kiedyś, latem, Agnieszka leżała w łóżku w zaciemnionym pokoju tuż po tym, jak migrena zwolniła stalową opaskę na jej skroniach.

– Wciąż jesteś smutna – zauważył, gdy uśmiechnęła się do niego lekko, a chwilę później jej twarz ponownie przysłonił cień trosk.

Milczała.

Poprawiła koc, którym ją okrył, kiedy zasnęła z rozsypanymi na poduszce długimi blond włosami, w majtkach i jego T-shircie, zbyt obszernym na jej filigranowe ciało.

– Może masz rację. Bo tak sobie myślę, że... – Zawiesiła głos.

Gross usiadł na łóżku, tuż przy jej nogach. Pogładził ją po nagich, ciepłych udach.

– Że co?

Pokręciła głową.

– To tylko migrena – stwierdziła.

– Nie rozumiem?

– Czasami miewam czarne myśli. To przez migrenę.

Nie przestawał dotykać gładkiej i ciepłej skóry Agnieszki. Jego dłonie zjechały do jej gładkich stóp, które wyciągnął spod koca i oparł piętami o swoje udo. Ugniatał je i rozmasowywał.

Przygryzła wargę i kolejny raz zaprzeczyła.

– Wiesz, czasami chciałabym uciec.

– Od nas? – Uśmiechnął się lekko.

– Z wami – sprostowała. – Chodzi o to, że czasami się o ciebie martwię.

– O mnie? – zdziwił się.

– Tak.

Do pokoju wszedł Bartek, niosąc budowlę z klocków Lego, i spytał Agnieszkę, czy się jej podoba. Pocałowała go w głowę, a potem pogładziła po plecach.

– Piękna, skarbie. Wygląda jak pałac – odparła z uśmiechem. – Sam zrobiłeś czy tata ci pomagał?

Malec nie odrywał od niej wzroku.

– Sam!

– Zuch chłopiec. Postarałeś się – pochwaliła go.

– Dla ciebie zrobiłem. – Podał jej klocki. – Chciałabyś tam zamieszkać?

– Pewnie! – Przyjęła niewielką, kolorową budowlę i postawiła ją sobie na brzuchu.

Zadowolony syn wybiegł z pokoju. A potem jej uśmiech powoli gasł. Bezwiednie odłączyła czerwony klocek i przyczepiła go w innym miejscu.

– Czym się martwisz? – podjął Gross.

Obejrzała domek z każdej strony.

– Po prostu się boję, że mogłabym cię stracić. Ciebie i Bartka – przyznała i pociągnęła nosem. Zaszklily się jej oczy.

- Nie stracisz nas – zapewnił.
- Wiem. Wiem, ale nigdy nie znamy dnia i godziny. Jesteś policjantem – przypomniała.
- Nie myśl tak.

Pokiwała głową, ale widział, że walczy z płaczem.

- To przychodzi samo – jęknęła i zamrugła szybko.

Milczał, bo nie wiedział, co odpowiedzieć, a ona się rozpląkała. Szlochała cicho, tak by nie usłyszał jej syn bawiący się w pokoju obok.

- Boję się – wyznała.

- Po to jestem policjantem, żebyś nie musiała się bać – stwierdził.

Wspomnienia Grossa nagle zgasły. Komisarz poszedł do kuchni, gdzie przygotował sobie dwie kanapki z pasztetem. Przeżuwał je wolno, popijając ciepłą herbatą, którą ustawił na parapecie. Stał przy otwartym oknie i wsłuchiwał się w dźwięki kładącego się do snu miasta, zmęczonego upałem i czekającego na chłodniejszy oddech, na niosącą ulgę bryzę znad jeziora.

Kilku miłośników kąpieli pluskało się w jeziorze na plaży miejskiej przy „Mistralu”, spacerowicze przechodzili przez pomost, błyszcząca czerwienią łódka dobijała do pomostu przy „Włókniarzu”. Mężczyzna przycumował i wyszedł na brzeg, zabierając wiadro pełne wody i pokrowce z wędkami. Za nim wyskoczył pies.

Po odsłoniętych, wytatuowanych łydkach Gross rozpoznał w mężczyźnie Michała Bąka. Albo tylko się mu wydawało, że to on, bo nie widział jego twarzy, schowanej w cieniu szerokiego ronda letniego kapelusza.

Zadzwoił do Skalskiej

- Jestem, szefie. – Odebrała.

- Rozmawiałaś z Michałem Bąkiem?

- Planowałam zrobić to jutro. Z samego rana złapię go na siłowni.

- Dobrze. – Napił się herbaty.

- Chciałeś mi coś jeszcze powiedzieć czy dzwoniłeś tylko w sprawie Bąka?

– Nie wiem, co zrobimy z tą wiedzą, ale facet ma łódkę – odezwał się Gross. – Zwykłą czerwoną łódkę, którą wrócił właśnie z wędkowania. W sumie wygląda jak nowa.

- Okej – powiedziała Skalska, przeciągając ten wyraz, jakby chciała zapytać: „I co z tego?”.

- Porozmawiaj z nim, dobrze?

- Jasne. Jutro dam ci znać.

- Dobranoc – pożegnał się Gross.

Nie zdążył odłożyć telefonu, gdy ten się rozdzwoił.

Numer prywatny.

Zastanawiał się, czy odebrać. Muzyka wybrzmiewała, a on trzymał w dłoni aparat.

W końcu podjął decyzję.

- Halo? – powiedział.

Gross słyszał czyjś oddech, ale nie padło żadne słowo.

- Halo!

Znowu cisza przerywana jedynie oddechem.

- Podobno mnie szukałeś – odezwał się męski głos.

Znał go bardzo dobrze. Gross cofnął się w głąb mieszkania i usiadł na krześle po tej stronie stołu, gdzie zorganizował warsztat modelarski.

- Bartek – wyszeptał.

- Czego chcesz? – warknął syn.

- Dlaczego wyrzuciłeś komórkę? Nie mogłem się do ciebie dodzwonić...

- Nie szukaj mnie więcej.

Komisarz wpatrywał się pustym wzrokiem w przyrządy modelarskie, słoiczki z farbami, papiery ściernie odłożone do pudełka po lodach.

- Bartek, twoja mama...

– Daj już spokój!
– Jesteśmy rodziną. – Gross poczuł, jak na jego szyi zaciska się niewidzialna pętla.
– Rodziną? – Zaśmiał się nerwowo Bartek. – Czy ty, kurwa, siebie słyszysz, ojciec? Coś ci się chyba popierdoliło pod tą siwą kopułą.
Ugiął się pod ciężarem tych słów, jakby zadały mu fizyczny ból, wykręciły wnętrzności.
– Byliśmy, jesteście i zawsze będziemy rodziną – powtórzył Gross i starał się zapanować nad drżeniem głosu. – Powinniśmy być teraz razem. Ty i ja, bo z mamą...
– Byliśmy już razem. Krótco. I nic nam z tego nie wyszło – przerwał mu syn. – Bo ciebie, kurwa, nigdy nie było!
W tle komisarz usłyszał głos teścia: „Skończ to, nie rozmawiaj z nim”.
– Bartek! – Gross zacisnął zęby. – Bartek, nie słuchaj go. Musimy porozmawiać, chodzi o twoją matkę...
– Daj mi spokój. Nie szukaj mnie nigdy więcej.
– Jak możesz! – rzucił Gross na skraju rozpacz.
– Nienawidzę cię! – krzyknął syn.
I natychmiast się rozłączył.



Zmęczony Janusz Stefański przetarł oczy i odchylił się na krześle. Było grubo po północy, a on cały czas, od kilku godzin, przeglądał pozostałe nagrania. Uruchomił tryb podglądu i przyspieszył odtwarzanie kilkukrotnie. Skupił się na robocie, bo uznanie Bernarda i przejście z nim na ty podziały na aspiranta mobilizująco.

Obrazy na ekranie wciąż migały, a jemu dwoiło i troiło się w oczach. Musiał odpocząć. Co jakiś czas robił sobie krótkie przerwy, wstawał, żeby rozprostować kości. Poza tym w wąskiej, ślepej klitce z niewielkim biurkiem i regałem pełnym bezużytecznego sprzętu komputerowego zrobiło się za gorąco. Stefański uchylił wcześniej drzwi, ale niewiele to pomogło. Dlatego teraz stwierdził, że zasługuje na dłuższą przerwę.

Wyszedł na korytarz i przekręcił klucz, ale nie wyciągnął go z zamka. Pomachał rękoma, rozprostował się i skrzywił z powodu nerwobólu pod lewą łopatką. Musiał krzywo siedzieć.

Przez moment zastanawiał się, czy nie odłożyć tego nudnego zajęcia do rana. Wyspałby się przynajmniej i miał więcej wigoru, odpoczęłyby mu oczy. Gdy je zamykał, pod powiekami wyświetlał mu się ten sam przyspieszony film.

Skierował się w stronę zamkniętej recepcji i minął ją, bo pamiętał, że przy schodach znajduje się komoda, na której stały czajnik i kawa rozpuszczalna oraz herbata, a także cukier w małych saszetkach. W plastikowym czajniku było jednak za mało wody. Rozejrzał się w poszukiwaniu toalety, ale nigdzie jej nie znalazł. Wspiął się po schodach do pokoju, który ponownie przydzielił mu Szydłowski, i tam napełnił naczynie. Zszedł, włączył czajnik i postanowił poczekać na wrzątek na zewnątrz. Padać już przestało. Noc zapowiadała się spokojna, cisza była niemal ogłuszająca. Po granatowym niebie snuły się na północ resztki ciężkich chmur, zbyt małych, by mógł z nich spaść kolejny deszcz. Powietrze zrobiło się lekkie i rześkie.

Gruntową drogę znaczyły liczne kałuże, których powierzchnie połyskiwały w świetle dwóch lamp znajdujących się nad bramą.

– Chłodny front idzie!

Wystraszony Stefański odwrócił się gwałtownie.

Szydłowski wyłonił się z ciemności po prawej. Aspirant najpierw dostrzegł czerwoną koszulę,

dopiero po chwili mężczyzna wszedł w krąg światła na mokrym szutrze. Niósł siekiere przetrzuconą przez ramię, a na głowie wciąż miał bejsbolówkę.

– Mam nadzieję, że nie wystraszyłem – powiedział wesoło właściciel „Sarny”.

– A skąd! – Machnął ręką Stefański, czując, jak serce wali mu o żebra. – Co pan tak z tą siekiere łązi?

– Musiałem porąbać trochę drewna, bo w chłodniejsze albo deszczowe dni ludzie lubią sobie posiedzieć przy kominku, czasami książkę poczytają albo ktoś weźmie gitarę i robi się fajny klimacik.

– Szydłowski stanął przed policjantem, od którego był niższy o dwie głowy. Opuścił siekiere i oparł się na niej. – I co? Oplacało się przejrzeć te nagrania?

– Jeszcze nie skończyłem. Zrobiłem sobie przerwę na kawę.

– O! To i ja bym się napił, bo dziś już fajrant.

Stefański spojrzał w stronę bramy, skąd wrócił Szydłowski.

– A co tu taka cisza? U pana tak zawsze?

– Zawsze. Musimy dbać o spokój innych. Gdy ktoś szaleje, następnego dnia dostaje kopa.

– Nawet jeśli zapłacił za cały pobyt?

– Każdemu daję do przeczytania regulamin i ostrzegam o bezwzględnie obowiązującej ciszy nocnej. A jeżeli ktoś ma to w nosie, to znaczy, że w nosie ma też swoje pieniądze.

– Twardy z pana zawodnik.

– Gdybym miał miękkie serce, to już dawno poszedłbym z torbami. A tak, to przynajmniej ludzie chcą tu przyjeżdżać, bo wiedzą, że będą mogli się wyspać i odpocząć.

– A jeśli przyjechali imprezować?

– To nie do mnie. Niech sobie szukają gdzie indziej, u mnie żadnych szaleństw nie ma ani nie będzie.

Stefański spojrzał w lewo, potem w prawo.

– A o której zamyka pan bramę? – spytał Szydłowski.

– Różnie, najczęściej po północy, gdy już skończę obchód.

– A w sobotę?

– W sobotę? – Zamyślił się. – W sobotę chyba jakoś podobnie.

– Ale ostatnio pan nie zamknął.

– Kiedy? – zdziwił się Szydłowski.

– No, w sobotę. Nagrania nie kłamią.

– Cholera, nie wiem, jak się to stało.

– W tę sobotę to nic pana nie zdziwiło?

– Co niby?

– To ja pytam. Zdziwiło czy nie?

– Chyba nie, a co? Widział pan coś na filmie?

– Tak. Samochód podjechał pod bramę...

– Jaki? – Drwał wszedł mu w słowo.

– ...i wsiadło do niego dwoje ludzi.

– Dwoje? Czyli Szwed i Cebulkiewicz?

– Wrócili prawie nad ranem. Też nic pan nie słyszał?

– A skąd. Mało śpię, ale gdy już zasnę, to twardo jak kamień. Nic mnie nie zbudzi.

Stefański westchnął.

– A w recepcji ktoś dyżuruje?

– W nocy?

– No przecież o nocy rozmawiamy – zirytował się policjant.

– A po co dyżurować w nocy w recepcji? To nie Marriott. – Zaśmiał się Szydłowski.

Stefański rozejrzał się i zawiesił wzrok na pogrążonej w ciemnościach ścianie lasu.

– Dobra, chodźmy na kawę – zaproponował.

– A może tu sobie wypijemy? Wreszcie można odetchnąć pełną piersią.

Aspirant zaakceptował pomysł.

– Od razu widać, że pan z miasta, bo stęskniony za naturą. Zaraz przyniosę – powiedział Szydłowski i zniknął z siekierą we wnętrzu.

Stefański nie czekał na niego zbyt długo. Drwał przyniósł dwa jednorazowe kubki i mieszadełka. Saszetki z cukrem wyjął z tylnej kieszeni spodni.

– Słodzi pan? – spytał.

Policjant skinął głową i wsypał do kubka cukier ze wszystkich pięciu saszetek. Odstawił naczynie na murek przed wejściem do ośrodka, a sam usiadł obok i wyprostował nogi.

– To mówi pan, że idzie ochłodzenie – zaczął.

– No, niestety. Zeszłego roku lało cały czas, a w tym, przynajmniej do tej pory, było pięknie. Tyle że ta nasza pogoda mocno chimeryczna. – Szydłowski stał przed Stefańskim i omiatał wzrokiem budynek. – Jeśli tak dalej pójdzie, to nie wiem, kiedy skończę ten remont. Rozgrzebałem go w dwa tysiące czternastym i tak się bujam, i bujam. Bo wie pan, kasy ciągle brak.

– Wszystko się rozbija o kasę – stwierdził Stefański i pociągnął łyk gorącej kawy.

– No, niestety – przyznał mu rację Szydłowski i odwrócił się w stronę remontowanego budynku. – Mówią, że zdrowie to podstawa, ale gówno prawda. Nie ma zdrowia bez pieniędzy. – Szydłowski zdjął bejsbolówkę i niemal od razu włożył ją ponownie, jakby tylko chciał przewietrzyć głowę.

Kiedy czapka powędrowała w górę, Stefański dostrzegł szeroki opatrunek, przyklejony do czubka lśniącej głowy.

dzień szósty

Grossa obudził koszmar.

Spocił się, jakby przebiegł kilka kilometrów.

Snił mu się Legner wygrażający mu pięścią, oskarżycielskim wzrokiem wpatrywała się w niego młodsza inspektorka Lucyna Wojtasik, a pozostali, których dobrze znał z pracy, stali wokół niego w ciasnym kręgu. W ich spojrzeniach widział potępienie, nie rozumiał jednak, co było jego powodem.

Od razu poszedł pod prysznic, a kiedy się umył, spojrzął na siebie w lekko zaparowanym lustrze. Czy właśnie tak wygląda twarz człowieka przegranego?

Stale mu coś umykało. W jego myśleniu był jakiś błąd, wada, z którą nie potrafił się uporać. Dotyczyło to śledztwa w sprawie zarówno zaginięcia kobiety ze Strużala, jak i zabójstwa na plaży płatnej. W pierwszym przypadku nie umiał połączyć istotnych wątków. Czuł, że wszystko, co ważne i kluczowe, bierze się ze smutnych oczu Krystyny Palacz na zdjęciu, ale także ze smutku kobiety siedzącej na ławce z tyłu domu w trakcie męskiej kłótni, o której opowiadała mu Bożena Zuba.

W drugiej z prowadzonych spraw czas działał na jego niekorzyść. Mijał tydzień od odnalezienia zakrwawionego namiotu i śladów krwi na ścieżce w lesie i na polanie, a śledztwo posuwało się zbyt wolno. Do tego Gross nie miał pojęcia, czy nie brną w tej mgłę wprost w ślepy zaułek. Im dłużej myślał o zdarzeniach na cyplu, tym częściej intuicja podpowiadała mu, że jednak doszło tam do zabójstwa. Tylko raz zaczął w to wątpić, kiedy się okazało, że znaleziona i zakrwawiona damska bielizna nie jest nośnikiem żadnych śladów biologicznych, nie licząc krwi. To powinno od razu dać mu do myślenia. I dało, ale wolał się nie spieszyć z wnioskami do czasu otrzymania kolejnych wyników krwi z laboratorium, w tym badań DNA.

Ubrał się i zjadł dwie kromki chleba z miodem, po czym ponownie usiadł do teczki zawierającej akta sprawy zaginięcia Krystyny Palacz. Rozłożył je na stole w pokoju. Starł się wczytywać we wszystkie fragmenty protokołów, na które do tej pory nie zwrócił najmniejszej uwagi i które uszły uwadze wszystkich poprzednich śledczych zajmujących się tym zaginięciem. Postanowił wynotować je na kartce.

Po godzinie spis ten zawierał trzy informacje.

Smutek, polonez i śmieci.

Gross był przekonany, że nastrój, w jakim była Palacz przed zaginięciem, ma znaczenie. Co prawda, jeden ze śledczych zwrócił na to uwagę, ale przypisał stan kobiety depresji poporodowej, czego nie potwierdzały informacje uzyskane przez komisarza od córki zaginionej. Sąsiadka komisarza potwierdziła przecież, że jej babka pomagała córce tuż po pierwszym porodzie i wtedy nie dostrzegła u niej żadnych znamion podstępnej choroby. Ale to jeszcze niczego nie dowodziło. Choroba równie dobrze mogła się rozwinąć dopiero po urodzeniu drugiego dziecka.

Komisarz zastanowił się więc, czy jej smutek miał znaczenie. Wziął to słowo w ramkę i przeszedł do kolejnego punktu.

Polonez.

Sprawę z samochodem, w opinii komisarza, można było rozpatrywać dwojako. Przede wszystkim, czego wcale nie należało wykluczać, donos mógł być – jak to bywa w podobnych

przypadkach – jedną z wielu niepotwierdzonych informacji, uzyskanych z anonimowych źródeł. Milicjanci sprawdzili wprawdzie ten trop, ale dawniej śledczy mieli mniej możliwości niż dziś, dlatego Gross postanowił przejrzeć nazwiska zweryfikowanych wówczas właścicieli tych pojazdów. Żadnego z nich jednak nie kojarzył z trudnymi do wyjaśnienia sprawami z Chełmży i okolic, a przecież stale wracał do dawnych akt. Postanowił jednak rozważyć kwestię samochodów raz jeszcze i pójść o krok dalej niż stróża prawa sprzed trzech dekad. Zlecił Judycie Judyckiej, która akurat dyżurowała w komisariacie, przegląd zdarzeń drogowych w województwie toruńskim po zaginięciu Palaczowej. Poprosił ją, by wyszukała wszystkie informacje dotyczące czerwonych aut polskiej marki. Może właśnie tam należało szukać punktu zaczepienia.

Pozostała ostatnia kwestia.

Gross przeczytał ostatni z wypisanych wyrazów na głos.

– Śmieci.

Wcześniej nie zwrócił na ten fragment protokołu żadnej uwagi. Potraktował go jako zupełnie nieistotny dla całego zdarzenia. Tak samo zresztą zrobili śledczy. Tymczasem właśnie takie detale często przesądzały o powodzeniu w śledztwie.

Kiedy trzy dni po zgłoszeniu zaginięcia zorganizowano oficjalne poszukiwania, jeden z mieszkańców Chełmży znalazł w przydrożnym rowie kilka starych zabawek. Chodziło o rozebraną, pozbawioną obu nóg lalkę z gęstymi i długimi rzęsami na ruchomych powiekach oraz o kolorowego metalowego bąka. Miał zdrapany lakier, a ze środka wystawał pordzewiały drut bez plastikowej nasadki, która pełniła funkcję uchwytu. Uwagę Grossa zwróciły też pluszak – rozpruty na plecach Miś Uszatek – oraz niewielka gumowa kaczka do dziecięcych kąpeli i dwa pozbawione kół resoraki.

Wszystkie te rzeczy leżały w rowie po prawej stronie drogi, na wzniesieniu, około stu metrów na północny zachód od domu Palaczów.

Gross rozumiał, dlaczego to znalezisko nie zainteresowało żadnego funkcjonariusza prowadzącego śledztwo. Kobieta zabrała ze sobą kilkutygodniowe dziecko zbyt małe na takie zabawki. Pomijając już fakt, że były zniszczone. Mimo to komisarza zastanowiło, dlaczego ktoś pozbył się ich akurat w tym miejscu, skoro można je było wyrzucić do kubła z domowymi odpadami. Jaki był sens wyrzucać je do rowu?

Chciał znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Zamknął teczkę i dopił herbatę, którą zrobił sobie podczas krótkiej przerwy. Sięgnął po stary album ze zdjęciami należący do Magdaleny Palacz.

Przejrzał go dokładnie raz jeszcze, ale nie znalazł niczego interesującego. Może z wyjątkiem czarno-białego zdjęcia, na którym rozpoznał młodego Palacza z bujną, niemal beatlesowską fryzurą i w rozszerzanych u dołu spodniach. Stał z kilkoma innymi rolnikami na tle traktora i budynku z cegły, z wąskim szyldem złożonym z drukowanych liter. Większość napisu zasłaniały głowy stłoczonych przed fotografem mężczyzn. Po prawej Gross zauważył jedynie końcówkę jakiegoś słowa, dosłownie ostatnie trzy drukowane litery: „WNA”.

Wyjął to zdjęcie i przytrzymał w dłoni, po czym zamknął album i dopiero wówczas położył fotografię na okładce wykonanej z przyjemnego w dotyku materiału. Zabrał oba albumy i wyszedł na klatkę schodową. Zszedł piętro niżej i zapukał do drzwi Magdaleny Palacz.

Słyszał śpiew dziecka, więc ktoś był w domu.

– Dzień dobry – przywitał się Gross, gdy kobieta stanęła w progu. – Przyszedłem oddać zdjęcia.

– Przydały się? – Wyciągnęła po nie rękę.

– Chciałbym tylko na jakiś czas wypożyczyć tę fotografię – poprosił.

Rzuciła okiem.

– Dobrze, proszę bardzo.

Gross podziękował.

– Zna pani kogoś z tego zdjęcia?

– Ten z lewej, obok taty, taki korpulentny, to nasz dawny sąsiad.

– Zdzisław Zuba?

– Tak.

– A pozostali? – spytał Gross, uważnie się jej przyglądając.

– Właściwie to z tych starszych nie znam nikogo więcej.

– Kim mogli być?

– Nie mam pojęcia. Na pewno się znali. Może to z dożynek? Niech pan odwiedzi tatę, to wszystko panu powie. Na pewno ich pamięta.

– Tak zrobię. Dziękuję.

Miał już odejść, ale kobieta go zatrzymała.

– Tylko mam prośbę. Niech go pan już tak nie męczy – poprosiła. – Ostatnią pana wizytę mocno przeżył. Ma swoje lata, sam pan rozumie.

Gross ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył.

– Dziękuję za zdjęcia. Jeśli będę miał jakieś pytania, to będę panią niepokoił – powiedział i ruszył w stronę schodów. – Do widzenia.

– A! Jeszcze jedno – zawołała.

– Tak? – Gross wszedł już na pierwszy stopień.

Zmrużyła oczy i przekrzywiła lekko głowę.

– Czego pan tak naprawdę chce?

– Mówiłem już. Chciałbym poznać prawdę.

– Teraz, po tylu latach?

Też zadawał sobie to pytanie.

– Im więcej minie czasu, tym może się to okazać trudniejsze.

Patrzyli na siebie przez chwilę.

– Wierzy pan w wyjaśnienie tej sprawy?

Pokiwał głową.

– Początkowo wydawało mi się, że grzebie pan w niej tylko po to, by ją odfajkować, tak jak co roku robił to ten starszy policjant. Ale widzę, że jest inaczej. To dobrze, bo zastanawiałam się, czy powiedzieć panu o tym, co się wydarzyło niedawno. Zresztą to może w ogóle nie mieć żadnego znaczenia.

– Co takiego?

– Co roku, w dniu zaginięcia mamusi, publikuję w mediach społecznościowych przypomnienie. Wrzucam jedno z jej zdjęć i proszę o pomoc każdego, kto mógłby cokolwiek w tej sprawie wiedzieć. Do tej pory nic to nie dało, spotykałam się jedynie z wyrazami współczucia ze strony znajomych. Prosiłam ich o udostępnianie posta, żeby jak najwięcej ludzi dowiedziało się o mamie, ale niewielu to robiło. Nie mam nawet do nich żalu, tak to bywa.

Gross przyglądał się jej uważnie.

Popatrzyła na niego raz jeszcze, jakby rozważała, czy można mu zaufać. Gross widział to wahanie w wyrazie jej twarzy, w ściągniętych ustach i przymkniętych powiekach.

– Tym razem było inaczej. Dwa dni później, gdy byłam w sklepie, odebrałam dziwny telefon.

Gross czekał na ciąg dalszy.

– Numer był zastrzeżony, więc nie wiem, kto mógł dzwonić, w każdym razie nie znałam tego głosu. To był mężczyzna.

Komisarz nadal słuchał w skupieniu. Stał na klatce schodowej, a Magdalena Palacz oparła się ramieniem o framugę i skrzyżowała nogi. Album ze zdjęciami wsunęła sobie pod pachę.

– I wie pan, co powiedział?

Gross nie musiał się nad tym zastanawiać.

– Że jest pani bratem.

Jej oczy rozbliły się.

– Jezu, skąd pan to wie?

– Tylko to mogłoby panią tak zaskoczyć – stwierdził Gross i od razu zadał pytanie: – Odezwał się jeszcze?

– Nie, do tej pory nie.

– A co dokładnie powiedział?

Skrzywiła się, próbując sobie przypomnieć.

– Nie pamiętam. Najpierw, co bardzo mnie zdziwiło, poprosił o spotkanie. A kiedy spytałam, o co chodzi, stwierdził, że wyjaśni osobiście. Spytałam, kim jest i czego chce, ale zamilkł. Dopiero po chwili usłyszałam: „Chyba jestem twoim bratem”.

– Chyba?

– Tak dokładnie powiedział.

– Jest pani tego pewna?

– Tak, jestem pewna. Dlaczego pan o to pyta?

Wzruszył ramionami.

– I co było dalej? – spytał.

– Nic. Zatkalo mnie. Pomyślałam, że ktoś stroi sobie ze mnie żarty, że się wygłupia. Więc się rozłączyłam.

– Czy miała pani później jakieś nieodebrane połączenia?

– Nie.

– O której dzwonił?

– Nie pamiętam dobrze. Jak mówiłam, to był chyba głupi żart. Staralam się o tym nie myśleć.

– Rozumiem. Jeszcze raz dziękuję za zdjęcia.

Gross wszedł na półpiętro i dopiero wtedy usłyszał, jak Magdalena Palacz zamyka drzwi.



Wrócił do mieszkania i przez jakiś czas siedział w zupełnej ciszy, analizując wszystkie zebrane informacje.

„Chyba jestem twoim bratem”.

Połączył się z Andrzejem Tatarskim i przekazał mu informacje o połączeniu.

– Znowu chodzi o twojego syna? – spytał Tatar.

– Nie. Tym razem muszę ustalić, kto dzwonił na ten numer, chodzi o zaginięcie kobiety z kilkutygodniowym dzieckiem sprzed trzydziestu lat. Jej córka otrzymała niedawno dziwną wiadomość.

– Bernardzie, ale znowu poza procedurą?

– Procedury zabierają czas.

– Ale wiesz, że jeśli cokolwiek znajdziesz...

– Wiem, ale to ważne. Zrób to, proszę.

Tatar westchnął.

– Dobra, podziałam – zgodził się.

– I jeszcze jedno. – Dopiero teraz przyszło mu do głowy to rozwiązanie. – Gdy już będziesz miał ten numer, to sprawdź też, czy ta sama osoba nie dzwoniła do rolnika ze Strużala. – Gross podyktował numer telefonu Palacza, a potem podziękował za pomoc.

– Coś jeszcze? – spytał Tatar.

Gross się zastanowił.

– Chyba tak. Jeżeli chodzi o mojego syna...

– Odezwał się?

– Tak, ale z zastrzeżonego.

– Na twój numer?

– Tak.

Tatar przez całą rozmowę klepał w klawiaturę. Komisarz słyszał stukot wciskanych szybko klawiszy.

– Kiedy? – spytał kolega.

Gross podał mu datę i godzinę połączenia.

– Odezwę się – zakończył Tatar.

Komisarz odetchnął.

Usiadł przy warsztacie modelarskim.

Obejrzał naprawione orurowanie schwimmwagena i sięgnął po papier ścierny na gąbce. Przesuwał nim w miejscu połączenia plastikowych elementów szybko, ale delikatnie, po skosie. Zajął mu to kwadrans, był jednak zadowolony z efektu. Odstawił nadwozie i wziął się do spasowania i klejenia silnika. Japoński producent zadbał o detale, które można było sobie odpuścić, o ile pokrywa jednostki napędowej pozostanie zamknięta. Gross nie zdecydował jeszcze, czy jego model będzie miał uniesioną klapę, dlatego postanowił skleić elementy motoru i odłożyć go do późniejszego odłuszczenia oraz pomalowania podkładem.

Łączenie dobrze pasujących do siebie części szło mu szybko i bezproblemowo. Po południu podwozie w kształcie wanny z wklejoną podłogą z przednimi fotelami i tylną kanapą trafiło do ciepłej wody z domieszką płynu do mycia naczyń. Gross dokładnie przecierał powierzchnie plastiku miękką dziecięcą szczoteczką do mycia zębów. W ten sam sposób umył nadwozie, do którego uprzednio przymocował niezbędne elementy, reflektory z kapslami z podłużną i poprzeczną szparą, a także tylną tablicę rejestracyjną i rurę wydechową. Dokleił też złożoną za tylną kanapą plandekę. Kierowcę w niemieckim mundurze zostawił sobie na później. Wciąż się zastanawiał, czy wykorzystać tę figurkę, czy dokupić dwóch innych żołnierzy wyprodukowanych przez renomowanego polskiego producenta specjalnie do modelu schwimmwagena. Na tę decyzję miał jeszcze sporo czasu, szczególnie że komplet figurek w jego ulubionym sklepie modelarskim kosztował nieco ponad sto złotych. Tymczasem Gross powinien wymienić kilka pędzli i zakupić nowy, lepszy aerograf.

Po ich umyciu model i części zostawił w wodzie do wieczora. Wtedy zamierzał je wyciągnąć, żeby przeschły przez noc, dzięki czemu następnego dnia będzie mógł położyć podkład.

Ściągnął lateksowe rękawiczki i wyrzucił je do kosza.

Włożył buty i zszedł do garażu. Upał nie był już tak dokuczliwy, kiedy wyjechał w stronę Torunia z grubą powieścią Atticusa Lisha w twardej oprawie. Położył ją na przednim siedzeniu.

Przez całą drogę myślał o zaginionej kobiecie ze Strużala i jej córce, a także o dziwnym telefonie, który ta druga niedawno odebrała. A potem, kiedy zaparkował na parkingu przed fundacją „Światło”, w pobliżu budynku, w którym od dziesięciu lat leżała jego żona, Gross pomyślał o Malwinie Lemańskiej. Zdał sobie sprawę, że czeka na jej powrót z dalekich wakacji. Że tęskni.

Promienie słońca prześwitywały przez gęste korony drzew, rzucając marmurkowe wzory na asfalt. Idąc w stronę wejścia do ośrodka, komisarz zrozumiał, że to coś więcej niż tęsknota. Coś, co będzie skupiało jego myśli, a potem także i działania. Być może wszystko to sprawi, że Gross będzie w fundacji coraz rzadszym gościem.

Spojrzał na elewację budynku i odszukał okno pokoju, w którym leżała Agnieszka.

Ale czy rzeczywiście tego chciał? Czy nie złamie w ten sposób małżeńskiej przysięgi?

Czy może stawiać własne dobro ponad złożone przyrzeczenie?

Czy nie tęsknił za Agnieszką, kiedy była w szpitalu, kiedy kolejny raz balansowała na granicy życia i śmierci? Nie czekał na tę chwilę, kiedy przyjedzie tutaj i przeczyta jej na głos kolejną książkę?

Ruszył schodami na górę.

Czy mógł tęsknić za dwiema kobietami?

Czy mógł kochać obie?

Wszedł do pokoju, w którym Agnieszka leżała razem ze starszą kobietą po wylewie. Antonina Zawacka, która trafiła tu niedawno, na łysej głowie miała kolorową chustkę, a jej pomarszczone usta zapadały się w pozbawionych zębów szczękach. Wcześniej leżała pod czwórka, ale Gross nie chciał się

zastanawiać, dlaczego ją tu przeniesiono.

Podszedł prosto do łóżka Agnieszki i pocałował ją jak zawsze w czoło. Sucha skóra wydawała mu się nieprzyjemna. Poglądził żonę po dłoni, kościstej i nienaturalnie wykrzywionej, jakby wyrzeźbionej w twardym drewnie. Jej twarz, z na wpół otwartymi ustami i przymkniętymi powiekami, wydawała się Grossowi twarzą trupa, jakich wiele widział w trakcie swojej pracy. Gdyby nie unosząca się nieznacznie wątlą klatka piersiowa, pomyślałby, że są w chłodnej sali prosektoryjnej.

Że to już koniec jej i jego udręki.

Czy tak to będzie wyglądało?

Wyobraził ją sobie w skromnej drewnianej trumnie, ubraną w sukienkę w kwiaty, ze złączonymi na piersi dłońmi. Z uśmiechem – dziełem tanatopraktora.

Nie zasługiwała na taki los, na brzydotę, na chorobę, na wszystko to, co w tym cholernym stadium zawieszenia między życiem a śmiercią, w tym przekętym długotrwałym śnie tak paskudnie ją odczłowieczało. Z wolno gasnącymi impulsami w niedotlenionym mózgu, z życiem, które nie niosło już żadnej nadziei, i wytrwałym sercem dbającym tylko o to, by ten lichy płomień wciąż dygotał.

Otarł łzy.

Przysunął sobie krzesło i usiadł. Patrzył na żonę, za którą tęsknił i którą tak bardzo kiedyś kochał. Patrzył na to, co z niej zostało po ciężkim zapaleniu płuc, i widział w niej, paradoksalnie, tylko żywe zwłoki.

Chciał opowiedzieć jej o Bartku, ich synu, który go zienawidził. O jej rodzicach, którzy być może rozbudzili i pielęgowali we wnuku tę nienawiść, na którą zresztą Gross zasługiwał. Opowiedziałby jej również o całym złu, w którym babrał się od lat i które toczyło go jak rak. Chciałby powiedzieć jej o smutnej młodej kobiecie, matce kilkunastomiesięcznej dziewczynki i nowo narodzonego chłopca, która zaginęła trzydzieści lat temu. A także o śladach krwi na ścieżce prowadzącej na polanę, świadczących o dokonanym tam zabójstwie. I o tym, że wciąż nie mają ani sprawcy, ani ofiary, ani nawet narzędzia zbrodni.

Pragnął położyć się obok niej, wtulić w jej ramiona i szeptać jej do ucha jak na spowiedzi, by wybaczyła mu popełnione błędy i zaniedbania.

Chciał jej rozgrzeszenia.

Tylko nie wiedział, czy mu się ono należy.

Gross westchnął.

Dochodził do niego gwar cichych rozmów i stukot drewniaków na korytarzu. Przez uchylone okna dolatywały trele ptaków, pochowanych gdzieś głęboko w koronach drzew szumiących na delikatnym wietrze.

W końcu komisarz otworzył książkę i zaczął czytać:

– „Następne życie. Część pierwsza...”



Rano Stefańskiego rozboleła głowa, ale u siostrzenicy Szydłowskiego udało mu się kupić opakowanie apapu. Zszedł do recepcji nieprzytomny, trzymając się poręczy. Potem nalał sobie pół kubka zimnej wody z dystrybutora ustawionego w rogu holu i łyknął dwie tabletki. Już miał wracać na górę do łóżka, kiedy w holu pojawił się Szydłowski.

– No wreszcie. – Zaśmiał się. – Myślałem, że będzie pan spał do wieczora.

– Która godzina? – Aspirant zmarszczył czoło.

– Już po ósmej.

Stefański otarł usta.

– Niech pan zejdzie ze mną na śniadanie – zaproponował Szydłowski. – Zapraszam.

Policjant przełknął ślinę i skinął głową, a potem ruszył za właścicielem ośrodka. Nie był jeszcze głodny, ale połykanie środków przeciwbólowych na pusty żołądek nie było najlepszym pomysłem. Kiedy znaleźli się na półpiętrze, Szydłowski obejrzał się i powiedział:

– Jajecznicę mojej mamy to czysta poezja, sam pan zobaczy.

W sporej jadalni, do której wchodziło się przez dwuskrzydłowe drzwi, rozstawiono kilkanaście stołów, przykrytych estetycznymi niebieskimi obrusami. Część z nich była zajęta, letnicy krążyli między stolikami a szwedzkim stołem z wędlinami i serami, dzieciaki chodziły samopas, co akurat Stefańskiemu nie bardzo się podobało. Kurduple działały na niego jak płachta na byka. Zastanawiał się, jak udało mu się przetrwać okres, w którym jego syn miał kilka lat.

Po prawej, w podgrzewanych srebrzystych bumarach, w których Stefański mógłby przeglądać się jak w lustrze, zauważył jajecznicę, parówki i pieczone kielbaski z cebulką. Szydłowski pokazał mu, skąd aspirant ma wziąć talerz, i zachęcił go do nałożenia sobie jedzenia. Policjant postanowił spróbować wszystkich potraw serwowanych na ciepło. Nie żałował sobie, pamiętał, jak jego dziadek powtarzał mu, że śniadanie to najważniejszy posiłek dnia i że właśnie rano trzeba zjeść dużo, żeby energii starczyło na cały boży dzień.

Z pełnym talerzem usiadł przy dwuosobowym stoliku, który wskazał mu Szydłowski. Mężczyzna wciąż chodził w bejsbolówce.

– Kawy? – spytał drwal, a Stefański pokiwał głową, bo usta miał pełne kielbasy.

Mężczyzna poszedł do automatu i napełnił dwie filiżanki.

– Co się panu stało w głowę? – spytał aspirant, gdy już przełknął jedzenie, a Szydłowski usiadł przy stole.

– E, nic takiego. Znajomy co roku organizuje w Grudziądzu rajd samochodów terenowych. Zabrałem się z nimi, posadzili mnie z tyłu w jakimś ruskim gazie czy uazie, cholera wie, bo nie znam się na tych starych wojskowych terenówkach – zaczął. – No i zśliśmy jak pershing przez leśny dukt, przez wyboje, aż w końcu tak nas podrzuciło, że przyrznąłem łbem w rurę podtrzymującą plandekę, i teraz mam! Dobrze, że koledzy wzięli apteczkę, bobym im zalał krwią wóz. Aż się przeraziłem. Łeb to jednak mocno ukrwiony jest, nie spodziewałem się.

– A kiedy to było?

– W zeszłym tygodniu, w sobotę.

– Był pan w szpitalu?

– Byłem. Sześć szwów mi założyli, a w środę mam iść do kontroli.

Stefański zapisał to sobie w myślach i odchylił się na oparcie krzesła.

– Pyszne – powiedział.

– Mówiłem przecież. – Uśmiechnął się Szydłowski, pałaszując jajecznicę i wycierając talerz resztką chleba. – A jakie plany na dziś?

– Usiądę jeszcze do monitoringu, a potem zbiorę się do Chełmży.

– Z tymi młodymi z domków pan nie pogada?

Stefański upił łyk kawy.

– Teraz to już tylko na komisariacie.

– Ci młodzi zawsze coś nabroją – stwierdził Szydłowski.

Resztę potraw zjedli w ciszy.

Kiedy drwal się nasycił i dopił kawę, otarł usta serwetką.

– Dobra, na mnie czas. A jeśli da pan radę, to tam są jeszcze ciasta. – Szydłowski wskazał stół obok ekspresu do kawy. – Niech pan weźmie szarlotkę. Jabłka z naszego sadu. – Mrugnął okiem, po czym wstał i odniósł talerz, zbierając przy okazji brudne naczynia z innych stołów. Odstawił je przy podnoszonym okienku i zapukał. Kiedy szybko uniesiono, pochylił się i chwilę z kimś rozmawiał, a potem uśmiechnięty podszedł do Stefańskiego.

– Gdybyśmy się już nie zobaczyli, życzę wszystkiego dobrego. Może nas pan kiedyś odwiedzi z rodziną, co?

– Pomyślę – powiedział Stefański, a następnie uściśnił mu dłoń. – Dziękuję. Aha! I jeszcze jedno. Muszę zrobić kopię nagrań z monitoringu.

– Dobra, poproszę Asiulkę, by zgrała wszystko, na czym panu zależy. Prześlemy pocztą.

– Wolałbym zabrać ją dziś.

– Jeśli będzie tego dużo, to kopiowanie potrwa wieki, a dziś mamy zmianę turnusów. Czeka nas młyn.

Aspirant przygryzł wargę.

– Dobra, to zobaczymy. Może część nagramy, a resztę pocztą.

– O, to jest myśl! Uprzedzę Asię. – Szydłowski wskazał schody i odszedł.

Funkcjonariusz skusił się na trzy kostki szarlotki posypanej cukrem pudrem i jeszcze jedną kawę. Ciasto było kruche i słodkie, a owoce soczyste. Rozpływały się w ustach.

Zajadał stres, bo wiedział, że w końcu będzie musiał powiedzieć żonie o tym, że nie leci z nimi do Turcji. Nabrał resztkę ciastka na łyżeczkę, ale pozostawił ją na talerzu. Nie chciał już tego odkładać. Sięgnął więc po telefon.

– No, co tam, Jaśku? – Odebrała jego Izunia.

„Chujowo”, chciał powiedzieć, ale ugryzł się w język.

– Źle. Nawet bardzo. – Przybrał smutny ton.

– Boże, co to znaczy? Stało się coś?

– Stało, stało. Niestety, ale komendantka cofnęła mój urlop. – Pomyślał, że jak kłamać, to na całego.

– Że co?

– Urlop mój! Podarła i wyrzuciła do kosza. Wszystkie ręce na pokład. Rozumiesz?

– Nie, nie rozumiem, przecież ten urlop miałeś uzgodniony już dawno temu, prawda? To dlaczego teraz...

– Dlatego – przerwał jej potok słów – że mamy zabójstwo. A ja, jak wiesz, przeniosłem się do kryminalnych i sprawy się skomplikowały. Mało ludzi, okres urlopowy, a przecież to wolne miałem obiecać w prewencji u Jójczyk, a nie w kryminalnym. Tutaj wszyscy mają urlopy zaklepane, część ludzi zresztą już wyjechała. Urabiamy się po łokcie. Więc nic z tego, rozumiesz?

– Właśnie zaczęłam nas pakować – stwierdziła. Wyczuł w jej głosie zdenerwowanie. – Nie możesz się z kimś zamienić?

– Nie mogę, bo nikt nie chce. W dupie mają moje wakacje, zresztą swoje wypady planowali od dawna i każdy zasłania się wykupionymi wczasami. Jestem nowy w wydziale, więc nie ma zmiłuj. Ale Izunia, ty się, kochanie, pakuj. – Starał się brzmieć pogodnie. – Bo przecież musicie polecieć.

– A co z twoim miejscem? Pieniądze przepadną!

– E tam, nie uprawiaj czarnowidztwa, nic nie przepadnie, już ty się o to nie bój. O wszystko zadbałem. Pomyślałem, że może twoja siostra by z wami poleciała. – Zamilkł, żeby wysondować reakcję żony. – Co sądzisz?

– O Jezu, nie wiem – mruknęła. – To miały być nasze pierwsze wspólne wakacje za granicą!

– Rozmawiałem z nią, dziś ma nam dać odpowiedź, ale wyczułem, że jest chętna, wiesz? – Zignorował uwagę żony.

Iza pomarudziła jeszcze trochę, a aspirant nie mógł się doczekać, kiedy kobieta skończy. Najgorsze miał za sobą. Stres już z niego spłynął, Stefański się rozluźnił, a kawał szarlotki wciąż czekał na łyżce. Kiedy tylko pożegnał się z żoną, policjant pochłonął ostatni kęs ciasta i zapił go kawą.

W recepcji odebrał klucz do kantorka z monitoringiem i usiadł w rozgrzanym od szumiącego sprzętu pokoiku. Odpalił komputer i rozpoczął przeglądanie nagrań.

Po kilkudziesięciu minutach zrobił pierwszą przerwę i rozprostował plecy. Potem wysikał się i wrócił do ciasnego wnętrza.

Przejrzał nagrania z kamery na korytarzu. Ponownie odtwarzał przyspieszony film, na którym ludzie poruszali się jak zwinne roboty. Kiedy zapadała noc, nagranie przyspieszało jeszcze bardziej i wpatrywał się tylko w jedno miejsce. A kiedy dotarł do czwartkowego wieczoru, poczuł, jak

przyspiesza mu puls.

– Co jest, do cholery? – mruknął i przetarł oczy.

W tej samej chwili ktoś zapukał do uchylonych drzwi.

Stefański odwrócił głowę.

– Dzień dobry – powiedziała nieśmiało dziewczyna, którą poznał wczoraj w sali z kominkiem.

– Mówiłem już, że spotkamy się w komisariacie w Chełmży – zezłościł się. – Nie przeszkadzaj mi, piękna panienko.

– Ale chodzi o Patrycję.

Stefański wstał.

– Wczoraj też chodziło o Patrycję – przypomniał jej. – I co? Miałaś to gdzieś, prawda? Co się zmieniło od wczoraj?

Wbiła wzrok w podłogę.

– No?! – warknął Stefański.

Spojrzała na niego przestraszona.

– Od wczoraj nie mam z nią kontaktu.



– Mam nadzieję, że się nie spóźniłem.

– Kto mówi? – Monika Skalska pochylała się nad monitorem, na którym wspólnie z Judytą Judycką przeglądała wypadki i kolizje, do których doszło po osiemnastym lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku.

– Śródką z tej strony, myślałem, że zapisała sobie pani mój numer.

Skalska zignorowała jego uwagę.

– Skoro pan dzwoni, to rozumiem, że ma mi pan coś do powiedzenia. – Funkcjonariuszka dała znać Judycie, że zaraz do niej wróci, i wyszła na korytarz.

– W zasadzie tak. Stoję przed komisariatem. Przejdziemy się?

Skałka wzniosła oczy do sufitu.

– Wezwę pana do komisariatu. Do widzenia. – Rozłączyła się.

Odczekała chwilę z telefonem w dłoni. Wkrótce melodia rozbrzmiała na nowo.

– Czyżby zmienił pan zdanie? – rzuciła do aparatu.

– Niech pani zezdźcie. Jeśli wezwie mnie pani pisemnie, mogę ze strachu się zamknąć w sobie.

Skalska wiedziała, że facet żartuje. Wróciła do gabinetu po bejsbolówkę i okulary przeciwsłoneczne. Judyckiej powiedziała, że wróci za kwadrans.

Nasunęła na głowę czapkę i zbiegła na parter. Szarpnęła ciężkie drewniane drzwi i z chłodnej klatki schodowej wyszła na oślepiające słońce, które nie grzało już z taką mocą jak poprzednio. Poza tym od jeziora wiał orzeźwiający wiatr. Rozejrzała się za Śródką. Stał w dole, w cieniu budynków klubu wioślarskiego, tam, gdzie Sądowa kończyła się na Bulwarze.

Włożyła okulary i zesza chodnikiem. Minęła opustoszały parking po prawej, a potem poczekała, aż bulwarem przejedzie dwóch chłopaków na rowerach. Pędzili jak szaleni.

– Krótko i na temat poproszę – zastrzegła, podchodząc do mężczyzny.

– Przejdźmy się – zaproponował i ruszył wolno w stronę pomostu. Ręce włożył do kieszeni długich dżinsowych spodni.

Minęli starsze małżeństwo, trzymające się za ręce.

– Dlaczego w lipcu, kiedy był pan wychowawcą na obozie harcerskim w Zalesiu, opuścił pan swoje stanowisko i oddalił się w nieznanym kierunku wspólnie z harcmistrzem Andrzejem

Cebulkiewiczem? – przypomniała mu pytanie, które było zapisane w aktach tamtej sprawy. – Tym razem poproszę o prawdziwą odpowiedź.

– Gdyby nie ta nawałnica, o niczym byście nie wiedzieli. Nikt by nie zgłosił naszego zaginięcia.

Chwilowego, dodajmy – usprawiedliwił się.

– Co się stało? – naciskała Skalka.

– Powiem pani, ale chciałbym prosić o zachowanie dyskrecji. Możemy się tak umówić?

Skalka odwróciła się i odeszła.

– Pani aspirant! – zawołał za nią.

Przystanęła i odwróciła się. Podeszedł do niej.

– To delikatna sprawa – wyjaśnił, pocierając wąs.

Bez słowa weszli na pomost łączący dwa brzegi. Pokonali wzniesienie, pod którym znajdowała się przystań z łódkami wędkarskimi. Ich kroki dudniły, słońce odbijało się w wodzie, jakby unosiła się na niej wstęga z rozkruszonego szkła. Po prawej niewielkie altany tonęły w bujnej zieleni, a bliżej, na brzegu porastanym przez trzcinę i wysoką trawę, stare drewniane łodzie ukazywały pokiereszowane dna, oświetlane przez ostre słońce.

– O co się pokłóciliście tamtego wieczoru? – spytała Skalska.

Śródka patrzył na środek jeziora, gdzie znajdowały się dwie białe żaglówki.

– To akurat nie miało związku z tym, o czym chcę pani opowiedzieć. Naprawdę, musi mi pani uwierzyć. – Zatrzymał się i oparł o balustradę.

Policjantka poszła w jego ślady. Popatrzyła w dół na własne odbicie w rozkołysanej wodzie, która obmywała filary pomostu.

– Krótko po osiemnastej Andrzej odebrał telefon – zaczął mężczyzna.

– Wiadomo, kto dzwonił?

– Nie. Mogę się tylko domyślać.

– Jeżeli to, co ma mi pan do powiedzenia, będzie ważne, sprawdzę billing Cebulkiewicza. Jeśli pan kłamie, znajdzie się pan w tarapatach.

– Nie po to teraz z panią rozmawiam, żeby mieć jeszcze więcej kłopotów – stwierdził mężczyzna i strzyknął śliną do jeziora.

– No to śmiało. Musi mi pan wszystko opowiedzieć.

Śródka dał znak, że to rozumie, ale wyglądało na to, że zastanawia się, jak ubrać myśli w słowa.

– Z Andrzejem Cebulkiewiczem znam się długo, w zasadzie od czasu jego powrotu z Niemiec, w połowie lat dziewięćdziesiątych. Byliśmy jak starzy znajomi, a właściwie to nawet jak przyjaciele. I dlatego tak trudno mi teraz o tym mówić.

– Nie zamierzam pana oceniać – zapewniła go Skalska.

– Kiedy zadzwonił telefon, Andrzej pobladł. Zaczął się nerwowo kręcić po obozie, szukając drużynowej jednej z młodszych drużyn. Okazało się, że nigdzie jej nie było.

– Chodziło o Patrycję Szwed?

– Tak – przyznał.

– Jak zareagowała kadra?

– Powinni was natychmiast zawiadomić, ale tego nie zrobili.

– Dlaczego?

– To chyba robota Andrzeja. Uspokoił wszystkich, że zwolnił Patrycję do matki w sprawie osobistej, o czym niby zapomniał.

– Kłamał.

– Zaraz do tego dojdę. To jest właśnie najdziwniejsze – zauważył Śródka. – Andrzej zrobił się milczący i zawiązał się do namiotu. Po apelu, kiedy szykowaliśmy się do ciszy nocnej, zobaczyłem go za ogrodzeniem. Szedł do lasu.

– I wtedy pan za nim poszedł, tak?

– Tak właśnie było.

– Dogonił go pan i...?

- Nie dogoniłem go – stwierdził Śródka i spojrzał na Skalską.
- Aspirantka ściągnęła okulary przeciwsłoneczne. Chuchnęła w nie i przetarła szkła skrajem swojego T-shirtu.
- Po prostu za nim poszedłem.
- Śledził go pan?
- Powinienem go zawołać i dogonić, prawda? Tak by zrobił przyjaciel.
- Nie wiem – odpowiedziała Skalska.
- Nie zrobiłem tego. A on w ogóle się nie zorientował, że go śledzę.
- Dokąd szedł?
- Przedzieraliśmy się brzegiem jeziora, aż dotarliśmy na cypel.
- Na plażę płątną? – Skałka nie zdołała ukryć zdziwienia.
- Nie, na ten półwysep kilkaset metrów od plaży w Zalesiu. Widać go stamtąd.
- No i?
- Śródka westchnął.
- Cholera, to dziwne – rzekł. – Ona tam na niego czekała.
- Kto?
- Śródka westchnął.
- Patrycja Szwed.



Gross wrócił do Chełmży po siedemnastej, kiedy ulewa rozszalała się na dobre, a niebo na wschodzie rozrywały długotrwałe błyski. Zamierzał coś zjeść, przebrać się i pojechać do Zubów, dlatego nie schował samochodu do garażu.

Gdy wsiadł z powrotem do auta, grzmoty zamieniły się w ciche pomrukiwania, a ulewa w delikatny letni deszcz. Niebo wciąż było jednak gęsto zasnuwane chmurami, chociaż kiedy jechał drogą na Strużal, na południowym wschodzie zaobserwował dziurę w warstwie obłoków, oko Boga, przez którą przebijały się po skosie promienie słoneczne. Po prawej minął Salę Królestwa Świadków Jehowy ze sporym parkingiem, na którym stało kilka drogich samochodów. Dotarł do ciasnego zakrętu przy gospodarstwie Stefana Palacza. Stary rolnik związał wąż ogrodowy, ale podniósł głowę. Komisarz ukłonił się, chociaż nie był pewien, czy mężczyzna to zauważył.

Dojechawszy do końca drogi asfaltowej, zaparkował pod domem Zubów. Deszcz przestał padać. Gross przeszedł się kawałek połą drogą. Wiatr owiewał mu twarz. Patrzył na spokojną wodę, otaczającą te tereny od lewej do prawej. Ziemia pachniała ciężko, jak to po ulewie.

Wrócił i przy wtórze psiego szczekania wszedł na szeroką werandę. Nie zdążył zapukać, gdy drzwi otworzyła Bożena Zuba.

- Niech pan wejdzie, matula już się nie mogła pana doczekać – zaprosiła go gospodyni.
- Ponownie uderzył go intensywny zapach, tym razem pieczonego ciasta. Słodki i drożdżowy.
- Z kuchni po prawej wyłoniła się starsza kobieta. Uśmiechnęła się i podała mu rękę.
- Na salony zapraszamy pana komisarza, na salony – powiedziała i wskazała drogę.

Gross wkroczył do dużego pokoju dziennego, w którym kilkuletnia dziewczynka siedziała na dywanie przed wielkim telewizorem. Nie odwróciła się.

- No, panienko, na górę do swojego pokoju. – Zaklaskała jej babcia.
- Za chwilkę, babciu – odezwała się kilkulatka.

Kobieta machnęła ręką.

- To jej „za chwilę” trwa nieraz dobre pół godziny – szepnęła konspiracyjnie do komisarza. –

Może więc przejdziemy do mnie? – zaproponowała, a kiedy Gross przytaknął, wróciła na korytarz i otworzyła drzwi do swojego pokoju.

Obok posłanego i przykrytego kocem tapczanu stała wysłużona szafka nocna, na której znajdowało się radio starego typu. Chromowana antena wyciągała cienkie ramię w stronę okna. Nad tapczanem wisiały stare zdjęcia małżeńskie, zapewne Marioli Zuby, a być może również jej rodziców lub teściów, a także dwa święte obrazy w zakurzonych ramach. Na przeciwległej ścianie znajdowała się meblościanka.

Komisarz zerknął przez okno na podwórko i stojącą naprzeciwko wysoką stodołę. Po prawej widział nieotynkowaną oborę.

Zubowa przyłożyła rękę do czoła.

– Albumy! Przecież czekają na nas w salonie. Zaraz wrócę – obiecała.

Gross przyjrzał się czarno-białym fotosom na ścianach. Niedzisiejsze fryzury, dawne stroje. Kątem oka dostrzegł ruch za oknem. Wychylił się, żeby spojrzeć w tamtą stronę.

Wysoki mężczyzna, w którym Gross rozpoznał Tadeusza Zubę, otworzył drzwi do pomieszczenia znajdującego się obok obory. Gross sądził, że mógł to być warsztat.

– Już jestem – powiedziała Zuba, taszcząc dwa sporej wielkości albumy.

Położyła je na niewielkim kwadratowym stole, znajdującym się w rogu pokoju, i włączyła stojącą na nim lampkę biurkową. Ciepłe światło rozlało się żółtawym okręgiem.

– Tak będzie zdrowiej dla oczu – oznajmiła i odwróciła głowę w stronę gościa. – A może się pan czegoś napije? Kawy albo herbaty?

– Dziękuję – powiedział, podchodząc do stołu.

– Ale babki drożdżowej to pan nie odmówi starszej kobiecie, prawda? Bo to nie wypada. – Uśmiechnęła się przyjaźnie.

Gross nie zdążył odmówić, kiedy Zuba raz jeszcze wyszła z pokoju. Wykorzystał ten czas i ponownie rzucił okiem na stare zdjęcia bliskich gospodyni, którzy wpatrywali się w niego uważnym wzrokiem. Na jednej z fotografii rozpoznał szczuplejszą i młodszą Mariolę Zubę, z długimi kręconymi włosami i w sukni ślubnej, oraz jej męża, w ciemnym garniturze z szerokimi klapami i jasnej koszuli, której długi kołnierz sięgał niżej niż węzeł krawata. Ciemne i gęste włosy mężczyzny, zaczesane na bok, przysłaniały uszy, a szeroki i krzaczasty wąs – górną wargę. Gross dostrzegł charakterystyczne rysy, które odziedziczył po ojcu syn Zubów – prostokątną, szczupłą twarz z silnie zarysowaną szczęką, dołek w brodzie i wygięte w łuk brwi.

Policjant zorientował się, że Zuba wróciła do pokoju, dopiero wtedy, kiedy usłyszał stuknięcie stawianego na blacie talerza. Obejrzał się. Drożdżówka była pokrojona w duże kostki.

– Niech pan siada – zachęciła, po czym odsunęła krzesło najpierw jemu, a potem sobie. – Przejrzymy te skarby. Sama nie oglądałam ich całe lata.

Otworzyła okładkę i przerzuciła starą kalkę. Dopiero wtedy przypomniała sobie o okularach. Wstała i przyniosła je ze stolika nocnego, gdzie leżały w skórzanym etui obok książki.

– To, proszę pana, jest mój tatuś z mamusią – powiedziała, pokazując czarno-białą fotografię przyklejoną do czarnej karty skruszałą taśmą klejącą.

Po chwili zorientowała się, że komisarz nie patrzy na album, tylko cały czas spogląda na ścianę.

– Przepraszam, może wolałby pan sam obejrzeć?

Gross przystał na to rozwiązanie. Wyciągnął ręce i przysunął album bliżej siebie.

– Jeśli będę miał pytania, to wesprze mnie pani swoją wiedzą? – spytał.

– Dobrze, proszę śmiało pytać. – Zubowa posmutniała.

Rozczarował ją, wiedział o tym, ale nie przyszedł tu słuchać rodzinnych opowieści. Nie to go interesowało.

Przewrócił kilka kartek ze zdjęciami ślubnymi Zubów i z wyjazdów wakacyjnych.

Kilka stron dalej pojawiły się pierwsze kolorowe fotografie dzieci Zubów – Tadeusza i Bożeny. Przyjrzał się rodzeństwu ustawionemu na tle bogato udekorowanej choinki.

– Z którego to roku?

Zuba się zamyśliła.

– Bożenka mogła mieć wtedy sześć lat – stwierdziła gospodyni. – Czyli mniej więcej siedemdziesiąty szósty.

Zdjęcie trzymało się karty tylko z jednej strony.

– Proszę, pan się poczęstuje drożdżówką. Jeszcze ciepła. Może świeżego mleka od krowy się pan napije?

Gross uprzejmie podziękował.

Zuba pozwoliła mu na sfotografowanie kilku zdjęć, a on za każdym razem sprawdzał, jak wyszły. Część musiał zrobić ponownie, bo aparat w komórce gubił ostrość, a część dlatego, że refleks świetlny od lampy tworzył jasną, dużą plamę na zdjęciu cyfrowym. Przewrócił kolejną czarną kartę i kalkę, która zaszeleściła głośno w jego dłoni. Wzrok komisarza przyciągnęła jedna fotografia – Tadzika już jako nastolatka. Chłopak stał z rękami zwieszonymi po bokach, był ubrany w krótkie spodnie i koszulkę. Na nogach miał skarpety i sandały. Robił dziwną minę. Za jego plecami ciągnęła się pusta gruntowa droga, po obu jej stronach rosło wysokie zboże. Ale było tam coś jeszcze.

Gross zrobił zdjęcie.

– Wie pani, gdzie to zostało wykonane?

– Nie mam pojęcia.

– To droga do Chełmży?

– Być może. – Zuba czuła się zakłopotana, że nie zna odpowiedzi na pytania Grossa.

– A co zasłania pani syn?

– To znaczy?

– Tutaj, niech pani spojrzy – poprosił i wskazał palcem między nogi chłopca. – Co to jest?

Wzruszyła ramionami i nic nie powiedziała.

Dokończył przeglądanie albumu, potem zabrał się do kolejnego. Zdjęcia były świeższe, kolorowe, wywołane na lepszym papierze i przedstawiały mniej odległe czasy. Zubowie przed domem, Zdzisław Zuba w polu, na nowym traktorze, ślub córki, narodziny wnuków. Koło życia, które przez lata przetoczyło się z czerni i bieli do jaskrawych kolorów. Dostrzegł też kilka fotografii z imienin u Palaczów, ale na żadnym nie było Krystyny Palacz.

Gross zamknął albumy i odłożył je na środek stołu.

Sięgnął do torby po zdjęcie, które pożyczył od Magdaleny Palacz. Położył je na blacie.

– Czy zna pani tę fotografię? – spytał.

Kobieta przyjrzała się scenie, którą uchwycił wiele lat temu fotograf. Kilku mężczyzn na tle traktora i budynku z czerwonej cegły.

– Nie, nie przypominam sobie. – Odwróciła zdjęcie, ale nie było ono opisane.

– Zna pani te osoby?

– Nie wiem, czy wszystkie. – Poprawiła okulary na nosie i przyłożyła palec wskazujący do pierwszego mężczyzny z lewej. Trzymała go tam przez chwilę, po czym cmoknęła i przesunęła palcem na kolejną osobę. – Tu stoi Maurycy Cwałdowski, obok niego Ryszard Piotrowicz i jego starszy brat Anzelm. Ten z tymi dłuższymi włosami to Edmund Sierczyński, a tu mój Zdzisiu ze Stefanem Palaczem. Poznał go pan, prawda? – Spojrzała na Grossa znad okularów.

– Tak – przyznał. – A tych dwóch obok?

– To Józef Budziszyn i chyba Mirek Kętrzycki, nie jestem pewna.

– To była jakaś specjalna okazja? Dożynki? – dociekał komisarz.

– Nie wiem, zupełnie tego nie pamiętam.

– Gdyby coś pani sobie przypomniała, to proszę dać mi znać.

– Oczywiście.

Gross wstał.

– Jeszcze jedno. Mówiła pani, że syn lubił fotografować. – Przypomniał sobie ich rozmowę w szpitalu. – Czy zachowały się jakieś jego zdjęcia?

– On już swoje wycierpiał. Poniósł za to karę.

Gross zrozumiał, że popełnił błąd. Wystraszył kobietę, a nie taki miał cel.

– Nie obchodzą mnie krzywdy wyrządzone przez pani syna. Skoro chodził po wsi i robił zdjęcia, być może jest na nich coś istotnego.

– Tadzik bardzo nie lubi ich pokazywać. Poza tym gromadzi je w swoim pokoju. – Kiwnęła głową w stronę widocznego za oknem podwórka.

– Gdzie? – zdumiał się Gross.

– Mieszka w pokoju przerobionym z warsztatu męża, przy oborze. Żadną siłą nie mogłam go zatrzymać w domu. Jedynie zimą śpi w pokoju w piwnicy.

– Rozumiem. W takim razie chodźmy do niego.

– Nie powinniśmy.

– Dlaczego? Przecież tam wchodził. Jest na miejscu, u siebie.

– On nie lubi odwiedzin. A obcych to już w ogóle. Boi się. Musi go pan zrozumieć.

– To ważne, ta sprawa nie może czekać.

– Ważne? Jaka sprawa?

– Chodzi o zaginięcie Krystyny Palacz.

– A co mój syn ma z tym wspólnego, na Boga? – podniosła głos.

– Przypuszczam, że fotografii wykonanych przez pani syna nie widzieli milicjanci.

– To zdjęcia chorego chłopaka, często byle jakie. Sporo z nich wyrzuciliśmy ukradkiem.

– Mimo to chciałbym je zobaczyć – nie ustępował Gross.

– Uparty pan, komisarzu, ale dobrze, rozumiem. – Pokiwała smutno głową.

– Niech się pani nie martwi, załatwimy to tak, by pani syn niczego się nie dowiedział – zapewnił policjant.

– Niech tak będzie. Niech pan przyjdzie w poniedziałek.

Gross pokiwał wolno głową.

– W poniedziałek będzie już za późno.

– Za późno? Na co?

– Muszę to załatwić jeszcze dziś – oznajmił.



Aspirant Janusz Stefański wsiadł do samochodu i odjechał spod „Sarny”. Część materiału z monitoringu zgrał na kilka płyt, a część miał otrzymać pocztą. Rozpisał siostrzenicy właściciela daty i godziny, które go interesowały. Przy okazji dowiedział się od niej, że jej wujkowi zszywali głowę w Brodnicy, a nie w Grudziądzu. Odwieźli go tu koledzy, którzy wcześniej założyli mu opatrunek, ale krew przesączała się szybko i Szydłowski zdecydował, że zgłosi się na oddział ratunkowy. Dziewczyna mówiła przekonująco, ale Stefański nie miał ochoty wyjść na głupka przed Grossem. Dojechał spokojnym tempem do krajowej piętnastki i skręcił w prawo na Brodnicę, a kiedy był już w mieście, zgodnie ze wskazówkami nawigacji w telefonie z pierwszego ronda zjechał w Kolejową i przeciął tory w pobliżu dworca kolejowego. Odczekał swoje na światłach, po czym skręcił w czteropasmową Sądową i dalej kierował się na Zbiczo. Wysiadł przy odremontowanym i nowocześnie wyglądającym budynku szpitala. Wyjął telefon i zadzwonił do sekretariatu chełmyńskiego komisariatu. Kiedy odebrała Różycka, poprosił o przełączenie do zastępcy komendantki.

– Kącki, słucham.

– Tu Stefański, nie przeszkadzam, panie inspektorze?

– Nie. Mów, co tam masz, Janusz.

– Panie inspektorze, sprawa z płatnej zaprowadziła mnie do Brodnicy. Stoję przed szpitalem,

mam tutaj temat do załatwienia.

– Osobisty?

– Nie, skądże znowu! Muszę sprawdzić, czy pewien facet nie robi mnie w konia i czy rzeczywiście zsztywniał tu sobie głowę.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Gdyby tak pan przekreślił do dyrektora i uprzedził go, że odwiedzi go aspirant z jednym pytaniem, co? Dałoby radę?

Kącki nabrał powietrza.

– Ten z rozbitą głową to kto? Podejrzewasz go o coś?

– Właściciel ośrodka nad Bachotkiem – wyjaśnił Stefański. – Na płatnej, jak pan komendant wie, było pełno śladów krwi. Wyników wciąż nie ma, bo labo ma nas, za przeproszeniem, w dupie.

– Ale co masz na tego faceta? Był w zeszłym tygodniu w Chełmży? Mamy na to jakieś dowody? – odchrząknął Kącki.

– Żadnych. – Aspirant nie zamierzał oszukiwać jednego ze swoich szefów. – Zaledwie poszlakę. Mizerną.

– No to jak ty to sobie wyobrażasz, co, Janusz?

– Szczerze? Obawiam się, że mi pan odmówi. Ale jednocześnie w sprawie zabójstwa na płatnej mamy wielkie nic. Więc może lepiej sprawdzić ten lichy trop?

– Za szczerłość masz u mnie punkty. – Kącki się roześmiał. – Niech będzie, zadzwonię do tego szpitala. Czekaj na mój sygnał.

Stefański postanowił się nagrodzić. Odwiedził pobliskiego McDonalda, gdzie zamówił powiększony zestaw z kawą na wynos. Zapłaciwszy, odjechał spod okienka, jednak nie wysiadł z wozu, nie zgasił silnika, a klimę przełączył na maksimum. Ugryzł kęs chrupiącego kurczaka z bekonem zawiniętego w naleśnikowy placek i przegryzł to przesolonymi frytkami. Na koniec sięgnął po kubek kawy i syty odjechał w kierunku szpitala.

Zaparkował w cieniu i spojrzał na zegarek. Kącki wciąż nie dzwonił.

Stefański odchylił oparcie fotela i postanowił przymknąć oczy, chwilkę odpocząć.

Zastanawiał się nad tym, co dziś usłyszał od Natalii Łuźnickiej, koleżanki Patrycji Szwed.

Wyjął z kieszeni telefon i postanowił zdać relację Grossowi.

– Cześć, Bernardzie – powiedział, kiedy komisarz podniósł słuchawkę. – Mam dwie nowe informacje.

– Słucham.

– Obie superważne. Od której zacząć?

– Od ważniejszej.

– Rozmawiałem dziś z koleżanką Patrycji, a potem przeglądałem kolejne zapisy z monitoringu i... – Stefański usłyszał w słuchawce regularne piknięcia, odsunął aparat od ucha i spojrzał na wyświetlacz. – Kurczę, dzwoni komendant Kącki, muszę odebrać, bo to ma związek z naszą sprawą. Oddzwonię później, dobra?

Rozłączył się i odebrał oczekujące połączenie.

– Kącki. Masz zielone światło. Dyrektor poprosił Annę Sumińską, kierowniczkę działu dokumentacji medycznej, żeby ci pomogła.

– Dzięki, jest pan wielki, szefie! – Stefański zgasił silnik i wysiadł z wozu.

Skierował się do głównego wejścia do szpitala i szybko odnalazł administrację szpitala. Zapukał w odpowiednie drzwi i nie czekając na zaproszenie, nacisnął klamkę. Były zamknięte.

– Już idę. – Usłyszał kobiecy głos za swoimi plecami.

Odwrócił się.

W jego stronę zmierzała farbowana na blond szczupła okularnica. Uśmiechnięta i z teczką pod pachą. Stefański wziął to za dobry znak i też się uśmiechnął.

– Aspirant Stefański, policja. – Uścisnął lekko jej dłoń, a potem z przyzwyczajenia wyjął blachę.

– Anna Sumińska, miło mi. Proszę, niech pan wejdzie, dyrektor już do mnie dzwonił w pańskiej sprawie – stwierdziła, otwierając drzwi do pomalowanego na szaro pokoju z jasnymi, nowoczesnymi meblami.

– Udało się pani zebrać informacje? – spytał, kiedy znaleźli się wewnątrz.

– Tak. – Kobieta przeszła za biurko i odłożyła trzymaną teczkę na stertę dokumentów z lewej strony. – Proszę, niech pan usiądzie.

Stefański zajął jedno z krzeseł.

Sumińska usiadła w fotelu za biurkiem i oparła łokcie na blacie.

Aspirant z trudem się powstrzymywał od patrzenia na jej miłych rozmiarów biust, który opinała granatowa bluzka w białe groszki.

– To dziwna sprawa – zaczęła.

– Dziwna?

– Tak mi się wydaje. Bo rzeczywiście założyliśmy temu pacjentowi dwa szwy.

– Dziękuję, to mi wystarczy. – Stefański podniósł się zadowolony, że może skreślić Szydłowskiego z listy podejrzanych. Wyciągnął rękę na pożegnanie, ale Sumińska nie podała mu swojej.

– Tylko jest jedno „ale” – powiedziała.

– Jakie „ale”?

– To było pod koniec lipca i nie zszywaliśmy mu wtedy głowy. Z raną głowy trafił do nas w minioną niedzielę, i to z samego rana. – Uśmiechnęła się, a kiedy Stefański podziękował i złapał za klamkę, dodała: – Jednak ludzie mają rację, że nieszczęścia chodzą parami.

– Przepraszam, a z czym trafił w lipcu?

– Mała rana na ramieniu.



Monika Skalska zastanowiła się nad tym, co powiedział Śródka.

– Patrycja Szwed siedziała gdzieś w lesie?

– Tak.

– A co tam robił Cebulkiewicz?

– Nie wiem, nie mam pojęcia. Być może to ona go wezwała. Darła się na niego, krzyczała. Coś o tym, że to jego wina i tak dalej.

– Była ubrana w strój harcerski?

– Tak.

– Widział pan ślady krwi na jej koszuli?

– Nie. Siedziała na pieńku, widziałem ją od tyłu.

– Uspokoiła się?

– Długo to trwało, ale w końcu przestała krzyczeć. Pomógł jej wstać i poszli razem przed siebie.

– A pan?

– Szedłem za nimi, aż wreszcie wyszli na wiejski trakt. Kierowali się w stronę drogi z Pluskowęs do Zalesia. Nie mogłem iść dalej, boby mnie zobaczyli.

– I co pan zrobił?

– Właściwie nic. Postanowiłem wrócić do obozu i wtedy zadzwonił do mnie Andrzej. Powiedział, że widział mnie w lesie i wie, że go śledziłem. Poprosił, żebym na niego zaczekał, żebym nie wracał sam do obozu. Miał mi wszystko wyjaśnić.

– Zgodził się pan?

– A miałem inne wyjście? Przyjacielowi się nie odmawia, prawda? – stwierdził Śródka.

Skalska popatrzyła na jezioro. Obie plaże, i miejska, i Stolbudu, były pełne. Za ich plecami przeszedł młody mężczyzna z czarnym psem. Zwierzę otworzyło pysk i wywiesiło język, tęsknie spoglądając na wodę.

– Przyszedł? – Wróciła do rozmowy, gdy przechodzień się oddalił.

– Przyszedł. Była już noc. W tym czasie wydzwaniali do mnie z obozu, ale nie odbierałem.

– Cebulkiewicz odkrył przed panem karty?

Śródka popatrzył w dal i zaprzeczył.

– Rozmawialiście później?

– Raz czy drugi starałem się do tego nawiązać, ale Andrzej zbywał to milczeniem.

– Czyli oszukał pana.

– Chyba tak.

– Jaka jest pańska teoria na temat tego, co się wówczas wydarzyło?

– Moja teoria? Naprawdę to panią interesuje? – Nie ukrywał zdziwienia.

– Był pan na miejscu, wiele pan widział.

– Fakt, byłem. – Nabrał powietrza i położył dłonie na balustradzie. – Jakiś czas temu, może rok albo i dawniej, syn Andrzeja, Martin, prowadził się z Patrycją. Może imponował jej starszy chłopak, który miał swój warsztat, kasę i samochód, był niezależny. To się mogło dziewczynie podobać.

– Zerwała z nim?

– Nie wiem, nie znam jej przecież.

– Ale sugeruje pan, że ją skrzywdził, prawda?

Wzruszył ramionami.

– Pan jest tego pewien – stwierdziła Skalska. – Pan nawet wie, kto wtedy dzwonił do Andrzeja Cebulkiewicza.

Spojrzał na nią.

– Jego syn, prawda? – Chciała się upewnić Skalska. – Martin Cebulkiewicz. I to on skrzywdził Patrycję, tak?

– Pani to powiedziała – odparł Śródka. – Niczego więcej nie wiem. Chętnie sprzedam pani colę albo gumy do żucia, ale w innej sprawie, a już szczególnie w tej, proszę mnie nie nachodzić.

– Zawsze może pan przyjść do nas, do komisariatu.

– Wszystkiego się wyprę – powiedział, odchodząc w stronę centrum.

– Ostatnie pytanie.

Mężczyzna zatrzymał się i odwrócił, kolejny raz prezentując okrągły brzuch.

– Co pan robił u Rafała Kwaśniewskiego?

Zaskoczyła go.

– Pani mnie śledzi? – zachnął się. – To moja prywatna sprawa.

– Nie ma związku z tym, co mi pan powiedział?

– Najmniejszego.

– Jeśli będzie inaczej... – zaczęła.

– Nie będzie – rzucił i odszedł.

Skalska zaczęła, aż Śródka zniknie za zabudowaniami Sądowej. Potem poszła jego śladem, ale znalazłszy się na bulwarze, zamiast w prawo skręciła w lewo. Wyszła na wprost Sadku, trójkątnego terenu zieleni ze starymi drzewami i z fontanną, w którym z pochowanych głośników odezwał się właśnie odgłos ptasich drapieźców. Skalska rozpoznawała powtarzający się krótki i skrzekliwy krzyk sokoła, który miał przeganiać stamtąd wrony.

Poszła w prawo. Przy skrzyżowaniu skręciła w stronę centrum i skierowała się do hotelu Kulmsee, gdzie miała spotkać Michała Bąka.

Już na schodach do piwnicy usłyszała jednostajne metaliczne dźwięki dochodzące z siłowni. Drzwi do sporej salki były otwarte. Na wąskiej ławce atlasu siedział Michał Bąk. Nie widziała jego

twarży, bo przysłał ją filar, ale dostrzegła jego wytatuowane łydki.

Zorientowała się, że jest sam, i weszła do środka.

– Dzień dobry – powiedziała.

Przyjrzał się jej badawczo, nie przerywając ćwiczenia. Oburącz przyciągnął do siebie zawieszony wyżej stalowy pałąk.

– Pani tutaj? – powiedział na wydechu, spinając mięśnie.

Liny ze zgrzytem dźwignęły ciężar znajdujący się z tyłu urządzenia.

– Chciałam chwilę pogadać.

– Ze mną? Znowu?

Zadźwięzwały opuszczane odważniki.

– Rozmawialiśmy już przecież. – Bąk skończył ćwiczenie i wstał.

Sięgnął po ręcznik, którym przetarł twarz i kark. Kiedy to zrobił, chwycił napój izotoniczny i się napił.

– Rozmawialiśmy – przyznała Skalska i usiadła na krześle pod ścianą. – Ale nie o wszystkim.

– A o czym tym razem będziemy głądzić? – spytał Bąk. – A może ja się pani zwyczajnie podobam, co? – Uśmiechnął się.

Skalska położyła dłonie na udach.

– To mogła pani tak od razu. – Zaśmiał się. – Możemy wyskoczyć gdzieś na piwko, nie ma sprawy.

– Co pan tam robił?

– Gdzie?

– W poniedziałek późnym popołudniem na plaży płątnej?

– Mówiłem już.

– To niech pan powtórzy. Mam słabą pamięć.

– O Jezu – jęknął. – No co robiłem? Nic nie robiłem. Poszedłem jak każdy przyzwoity chełmżanin nad jezioro. Co innego można tu robić? Przecież to wiocha.

– Chciał się pan opalać?

– Nie, bo tatuaże od tego bledną.

– To co pan robił?

– Ależ pani uparta. – Przewiesił sobie ręcznik przez szyję i oparł się o ścianę. – Na dupeczki sobie patrzyłem. Chciałem coś wyhaczyć na wieczór. Wystarczy?

– A komisarzowi mówił pan, że ma dziewczynę. Podobno nawet pan wtedy do niej dzwonił.

– Dziewczynę? Musiał coś źle zrozumieć. Nie mam żadnej dziewczyny. Ale jestem otwarty. – Mrugnął do niej.

– Za każdym razem zapuszcza się pan na tamtejszą polanę?

– Przecież, że nie. Ale od czasu do czasu tam zajdę.

– Po co?

– Po to, że od kiedy wprowadziliście zakaz chłania, nie można sobie walnąć piwa w spokoju, tylko trzeba się chować po chaszczach. Więc jak mam na to ochotę, to po prostu idę na polanę i tyle. Zresztą nie ja jeden. Pełno tam takich. Z tą tylko różnicą, że ja butelki ze sobą zabieram.

– Ze względu na środowisko czy na kaucję? – spytała, ale nie czekała na odpowiedź i zmieniła temat. Wiedziała, że to dobra taktyka, i lubiła zaskakiwać swoich rozmówców. – Dlaczego z kolegami terroryzujecie plażę płątną?

– Terroryzujemy?

– Są na was skargi.

– Że niby co?

– Że gównno! To, co pan słyszał.

Bąk wypił cały napój, a pustą plastikową butelkę wyrzucił do kosza.

– Przesada. – Znowu otarł czoło ręcznikiem. – Czasami się zabawimy, ale trzymam ich w ryzach. I tam, i tu, na siłowni, muszą się mnie słuchać.

- Pomalował pan łódkę – wypaliła i zauważyła, że zdziwiła go kolejna zmiana tematu.
- Oparł ciężar ciała na drugiej nodze.
- Po co? – dodała szybko.
- Jak to po co?
- Niech pan odpowiada.
- Miałem trochę czasu i pieniędzy, to ją odmalowałem. Już w zeszłym roku chciałem to zrobić.
- Wnętrze też? – spytała.
- Ociągał się z odpowiedzią
- Wnętrze też? – powtórzyła.
- Też.
- A co pan pomalował najpierw? Wnętrze czy burty zewnętrzne?
- Niech pani przestanie. Co to, kurwa, kabaret jest? – Zezłościł się. – Przesłuchanie jakiegoś?

Może najpierw mnie pani oświeci, o co chodzi?

- Wnętrze czy burty? – powtórzyła spokojnie.
- Całość. Ale najpierw poszły burty – odparł. – Zadowolona?
- Gdzie?
- Co gdzie?
- Gdzie pan malował łódź?
- W Mirakowie, w garażu u kumpla.
- Sam pan to robił czy ktoś panu pomagał?
- Sam nie dałbym rady.
- Adres.

Podyktował jej.

- Ma pan numer do kolegi?
- Wyjechał.
- Ale komórkę na pewno zabrał. – Skalska uśmiechnęła się sztucznie.

Mężczyzna podszedł do sportowej torby, rozpiął ją nerwowo i wyszarpał z bocznej kieszeni swój telefon. Odszukał w pamięci urzędnika numer i podyktował go Skalskiej.

- Dziękuję. – Uśmiechnęła się. – Okazał się pan bardzo pomocny.

Podniosła się i podeszła do drzwi. Wiedziała, że wtedy mężczyzna się rozluźni i odetchnie.

I wówczas będzie mogła zadać kolejne istotne pytanie.

- Zapomniałam o najważniejszym. – Zatrzymała się w progu.

Bąk się spał.

- Kiedy pan przemalował swoją łódź?

Przełknął ślinę.

- Niedawno.
- Czyli?
- Z dokładnością do godziny mam podać? – Skrzywił się.
- Wystarczy dzień.
- Nie pamiętam.

– Na pewno pan pamięta. Jeśli nie, byłoby dobrze, gdyby szybko pan sobie przypomniał – powiedziała.

- Będzie już tydzień. Zapyta pani kolegę, to powie. On wszystko pamięta.
- Zapytam – obiecała i wyszła.

Słońce świeciło mu prosto w brzuch i mimo działającej klimatyzacji poczuł, że zaczyna mu

wirować w żołądku, a jednocześnie ogarniała go senność. Może za dużo zjadł, a może za mało spał? A może, do cholery, jego żona miała rację, twierdząc, że powinien pójść wreszcie do lekarza i zrobić sobie wszystkie niezbędne badania. Postanowił dłużej tego nie odkładać. W przyszłym tygodniu zamierzał wyskoczyć z komisariatu do przychodni na Kościuszki i załatwić sprawę. Nie mógł sobie pozwolić na dalszą degrengoladę. Chodziło przecież nie tylko o jego zdrowie, lecz także o życie. „Żeby nie było za późno, Stefek, żeby nie było za późno”, zbeształ sam siebie.

Przy okazji zastanawiał się, co będzie z tymi cholernymi wakacjami. Sapnął, po czym zadzwonił do Bogny.

- I jak? – spytał, gdy szwagierka odebrała. – Pojedziesz?
- Iza już do mnie dzwoniła.
- No i? – spytał, próbując ukryć irytację.
- Pojadę. Jutro będę u was. – W jej głosie brzmiała radość, a może nawet ekscytacja.
- Super, do zobaczyska jutro, młoda. Odbiorę cię z dworca.
- Dzięki! Pa.

Włożył aparat do tunelu przy biegach i przeczesał włosy. Włączył głośno radio, ale nie miał ochoty słuchać gadających głów. Zmienił więc stację na taką, którą puszczała dawne przeboje, i wczuł się w rytm starego utworu Abby. Śpiewał i bębnił palcami w kierownicę.

Dojechał do Kowalewa i z krajowej piętnastki skręcił w prawo, na Wąbrzeźno. Miał przed sobą dwadzieścia kilka kilometrów paskudnej asfaltowej drogi, krętej i z dziurami, wiodącej przez wiochy.

Kiedy wyjeżdżał z Brodnicy, rozważył wszystkie opcje i uznał, że zamiast pędzić z powrotem do Bachotka i próbować wyciągnąć coś więcej z Szydłowskiego, lepiej wrócić do Chełmży. Po pierwsze, właściciel „Sarny” odetchnie i uzna, że przekonał Stefańskiego do swoich kłamstw. Aspirant nie miał żadnych dowodów, ale był przekonany, że Szydłowski zawiózł Szwed i Cebulkiewicza do Chełmży na plażę płątną.

Po drugie, Szydłowski stanie się teraz mniej ostrożny, a tymczasem Stefański wspólnie z Grossem przygotowują się do ostatecznego ataku. Musiał tylko przekazać wszystkie informacje komisarzowi, żeby ten podjął odpowiednią decyzję, a potem powiadomił Komendę Powiatową w Brodnicy o planowanych działaniach.

Aspirant znowu sięgnął po telefon, ale ten wypadł mu z ręki i zniknął pod fotelem pasażera.

– Kurwa – jęknął Stefański i przewrócił oczami.

Droga była pusta, ale wyboista.

Zwolnił i pochylił się, żeby podnieść telefon, a jednocześnie kątem oka obserwował jezdnię wijącą się przy szpalerze starych drzew. Wymacał sprzęt i nachylił się bardziej, bo ten przesunął się bliżej drzwi. Wstrzymał oddech. W tej pozycji nacisk na brzuch był większy i trudno mu było oddychać.

Muzyka łomotała w głośnikach.

Miał już telefon pod palcami i zdołał go nawet przesunąć po wykładzinie bliżej siebie. Wyprostował się i odpiął pas. Raz jeszcze spojrzął na drogę i kiedy upewnił się, że nie ma żadnego zagrożenia, schylił się po aparat.

W końcu się udało. Tym razem odłożył go do tunelu przy biegach.

Odsapnął.

Skorygował kurs, bo przekroczył oś jezdni, i zastanawiał się, czy zadzwonić do Grossa teraz, czy kiedy zbliży się do Chełmży. A może najlepiej byłoby pogadać z nim w cztery oczy?

Snuł te rozważania i kolejny raz zwolnił do przepisowej czterdziestki.

Czas płynął wolno, tak samo jak wolno zmieniały się cyfry na liczniku przejechanych kilometrów. Krajobraz wydawał się Stefańskiemu monotony, podobnie jak polska wieś.

Ściszył muzykę, bo zaczęła go drażnić, poza tym potrzebował odrobiny spokoju.

Promienie prześwitujące przez rosnące wzdłuż drogi drzewa migają mu w oczach. Zemdliło go, ale nie na tyle, by musiał się zatrzymać. Silnik szumiał, klimatyzacja też. Opony tarły o stary asfalt, a zawieszenie pracowało na nierównościach. Stefański zdążył pomyśleć, że skoro jest już tak blisko

Chełmży, to może najpierw pojedzie się wyspać, bo przecież czas nie gra tu decydującej roli. Nie muszą się aż tak spieszyć, Szydłowski i tak nie będzie się niczego spodziewał, a aspirantowi godzina snu bardzo by się przydała.

Znowu opadły mu powieki. Raz i drugi. Pokonywał długi zakręt. Zmusił się do skupienia uwagi, ale im dłużej jechał, tym trudniejsze się to stawało.

Z naprzeciwnika jechał tir.

Aspirant przymknął oczy na sekundę. Kiedy je otworzył, mijał się właśnie z wielkim pojazdem z granatową naczepą. Podmuch wiatru zakołysał osobówką Stefańskiego.

Policjant wystraszył się, że naprawdę zaśnie. Ponownie oklepał twarz i uchylił boczną szybę. Długo jeszcze walczył ze znużeniem, ale Chełmża była już tak blisko. Już rozpoznawał te rejony. Nie było sensu zatrzymać się na poboczu.

Przytrzymał mocno kierownicę i poprawił się w fotelu.

„Jeszcze chwila, Stefek, jeszcze chwila i położysz się spać”, obiecał sobie w duchu.

Na czarnej drodze kładły się długie cienie drzew.

Ocknął się na drugim pasie i gwałtownie skręcił kierownicę.

Serce przyspieszyło.

– Tak, kurwa, zabij się, chłopie, na progu domu! Jasne! – Zaśmiał się.

Docisnął pedał gazu, żeby mieć tę drogę jak najszybciej za sobą.

Po pięciu minutach, za trzecim zakrętem, jezdnia zasnęła się mgłą, a słońce zdawało się ustępować nadciągającej nocy. Stefański niespecjalnie rozumiał, co się działo, ale przystał na te zmiany z ochotą. Ciemność niesła mu upragniony spokój, chwilę na sen.

Jednostajny szum, w którym jak w ciepłym kokonie przebywał aspirant, zagłuszył nagły huk zgniatanej blachy i pękającego szkła. Krótko po sobie nastąpiły dwa potężne metaliczne uderzenia i długi zgrzyt tarcia dachu o szorstką nawierzchnię. Piach, pył i odłamki szkła sypały się na zakrwawioną twarz nieprzytomnego Stefańskiego, którym wciąż jeszcze rzucało jak szmacianą lalką.

Kiedy wóz wpadł do rowu, szarpnęło nim ostatni raz.

I dopiero wtedy nastąpiła błoga cisza.



Komisarz stał z założonymi rękoma przy uchylonym oknie w pokoju starszej kobiety i obserwował, co się działo na podwórzu gospodarstwa.

Zuba zastukała do drzwi pokoju syna i odezwała się do niego czule. Czekwała na odpowiedź, po czym ponowiła prośbę. Wreszcie z wnętrza dało się słyszeć kilka z trudem wyartykułowanych dźwięków.

– Co robicie? – Usłyszał głos Bożeny i odwrócił się do niej.

Zatrzymała się w progu pokoju i oparła dłoń na framudze.

– Poprosiłem o możliwość zobaczenia zdjęć pani brata.

– Zdjęć? – Skrzywiła się, a zaraz potem zaśmiała. – A co pan chce oglądać? On ma naprawdę sporą kolekcję, ale rzadko które cokolwiek przedstawia. Nie mówiąc już o normalnym kadrowaniu. Pan sobie da spokój, szkoda czasu.

– A ma jakieś ulubione? – Gross wrócił do obserwacji podwórza.

– Nie wiem, ma swoje sekrety, na przykład do szafy nie pozwala nam zaglądać, ale gdy kiedyś u niego sprzątałam, niczego w niej nie znalazłam.

– A zdjęcia gdzie trzyma?

– W dwóch pudełkach po butach.

– Gromadzi coś jeszcze?

Tadeusz Zuba wyszedł z pokoju i niechętnie zamknął za sobą drzwi. Matka, sporo od niego niższa, wzięła go za rękę, jakby to był przedszkolak, a nie kilkudziesięcioletni mężczyzna, i poszli do domu.

– Coś tam zbiera – stwierdziła Bożena. – Od dziecka zwoził tu różne pierdoły. Codziennie łąził na spacer do Chełmży i zawsze przynosił coś, co nadawało się wyłącznie na śmietnik.

– Ile miał wtedy lat?

– Oj, żebym to ja pamiętała. No, młodzi byliśmy. Mógł mieć, ja wiem, z szesnaście lat.

We wnętrzu domu słychać było pomrukiwania chorego mężczyzny.

Bożena Zuba odwróciła głowę w stronę korytarza.

– Idziecie do piwnicy? – spytała matkę, a kiedy ta potwierdziła i dodała coś jeszcze, czego Gross nie mógł usłyszeć, Zuba odwróciła się do policjanta i szepnęła. – Chodźmy, bo on długo tam nie wytrzyma. Zje ciasto, wypije mleko i czmychnie na dwór.

Gross poszedł za tęgą kobietą, której szerokie stopy ledwie mieściły się w laczkach na obcasie. Skręciła do kuchni i wyjęła z wielkiego gara solidną kość, wywar kapał na podłogę.

Kiedy wyszli na werandę, Zuba zatrzymała policjanta.

– To dla psa, schowam go w stodole, bo inaczej będzie wył – powiedziała i zeszła po schodach, ostrożnie stawiając kroki.

Gross usłyszał skomlenie zwierzaka i zgrzyt furtki.

– No już, Brutus, już, zaraz dostaniesz kość, zaraz. Dobry pies, dobry.

Pies zaszczekał, a potem zapiszczał radośnie.

Komisarz odczekał i wychylił się, żeby spojrzeć w stronę kojca. Był pusty. Ruszył więc śladem Zuby i dotarł na podwórze dokładnie wtedy, gdy kobieta wyszła ze stodoły i zamknęła stare drewniane wrota na skobel. Machnęła energicznie na Grossa, by wszedł szybko do pokoju jej brata.

Gross szarpnął drzwi.

Pomieszczenie przypominało niewielki, pozbawiony okien warsztat. Było wąskie i niskie. Panował tu półmrok. Komisarz nie zdążył wymacać włącznika światła, kiedy drzwi się uchyliły i weszła Bożena Zuba.

– Ja zapalę – powiedziała i przekręciła stary ebonitowy włącznik.

Wisząca na ścianie lampa osłonięta drucianą kratą rozbliżyła żółtym światłem. Gross nie musiał już mrużyć oczu.

Po prawej znajdowało się łóżko z brudną pościelą, wytartą i pomiętą. Na końcu pomieszczenia stały stare krzesło i rozkładany kwadratowy stół. Po lewej znajdowała się sporej wielkości szafa, ciężka, z rzeźbionymi drewnianymi ornamentami. Na jej wierzchu leżały ogromne, wykręcone, prawdopodobnie bawole rogi.

Komisarz podszedł do stołu z szufladą. Wysunął ją i wyjął jedyny znajdującym się tam przedmiot.

– Co tym otwiera? – spytał szeptem, unosząc stary, sporej wielkości klucz do prostego zamka.

– Nie mam pojęcia. – Zuba wzruszyła ramionami.

Gross rozejrzał się, ale nie dostrzegł żadnych mebli wyposażonych w zamek poza szafą. Oba jej skrzydła były jednak uchylone. Mimo to komisarz sprawdził, czy klucz pasuje.

Nie pasował. Gross cofnął się i odłożył przedmiot na miejsce, dokładnie tak jak leżał tam wcześniej. Delikatnie wsunął szufladę z powrotem.

Zuba w tym czasie otworzyła szafę na oścież.

– Widzi pan? Niczego tu nie ma – powiedziała, uśmiechając się.

Komisarz spojrział do wnętrza starego, wykonanego z pełnego drewna mebla. Śmierdziało w nim kurzem i trudnym do zidentyfikowania, duszącym zapachem. Po prawej znajdowała się część przeznaczona do wieszania ubrań, z wygiętym od dźwigania ciężarów drągiem. Komorę po lewej przedzielono od góry obszernymi półkami. Na dole znajdowały się cztery szuflady, z czego jedna pozbawiona była uchwytu.

Gross kucnął i wyciągnął pierwszą z nich. Potem drugą i trzecią. Wszystkie były puste. Spróbował wysunąć czwartą, ale nie udało mu się. Wsadził palec do dziury po uchwycie, szuflada jednak nawet nie drgnęła.

– Pan to zostawi – szepnęła Zuba. – Zdjęcia są tutaj.

Komisarz odwrócił się. Kobieta odchyliła brudną pościel i uniosła część zapadającej się pośrodku wersalki.

Gross pomógł jej, a następnie wyciągnął z komory dwa sporej wielkości pudła po butach.

– Weźmy je stąd. Nie mamy tyle czasu, żeby je tu oglądać – stwierdził.

Kobieta pokiwała głową.

– Pan da, pójdę pierwsza i zaniosę do domu.

Gross zgodził się na to rozwiązanie.

Kobieta podeszła do drzwi i je uchyliła.

– Zaraz przyjdę – powiedział Gross i po chwili został w pomieszczeniu sam.

Ponownie sięgnął po trzymany niedawno w rękach klucz, ale tym razem domyślał się jego zastosowania. Wsunął go w okrągły otwór po uchwycie w szufladzie szafy i obracał, szukając niewielkiej wnęki w drewnie, dzięki której mógł zakotwiczyć wystającą część klucza i pociągnąć szufladę. W końcu trafił. Szuflada wysunęła się z trudem, jakby coś ją blokowało.

Gross zerknął do środka i zmarszczył czoło.

Była pusta.

Wsunął ją z powrotem i zamknął szafę, odłożył klucz na miejsce i zgasił światło.

Wyszedł na podwórze i spojrział w okna pokoju gospodyni. Stała tam jej córka, Bożena, która znowu energicznie kiwała na Grossa.

Jednak coś go zatrzymało w pół kroku.

– Pies – powiedział bezgłośnie.

Pokiwała głową i zniknęła.

Gross miał jeszcze chwilę. Wcale nie chodziło mu o psa, ale zyskał dzięki temu na czasie.

Wrócił do pokoju jej brata i powtórzył wszystkie czynności, żeby raz jeszcze wyciągnąć szufladę z dołu. Potem zerknął na pozostałe szuflady i przekonał się, że miał rację.

Dolna szuflada była płytsza, chociaż z zewnątrz nic tego nie zapowiadało.

Wyciągnął ją całkowicie i wtedy spod spodu wypadła pożółkła papierowa teczka zasnurowana taśmą.



Kiedy aspirantka sztabowa Monika Skalska wyszła z hotelu, spiekota była nie do zniesienia. Centrum wyglądało jak wyludnione. Kilka osób przemykało tą stroną deptaka, na którą rząd kamienic rzucał błogosławiony cień.

Przeszła na drugą stronę wybrukowanej ulicy, do Tygryska, po nowy notatnik, bo w starym zostały już tylko dwie czyste kartki. Zanim wyszła ze sklepu, wybrała numer, który otrzymała od Michała Bąka. Chciała od razu sprawdzić, czy mężczyzna nie kłamał w sprawie odrestaurowania łodzi.

Nikt jednak nie odbierał.

Być może faktycznie facet siedział teraz na wczasach.

Zamierzała schować telefon do kieszeni, jednak ten rozbrzmiał znaną jej melodią.

– Halo?

– Cześć, Skalka, tu Jurek. Oddzwaniam w sprawie... – Umilkł, a Skalska usłyszała w głośniku szelest papierów. – W sprawie tej Patrycji Szwed.

Przypomniała sobie, że na prośbę Grossa wrzuciła komendzie miejskiej oficjałkę dotyczącą rozpoczęcia procedury namierzania telefonu zaginionej.

- Co masz? – Przystanęła w cieniu.
- Dziwna rzecz. Telefon co jakiś czas loguje się do stacji bazowych w Chełmży.
- Czyli że co?
- Wygląda na to, że ktoś po prostu włącza na krótko telefon i wyłącza go z powrotem.
- Dzwoni gdzieś wtedy?
- Tak. Prześlę ci zaraz raport. Będziesz go miała w skrzynce.
- Dzięki. Powiedz mi tylko, czy robi to o jakichś określonych porach.
- Nic na to nie wskazuje. Jeden wielki chaos.

Pogadali kilka minut. Skalska zdążyła w tym czasie dojść do opustoszałego komisariatu i wejść na drugie piętro. Uruchomiła komputer i program pocztowy, a następnie wydrukowała załącznik wysłany przez policjanta z Torunia.

Zawierał spis numerów telefonów z poprzedniego i bieżącego miesiąca, na które wydzwanianie z telefonu Patrycji Szwed. Co ciekawe, od kiedy zaginęła, widniał tam tylko jeden numer.

Skalska sięgnęła po materiały w tej sprawie. Odszukała dane kontaktowe matki dziewczyny i porównała je z wyciągiem.

- O kurwa – wyszeptała w chwili, gdy kolega z prewencji zajrzał do pokoju.
- Słyszałaś? – spytał przejęty.
- O czym?
- O Stefańskim.
- Nie, a co z nim? – Zirytowała się, że ktoś przerywa jej pracę.
- Walczy o życie w szpitalu.



Gdy Gross podziękował Zubom za pomoc i pożegnał się z nimi, Brutus warczał i szczełał, odsłaniając kły. Pochylił łeb, gotowy do ataku, który zapewne by przypuścił, gdyby nie to, że znajdował się w kojcu. Komisarz wsiadł do samochodu i zerknął w stronę werandy. Stały tam obie z nieodgadzionymi minami, matka i córka, podobne do siebie.

Odjechał sprzed domu Zubów, ale zatrzymał się tuż przed drugim zakrętem, skąd dobrze widział dom Palacza. Zjechał na pobocze, żeby nie tarasować drogi.

Od Marioli Zuby wyszedł z przeświadczeniem, że coś mu umknęło. Coś istotnego, jakiś szczegół, którego w żaden sposób nie umiał teraz przywołać w pamięci.

Odtwarzał w myślach ostatnią rozmowę, którą odbył z nią tuż przed opuszczeniem ich domu. Kiedy skończył przeglądanie fotografii i schował dwa kartony z powrotem do zniszczonej wersalki, Zuba coś sobie przypomniała. Ponownie usiadła przy stole z zapaloną lampką.

– Kiedy byłam z Tadzikiem na dole, długo myślałam o tej fotografii – przyznała. – Nadal nie jestem pewna, ale coś sobie uświadomiłam.

Gross czekał na ciąg dalszy.

Kobieta palcem wskazującym postukała w fotografię swojego męża i Stefana Palacza.

– Wie pan, dzięki tej dwójce zrozumiałam, na co patrzę – oznajmiła. – Nie pamiętam dokładnie, który to był rok, ale strzelałabym, że osiemdziesiąty czwarty albo piąty. – Spojrzała na komisarza. – Wtedy, proszę pana, obaj dołączyli do kółka rolniczego w Grzywnie. Dlatego zrobili sobie to zdjęcie do kroniki. Podobno mieli taką tradycję, że gdy ktoś wstępował do koła, to wołali fotografa.

Gross podziękował, ale informacja nie zrobiła na nim większego wrażenia. Schował wówczas

fotografię do torby i wstał.

Teraz, kiedy wieczór zgęstniał i niebo na wschodzie przechodziło w ciemny granat, wysiadł, żeby się przespacerować. Szedł w stronę Chełmży. Daleko przed nim, nad drzewami, wystawał dach „meczetu”, jak mieszkańcy nazywali wielki silos cukrowni. Po prawej od niego widział dwie wieże: kościoła Świętego Mikołaja oraz konkatedry. Nigdzie się nie spieszył. Myśli uporczywie wracały do tego, co przegapił w trakcie rozmowy z Mariolą Zubą.

Spacer jednak nie przyniósł rozwiązania.

Gross wrócił do samochodu i spojrzął na ogrodzenie domu Palacza. Wyciągnął telefon. Przypomniał sobie, że Jarek Bloch, technik z komendy w Toruniu, był zainteresowany kupnem ziemi w tym rejonie. Wysłał mu SMS z numerem komórki Palacza wymalowanym na pożółkłej tablicy powieszonyj na zniszczonym drewnianym płocie. Dopisał, że rolnik sprzedaje działki nad jeziorem. Dopiero po chwili przyszło mu do głowy, że kiedy tydzień temu stali rankiem, po całonocnym zabezpieczeniu śladów, na płatnej, technik mógł jedynie rzucić luźny pomysł, za którym nie kryły się poważne zamiary.

Gross obawiał się, że wysyłając tę wiadomość, naraził się na śmieszność.

Wrócił do samochodu i ruszył w kierunku Chełmży, ale już po stu metrach znowu przystanął na poboczu. Popatrzył na drogę, potem w lewo, na rzadko spotykany wysoki słup energetyczny. W rzeczywistości były to dwa słupy, do których przyczepiono czarne kable sieci biegnącej wzdłuż drogi. Oba żelbetowe drągi połączono trzema poprzecznymi belkami. Z tej najwyższej, łączącej ich szczyty, wychodziły trzy linie energetyczne, które znikwały daleko stąd, za odnogą jeziora. Na najniższej podporze ustawiono zieloną porzewiałą skrzynię.

Gross poznał ten słup po starym rysunku sytuacyjnym z dawnych akt, na którym ktoś wiernie odwzorował niespotykaną konstrukcję. To właśnie w linii prostej od tego słupa, po prawej stronie drogi, tu, gdzie zatrzymał golfa, znaleziono stare, zepsute zabawki. Tutaj także Tadeusz Zuba wyrządził krzywdę małej Magdzie, córce zaginionej.

Policjant poczuł, że jest blisko uchwycenia myśli, której poszukiwał od wyjścia z domu Zubów.

Spojrzał w lusterko wsteczne. Palacz stał przed domem i patrzył w jego kierunku. Komisarz wysiadł i skinął mu głową. Pozostał jednak przy samochodzie.

– Co pan tu robi? – krzyknął Palacz. – Szukał mnie pan?

Gross przepuścił nadjeżdżającego motocyklistę w skórze z frędzlami i ruszył w stronę starego domu pokrytego czerniejącym, zniszczonym eternitem. I tym razem się nie spieszył. Obserwował starego rolnika, który schylił się po kupkę wypielonego zielska i wyrzucił je za płot. Poruszał się niezwykle zwinnie jak na swój wiek.

– Które działki pan sprzedaje? – spytał Gross, kiedy stanął przed ogrodzeniem, a następnie wyjaśnił: – Pytam, bo kolega jest zainteresowany.

– Działki? – Rolnik schylił się po ostatnią kupkę chwastów. Cisnął nimi za ogrodzenie. Na dłoniach miał gumowe rękawice. Otarł przedramieniem czoło i wskazał w stronę jeziora. – Te, tam.

– Z dojdziem do jeziora?

– Tak, mam takie dwie. Ostatnie już.

– Drogo?

– A co jest dziś tanie? Na pewno nie ziemia, proszę pana – powiedział, sięgając po gracę na długim trzonku i zatapiając ją w ziemi porośniętej ostem.

– Być może mój kolega będzie dzwonił w tej sprawie. Przekazałem pana numer. Ten z reklamy.

– Policjant?

Gross potwierdził, a mężczyzna wciąż dłubał gracą w ziemi.

Komisarz wszedł na wypieloną ziemię po lewej i schylił się, żeby wyrwać trawę.

– Niech pan tam nie włązi, do cholery! Zasiałem dopiero!

Policjant przeprosił i wrócił na betonowy chodnik. Palacz wziął oparte o dom grabie i wzruszył ziemię w miejscu, w którym policjant zostawił odciski obuwia.

Zachodzące słońce rozpałało ściany domu i rzucało cień obu sylwetek na cementowy tynk.

Gross wyjął z torby fotografię, którą niedawno pokazał Marioli Zubie.

– Wie pan, z którego roku jest to zdjęcie? – Podszedł do rolnika i pokazał mu fotografię.

– Co to? – spytał Palacz, przerywając pracę. Oparł się na trzonku narzędzia. – A, toż to stare jak świat. Chyba z osiemdziesiątego piątego.

Gross postanowił udawać, że nie wie nic na temat zdjęcia.

– Kto je zrobił? – spytał.

Rolnik wziął fotografię do ręki i ją odwrócił. Nie widniał na niej żaden podpis.

– Fotograf z Chełmży, Jan Wójcicki. Już nie żyje, dobry chłop był z niego, miał zakład na Błogosławionej Juty. Piękne zdjęcia robił.

– A z jakiej okazji powstało?

– Wstąpienie nowych członków do spółdzielni. Taka lokalna tradycja.

– Spółdzielni?

– Tak, kółek rolniczych w Grzywnie.

– Ile osób wtedy przyjęło?

– Tylko nas, to znaczy mnie i Zdzicha. – Kiwnął głową w stronę domu Zubów.

– Co was do tego skłoniło?

– Tu, na naszych ziemiach – rozejrzał się – było kilku rolników indywidualnych, którym można było świadczyć usługi. Poza tym wtedy w Grzywnie produkowano różnego rodzaju narzędzia i osprzęt, więc łatwiej nam było się we wszystko zaopatrywać, a wiadomo, że w tamtych latach to nawet o głupie gwoździe było trudno, nie? Więc się ucieszyliśmy.

– Zyskaliście na tym?

– Oj, panie! Roboty było wtedy co niemiara. Chodziliśmy jak te tłoki w silniku. Tyle że krótko to trwało, bo po osiemdziesiątym dziewiątym wszystko szlag trafił.

Komisarz odebrał zdjęcie.

– Zna pan wszystkich tych mężczyzn?

– No pewnie. Zmienili się, ale nie aż tak bardzo.

– A ten to kto?

– Cebula. – Rolnik nawet nie musiał patrzeć na zdjęcie.

– Andrzej Cebulkiewicz? – dopytał Gross.

– Tak. We własnej osobie.

– A gdzie wtedy mieszkał?

– Tam, gdzie teraz. Kiedy będzie pan jechał do Chełmży, to ostatni dom w Strużalu, po lewej.

Gross przyjrzał się mężczyźnie z fotografii. Dopiero teraz zauważył w tej twarzy znajome rysy.

Komisarz schował fotografię i przypomniał sobie coś z rozmowy z Bożeną Zubą, kiedy był u niej pierwszy raz. Kobieta mówiła, że wieczorem, kiedy zaginęła Krystyna Palacz, siedziała z matką na werandzie, a we wsi było cicho, i że pies Palaczów, chociaż nie lubił swojej pani, nie zaszczekał ani razu.

Gross postanowił sprawdzić ten wątek.

– A pies? – spytał. – Co stało się z pańskim psem?

– Którym?

– Tym, co go mieliście, zanim zaginęła pańska żona.

– Mówiłem już. Uciekł.

– Nie mówił pan, bo jeszcze o to nie pytałem – odparł komisarz.

Mężczyzna stęzał na chwilę.

– Pana kolegom, milicjantom, mówiłem.

– Kiedy uciekł?

– No jak? – Rolnik rozłożył ręce. – W dniu zaginięcia żony. Wyrwał łańcuch i uciekł.

– Łańcuch?

– No, psy się wtedy na łańcuchu trzymało. Takie czasy były, nikt nie protestował i wszystko było normalnie, nie tak jak teraz. – Zaśmiał się, ukazując równe, sztuczne zęby.

– Zerwał się z łańcucha? – nie dowierzał komisarz.

– Nie, panie. On wyrwał cały łańcuch i z łańcuchem poszedł w diabły.

Gross milczał przez dłuższy czas, a rolnik wrócił do grzebania gracą w ziemi.

– Wrócił?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie. – Spojrzał na policjanta. – Przepadł tak samo jak oni.

Komisarz chciał już odejść, zrobił nawet kilka kroków w stronę uchylonej furty, ale zawrócił.

– Jeszcze jedno.

– No, słucham? – Palacz kolejny raz przerwał robotę.

– Tadeusz Zuba, chory syn pana sąsiadów.

– Co z Tadzikiem? Czemu pan o niego pyta?

– Strasznie narozrabiał po zaginięciu pana żony. Miał wtedy trudny okres.

Palacz westchnął.

– Wie pan, faktycznie tak było. I ja go nieraz widziałem, jak z gołą dupą po wsi latał, jak fiuta pokazywał paniątkom. Jak nieraz próbował je obmacywać. Niektóre to się go bały, a niektóre tylko się podśmiewywały. Ale po ludzku to mi go było trochę żal – wyznał Palacz.

– Trochę żal? – zdziwił się Gross.

Palacz popatrzył w niebo.

– Już pan o tym wie?

– A pan chciałby o tym zapomnieć?

– Nie. Nie da się. Do dziś trudno mi zrozumieć to, co zrobił mojej córce. – Posmutniał. – Poszedłem na policję, ale potem żałowałem, bo znowu się nad nim znęcali.

Komisarz wpatrywał się w wody jeziora, które otaczały łąd z prawej.

– A to podkładanie ognia pod stogi siana jakoś nie pasuje do jego ówczesnych poczynań – zauważył komisarz.

– To prawda.

– Zastanawiał się pan czasem, dlaczego to zrobił?

– To były stogi jego ojca, a Zdzichu, tuż przed moimi imieninami, złożył mu skórę. Nie mam pojęcia za co, zresztą nigdy nie trzeba było specjalnego powodu, by sąsiad sięgnął po pas. – Palacz oparł gracę o ścianę domu. – Wszyscy wiedzieli, że to była zemsta Tadzika. Straż przyjechała, ale było już za późno. Musieli tylko uważać, żeby ogień nie poszedł po polu ani nie dotarł do domów. Spaliło się wszystko. Nad ranem dogasili ostatki i się zawinęli.

Gross zastanowił się nad tym.

– A jak na te wcześniejsze ekscesy Tadeusza Zuby reagowała pańska żona?

– Krysia? – Uśmiechnął się. – On Krysię w zasadzie ubóstwiał. Jak matkę. I to nie jak własną, bo własna to go nieraz ścierą przez plecy zdzieliła. Mówiłem Zdzichowi, żeby coś powiedział swojej starej, ale kazał mi mordę na kłódkę trzymać i nie wtrącać się w ich sprawy. Pokłóciliśmy się zresztą o to traktowanie Tadzika. Był bity, poniewierany, i przez rodziców, i przez siostrę. Chociaż się do tego nie przyznawali. Niech pan ich zapyta, to powiedzą, że Tadzik jest lepiej traktowany niż papież w Watykanie. Ale prawda jest taka, że zupełnie sobie z nim nie radzili. Samopas był puszczonej. I tylko ta moja Krysia się nad nim litowała. Ciastem go częstowała i kompotem, czasami głaskała go po głowie. A on z Madzią lubił przebywać, uspokajał się przy niej. – Rolnik uśmiechnął się do tamtych chwil. – Moja Krysia chyba sądziła, że jeśli będzie mu tak matkować, to mu wybije te głupoty z głowy.

– Pomogło?

– Wie pan, to zło w nim brało się ze zła w jego rodzinie. – Rolnik spojrzał w dal, mrużąc oczy od słońca. Wyraz jego twarzy złagodniał.

Komisarz chciał się już pożegnać i odejść.

– Kiedy wracał z Chełmży, bo on lubił dużo łązić, to do nas wpadał. Zresztą do dziś tak ma. Zajrzy do mnie czasem, dam mu parę groszy, to sobie czekoladę kupi albo drożdżówkę. Dobry chłopak z niego.

Gross drgnął na te słowa. Przypomniały mu to, o czym mówiła Bożena Zuba, a co tak nie dawało mu spokoju, od kiedy pożegnał sąsiadki Palacza.

– Jego siostra mówiła, że za każdym razem przynosił coś z miasta – powiedział.

Pomarszczona skóra rolnika nabrała w wieczornym słońcu brązowego blasku.

– Cholera, czego on tu nie przywoził! – Zaśmiał się. – Ale to wszystko były śmieci. Zwykle śmieci. Szukał różnych pierdół w śmietnikach i zabierał je do domu. Głównie zabawki. Przywoził je dla Magdy, ale przecież były kompletnie bezużyteczne.

Gross trawił tę informację.

– Powiedział pan, że je przywoził?

– Słucham?

– Jak je przywoził?

– No normalnie. – Rolnik spojrzał na Grossa. – Miał taki stary wózek dziecięcy.



Gross zatrzymał samochód po lewej, przy czerwonym klinkierowym ogrodzeniu, za którym wyrastał piętrowy biały dom, kryty ceramiczną dachówką. Tuż za nim kończył się Strużał, o czym informowała tablica z przekreśloną nazwą miejscowości, a nieco dalej górował nad okolicą charakterystyczny silos cukrowni.

Furtka była zamknięta, brama garażowa też. Zadzwoił domofonem, ale nic się nie wydarzyło. Obszedł więc ogrodzenie z lewej i wpatrywał się w okna eleganckiego domu. W środku nie zauważył żadnego ruchu.

– Pan do kogo? – Usłyszał, gdy szedł wzdłuż płotu od wschodniej strony. Odwrócił się.

Młody korpulentny mężczyzna stał przy płocie. Oderwał się od odkurzania samochodu, który stał w cieniu przed domem.

Gross zdecydował się do niego podejść. Sięgnął po odznakę.

– To dom państwa Cebulkiewiczów? – Pokazał kciukiem za plecy.

– Tak, ale sąsiedzi są na wakacjach. A coś się stało? – powiedział mężczyzna, po czym przedstawił się i podał policjantowi rękę nad siatką.

– Dobrze mieć takiego sąsiada jak pan – pochwalił Gross. – Niech mi pan powie, kręcił się tu ktoś ostatnio?

– Ale kiedy? Podczas ich nieobecności?

– Tak.

– Jedynie syn, bo też tutaj mieszka. – Wskazał palcem na poddasze.

– Sam się kręcił? Kiedy to było?

– Sam, ale nie pamiętam dokładnie. Z dobry tydzień temu. Nałoił się jak bąk, kolega go odprowadził. A czemu pan pyta?

Gross zaprzeczył.

– Mówił, że się dokądś wybiera? Wyjechał na wczasy?

– Nie, ale mi z nim nie po drodze. Jeśli już, to rozmawiam z jego ojcem.

– Stary Cebulkiewicz prosił, żeby miał pan oko na jego dom? – spytał Gross, przyglądając się sąsiadowi.

Mężczyzna miał osadzone blisko siebie oczy i gruby nos.

– Tak, prosił, żeby zerknąć.

Komisarz jeszcze raz się rozejrzył. Na tyłach działki znajdował się murowany garaż na dwa samochody, z niebieskim szyldem nad wejściem.

- Czyj to warsztat? – zapytał policjant.
- Młodego. Ale stoi zamknięty. Już dawno nikomu samochodu nie naprawiał.
- Konkurencja za duża?
- Mój ojciec zawsze mawiał, że jeśli ktoś jest dobry, to konkurencję wykosi.
- Rozumiem – odrzekł Gross. – Dziękuję za informację.

Komisarz podszedł do samochodu i spojrział w kierunku jeziora. Uzmysłowił sobie, że zatrzymał się tutaj kilka dni temu, gdy chciał przejść drogą między polami w stronę brzegu, do miejsca, z którego rozciągał się idealny widok na plażę płątną.



Policjant wrócił do domu i zjadł lekką kolację. Zaparzywszy sobie drugą herbatę, przeniósł się z kuchni do salonu. Zabrał akta i przeglądał dokumentację zaginięcia Krystyny Palacz, popijając gorący napar. Po kilkudziesięciu minutach poczuł, że pieką go oczy. Sięgnął po telefon i zadzwonił do Skalskiej.

- Jakieś nowe wieści? – spytał.
- A wiesz już o Stefańskim?
- Co z nim? – zainteresował się Gross.

Przypomniał sobie, że aspirant dzwonił do niego, szybko się jednak rozłączył. Obiecał skontaktować się później, ale może zapomniał.

– Miał wypadek. Prawdopodobnie zasnął za kółkiem. Nie zapiął pasów. Jest w stanie krytycznym.

Gross oparł łokcie na blacie i podparł czoło ręką.

- Kiedy i gdzie?
- Blisko Chełmży. Nieco ponad dwie godziny temu.
- Co mówią lekarze?

– Wprowadzili go w stan śpiączki farmakologicznej. Nie chcę za wiele mówić, w każdym razie zrozumiałam, że nie jest dobrze. Rodzina, to znaczy żona i syn, już u niego była. Od koleżanki pielęgniarki wiem, że wołali księdza.

- Źle – mruknął Gross i poczuł mocniejsze uderzenia serca. Bolesne i krótkie.
- Źle – powtórzyła Skalka.

Gross pożegnał się i odłożył telefon.

Przetarł oczy i sięgnął po herbatę, ale jej nie dopił. Odsunął kubek dalej od siebie.

Nie mógł uwierzyć w tę wiadomość o aspirancie, z którym jeszcze niedawno rozmawiał przez telefon. Czuł jego zapał do pracy, wiedział, że Stefański wyciągnął z Bachotka dużo informacji i chciał się nimi podzielić. Ale nie zdążył.

Komisarzowi zakręciło się w głowie.

Odczekał kilka minut, a następnie stanął przy otwartym oknie.

Patrzył na Chełmżę. Rodzinne miasto Stefańskiego.

Ponownie poczuł znany ból w okolicach mostka. Jednocześnie tępy i narastający. Rozmasował to miejsce.

Przez otwarte okno dobiegała go rozmowa sąsiadki z trzeciego piętra. Cofnął się więc w głąb mieszkania, żeby nikt go nie usłyszał, i dopiero wtedy zadzwonił do dyżurnego. Zebrał podstawowe informacje i połączył się z szefem toruńskiej drogówki.

– Wszystko wskazuje na to, że Stefański zasnął za kierownicą. Albo wiesz, mógł mieć jeszcze zawał – zasugerował Marcin Kortas, naczelnik wydziału drogowego.

– Zawał?

– Taka pogoda. Dla sercowców najtrudniejsza.

– Żadnych śladów hamowania? Nic, co wskazywałoby na...

– Żadnych – uciął Kortas. – Zahaczył o drzewo prawym bokiem. Podbiło go na nierównościach, zrobił przewrótkę i szorując dachem po asfalcie, uderzył w kolejny pień. Zakreśliło nim i skończył w rowie. Nasi mówili, że straszny widok. Może wszystko by się inaczej skończyło, gdyby miał zapięte pasy.

Komisarz podziękował za informacje i się rozłączył. Natychmiast wybrał numer do Lucyny Wojtasik. Zrelacjonował jej po kolei wszystko to, co sam usłyszał. Wyjaśnił przy okazji, co Stefański robił w Brodnicy.

– Chryste – powiedziała. – Zadzwoń do dyrektora szpitala.

– Daj znać, gdy się czegoś dowiesz.

– Dam.

Gross odłożył aparat na stół i dopiero wtedy zobaczył, jak trzęsły mu się ręce.



Nie wiedział, ile czasu minęło od rozmowy ze Skalską, ale nic nowego nie było o Stefańskim wiadomo. Jego telefon uparcie milczał. Komisarz uznał, że powinien skupić myśli na czymś ważnym, żeby przetrwać ten trudny moment oczekiwania na wieść o poprawie zdrowia aspiranta. Dlatego wmawiał sobie, że musiał kontynuować to, co zaczął.

W sprawie zabójstwa na płatnej wciąż nic się nie zgadzało. Natomiast w sprawie zaginięcia Krystyny Palacz z mgły zaczęły się wyłaniać poszczególne elementy. Wydawało mu się, że zbliża się do chwili, w której to, co do tej pory wiedział, połączy się ze sobą, tworząc ciąg zdarzeń, którego początek stanowiły ogniwa odpowiedzialne za przyczyny, a koniec – za skutki. Co jeszcze musiał w tej sprawie wiedzieć? Sporo. Ale był świadomy, że po takich odkryciach kolejne przychodzą szybciej, łączą się ze sobą, aż w końcu łańcuch utworzy zamkniętą pętlę i zaciśnie się na szyi sprawcy.

Krystyna Palacz, smutna kobieta, patrzyła na niego ze zdjęcia zrobionego przez Tadeusza Zubę.

Gross wrócił myślami do należących do mężczyzny kartonów z fotografiami. Faktycznie, zgodnie z tym, co powiedziała Bożena Zuba, nie było w nich żadnego zdjęcia, które mogłoby zainteresować komisarza. Większość została zrobiona bez odpowiedniego ustawienia przesłony. Były rozmazane, prześwietlone lub niedoświetlone i fatalnie skadowane. Pełno fotografii, które rodzice ówczesnego nastolatka wywoływali w chełmżyńskim zakładzie fotograficznym tylko po to, by chłopiec miał czym zająć niespokojne myśli. Tak przynajmniej powiedziała Grossowi Bożena, a potwierdziła to jej matka.

Kartonowa teczka na dokumenty, którą znalazł ukrytą pod spodem szuflady, była pusta. Nie widniało na niej żadne nazwisko. Ktoś musiał zabrać jej zawartość dawno temu albo przygotował ją na ważne papiery, których nigdy tam nie włożył. Tak czy siak, jej odnalezienie nic nie dało, nie popchnęło sprawy naprzód.

Gross spakował akta dotyczące zaginięcia kobiety ze Strużala do torby i wyszedł z domu. Podeszwy jego butów szurały po szlacie ulicy Plażowej, kiedy schodził w stronę jeziora i pomostu.

Miasto odpoczywało po długim dniu. Mijał spacerowiczów z psami, widział dwóch wędkarzy cumujących łódki i słyszał ich rozmowę. W nieruchomej tafli wody odbijała się oświetlona ciepłym blaskiem reflektorów iluminacyjnych panorama miasta, a tuż pod nogami miał wysunięte wieże kościołów.

Zszedł z pomostu i skręcił w prawo, w stronę opadającej ku jezioru ulicy Sądowej. Minął

budynki „Włókniarza” i ruszył pod górę chodnikiem z kostki brukowej.

Zawrócił.

Nie mógł teraz myśleć o niczym innym. Nie potrafił się skupić.

Szybkim krokiem dotarł do garażu i wyprowadził wóz. Przejechał przez Chełmżę i kierował się dalej drogą na Pluskowęsy.

Bez trudu rozpoznał to miejsce.

Zwolnił.

Po prawej, w przydrożnym rowie, widoczne były ślady zerwanej darni, która odsłaniała wyżłobioną czarną ziemię. Minął drzewo z odartą korą. Wreszcie dojechał do wysokiej topoli z nagim, rozszarpanym u dołu pniem.

Włączył światła awaryjne i wysiadł z golfa. Począł, aż z przeciwka przejedzie biały dostawczak, który oślepił go źle ustawionymi reflektorami. Chwilę później poczuł na twarzy podmuch wiatru.

Komisarz podszedł do drzewa i dotknął zranionego pnia.

Zamknął oczy.

Widział Janusza Stefańskiego drącego wniosek urlopowy.

Widział człowieka złamanego, przymuszonego do tego gestu i zupełnie bezbronnego.

– Bądź silny, Janusz – wyrwało się z jego ust.

A kiedy wracał do samochodu, zrozumiał coś jeszcze.

Nie nadawał się na szefa.

A skoro tak, to podjął ważną decyzję.

Musiał z tym po prostu skończyć.



Wszedł do szpitala i skierował się na oddział intensywnej terapii, ale kiedy zobaczył żonę i syna Stefańskiego, którego poznał zimą zeszłego roku, wycofał się.

Nie miał prawa im teraz przeszkadzać.

Odszukał pielęgniarkę i pokazał jej legitymację. Po cichu zapytał o rokowania.

– Rokowania? Za chwilę będą przygotowywać rodzinę do zgody na pobranie organów do przeszczepu – odpowiedziała.

Gross nie pamiętał, co było dalej.

Ocknął się dopiero w komisariacie, kiedy zatrzasnęły się za nim ciężkie drewniane drzwi. Oparł się o nie i oddychał płytko. Serce tłukło się w szybkim rytmie.

Przełknął ślinę i opanował zżerający go stres.

Przywitał się z dyżurnym, który skinął głową i zwolnił komisarzowi blokadę drzwi wewnętrznych, oddzielających klatkę schodową od pomieszczeń jednostki.

Kroki Grossa zadudniły na drewnianych schodach.

Wszedł do swojego gabinetu, włączył lampę i położył torbę na stole.

Usiadł za biurkiem i siedział tak kilkadziesiąt minut.

Potem włączył czajnik i złapał za telefon stacjonarny. Połączył się z dyżurnym i poprosił go o numer komórkowy do żony Stefańskiego. Odebrała po drugim sygnale. Wyjaśnił szybko, kto dzwoni.

– Chciałem przekazać pani i synowi, że jest mi bardzo przykro.

Kobieta zapłakała.

– W poniedziałek mieliśmy jechać... mieliśmy lecieć... – Urwała.

– Pani mąż to silny człowiek. Powinien z tego wyjść – powiedział wbrew temu, co usłyszał

w szpitalu.

– Mieliśmy lecieć razem na urlop. Wykupił dla nas wycieczkę do Turcji. Pierwszą wspólną wycieczkę od lat, tak daleko, w takie piękne miejsce. Sam na to wpadł, sam o to zadbał.

Gross milczał.

– W poniedziałek mieliśmy tam być, a tymczasem...

Znów zapłakała i chwilę trwało, zanim odzyskała zdolność do dalszej rozmowy. Gross nie wiedział, czy powinien coś powiedzieć, pocieszyć Stefańską. Ilekroć miał taki dylemat, wybierał milczenie.

– Mam do was żal. – Kobieta pociągnęła nosem, ale tym razem w jej głosie zamiast bólu Gross usłyszał gorycz. – Mam do was wielki żal. Gdyby komendantka dała mu ten urlop, gdyby nie wysłała go do tej przeklętej Brodnicy, wszystko byłoby inaczej.

– Zapewniam panią, że to nie jest wina komendantki. To ja nie dałem mu urlopu – przyznał Gross. – I to ja wysłałem go do Brodnicy.

Nastąpiła cisza.

Gross wiedział, że Stefańska wciąż jest po drugiej stronie. Słyszał jej oddech, płytki i urywany, pociągnięcia nosem.

– A czy pan wie – zaczęła – że jeśli mój mąż umrze, to będzie pańska wina? Pańska wina, do jasnej cholery! – ryknęła.

Komisarz drgnął.

Do jego uszu dochodziło teraz jej sapanie.

– Wiem – powiedział. – I raz jeszcze chcę wyrazić moje współczucie. Bardzo mi przykro.

Odłożył słuchawkę i przysłonił twarz rękoma.

Chciał odpocząć, znaleźć chwilę wytchnienia, uspokoić się, nabrać niezbędnego dystansu, popatrzeć na świat i to, co się wokół niego działo, z innej perspektywy. Powinien tak zrobić, ale nie umiał.

Włączył komputer, żeby przygotować pismo. Kiedy było gotowe, wydrukował je w dwóch kopiach i położył przy klawiaturze.

Myślał o konającym Stefańskim, o jego rodzinie. O czekającej ich żałobie. O synu, który w tak młodym wieku straci ojca, o kobiecie, która zostanie wdową, i o ich życiu, które zanim odzyska barwy, będzie pograżone w głębokim cieniu. Myślał o ciszy, która zawładnie ich domem, kiedy wrócą do niego już po śmierci Stefańskiego, i o drodze, jaką oboje będą musieli przejść, żeby wydostać się ze wszechogarniającej pustki i rozpaczy.

Gross raz jeszcze spojrzął na wydruki.

Przygniatało go bolesne poczucie winy.

I wtedy rozdzwonił się stacjonarny.

– Halo? – powiedział komisarz z trudem, bo niewidzialna pętla zacisnęła mu się na szyi, jakby przeczuwał, co zaraz nastąpi.

– Tu dyżurny. Panie komisarzu, właśnie się dowiedziałem. – Usłyszał smutny głos oficera. – Janusz Stefański nie żyje.

Drżącą ręką odłożył słuchawkę, która zsunęła się z bazy. Nie miał siły jej poprawić.

Opadł na oparcie fotela, jak po ciosie w samo serce.

Jakby właśnie pchnięto go nożem.

cztery dni później dzień dziesiąty

Nad ranem śniło mu się, że pływa w basenie przykrytym szklaną pokrywą. Próbował wypłynąć na powierzchnię, żeby zaczerpnąć tchu, ale nie dał rady. Uderzył głową w przezroczystą powłokę, próbował ją unieść rękoma, ale nawet nie drgnęła. Rozejrzał się nerwowo w poszukiwaniu drabinki, jednak żadnej nie dostrzegł. Basen był ogromny, a on pływał w nim sam.

Znikąd ratunku.

Spanikował. Szarpał się, bezskutecznie walcząc z grubą taflą szkła, aż zaczął opadać z sił. Im więcej energicznych ruchów wykonywał, tym szybciej mięśnie spalały tlen. I tym więcej go potrzebował.

Udawało mu się wstrzymać oddech, ale tylko do czasu.

Nagle woda wypełniła mu usta. Połykał ją gwałtownie i krztusił się, bo spływała nie tylko do żołądka. Zalała mu drogi oddechowe i wtedy zrozumiał, że to już koniec. To są jego ostatnie świadome chwile, za moment jego ciało będzie dryfowało na wodzie, plecami do tafli, której nie zdołał przebić.

Płuca płonęły żywym ogniem, odczuwał taki ból, jakby doszło w nich do kilku niewielkich eksplozji, które rozerwały delikatną, silnie ukrwioną tkankę.

Coś nim szarpnęło.

Obudził się i zerwał do siadu.

Dzięki otwartym oknom wypełnił zbolące ciało rześkim powietrzem.

Wstał i, dysząc ciężko, oparł się o parapet.

Daleko na horyzoncie brzask żegnał szarą noc.



Kilka godzin później wrócił z pogrzebu i usiadł w cichym gabinecie, żeby zebrać myśli. Na biurku stał niewielki karton, do którego zamierzał spakować prywatne drobiazgi i złożoną na pół kartkę, którą ktoś wsunął pod drzwi. Wielką czcionką napisano na niej „Żegnaj, komisarzu Śmierć”. Włożył ją na dno pudła, żeby nie zapomnieć, że winę za śmierć Grzegorza Otremy i Janusza Stefańskiego musi wziąć na siebie.

Widował kiedyś, dawno temu, takie sceny w filmach. Opuszczający miejsce pracy bohater zabiera wypełniony rzeczami osobistymi karton i wolno wychodzi z budynku, odprowadzany wzrokiem dotychczasowych współpracowników. Niektórzy spuszczaali głowę.

W rzeczywistości nigdy nie jest tak jak na filmie.

Wiedział, że po prostu się spakuje, zda broń, legitymację i odznakę, pojedzie z obiegówką do komendy w Toruniu, przywiezie ją z powrotem, a następnie zejdzie ostatni raz po drewnianych schodach komisariatu. Wyjdzie raz jeszcze na upał i jak co dzień oddali się w stronę pomostu.

Już w poniedziałek zostawił wniosek o przejście na wcześniejszą emeryturę u Wojtasik, ale komendantka jeszcze z nim na ten temat nie rozmawiała. Nie miało to jednak dla niego żadnego znaczenia.

Musiał odejść.

Nie umiał dłużej tego znosić.

– Bernardzie, wejdź do mnie, proszę. – W drzwiach pojawił się podinspektor Gabriel Kącki.

Komisarz skinął głową, ale się nie ruszył. Podniósł się dopiero po kilku minutach i wyszedł na opustoszały i cichy korytarz. To był trudny dzień nie tylko dla rodziny aspiranta Stefańskiego.

Nieważne, jak ginie policjant na służbie, ważne, że był zawodnikiem jednej i tej samej drużyny.

Gross, stwierdził to teraz przerażony, nigdy do niej nie należał. Nigdy nie walczył o to, by zostać członkiem tej społeczności, którą łączyło nie tylko noszenie policyjnego munduru. Nie pił wódki z kolegami, nie bratał się, nie gościł w ich domach. Porządkował ten świat dobra i zła po swojemu i chyba już nie umiał robić tego inaczej.

Uśmiechnął się zdawkowo do Beaty Rózyckiej, która wciąż miała opuchnięte od płaczu oczy.

Zapukał w uchylone drzwi.

Kącki siedział przy biurku, wyprostowany jak struna, z modnymi okularami w czarnej oprawie na nosie. Krótko przyszczyżone posiwiałe włosy zaczesał na bok. Po pogrzebie zdążył już zamienić mundur na czarny, gładki T-shirt i dżinsy tego samego koloru.

– Chodź, chodź. – Podinspektor wstał i zamknął drzwi.

Wskazał Grossowi miejsce, po czym obaj usiedli przy stole. Kącki splótł dłonie.

– Jak wiesz, sprawy pracownicze trafiają najczęściej do mnie – oznajmił.

Gross przypomniał sobie o tym w tej chwili, ale kiwnął głową, jakby doskonale pamiętał.

– I dlatego poprosiłem cię o rozmowę. – Kącki się nachylił. – Szczerą rozmowę.

– Wszystko, co miałem do powiedzenia, znajduje się w moim wniosku – odparł Gross.

– Zapoznałem się z nim. Zrobisz, co uznasz za stosowne, ale zanim stąd odejdziesz, chciałem prosić, żebyś mnie wysłuchał.

– Czy zamierzasz przekonywać mnie, że to nie była moja wina? – odezwał się Gross.

Kącki westchnął.

– Bernardzie, jesteśmy dorośli i każdy z nas popełnia błędy. Janusz wykonywał swoją pracę. Zasnął za kierownicą. Nie zapiął pasów. Nikt z nas nie może brać za to odpowiedzialności – zaznaczył.

Poruszone powiewem wiatru żaluzje zastukały cicho o ramę okna. Z oddali dobiegł ich krzyk bawiących się gdzieś w pobliżu Sądowej dzieci.

Kącki przetarł dłonią stroskaną twarz.

– To spadło na nas jak grom z jasnego nieba, ale nie możemy się obwiniać. – Umilkł. – Bernardzie, wszystko wskazuje na to, że Janusz na coś chorował, może po prostu był zmęczony. Żona mówiła nam przecież, że popołudniami często zasypiał na kanapie.

– Nie zapiął pasów? – Do Grossa dopiero dotarł sens wcześniejszych słów Kąckiego. To samo usłyszał przecież wcześniej od szefa toruńskiej drogówki.

– Tak. Gdyby to zrobił, siedziałby teraz w domu. Może i poobijany, ale na pewno by żył. Dlatego jeszcze raz podkreślam: nie jesteś niczemu winien.

Komisarz omiół gabinet wzrokiem.

– Dzwoniłeś do niego wtedy? – spytał, przypominając sobie, że Stefański przerwał z nim rozmowę, jeszcze zanim zdążył podzielić się rewelacjami, które zebrał w „Sarnie”.

– Tak, prosił mnie o pomoc. Twierdził, że musi zweryfikować informacje o mężczyźnie, który zgłosił się do szpitala z raną głowy. Janusz uważał, że może to mieć związek ze sprawą z płatnej. Zadzwoiłem do dyrektora szpitala, obiecał pomoc i prosił, żeby Stefański zgłosił się do Anny Sumińskiej, kierowniczki działu informacji medycznej. Chyba pełniła też funkcję rzecznika prasowego, jeśli dobrze zrozumiałem. W każdym razie oddzwoniłem do Stefańskiego i przekazałem mu jej nazwisko. Powiedział, że leci do niej. I więcej już go nie usłyszałem.

Kolejny raz zapadła cisza.

Kącki wyjął portfel z tylnej kieszeni czarnych dżinsów, a następnie wydobyl z niego żółtą karteczkę złożoną na pół. Podał ją Grossowi.

– To jej numer komórkowy. Załatwili go koledzy z Brodnicy – stwierdził.

Komisarz popatrzył na zapisany równym pismem ciąg cyfr oraz imię i nazwisko nieznaney mu kobiety.

– Ale nie o tym chciałem z tobą rozmawiać. – Kącki wstał i podszedł do biurka. Wziął do ręki dwie kartki, najpierw jedną, potem drugą. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że jeśli odejdziesz, stracę kolejnych dwóch pracowników, a przy założeniu, że obecnie znowu mamy dwa wakaty, sprawy wydziału utkną na długie miesiące. Nie odkopimy się z tego.

– Podjąłem decyzję – stwierdził Gross i podniósł się z krzesła. – Dziękuję za współpracę. – Wyciągnął rękę do Kąckiego.

– Nie proszę cię o zmianę decyzji – odparł podinspektor i przytrzymał dłoń Grossa. – Proszę tylko o odłożenie jej w czasie.

Komisarz pokręcił głową, a potem skierował się do drzwi.

– Jeśli obarczysz się winą za śmierć Otremby i Stefańskiego, to przekraczając próg tego gabinetu, będziesz musiał też wziąć odpowiedzialność za dalsze życie dwóch kolejnych osób. Udźwigniesz to?

Gross zamarł.

– Kto taki? – spytał.

– Słucham?

– Kto chce odejść?

Kącki odwrócił na chwilę głowę w stronę okna.

– Skalska i Judycka. Dowiedziały się, co planujesz, i dziś rano złożyły wypowiedzenia.

Komisarz spuścił głowę i zdjął rękę z klamki.

Poczuł dreszcz rozchodzący się po całym ciele, a niewidzialne ręce ścisnęły go za gardło. Łzy wypełniły mu oczy.

– Do kiedy? – wydusił.

– Nie rozumiem.

– Do kiedy miałbym zostać?

– Aż znajdziemy twój zastępcę, połatamy etaty i przeszkolimy nowe osoby.

– Czyli jak długo? – Wstydział się spojrzeć na Kąckiego.

– Najlepiej do końca roku.

– Cztery miesiące, nie licząc sierpnia – westchnął Gross.

– To tylko cztery miesiące.

– A co zrobisz z wnioskami Skalskiej i Judyckiej?

– Jeśli zostaniesz, uznam, że nie widziałem tych pism na oczy. A tam – Kącki wskazał na biurko – mam niszczać.

Gross czuł się jak zwierzę złapane w potrzask.

– Skorzystaj z niej – poprosił.

dzień jedenasty

Nad ranem komisarz wiercił się w łóżku, ale nie mógł już zasnąć. W końcu zrzucił z siebie kołdrę i poszedł pod prysznic. Długo opłukiwał ciało letnim strumieniem wody. W tym czasie chmury zdążyły zasnuć niebo i pogrążyły Chełmżę w szarościach.

Gross wyszedł z mieszkania i ruszył w stronę komisariatu, na dyżur. Kiedy wszedł do budynku, na korytarzach słychać było codzienny, poranny gwar. Minął uchylone drzwi do pokoju Jojczyk, ale usłyszał coś, co zatrzymało go w pół kroku. Cofnął się.

– Dajcie mu spokój – powiedziała szefowa prewencji. – Jesteście niesprawiedliwi.

– Gówno tam – prychnął szef dzielnicowych. – Coś w tym jest, Ola, mówię ci.

– Były już czarne wdowy i anioły śmierci, a teraz jest komisarz Śmierć – powtórzył drugi męski głos.

– He, he. Komisarz Śmierć, dobre. – Zaśmiał się pierwszy z mężczyzn.

– Pierdolicie jak potłuczeni, nie mam zamiaru tego słuchać – odparła zniesmaczona Jojczyk. – Wypieprzajcie na miasto.

Gross ruszył w górę po schodach.

„Jeszcze tylko cztery miesiące”, uspokoił się w myślach.

Przybity usiadł w swoim gabinecie i włączył komputer.

Nie porozmawiał z Moniką Skalską ani Judytą Judycką. One też nie zdradziły się ani słowem. Zresztą zupełnie nie wiedział, czy powinien im dziękować, czy się złościć, że przez ich decyzję zmusza się do pracy, której nie chciał już wykonywać.

A może się tylko bał.

Głównie o swoich ludzi. Być może nie wytrzymywali presji policyjnej orki, niekończących się tragicznych zdarzeń, które odciskały na nich piętno, i patologii toczącej z jednej strony społeczeństwo, a z drugiej ten zawód. Biurokracja rozrastała się niebywale szybko, szafy wypełniały się papierami, głowy puchły od ciągłego uczenia się nowych procedur i przepisów, funkcjonariusze uginali się pod ciężarem kolejnych obowiązków. Wszystko to sprawiało, że ci, którym policjanci mieli pomagać, liczyli się najmniej. Jakby ich w ogóle nie było.

Snuł te rozważania, podczas gdy wczoraj wieczorem zastanawiał się, czy będzie umiał żyć bez tej pracy. Jak miałby funkcjonować? Co robić godzina po godzinie, dzień po dniu i tydzień po tygodniu? Czy umiał zaplanować swoją przyszłość bez tego wszystkiego, co go przez tyle lat kształtowało i co nadawało jego naznaczonemu osobistą tragedią życiu sens?

Wątpliwości go przytłaczały.

Będzie musiał wszystko przemyśleć raz jeszcze, ale najpierw, chociaż śmierć i pogrzeb Stefańskiego wybiły go z rytmu, powinien skupić się na pracy.

Po odprawie z Nubińskim i Łoniewiczem wyjął dwie teczki zawierające dokumenty, które znał już niemal na pamięć. Zadzwonił do Skalskiej, żeby do niego zeszła, ale odebrała Judycka. Poinformowała go, że Skalka rozmawia przez komórkę i przyjdzie, gdy tylko skończy.

Czekając na aspirantkę sztabową, Gross doszedł do wniosku, że jak dotąd więcej danych zgromadził w nieformalnym śledztwie dotyczącym zaginionej ze Strużala, choć i do jego zamknięcia

droga była jeszcze długa i kręta. Wiedział, że prawdy o tamtych zdarzeniach będzie musiał szukać nie tyle w opisujących przeszłość dokumentach, ile wśród żyjących jeszcze świadków tego dramatu, ukrytej gdzieś w zakamarkach ich pamięci jak największa tajemnica. Tajemnica, która była jednocześnie najcięższym grzechem, rozkładającym się od wielu lat i zatruwającym ich umysły. Gross wiedział, że kiedyś w końcu ugną się pod ciężarem winy. Musiał tylko mieć dość sił i wytrwałości, aby stale być ich cieniem, nieoczekiwanie składać im wizyty i zmuszać ich pamięć do wysiłku.

Ponownie sięgnął po aparat i zadzwonił do domu podkomisarza Brandola.

– Halo? – przywitał go ten sam matowy kobiecy głos co przedtem.

– Komisariat policji. Z podkomisarzem Brandolem proszę.

– Mąż jest bardzo...

– Proszę natychmiast przekazać mu słuchawkę, w przeciwnym razie wyślę po niego radiowóz!

– zdenerwował się.

Po chwili usłyszał pozbawiony energii, słaby głos Brandola.

– Słucham? Kto mówi?

– Dlaczego się przede mną ukrywasz? – Komisarz trzymał nerwy na wodzy.

– Gross? To ty?

– Co ukrywasz?

Brandol zakaszłał głośno i skrzekliwie.

– Szybka emerytura, choroba w stadium terminalnym, a potem piwo w pubie Śliwka ze znajomymi. I jeszcze ta sprawa ze Strużala, którą mi przekazałeś. Co to wszystko ma znaczyć?

– Daj mi spokój, nie mam na to siły.

– Dowiem się – zapewnił go.

– Nie sądzę. A nawet jeśli, będzie już za późno – wyszeptał Brandol. – W zasadzie już jest za późno. – Znowu zaniósł się od kaszlu, a kiedy skończył, odezwał się ponownie: – Wszystko zbiegło się w czasie. Ale to już nie ma znaczenia.

– O czym ty mówisz?

– Ja naprawdę żegnam się z życiem, Bernardzie. I niczego przed tobą nie ukrywam. Ale rzeczywiście zależało mi na tym, byś rozwiązał tę sprawę.

– Wiesz więcej, niż mówisz.

– A ty jesteś lepszym psem ode mnie. – Brandol odchrząknął flegmę. – Tyle tylko, że teraz jest już za późno.

Gross potrzymał jeszcze chwilę słuchawkę przy uchu, ale dobrze wiedział, że podkomisarz się rozłączył.

Odepchnąwszy się od biurka, włączył czajnik i zaczął czekać, aż woda zacznie bulgotać.

Skałka wciąż nie przychodziła.

Zalał herbatę, myśląc o zabójcy z namiotu. Złościł się, że od tragicznych zdarzeń na plaży płatnej minęło kilkanaście dni, a oni wciąż nie mieli ciała, narzędzia zbrodni ani nawet ustalonego kręgu podejrzanych. Totalny chaos, płatanina oderwanych od siebie informacji, z których żadna nie dawała nadziei na szybkie rozwiązanie. Żadna z dróg nie prowadziła do finału i ujęcia sprawcy. Dlatego Gross musiał się koniecznie przyjrzeć najnowszym danym zebranym przez Skalską, a wcześniej przez Stefańskiego.

Połączył się z nadkomisarzem Jackiem Gospodarkiem, zastępcą naczelnika wydziału ruchu drogowego. Wymienili niezbędne uprzejmości, po czym Gross przeszedł do sedna.

– Czy samochód Stefańskiego jest na policyjnym parkingu?

– Tak.

– A rzeczy, które w nim były?

– Zabezpieczone, jak zawsze w takich przypadkach. Nie wydaliśmy ich jeszcze rodzinie, ale prokurator dał już zielone światło.

– Potrzebuję płyt CD, które miał w środku.

– Z muzyką?

– Nie, chodzi o płyty, na których nagrał pewne dane. Mogą być w jego plecaku.

– Poczekaj chwilę. – Gospodarek odsunął słuchawkę od ucha i jego głos był słabiej słyszalny. Ale nie mówił do Grossa, tylko do kogoś, kto zapewne znajdował się z nim w pokoju. – W wozie Stefka były jakieś płyty? Zerknij do spisu i daj mi znać, bo mam na linii komisarza Grossa z Chełmży... No tak, tylko załatw to szybko... Dobra, dzięki.

Gross czekał.

– Bernard, odezwę się za jakiś czas. Ale ty wiesz, że nie będę mógł ci niczego wydać bez podpisu proroka?

– A na kim to wisi?

– Na naszym ulubieńcu.

– Na Legnerze?

Gospodarek zaśmiał się.

– Wystarczy wspomnieć o ulubieńcu i już wszyscy wiedzą, o kogo chodzi. Niestety, musisz z nim pogadać.

– *Vis maior* – stwierdził Gross i się pożegnał.

Nie tracąc czasu, sięgnął po komórkę.

– Panie prokuratorze – powiedział, kiedy usłyszał głos Artura Legnera. – Potrzebuję pańskiej zgody na przejęcie płyt z nagraniami z samochodu aspiranta Stefańskiego.

– O, pan komisarz. Miło, że znowu pan dzwoni. I to tak sam z siebie, brawo! Nie spodziewałem się, a tu proszę! – zaczął wesoło Legner. – O co chodzi z tymi nagraniami?

– Aspirant Stefański wracał z Brodnicy, dokąd zaprowadziła nas sprawa z płatnej. Dzwonił do mnie i mówił, że przywiezie część nagrań z monitoringu ośrodka „Sarna” w Bachotku.

– Co konkretnie?

Gross podrapał się po karku.

– W sprawie zabójstwa na plaży płatnej...

– Zabójstwa? Niech pan nie pierdoli głodnych kawałków. Trupa pan nie masz, narzędzia pan nie masz i zabójcy też nie. Kibole chełmżyńskiej Legii poksyksali się o jakąś blacharę w mini, dali sobie po strzale w pysk i wszystko. Tyle z tego pana, pożałuj Boże, zabójstwa. A że tak krwawiło? No i chuj, widocznie łeb miał mocno ukrwiony. Zająłbyś się pan, panie komisarzu, czymś pożyteczniejszym, bo potem piszą o was w gazetach, że gówno robicie, tylko mandaty i mandaty.

– Muszę mieć te płyty. – Policjant zacisnął zęby.

– To se je pan weź i dupy mi pierdołami nie zawracaj. Tylko papiery mają być w porządku, jasne? Trzeba tak zrobić, żeby było czysto. Ale pan to akurat umie.

– Nawet lepiej niż pan, panie prokuratorze – odparował Gross i się rozłączył.

Włączył komputer i w międzyczasie zadzwonił pod numer z kartki, którą otrzymał od Gabriela Kackiego. Usłyszał kobiecy głos i się przedstawił.

– A, dzień dobry! Tak, dyrektor mnie uprzedzał, że ktoś z policji może zadzwonić. Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu śmierci kolegi.

– Dziękuję.

– Co chciałby pan wiedzieć? – spytała Anna Sumińska z brodnickiego szpitala.

– Czy mogłaby mi pani zrelacjonować rozmowę z Januszem Stefańskim?

Zrobiła to, a Gross w tym czasie zalogował się do komputera. Miał dwie nieodebrane wiadomości, jedną od znajomego grafologa, a drugą z laboratorium kryminalistycznego. Przyszły w poniedziałek, ale od śmierci aspiranta nie sprawdzał maili.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, to Przemysław Szydłowski był dwukrotnie zszywany, tak?

– Zgadza się.

– Ostatni raz dwie niedziele temu?

– Potwierdzam.

– Co to była za rana?

– Zgodnie z wypisem była to rana cięta głowy.

– Cięża?

– Tak twierdził chirurg. Zdaniem pacjenta powstała od urazu, którego nabawił się na zlocie samochodów terenowych w Grudziądzu w sobotę. Podobno uderzył w rant jakiejś części stelaża od plandeki. Pan Szydłowski twierdził jednak, że koledzy opatrzyli mu ranę. Niestety, głowa wciąż krwawiła, dlatego następnego dnia przyjechał do izby przyjęć.

– A ta wcześniejsza rana?

– Ramię. Drobny uraz od pilarki. Nic groźnego.

– Kiedy to było?

– Pod koniec lipca.

Gross sięgnął po długopis i zanotował to.

– Dziękuję za informację – powiedział i odłożył aparat.

Postukał długopisem w blat biurka, a następnie spojrzął na ekran. Zignorował nieprzeczytane maile i poszukał w internecie informacji o zlocie samochodów terenowych w Grudziądzu. Wskoczyło kilka odnośników do artykułów zamieszczonych na portalach lokalnych gazet. Data motoryzacyjnej imprezy się zgadzała. Niespełna dwa tygodnie temu, w sobotę, zjechały do Grudziądza terenówki i oldtimery z całej Polski. Komisarz kliknął w link do galerii zdjęć i przełączał je tak długo, aż natrafił na sfotografowaną kolumnę starych radzieckich maszyn. Było ich kilkanaście, jechały jedna za drugą ulicą Wybickiego w kierunku Rynku, o czym informował podpis pod fotografią.

Zamknął przeglądarkę.

Czy Szydłowski rzeczywiście siedział w jednym z tych wozów? Sprawdzenie tego mogłoby im zająć długie tygodnie. Komisarz się zastanawiał, czy iść tym tropem. Wiedział, że nie wystarczyłoby przesłuchanie kierowcy i innych współpasażerów Szydłowskiego, którzy brali udział w tamtej przejażdżce, bo przecież wszyscy mogli go kryć. Właściciel ośrodka mógł im nawet zapłacić za potwierdzenie swojej wersji.

Przedzwonił do Judyckiej i polecił, żeby skontaktowała się z organizatorami zlotu i poprosiła ich o przesłanie listy zgłoszeniowej zawierającej wszystkie załogi powojkowych radzieckich terenówek. Konkretnie chodziło mu o imiona i nazwiska oraz numery telefonów, a także adresy zamieszkania właścicieli pojazdów, o ile ktokolwiek je spisał.

– Jeśli nie, to oczywiście potrzebne nam będą numery tablic rejestracyjnych – dodał.

– Jasne, zrobi się. Zacznę od ludzi z okolic Grudziądza – zaproponowała Judycka.

– Doskonale, dziękuję.

Gross ponownie spojrzął na ekran monitora.

Kliknął na pierwszą nieprzeczytaną wiadomość, która zawierała jedynie załącznik. Otworzył dokument zapisany małą czcionką. Przebiegał się przez kolejne akapity opinii znajomego grafologa. Gross miał świadomość, że nie będzie to żadna wiążąca ekspertyza z kategoryczną opinią. Nie było na to najmniejszych szans. Po pierwsze dlatego, że przekazał biegłemu skany, które ten mógłby natychmiast wyrzucić do kosza jako nieprzydatne. Po drugie, materiał porównawczy, a więc niedawny zapis zrobiony przez Bożenę Zubę w notatniku policjanta, ograniczał się wyłącznie do kilku cyfr oraz imienia i nazwiska matki tej kobiety. Mimo to grafolog uznał wstępnie, że „zapisy widniejące na przedmiotowym anonimie mogła nakreślić Bożena Zuba, której wzory pisma ręcznego przesłano jako materiał porównawczy”, a więc w starym anonimie. Ekspert podkreślał jednak, że jego opinia nie może mieć charakteru kategorycznego, i podał warunki, które należałoby spełnić, by ekspertyzę porównawczą przeprowadzić zgodnie ze sztuką. Gross znał je na pamięć.

Ale to nie było teraz ważne.

Bożena Zuba słowem nie zdradziła, że to ona widziała pod domem sąsiadów czerwonego poloneza. Że anonim był jej autorstwa.

Gross kliknął w jeszcze jeden nieprzeczytany mail.

Ten dotyczył wyników badań krwi i profilu DNA z plaży płatnej i, co ciekawe, również z koszuli harcerskiej, znalezionej w mieszkaniu Krystiana Bogusławskiego, ojca Patrycji Szwed.

Komisarz przeczytał wiadomość, a następnie ją wydrukował. Wstał od biurka i odwrócił się

w stronę okna.

– Chryste – powiedział cicho i złapał się za głowę.

Dostrzegł Skalską, która szła od ulicy Kopernika i przecinała właśnie Sądową, by dotrzeć do komisariatu. Widocznie wyskoczyła na chwilę do centrum.

Na dole zebrano się kilku funkcjonariuszy. Policjantka zatrzymała się i rozmawiała z nimi.

Gross wykorzystał ten czas na jeszcze jeden telefon.

– Halo? – Usłyszał głos, który dobrze znał.

– Dzień dobry – przywitał się. – Mówi Bernard Gross.

– Coś się stało? – spytała kobieta.

– Muszę poznać odpowiedź na jedno pytanie.

– Słucham. Zresztą może pan zejść, jestem w mieszkaniu.

W tle usłyszał drugi kobiecy głos. Nie była sama.

– Nie chcę przeszkadzać, a poza tym dzwonię z komisariatu.

– A, rozumiem. Ale czy coś się stało? Chodzi o zaginięcie mojej mamusi? – zaniepokoiła się.

– Właściwie jeszcze nie wiem – oznajmił zgodnie z prawdą. – W każdym razie chciałem spytać o coś, co chyba umknęło mojej uwadze.

– Co takiego?

– Zrobiła pani coś jeszcze, żeby odnaleźć matkę, prawda?

– Nie wiem, co ma pan na myśli, mówiąc...

– Oprócz corocznego przypominania w mediach o jej zaginięciu zrobiła pani coś jeszcze. Coś bardzo ważnego, chociaż w starych aktach nie ma o tym ani słowa.

– Czy może pan mówić jaśniej? Naprawdę zaczynam się bać. – W jej głosie usłyszał lęk.

– Ma pani rację, przepraszam. Nie zamierzałem pani przestraszyć – wyjaśnił. – Chciałem tylko zapytać, jak i kiedy udało się pani przekazać policji materiał zawierający DNA pani matki. I skąd go pani miała?

– Ach, o to chodzi. – Odetchnęła. – Boże, a ja już myślałam, że pan na coś trafił, że jest jakiś nowy ślad...

Gross czekał, aż Magdalena Palacz odpowie na jego pytanie.

– No więc, to było krótko po śmierci mojej babci – zaczęła. – Pojechałam do Olsztyna, żeby sprzedać jej mieszkanie i wywieźć stare meble. Kiedy zabrałam się do porządków, w jednej z szuflad, w których babcia trzymała biżuterię, znalazłam stary srebrny sekretnik. Były w nim zdjęcie mojej mamy, wtedy kilkuletniej, uśmiechniętej, pyzatej dziewczynki, i pukiel włosów, bardzo jasnych, które z czasem zupełnie jej ściemniały. Ale te jasne włoski, równo obcięte i dobrze związane, spadły na podłogę, kiedy otworzyłam medalion.

– Co pani z nimi zrobiła?

– Przekazałam olsztyńskiej policji.

– Olsztyńskiej? Dlaczego nie w Chełmży?

– W Olsztynie musiałam zostać przez jakiś czas, żeby załatwić formalności z mieszkaniem. Poza tym sporo się wtedy mówiło o policyjnych archiwach X, w mediach stale o tym trąbili przy okazji rozwikłania różnych dawnych spraw. No i o roli badań DNA w dochodzeniu do prawdy. Pomyślałam sobie, że warto spróbować, że skoro już mam te włosy, to trzeba kuć żelazo póki gorące. Zresztą kiedy się zgłosiłam do komendy w Olsztynie, powiedzieli mi, że poinformują kolegów z Chełmży, że w papierach mamy zostanie po tym ślad.

Gross wiedział, że do niczego takiego nie doszło, prowadzący to śledztwo w Chełmży zwyczajnie nie mieli o tym pojęcia. Gdzieś zawiódł czynnik ludzki albo w procedurze tkwił ukryty błąd. Teraz nie miało to jednak żadnego znaczenia.

– Ale dlaczego pan o to pyta? – zreflektowała się. – Czy chce pan coś przede mną ukryć?

Na biurku komisarza zadzwonił telefon.

– Przepraszam, muszę kończyć. Zajrzę do pani wieczorem, będzie pani w mieszkaniu?

– Tak, będę.

- W takim razie dokończymy tę rozmowę – zapewnił i pochylił się nad blatem, żeby sięgnąć po słuchawkę aparatu stacjonarnego.
- Gross, słucham.
- Bernardzie, mówi Gospodarek. Mamy dla ciebie te płyty, Legner zgodził się, żebyś je zabrał.
- Dużo ich?
- Cztery. Jedna wygląda na zniszczoną, nie wiem, co z tego będzie.
- Wrzuć je do koperty i przekaz dyżurnemu. Odbiorę je jeszcze dziś.



Kwadrans później wciąż wpatrywał się w schemat z naniesionymi miejscami odnalezienia śladów na płacie, w tym harcerskiej lilijki. Jakiś pomysł błysnął mu w głowie, kiedy drzwi się otworzyły i do gabinetu weszła Skalska.

– Jestem – rzuciła, przeżuwając gumę. Była ubrana w dżinsowe spodnie i białą bluzkę z dużym emblematem motocyklowej marki Harley-Davidson. Ściągnęła bejsbolówkę. Czarne włosy jak zawsze związała w długą kitę, którą przerzuciła na klatkę piersiową. Sięgały niemal do pasa.

– Chcesz herbaty? – spytał, chociaż chyba nigdy wcześniej jej tego nie proponował, przecież nie miał nawet drugiego kubka.

Podziękowała.

– Musimy domknąć te dwie sprawy – oznajmił.

– Którą najpierw?

Zastanowił się nad jej słowami i podał jej wydruk.

– To z płacie? – Podniosła na niego wzrok.

Potwierdził.

Położyła kartkę na blacie. Czytała w ciszy, z twarzą zawieszoną nad wydrukiem. W końcu poprawiła się na krześle i spojrzała w jego stronę.

Woda zabulgotała i czajnik głośno pstryknął.

– Że co? – spytała, niedowierzając.

– Czytaj dalej.

Pochyliła się ponownie, a kiedy skończyła, zapatrzyła się na biurowe szafy.

– Jak to możliwe? – spytała, chociaż chyba nie oczekiwała żadnej odpowiedzi.

Wzruszył ramionami.

– Ale widziałeś się z nią?

– Tak.

– Miała jakieś rany? Na głowie albo na rękach?

– Żadnych – odparł i zamyślił się, po czym patrząc Skalce prosto w oczy, dodał: – Dlatego jestem przekonany, że krew znaleziona na płacie i na koszuli Patrycji Szwed nie może być krwią Magdaleny Palacz.



Gross wypił ostatni łyk drugiej herbaty, a Skalka wypluła gumę do kosza i podeszła do okna wychodzącego wprost na stary, gotycki kościół. Spędzili kilkadziesiąt minut na analizowaniu

zebranych danych i potrzebowali czasu na ich weryfikację.

– O czym tak myślisz, co? – spytała, przyglądając się sakralnej architekturze. – Przecież to zwykły błąd. W poniedziałek pogadamy z labo i wszystko się wyjaśni.

Gross rozłożył ręce. Długo ważył słowa.

– Rzecz w tym, że to wcale nie musi być błąd – stwierdził.

Uśmiechnęła się z politowaniem.

– No błagam cię. Popieprzyli coś ze śladami albo doszło do kontaminacji, więc nie ulegajmy od razu...

– Obawiam się, że może być zupełnie inaczej. – Komisarz wstał i wskazał na dwie otwarte teczki leżące na biurku. Jedną z materiałami dotyczącymi zabójstwa na plaży płatnej, drugą – z dokumentacją zaginięcia Krystyny Palacz.

Odszukał kilka dokumentów i wypiął je z teczek, po czym ułożył obok siebie. Skalska skupiła wzrok na zadrukowanych kartkach papieru.

Gross przyglądał się jej młodej twarzy i ciemnej oprawie oczu.

Oparła dłonie na blacie. Jej paznokcie były matowe, a wokół nich gdzieniegdzie zauważył pozadzieraną skórki i zaczerwienione, drobne strupy.

– Data – stwierdziła w końcu.

Gross potwierdził i wziął do ręki pierwszy z dokumentów.

– Krystyna Palacz zaginęła osiemnastego lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. Trzydzieści lat później – sięgnął po kolejną kartkę – jej córka publikuje coroczny apel na Facebooku i w innych mediach społecznościowych. A kilka dni później dzieje się to.

Komisarz przyłożył palec do następnego dokumentu znajdującego się na biurku.

– Dochodzi do dziwnych wydarzeń na obozie harcerskim. Dwóch wychowawców znika na całą noc, a Patrycja Szwed rezygnuje z harcerstwa. Wreszcie – dotknął kolejnego formularza – dochodzi do zabójstwa na plaży płatnej, jak również do zaginięcia Patrycji Szwed.

– Jasna cholera. – Skalska oparła ręce na biodrach. – Ale powiedziałeś przecież, że Magdalena Palacz nie miała żadnych ran głowy ani innych widocznych ran na ciele.

– I nadal to podtrzymuję. Nie mieszajmy jej w to, bo zaciemnimy sobie obraz – poradził. – Jeśli wyczytasz się w informację ekspertki z labo, to zauważysz, że jest tam mowa o wynikach śladów krwi z płatnej. Ale chodzi o badanie DNA mitochondrialnego, a nie jądrowego.

– I co z tego?

– Różnica jest zasadnicza. Magdalena Palacz przekazała policji pukiel włosów swojej matki. Potwierdziła mi to niedawno przez telefon – dodał. – Te włosy zostały odcięte, więc żaden z nich nie ma cebulki, dzięki której można by było oznaczyć DNA z jądra komórkowego.

– Możesz jaśniej?

– Właśnie w tym tkwi cały sekret. DNA mitochondrialne zawiera inne informacje niż DNA jądrowe. I teraz uważaj, bo to jest niezwykle istotne. Tak jak pisze biegła, u ludzi DNA mitochondrialne dziedziczy się tylko i wyłącznie w linii żeńskiej.

– Szefie, do cholery, można prosić bez naukowych zagadek?

Gross przyjrzał się jej zniecierpliwionej minie.

– To nie jest krew Magdaleny Palacz – zapewnił po raz kolejny.

Wzniosła oczy do sufitu.

– To samo mówiłeś już na początku! W takim razie czyja to krew?

Gross przygryzł wewnętrzną część policzka.

– Pomyliłem się. Cały czas zakładałem, że ofiarą z płatnej jest kobieta. A tymczasem to był mężczyzna.

– Kto?

– Jej brat – oznajmił. – Zaginiony przed trzydziestoma laty brat Magdaleny Palacz.



Wciąż siedzieli w opustoszałym komisariacie, dusznym i cichym, z widokiem na zasnuęte ciężkimi chmurami niebo nad Chełmżą.

Czas mijał, a oni nadal mieli mnóstwo pytań.

– Dobra, jeszcze raz od początku – zaproponowała Monika Skalska. – Chcesz powiedzieć, że ktoś zabił brata Magdaleny Palacz?

– Gdyby tak było, wówczas znaleźlibyśmy jego ciało. A jeśli nie my, to ktoś inny. Albo w tym cholernym namiocie, albo w jeziorze. Ale nie mamy zwłok, więc jedyna opcja jest taka, że mężczyzna stracił dużo krwi, ale przeżył.

– Kogo masz na myśli?

– Szydłowskiego, właściciela ośrodka „Sarna”. Zgłosił się z raną na głowie do szpitala w Brodnicy w zeszłą niedzielę z samego rana. Natomiast w nocy z soboty na niedzielę mógł zabrać Patrycję Szwed i Martina Cebulkiewicza do Chełmży.

– Jak to?

– Tyle zdążył mi zrelacjonować Stefański. Na nagraniu z kamery Szwed i Cebulkiewicz wychodzą przez bramę ośrodka i wsiadają do samochodu. Auta w kamerze podobno nie widać. Dlaczego? Być może dlatego, że Szydłowski wiedział, jaki zasięg mają kamery i gdzie ma stanąć, by nawet fragment samochodu nie pojawił się w kadrze.

– Cebulkiewicz też jest na tym nagraniu?

– Czemu cię to dziwi?

Nie odpowiedziała, tylko się zasępiła.

– Mamy informacje od Stefańskiego i nagrania, które wkrótce przywiezę – powtórzył Gross. – W każdym razie Janusz go rozpoznał. Poza tym poszczególne elementy pasują do siebie. Oczywiście, mam świadomość, że cały czas trzymamy się jedynie poszlak, ale może jeśli pójdziemy tym tropem, łańcuch przyczynowo-skutkowy ułoży nam się ogniwo za ogniwo.

Miał wrażenie, że nie przekonał Skalskiej, która szukała w kieszeni paczki gum.

– Niby co takiego pasuje? – spytała.

– Wkrótce zyskamy potwierdzenie, ale wydaje się, że to właśnie Szydłowski zadzwonił w lipcu do Magdaleny Palacz, tuż po tym, jak opublikowała coroczne ogłoszenie o zaginięciu swojej matki.

– Czego od niej chciał?

– Powiedział, że prawdopodobnie jest jej bratem.

– Prawdopodobnie? – Skałka wydmuchała balon. – A wiemy coś więcej na ten temat?

– Nie, bo Palacz się rozłączyła. Wystraszyła się, numer był zastrzeżony, więc później, kiedy już ochłonęła, nie miała jak oddzwonić. A mężczyzna więcej się z nią nie kontaktował.

– Co robił w takim razie w namiocie na plaży płatnej?

– Nie wiem. Tak samo jak nie wiem, jaka jest w tym wszystkim rola Patrycji Szwed i Martina Cebulkiewicza.

Skalska intensywnie żuła gumę, jej żuchwa drgała.

– Wiemy tylko, co także jest zasługą Stefańskiego, że Patrycja Szwed i ten Cebulkiewicz wcale nie są parą, jak twierdziła matka dziewczyny – przypomniał.

Policjantka wyglądała na nieobecną.

– Jesteś jeszcze ze mną czy już odpłynęłaś? – Gross czuł narastającą irytację.

Westchnęła.

– Możemy więc przypuszczać – odezwała się po chwili – że albo ona, albo Cebulkiewicz znali wcześniej Szydłowskiego i celowo zorganizowali wypad licealistów właśnie do „Sarny”.

– Sądziś, że chodziło im o alibi? – zainteresował się Gross. – Organizują wakacje dla całej

grupy, a nocą zarówno Szwed, jak i Cebulkiewicz znikają z „Sarny” razem z Szydłowskim i jadą do Chełmży.

– Tak, to ma sens – potwierdziła Skalka.

– Ma, chociaż... – Komisarz nagle zwątpił. – Gdzieś w tym wszystkim jest jakiś wyłom. Młodzież musiała wiedzieć o ich wypadzie. Przecież kryła Patrycję.

Skalska podciągnęła nogi i oparła superstary o siedzisko krzesła.

– Niekoniecznie – uznała. – Może po postu młodzi nie chcieli jej wkopać, a nie wiedzieli dokładnie, dokąd pojechała i co robiła. Dlatego nie puścili pary z ust.

Gross podrapał się po odrastającym zarostcie i milczał.

– Tylko jaki, do cholery, mieliby powód, żeby akurat nocą wrócić do Chełmży? – spytała policjantka.

– Dobre pytanie. Tak samo dobre jak to, gdzie są teraz Patrycja Szwed i Martin Cebulkiewicz. Wydaje się, że oboje zniknęli z radarów.

– Z Patrycją to już w ogóle dziwna sprawa. – Skalska z powrotem opuściła nogi.

– Co masz na myśli?

– Kazaleś mi zlecić namierzenie jej telefonu. Okazuje się, że dziewczyna siedzi w Chełmży. Co jakiś czas włącza aparat i kontaktuje się z matką.

– Byłaś u niej?

– Zanim przyszedłam do ciebie, rozmawiałam z nią przez telefon, a potem się do niej wybrałam.

– I?

– Wycofała zgłoszenie zaginięcia córki.

– Tak zwyczajnie?

– Powiedziała, że Patrycja do niej zadzwoniła i poinformowała ją, że jest cała i bezpieczna. I że się ukrywa, bo się boi.

– Czego?

– Matce przekazała tylko, że to ma związek ze sprawą z Zalesia.

Skalska zrelacjonowała Grossowi rozmowę ze Śródką.

– Do czego tam doszło? – Komisarz splótł dłonie za głową.

– Nie wiem. Ale jest coś jeszcze. Śródką nie był tego pewien, jednak zasugerował, że Martin Cebulkiewicz mógł skrzywdzić Patrycję. Może ją uderzył, może groził jej, że jeśli z nim zerwie, to on się nią zajmie, wiesz, takie tam teksty.

– Mów dalej.

– I to by się zgadzało z tym, co się wówczas wydarzyło. Patrycja zadzwoniła do starego Cebulkiewicza i się poskarżyła. A ten nie wahał się jej pomóc.

– Pytanie, dlaczego uwierzył jej, a nie swojemu synowi – zastanowił się Gross.

– Punkt dla ciebie. Ale sprawdziłam tego Martina i czystej kartoteki to on u nas nie ma. Być może więc ojciec, pomagając Szwed, po prostu chciał ustrzec syna przed kolejnymi kłopotami.

– To brzmi sensownie. Gorzej z tym, co się działo później. Bo niby czemu Szwed miałaby pojechać do Bachotka z młodym Cebulkiewiczem?

Skalska się skrzywiła.

– Jest młoda i głupia. Może dała mu się przekonać, że znowu będą razem, że będzie pięknie. Może zapłacił za ten wyjazd albo kupił coś ładnego u jubilera. – Podsuwała pomysły.

Gross pokiwał głową.

– Pytanie tylko, skąd krew na jej koszuli – dodała. – I to krew, jak wszystko na to wskazuje, Szydłowskiego.

– To akurat proste. Pojechali razem i razem wrócili. To oznacza, że mieli jakiś wspólny interes, ale po drodze natrafili na kłopoty. Szydłowski dostał dwa razy w głowę. Krwawił obficie, a ona starała się mu pomóc.

– Wszystko fajnie, Bernardzie, ale po cholere wkładałaby koszulę harcerską?

Gross wzruszył ramionami.

– Na pewno nie miała jej na sobie, kiedy opuszczała „Sarnę”. Poza tym nie była już wtedy w harcerstwie.

– Więc?

– Może to rodzaj inscenizacji? – Głośno myślał.

– Czerwone stringi też? – spytała Skalska, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Milczeli, bo ich teoria nie wytrzymała zderzenia z logiką.

– Porozmawiaj jeszcze raz z jej matką – polecił Gross. – Uprzedź, że nadal będziemy szukać jej córki, że dziewczyna może być świadkiem tajemniczych zdarzeń w Zalesiu oraz na płatnej i że może jej grozić niebezpieczeństwo. Powiedz, że zapewnimy jej ochronę.

Gross wstał i podszedł do drzwi. Otworzył je i wrócił, żeby uchylić okno. Przeciąg poderwał kartki z biurka. Komisarz pozbiierał je i położył na nich klawiaturę.

Zastanawiał się nad czymś. Wyjaśnienia, które układali wspólnie ze Skalską, wciąż go nie zadowalały.

– Cebulkiewicz kręcił się przy domu rodziców – zaczął. – I tak się dziwnie składa, że ten dom znajduje się naprzeciwko polnej drogi, którą można dotrzeć na brzeg jeziora, skąd jak na dłoni widać plażę płatną.

– To tam, gdzie czekałeś na Tadeusza Zubę?

– Tak, to dokładnie to samo miejsce.

Skałka przekrzywiła głowę.

– Sądzisz, że mieli tam punkt obserwacyjny? – spytała.

– Ale po co? I w jakim celu rozstawili namiot na płatnej?

– Zaczynam wątpić, czy kiedykolwiek się tego dowiemy.

Spojrzał na nią.

– Więcej cierpliwości – poprosił. – Na razie nic się nie układa, ale tak jest zawsze. Chaos może się okazać naszym sprzymierzeńcem.



Komisarz Gross wsiadł do samochodu i pięć kilometrów za Chełmżą minął topolę odartą z kory, przy której paliło się kilka zniczy. Obok leżał wieniec. Podmuch wiatru spod kół przejeżdżającego z naprzeciwka forda poderwał żałobne wstęgi.

„Komisarz Śmierć”, zabrzmiały w jego głowie słowa, które niedawno i usłyszał, i przeczytał.

Musiał się z tym uporać.

Myślał o umierającym detektywie Arkadiuszu Brandolu, który odchodząc ze służby, dał mu do rozwiązania sprawę, której sam nie zdołał wyjaśnić. Albo z różnych przyczyn nie chciał jej wyjaśnić. Jednak po ich ostatniej rozmowie, podczas której Brandol powiedział, że jest już za późno, Gross zrozumiał znacznie więcej. Nie zdąży wywlec starej tajemnicy na światło dzienne przed śmiercią chudego policjanta. To właśnie miał na myśli Brandol. On rzeczywiście odchodził. Słysząc to było w jego przyciszonym, słabnącym głosie, widać było w jego pochylonej postawie, zbolałym wyrazie twarzy i papierowej, szarej skórze okrywającej ciało, które od wewnątrz rozkładała wyniszczająca choroba.

W uszach Grossa wciąż brzmiały słowa Brandola.

„Jest już za późno”.

Komisarz miał już wystarczające dowody świadczące o tym, że obie sprawy się ze sobą łączą. I nie chodziło tylko o wyniki badań krwi i DNA na plaży płatnej. Miał wrażenie, że gra toczy się o większą stawkę. Nakładanie się dat wydarzeń też za tym przemawiało. W lipcu pojawiło się

ogłoszenie Magdaleny Palacz i wtedy zadzwonił do niej Szydłowski, podając się za jej brata. W tym samym czasie doszło do dziwnych zdarzeń na obozie harcerskim, w którym brał udział Andrzej Cebulkiewicz, ojciec Martina. I wreszcie bardzo prawdopodobne było to, że Szydłowski, Cebulkiewicz i Szwed pojawili się na plaży płatnej, na której w zeszłym tygodniu doszło do tragedii. Z kim się wówczas spotkali i po co?

Połączył się ze Skalską i zadał jej to samo pytanie.

– Nie mam bladego pojęcia. Cały czas myślę o facecie z fotodermatozą albo o tych chłopakach, którzy terroryzowali plażę płatną. Nic jednak nie wskazuje, by znali Patrycję Szwed i młodego Cebulkiewicza, nie mówiąc już o Szydłowskim.

– Dlaczego nie wyprała koszuli, tylko schowała ją do łóżka w domu ojca? – Chciał poznać punkt widzenia Skalskiej.

– Nie wiem – odparła. – Mieszkała z matką. Może się zwyczajnie bała, że ta zobaczy krew i narobi rabanu?

– Mogło tak być. Pytanie jednak, po co ją zostawiła. Dlaczego nie wyrzuciła jej gdzieś po drodze do Bachotka? Na przykład na stacji benzynowej albo gdziekolwiek?

– Nie wiem – przyznała smutno Skalka. – Może się im nie przelewało?

– Ale przecież zrezygnowała już z harcerstwa – zaznaczył Gross.

– Nie pomagasz – westchnęła. – Wciąż wiemy za mało.

– Nie przejmuj się, to się wkrótce zmieni – obiecał. – Do usłyszenia.

Po obu stronach drogi mijał rżyska. Ciągnęły się daleko, przecinane jedynie kwartałami wysokiej kukurydzy i drzewami na miedzy, a także rozrzuconymi gdzieś domostwami.

Zajął myśli innym ważnym wątkiem ze sprawy płatnej. A co, jeśli rzeczywiście to Szydłowski jest bratem Magdaleny Palacz? Czy to oznaczało, że wraz z nim w „Sarnie” żyła też matka ich obojga, Krystyna Palacz?

To pytanie spadło na niego nagle i pobudziło go do jeszcze intensywniejszego myślenia. Wciąż nie wiedział, co się stało osiemnastego lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku w Strużalu. Dokąd poszła trzydziestoletnia wówczas kobieta? Co zrobiła? Jaki miała plan? Dlaczego zabrała tylko jedno dziecko, a drugie zostawiła w domu?

Dwie sprawy, które dzieliło trzydzieści lat. Całe życie Magdaleny Palacz i niemal połowę życia jej ojca. Dwie nitki, które łączyły się w jednym punkcie i biegły dalej, ale już obok siebie, jak widziane spod chmur dwie jezdnie autostrady. Wiedział, że tym punktem była polana na plaży płatnej i rozstawiony na niej zakrwawiony namiot.

I wtedy zrozumiał.

Nie uda mu się zakończyć śledztwa dotyczącego zdarzeń z płatnej, jeśli nie odkryje powodów zaginięcia smutnej kobiety ze Strużala.

To wszystko łączyło się w jedną całość.

Komisarz skręcił z drogi wojewódzkiej w gminną, zgodnie z drogowskazem na Bachotek. Dotarł do rozwidlenia dróg i tablicy wskazującej kierunek do ośrodka „Sarna”. Po kilku minutach wolnej jazdy był na miejscu. Przejechał obok, obserwując budynek ze starej płyty, ale z wymienionymi oknami, oraz teren zieleni schodzący do samego jeziora, na którym wyrastały drewniane domki. Dostrzegł też kilka kamperów i kolorowe czubki rozpiętych niżej namiotów. W dole, na wysypanej jasnym piaskiem plaży, bawiły się dzieci, dorośli wylegiwali się na leżakach lub odpoczywali na ręcznikach. Gross zwolnił i zatrzymał się na parkingu, na którym dwie rodziny z małymi dziećmi głośno rozmawiały i szykowały się do odjazdu. Mężczyźni pakowali bagaże.

Policjant wysiadł i przeszedł pod bramownicą, dyskretnie obserwując kamerę znajdującą się na stalowym ramieniu, wystającym z jednego z narożników solidnej konstrukcji. Minął budynek i zszedł niżej wysypaną żwirem drogą, która skręcała w lewo, na plac dla kamperów. Doliczyl się siedmiu wozów z zagranicznymi rejestracjami. Każde stanowisko wytyczały wysokie na ponad metr żywopłoty. Bliżej jeziora rozciągało się pole namiotowe. Komisarz udał się w jego stronę, bo zauważył, że jedna para, jego zdaniem studenci, podrywa ciężkie plecaki i robi sobie pożegnalne selfie

na tle wody.

– Czas do domu? – zapytał.

Uśmiechnęli się oboje.

– Tak, Toruń czeka – powiedział chłopak z włosami upiętymi w samurajski kok.

– A pan dziś przyjechał? – Drobną szatynką z tatuażami sięgającymi nadgarstków obu rąk wciąż się uśmiechała.

Z głośnika wielkości piłki tenisowej, który dziewczyna trzymała w ręce, dobiegały dźwięki muzyki. Gross znał ten utwór bardzo dobrze. Piosenka o dmuchawcach niesionych przez wiatr, pełna radości i miłości, ale także nostalgii i tęsknoty za prawdziwą wolnością. Agnieszka często ją nuciła. I teraz wydawało się komisarzowi, że to właśnie żona śpiewa mu do ucha ten przebój, tak jak zrobiła to kiedyś latem na dzikiej plaży, gdzieś pod Sarbinowem. Fale uderzały z hukiem o brzeg, w górze krzyczały mewy, a on słuchał jej głosu.

Ocknął się.

– Szukam cichego i spokojnego miejsca. – Rozejrzał się.

– To już pan nie musi. Tu jest pod tym względem wspaniale. – Student zerknął na zegarek. – Musimy już iść, żeby zdążyć na autobus.

– Szerokiej drogi – życzył im Gross, a kiedy odeszli, zawołał za nimi. – A namiot?

– Zostaje. Nie jest nasz. Wynajęliśmy go – powiedziała dziewczyna i pomachała mu na pożegnanie.

Złapali się za ręce i poszli do dwukondygnacyjnego budynku, w którym mieściła się recepcja.

Gross omiół wzrokiem pole kempingowe. Naliczył około dwudziestu różnej wielkości namiotów, ale jego wzrok przyciągnął tylko jeden ich rodzaj. Wyjął telefon i zrobił zdjęcie, które przesłał następnie SMS-em do Mariana Chęcińskiego, technika kryminalistyki z toruńskiej komendy.

Zrobił jeszcze kilka fotografii i dopiero wtedy zdecydował się pójść do recepcji.

Siedziała tam miła blondynka, która uśmiechnęła się na jego widok i założyła kosmyk włosów za ucho. W jasnym, modnie odrestaurowanym holu było pusto, ale dochodziły do nich odgłosy rozmów z piwnicy.

– Dzień dobry, miał pan u nas rezerwację? – spytała.

Gross nie wyciągnął odznaki i się nie przedstawił.

– Nie, jestem przejazdem, wracam z Olsztyna. Żona prosiła, żebym do was zajrzał. Widziała waszą stronę internetową i bardzo się jej tu spodobało – skłamał.

– Szuka pan miejsca hotelowego w budynku czy może chciałby pan wynająć domek drewniany?

– To są jakieś wolne? Żona sprawdzała i okazało się, że do końca sierpnia wszystkie macie zajęte.

– Niespodziewanie zwolniły nam się dwa domki.

– A co się stało?

– Młodzież skróciła swój pobyt.

– A jakieś wolne pokoje tutaj, w budynku?

– Niestety, dopiero we wrześniu. Obecnie pozostały do wyboru jedynie domki.

– Jaki koszt? – spytał Gross, a kiedy usłyszał sumę, wyciągnął rękę po wizytówkę i powiedział, że zadzwoni z drogi. I dodał: – Byłbym zapomniał, weźmiemy ze sobą córkę z chłopakiem, ale oni woleliby pod namiot.

– Żaden problem, miejsca jest dużo.

– Podobno można u was wynajmować namioty, prawda?

Dziewczyna sięgnęła po ulotkę i długopis. Rozłożyła ją na wysokiej ladzie.

– Tu ma pan te, którymi dysponujemy. – Wskazała długopisem. – Są duże, czteroosobowe, nieco mniejsze trójki...

– A te? – Gross wskazał na igloo w kolorze zgniłej zieleni.

– Też trójki, trochę droższe, ale bardzo wygodne – powiedziała recepcjonistka, a telefon Grossa

rozbrzmiał przyciszoną melodią.

– Przepraszam, żona mnie wzywa. Zadzwoń i ustalimy resztę szczegółów – obiecał policjant i zabrał ulotkę.

Wyszedł na zewnątrz i zanim schował się do samochodu, komórka przestała grać. Oddzwonił więc do Mariana Chęcińskiego.

– Przepraszam, nie mogłem odebrać – powiedział komisarz. – I co o tym sądzisz? – spytał, nawiązując do wysłanego przed kilkunastoma minutami zdjęcia.

– Bingo, Bernardzie! Od razu przesłałem zdjęcie do biegłego i zadzwoniłem, żeby się upewnić. Potwierdził, że to ten sam namiot polskiego producenta Wintersun, model Northwave. Występuje w kilku odmianach gabarytowych. Ten z plaży płatnej w Chełmży to trójka.

– Znalazłem taki sam.

– Co to znaczy? Masz kolejne zabójstwo? – spytał zaskoczony Chęciński.

– Nie, na szczęście nie, ale sprawa, która nie mogła w żaden sposób ruszyć z miejsca, chyba się powoli wyjaśnia.

– To dobrze. Gdybyś potrzebował jeszcze mojej pomocy...

– Dam ci znać. – Gross zamierzał się rozłączyć.

– Bernard! Poczekaj chwilę, bo Jarek Bloch ciągnie mnie za rękaw. Daję ci go.

– Bernardzie. – Policjant usłyszał głos Blocha. – Chciałem ci podziękować za ten zamiar na działki.

– Drobnostka.

– Długo nie mogłem się do tego chłopca dodzwonić. Ilekroć próbowałem, za każdym razem brak zasięgu.

– Faktycznie – przyznał Gross. – Facet mówił mi, że zasięg łapie na górcie na polu, kilkadziesiąt metrów od domu.

– Ale w końcu mi się udało. I nie uwierzysz! – Zaśmiał się Bloch. – Ty wiesz, że przez telefon zarezerwowałem teren nad jeziorem? Spotkam się z właścicielem w przyszłym tygodniu. Tobie zresztą też bym radził, bo facet, jak sam twierdził, sprzedał już kilka działek, i to w ciągu zaledwie trzech miesięcy. A sprzedaje tanio, więc wiesz...

– Dzięki, pomyślę.

– No, może dla syna byś kupił, nie? – stwierdził Bloch i dodał: – Słuchaj, a jak najłatwiej dojechać do Strużala?

Komisarz wyjaśnił.

– Tam jest tylko jedna droga. A Stanisław Palacz mieszka niemal na samym jej końcu, przed ostrym zakrętem w lewo. Dom kryty eternitem. Trafisz bez problemu.

Pożegnali się, ale komisarz nie schował telefonu.

Rozejrzał się raz jeszcze po terenie ośrodka „Sarna”. Potem spojrział na ulotkę, którą wziął z recepcji, i zadzwonił pod zapisany na niej numer. Usłyszał ten sam przyjazny głos młodej kobiety.

– Dzień dobry, komisariat policji w Chełmży, komisarz Bernard Gross z tej strony.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc?

– Niedawno był u państwa aspirant Janusz Stefański, został na noc z piątku na sobotę.

– Zgadza się.

– Niestety, nasz kolega nie żyje, zginął w wypadku samochodowym.

– O Boże, bardzo mi przykro – powiedziała.

– Chodzi o to, że zdążył mi przekazać informację o tym, że ktoś od państwa przygotowuje nagrania z monitoringu.

– Tak, wujek umówił się z panem Stefańskim, że prześlemy je wkrótce.

– Obawiam się, że nie możemy dłużej czekać.

– Dobrze, w takim razie zabiorę się do tego jeszcze dziś. Na jutro będą gotowe.

– Świetnie, dziękuję.

– Ktoś po nie przyjedzie?

- Na pewno. Proszę, żeby do rana były gotowe.
- Dobrze, tak będzie – odparła. – A przy okazji, mam jeszcze jedną sprawę.
- Tak, słucham.
- Jedna z wczasowiczek chciała się koniecznie z nim skontaktować.
- Kto taki?

– Natalia Łuźnicka. Przynajmniej tak się przedstawiła. Próbowała z panem Stefańskim porozmawiać, ale chyba się jej nie udało. Dlatego zostawiła mu kartkę z numerem telefonu. Na wypadek, gdyby wrócił.

– Czy to była jedna z tych osób, które przyjechały do państwa z Chełmży?
– Tak, mieszkała w czwórce – odpowiedziała recepcjonistka. – W drewnianym domku. Jednak w sobotę skrócili pobyt i wyjechali całą grupą.

- Co jest na tej kartce?
- Tylko numer telefonu.

– Proszę go przedyktować. – Gross sięgnął do schowka po notes i długopis. Zapisał ciąg cyfr i podziękował za rozmowę.

Wpisał numer telefonu Łuźnickiej do treści SMS-a i wysłał go Skalskiej. Poprosił, by pilnie się skontaktowała z dziewczyną i wyciągnęła od niej wszystko to, co ta chciała przekazać Stefańskiemu.

Już miał odjechać, gdy z budynku wyszedł brodaty, niski i krzepki mężczyzna w czerwonej bejsbolówce na głowie. Za nim szła starsza kobieta. Oboje usiedli w cieniu na ławce. Gross przyglądał im się cały czas. Opuścił szybę i starał się podsłuchać rozmowę.

- I jeszcze mógłbyś mięso na szaszłyki kupić, tylko wiesz, dobre, od tego kolegi.
- Okej, kupię, ale nie teraz. Muszę jeszcze rozstawić dwa namioty, bo przed siedemnastą mają przyjechać ludzie z Łodzi. – Szydłowski ściągnął czapkę, pod którą tkwił świeży, czysty opatrunek, i się nią powachlował.

– W Łodzi mieliśmy kiedyś rodzinę. – Zaśmiała się kobieta. – Pamiętasz Rokitnickich?

– Mama, nie mam czasu na pierdoły. Zbieram się. – Szydłowski wstał i nasunął czapkę. – Zrób listę zakupów, potem to załatwię. A teraz spadam.

– No dobrze, leć, leć. My też już powinnyśmy się wziąć z Matyldą do przygotowania kolacji.

Uruchomiwszy silnik, komisarz wycofał samochód z parkingu i odjechał spod drewnianej bramownicy „Sarny” w chwili, gdy na szybie pojawiły się pierwsze, drobne krople letniego deszczu.

Gross zastanawiał się, czy kobieta, którą widział, mogła być Krystyną Palacz.

Na rozwidleniu dróg zadzwonił jego telefon.

– Szefie, mówi Judyta.

– Co masz?

– Dzwonię w sprawie poloneza. Przez ten pogrzeb i to wszystko nie zrobiłam tego wcześniej. – Dziewczyna miała smutny głos. – Niestety, zero trafień. We wskazanych latach żaden czerwony wóz tej marki nie uczestniczył w wypadku drogowym ani kolizji. Poszerzyłam nawet podane przez szefa daty, ale to nic nie dało.

Gross się zmartwił.

– Może nie było żadnego poloneza? – powiedział, rozglądając się na boki i wyjeżdżając z drogi podporządkowanej.

- To znaczy?
- Dziękuję za sprawdzenie.
- Mogę zrobić coś jeszcze?

Gross milczał.

– Halo? Szefie.

– Opuśćmy sobie te samochody. To trop donikąd.

– Dobrze, gdyby jednak szef coś chciał, to czekam na sygnał.

– Dziękuję, do zobaczenia, Judyto.

Wjechał na drogę do Brodnicy, gdy na świat opadła zasłona deszczu, który bębnił w dach

samochodu i spływał strumieniami po szybie. Widoczność spadła do stu metrów, dlatego komisarz zwolnił i dla bezpieczeństwa włączył tylne światło przeciwmgłowe.

Wybrał pierwszy numer z listy i po chwili ponownie odezwała się Judycka.

– Tak, szefie?

– Sprawdź mi, proszę, Cebulkiewiczów.

– Co konkretnie?

Gross patrzył na błyszczący w deszczu asfalt.

– Szefie?

– Sprawdź wszystko. Dosłownie wszystko.



Krótko obcięta szatynka weszła niepewnie do Tumskiej Przystani i zatrzymała się przed barem. Rozejrzawszy się po niedużej sali z kilkoma zajętymi stolikami, wcisnęła telefon do tylnej kieszeni spodni.

Skalska obserwowała ją, siedząc przy oknie. Godzinę temu zadzwoniła do dziewczyny i umówiły się w restauracji w pobliżu konkatedry. Natalia Łuźnicka mówiła cicho, policjantka szybko się zorientowała, że dziewczyna nie może rozmawiać. Dlatego zaproponowała spotkanie w Tumskiej Przystani. Poza tym miała tu do sprawdzenia coś, o co wcześniej prosił ją Gross. Chodziło o rejestr wypożyczeń rowerów wodnych i łódek. Przeglądała właśnie zeszyt, w którym obsługa wpisywała imię i nazwisko oraz serię i numer dowodu osobistego klienta, a następnie numer sprzętu wodnego. Skalska cofnęła się aż do zeszłego piątku i postanowiła prześledzić te zapisy, ale ledwie zaczęła, a w drzwiach restauracji stanęła przejęta i zestresowana Łuźnicka.

– Dzień dobry. – Dziewczyna podeszła do stolika, przy którym siedziała policjantka.

Skalska zamknęła zeszyt i odsunęła go na bok. Przywitała się z Łuźnicką.

W lokalu muzyka grała cicho, Skalska słyszała rozmowy ludzi przy sąsiednich stolikach.

Młoda kelnerka podeszła, aby przyjąć zamówienie. Skalska poprosiła o mocną kawę, żeby przegonić ćmiący za uszami ból, a Łuźnicka zdecydowała się na wodę gazowaną z cytryną i lodem.

Po chwili dobiegł ich mechaniczny zgrzyt mielenia kawy.

– Janusz Stefański, policjant, który z tobą rozmawiał w Bachotku, nie żyje – stwierdziła Skalska i zawiesiła głos. – Chciałaś mu coś przekazać?

– Nie żyje? – Łuźnicka wytrzeszczyła oczy.

– Tak. Zginął w wypadku.

– Aha. Przykra sprawa. – Dziewczyna trzymała dłonie pod blatem, głowę chowała w ramionach.

– Co chciałaś mu powiedzieć?

– Już w „Sarnie” mówiłam mu, że boję się o Patrycję. – Natalia zamrugała, żeby się nie rozplakać.

– Dlaczego? Co się stało?

– Prosiła, żebym nikomu nie mówiła.

– Nie mówiła o czym?

Dziewczyna zacisnęła usta.

Kelnerka przyniosła napoje i odeszła, uśmiechnąwszy się przyjaźnie.

– Chcesz jej pomóc, prawda? – Skalska starała się, żeby nie naciskać na Łuźnicką zbyt mocno.

– Jeśli tak, to musisz mi powiedzieć, co groziło Patrycji.

Dziewczyna kiwnęła głową.

– Byłaś z nią na obozie w Zalesiu?

– Tak.

– Pewnego dnia Patrycja zniknęła, prawda?

Kolejne potwierdzenie.

– Wiesz, dokąd wtedy poszła? – spytała Skalska.

– Na cypel.

– Sama?

– Nie wiem.

– Co było dalej?

– Wszyscy twierdzili, że pojechała do domu, do matki. Nikt się nie przejmował jej zniknięciem.

– A ty? Co zrobiłaś?

– Nic.

Skalska spojrzała na topole za oknem i na rozciągnięte za nimi jezioro, tak samo szare jak niebo.

– Kiedy Patrycja wróciła do obozu?

– Następnego dnia, chyba w nocy. Obudziłam się, a ona leżała już w swoim łóżku. Płakała.

– Wiesz dlaczego?

– Nie. – Natalia ponownie wpatrywała się w blat.

Bąbelki gazu w szklance z wodą uciekały na powierzchnię. Nie upiła nawet łyka.

– Domyślasz się, kto był tego przyczyną? – zapytała policjantka.

– Martin Cebulkiewicz, jej chłopak – powiedziała cicho.

Skalska musiała wyęźać słuch, żeby zrozumieć, co mówi.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Kilka dni wcześniej się z nim rozstała. Ale on nie chciał o tym słyszeć.

– Był na nią zły?

– Tak.

– A czy Patrycja miała nowego chłopaka?

Natalia podniosła wzrok.

– Nie.

– Czy wiesz, dlaczego zerwała z Cebulkiewiczem?

Dziewczyna zaprzeczyła.

– A powiedziała ci, gdzie jest teraz? Czy jest bezpieczna?

– Tak. Powiedziała, że jest w Chełmży, że nic jej nie grozi, ale że się boi.

– Czego?

– Nie powiedziała.

Skalska przysunęła się do stołu i pochyliła.

– Coś kręcisz, prawda?

Otworzyła szeroko oczy.

– Nie kłamię.

– Ale skoro Martin ją skrzywdził, czemu przyjechała z nim do Bachotka?

– Słucham?

– Była tam razem z nim. Mamy to na taśmach.

– Nie!

– Nie kłam.

– To nie był on.

– W takim razie kto? – Skalska się uśmiechnęła. Była ciekawa kolejnego kłamstwa dziewczyny.

Łuźnicka przygryzła wargę, a następnie podniosła wystraszony wzrok na aspirantkę sztabową.

– To pani nie wie?



W ciągu dwóch godzin od wyjazdu z Bachotka komisarz Gross zdążył pojechać do Torunia i odebrać płyty nagrane przez Stefańskiego, a następnie wrócić do komisariatu w Chełmży. Herbata parowała z kubka, kiedy postawił go obok klawiatury.

Z czterech płyt jedna rzeczywiście była nieźle porysowana. Stefański wpisał czarnym markerem na wierzchu krążka datę nagrania. Była z czwartku. Gross postanowił ją uruchomić jako pierwszą, żeby zweryfikować, czy w ogóle uda się odtworzyć zapisane na niej dane. Płyta zarzęziła w napędzie. Po chwili policjant zobaczył, że w pamięci nośnika znajduje się jeden plik. Kliknął dwukrotnie w ikonę. Płyta ponownie zarzęziła, ale po kilku sekundach odtwarzanie ruszyło.

Komisarz rozpoznał widok z kamery umieszczonej pod sufitem i skierowanej na korytarz. Od Stefańskiego wiedział, że Cebulkiewicz zajmował ostatni pokój po prawej. Pamiętał też, że aspirant, kiedy dzwonił ostatni raz, chciał mu przekazać coś ważnego. Gross sądził, że miało to związek z zapisami z monitoringu.

Popijał więc herbatę i wpatrywał się w ekran. Ludzie wchodzili do pokoi i z nich wychodzili, wcześniej rano szli na śniadanie, zbierali się na korytarzu przed obiadami i kolacjami. Poza wyznaczonymi godzinami posiłków ruch zamierał.

Gross przejrzał kolejne płyty oznaczone innymi datami, tym razem jednak postawił na odtwarzanie zgodnie z chronologią.

Potwierdziły się słowa Stefańskiego o samochodzie, który podjechał, żeby zabrać Patrycję Szwed i Cebulkiewicza. Komisarz po świetle reflektorów padających na drogę i zieleń przed „Sarną” zorientował się, że samochód nadjechał od asfaltowej jezdni. To go zmartwiło. Sądził, że Szydłowski wyjedzie swoim samochodem z drugiej strony, od garaży i domu, który znajdował się na przedłużeniu ślepej drogi, prowadzącej do ostatniego budynku, prawdopodobnie należącego do właścicieli ośrodka. Teoria, wedle której to Szydłowski miał zabrać młodych do Chełmży, mocno się zachwiała.

Oglądał dalej, aż przez bramę przeszła dziewczyna. Rozpoznał ją bez problemu. Zniknęła z kadru. Światła samochodu wciąż się świeciły. Gross zerknął na zegarek w rogu ekranu. Nie przyspieszył odtwarzania. Stefański twierdził, że po trzech minutach wyszedł Cebulkiewicz.

Komisarz sięgnął po herbatę, nie spuszczać oczu z ekranu. Wypił kilka łyków. Wreszcie odstawił kubek.

Na ekranie pojawił się mężczyzna. Zmierzał do samochodu zdecydowanym, szybkim krokiem.

Gross kliknął na pauzę w chwili, gdy cała postać znalazła się w oku kamery. Mógł teraz się dobrze przyjrzeć jego twarzy. Długo nie mógł oderwać od niej wzroku.

Wypił do końca herbatę i odtworzył dalszą część nagrania.

Mężczyzna zniknął, a światła reflektorów przesuwają się po trawie. W jasnym snopie widać było zacinający deszcz.

Nieco później zrobiło się ciemno.

Gross cofnął film i ponownie zatrzymał kadr w chwili, gdy twarz mężczyzny była dobrze widoczna. Zrobił *print screen* i go wydrukował.

Kartkę położył na biurku, a następnie wyjął płytę i schował ją do papierowej koperty.

Sięgnął po wydruk, by raz jeszcze przyjrzeć się znajomej osobie, a potem zmiął papier i cisnął w stronę śmietnika. Papierowa kulka wylądowała przed koszem.

– Szlag! – warknął komisarz i odchylił się na oparcie fotela, szepcząc: – Jak to się mogło stać?

Bo mężczyznę na filmie z pewnością nie był Cebulkiewicz.



Kiedy Łuźnicka wyszła, Skalska odchyliła się na oparcie krzesła. Nie tego się spodziewała. Wyjęła telefon, żeby zrelacjonować Grossowi uzyskane informacje, ale wtedy przypomniała sobie o zeszytce wypożyczeń sprzętu wodnego. Musiała sprawdzić te dane. Sięgnęła po niego i wróciła do sprawdzania nazwisk. Kiedy doszła do soboty, zatrzymała się przy godzinie szesnastej. Jeden z kolegów Julka, którego zapamiętała z imienia i nazwiska, wynajął rower na kilka godzin i oddał o ustalonej porze. Wszystko się zgadzało z tym, co młodzi opowiedzieli jej, kiedy pierwszy raz spotkała się z nimi na plaży. Sprawdziała kolejne wpisy i natrafiła jeszcze kilka razy na to samo nazwisko. Nie było żadnego spóźnienia, ani razu rower wodny albo łódka nie zostały przetrzymane przez noc.

Zabrała zeszyt i podeszła do baru. Zweryfikowała uzyskane informacje, ale żaden taki incydent się nie zdarzył. Sam właściciel codziennie sprawdzał, czy sprzęt został odpowiednio zabezpieczony na noc.

Zapłaciwszy za kawę i wodę, wyszła na parking, za którym wyrastały mury konkatedry. Na plac przed Tumską Przystanią wjeżdżało się przez jedyną ocalałą bramę kamienną z fragmentem murów miejskich. Z drugiej strony placu można było zejść po trawie do jeziora i pomostu, przy którym cumował sprzęt wodny. Jednak dziś, z powodu pogody i wiszących na niebie szarych chmur, rowery nie cieszyły się wzięciem.

Skalska przeszła bulwarem w stronę klubu wioślarskiego. Obiekty były zamknięte, więc nie mogła dostać się na samą przystań. Zbliżyła się natomiast do brzegu i rzuciła okiem na kołyszące się, przywiązane do pomostu łódzie. Jedna z nich wydawała jej się świeżo odmalowana. Wzrok przyciągały śnieżnobiałe wnętrza i czerwone burty.

– I co teraz? – wyszeptwała.

Tuż obok czubków jej superstarów zachlupotała cicho woda. Mała fala obmyła delikatnie brzeg, a gdzieś w oddali słychać było krzyk głodnych ptaków, które krążyły pod wielkim dachem chmur.

Wybrała numer szefa i przyłożyła aparat do ucha.



Komisarz Gross jeszcze długo zbierał myśli.

Nie rozumiał, jak mogło dojść do takiej pomyłki. Jak to się stało, że Stefański cały czas sądził, że ma przed oczami Cebulkiewicza? Z czego to wynikało? Powinien to przecież natychmiast zweryfikować. Być może dlatego próbował się skontaktować ze Skalską. Może nie chciał wyjść przed swoim szefem na amatora.

Kłopot jednak w tym, że stracili czas.

Gross schylił się i podniósł z podłogi zmiętą kartkę. Rozprostował ją i wygładził na biurku.

Trzy minuty po Patrycji Szwed w oku kamery pojawił się Michał Bąk, mężczyzna, który poinformował policję o znalezieniu zakrwawionego namiotu na plaży płatnej.

Wytrąciło to Grossa z równowagi, ale zdążył już ochłonąć. Usiadł przy biurku i zabrał się do dalszej pracy.

Kolejne nagrania przedstawiały już wyłącznie widok z kamery zainstalowanej na parterze dwukondygnacyjnego ośrodka. Bąk wrócił nad ranem do swojego pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Gross zgrał ten plik na pulpit i uruchomił pierwszą płytę od tego momentu, w którym mężczyzna pojawiał się w kadrze i przechodził przez skąpaną w deszczu bramę. Zatrzymał obraz i otworzył drugie okno z nagraniem z korytarza. Ciuchy się zgadzały. Ta sama bluza i czarne dresowe spodnie. Obraz był niewyraźny, ale ostatecznie Gross nie miał żadnego powodu, by wątpić, że do „Sarny” wróciła ta sama osoba, która z niej wyjechała. Przejrzał więc kolejne nagrania z monitoringu, a kiedy skończył, potarł zmęczone oczy.

Podskórnie czuł, że coś w tym nagraniu się nie zgadza. Nie wiedział dokładnie co, ale był przekonany, że na którymś z kadrów nie zauważa wymykającej się zmysłowi wzroku oczywistości. Albo inaczej. Widzi ją doskonale, ale nie wyciąga odpowiednich wniosków.

Przełączył między zatrzymanymi kadrami.

Klikał szybko, tak że obrazy następowały jeden po drugim, aż rozboleły go oczy.

I dopiero wtedy to dostrzegł.

Jeden szczegół.

Przyglądał mu się z uwagą, porównywał i weryfikował te dwa fragmenty nagrań kilkakrotnie. Wreszcie zrobił rzuty ekranów, wykonał powiększenia i puścił je na drukarkę, która z cichym szmerem przygotowała się do pracy, a następnie wypluła dwie kartki.

Wydruki położył na blacie, ale nie usiadł. Wolał patrzeć na nie z tej perspektywy.

Sięgnął po kubek i dolał gorącej wody. Ciepłą herbatę pił małymi łykami.

Buty.

Zrozumiał, o co chodzi, dopiero po zapoznaniu się z filmem nagrany na drugiej płycie. Trzecia i czwarta tylko potwierdziły jego przypuszczenia.

Komisarz otworzył okno i na zmęczonej twarzy poczuł słaby powiew wiatru, który niósł zapach świeżej gleby po długotrwałym deszczu. Gdy dzień przeszedł w późne popołudnie, szarość zgęstniała nad cichą Chełmżą, ale wciąż jeszcze nie padało. Wyglądało na to, że chmury nadal gromadzą w sobie wilgoć, a ulewa tylko odwleka moment natarcia.

Zadzwoiła Skalska.

– Obawiam się, że mam złą wiadomość – powiedziała od razu. – Trzeba sprawdzić nagrania z monitoringu.

Gross odwrócił się do ekranu.

– Właśnie to zrobiłem. Stefański się pomylił – stwierdził cicho, przypatrując się mężczyźnie odwróconemu plecami do kamery. – Myślał, że na nagraniach widzi Cebulkiewicza, a w rzeczywistości był to Michał Bąk.

– Przed chwilą rozmawiałam o tym z koleżanką Patrycją Szwed, Natalią Łuźnicką. Powiedziała mi to samo.

– Masz coś jeszcze? – Gross wydał usta.

– Jakby tego było mało – odparła zniechęcona.

– Bąk wyjechał z „Sarny” i już tam nie wrócił – dodał komisarz.

– Nie wrócił? Przecież Stefański mówił ci, że widział go na ekranie.

– To nie on.

– To ja już nic nie rozumiem – jęknęła.

– To proste. Ktoś prawdopodobnie przebrał się w jego ciuchy i wrócił ze Szwed do ośrodka.

Wszedł do pokoju na parterze i zamknął za sobą drzwi. Ale nigdy z niego nie wyszedł.

Skalska prychnęła.

– Że co? – spytała skołowana.

– Moim zdaniem musiał wyjść oknem. Nie widzę innego wytłumaczenia. Tym bardziej że samochód, którym wróciła Szwed, podjechał pod „Sarnę” i wyłączył reflektory. Był już brzask, więc światła ledwie widać. Ale po sześciu minutach zapaliły się ponownie. Wóz odjechał.

– Sześć minut – powtórzyła Skalska.

Myślał o tym samym co ona.

– To dużo czy mało? – spytał.

– Zależy na co.

– Właśnie. Zależy na co. Ale najważniejsze pytanie brzmi: kto wrócił z Patrycją Szwed do „Sarny”?

– No jak to kto? Pewnie ten Szydłowski.

– Chyba on.

Opowiedział jej o swoich wątpliwościach związanych z kierunkiem przyjazdu samochodu pod ośrodek. Przyznała mu rację.

– Tak czy siak, musieli pojechać razem, skoro krew Szydłowskiego znaleźliśmy na płatnej. Może po prostu to nie on był kierowcą. Może kierowca zabrał Szwed, Bąka i Szydłowskiego.

– No tak, to prawdopodobne – zgodził się z nią. – Wtedy to Szydłowski wszedłby do pokoju, posprzątał i wyszedł oknem, żeby nie nagrać się na własnym monitoringu.

– Dokładnie.

W słuchawce zapadła cisza.

– To co proponujesz? – spytała policjantka.

– Sprawdź jeszcze raz, co słychać u matki Patrycji Szwed, i zabierzemy się wspólnie za Cebulkiewicza. Bo wygląda na to, że on też się ukrywa.



– To pani? Znowu? – oburzyła się Hanna Szwed.

Stała w uchylonych drzwiach i nie zamierzała zaprosić policjantki do środka ciasnego mieszkania w bloku na Frelicha. Skalska była przekonana, że z okien widać było szkołę.

– Gdyby była pani ze mną szczerą, tobym nie przyjeżdżała ponownie – oznajmiła.

– Nie mam nic więcej do dodania – powiedziała matka Patrycji.

– Przecież chodzi o pani córkę.

– Jest dorosła.

– Ale może potrzebuje pomocy?

– Ufam jej, to rozsądna dziewczyna.

– A ona pani?

– Słucham?! – Hanna Szwed podniosła głos.

– Czy ona ufa pani?

– A o co chodzi?

– Czy wie pani, co się zdarzyło w Zalesiu? Czy córka powiedziała pani, co tam przeżyła? – Skalska podeszła bliżej.

– To znaczy?

– Klatka schodowa to nie jest najlepsze miejsce na takie pogadanki.

Kobieta cofnęła się do przedpokoju i przepuściła policjantkę. Kiedy ta weszła, Szwed wskazała kuchnię.

Skalska przeszła przez wymagający remontu przedpokój. Pod znaczonej plamami sufitem odklejały się rogi tapet.

Kuchnia była mała i kwadratowa, zastawiona szafkami i niewielkim stołem z dwoma taboretami. Funkcjonariuszka usiadła na jednym z nich, a gospodyni oparła się o zlew i skrzyżowała ramiona.

– Zamieniam się w słuch – powiedziała.



Komisarz Gross zdjął lateksowe rękawiczki.

Wrócił do domu pół godziny temu i od razu wziął się do pracy nad modelem. Nałożył pierwszą warstwę farby podkładowej. Musiał oczyścić umysł, a to najlepiej mu wychodziło, gdy wykonywał proste modelarskie czynności.

Teraz zabrał sklejoną model niewielkiej niemieckiej amfibii, żeby postawić go na parapecie i w dziennym świetle przyrzeć się nedoróbkom, widocznym śladom klejenia. Przystawiał plastikowy pojazd tak, żeby obejrzeć go z każdej strony. Najbardziej obawiał się łączenia wanny z nadwoziem i błędów w klejeniu małych reflektorów oraz lampy notek, wykorzystywanej w trakcie nocnych konwojów do zachowania należytej odległości między pojazdami.

Z dołu, przez otwarte u Magdaleny Palacz okno, dobiegał cichy głos właścicielki, jakby mówiła sama do siebie lub do syna znajdującego się w innym pokoju. Później, po dłuższych przerwach w jej wypowiedziach, Gross zorientował się, że kobieta rozmawia przez telefon.

Sprawdził jeszcze jakość klejenia przytwierdzonych do burt pojazdu wiosła i łopaty. Trzymały się mocno. Dlatego uznał, że czas położyć pierwszą warstwę farby. Chciał zacząć od ciemniejszego odcienia i stopniowo, nakładając kolejne warstwy, rozjaśnić kolor bazowy. Pomalowana w taki sposób karoseria pojazdu zyskałaby kolorystyczną głębię.

Rozmieszał farbę, ale na szczęście nie zdążył przelać jej do mniejszego pojemnika, żeby dodać rozcieńczalnik i rozrzedzić emulsję, bo przypomniał sobie, że od kilkunastu minut nie było prądu, nie mógłby więc użyć aerografu. Uchylił plastikowe drzwi szafki z bezpiecznikami, ale wyglądało na to, że każdy włącznik znajdował się na odpowiednim miejscu. Awaria musiała objąć cały blok.

Zniechęcony odłożył pracę nad modelem na późniejsze godziny. Umył ręce, a potem zerknął na stół w kuchni, na którym zostawił fotografię członków Spółdzielni Kółek Rolniczych w Grzywnie, wypożyczoną od Magdaleny Palacz.

Nie była mu już potrzebna. Postanowił jednak dołożyć jej kopię do akt. Sięgnął więc po komórkę i zrobił zdjęcie. Następnie zabrał oryginał i zszedł na trzecie piętro.

Zapukał do drzwi raz, potem drugi, ale nikt nie otwierał.

Gross wrócił do siebie, ale prądu cały czas nie było.

Wszedł do kuchni, nastawił wodę na makaron i ponownie zawiesił wzrok na zdjęciu. Długo nie mógł zrozumieć, dlaczego to robi, ale kiedy woda w garnku zabulgotała, wszystko się wyjaśniło.

Spółdzielnia Kółek Rolniczych w Grzywnie.

SKRG.

Skrót, który pojawił się w opisie eksperta badającego zatopiony w jeziorze wózek i oplatający go łańcuch. Jedno skorodowane ogniwo, które, wyciągnięte po latach z głębiny, mogło się okazać ważne w śledztwie sprzed trzydziestu lat.

Gross przyłożył aparat do ucha.



– Pani córka przeżyła zawód miłosny – powiedziała Skalka.

– Skąd pani to wie? Patrycja nic mi nie mówiła.

– A wiedziała pani, że Martin Cebulkiewicz nie jest już jej chłopakiem?

– Jak to? Przecież chciała jechać z nim do Bachotka – zaniepokoiła się rudowłosa Hanna

Szwed.

– Oszukała panią. Zresztą my też tak myśleliśmy, ale od zdarzeń w Zalesiu pani córka i Martin Cebulkiewicz prawdopodobnie nie byli już razem.

Szwed milczała.

– Zna pani Przemysława Szydłowskiego? – Skalska postanowiła sprawdzić, jak kobieta zareaguje na to nazwisko.

– Kogo?

Policjantka wypowiedziała je wyraźnie, ale raz jeszcze powtórzyła. Zdawała sobie sprawę, że Szwed gra na czas.

– Nie znam – odparła. – Pierwszy raz słyszę.

– Jest pani pewna?

Matka Patrycji skinęła głową.

Policjantka podzieliła się z nią tym, co wiedziała na temat zajść w Zalesiu. Powiedziała o opuszczeniu obozu przez Patrycję, o starym Cebulkiewicz i o tym, jak jej córka płakała nocą.

– Patrycji może grozić niebezpieczeństwo. I dlatego tu jestem. Chciałabym, żeby pani nam pomogła.

– Ja? Niby jak?

– Wie pani, gdzie ona jest.

Usta Szwed zadrżały. Zaczęła je nerwowo przygryzać, zacisnęła dłonie.

– On ją zgwałcił – powiedziała, powstrzymując płacz. – Wtedy w Zalesiu.

– Kto?

– Martin Cebulkiewicz. To przed nim się ukrywa.

Skalska drgnęła.

– Jest pani pewna?

– Tak, do cholery!

Skalska przełknęła ślinę.

– Musimy porozmawiać z Patrycją. Tylko ona wie, gdzie jest Martin. – Policjantka wstała. – Niech pani to przemyśli.

– Gdybym wiedziała, że jej pomożecie, już dawno bym to zrobiła, ale teraz musicie zostawić ją w spokoju, słyszy pani? Zostawcie ją w spokoju!

Skalska sięgnęła po leżący na blacie stołu długopis i blok kolorowych kartek. Zapisała swój numer, po czym wyszła z kuchni do wąskiego korytarza zabudowanego przy drzwiach wejściowych starą szafą na wymiar. Po prawej miała otwarte drzwi do pokoju Patrycji. Spojrzała w tamtą stronę. Składany fotel do spania przykrywał niebieski koc. Na drugiej ścianie znajdowała się meblościanka z małym biurkiem i otwartym laptopem.

Zegar na ścianie wskazywał czternastą.

– Niech pani zadzwoni, czas ucieka – poprosiła Skalska i wyszła z mieszkania.



Po godzinie pracy nad modelem komisarz zszedł na parter i wyszedł przed blok. Dostrzegł Magdalenę Palacz, gdy zamykała garaż. Tatuże na jej rękach i nogach były kolorowe. Wcześniej wydawało mu się, że do większości z nich użyto czarnego lub granatowego barwnika.

– Nie mam dziś szczęścia, żeby panią zastać w mieszkaniu – zagadał.

– Umawialiśmy się na wieczór, prawda? – usprawiedliwiła się. – Biegam od rana, załatwiam kilka spraw.

– A wieczorem będzie pani na miejscu? – spytał, odprowadzając ją do klatki schodowej.
– Jasne. – Postawiła siatki z zakupami na ziemi i sięgnęła do kieszeni po klucz. Otworzyła sobie drzwi, które Gross przytrzymał. – Chciałabym się w końcu dowiedzieć, o co panu chodziło rano – dodała.

– Obiecuję, że przyjdę wieczorem – zapewnił, gdy kobieta ruszyła w górę po schodach.

W drodze do Strużala myślał intensywnie o zaginionej przed trzydziestu laty kobiecie i jej dziecku. O jej mężu, obecnie starym rolniku wyprzedającym ziemię, ale także o jej sąsiadkach, matce i córce, które dobrze zapamiętały tamten dzień. Mimo upływu lat dobrze pamiętały wiele rzeczy sprzed samego zaginięcia. Myślał również o Tadeuszu Zubie, mężczyźnie z upośledzeniem umysłowym, który napadał na dziewczynki, palił stogi siana i zwoził stare, wyrzucane na śmietnik zabawki.

Jednak cały czas w tej układance czegoś mu brakowało.

Minąwszy pusty dom Cebulkiewiczów, wrócił myślami do zdjęcia mężczyzny ze Spółdzielni Kółek Rolniczych z Grzywny. I przypomniał sobie, jak Mariola Zuba przyłożyła palec w miejscu, w którym na fotografii stał Andrzej Cebulkiewicz, ale wówczas nie przypomniała sobie jego nazwiska. Pominęła go.

Gross nie wierzył w przypadki. Stanisław Palacz rozpoznał mężczyznę od razu. Wszyscy mieszkali w Strużalu. Mariola Zuba nie mogła nie wiedzieć, kim był człowiek ze zdjęcia. Tym bardziej że wspólnie z jej mężem i sąsiadem Cebulkiewicz działał w tej samej organizacji rolniczej.

W wyobraźni ustawił te trzy rodziny tak, by znalazły się na wierzchołkach trójkąta równobocznego. Pośrodku postawił smutną Krystynę Palacz z nowo narodzonego dzieckiem na rękach.

Przyglądał się im, zmieniał perspektywę i patrzył po kolei na ich twarze.

Wtedy zadzwonił telefon.

Gross skręcił w prawo, w ulicę Jaśminową. Wąski asfalt przeciskał się między domami i opadał w dół. Kawałek dalej wznosił się na pagórku, a po obu stronach widać było świeżo zaorane kwartały ziemi.

– Judycka. – Usłyszał głos młodej policjantki.

– Masz coś dla mnie?

Komisarz szedł spokojnym krokiem. Miał czas. Był ciekaw, co znajdzie za tym pagórkiem.

– Chciałam pogadać o Cebulkiewiczach.

– Zamieniam się w słuch – powiedział komisarz, kiedy stanął na szczycie wzniesienia.

Jezdnia opadała aż do odnogi jeziora, a asfalt zamieniał się tam w szeroki parking wyłożony ażurową kostką, spomiędzy której wystawała gdzieś przesuszona, niekoszona trawa. Po lewej znajdowały się plac zabaw i toalety w drewnianym domku, a tuż nad samą wodą wybudowano kamienne grillowisko i zadaszoną wiatę w kształcie łodzi, której dziób wskazywał na krótki, nowoczesny pomost wykonany z jasnego drewna.

– Udało mi się coś wyciągnąć – zaczęła Judyta.

Gross stanął na końcu moła i przyglądał się wodzie oraz pracom w polu na przeciwległym brzegu, gdzie traktor przesuwał się sennie na linii horyzontu.

– Andrzej Cebulkiewicz urodził się w Strużalu w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku, mieszkał w domu po rodzicach, którzy zmarli młodo, tuż po jego ślubie z Jadwigą Wrzesińską z pobliskiego Mirakowa w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym. Pracowali na roli, ale w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym wyjechali do Niemiec, gdzieś pod Brunszwikiem. Cebulkiewicz miał tam wujka.

– Wyjechali do pracy?

– Na to wygląda, chociaż nie wiem, czy nie chodziło też o dostęp do lepszego leczenia.

– Leczenia?

– Nie wiem nic więcej. W każdym razie wtedy, w osiemdziesiątym szóstym, przed wyjazdem, sprzedali gospodarstwo, zostawili sobie jednak sporą działkę. Nie było ich przez dziewięć lat i zanim wrócili, zdążyli się tu pobudować.

– Skąd masz te informacje?

– Skontaktowałam się z wójtem. Myślałam, że będziemy musieli czekać do poniedziałku, aż otworzą urząd gminy, ale okazało się, że wójt dobrze zna Andrzeja Cebulkiewicza, bo razem chodzili do szkoły w Chełmży.

– Co ci jeszcze powiedział?

– Że krótko po powrocie, w dziewięćdziesiątym szóstym, żona Cebulkiewicza, Jadwiga, zmarła w toruńskim szpitalu na jakiś nowotwór.

– Jak to zmarła? Przecież Cebulkiewicz siedzi z żoną na wakacjach w tropikach. Skąd to potwierdziła – przypomniał Gross.

– Siedzi, siedzi, tyle że z drugą żoną. Są razem od piętnastu lat.

– No, chyba że tak. A wiemy coś o tym, jak się im układało po tym powrocie z Niemiec? – Gross obserwował mewy szybujące wysoko nad jego głową.

– Powodziło im się świetnie, ale krótko. Podobno sporo stracili na denominacji. W złym momencie wymienił niemieckie marki i grunt zaczął im się palić pod nogami. Wójt mówił, że Cebulkiewicz sprzedał mu wtedy okazynnie passata, a poza tym szukali chętnego na zakup dopiero co wybudowanego domu. Chałupa była duża, ale zainteresowanych jak na lekarstwo. Obniżyli cenę, ale to też nic nie dało.

– Passata? Dobrze usłyszałem?

– Tak. Podobno w dobrym stanie, chociaż stary, bo z końcówki lat siedemdziesiątych.

– Jak Cebulkiewicz zarabiał na życie?

– Z Niemiec przywiózł sobie sporo sprzętu budowlanego i od razu, gdy tylko wrócił, założył firmę budowlaną. Stawiał domy, robił remonty. Jakoś mu to szło, podobno się wybronił. Wrócił też do harcerstwa i wciągnął w to syna.

– A ten syn kiedy się urodził?

– W osiemdziesiątym dziewiątym w Brunszwiku. Ma dwa paszporty i trochę nakichane w naszej kartotece. Drobica, ale jednak.

Komisarz rozejrzał się ostatni raz po atrakcyjnym, ale pustym terenie i ruszył asfaltową jezdnią z powrotem. Wtedy dostrzegł tylną elewację domu Cebulkiewiczów. Zauważył stalowe schody, które pięły się do drzwi wejściowych osobnego mieszkania, zapewne Martina Cebulkiewicza. W żadnym oknie, także tym na poddaszu, nie widział włączonego światła.

– Dzięki za informacje, dobra robota – pochwalił Judycką.

– Będę szukała dalej, może na coś trafię. Bez odbioru.

Szarych chmur było więcej i Gross miał wrażenie, że przynajmniej te, które wisiały po jego lewej, nad chełmżyńskim „meczetem”, poczerniały. Poza tym obudził się wiatr, który chłodnymi, mocnymi smagnięciami uderzał znieca i gwizdał, przeczesując rżyska.

Gross skręcił w drogę prowadzącą do Palacza i dalej do Zubów. Minał rzadko spotykany słup energetyczny, który już wcześniej zwrócił jego uwagę, i zszedł ze wzniesienia, kierując się prosto ku domowi rolnika. W oknie w kuchni Gross zauważył starszego mężczyznę, który krzątał się po niewielkim pomieszczeniu. Gospodarz po chwili znieruchomiał i patrzył w stronę policjanta znad zadrzostki.

Stary dom z poczerniałym azbestem wyglądał ponuro. Gross dostrzegł oparte o ścianę trzonki zużytych narzędzi ogrodniczych. Na chodniku leżał zwinięty wąż do podlewania, ale woda była zakręcona.

Początkowo Gross zamierzał wejść do rolnika, ale jednak skręcił w lewo i poszedł w stronę gospodarstwa Marioli Zuby i jej córki Bożeny.

Pies zaczął szczeleć i rzucać się w kojcu, gdy tylko komisarz zbliżył się do werandy. Zanim zdążył dojść do schodów, drzwi się uchyliły i zobaczył w nich krzepkiego, pięćdziesięcioletniego mężczyznę.

– Pan do kogo? – spytał nieznajomy.

Gross wyciągnął legitymację.

– Chciałbym porozmawiać z pańską żoną – zaryzykował, ale raczej nie mógł się mylić.

– Z Bożeną?

– Tak.

– Wyjechała – stwierdził gospodarz i stanął u szczytu schodów werandy. Na nogach miał szare dresowe bermudy.

Gross zwrócił uwagę na biały T-shirt z napisem „Najlepszy tata na świecie”.

– Daleko? – spytał policjant.

– Nie, ale raczej nieprędko wróci. Pojechała do koleżanek z koła gospodyń. Trochę się im schodzi na tym picciu kawy i żarcie słodczy. – Uśmiechnął się.

– A pana teściową zastałem?

– One obie tam jeżdżą.

Za jego plecami, Gross widział to przez otwarte drzwi, przebiegła dziewczynka.

– To przyjdę później.

– Gdy wrócą, powiem im, że pan był.

Gross podziękował i cofnął się do furtki.

– Brutus, morda! – ryknął mężczyzna.

Pies zaskomlał i wskoczył do budy.

– Tylko mnie słucha, tylko mnie. – Zaśmiał się rolnik i podniósł rękę na pożegnanie.

Komisarz odszedł w stronę asfaltówki. Stanąwszy na twardej nawierzchni, rozejrzał się. Tu, gdzie się znajdował, skraj łądu z każdej strony opadał w stronę jeziora i znikał pod taflą wody. Na ściernisku, w pobliżu drogi między polami, stado wron dziobało w glebie. Niektóre ptaki podrywały się do niskiego lotu i lądowały kilka metrów dalej.

Gross myślał o tym, w którą stronę poszła Krystyna Palacz, kiedy zabrała nowo narodzonego chłopca. Do wyboru miała jedną drogę. Czy zmierzała w stronę Chełmży? A może przyszła tutaj, do Zubów?

Dlaczego w ogóle wyszła w deszczowy dzień z dzieckiem na rękę, skoro łatwiej by było wziąć wózek? Ten, zgodnie ze słowami Palacza, stał przy domu.

Każde nowe pytanie niesło ze sobą szereg innych. Komisarz wciąż nie wiedział, dlaczego Krystyna Palacz zabrała butelkę mleka dla syna, skoro mogła go nakarmić w domu. A może to zrobiła? Syn.

Komisarz powtórzył kilkukrotnie w myślach to słowo i końcu złapał to, na co tak trudno było mu wpaść.

Może od początku powinien szukać w tym właśnie kierunku? Może tu krył się klucz do prawdy?

Ruszył w stronę domu Palacza.

Tym razem, kiedy przechodził wzdłuż płotu, nie zobaczył mężczyzny ani w kuchni, ani w pokoju. Dopiero gdy zaskrzypiała furka, którą pchnął, by wejść na teren ogrodu, ujrzał rolnika na polu, na nieodległym wzniesieniu. Stał tam, odwrócony do policjanta plecami, i rozmawiał przez telefon, żywo gestykulując.

Wiatr porywał słowa starego mężczyzny i Gross niczego stąd nie słyszał.

W końcu Palacz odwrócił się i zamarł, kiedy zauważył, że policjant stoi przed jego domem. Dokończył szybko rozmowę i zszedł z pagórka.

Obaj mrużyli oczy od wiatru niosącego drobinki ziemi.

– Pan znowu tutaj? – krzyknął rolnik, zbliżając się do ogrodzonego drewnianym płotem ogrodu.

Gross nie odpowiedział.

– Co się stało? – spytał Palacz.

– Chodzi o dziecko.

– Słucham? Jakie dziecko?

– O pańskie dziecko.

– O Magdę? – zaniepokoił się mężczyzna. – Co z nią?

Gross popatrzył na wrony, które wzbily się do lotu i łopocząc skrzydłami, przeleciały nad nimi

na sąsiednie pole.

Palacz wszedł do ogrodu furtką od podwórza.

– Niech pan powtórzy, bo nie usłyszałem. – Skrzywił się. – Wzrok mam dobry, ale ze słuchem coraz gorzej.

– Dopiero przed chwilą uzmysłowiłem sobie, że w aktach sprawy dotyczącej zaginięcia cały czas była mowa o dziecku płci męskiej.

Rolnik był zaskoczony.

– A co w tym dziwnego? Przecież tak było.

– Nie. – Pokręcił głową Gross.

– No jak to nie? Co też pan wygaduje? O co panu chodzi? – Palacz chwycił za gracie i nerwowo przerzucił spulchnioną ziemię pod kuchennym oknem. Wyszukiwał w niej pozostałości korzonków, a kiedy je znalazł, odsuwał na bok, na niewielki kopczyk zeschniętych roślin.

– Chodzi mi o pańskiego syna.

– A może pan jaśniej? – Palacz przerwał pracę i spojrzał na Grossa.

Ten nie zdążył jednak otworzyć ust, gdy mężczyzna wrócił do gracowania.

Gross wszedł na wypieloną ziemię i ustawił się tak, by końcówka narzędzia niemal dotykała jego półbutów.

Rolnik wypuścił z dłoni trzonek, który upadł głucho na betonowy chodnik.

– Proszę stąd natychmiast zejść! – powiedział i skierował się do drzwi.

Gross podążył za nim, ale Palacz zatrzymał się przed wejściem.

– A pan dokąd? – warknął gospodarz.

– Dziecko płci męskiej – przypomniał mu Gross. – Od początku, od kiedy zająłem się tą sprawą, ani razu nie nazwał pan syna po imieniu. Ani razu nie powiedział pan o nim, że to pański syn.

– Co pan za głupoty wygaduje? – Palacz pchnął drzwi do środka, ale nie wszedł do domu.

– Jak miało na imię? – spytał Gross.

– Pan jest nienormalny!

– Nie użył pan imienia dziecka. Nie nazwał go pan synem.

– Mam tego dość! – krzyknął Palacz i przekroczył próg.

– Jak miało na imię?

Palacz odwrócił się wolno.

– Chciałem, żeby miał na imię Jakub, jak mój dziadek. Żona obstawała za Wojciechem. Jeszcze nie zdecydowaliśmy, chrzciny miały być we wrześniu.

Mężczyzna z hukiem zatrasnęła drzwi.

Gross zaczekał chwilę i nacisnął klamkę.

– Nie chodzi o formalności! – zawołał policjant, ale przedpokój był już pusty.

Rolnik musiał wejść do kuchni lub pokoju.

– Niech pan stąd idzie. Żałuję, że zgodziłem się cokolwiek panu powiedzieć. – Płaczliwy głos dobiegał z pomieszczenia po lewej.

Komisarz nie zamierzał tego robić, ale jednak wszedł do domu, w którym rozszalał się przeciąg. Drzwi do pokoju dziennego uderzyły o framugę, a wiatr gwizdał, przeciskając się przez szczelinę nad podłogą.

Palacz siedział w kuchni. Ukrył twarz w dłoniach i szlochał. Trząsł się.

– Wynos się, gnoju jeden! – ryknął.

Gross spojrzał przez okno.

Ze wzniesienia zjeżdżał samochód, komisarz słyszał warkot silnika. Żółte reflektory przecięły szarugę i na moment oślepiły policjanta, rozświetlając kuchnię. Dopiero kiedy wóz skręcił w stronę ostatniego gospodarstwa na tym półwyspie, komisarz zobaczył za kierownicą Bożenę Zubę, a obok, na fotelu pasażera, jej matkę.

Musiały widzieć go przez okno, patrzyły w jego stronę.

Komisarz odprowadził je wzrokiem, a kiedy zniknęły mu z oczu, zwrócił się do Palacza.

– Dokąd ona poszła?
– Kto? – spytał Palacz, odsuwając ręce od twarzy.
Jego poorane zmarszczkami policzki były suche, tak samo jak wnętrze dłoni.
– Dokąd poszła pańska żona?
– Skąd mam to wiedzieć? Czego pan ode mnie chce?
– Prawdy.
– Prawdy? Prawdy?! To ja od was oczekuję prawdy! – Uderzył pięścią w stół. – Już od trzydziestu lat!
– Coś panu powiem – oznajmił spokojnie Gross. – Wy wszyscy wiecie, co się tu stało.
Wszyscy.
– Wynoś się pan! – wrzasnął rolnik.
Policjant wyszedł z kuchni.
Drzwiami wejściowymi poruszał wiatr.
– Ostatnie pytanie. – Komisarz cofnął się na próg kuchni. Nie wiedział, czy strzela na oślep, ale musiał je zadać. – Dlaczego wyprzedaje pan działki? Skąd ten pośpiech?
Stary mężczyzna podniósł wzrok.
– Wynocha!



Gross wyszedł z domu Palacza i zamknął za sobą drzwi. Przed płotem stała kobieta. Targane wiatrem włosy przysłaniały jej twarz, ale rozpoznał ją po słusznej posturze. Kilka metrów dalej zatrzymał się stary zielony jeep na dużych kołach, z włączonym silnikiem i reflektorami, które oświetlały drogę do jej domu.

– Był pan u nas? – spytała Bożena Zuba, nawet nie siląc się na uśmiech. – Mąż dzwonił.
– Mąż? – spytał Gross.
– Mówił, że...
– Powiedział, że poinformuje was dopiero po powrocie. – Gross wszedł jej w słowo.
– Ale chciał pan z nami porozmawiać? – Wolła się upewnić.
– Gdzie jest pani matka? W samochodzie?
Zuba odwróciła się w stronę pojazdu. Nadchodził zmierzch i spadły pierwsze krople deszczu. Czerwone światła pozycyjne wyglądały stąd jak plamy świeżej krwi zawieszony nad ziemią.
– Tak – odpowiedziała.
– Chciałbym zamienić z nią słowo na osobności.
– Na osobności? Dlaczego?
– Z panią też wolałbym rozmawiać bez świadków – zaznaczył komisarz.
– Ze mną? Ale o czym? – Odgarnęła włosy z twarzy i przytrzymała je na policzku.
– O polonezie, proszę pani – powiedział, wypatrując jej reakcji. – O anonimie napisanym pani ręką. Mam już ekspertyzę grafologa – skłamał.
Stężała na chwilę, ale potem dojrzał w jej oczach rezygnację.
– Byłam głupia. Młoda i głupia – powiedziała cicho, a jej usta rozciągnęły się w czymś na kształt uśmiechu. – Ale za to nie idzie się do więzienia, prawda?
– Celowo wprowadziła pani w błąd organy ścigania. Być może przez panią to śledztwo poszło w inną stronę. Być może to, że Krystyna Palacz nigdy się nie odnalazła, to właśnie pani wina. – Gross kątem oka dostrzegł, że Palacz obserwuje ich z kuchni, ale rozmawiali cicho, więc przy tej pogodzie i zamkniętych oknach nie mógł ich usłyszeć. – Jest pani w stanie dźwigać ten ciężar?

Nie odpowiedziała.

– Dlaczego pani to zrobiła?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Po prostu byłam wtedy młoda – powtórzyła.

– I ta kłótnia mężczyzn – Gross skinął głową w stronę ściany frontowej starego budynku – też była wymyślona?

Pokiwała głową.

Gross zrozumiał teraz zachowanie kolegi, który dawno temu przejął to śledztwo.

– Dlatego podkomisarz Brandol nigdy pani oficjalnie nie przesłuchał. Nie chodziło o to, jak początkowo sądziłem, że chronił panią. On chronił to śledztwo przed zalewem głupot. Znał panią od dziecka. Wiedział, jakie bzdury była pani w stanie wygadywać w młodości i ile zamieszania mogłoby to wprowadzić w dalszym postępowaniu.

Spuściła głowę.

– Młoda i głupia – powtórzył jej słowa Gross. Był zły na siebie i na nią. Na cały świat. – Szkoda tylko, że z głupoty się nie wyrasta.

Popełnił kardynalny błąd i wiedział już, że tej sprawy nigdy nie rozwiąże.

Z rury wydechowej terenówki cały czas wydostawały się czarne kłęby spalin rozwiewane przez wiatr.

Wyminął Bożenę Zubę, która zwiesiła głowę jak zbesztane dziecko, i podszedł do samochodu od strony kierowcy.

Szarpnął drzwi. Zajął miejsce obok starszej kobiety, która siedziała z czarną torebką na kolanach.

– Dzień dobry – powiedziała. I starała się odwrócić, żeby dostrzec córkę. – Bożenka została? – zmartwiła się. – Bo zaczęło padać. Niech lepiej się schowa, bo się przeziębi.

– Zaraz przyjdzie – zapewnił ją Gross.

Dalsze próby rozwikłania zagadki sprzed trzydziestu lat nie miały już najmniejszego sensu. Zrozumiał to, a jednak nadal w to brnął.

Włączył wycieraczki, by zebrały krople wody rozsiane na przedniej szybie. Potem popatrzył na gospodarstwo Zubów, wysoką stodołę w tle, przewyższającą dom z czerwonym dachem znajdujący się na pierwszym planie. Widział męża Bożeny, który stał na werandzie i cały czas przyglądał się tej scenie. Pies wystawiał nozdrza, żeby zwietrzyć zapach. Komisarz zerknął w lusterko wsteczne i dostrzegł w nim spoglądającą na samochód Bożenę Zubę. Stała bezradnie z mokrymi strąkami włosów. Upewniwszy się, że z okna w kuchni podglądał ich też Palacz, Gross pomyślał, że w tej części nietypowego półwyspu wszyscy są na widoku.

– Stąd nie ma ucieczki – wyszeptał.

– Słucham? – Mariola Zuba, stara gospodyni, nachyliła się do niego. – Co pan powiedział?

Gross spojrzał na nią i przypomniał sobie to, o czym myślał niedawno, o swojej wizualizacji, o tym trójkącie, w którego centrum znalazła się Krystyna Palacz.

– Pamięta pani zdjęcie mężczyzn ze spółdzielni rolniczej?

– To, które pan wtedy przyniósł?

Potwierdził.

– Tak, pamiętam.

– I pamięta pani, kto na tym zdjęciu stał pierwszy od lewej? – Obrócił się do niej.

– Mówiłam przecież.

– Wymieniła pani nazwiska wszystkich, ale akurat tego jednego rolnika pani zupełnie pominęła.

– Stara już jestem, bez okularów niedowidzę.

Obok zabudowań rozpościerała się szeroka tafla jeziora. W świetle reflektorów ziemia nabrała żółtawego odcienia, jakby mimo deszczu ktoś zdołał wzniecić tu ogień.

– Zostawmy to – zaproponował i ponownie włączył wycieraczki. Zastanawiał się, jak zadać pytanie, żeby uzyskać właściwą odpowiedź. – Znała pani Jadwigę Cebulkiewicz, pierwszą żonę Andrzeja Cebulkiewicza?

Kobieta zacisnęła dłonie na uszach od torebki.

– To był jej mąż na tym zdjęciu? – spytała.

– Jak dobrze pani ją znała?

– Nie utrzymywaliśmy kontaktów.

– Żadnych?

– Żadnych.

Gross prychnął.

– Pani córka wrodziła się w panią – zauważył.

– Że co proszę?

– Nie umiecie kłamać.

– Do tej pory byłam dla pana uprzejma, ale pan na to nie zasługuje. Mam już tego dość. Co to wszystko ma znaczyć?

Gross milczał, a deszcz przybierał na sile. Silnik i nawiew szumiały cicho. W radiu trwała jakaś rozmowa, którą komisarz przyciszył.

Kobieta nachyliła się do drzwi.

– Proszę nawet nie próbować – ostrzegł ją komisarz. – Zaraz sobie pójde – obiecał i ponownie włączył wycieraczki.

Przez przednią szybę zobaczył, jak mąż Bożeny Zuby schował się pod parasolem, którym szarpały silne podmuchy. Prowadził psa na smyczy i zmierzał w stronę samochodu.

Żona wyszła mu naprzeciw. Widzieli jej szerokie plecy, gdy ciężkim krokiem zbliżała się do niego.

Gross wyjął telefon z kieszeni spodni i pokazał go Marioli.

– Kilka godzin temu Andrzej Cebulkiewicz wylądował na lotnisku w Katowicach i opowiedział mi historię, jak to przywiózł pani z Niemiec kilka kuchennych sprzętów – zalefował Gross. Nie widział się z mężczyzną ani z nim nie rozmawiał.

– Bzdury! – zachnęła się.

– I aparat fotograficzny dla pani syna.

– Niech pan już idzie – stwierdziła i wtedy dostrzegł w jej oczach łzy.

– Aparat dla pani syna – powtórzył spokojnie Gross, akcentując każdy z wyrazów.

– Być może mój mąż coś o tym wiedział...

– Pani też to dobrze wie. Tylko ani pani, ani córka nie umiecie kłamać. – Gross obserwował, jak tuż przed maską terenówki Bożena Zuba wyjaśnia coś krzepkiemu mężczyźnie, wskazując ręką na samochód. Za nimi cienie dzieliły się na czworo.

Coś mu to przypomniało, coś ważnego, ale z powodu natłoku myśli nie zdążył się nad tym zastanowić.

Uchylił drzwi.

– Żeby dobrze kłamać, trzeba to robić inteligentnie – dodał.

Wysiadł, a zimny deszcz lunął na niego.

– Zgłoszę na pana skargę. – Mariola Zuba się rozplakała. – Proszę nie zawracać nam już więcej głowy.

– Zapewniam panią, że jeszcze tu wrócę – oznajmił.

Nie odpowiedziała. Jej dłonie ponownie zacisnęły się na skórzanych uchwytych torebki. Kobieta zanosła się płaczem.

Pies szarpał się na smyczy i ujadał, przekrzykując miarowy pomruk samochodu i szum deszczu siekącego asfalt.

– Co się tu wyprawia? – wrzasnął mąż Bożeny Zuby, stanąwszy przy masce.

Pies naprężył smycz i warczał na Grossa, odsłaniając kły.

– Też chciałbym to wiedzieć! – odkrzyknął policjant i odszedł wąską drogą prowadzącą do Chełmży.



Zanim komisarz wszedł do domu, na wycieracze przed drzwiami wejściowymi zostawił zupełnie przemoczone półbuty. Ściągnął skarpety i bosy poszedł do łazienki, gdzie wszystkie mokre ciuchy wrzucił do pralki i od razu nastawił pranie. Potem wziął długi, rozgrzewający prysznic.

Ubrał się, wyjął z szafki drugą parę butów, zabrał zdjęcie rolników i zszedł na trzecie piętro.

Gdy zapukał do drzwi Magdaleny Palacz, usłyszał, jak ktoś krząta się za drzwiami. Sąsiadka otworzyła mu po chwili. Miała na sobie dresowe joggera i jasną bluzę z kapturem, zapiętą pod szyją. Po jej minie widział, że pewnie już wszystko wie.

Zaprosiła go gestem do środka.

Drzwi do dwóch pozostałych pokoi były zamknięte, a drogę do kuchni zagradzała gospodyni. Gross wszedł więc do dużego pokoju i przywitał się z chłopcem, który układał rozsypane klocki na dywanie.

– Od cioci dostałem – pochwalił się kilkulatek.

Gross usiadł w fotelu, a Palacz zajęła miejsce na narożnej kanapie. Usiadła tak jak poprzednio, podciągając wysoko kolana i opierając wytatuowane bosc stopy na siedzisku.

– Narozrabiał pan, co? – spytała. – Ojciec dzwonił do mnie cały roztrzęsiony.

Zastanawiał się, kto bardziej narozrabiał, i dlatego nie odpowiedział na to pytanie. Podał jej stare zdjęcie. Wzięła je, ale tylko po to, by od razu odłożyć je na stół.

– Czy ma pan jakieś wieści w sprawie mamy?

Gross nie był pewien, czy powinien jej mówić o wynikach badania krwi na plaży płatnej. Czy miał prawo rozbudzać jakiegokolwiek nadzieje?

– Dlaczego wypytywał mnie pan o jej włosy i badania DNA? – Skuliła się, jakby zżerał ją stres.

Na ekranie telewizora wyświetlała się bajka o małych superbohaterach. Tak przynajmniej wywnioskował Gross po strojach rysunkowych postaci. Przeniósł wzrok na dziecko bawiące się na dywanie, aż wreszcie spojrział na Magdalenę Palacz.

– Jak ma na imię pani syn? – spytał.

– Norbert.

Chłopiec obejrzał się na nią, ale po chwili wrócił do zabawy.

– Norbert?

– Tak. Spodobało mi się to imię.

– Mąż chciał inne?

– Nie mam męża. Miałam partnera, ale po tym wszystkim, co się tu wydarzyło latem, nie powiem, że nie bez pańskiego udziału, zostawił nas.

Komisarz pamiętał głośny, wulgarny, grupowy seks oraz wykrzykiwane w jego trakcie wyzwiska, które często padały z ust dwóch mężczyzn.

– A ojciec chłopca? – spytał.

– Nigdy go nie było.

– Imię wybrała więc pani sama?

– Wybrałam je w trakcie ciąży, jeśli o to panu chodzi. Ale nie wszyscy tak robią.

– Pani rodzice tak nie zrobili – zauważył.

– To pana dziwi? Czy to wypytywanie mojego ojca o imię mojego brata ma jakieś znaczenie dla śledztwa, które pan prowadzi? Po co go pan męczy? Dlaczego nachodzi pan starego człowieka i zadaje mu te wszystkie idiotyczne pytania?

W jej głosie brzmiało rozgoryczenie.

Gross zastanawiał się, co w tym śledztwie nie ma znaczenia. Co z tych wszystkich rzeczy,

których się dowiedział, jest nieistotne. Czy umiał, tak samo jak jej ojciec, Stanisław Palacz, systematycznie usuwać chwasty, które rozrastały się kosztem innych roślin?

Jak po tylu latach miał oddzielić prawdę od fałszu?

– Nie wiem – powiedział twardo i wstał, żeby stąd wyjść.

I była to odpowiedź na jego własne pytanie.

dzień dwunasty

Z samego rana Gross zadzwonił do szefowej zakładu patomorfologii toruńskiego szpitala na Bielanych. Upewnił się, że medyczka sądowa jest na miejscu i znajdzie czas, żeby z nim porozmawiać. Wyjaśnił jej, na czym mu zależy, i poprosił, by zebrała jak najwięcej informacji.

Deszcz lał nieprzerwanie od wczoraj, raz z mniejszym, raz z większym natężeniem. Temperatura spadła o kilkanaście stopni.

Gross podjechał do lecznicy i wybrał się do budynku, w którym tymczasowo zorganizowano zakład patomorfologii.

Odszukał gabinet Raszei, ale był zamknięty.

– Szefowa na sekcji – oznajmił młody laborant sekcyjny, który szedł korytarzem do wyjścia. – Pan poczeka.

Usiadł na jednym z trzech wystawionych krzeseł, na którym spędził kilkadziesiąt minut. Wreszcie usłyszał stukot drewniaków na korytarzu skracającym za ścianą, przy której siedział.

– Cześć, Bernardzie – powiedziała chuda, wysoka i zgarbiona lekarka. Krótkie kręcone włosy okalały jej twarz. Gross nigdy nie odważył się nazwać ich koloru. Wydawały mu się po prostu wypłowiałym z czasem blondem, poprządkanym gdzieś siwymi nitkami.

Raszeja przekręciła zamek w drzwiach i zaprosiła policjanta do środka.

Włączyła światło, bo okna budynku wychodziły na wielką ścianę innego szpitalnego obiektu i w pokoju było ciemno. Usiadła za starym biurkiem zawalonym dokumentacją medyczną, czasopismami lekarskimi i sporej wielkości mikroskopem.

Wyjęła paczkę davidoffów gold i zapaliła jednego, po czym wypuściła kłęb dymu w górę.

– Masz coś dla mnie? – spytał zaniepokojony komisarz.

Pokiwała głową i znowu się zaciągnęła. Okulary, stare lenonki, zsunęły się jej z nosa, więc je poprawiła. Raz jeszcze się zaciągnęła i dopiero wtedy sięgnęła po kartkę leżącą po prawej stronie.

– Wiesz, jak wygląda sprawa z archiwizowaniem dokumentacji medycznej?

Nie miał zielonego pojęcia.

– Trzymamy ją w wersji papierowej przez dwadzieścia lat od zgonu pacjenta.

Pamiętał, że Jadwiga, pierwsza żona Andrzeja Cebulkiewicza, zmarła w dziewięćdziesiątym szóstym, a to oznaczało, że jej dokumentacja została zniszczona dwa lata temu.

– Nic nie ma? – spytał na skraju desperacji. – Nic się nie zachowało?

– W zakładowym archiwum? Absolutnie nic. – Raszeja się zaciągnęła.

Gross westchnął.

– Dziękuję za sprawdzenie. – Wstał.

– Usiądź – poprosiła. – Dlaczego pytasz o tę kobietę?

Przytrzymała papierosa w ustach, a żółtymi od nikotyny palcami postukała rytmicznie w blat.

Opowiedział jej o sprawie zaginionej przed trzydziestu laty kobiety ze Strużala, która pewnego deszczowego wieczoru wyszła z niespełna dwumiesięcznym dzieckiem na ręce i już nigdy się nie odnalazła. O czerwonym polonezie, który miał parkować pod jej domem, ale okazało się, że to był tylko głupi żart dorastającej sąsiadki.

Kiedy skończył, Raszeja zgasiła papierosa w starej, kryształowej popielniczce, pełnej popiołu i pozgniatanych petów.

– Co ona, Jadwiga Cebulkiewicz, ma z tym wspólnego?

Zanim odpowiedział, długo się namyślał.

– Tam się wydarzyło coś, o czym wszyscy wiedzą, ale wolą milczeć.

– A ona?

– Oni. Ona z mężem. Mieszkali tam.

– Ale sam przed chwilą mi powiedziałaś, że wyjechali do Niemiec – przypomniała mu.

– Tak, ale co jakiś czas wracali, mieli tam zostawioną pustą działkę. Przyjeżdżali do sąsiadów.

Przywozili im niemiecki sprzęt.

– Jak często?

– Nie wiem – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Co było dalej?

– Nie wiem – powtórzył zrezygnowany. – Wrócili w połowie lat pięćdziesiątych. Krótko potem kobieta zmarła na nowotwór.

– Po co to sprawdzasz?

– Sprawdzam wszystko, na co trafię w tej sprawie.

Raszeja zapaliła drugiego papierosa. Z korytarza dochodziły wesołe, podniesione głosy, które szybko ucichły.

Lekarka wzięła do ręki odłożone na bok dokumenty.

– Kobieta zmarła z powodu nawrotu nowotworu, który pierwotnie zaatakował endometrium, błonę śluzową macicy. Jej mąż, jeszcze przed śmiercią żony, obwinił niemieckich lekarzy. Było więc pewne, że wystąpi o odszkodowanie do niemieckiego ubezpieczyciela. I podobno mu się to udało. Szybko otrzymał pieniądze, więc dokumentacja medyczna, zgodnie z przepisami, została zniszczona po upływie dwudziestu lat.

– To skąd to wszystko wiesz?

– Bo zachowały się protokoły z sekcji zwłok. – Podniosła wypłowiały skoroszyt.

– Dlaczego?

Raszeja wydmuchała siwy dym.

– Przypadek szczególny, wart, żeby pokazywać go młodym patomorfologom, którzy wybierają tę specjalizację.

Gross zmarszczył czoło.

– Chodziło mi o to, dlaczego w ogóle zrobiono sekcję – wyjaśnił.

– Ponieważ pierwsza związana z nowotworem operacja, ratująca jej życie, została przeprowadzona w niemieckiej klinice, a my nie mieliśmy żadnej dokumentacji. Ówczesny szef patomorfologii zdecydował, że w przypadku sporu sądowego męża kobiety z ubezpieczycielem należy przeprowadzić autopsję, żeby poznać szczegółowy zakres operacji wykonanej przez niemieckich lekarzy.

– Co to była za operacja?

– Histerektomia.

– Histerektomia? – spytał z niedowierzaniem.

– Częściowa. Chodziło o usunięcie trzonu macicy z pozostawieniem szyjki.

Gross trawił tę informację.

– Kiedy ją przeprowadzono?

– Z wywiadu z mężem wynikało, że w osiemdziesiątym siódmym.

Komisarz pokiwał głową, ale dopiero po chwili dotarła do niego waga tych słów.

– To znaczy, że nie mogła mieć dziecka – stwierdził.

– Wykluczone.

– Ale oni wrócili z dzieckiem, które urodziło się rok po operacji.

– Wykluczone. No chyba że je adoptowali.

– W Niemczech?

Raszeja uniosła brwi i raz jeszcze się zaciągnęła, a kiedy wydmuchała dym, powiedziała cicho:

– Fakt, dziwna sprawa.



Gross przyjechał do Zakładu Opiekuńczego Fundacji „Światło” i wszedł na piętro. Pocałował żonę w czoło i przesiedział z nią kilkadziesiąt minut. W myślach powiedział jej wszystko, co wie o tym śledztwie.

W końcu otarł nitkę śliny ściekającej z jej ust, poprawił koc i obiecał, że przyjedzie do niej wkrótce, żeby przeczytać dalszą część *Następnego życia*.

Bał się kolejnych wizyt. Może przesadzał, ale za każdym razem, kiedy tu wchodził, wydawało mu się, że jego żona jest słabsza i chudsza. Obawiał się, że kiedyś przyjedzie, wejdzie na górę i zastanie puste łóżko.

I wtedy zostanie zupełnie sam.

Bez żony i syna. Bez tych, których tak bardzo kochał. I bez jakiegokolwiek nadziei.



Kiedy z krajowej dziewięćdziesiątki jedyńki skręcił w prawo na Chełmżę, zadzwoniła do niego Skalska i przekazała mu wszystko to, czego się dowiedziała wczoraj od matki Patrycji.

– Szwed twierdzi, że Martin Cebulkiewicz zgwałcił Patrycję. Niestety, nigdzie nie mogę go namierzyć – dodała. – A matka Patrycji nadal ją kryje. Prosiła, żebyśmy zostawili dziewczynę w spokoju.

Komisarz nie skomentował tych rewelacji.

– A jak twoje postępy? – spytała.

Westchnął ciężko.

– Wydaje mi się, że nie możemy dłużej czekać. – Zignorował jej pytanie. – Wydałem dyspozycje dyżurnemu, żeby ekipa była pod ręką.

– Ale po co?

– Trzeba sprawdzić dom Cebulkiewiczów. Martin mieszkał na poddaszu.

– I tam miałyby się ukrywać?

– Pójdziemy tam razem?

– Jasne, a gdzie jesteś?

– W Grzywnie.

– Okej, to wychodzę z komisariatu. Będę szła na Strużal. Albo złapiesz mnie po drodze, albo spotkamy się przed ich chałupą.

– Pierwsza z prawej. Tylko weź latarkę – poprosił i odłożył aparat.

Ściemniło się. Zwarte chmury wisiały ciężko nad miastem, ale jeszcze nie padało. Wiatr przesuwał je mozolnie na zachód.

Zamiast skręcić z Kościuszki w Plażową, pojechał dalej prosto na Strużal. Tuż za ostatnimi chełmżyńskimi zabudowaniami dostrzegł Skalską. Szła przed siebie, ubrana na czarno i jak zawsze w białych superstarach.

Zjechał na pobocze.

Odwróciła się i osłoniła oczy przed światłem reflektorów. Rozpoznawszy samochód Grossa, ruszyła w jego stronę. Za nią układały się dwa ruchome cienie.

– Cześć – rzuciła, sadowiac się w fotelu i zapinając pas.

Komisarz się nie odezwał. Starał się przywołać niedawne myśli, ale okazało się, że bezpowrotnie odpłynęły.

Wrzucił jedynekę i odjechali wolno przed siebie.

Po dwustu metrach zaparkowali przed bramą domu Cebulkiewiczów. W oknach było ciemno. Wyglądało na to, że w środku nikogo nie ma.

Skalska chciała poczęstować komisarza gumą, ale odmówił gestem. Odpakowała sobie dwa listki i zaczęła je rozgryzać. Wydmuchała jeden balon, a następnie wysiadła i sprawdziła latarkę.

Gross wyłączył silnik, reflektory zgasły.

– No co jest? – spytała Skalska, nachylając się do wnętrza. – Ruszamy czy nie?

Kiwnął głową i wysiadł.

Furtka była zamknięta.

Komisarz pokazał, żeby poszli polną drogą, wzdłuż ogrodzenia, tam, skąd w trakcie rozmowy z sąsiadem Cebulkiewiczów dostrzegł murowane garaże na końcu działki. Przypomniawszy sobie, że widział też bramę wjazdową na posesję, a wykostkowana droga prowadziła bezpośrednio od niej do warsztatu samochodowego.

Skalska poświeciła na pordezwiąła furtkę, a Gross otworzył ją i pchnął. Usłyszeli cichy zgrzyt zawiasów.

Obejrzał się.

W oknach sąsiadów paliły się światła, ale nikt ich nie obserwował.

Skalska weszła pierwsza, chciała oświetlić drogę.

– Tam? – Wskazała latarką proste metalowe schody, które prowadziły na górę, do brązowych drzwi.

Gross potwierdził.

Szli po modnej żółtej kostce, przypominającej naturalny granit. Drobinki połyskiwały w snopie światła. Skalska pierwsza dotarła do schodów, Gross trzymał się za nią i rozglądał na boki. Miał wrażenie, że stopnie uginają się pod ich ciężarem.

Gdy byli w połowie wspinaczki, Skalska oświetliła latarką brązowy rozmaz na ścianie.

– Krew? – spytała.

Gross przyjrzał się chropowatemu tynkowi.

– Na to wygląda – stwierdził, po czym machnął ręką, by poszli dalej.

Wreszcie stanęli na stalowym podeście przed drzwiami. Grossowi wydawało się, że słyszy jednostajny dźwięk, podobny do tego, jaki nieraz wydają urządzenia elektryczne. Szmer przepływającego przez nie napięcia.

Skalska oświetliła drzwi z góry do dołu, a potem przesunęła światłem po brudnym progu. Następnie przyjrzała się klamce. Matową, srebrzystą powierzchnię pokrywały brązowe naloty.

Gross nachylił się, żeby spojrzeć na nie z bliska.

Kiedy to zrobił, poprosił Skalską o latarkę.

Ponownie zlustrował drzwi, tym razem jeszcze dokładniej. Dużo uwagi poświęcił zamkowi i szczelinie między skrzydłem a ościeżnicą. Chciał wykluczyć włamanie.

Wreszcie wyprostował się i wychylił przez balustradę, żeby zerknąć przez okno.

Przykrywała je jakaś ciemna zasłona, która, jak mu się wydawało, poruszała się na skutek powiewów delikatnego przeciągu.

– O Boże! – wyszeptała Skalska.

I dopiero wtedy zrozumiał, na co patrzył.

Na wąskiej szybie od wewnątrz siedział rój much.



Niebieskie światła dwóch wozów straży pożarnej i dwóch radiowozów cięły deszczową noc w Strużalu. Jeden z nich blokował wjazd na polną drogę, którą Gross ze Skalską dostali się na teren działki Cebulkiewiczów. Przed domem gromadzili się ukryci pod kapturami i parasolami mieszkańcy Chełmży i Strużala, zaciekawieni nocną wizytą służb ratunkowych.

Gross zbliżył się do wąsatego strażaka, dowodzącego akcją pożarników. Mężczyzna dopiero co zszedł po schodach.

– I co? Wyważycie? – spytał dowódcę zastępu, młodszego brygadiera Szymona Gołczyńskiego.

– Nie ma szans. Huligana nigdzie nie wcisnę. A muszą być drzwi?

– Przecież nie będziemy wyciągali trupa oknem.

– Ale chodzi o to, że my możemy wejść oknem i otworzyć drzwi od wewnątrz – zaproponował Gołczyński.

– Tylko jeśli tkwią w nich klucze albo zamki z drugiej strony mają pokrętło. Nie kombinujmy, zależy mi na czasie – powiedział Gross. – Technicy już jadą.

– No to nie ma opcji. Bez przecinarki tarczowej się nie obędzie.

– Działajcie. – Komisarz czuł narastające zniecierpliwienie. – I niech twoi ludzie nie wchodzi tam bez masek, bo wszystko zarzygają.

– Dobra, dobra. – Machnął ręką Gołczyński.

Komisarz poszedł do Skalskiej, która stała pod dachem warsztatu. Patrzyła na elewację domu oświetloną strażackimi halogenami i skapaną w deszczu. Dowódca pożarników zawołał jednego ze strażaków, który stał wysoko na stalowym podeście przy drzwiach mieszkania Martina Cebulkiewicza. Mężczyzna zszedł na dół, po czym zgodnie z poleceniem szefa podbiegł do ciężkiego wozu strażackiego i wyjął z niego piłę tarczową. Wrócił z nią na górę i uruchomił silnik spalinowy, który zakręcił od pierwszego pociągnięcia linki. Motor terkotał, a strażak wprowadził go na wysokie obroty. Oboje ze Skalską usłyszeli wizg narzędzia, a kiedy piła wżynała się w stalowe drzwi, w dół wystrzelił długi pióropusz iskier, które w locie gasił deszcz.

Skalska zatkała sobie uszy.

Po kilku minutach pracy strażak wyłączył przecinarkę. Znowu było słychać tylko szum ulewy.

– Dobra, gotowe! – krzyknął z góry.

– Maski włożcie! I wchodzimy – wydał dyspozycje brygadier.

Mężczyźni wykonali polecenie, a potem pchnęli drzwi do wnętrza domu i zniknęli w ciemnościach.

Skalska zbliżyła się do schodów. Gross poszedł za nią, ale poprosił, by stanęli z boku, a nie na wprost znajdujących się wysoko drzwi. Kiedy to zrobili, światło wewnątrz rozbłysło. Kilka sekund później jeden ze strażaków wypadł na podest, ściągnął maskę i zwymiotował.

Niestrawione resztki pokarmu rozbryzgały się na kostce. Skalska z obrzydzeniem odwróciła głowę.

– Kurwa mać! – jęknął pożarnik, kiedy opróżnił już żołądek. – Nie wracam tam.

Gross sięgnął po telefon i zadzwonił do prokuratora.



Artur Legner rozpiął czarny parasol i unikając kałuż, przeszedł po gruntowej drodze na tyły działki Cebulkiewiczów. Tym razem był w dżinsach i sztruksowej marynarce, pod którą włożył szary T-shirt opinający spory brzuch.

– Panie komisarzu, co tu się odpiędała? – spytał bez przywitania. – Kto dał pozwolenie na ten włam, co?

Skalska w milczeniu podeszła do grupy strażaków, którzy pakowali swój sprzęt po skończonej akcji. W mieszkaniu na górze pracowali już tylko technicy kryminalistyki.

Gross spojrział na oświetlone wejście do mieszkania na poddaszu.

– Ślady krwi na zewnątrz, na ścianie budynku i rój much na oknie od wewnątrz. Tak to wyglądało, więc nie zamierzałem na pana czekać, bo to byłaby strata czasu – wyjaśnił policjant.

– Żeby pan tego nie żałował – ostrzegł go Legner i spojrział na rozbryzgane na kostce wymiociny.

– Niech pan mnie nie straszy, panie prokuratorze – powiedział Gross. – Byłem już u góry, w każdej chwili mogę zastąpić kolegę i robić za dochodzeniowca. Ale pan będzie musiał mi towarzyszyć przy każdej czynności przeprowadzanej w smrodzie rozkładającego się ciała, które nadzwały larwy. Chce pan?

Po twarzy Legnera przebiegł cień strachu.

– Czy chce pan, panie prokuratorze? – Gross mówił przez zęby.

– Niech się pan tak nie unosi, komisarzu. Musimy sobie pomagać, nie? Szczególnie w takiej chwili. A ja już niejedno w życiu widziałem. – Legner uśmiechnął się sztucznie. – Kogo tam mamy?

Gross nie odpowiedział od razu. Dał sobie czas na ostudzenie nerwów.

– Martin Cebulkiewicz.

– Skąd to wiadomo?

– Miał przy sobie dokumenty. Poza tym mimo postępującego rozkładu zwłok da się go rozpoznać.

– A kto to jest ten cały Cebulkiewicz?

Gross popatrzył na niskiego śledczego.

– Nasza ofiara z plaży płatnej.

– Co pan pierdoli? Serio?

– Dwie rany z tyłu głowy. Użyto tępego narzędzia.

– Nie o to chodzi. Pytałem, jak się tu znalazł, do cholery.

– Nie wiem.

– A te muchy? Skąd ich tyle?

– Jedno z okien połaciowych było uchylone. – Gross kątem oka dostrzegł zbliżającą się komendantkę Lucynę Wojtasik.

Odetchnął. Począł, aż szefowa do nich podejdzie. Wymieniła uścisk dłoni z Legnerem, a Gross w ciągu pięciu minut zrelacjonował jej podjęte działania.

– A pozostali domownicy? – spytała.

– Na wakacjach w tropikach. Skalska ustaliła, że wracają w niedzielę – odparł Gross.

Wojtasik spojrziała na schody, a następnie na Legnera.

– To co? Rzucimy okiem, panie prokuratorze?

dzień trzynasty

Dwie godziny po tym, jak nabrzmiące zwłoki z kolonią larw spakowano do worka i wywieziono do Torunia, Marian Chęciński nalał sobie kawy z termosu, który trzymał w starej policyjnej kijance.

Gross obserwował brzask. Niebo zbiałało na wschodzie, chociaż słońce wciąż jeszcze nie wychyliło się zza horyzontu.

Jarek Bloch ziewnął, opierając się o dach samochodu.

– Cholera, gdy się o tym wszystkim dowie moja żona, to już nie będzie chciała kupić tu działki – stwierdził. – A tak tu, kurwa, pięknie. Cicho i spokojnie.

– I co? – Gross zignorował wywód kolegi i popatrzył na Chęcińskiego.

Technik wyglądał na wyczerpanego: miał szkliste oczy, jakby organizm walczył z gorączką, i sine półkola pod nimi. Komisarz po raz pierwszy zobaczył w koledze starszego się policjanta ze zwisającym luźno spod brody fałdem skóry. Może już wkrótce nie będzie zdolny do wykonywania tej ciężkiej, często wielogodzinnej pracy, która zajmuje zarówno dni, jak i noce.

– Wrócił tu sam. Brak śladów innych osób. Gdyby ktokolwiek mu pomógł, coś byśmy znaleźli – oznajmił spokojnie technik.

– To możliwe?

– Najpewniej z płatnej przedostał się łódką albo innym pojazdem wodnym na ten brzeg.

– Sam? Taki wysiłek? Z takimi obrażeniami? – Gross nie krył wątpliwości.

– Mogło to wyglądać tak, że dostał w łeb i padł. Ale potem się ocknął. Czytałem kiedyś o tym, że ludzie z uszkodzonym mózgiem mogą jeszcze długo normalnie funkcjonować, zanim umrą. To mi wygląda na podobny przypadek. Ale więcej powie ci pewnie Raszeja po sekcji.

– A znaleźliście gdzieś zakrwawiony nóż?

– Nóż?

– Mógł go mieć przy sobie i zadać ranę napastnikowi. Mógł się bronić.

Chęciński zaprzeczył.

– Nigdzie nie było żadnego noża – stwierdził. – Dlaczego ci to przyszło do głowy?

Komisarz nie odpowiedział, ale pomyślał o ranie na głowie Szydłowskiego.

Też był wykończony. Uścisnął dłoń kolegom, ale oni jeszcze nie odjechali. Usiedli w otwartym samochodzie i popijali kawę. Wyglądali jak turyści, którzy przesпали noc w samochodzie na parkingu i próbowali dojść do siebie po krótkim śnie w niewygodnej pozycji i z małą ilością tlenu.

Bloch palił papierosa i patrzył smutno przez przednią szybę na rozciągające się aż do jeziora pola w Strużalu.

Komisarz odszedł na bok i zadzwonił do dyżurnego. Kazał podesłać ludzi od zabezpieczenia mieszkania i terenu. Potem się rozłączył i wsunął dłoń w kieszenie.

Chęciński w końcu zapuścił silnik, trzasnęły drzwi i wóz, kołysząc się na nierównościach, dojechał do asfaltówki. Wysłużona srebrna kia skręciła w lewo. Silnik wszedł na wyższe obroty i szum narastał.

Wkrótce wszystko ucichło.

Gross został sam.

Wyszedł na drogę, gdzie przez kwadrans oczekiwał przyjazdu policjantów.

Kiedy w końcu radiowóz podjechał, Gross dał kierowcy znak, żeby zjechał w boczną, gruntową drogę. Mrugnął kierunkowskaz i samochód potoczył się we wskazanym kierunku, a następnie zatrzymał przy bramie w pobliżu warsztatu. Komisarz podszedł do funkcjonariuszy, wydał rozkazy i cofnął się do asfaltówki. Przeciął ją i poszedł dalej w kierunku jeziora.

Stanął nad brzegiem i wciągnął w płuca świeże, rześkie powietrze. Musiał zwalczyć senność. Obmył twarz wodą i raz jeszcze spojrzął na pustą plażę po drugiej stronie, którą oświetlały pierwsze tego dnia promienie słońca. Muskały tafle jeziora i sprawiały, że piasek na plaży wydawał się intensywnie pomarańczowy.

Zastanawiał się, ile trwa przepłynięcie łodzią od plaży płatnej do miejsca, w którym się znajdował, i kto pomógł pokonać tę trasę Cebulkiewiczowi.

Bo nawet gdyby Martin jakimś cudem zrobił to sam, to przecież gdzieś znaleźliby wciągniętą na brzeg albo dryfującą zakrwawioną łódź.

Ale komisarz miał też inne zmartwienie.

Zastanawiał się, jak ma poinformować Magdalenę Palacz o odnalezieniu brata, którego młoda kobieta szukała całe swoje dorosłe życie, a który mieszkał blisko niej, teraz zaś padł ofiarą zbrodni.

Tę samą informację będzie musiał przekazać Stanisławowi Palaczowi, ojcu obojga.

Myślał o tym podczas spaceru do samochodu, a także później, gdy już odjechał spod pustego domu, w którym od kilkunastu dni rozkładały się zwłoki młodego mężczyzny.

Na szczęście miał jeszcze czas.

Przynajmniej do sekcji, która oficjalnie potwierdzi tożsamość denata.



– Co robimy? – spytała Skalska, podając Grossowi hot-doga.

Podziękował, po czym ugryzł kęs i popił herbatą.

– Z samego rana dzwoniłem do Raszei. – Spojrzął na zegarek. – Powinna już być po autopsji. Na część wyników będziemy musieli czekać do poniedziałku, ale mam nadzieję, że przynajmniej potwierdzą się nasze ustalenia z nocy i rzeczywiście mamy do czynienia z ofiarą z płatnej. Czyli z Martinem Cebulkiewiczem.

Siedzieli przy stole do odpraw w gabinecie Grossa. Poranne słońce ponownie skryło się za gęstymi chmurami, chociaż nic nie zapowiadało kolejnej zmiany pogody.

– Twoim zdaniem to on? – Skalska ugryzła spory kawał bułki z parówką.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości – odparł.

– A miejsce zgonu?

– Tu zgadzam się z Chęcińskim. Musiał umrzeć w domu. Trudno by było uwierzyć w to, że ktoś niepostrzeżenie i bez zostawienia krwawych śladów przeniósł rannego człowieka i jeszcze wniósł go na górę po schodach.

Opowiedział jej to, o czym mówił mu Marian Chęciński, o ludziach, którzy po uszkodzeniu mózgu zachowywali się niemal normalnie.

Wykrzywiła usta.

– Cholera wie, może tak właśnie było. Może rzeczywiście ktoś mu pomógł? – rzuciła. – Może Bąk, co?

– Sprawdziłaś, kiedy malował tę łódkę?

– Gość z Mirakowa, u którego w garażu Bąk ją lakierował, potwierdził, że dwa tygodnie temu. Ale przecież mógł kłamać.

– Sprawdźmy to. Trzeba zdjąć łódkę z jeziora i dać do badań.
– Zajmę się tym. – Skalska skończyła hot-doga i zgmiotła w kulkę papierową torebkę. – Pogadam jeszcze z Bąkiem. Może gdy się dowie, że zamierzamy poszukać śladów krwi w jego łajbie, to pięknie, co? – Wypiła żółty napój izotoniczny.
– Nie wiem, możliwe. – Gross znowu popatrzył na zegarek, a następnie ugryzł bułkę.
– Ale to i tak nie wyjaśnia, dlaczego Bąk, widząc stan Cebulkiewicza, nie wezwał pomocy.
Gross miał pełne usta, więc nie zdołał odpowiedzieć. Rozłożył tylko ręce. Kiedy przełknął jedzenie i napił się herbaty, przysunął się do stołu.
– Dziwna sprawa – powiedział, po czym otarł usta. – Wciąż nie mamy żadnego motywu. Jedyne, jaki przyszedł mi do głowy, to walka o kobietę, Cebulkiewicz kontra Szydłowski.
Skalska się skrzywiła.
– Słabe to – skomentowała.
– Nawet bardzo. Od kiedy stateczni trzydziestolatkowie zabijają się o osiemnastolatkę?
– Świat jest pełen idiotów, ale rzeczywiście, mnie też to nie przekonuje – odparła Skalska. – Może powinniśmy spojrzeć na tę sprawę inaczej?
– Chyba nawet musimy. – Gross wstał i podszedł do okna.
Telefon komórkowy komisarza zawibrował na biurku i rozbrzmiał melodią.
– Halo? – Odebrał.
– Tatar mówi – przywitał się analityk z toruńskiej komendy i przeszedł do sedna. – Masz coś do pisania?
Gross usiadł przy biurku i sięgnął po kartkę i długopis.
– No to pisz. – Kolega podyktował mu numer Bartka.
– Dziękuję – odparł Gross.
– Rekordy wskazują na Grudziądz, nie sprawdzałem dokładniej, bo o ile pamiętam, właśnie tam mieszkają rodzice Agnieszki.
– To prawda – potwierdził.
– To karta prepaid – wyjaśnił Tatarski. – Co teraz z tym zrobisz?
– Nie wiem. – Komisarz przyjrzał się numerowi telefonu. Był przekonany, że nawet jeśli zadzwoni do syna, ten natychmiast zmieni numer na kolejny. I tak w kółko. Postanowił więc nie wykonywać pochopnych ruchów. Musiał zachować kontakt do Bartka na wypadek śmierci żony.
– Przykro mi, serio – dodał Tatarski. – A w tej drugiej sprawie...
– Jakiej drugiej sprawie?
– Prosiłeś przecież, żebym sprawdził numer jednego faceta, który dzwonił do... – W głośniku zaszeleściły papiery. – Do Magdaleny Palacz, córki zaginionej kobiety.
– Racja – przypomniał sobie Gross i przełączył aparat na głośnomówiący. – Wiesz już, kto dzwonił?
– I tu mam problem. Prześledziłem dokładnie historię połączeń, ale kobieta musiała się pomylić.
– To znaczy?
– W dniach, które podałeś, nikt nie dzwonił do niej z zastrzeżonego numeru.
– Jesteś pewien?
– Tak. Natomiast wcześniej, czyli w tygodniu je poprzedzającym, odebrała kilka takich połączeń.
– Kilka?
– Tak. Szczegółowy raport wyślę ci mailem, to sobie sprawdzisz. Wszystko tam opisałem.
– Dobra, dziękuję. – Gross zamierzał się rozłączyć.
– Zaraz. A nie chcesz wiedzieć, kto do niej dzwonił? – zdziwił się Tatar.
– Obawiam się, że już wiem. Martin Cebulkiewicz.
W słuchawce ponownie zaszeleściły kartki.
– Nie mam nikogo o takim nazwisku – stwierdził analityk.

– Nie? – Gross spojrział na Skalską.
– Numer zarejestrowany jest na Krystiana Bogusławskiego. Kupił go niedawno, trzy tygodnie temu.

Komisarz z ruchu warg Skalskiej odczytał pytanie:

– Kto to jest?

Dał jej znak, że zaraz to wyjaśni.

– Zaskoczony? – spytał Tatarski.

– Nawet bardzo. Dziękuję.

– Sprawdź później maila. I do miłego, Bernardzie – pożegnał się analityk.

W gabinecie zrobiło się cicho. Gross schował aparat do kieszeni.

– Znasz go? – spytała. – Kim jest ten Bogusławski?

– To ojciec Patrycji Szwed.



Gross odniósł wrażenie, że kolejne odkrycia w sprawie zabójstwa na plaży płatnej komplikują to śledztwo jeszcze bardziej, zamiast przybliżyć ich do prawdy.

Skalska wybrała się do Michała Bąka, a komisarz postanowił zadzwonić do Bogusławskiego. Numer znalazł w skoroszycie, do którego wpięto materiały w sprawie zaginięcia osiemnastolatki.

– Czy wiadomo już, gdzie jest moja córka? Wiecie coś więcej? – spytał Bogusławski, kiedy usłyszał, kto do niego dzwoni.

– Nie szukamy już pańskiej córki – przyznał Gross.

– Jak to? – burknął mężczyzna.

– Matka Patrycji wycofała zgłoszenie w sprawie zaginięcia. Twierdzi, że ma kontakt z dzieckiem. Nasze ustalenia w tej sprawie się pokrywają.

– Nic o tym nie wiem. Nie powiedziała mi tego. Dlaczego o wszystkim dowiaduję się na końcu?

– Niech pan to wyjaśni z matką dziewczyny.

– Tak zrobię, do cholery, bo to się w głowie nie mieści – zezłościł się. – Będzie musiała mi się z tego gęsto tłumaczyć!

Gross wysłuchał kilku obraźliwych słów na temat Hanny Szwed.

– Ale dzwonię też w innej sprawie – przerwał w końcu mężczyźni. – Chodzi o pewien numer telefonu. – Spojrzął na wydruk z maila od Tatarskiego i przeczytał cyfry.

– No i?

– Zna go pan?

– Pierwszy raz słyszę – zdziwił się Bogusławski.

– Jest pan pewien?

– No przecież, że jestem pewien.

– Karta prepaid została kupiona w Chełmży dokładnie tydzień przed zaginięciem pańskiej córki – dodał Gross. – Pod datą zakupu jest pański podpis.

W słuchawce zapadła cisza.

– Cholera – powiedział wreszcie Bogusławski.

– Więc jak to było?

– No tak, teraz sobie przypominam. Kupiłem tę kartę mojej córce. Poszedłem z nią na pocztę.

– Pańska córka jest już dorosła.

– Wiem, ale spotkała mnie na Sikorskiego. Mówiła, że to pilna sprawa, że nie ma przy sobie

dowodu.

– Chodziło o dodatkowy numer dla niej? – spytał Gross.

– Chyba tak, bo starego nie kazała usuwać. Zresztą wciąż odbierała na tamtym połączenia. Mówiła nawet, że ten drugi będzie miała tylko do Internetu. Tak przynajmniej zrozumiałem. Jeszcze przy mnie włożyła tę nową kartę do swojego telefonu.

Rozłączywszy się, komisarz spojrział przez okno. Pierwsze krople deszczu zastukały niemrawo w parapet.

Wrócił do biurka i spróbował skontaktować się z Patrycją Szwed. Najpierw zadzwonił pod jej stary numer, następnie pod nowy. W obu przypadkach telefon musiał być wyłączony lub znajdował się poza zasięgiem. Zadzwonił do Skalskiej, ale odrzuciła jego połączenie.

Komisarz postanowił nadrobić zaległości w uzupełnianiu dokumentacji innych przestępstw, skierować kilka pism do prokuratury oraz porozmawiać z Nubińskim i Łoniewiczem na temat ostatnich rozbojów i zakłóceń porządku.

Później spakował do torby teczkę obu spraw, którymi się zajmował, przerzucił ją przez ramię, a następnie wyszedł z komisariatu i ruszył w stronę domu. Deszcz ciągle padał, ale był drobny i ciepły. W połowie pomostu słońce przeświecało przez chmury i gdzieś nad Strużalem pojawił się łuk tęczy. Gross minął uśmiechniętą starszą kobietę, pokazującą zjawisko wnuczce, ale ta ledwie oderwała wzrok od telefonu.

Wszedłszy do klatki schodowej, Gross odebrał połączenie. Dzwoniła doktor Raszeja.

– Jest tak, jak mówiłeś – oznajmiła.

Zaciągnęła się i wydmuchała ze świstem dym. Gross rozpoznawał te dźwięki bez trudu.

– Dwie rany tłuczone od tępego narzędzia – dodała patomorfolożka.

– Udało się określić czas zgonu?

– W przybliżeniu dwa tygodnie.

„Czyli wszystko się zgadza”, odetchnął.

– Jest coś jeszcze, co powinienem wiedzieć? – spytał, bo cisza w słuchawce się przedłużała.

– Łupinki kory drzewnej i fragmenty traw pod paznokciami, zielone plamy na spodniach od leśnego mchu i ślad po nakłuciu krótką szpilką – wymieniła.

– W którym miejscu?

– Na plecach, pod lewą łopatką. Ale nie wiem, czym go ukłuto – zaznaczyła.

– Harcerską lilijką – powiedział.

– Jest zakończona szpikulcem?

– Tak.

– W takim razie to prawdopodobne. – Lekarka znowu się zaciągnęła. – Chęciński zdjął dziś odbitki linii papilarnych. Materiał porównawczy ma w domu, ale to tylko formalność, przecież tożsamość potwierdziłeś już wcześniej, prawda?

– Tak, masz rację – powiedział Gross, a jego słowa zlały się ze śmiechem dziecka i z odgłosami zabawy dochodzącymi zza drzwi mieszkania Magdaleny Palacz.

– Trapi cię coś jeszcze – stwierdziła Raszeja, przerwawszy narastającą w słuchawce ciszę.

– Cały czas się zastanawiam, jak mógł się dostać z plaży płatnej na drugi brzeg jeziora.

– Drugi cios, który otrzymał w tył głowy, sprawił, że upadł na twarz. Ale to nie musiało być śmiertelne uderzenie. W tym sensie, że bezpośrednio po nim nie nastąpił zgon.

– Sugerujesz więc, że mógł się ocknąć?

– To możliwe. Mógł się po tych ciosach zachowywać niemal normalnie. Niemal, zaznaczam. Mógł być zdolny do wykonywania prostych, automatycznych czynności. Mam natomiast spore wątpliwości co do tego, czy był w stanie cokolwiek powiedzieć. Na pewno miał zaburzoną percepcję i orientację przestrzenną.

– Mógł próbować sprzątać?

– Co masz na myśli?

– Na przykład wycierać krew w namiocie?

– Zgodnie z tym, co przed chwilą powiedziałam, pewnie mógł.

Gross myślał nad czymś jeszcze.

– Ile to trwało? – spytał, otwierając drzwi do swojego mieszkania.

– Ten stan aktywności po otrzymanych ciosach? Kilka, może kilkanaście minut, po których obrzęk mózgu doprowadził do utraty przytomności.

Gross analizował te informacje.

– Daj znać, jeśli będziesz miał jeszcze jakieś pytania – pożegnała się Raszeja.

Komisarz otworzył szeroko okna i usiadł w kuchni.

Z dołu nadal dobiegał śmiech. Dwa głosy, kobiecy i dziecięcy, się mieszały. Komisarz pomyślał o tym, że przyjdzie mu za chwilę zburzyć tę radość. Zastanawiał się, jak przekazać jej tę wiadomość i od czego zacząć. Czy od tego, że znalazł jej brata? A może od razu powinien jej powiedzieć, że mężczyzna został zamordowany? Zupełnie nie wiedział, jak powinien się zachować. Poza tym musiał zapytać kobietę o kontakty z Patrycją Szwed. O to, w jakim celu dzwoniła do niej skrzywdzona przez jej zaginionego brata osiemnastolatka.

Nie chciał tego dłużej odkładać.

Wyszedł na korytarz i zaczął schodzić po schodach. Spojrzał na drzwi Magdaleny Palacz i się zatrzymał. „Na to nigdy nie ma odpowiedniego momentu”, upomniał się, ale mimo wszystko nie zszedł niżej. Zawrócił.

I wtedy z dołu usłyszał czyjeś kroki. Ktoś wspinał się po schodach.

Czekał w ciszy i skupieniu.

Po chwili do drzwi mieszkania, do którego sam zamierzał zapukać, podeszła dobrze mu znana kobieta.

Przekręciła zamki i zniknęła w środku z zakupami.



Z przeciwka nadjechała ciężarówka. Pióropusz wody zbierającej się w koleinach uderzył o przednią szybę golfa.

– Jezu, co za pogoda – jęknęła Skalska.

Wieczorem rozpadało się jeszcze bardziej i świat pogrzyżył się w ciemności. Jezdnie były pokryte grubą warstwą wody.

Komisarz zwolnił, zbliżając się do miejsca, w którym zginął Stefański.

– To tu? – spytała Skalska, obserwując lewe pobocze jezdni i zapalony w pobliżu topoli z zerwaną od dołu korą znicz.

– Tak – odparł Gross, a w jego głowie rozbrzmiał szyderczy śmiech kolegów z prewencji, gdy wypowiadali jego nowe przezwisko.

Komisarz Śmierć.

– Wciąż trudno mi w to uwierzyć – szepnęła Skalska.

Kolejne kilometry pokonywali w ciszy. Skoro jej szef nie był zainteresowany rozmową, Skalska próbowała odpocząć. Zamknęła oczy i oparła głowę na zagłówku, żeby zresetować się przed czekającym ich spotkaniem z Przemysławem Szydłowskim, właścicielem ośrodka „Sarna”. Gross kazał jej się umówić na to spotkanie tuż po tym, jak zrelacjonowała mu przez telefon rozmowę z Bakiem.

– Wyciągnęłaś coś z niego? – spytał wtedy komisarz.

– Powiedziałam mu, że zabieramy łódź.

– Jak zareagował?

– Powiedział: „Jestem niewinny”.

– Naprawdę?

– Tak. I stwierdził, że nie ma nic więcej do dodania.

– Sądysz, że błądzimy? – spytał.

– Sądzę, że to najtrudniejsza sprawa, jaką kiedykolwiek się zajmowałam – westchnęła. – A ty byłeś już u Palaczówny? Powiedziałaś jej o bracie?

– Nie. Chciałem do niej zejść. Wydawało mi się, że jest w domu, ale okazało się, że jej dziecko bawiło się z niańką. Ona sama wróciła później.

– Z niańką? A ile on ma lat? – zainteresowała się Skalska.

– Pięć albo sześć.

– To chyba raczej z opiekunką.

– Tak, z opiekunką – poprawił się Gross.

Deszcz spływał po szybie. Reflektory nadjeżdżających z naprzeciwka pojazdów się rozmazywały. Jezdnia i roślinność były czarne jak smoła, a na niebie kotłowały się szarości.

– Powiesz jej? – zagadnęła Skalka po chwili.

– Wieczorem. Kiedy wrócimy. Albo rano – odparł.

Potem na długo zapadła cisza, w której było słycać tylko szum silnika.

– Chodzi ci o tę ranę na głowie? – spytała dopiero wtedy, kiedy dotarli do Kowalewa.

– On chyba coś przed nami ukrywa.

– Ale co? Ani u Cebulkiewicza, ani na płatnej nie znaleźliśmy żadnego młotka. Szydłowski raczej by go nie zabrał, nie? Poza tym miałeś wątpliwości, czy to on przywiózł Patrycję Szwed i Baka z „Sarny” do Chełmży.

– Tak, bo założyłem, że zrobił to własnym samochodem. Ale przecież mógł wynająć wóz albo od kogoś pożyczyć. Wtedy pod bramę ośrodka podjechałby od strony asfaltowej drogi – wyjaśnił Gross. – Judycka sprawdziła wypożyczalnię aut i na nic nie trafiła. Pozostaje więc pożyczanie samochodu od sąsiadów, rodziny, może od kogoś znajomego.

– Trochę to naciągane.

Dobrze o tym wiedział.

– Wciąż strzelamy na oślep, ale część pocisków jednak trafia w tarczę – zauważył.

Zamilkli. Kiedy zbliżali się do orlenu, Skalska poprosiła, żeby zjechał, bo zabrakło jej gum.

Wrzucił kierunkowskaz i zwolnił. Zaparkował w pobliżu wejścia do sklepu i nie zgasił silnika.

– Zaraz wracam – powiedziała i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Widział ją w jasno oświetlonym wnętrzu z niskimi regałami pełnymi wielokolorowych towarów, przeważnie słodczy i napojów. Podeszła do lady.

Odwrócił wzrok i obserwował świat, myśląc wyłącznie o sprawie ze Strużala oraz o tym, co się stało dwa tygodnie temu na plaży płatnej.

Ktoś wyszedł ze sklepu i zatrzymał się kilka metrów przed maską golfa. Mężczyzna w sile wieku, szczupły i energiczny, oklepał marynarkę, jakby szukał w niej telefonu albo dokumentów. Trwało to chwilę i Gross przyglądał mu się uważnie. Ale zaraz co innego zaprzętnęło głowę komisarza. Mężczyzna wrócił do sklepu, a Gross cały czas miał przed oczami ten obraz i dwa cienie człowieka, które padały na kostkę brukową.

Usłyszał przyspieszone bicie własnego serca.

Dwa cienie.

Skalska usiadła na fotelu obok i zamknęła drzwi. Samochód wypełniło ciężkie, wilgotne powietrze.

– Chcesz? – spytała, wyciągając w jego stronę paczkę gum.

Gross ruszył bez słowa i dojechał do jezdni. Zatrzymał się przed znakiem „Stop”.

Skalka spojrzała na swojego szefa.

Sznur samochodów ciągnął się z każdej strony, deszcz bębnił w dach.

– Bernardzie?

Wreszcie ruch się zmniejszył i wtedy komisarz zawrócił.

– Dlaczego wracamy? – spytała zirytowana.
Milczał.
– Bernardzie?
Odwrócił się do niej, ale tylko po to, by zauważyła jego gest.
Położył sobie palec na ustach, a potem przyspieszył.



Odwiózł Skalską do domu, niczego jej nie wyjaśniając, ale poprosił ją, by była w pogotowiu. Następnie zatrzymał się przy Sądowej i w strugach deszczu przebiegł z parkingu do komisariatu.

Uruchomił komputer i odtworzył raz jeszcze nagranie sprzed bramy w „Sarnie”. To z nocy. Chciał się tylko upewnić, że tym razem nie popełni żadnego błędu.

Później zerknął na drugie nagranie, to z korytarza, na którym widać odwróconą plecami postać.

Wiedział już, że kiedy wyjeżdżał spod „Sarny”, Michał Bąk miał na nogach czarne buty. Osoba, którą było widać na nagraniu, poruszała się w adidasach z jasnymi podeszwami. Oczywiście Bąk mógł zmienić obuwie, ale Gross był przekonany, że mężczyzna nie wrócił do ośrodka. Jego rzeczy z pokoju zabrał ktoś inny.

Komisarz przesiedział kilka chwil w fotelu i oddychał równomiernie.

A co, jeśli się mylił?

Trudno. To wszystko zaszło za daleko. Nie mogli się już wycofać, chociaż wciąż poruszali się po omacku.

Zadzwoił do Skalskiej.

– Działamy – oznajmił, gdy odebrała.



Deszcz ciał z ukosa i spływał po szybie.

Gross celowo nie zapalił światła w mieszkaniu. Kiedy wszedł do domu, przymknął drzwi wejściowe. Bał się przeciągu, więc zastawił je niskim taboretym, żeby nie zamknęły się z hukiem. Potem otworzył okno w kuchni, a szum ulewy, jednostajny i głośny, wypełnił ciche do tej pory wnętrze.

Zastanawiał się, czy to wystarczy.

Wieże kościołów przysłaniała lekka mgła, a miasto wyglądało na opustoszałe.

Skalska stała na dole schowana w jego garażu. Uchyliła lekko drzwi, zadarła głowę do góry i dała mu znak, że jest gotowa.

Komisarz wybrał numer i przyłożył telefon do ucha. Kiedy czekał na połączenie, podszedł do okna i się wychylił. Deszcz kapał mu na głowę.

– Halo? – Usłyszał.

– Dzień dobry! – podniósł głos. – Halo? Słyszysz mnie pani? Jestem u pani ojca. Halo?

– Słyszę pana. O co chodzi? – spytała Magdalena Palacz.

– Cholerny zasięg – wymamrotał Gross. – Halo?

– Jestem, jestem.

– Niech pani tu przyjedzie! Tylko szybko. Cholera!

– Ale co się stało? – spytała zdenerwowana kobieta.

– Halo? Ha... – Urwał. – Psiakrew, co za...

Rozłączył się.

Podszedł po cichu do drzwi wyjściowych i z bijącym głośno sercem nasłuchiwał. Minęła pierwsza minuta. Każda kolejna rozciągała się nieznośnie i Gross pomyślał już, że spalił całą akcję. Palacz dodzwoniła się do ojca i cały ich plan legł w gruzach.

Kiedy już chciał zamknąć drzwi, z dołu dobiegł go zgrzyt zamków, który poniósł się echem po klatce schodowej. Chwilę później rozbłysło na niej światło. Komisarz wyszedł na korytarz i po cichu zszedł na półpiętro. Przechylił się przez barierę i zobaczył schodzącą w pośpiechu Magdalenę Palacz.

Była sama.

Odczekał jeszcze chwilę i śledził jej dłoń widoczną na poręczy. Wreszcie, gdy kobieta znalazła się na pierwszym piętrze, Gross podszedł do drzwi jej mieszkania i zapukał kilkukrotnie, ale cicho.

Serce biło mu głośno, a ciśnienie krwi w uszach zagłuszało wszelkie inne odgłosy.

Po chwili drzwi się uchyliły, a w szparze między nimi a futryną pojawiła się głowa.

– Dobry wieczór – powiedział komisarz i pchnął je zdecydowanym ruchem.

Przestraszona kobieta odskoczyła i oparła się o ścianę. Chłopczyk przytulił się do jej nogi.

– Ciocia! – zawołał.

Gross popatrzył na nich, po czym dodał:

– Czas wyjść z cienia, pani Patrycjo.



Radiowóz razem ze Skalską i z Patrycją Szwed odjechał do komisariatu. Dziecko zostało w mieszkaniu z policyjną psycholożką i jeszcze jednym funkcjonariuszem.

Gross zszedł na dół. Nie zamierzał jechać do Strużala. Czekał na powrót sąsiadki.

W końcu jej suzuki vitara przejechało przez podwórze i zatrzymało się przed jednym z blaszanych garaży. Światła stop zgasły i garaż ogarnęła ciemność. Zmrużył oczy. Kobieta wyszła i szybkim ruchem uniosła wrota garażu, które ze zgrzytem schowały się pod falistym dachem. Wróciła do wozu i wjechała do oświetlonego blaskiem reflektorów ciasnego wnętrza. Na tylnej ścianie rozpadający się regał utrzymywał na zakurzonych półkach stare puszki po farbach i nikomu niepotrzebne klamoty.

Nie zważając na deszcz, Gross pobiegł po grząskiej, nasączonej ulewą, wydeptanej ziemi w tamtą stronę. Światła samochodu zgasły i garaż ogarnęła ciemność. Kobieta ponownie wysiadła i złęknioma podniosła wzrok na komisarza, który stanął w progu blaszaka.

– Jezu, ale mnie pan wystraszył! – Przyłożyła dłoń do piersi. Strach szybko zastąpił grymas złości. – A w ogóle co to za głupie żarty? Do grobu chce mnie pan wpędzić? Mnie i starego ojca? Na wygłupy chyba już pan za stary, co?

– Niech pani wsiada!

– Co pan sobie...

– Natychmiast! – rzucił i obszedł auto. Szarpnął klamkę i usiadł na fotelu pasażera.

Kobieta również wsiadła do samochodu.

– Co to wszystko ma znaczyć? – Patrzyła przed siebie.

– Zaraz się pani dowie.

– Muszę iść do dziecka.

– Dziecku nic nie grozi – zapewnił.

Cisza się przedłużała.

Gross patrzył na kobietę. W końcu przyciągnął jej wzrok.

– Ale pani sytuacja jest nie do pozazdroszczenia – wyszeptał policjant.

Zanim światło we wnętrzu samochodu zaczęło przygasać, dojrzał w jej oczach strach, który szybko zastąpiła rezygnacja.

Położyła ręce na kolanach.

I nagle jej ciałem wstrząsnął szloch.

trzy dni później
dzień szesnasty

Słońce wróciło nad Chełmzę, ale nie grzało już jak wcześniej. Często zrywał się wiatr i gwizdał przeciągle w okiennych szparach, sypał piachem z opustoszałych plaż. Zmierzch zapadał szybciej, a wieczorami, kiedy komisarz Gross szedł pomostem, czuł chłód od wody.

Teraz policjant wpatrywał się w uciekające w dal tory kolejowe. Czekał na peronie chełmyńskiego dworca i co rusz spoglądał na zegarek. Potem zdał sobie sprawę, że może powinien kupić kwiaty, pewnie sprawiłby jej tym prawdziwą radość. Ale nie kupił. Nie miał do tego głowy, tak to sobie tłumaczył.

W końcu dostrzegł, że szlabany u zbiegu dróg Sikorskiego i Bydgoskiej zaczęły opadać, a samochody z obu stron jezdni ustawiały się w kolejkach. Ale Gross wciąż jeszcze nie widział nadjeżdżającego pociągu.

Rano odwiedził żonę i przeczytał jej kolejny fragment *Następnego życia* Atticusa Lisha o kolejnych zmaganiach z miłością nielegalnej emigrantki z Chin i amerykańskiego żołnierza z zespołem stresu pourazowego. Agnieszka nie poruszyła się, oddychała miarowo. Chyba przybrała na wadze albo tak mu się tylko wydawało. Oczy wciąż miała przymknięte, a kiedy pocałował ją w czoło na do widzenia, jej skóra była mocno przesuszona. Wtarł w nią tłusty krem. Dotknął jej wykrzywionej ręki, pogłaskał ją, ale wyczuł jedynie twarde kości, jakby całe ciało tej kobiety, którą kiedyś tak kochał, pozbawione było mięśni i innych tkanek.

Wyszedł od niej i znowu zdał sobie sprawę, że nie powiedział jej o Bartku, o synu, który go znienawidził. Obiecał sobie, że zrobi to następnym razem. Ale sam już sobie nie ufał.

Wrócił z Torunia przybity. Zauważył, że te wizyty sprawiają mu ból. Miał jednak świadomość, że Agnieszka została całkiem sama. Nie było obok niej już nikogo prócz niego, jej męża, człowieka, który być może zostawiając ją w „Świetle”, zwyczajnie ją zawiódł. Nikt z rodziny nie chciał się ani nią opiekować, ani jej odwiedzać. Odwrócili się wszyscy po kolei, także ich wspólni znajomi. Do Grossa też już nikt z dawnych koleżanek i kolegów nie dzwonił. Pozostały mu jedynie kontakty z pracy, czysto zawodowe, które urwą się, kiedy wkrótce przejdzie na emeryturę.

I wtedy przypomniał sobie słowa Agnieszki, które kiedyś mu powiedziała ze łzami w oczach. „Najbardziej się boję tego, że mogłabym was stracić”.

Zadrżał na samo wspomnienie jej głosu. Zdziwił się, że jeszcze jest w stanie go usłyszeć, że ten dźwięk wrył się głęboko w jego pamięć i pozostał z nim tak długo, jakby był nagrany na dyktafon, gotowy do ciągłego odtwarzania.

Myślał o tych słowach, bo doskonale wiedział, że coś się za nimi kryło.

Nagle usłyszał pisk stalowych kół.

Pociąg zatrzymał się tuż obok.

Gross rozejrzał się niespokojnie. Stał mniej więcej w połowie składu.

Kilka osób wysiadło z wagonów. Odwrócił się w lewo, ale nigdzie nie dostrzegł Malwiny Lemańskiej. Potem spojrzął w przeciwnym kierunku.

– Bernardzie! – Gdzieś za plecami usłyszał jej ciepły głos.

Odwrócił się.

Stała z walizką w ręku. Ubrana była w obcisłe dzinsy podkreślające jej figurę i w koszulkę w kwiaty. Spięta mocno kręcone i długie włosy, tylko kilka kosmyków opadło na okulary i ciemną, opaloną twarz.

Bał się tego spotkania.

Wpadł w stupor.

Podeszła do niego i przyjrzała mu się z szerokim uśmiechem. Objęła go i pocałowała w policzek.

– Nie kupiłem kwiatów – powiedział przeprasząco.

Zaśmiała się.

– Mam ich pełno na bluzce. – Odsunęła się od niego, żeby mógł sam zobaczyć.

Pokiwał tylko głową i wtedy dotarł do niego sens dawno wypowiedzianych słów żony.

– Powiedz, czego najbardziej się boją matki? – spytał, gdy obcy ludzie mijali ich na peronie.

Jej uśmiech stopniowo gasł.

Konduktor gwizdnął. Gdzieś obok trzasnęły głucho wagonowe drzwi.

– Dlaczego o to pytasz? – zmartwiła się.

– Po prostu powiedz – poprosił zamyślony. – Czy chodzi o stratę dziecka?

Wiedział, że ją zrani, a jednocześnie jej odpowiedź była dla niego ważna.

– Tak. Najczęściej właśnie o to – stwierdziła kobieta, której córka i mąż zginęli na przejściu dla pieszych.



Odprowadził Lemańską do domu i obiecał, że odwiedzi ją wieczorem. W trakcie drogi mówiła sporo, a on jedynie kiwał głową. Uciekał myślami do sprawy z plaży płatnej i do Strużala. Do rzeczywistości przywoływał go czasami terkot małych kółek walizki, które podskakiwały na nierównym chodniku. Mimo to nie chciał jej nieść, tylko ciągnął ją za sobą.

Wrócił pod komisariat, gdzie zostawił samochód, i ponownie wybrał się do Torunia, tym razem po to, by spotkać się w areszcie z Patrycją Szwed.

Po pokonaniu zakratowanych drzwi i śluz dotarł do adwokatki na parterze, jak nazywano celę widzeń. Szwed przyszła kilkanaście minut później. Drobną blondynką ze strachem w oczach. Jeszcze nie zdawała sobie sprawy z tego, gdzie jest i co tu robi.

Była ofiarą i katem jednocześnie.

Wcześniej, podczas przesłuchań, które prowadził, potwierdziło się to, czego dowiedziała się Skalska od jej matki. W lipcu, kiedy Szwed przebywała na obozie harcerskim w Zalesiu, wyrwała się na spotkanie z Martinem Cebulkiewiczem. Powiedziała mu, że to koniec, że nie chce już z nim być. Wściekł się. Próbowała uciekać, ale chwycił ją za ręce i boleśnie je wykręcił. Potem zerwał z niej ciuchy, a gdy było po wszystkim, zostawił ją w lesie. Dopiero kiedy dotarło do niego, co zrobił, poprosił ojca o pomoc. Stary Cebulkiewicz dobrze znał Patrycję, dlatego zdecydował się złożyć jej ofertę. Pieniądze za milczenie. Dziewczyna początkowo przystała na taki układ, ale w jej głowie kiełkował plan zemsty. Opowiedziała o wszystkim matce, a matka przyjaciółce – Magdalenie Palacz. To Palacz zorganizowała całą akcję na płatnej, zapewniła Szwed alibi w postaci pobytu w „Sarnie”, wynajęła namiot, który następnie rozbili na polanie. I wreszcie to Palacz ściągnęła tam Cebulkiewicza. Podobno chcieli go tylko nastraszyć.

Okazało się, że Palacz wysyłała Martinowi kuszące zdjęcia z komórki, z karty, którą kupiła Patrycja. W końcu mężczyzna dał się namówić na spotkanie. O umówionej porze przyszedł na płatną. Kiedy szedł za Palacz do namiotu, nie zauważył skradającej się z tyłu Patrycji Szwed, która w ręku

miała tłuczek do mięsa.

Młoda nie wytrzymała. Uderzyła raz, aż bryzgnęła krew. Mężczyzna jęknął, zgubił krok i oparł się o drzewo, potem zachwiał się i niezdarnie przeszedł do przodu. Wówczas spadł na niego drugi cios, który powalił go na kolana.

Palacz odciągnęła Szwed, która rzuciła się Cebulkiewiczowi na plecy i zaczęła okładać go gołymi pięściami. Prawdopodobnie wtedy też chciała wbić mu w plecy lilijkę.

Obmyły się z krwi, być może przebrały i odjechały do „Sarny”. Michał Bąk, nowy narzeczony Magdaleny Palacz, miał po nich posprzątać.

Gross wiedział to wszystko, a mimo to przyjechał tu, bo chciał poznać jeszcze jeden sekret. Nigdy nie wierzył w przypadki. A to, że Cebulkiewicz pojawił się na płatnej zachęcony przez własną siostrę, o której istnieniu sam nie miał pojęcia, nie podobało się komisarzowi.

Szwed nieobecny wzrokiem spojrzęła na policjanta.

– Jeśli nadal będziesz ją chronić, zaszкодzisz sobie – odezwał się komisarz. – Przemyśl to. Jesteś młoda, masz przed sobą całe życie.

Nie odpowiedziała.

– Wiem, jak to wyglądało – kontynuował Gross. – Ona cię do tego nakłoniła. Od początku do końca wiedziała, z kim ma do czynienia. A czy ty wiesz, że zabiłaś jej zaginionego przed laty brata?

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Słucham?

– To jej wina, to ona nakręciła cię do zbrodni. Chciała się pozbyć konkurenta do spadku po ojcu. Wiedziała, że kiedyś Cebulkiewicz się o wszystkim dowie. Spadłaś jej ze swoimi kłopotami jak z nieba. Wykorzystała cię. Zabiła brata twoimi rękoma i teraz będzie udawała, że jest czysta. Że nie zrobiła niczego złego.

Po policzkach Szwed spłynęły łzy.

– Ona jest winna jego śmierci. Wiesz to tak dobrze jak ja. – Gross wstał. – Daj znać, kiedy będziesz gotowa o tym porozmawiać.

Podszedł do drzwi i zastukał w nie głośno i energicznie. Dziewczyna aż drgnęła.

– Kupiła go w biedronce – powiedziała cicho.

Odwrócił się do niej.

– Co takiego?

– Tłuczek do mięsa. Kupiła go i dała mi w samochodzie. Wtedy, kiedy odebrała mnie i tego Bąka z „Sarny”.

– Powiedziała coś?

– Że mam go tylko nastraszyć.

– Czyli?

– Kazała mi się schować w krzakach i powiedziała, że da znać, że zamacha czerwoną bielizną i że wtedy on za nią pójdzie, a ja będę miała czas, żeby go nastraszyć.

– Była noc, nie widziałabyś tego. – Wrócił i kucnął przed nią.

– Wzięła ze sobą latarkę. Bawiła się nią i kusiła go stringami.

– A potem?

– A potem go oślepiła.

– I?

Zamknęła oczy.

– Niczego więcej nie pamiętam.



Podkomisarz Arkadiusz Brandol miał zamknięte oczy, ale gałki oczne poruszały się pod powiekami niczym mysz pod narzutą. Pod naporem bólu jego usta rozciągały się w dziwnym grymasie.

Leżał w małym, nasłonecznionym pokoju zabudowanym jasnymi meblami na wymiar. Panowały w nim porządek i cisza.

– Mówiłam panu, że z mężem jest gorzej. Rano podano mu silne leki. – Szczupła, posiwiła żona cierpiącego na nowotwór policjanta oparła się ramieniem o futrynę i skrzyżowała ramiona.

Jej zmęczona twarz i smutne oczy powiedziały mu wiele.

– Chciałem z nim porozmawiać. – Komisarz stał nad kolegą i przypatrywał się jego chudym rękom i zaciśniętym pięściom, które spoczywały na kołdrze.

– O czym? O sprawach zawodowych? – zaniepokoiła się.

– Jeszcze niedawno był w dobrej formie.

– Nie, proszę pana, od dawna nie był w dobrej formie. Tyle że on się nie chciał leczyć, rozumie pan? Nie chciał iść do lekarza. Bał się, że jeśli pójdzie, to źle skończy. – Zaciśnęła zęby, żeby powstrzymać się od płaczu.

Gross nieznacznie pokiwał głową, bo nie wiedział, czy w ogóle powinien się odzywać.

Słysząc było jedynie posapywanie chorego.

– Pójdę już – stwierdził Gross, ale nie ruszył się z miejsca, bo żona Brandola nie zmieniła swojej pozycji.

Dopiero po chwili zniknęła w korytarzu.

Gross spojrział ostatni raz na podkomisarza Brandola.

– Do zobaczenia – powiedział cicho i zdał sobie sprawę, że jeśli do tego dojdzie, to wyłącznie w zaświatach.

Kolejny grymas bólu rozciągnął usta kolegi.

Komisarz wyszedł na korytarz, gdzie czekała na niego żona Brandola. Patrzyła gdzieś w bok.

Podszedł do drzwi i odwrócił się, żeby się pożegnać.

– Mam coś dla pana – powiedziała, po czym zdjęła z komody zwykłą, zaklejoną kopertę.

Podąła mu ją.

Na awersie napisano odręcznie: „Bernard Gross”.

Komisarz rozpoznał niewyraźne pismo Brandola.

– Dziękuję. – Spojrzał na nią raz jeszcze. – Przykro mi.

Pokręciła głową i pociągnęła nosem.

– Poinformuje mnie pani, jeśli mąż poczuje się lepiej? – spytał z nadzieją.

– Nie – oznajmiła twardo, a Gross nie miał o to żalu. – Pan nie chce go odwiedzić. Panu zależy tylko na jego wiedzy i informacjach, prawda?

– Pracowaliśmy razem – usprawiedliwił się.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

Miała rację.

– Tak. Zależy mi na informacji – przyznał.

– Mam nadzieję, że wszystko, co miał panu do powiedzenia, napisał.

Gross przytrzymał rękę na klamce, potem skinął głową kobiecie i wyszedł z cichego mieszkania, w którym śmierć czekała na swoje żniwo.

Przespacerował się do centrum. Nie wszedł jednak do komisariatu. Minął budynek z czerwonej cegły i zszedł nad samo jezioro. Na bulwarze znalazł wolną ławkę i przysiadł na niej.

Wyciągnął z kieszeni kopertę i rozerwał ją. Wewnątrz tkwiła żółta, kwadratowa karteczka.

Gross wyciągnął ją i przeczytał jedno zdanie skreślone koślawym pismem.

„To nie był polonez”.

Odпочął jeszcze chwilę, po czym wrócił szybkim krokiem do komisariatu i poprosił Judycką o numer do wójta gminy Chełmża. Podyktowała mu go bez słowa, a on natychmiast wybrał go na swoim telefonie.

Kiedy mężczyzna odebrał, Gross przedstawił się i wyjaśnił powód, dla którego dzwonił.

– Tak, powiedziałem pani Judycie, że Cebulkiewicz sprzedał mi swojego volkswagena.

– Pamięta pan, co to był za model?

– O! – Zaśmiał się krótko. – Niestety nie, to było dawno temu.

– Czerwony?

– Tak, piękna czerwień koralowa. Żonie bardzo się ten kolor podobał.

Gross poczuł silniejsze uderzenia serca.

– Niech mi pan powie, jak wyglądał – poprosił Gross.

– Jak wyglądał? No wie pan, jak to passat. Duży był.

– A rodzaj nadwozia? Sedan czy hatchback?

– Hatchback.

– A ile miał reflektorów?

– Cztery, po dwa okrągłe z każdej strony.

– Pamięta pan rocznik tego wozu?

– Oczywiście, wtedy urodził się mój syn. Auto było z siedemdziesiątego dziewiątego, panie komisarzu.

– Dziękuję.

Gross uruchomił komputer i wpisał kilka słów do internetowej wyszukiwarki. Kiedy wyświetliły się wyniki, przełączył na rezultaty dotyczące grafiki i zdjęć.

I już po chwili trafił na to, czego szukał.

Volkswagen passat B1.

W pierwszej chwili uznałby, że to polonez.



Dwie godziny później do gabinetu Grossa zapukał prokurator Artur Legner. Wbił się w granatowy garnitur, pod marynarką miał wyprasowaną białą koszulę, a na nogach jasnobrązowe skórzane półbuty.

– Panie komisarzu, można na słowo?

– Zapraszam. – Gross oderwał wzrok od monitora i wstał, żeby się przywitać.

Legner odsunął sobie krzesło.

– Dobra robota – powiedział, rozglądając się po pokoju.

Komisarz się nie odezwał.

– Skąd pan wiedział, gdzie szukać tej całej Szwed, co?

Policjant usiadł naprzeciwko śledczego przy stole do odpraw.

– Wszystko to kwestia optyki – powiedział.

– Pan sobie jaja robi, a ja serio pytam.

– A ja serio odpowiadam.

I opowiedział śledczemu o tym, jak kiedyś zwrócił Magdalenie Palacz uwagę, że w jej samochodzie przepaliła się żarówka w reflektorze. Później aspirant Stefański odkrył nagrania monitoringu z ośrodka „Sarna”, na którym nie widać samochodu, a jedynie łunę samochodowego światła.

– Ale wtedy nie zwróciłem na ten detal uwagi – przyznał komisarz.

– Jaki detal?

– Że to była łuna z jednego reflektora.

– Ale tego przecież nie mógł pan wiedzieć. Sam pan powiedział, że na nagraniach nie było

widać samochodu.

– To prawda, ale było widać cienie. Cienie osób, które wchodziły w ten snop światła. Przy dwóch sprawnych reflektorach cień powinien się rozdzielić, a tu był wyraźnie tylko jeden – stwierdził Gross. – No i jeszcze jedna sprawa. Kiedy Magdalena Palacz odwiozła Patrycję Szwed do „Sarny”, przyjechała tylko z nią. Ubrała się w ciuchy z długim rękawem, narzuciła na głowę kaptur, żeby wszystkich zmylić. Ktokolwiek by ją zobaczył, sądziłby, że ma do czynienia z Bąkiem. Weszła do pokoju, który zajmował mężczyzna, i posprzątała wszystkie jego rzeczy. Wiedziała już, że po tym, co zrobili, nie powinien się tam pojawiać.

– A jak wyszła?

– Przez okno. Wsiadła do samochodu i wróciła do Chełmży.

– A ten Bąk?

– Przycisnęliśmy go i złożył obszerne wyjaśnienia. Wszystko ma pan w papierach.

– Mówił, po co dzwonił na policję i dlaczego po prostu nie zwinął namiotu z płatnej? Przecież gdyby to zrobił, nie byłoby żadnego śledztwa.

– W tej sprawie wciąż milczy, ale wyciągniemy to z niego – obiecał Gross. – Zdaje się, że to on był słabym ogniwem tej operacji. Po prostu pękł.

Legner dźwignął tęgie ciało i wyciągnął w stronę komisarza pulchną dłoń.

– Dobra robota.

Gross uścisnął jego rękę i odprowadził wzrokiem do drzwi.

– A ta stara sprawa? – Legner zatrzymał się w progu.

– Niestety, pozostanie nierozwiązana.

– Zostawi pan to tak?

– A czy mam inne wyjście? Wydaje mi się, że wiem, do czego tam doszło, ale wciąż nie mam pojęcia, gdzie jest ciało Krystyny Palacz.

– Jej syna pan odnalazł, to może i matkę by pan tak do pary odkrył, co? – Legner uśmiechnął się zawadiacko.

Gross nie skomentował jego słów, tylko wrócił za biurko.

Próbował skupić się na protokołach, które miał do przeczytania, gdy zadzwonił telefon.

– Magdalena Palacz broni się rękoma i nogami – oznajmiła Skalska. – Powiedziała, że chce rozmawiać tylko z tobą.

– Zaraz przyjdę.

– A, i jeszcze jedno. Pod drzwiami komisariatu stoi jej ojciec. Awanturuje się. Mamy go przymknąć?

– Nie. Przyrowadź go do mnie.

– Jesteś pewien?

– Tak.

Komisarz odszukał pisma od prokuratury w innej sprawie, którą prowadził jego wydział. Wypiął je z akt i położył obok klawiatury. Na korytarzu słychać było rumor i podniesione głosy. Wreszcie drzwi się otworzyły gwałtownie, aż uderzyły głośno o odbojnik.

W progu stanął Palacz, pochylony, z wyciągniętą szyją i szerzej rozłożonymi rękoma.

– Co się tu wyprawia? Co to wszystko ma znaczyć? Jak pan śmie oskarżać moją córkę? Jakim prawem, pytam się. Jakim prawem?

Skalska stanęła za rolnikiem, ale Gross dał jej znać, że może odejść.

– Niech pan wejdzie i zamknie drzwi – poprosił komisarz, a potem wstał i wskazał Palaczowi miejsce do siedzenia.

Mężczyzna usiadł, ale niechętnie, drzwi pozostawił otwarte. Gross zamknął je i usiadł naprzeciwko Palacza.

– Złóżę na was skargę. – Rolnik pogroził mu palcem.

– Od jak dawna Magda wie o bracie? O pańskim synu?

– Co pan za brednie wygaduje?

– Badania DNA nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Pański syn, zaginiony w lipcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku, został zabity przez Patrycję Szwed. Postawiliśmy jej zarzuty. Przyznała się. Wskaże nam też miejsce ukrycia narzędzia zbrodni.

– To nie jest mój syn.

– To nie jest pański syn? – spytał spokojnie Gross. – Czy mówi pan tak tylko dlatego, że chciał się go pan pozbyć?

Rolnik drgnął.

– O czym pan mówi?

– Pańska żona na kilka dni przed zaginięciem była smutna, przybita.

– No i co z tego?

– Nie zna się pan na kobietach – zbeształ go komisarz. – Ona się bała.

– Niczego się nie bała.

– Bała się straty.

– Czego?

– Bała się, że straci dziecko.

– Bzdury pan opowiadasz! – fuknął rolnik.

Gross wstał i podszedł do biurka. Wziął pierwsze lepsze akta i otworzył je. Przekartkował kilka stron.

– O, proszę, mam już – oznajmił. – Wie pan, co to jest histerektomia?

Palacz zmarszczył brwi.

– To operacja polegająca na usunięciu macicy. Wie pan, kto ją przeszedł?

– A skąd mam wiedzieć?

– Pańska sąsiadka Jadwiga Cebulkiewicz. Wie pan kiedy?

– Słucham?

– Czy wie pan, kiedy usunięto jej macicę?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Rok przed urodzeniem pańskiego syna. Pan o tym doskonale wie. Później Cebulkiewiczowie wrócili do Niemiec, żeby zarobić więcej pieniędzy. Zrobili to krótko przed tym, gdy pana żona zaszła w ciążę.

Rolnik patrzył na Grossa odpychająco.

– Umówiliście się, że zabiorą dziecko, gdy tylko się urodzi. To znaczy, pan się pewnie tak umówił albo wspólnie z żoną. Tylko później coś poszło nie tak. Okazało się, że żona chce się z tego układu wycofać. Ale pan przyjął już pieniądze od Cebulkiewiczów.

– Bzdury.

– Potwierdzili to. Rozmawiałem z nimi wczoraj – skłamał. – Wszystko się wydało.

Cebulkiewiczowie wrócili już do Polski, ale wciąż nie pojawili się w Strużalu.

Palacz spuścił wzrok.

– Pańska żona chciała zatrzymać syna i dlatego zamierzała uciec. To był pewnie dzień, kiedy umówiliście się na przekazanie dziecka. Zostawiła córkę z panem, bo córce nic nie groziło. Ale nie pozwoliła, by oddał pan sąsiadom waszego chłopca. Za żadne pieniądze nie chciała go oddać. Wyszła na dwór, ale strasznie padało. Bała się iść w stronę Chełmży, bo wiedziała, że stamtąd nadjedzie Cebulkiewicz. Nie wiedziała, co robić, była sama. Nie miała znikąd wsparcia. Nawet pan był przeciwko niej. I wtedy z pomocą przyszedł jej Tadeusz Zuba. – Gross snuł swoje przypuszczenia, szukał najbardziej pasującej do swoich ustaleń wersji. – Wracał z Chełmży. Prowadził swój wózek z zabawkami ze śmietniska. Kiedy zobaczył pańską żonę, chciał jej pomóc. Wyrzucił zabawki i kazał położyć dziecko, bo być może Krystyna zmęczyła się trzymaniem chłopca na rękę. Poszli do Zubów. Tylko tam mogła się czuć bezpieczna. Powiedziała im o wszystkim, prawda? Bo oni jeszcze wtedy nic nie wiedzieli.

Palacz niemal niezauważalnie skinął głową.

– Ale wtedy nadjechał Cebulkiewicz. Nie zastał pańskiej żony i małego w domu, więc domyślił

się, że uciekli do sąsiadów, i tam się udał. Zapłacił za dziecko, więc chciał je zabrać do Niemiec. Doszło do szamotaniny.

– Cicho! – krzyknął nagle Palacz.

– Doszło do szamotaniny! Pańska żona rzuciła się na Cebulkiewicza.

Palacz zatkał uszy rękoma i zawył jak ranne zwierzę.

– On ją zabił! – Rozpłakał się, chowając twarz w dłoniach.

– Kto? – spytał Gross. – Gdzie ona jest, gdzie ją ukryliście?

Ciszę przerywało łkanie starego mężczyzny. Trząsał się i szlochał.

Gross postanowił zmienić temat.

– Nie domyśliłbym się, że ją zabiliście, gdyby nie dwie rzeczy. Pies i wózek. Pies wcale nie zerwał się z łańcucha. Pan go zabił, żeby zmylić trop milicji. A łańcuchem oplekliście wózek i wrzuciliście z ceglówkami do jeziora. Pewnie był zakrwawiony, być może przewoziliście nim zwłoki pańskiej żony.

Komisarz odłożył akta i sięgnął po wyjęty wcześniej dokument.

– Niech pan spojrzy – poprosił Palacza, a kiedy ten podniósł załzawione oczy, powiedział: – Mam tu zgodę prokuratora na użycie georadaru na całej pańskiej ziemi, łącznie ze sprzedanymi działkami. Przeczeszemy Strużal metr po metrze, żeby odnaleźć ciało pańskiej żony. I znajdziemy je. Obiecuję to panu.

Mężczyzna przełknął ślinę.

– Ja tego nie zrobiłem – wyznał.

– Gdzie ją pochowaliście?

– Ja bym jej nie skrzywdził.

– Gdzie ona leży?

– Kochałem swoją żonę...

– Użyjemy georadaru – powtórzył Gross. – Znajdziemy ją, ale musi pan z nami współpracować, jeśli rzeczywiście nie ma pan z jej śmiercią nic wspólnego.

Zapadła cisza.

Mężczyzna wytarł nos wierzchem dłoni.

– Gdzie ją pochowaliście? – spytał Gross.

Ramiona rolnika opadły, szczęka drżała, w otwartych ustach Gross widział równe, sztuczne zęby.

W oczach Palacza wzbierała nowa fala łez.

– Niech ona mi to wybaczy – wyszeptał starszy mężczyzna.

– Gdzie? – powtórzył cicho Gross.

Palacz pociągnął nosem.

– Boże, wybac mi! – ryknął, spoglądając w górę.

– Gdzie, do cholery?! – Gross uderzył pięścią w stół.

I nagle zrobiło się cicho.

Ich spojrzenia się spotkały.

– Przed domem – powiedział rolnik. – Tam, gdzie Krysia sadiła maciejkę.



Po wizycie Palacza Gross długo nie mógł dojść do siebie. Rozbolała go głowa i mimo połknięcia dwóch tabletek nie odczuł żadnej ulgi. Serce łomotało mu w klatce piersiowej, a ból w mostku narastał. Bał się. Po raz pierwszy w życiu bał się, że zejdzie na zawał. Wiedział, że dłużej nie

może tak ryzykować, że w końcu musi o siebie zadbać. Obiecał, że to zrobi, ale na razie musiał pójść do córki Palacza.

Siedziała z Judycką i Skalską w pokoju na górze.

Kiedy Gross wszedł tam, poprosił koleżanki, by czekały na korytarzu.

Wyszły z ociąganiem.

– Dzień dobry – powiedział komisarz i przysunął sobie krzesło. Usiadł na nim, założył nogę na nogę i splótł dłonie. – Słucham.

Palacz spojrzała na niego. Oczy miała opuchnięte.

– Był tu mój ojciec, prawda?

Gross potwierdził.

– Co powiedział?

– Prawdę. Już wszystko wiemy.

– Nie. – Pokręciła głową, jakby nie chciała tego słuchać. – Nie! To nie może być prawda!

– Powiem pani, co powiedział pani ojciec, chce pani?

Pokiwała głową.

– Ale najpierw pani opowie mi o swojej roli w sprawie na płatnej.

– Nic nie zrobiłam.

Komisarz wstał i skierował się do drzwi. Chwycił za klamkę.

– Dobrze. Niech pan zaczeka.

Gross spojrzał na młodą kobietę.

– Usiądę ostatni raz. Jeśli mnie pani oszuka, wyjdę i nigdy się pani nie dowie, co usłyszałem od pani ojca. Nie dowie się pani, co się stało z pani matką.

– Opowiem panu wszystko. – Głos się jej załamał. – Prawda za prawdę, zgoda?

– Możemy się tak umówić.

Policjant usiadł naprzeciwko niej, a potem wysłuchał długiej i przejmującej opowieści.

początek października

Rankiem nad Strużalem unosiły się poszarpane mgły. Kłębiły się w zagajnikach i obniżeniach terenu. Słońce sprawiało, że stawały się mleczne, zupełnie nieprzezroczyste.

Komisarz chuchnął w zziębnięte dłonie i odwrócił się od wiatru, który dał znad jeziora.

– Panie komisarzu? Tu kopjemy? – Mężczyzna wychylił się z koparki, która stanęła przed spróchniałym, pochylonym drewnianym ogrodzeniem.

Wokół pojazdu stało kilku policjantów, w tym Skalska. Niebieska taśma napinała się na wietrze.

Gross stał tyłem do zabudowań Palacza, bo obserwował kręcącą się na werandzie Mariolę Zubę. Odwrócił się do operatora maszyny i dał znać, żeby zaczynał, a Skalskiej pokazał, że idzie do sąsiadów.

Warkot silnika rozniósł się po otoczonym niemal zewsząd jeziorem polu. Po chwili Gross usłyszał metaliczny zgrzyt rozsuwanych szczęk. Domyślał się, że zaginięcie Krystyny Palacz i dziecka zgłoszono kilka dni po jej śmierci. Być może imieniny jej męża wcale nie odbyły się w wtorek, kiedy w kalendarzu przypadało Stanisława, tylko wcześniej, na przykład w piątek. Kto wie, czy właśnie wtedy nie rozegrał się ten dramat. W każdym razie komisarz był pewien, że ci, którzy zabili kobietę, potrzebowali czasu na wykopanie dołu i zasypanie grobu, tak by nic nie zwróciło uwagi ówczesnych stróżów prawa.

Komisarz szedł przed siebie i po chwili na werandzie obok starszej kobiety pojawiła się Bożena Zuba. Połami jej szlafroka targał wiatr. Otuliła się szczelniej i przewiązała go w pasie. Policjant zbliżył się do płotu i wtedy drzwi uchyliły się ponownie. Do kobiet dołączył mąż Bożeny. Cała trójka stała w cieniu, który rzucał przedłużony nad wejściem dach.

Komisarz zastanawiał się, jak to rozegrać.

Brutus ujadął, odsłaniając kły.

– Wszystko się zaraz wyjaśni – powiedział, przekrzykując psa i wskazując za plecy na dom Palacza. – A po sekcji będziemy wiedzieli, kto zabił – ostrzegł.

Mariola Zuba kazała schować się córce i zięciowi w domu.

Zeszła po stopniach i szybkim krokiem podeszła do płotu. Nie otworzyła furtki.

Gross widział jej pogłębione zmarszczki i cień strachu, który błyszczał w oczach kobiety.

– Zmarli potrzebują spokoju, a pan tym swoim śledztwem chce rozpętać piekło. – Głos jej zadrżał.

Gross z niedowierzaniem pokręcił głową i patrzył, jak mewy szybują nisko na wietrze, w pobliżu linii brzegowej.

– Piekło to zrobiliście Krystynie Palacz trzydzieści lat temu – powiedział, odwracając się do Zuby. – I mam nadzieję, że teraz ono was pochłonie.

Odwrócił się i odszedł kilka kroków, po czym wrócił.

Mariola Zuba trzęsła się ze strachu lub z zimna.

– Niech pani zawoła córkę.

– Ona jest niewinna.

– Niech ją pani zawoła – zniecierpliwził się Gross. – Wkrótce i tak zostaniecie przesłuchane.

Kobieta, przytrzymując się poręczy, z trudem weszła po schodach. Kiedy zniknęła za drzwiami, Gross dreptał przy furtce i słuchał warczenia Brutusa. Pies patrzył na niego, najeżywszy kark.

W końcu Bożena Zuba wyszła na dwór. Niepewnym krokiem doszła do furtki.

– Jeszcze chwila i moja matka umrze przez pana! – warknęła. – Chce ją pan wykończyć?

– To nie był polonez. – Zignorował jej uwagę Gross.

– Co?

– To, co pani słyszała. To był volkswagen passat na niemieckich numerach. Należał do Cebulkiewicza i doskonale pani o tym wiedziała, bo Cebulkiewicz przyjeżdżał tu i przywoził wam różne sprzęty. Coś sprzedawał, coś podarował. – Gross patrzył jej w oczy, ale kobieta szybko spuściła głowę. – Co chciała pani ugrać?

Nie odpowiedziała.

– Wcale nie jest pani taka głupia, jak jeszcze niedawno pani twierdziła – powiedział. – To musiało być przemyślane.

– Bałam się. Chciałam, żeby wszystko się w końcu wydało. – Oddychała ciężko. – Dopiero z czasem zrozumiałam, że to nie wróci życia Krysi. I że w ten sposób mogłabym zepsuć życie Martinowi.

– Ta kłótnia też nie była wymyślona, prawda? I na dodatek słyszała pani każde słowo. Cebulkiewiczowi puściły nerwy, gdy się dowiedział, że Krystyna Palacz nie odda dziecka. Bo właśnie o to chodziło, tak?

Znowu potwierdziła.

Gross odwrócił głowę w kierunku jeziora i wtedy zrozumiał coś, co okazało się kluczowe dla zabójstwa na plaży płatnej.

– To pani powiedziała Magdalenie Palacz o Martinie. Że jest jej bratem – stwierdził przerażony. Spojrzała na niego zza zasłony rozwiewanych przez wiatr włosów.

– Dlaczego? – spytał.

– Pan dobrze wie.

– Bo okazał się złym człowiekiem?

– Patrycja Szwed nie była jego jedyną ofiarą.

– Skąd te informacje?

– Ja to po prostu wiem.

– Opowie to pani w komisariacie.

Kiwnęła głową i wolno odeszła do domu.

dzień później

Tego dnia komisarz miał wolne. Postanowił zrobić sobie badania lekarskie, a potem umówił się z Malwiną Lemańską. Zaprosiła go do siebie.

Słońce oświetlało wieżę kościoła Świętego Mikołaja. Chłód i nieprzyjemna wilgoć snuły się nad taflą spokojnego jeziora.

Gross wszedł na pomost i odebrał telefon.

– Raszeja – przywitała się patomorfolog.

– Co wiemy? – spytał.

– Mielśmy szczęście, że zalali ją betonem. Ją i tego ich psa.

– Dlaczego szczęście?

– W tych warunkach ciało poddało się mumifikacji, więc ze znalezieniem rany śmiertelnej nie było najmniejszych kłopotów. A pies ma rozłupaną czaszkę. Wygląda jakby od siekiery.

– Co to za rana?

– Kłuta. Nóż, wbity pod żebrami, prawdopodobnie w wątrobę. Cios, którego nie mogła przeżyć bez szybkiej operacji.

– Narzędzie zbrodni?

– Brak.

– Coś jeszcze?

– Tak. Dlatego dzwonię tak późno.

Komisarz przystanął i oparł się balustradę. Był w połowie długości pomostu. Wpatrywał się w mętną wodę jeziora.

– O co chodzi? – spytał, gdy kobieta z psem przeszła za jego plecami.

– Wygląda na to, że denatka leżała jakiś czas nad brzegiem jeziora. – Raszeja się zaciągnęła.

– Skąd takie przypuszczenie? – spytał i czekał, aż usłyszy wypuszczany ze świstem papierosowy dym.

– Słyszałeś kiedyś o pluskwiakach wodnych?

– Pluskwiakach? – zdziwił się, a dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że latem opowiadała mu o nich Skalska.

– Mam dwa ładne okazy tych owadów, dlatego odwiedził mnie dziś profesor z UMK, wybitny specjalista z zakresu entomologii sądowej. Rozpoznał je bez trudu. Zachowały się w idealnym stanie, bo ukryły się w nogawkach spodni. Podobno zwłoki wyczuwają z daleka.

– Zostawili ją, żeby zdecydować, co robić. Gdzie ją ukryć – powiedział właściwie bardziej do siebie niż do Raszei. – A potem każde z nich napisało swoją bajkę.

– Jaką bajkę? – Lekarka nie usłyszała całej wypowiedzi.

– Przepraszam, głośno myślałem.

– Przyjedziesz?

– Będę jutro.

Schował aparat do kieszeni i poszedł w stronę szpitala.



– Neuralgie? – spytał Gross, kiedy wkładał koszulę.

Dopiero teraz przyjrzał się swojemu ciału i zobaczył, że skóra na klatce piersiowej traciła elastyczność, marszczyła się pod pachami. Siwe owłosienie się przerzedziło.

Młody neurolog z okularami w delikatnych oprawkach skończył badanie i usiadł za białym biurkiem.

– Neuralgie to nerwobóle pochodzenia odkręgosłupowego związane z uszkodzeniem nerwów obwodowych. U pana mamy do czynienia z neuralgiami międzyżebrowymi, które przenoszą bóle do mostka. I stąd ten efekt, jakby kłuło pana serce. Jakby to był wstęp do zawału.

– Więc mam się tym nie martwić? – Gross usiadł na krześle i zapiął mankiety koszuli.

– Sercem może się pan nie martwić, bo z EKG wynika, że ma pan pompkę maratończyka. Opis kardiologa nie pozostawia w tej materii żadnych złudzeń. Ale kręgosłup, panie komisarzu, wygląda jak stara drabina. Przepukliny międzykręgowe z masywnymi wypustkami w stronę rdzenia to już nie przelewki. Ćwicz pan coś? Rusza się?

Zaprzeczył.

– Powinien pan zacząć, ale zanim przejdziemy do jakichkolwiek ćwiczeń, trzeba wysłać pana na rehabilitację.

– Pracuję – zaznaczył.

Lekarz odsunął się od klawiatury.

– A chce pan pracować nadal?

– Chodzi o to, że od nowego roku idę na emeryturę. I wtedy miałbym...

– Świetnie, ale pan, tak jak i ja, żyje w Polsce. Wypiszę panu skierowanie, a jeśli załapie się pan na rehabilitację w pierwszym kwartale przyszłego roku, to osobiście panu tego pogratuluję – zażartował neurolog.

Gross wyszedł z gabinetu i wolnym krokiem ruszył w stronę Rynku.

„Neuralgie międzyżebrowe”, pomyślał.

Rozejrzał się po pustym placu i poszedł w kierunku Sikorskiego. Słońce straciło grzewczą moc, chłód owinał mu się wokół karku, kiedy komisarz szedł wolno, mijając pozamykane o tej porze dnia sklepy. Postawił kołnierz kurtki i schował dłonie do kieszeni.

Zatopiony w myślach zbliżył się do zielonego bloku po lewej. Spojrzał w górę, w okna mieszkania Lemańskiej. Znowu nie miał ze sobą kwiatów ani nie zabrał wina.

Nie wiedział, gdzie zrobić zakupy.

W końcu przypomniało mu się, że tuż obok jest biedronka. Ruszył w tamtą stronę.

– Bernardzie? – Usłyszał głos Malwiny.

Odwrócił się i popatrzył w górę. Wychylała się przez okno.

– Chodź na górę. – Uśmiechnęła się ciepło, tak jak tylko ona potrafiła.

– Zaraz przyjdę – obiecał i też postarał się uśmiechnąć, chociaż wykrzywione usta przywoływały na myśl grymas na zziębniętej twarzy.

Zamknęła okno i pomachała mu.

Chciał do niej wrócić, teraz, natychmiast. Ale zbyt często zawodził ją właśnie takimi drobiazgami. A może nie? Może wcale jej nie zawodził? Może częściej zawodził samego siebie?

Poszedł do sklepu.

Kiedy był już przy wejściu, zadzwonił telefon.

Skalska.

Odrzucił połączenie. Miał dziś wolne.

Wszedł na pełną towarów salę, po której kręciło się niewielu kupujących. Dotarł do działu z alkoholem i długo rozglądał się po półkach. Szukał wina greckiego, chociaż w ogóle nie wiedział, czy takie są w sprzedaży i czy są dobre. Nie wiedział też, czy Malwina lubi wytrawne, półsłodkie, czy jeszcze jakieś inne. W końcu zdecydował się na różowe portugalskie, półwytrawne. Położył smukłą butelkę w koszyku i rozejrzał się za kwiatami. Spytał o nie ochroniarza, a ten kazał mu wrócić do wejścia. Komisarz spędził kilka minut, przebierając w różach i tulipanach. Wybrał czerwone róże i poszedł do kasy. Po chwili jednak wrócił i odstawił bukiet do wiadra z wodą. Chciał zapytać młodą kobietę z dzieckiem, która właśnie weszła do sklepu, o to, co symbolizują żółte tulipany, ale się nie odważył. Miał nadzieję, że nie niosą tak oczywistego przekazu jak czerwone róże.

W końcu zapłacił i wyszedł ze sklepu.

Przepuścił stare, głośne bmw i przeszedł przez jezdnię.

Pod domem Lemańskiej stał radiowóz. Skalska wysiadła i czekała na Grossa. Kiedy się zbliżył do samochodu, poczuł się niezręcznie. Monika spojrzała na to, co trzymał w rękach.

– Przepraszam – powiedziała. – Musimy jechać.

– Mam dziś wolne.

– Legner dzwonił już do Wojtasik. Powiedział jej, że bez ciebie nie mamy co się tam pokazywać. A on jest w drodze.

– Skąd wiedziałaś, gdzie będę?

– Jechaliśmy do ciebie, ale zobaczyłam cię, jak wchodziłeś do sklepu.

Pokiwał głową.

– Dokąd? – Starał się dyskretnie spojrzeć w okno, ale nie zauważył w nim Malwiny Lemańskiej.

– Okolice Grodna i Jeziora Grodzieńskiego.

– A co się tam stało?

– Wojsko znalazło kości.

– Wojsko?

– Tyralierą przeczesywali pobliski las w poszukiwaniu padłych dzików w związku z afrykańskim pomorem świń. W ten sposób trafili na kości.

– Skąd wiadomo, że ludzkie? – Gross niecierpliwił się coraz bardziej.

Silnik radiowozu pracował, kierowca trzymał dłonie na kierownicy.

– Jeden z wojskowych to były student medycyny.

Gross ponownie spojrzął w okna mieszkania Lemańskiej.

– Musimy jechać – powtórzyła Skalska i popatrzyła na blok. – Załatwimy to raz, dwa i cię odwieziemy.

Gross nic nie powiedział.

Podszedł do tylnych drzwi.

– Byle szybko – powiedział, usadowiwszy się na kanapie. Obok, na pustym miejscu, położył kwiaty, a butelkę wina wsadził do szerokiej kieszeni w oparciu fotela.

Zatrzasnął drzwi.

Aspirantka zrobiła to samo.

Gross raz jeszcze spojrzął w okna Lemańskiej.

Stała tam i spoglądała w dół, ale chyba go nie zauważyła.

Zastanawiał się, czy do niej zadzwonić. Wyjął nawet telefon, ale szybko schował go z powrotem. „Przecież to potrwa tylko chwilę”, usprawiedliwił się w myślach.

Gdy wóz ruszył z miejsca i zaterkotał na bruku, komisarz zapiął pas.

Vis maior, westchnął w duchu, a potem zamknął oczy i długo ich nie otwierał.

Podziękowania

To moja piąta powieść, a grono Czytelników stale rośnie. Dziękuję Wam za to, że sięgacie po moje książki, czytacie je i chętnie się dzielicie ze mną wrażeniami, polecacie je sobie, poświęcacie czas na spisanie wrażeń po lekturze. Kłaniam się w pas, bo tak wiele dzięki Wam, moi Drodzy.

Kłaniam się również Blogerkom i Blogerom, bo Wy również wykonujecie kawał znakomitej roboty. Doceniam Wasze starania związane nie tylko z pisaniem recenzji, publikowaniem ich na blogach, lecz także z dzieleniem się nimi na forach i w grupach w mediach społecznościowych, jak również na stronach księgarni internetowych. Ponadto robicie też wspaniałe, często unikatowe zdjęcia moich powieści. To kawał tytanicznej pracy. Chylę czoła!

Serdeczne podziękowania kieruję do moich znakomych ekspertów: komisarza Pawła Leśniewskiego z Zakładu Służby Kryminalnej Szkoły Policji w Pile oraz Tadeusza Zymana, prokuratora w stanie spoczynku. Przede wszystkim dziękuję za to, że wciąż odbieracie ode mnie telefony i maile! Jestem Wam dozgonnie wdzięczny za poświęcony czas i wszystkie uwagi dotyczące fabuły *Wady*. Jednak uznając wyższość tej rozrywkowej – bądź co bądź – opowieści nad wymogami prawa i policyjnymi procedurami, czasami po prostu poszedłem na skróty. Mam nadzieję, że odbyło się to bez szkody dla Czytelnika.

Kłaniam się też podinspektorowi Leszkowi Koźmińskiemu, ekspertowi i biegłemu z zakresu grafologii, za wsparcie w tej kwestii.

Ponadto bardzo dziękuję mojej żonie Kasi, która jako pierwsza przeczytała *Wadę* i wyłapała kilka poważnych błędów fabularnych. Swoje mądre uwagi i spostrzeżenia przekazała mi również Anna Rozenberg, a także Dariusz Łubkowski, który jako mieszkaniec Chełmży czuwał również nad tym, żebym nie poprzestawiał ulic i budynków. Dzięki Wam *Wada* jest lepszą powieścią.

Kłaniam się proboszczowi parafii pw. Świętego Mikołaja Biskupa w Chełmży, księdzu kanonikowi Krzysztofowi Badowskiemu, dziekanowi dekanatu chełmżyńskiego, który pozwolił mi spojrzeć na to piękne miasto z wysokości wieży konkatedry. Te chwile i te obrazy na długo zostaną w mojej pamięci.

Dziękuję również Marcinowi Seroczyńskiemu za szybką pomoc „fotograficzną” i podesłanie kilku ważnych dla mnie chełmżyńskich zdjęć.

Ponadto dziękuję pani komendantce chełmżyńskiego hufca harcistrzyni Bogumile Obarze za pasjonującą opowieść o harcerstwie i przybliżenie mi wielu szczegółów dotyczących tej organizacji. Myślałem, że wykorzystam znacznie więcej pozyskanych informacji, ale musiałem odrobinę zmienić ten wątek. Tym niemniej dziękuję za poświęcony czas i przemiłe spotkanie.

Czasami myślę, że ta powieść nie powstałaby, gdyby nie Annie Wilkies. Znać ją z filmu *Misery*, zrealizowanego na podstawie powieści Stephena Kinga. W trakcie pisania *Wady* Annie

odwiedzała mnie regularnie i zachęcała do większego wysiłku. A wszystko to za sprawą niezrównanej Ani Sawickiej-Banaszkiewicz (autorki bloga zaczytasy.blogspot.com i znakomitej, pełnej inwencji fotografki książek). Aniu, dziękuję za te motywatory z całego serducha!

Dziękuję też osobie, której – zgodnie z ustaleniami – nie mogę wymienić z imienia i nazwiska, ale ona doskonale będzie wiedziała, że to właśnie o nią teraz chodzi.

Pozdrawiam serdecznie Martę Matyszczak (i jej Kawiarenkę Kryminalną – dziękuję za wsparcie promocyjne!), Anię Bińkowską, Gosię Rogalę, Agnieszkę i Andrzeja Pruskich, Mateusza Lemberga, Grzegorza Brudnika, Marcela Woźniaka i Przemka Semczuka oraz Mariusza Czubaja, Ryszarda Ćwirleja, Kasię Dardzińską, Marcina Wrońskiego i Wojtka Chmielarza. Jeśli o kimś zapomniałem, wybaczenie. Ściskam Was wszystkich! I tradycyjnie już dziękuję człowiekowi, z którym z powodzeniem moglibyśmy zastąpić dwóch dziadków z *The Muppet Show*. Bartoszu Szczygielski, Autorze Drogi, nie pytam, czy w to wchodzisz, bo angaże od dawna mamy w rękach.

Kłaniam się też Adamowi Szai ze smakksiadzki.pl za moc wspólnych działań i wszystkie heheszki. Dziękuję Magdzie Kostrzewskiej za wiele dobrych inicjatyw. Pozdrawiam serdecznie Ewę i Marasa Pijanowskich, Tomka Lewandowskiego, a także Asię i Marcina Żyndów, Agnieszkę Gracę, Katię Tomczyk i Izę Szymczak oraz Julię Łapińską i Michała Kadleca oraz Damiana Pełkowskiego (Damianoo czyta). Ściskam Ewkę i Pawła z Księgarni Kafka i Spółka, Anię i Kamilę oraz pozostałe dziewczyny z toruńskiego Bookinisty, a także Kasię Jędrzyńską-Chudzińską z księgarni Hobbit w Toruniu.

Jeśli mogę mówić o jakimkolwiek sukcesie odniesionym na kryminalnym poletku, to jest to zasługa mojego wydawcy – Czwartej Strony. Szczególnie chciałbym podziękować Robertowi Falewiczowi, redaktorowi naczelnemu i wiceprezesowi wydawnictwa, za wspólne wytyczenie kierunku, w którym razem podążamy. Ściskam mocno Anię Wasik, dyrektorkę handlową, i dziękuję jej za wszelkie dobro. Dziękuję redaktorowi Adrianowi Tomczykowi za każdą mądrą uwagę do pierwotnego tekstu *Wady* i za znakomitą współpracę, dzięki której mogę się skupić wyłącznie na pisaniu. Oczywiście pozdrawiam również cały zespół Czwartej Strony.

Kłaniam się także redaktorce Lenie Marciniak-Cąkale i dziękuję za wyłapanie wszelkich błędów i nieścisłości fabularnych oraz szczególną dbałość o powieściowy język! Znakomita robota, Leno!

I wreszcie dziękuję całej mojej wspaniałej rodzinie za wszystkie dobre słowa i trzymanie kciuków. W szczególności oczywiście – mojej Mamie i mojemu Tacie.

Ale podziękowania należą się jeszcze dwóm najważniejszym osobom w moim życiu. Kasiu, Kochanie, dziękuję Ci za to, że dzięki Twojemu codziennemu poświęceniu mogę pisać. Jesteś najlepszą żoną na świecie. A Tobie, Maks, najlepszy na świecie synku, dziękuję za cierpliwość. Bo wiem, że czasami brakuje ci taty, który zamyka się na całe weekendy w pokoju, żeby pisać.

Jestem z Was dumny i Kocham Was.

Robert Małecki

facebook.com/robertmalecki.autor

instagram.com/robertmalecki.autor

www.robertmalecki.pl